ST. TARNOWSKI.

STUDYA POLITYCZNE.

TOM I.

W KRAKOWIE,
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1895.

ST. TARNOWSKI.

STUDYA POLITYCZNE.

TOM I.

W KRAKOWIE,
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1895.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
NAKŁADEM AUTORA.

PRZEDMOWA.

Namawiali mnie przyjaciele dość długo, żebym zebrał razem i wydał dawne swoje artykuły politycznej treści, pogrzebane w zeszytach peryodycznego pisma, i w zapomnieniu. Opierałem się szczerze. Poco wznawiać te rzeczy, które jeżeli kiedy wartość jaką miały, to ją przez czas i zmianę stosunków straciły? Niejedno co przed laty wydawało się ważnem i brzemiennem skutkami, po latach okazuje się błahem i bez znaczenia; co prawdopodobnem, to w dalszych wypadkach stwierdziło się jako mylnę przewidywanie i złudzenie. A jeżeli przed laty pod świeżem wrażeniem, w otoczeniu współczesnych zdarzeń, pisma te tak mało odniosły skutku, to zkądże i dlaczego miałyby dziś łatwiej trafić do przekonania i uczuć? A więc poco je wydobywać z ukrycia? Przydać się, nie przydadzą: a obrażać i gniewać mogą.

Na takie wahanie odpowiadano mi, że istotnie znajdzie się w tych rozprawach dużo rzeczy przedawnionych, przewidywań, którym późniejsze zdarzenia zadały fałsz. Dziś można tylko uśmiechnąć się gorżko na widok naprzykład tej prawie pewności, z jaką przed laty mniemało się, że wojna turecka pociągnie za sobą zmianę systemu rządzenia w Rosyi. Pomyłek i złudzeń

podobnych jest tam więcej. Ależ nie o to chodzi, żeby stwierdzić nieomylność własnych przewidywań czy sądów, ale o to, by zostawić ślad, jak na pewne sprawy i stosunki zapatrywała się pewna i nie ostatnia część polskiego społeczeństwa. Drobne pisma, które opowiadają co ona myślała, zamierzała i robiła, które tłómaczą dlaczego w pewien sposób myślała i działała a przynajmniej chciała działać, mają swoją wartość i pożytek, choć wykazują pomyłki czy złudzenia, może raczej dlatego, że je wykazują. Mimo całej swojej skromności i drobności są poniekąd dokumentami, i jako takie mogą się przydać.

A prócz tego: wypadki poszły innym torem, stosunki zmieniły się znacznie, to prawda. Ale zasadnicze pierwiastki położenia zostały tesame; w odmiennych stosunkach lub formach objawiają się taksamo, zachowują swoje wrodzone dobre lub złe własności. Fakta są coraz inne, ale grunt rzeczy, natura, ludzie i społeczeństwo, konieczne warunki ich pomyślniejszego lub gorszego bytu, te zostają; więc co było prawdą przed laty, to i dziś być nią nie przestało, a co wtedy było do powiedzenia koniecznem, to może dziś być potrzebnem do przypomnienia. Prawdą naprzykład jest i będzie zawsze, że dziennikarstwo powinno być uczciwem, a że być takiem może wtedy tylko, jeżeli społeczeństwo nieuczciwego znosić nie zechce, ludziom niepewnym steru opinii swojej nie powierzy. Prawdą jest dziś, jak przed laty, że demonstracye są marnem i szkodliwem łudzeniem patryotycznego uczucia, a tak zwane organizacye, wielkiem już dla wszelkiego społeczeństwa złem i niebezpieczeństwem. Rzeczy takich, prawdziwych, może w tych pismach być więcej: a jeżeli to co w nich

I.

RZECZY KRAJOWE.

SUMIENNOŚĆ DZIENNIKÓW I DZIENNIKARZY.

Objaśnienie: Artykuł ten ogłoszony był w *Przeglądzie Polskim*, w sierpniu 1869 roku, napisany jako odpowiedź na zarzuty robione *Przeglądowi* z powodu wychodzącej równocześnie *Teki Stańczyka*.

— A tyś zląkł się?... syn szlachecki,
— Prawdę mówisz — pewnem męstwem
Ja się nigdy nie pochlubię.

Jeden z dawno zmarłych i mało dziś znanych polskich pisarzy, wpadł na pomysł wcale oryginalny i szczęśliwy, żeby napisać książeczkę o grzechach przeciwko społeczeństwu, które każdy co dnia niemal popełnia, za grzech ich sobie bynajmniej nie mając. Wychodzi on z tego przypuszczenia, że wielkie występki biją w oczy: każdy się na nich pozna, każdy je potępi, każdy się ich wypiera i wstydzi, a kto raz był o nie przekonanym, ten stracony jest w ludzkiem mniemaniu. Ale obok rabunków i mordów, obok przekupstwa lub spisków z nieprzyjacielem ojczyzny, są grzechy publiczne, które niepostrzeżone każdemu uchodzą, a mnogością swoją i *saepe cadendo* wiele robią złego. Studyum tych małych grzechów, które wolno popełniać nie przestając uchodzić w oczach ludzkich za najgodniejszego człowieka i obywatela, mogłoby być tak pożytecznem, że każdy naród, każdy okres czasu, powinienby się o podobne postarać. Na nieszczęście pomysł ten raz powzięty, później zarzucony, u nas zrodził tylko jednę książeczkę, która napisana w pierwszej połowie zeszłego wieku, dalszego ciągu nigdy nie miała.

1*

Szkoda prawdziwie: bo porównanie dziełek tej treści, pisanych w różnych odstępach czasu, dawałoby miarę, czy poziom moralności publicznej podniósł się lub zniżył, czy sumienie publiczne zaostrzyło się lub stępiało, czy wyobrażenie o godziwości lub niegodziwości uczynków zbliżyło się lub oddaliło od chrześciańskiej normy bezwzględnej uczciwości i sprawiedliwości. I tak naprzykład, czytając ów *Skrupuł bez Skrupułu* Jabłonowskiego, widzi się z pociechą, że moralność publiczna istotnie w niektórych względach od owego czasu postąpiła, że rzeczy, z których wtedy nikt sobie skrupułu nie robił, dziś uznane za nieuczciwe i brzydkie, jeżeli się popełniają, to tylko pokryjomu, nieśmiało i ze wstydem. Widzi się także, że pod innemi względami nie ma postępu ni poprawy, że złe krzewi się tak bujnie lub bujniej jak przed wiekiem, że skutki jego są równie zgubne lub zgubniejsze, a przecież nikt sobie zeń „skrupułu“ nie robi, a kto je popełni, nietylko pewien jest, że mu to ujdzie bezkarnie i w ludzkim szacunku uszczerbku nie przyniesie, ale nieraz jeszcze przypisuje sobie zasługę i rachuje na wdzięczność ogółu.

Rzecz dziwna, że ów Wojewoda Ruski piszący dobrze jeszcze w pierwszej połowie zeszłego stulecia, pomiędzy grzechami przeciw społeczeństwu, z których nikt sobie skrupułu nie robi, położył na pierwszem miejscu grzechy, jak się wyraża „gazetarzy.“ Zdawałoby się, że to złe powinnoby być wyłączną własnością wieku dziewietnastego, w którym niesłychany wzrost publicystyki i jej znaczenia, obok korzyści sprowadzić musiał i szkody sobie właściwe. Tymczasem pokazuje się, że nierozwinięte jeszcze z pieluch dziennikarstwo ówczesne, musiało już nosić w sobie zaród wszystkich złych

skłonności i pokus przywiązanych do tego zawodu, kiedy trzeźwy umysł i czujne sumienie uczciwego i poważnego człowieka, już wtedy uczuły potrzebę wytknięcia i skarcenia jego zdrożnych zwyczajów.

Zarzuca tedy ów senator współczesnym gazetarzom, że: „racyami zwodzą *et imponunt publico,* i czy-„nią się bez żadnego prawa tłómaczami interesów Rze-„czypospolitej i niby ich sędziami, a impressye, które „oni fałszywie czynią szlachcie i żołnierzom, rozrywają „jedność w Polsce, czynią dywizye i rozdwojenia w lu-„dziach, i nie tylko kłamstwa są grzechem ale i prze-„dłużenia wojny domowej.“ Dodaje jeszcze, że „gazetarze“ nowiny fałszywe rozsiewają, wnioski fałszywe wyciągają, kłamstwa i potwarze piszą, a za złe sobie tego bynajmniej nie mają.

Jak pomyśleć, że przed stu tylko laty w Anglii, w kraju wtedy jak dziś najbardziej w Europie cywilizowanym, przekupstwo posłów w parlamencie było tak zakorzenionem w obyczaju, że nieraziło nikogo, a przed każdem ważniejszem głosowaniem odbywały się, z wiadomością całego świata, w gabinecie ministra formalne targi, z których przeciwnicy wynosili summy zastósowane do swego wpływu w Izbie, a zręczni faktorowie czasem i miejsca w samym rządzie Wielkiej Brytanii, nabiera się przekonania, że moralność publiczna postępuje, i nadziei, że tak jak dziś, żaden poseł nie śmiałby wobec świata swoim głosem handlować, tak za lat sto każdy będzie się wstydził uczynków, które dziś na jasnym dniu publicznie i bezkarnie wolno jest popełniać. A nadzieję tę postępu mamy i o publicystyce polskiej i europejskiej, która powołana do zadania równie wielkiego jak trudnego, nie zawsze czuje, że im większe zadanie,

tem większa i odpowiedzialność, że im zadanie trudniejsze, tem sumienie powinno być czujniejszem, tem sąd siebie samego winien być surowszym i bardziej „skrupulatnym.“

Nie mamy dotąd uznanego powszechnie kodeksu dziennikarskiej moralności; obyczaj jeszcze go nie wyrobił, a nie przyjmie innego tylko taki, który sam wyrobi. Kodeksa karne przestrzegają, jak zawsze, nie moralności ale formalnej tylko legalności, do której zastósować się nie trudno; ludzie, jak za czasów, kiedy Jabłonowski pisał *Skrupuł bez Skrupułu* znają i karcą wielkie przestępstwa prasy, ale na mniejsze jej zboczenia patrzą obojętnie lub pobłażliwie. Wszyscy wiedzą, że dziennik, który się komukolwiek sprzedaje za pieniądze tak jest wart szacunku jak istota ludzka, która sprzedaje czy to ciało swoje czy duszę; wszyscy wiedzą, że dziennik, który przysyła do przedsiębiorcy lub przemysłowca z tem oświadczeniem, że jeśli mu się nie opłaci, zniszczy jego kredyt i powodzenie, równa się rozbójnikowi, który na publicznej drodze przykłada przechodzącym pistolet do gardła. To wszyscy wiedzą i wszyscy potępiają; a jeżeli pomimoto dzienniki takie mają swoją publiczność, która im wierzy, to dowód przeciwko tej publiczności. Ale oprócz tych grzechów głównych dziennikarstwa, oszustwa, przekupstwa i rozbojów, są inne, powszednie, że tak rzekę, na które nikt nie zważa, których nikt nie karci, które nie szkodzą ani sławie ani wziętości dziennika, a jednak zbaczają daleko od uczciwości i nie zasługują na pobłażanie, bo i sumienie obrażają i społeczeństwu nieraz szkodę przynoszą.

Autor *Skrupułu* dość trafnie, zdaniem naszem, określa te grzechy i ich skutki. Podciąga on pod tę rubrykę kłamstwo i rozszerzanie fałszywych wieści, wyciąganie fałszywych wniosków, i ogłaszanie ich za prawdę, potwarz i oszczerstwo, bałamucenie opinii co do osób czy co do rzeczy, a wreszcie zwodzenie publiczności i przypisywanie sobie wyłącznego prawa sądzenia i bronienia rzeczy publicznej. Te są grzechy: a skutki ich są, że „czynią dywizye i rozdwojenia między ludźmi i przedłużają wojnę domową.“

Nie wiem czy jest w tym opisie rys choć jeden, któryby dziś jeszcze, może zwłaszcza dzisiaj, nie dał się zastósować do dzienników i dziennikarzy. Weźmy zarzut pierwszy, rozsiewanie fałszywych wieści. Pamiętamy z niedawnej przeszłości jak odmiennie od rzeczywistości wyglądały w dziennikach potyczki z roku 1863, a choć możemy sobie przyznać, że ta przesada była wówczas poczęści usprawiedliwioną, to przyznać musimy, że się na nas pomściła srodze, bo była w znacznej części przyczyną owej tak smutnie zakończonej i tak fatalnej w skutkach interwencyi dyplomatycznej. Wyciąganie fałszywych wniosków, fałszywe przedstawianie osób i rzeczy, poprostu mówiąc potwarz i oszczerstwo, są nieledwie grzechem codziennym naszego dziennikarstwa. Zacząwszy od przytoczonej niedawno w naszem piśmie starej bajki o bytności ks. Adama Czartoryskiego na balu u ambasadora rosyjskiego, skończywszy na nowej bajce o bytności ks. Kajsiewicza i Semenenki u rosyjskiego Wielkiego Księcia, przejść można całą skalę bajek i potwarzy podobnych, zmyślonych na każdego, kto tylko w życiu publicznem wystąpił, a zwłaszcza, kto w niem znaczniejsze zajął stanowisko. Dość przy-

pomnieć, że kiedy delegacya sejmowa bawiła w Wiedniu, daleko częściej posądzano ją o osobiste widoki i korzyści, czyli o przekupstwo pod jakąbądź formą, aniżeli jej wytykano niepolityczne lub niezręczne w danym razie postępowanie! I oto jest grzech dziennikarski, który reasumuje w sobie niemal wszystkie dotąd wyliczone: rzucić posądzenie! Kiedy kto jest naszym przeciwnikiem lub nieprzyjacielem, nie próbujemy pokazać jemu ani drugim, że i w czem się myli: wybieramy drogę krótszą i łatwiejszą. Mówimy, że co robi, robi za pieniądze, albo za order, albo za obietnicę stanowiska, albo za nadzieję władzy: rzucamy posądzenie, i w tym jednym uczynku zamykamy kłamstwo, potwarz, fałszywą wiadomość, fałszywy wniosek, i zwodzenie tego czytelnika, któremu jednak winniśmy prawdę.

Do tego przystępuje zwyczaj drugi, który Jabłonowski opisywał jako przypisywanie sobie wyłącznego prawa sądzenia i bronienia spraw Rzeczypospolitej, a który jeden ze współczesnych, towarzysz nasz w redakcyi tego pisma, nazwał niedawno sykofanctwem i monopolem na patryotyzm. Dwie te definicye wychodzą na tosamo i oznaczają fakt równie brzydki jak często w ostatnich czasach powtarzany — fakt, który jeżeli co daj Boże nieokaże się przemijającym, będzie symptomatem głębokiego u nas moralnego upadku. — W Galicyi, najswobodniejszej dziś z polskich krajów, gdzie wszystko pisać i drukować wolno, doszło to złe do tego stopnia, że nikt nie może być pewnym dzisiaj, czy jutro nie zostanie ogłoszonym za złego Polaka. Wystarcza głosować nie podług myśli tego lub owego dziennika, wystarcza zganić co on popiera, lub pochwalić co gani, żeby jutro plunął ci ktoś w oczy, że zasklepiony

w galicyjskim konserwatyzmie, czy jak nazywają patryotyzmie, nie dbasz o Polskę, nie jesteś Polakiem. Mówić to tem łatwiej, ale też tem nikczemniej, że człowiek, który dzisiejszy stan rzeczy, jako jedyny rzeczywisty przyjmuje i z niego do lepszego dobywać się myśli, nie będzie dla własnej obrony szermował protestacyami o niepodległości Polski; usta ma zamknięte temsamem, że stan dzisiejszy przyjął, i będzie wolał zostać pod bolesnem i niesłusznem oskarżeniem, jak oczyszczając siebie, odstąpić drogi, na której widzi jedyną możliwość zbawienia. To odsądzanie od polskości, to oskarżanie o brak patryotyzmu przez jakieś samozwańcze i samowładne trybunały, stało się istnem obłąkaniem, pada na ludzi, na pisma peryodyczne, na korporacye, trafia we wszystkich i we wszystko: a gdy się widzi, że wyborcze i niewyborcze zgromadzenia uchwałami swojemi przepisują sejmowi jak ma politykę kraju sprawować, przypuścić można, że dożyjemy jeszcze dnia, w którym jaki dziennik lub zgromadzenie i sejm o brak publicznego ducha posądzi i obwini.

O moralnej wartości, o patryotycznej zasłudze, wreszcie o politycznej stósowności i skuteczności tego monopolu mówić nietrzeba. Kto ma zmysł polityczny trafny, a zmysł moralny nie spaczony, temu tłómaczyć zbytecznie: kto go nie ma, tłómaczyć mu byłoby daremnie. Wspomnimy więc tylko o skutkach. Skutki te są znowu takie, jak je Jabłonowski opisuje. „Fałszywa impresya“ zrobiona szlachcie i żołnierzom podówczas, dziś całej czytającej publiczności, rozszerza się i fermentuje jak kwas: nieufność, podejrzliwość, zaraża coraz szersze koła; nie wszyscy prawda wszystkiemu o wszystkich wierzą, ale wierzą bodaj niektórym rzeczom o nie-

których ludziach, a widząc, że więcej jest oskarżonych jak wolnych od zarzutu, zaczynają podejrzywać wszystkich. Ten nie Polak, ten inny zaprzedany, ta instytucya spróchniała, ta inna wprost szkodliwa, komuż tu wierzyć, kogo szanować? Powstają „dywizye i rozdwojenia,“ nieufność wszczepia się jak jad w umysły, „przedłuża tę bezkrwawą wojnę domową,“ w której żyjemy od roku 1830, i rozbija do reszty społeczeństwo, w którem nikogo nie zostawiono czystym, nikogo pewnym, nikogo Polakiem. Bo niech wiedzą ci sami, którzy na drugich posądzenia rzucają, że jeżeli uda im się zmieść z placu wszystkich tak, że sami zostaną, to niebawem znajdą się inni, którzy tejsamej broni użyją przeciw nim, i pochwyciwszy w rękę monopol patryotyzmu, ich znowu przelicytują i zepchną. Prawo o podejrzanych wynalezione początkowo na nieprzyjaciół Terroru, sprawiedliwą zemstą godziło pod koniec w swoich wynalazców.

Jakaż więc jest ta miara sumienności, jaka reguła, której trzymać się winny dzienniki w swoich stosunkach między sobą i z czytającą publicznością? Wszak każdy dziennik mający swoje przekonanie, odpowiadający jakiemuś odcieniowi opinii w narodzie, ma prawo i obowiązek bronić swojego przekonania i stronnictwu swojemu pomagać do zwycięztwa. W wykonywaniu tego prawa musi się zderzyć z takiemsamem prawem drugiego, a wtedy walki uniknąć ani może, ani powinien. Przekonanie swoje ma za prawdę, za jedyny środek ratunku i zbawienia; spotkawszy na swojej drodze to, co sądzi być fałszem i zgubą, musi przeciw temu wystąpić, musi oskarżać, musi przekonać a przynajmniej przekonywać, że ma prawdę, a przeciwnik zgubne zasady i pojęcia fałszywe.

Tak jest. To prawo i ten obowiązek ma każdy dziennik; ale jeżeli słuszna jest, żeby go pilnie przestrzegał, to niemniej także, żeby go wykonywał sumiennie. I tu natrafiamy właśnie na ową regułę dziennikarskiej sumienności, która zamyka się cała w dwóch słowach: mówić prawdę! Mówić prawdę, to znaczy nietylko fałszywych wieści nie wymyślać, ale niedostatecznie sprawdzonych nie rozszerzać; mówić prawdę, to znaczy sądem jaki się o fakcie wydaje nie zmieniać jego natury, i nie przedstawiać go w świetle sztucznem i fałszywem; mówić prawdę, to znaczy słowa drugiego tak rozumieć jak on je rozumiał, a nie przekręciwszy i podsunąwszy im inne znaczenie, dopiero je zbijać i potępiać; mówić prawdę wreszcie o drugim, to znaczy skarcić jego zły uczynek jeżeli jest, zbić jego przekonanie jeżeli można, ale nie domyślać się na niepewne jego uczuć, i na mocy tych domysłów wydawać o nim wyrok. Takie są prawidła dziennikarskiej uczciwości. Proste są, krótkie i powszechnie znane. Niejeden zdziwiłby się lub oburzył, gdyby uwagę jego ktoś na ich ścisłe przestrzeganie zwrócić się ośmielił; istotnie dla teoryi są one rzeczą już dawno nabytą. W praktyce tylko bywają niekiedy *pium desiderium*.

Jeżeli wyżej wyraziliśmy nadzieję, że za lat sto nie będzie w Europie dziennikarza, któryby się nie wstydził popełnić któregokolwiek z tych grzechów powszednich, to wyznać trzeba, że za dni naszych rzeczywistość dość od tych nadziei daleka; że zdrożności tych nikt prawie za złe sobie nie bierze, że są one skrupułem, z którego nikt sobie skrupułu nie robi, czyli, że jeszcze do owej książeczki wrócimy, że są „skrupułem bez skrupułu.“

W ostatnich czasach zły ten nałóg objawił się kilka razy w sposób bardzo jaskrawy. Objawiał się niemal systematycznie z powodu delegacyi, której zarzucano nie już niezręczność lub niedołężność polityczną, ale niewolniczą uległość i osobiste widoki, czyli innemi słowy, nie polityczne postępowanie ludzi publicznych ganiono, ale szarpano charakter prywatny i osobistą dobrą sławę tych, którzy w szczególną popadli niełaskę. Jeszcze jaskrawiej może objawiła się tasama niesumienność w świeżej i każdemu pamiętnej sprawie księży Zmartwychwstańców, na których ktoś skłamał, że wyciągali zapisy testamentowe a innych prawym właścicielom nie oddawali, i że znosili się z Wielkim Księciem rosyjskim, a kłamstwo to powtórzyły trzy (na cztery) dzienniki polityczne w Galicyi, i jeden (na jeden) w W. Księstwie Poznańskiem. Gdyby kto tym dziennikom powiedział, że w ciągu swego istnienia wykroczyły przeciw uczciwości i przeciw honorowi, podniosłyby wszystkie wielki okrzyk oburzenia i zgrozy, a jednak, z ręką na sercu, który z nich powie, że uczciwość i honor pozwalają wymyślać potwarze lub wymyślone drukować dlatego tylko, że ze słusznych lub niesłusznych powodów nie lubi się tego, kto był tej potwarzy celem? A jeżeli w prostocie ducha i dobrej wierze, o czem powątpiewać nie chcemy, wydrukowano to kłamstwo za prawdę, to znowu najprostsze uczucie uczciwości i honoru nakazywało wyprzeć się tego fałszu i pokrzywdzonym zadośćuczynić. Od chwili kiedy do wiadomości tych dzienników doszło, że w tej sprawie zmyślono aż do nazwisk tych naocznych świadków, którzy to niby widzieć mieli księży polskich u Wielkiego Księcia, od chwili gdy znany im był list skrzyw-

dzonego niby przez tychże księży pana Sosnowskiego, wzgląd na siebie samych nakazywał im wycofać się z tej sprawy i oświadczyć, że były w błąd wprowadzone. Tak w razach podobnych postępować będą dzienniki za owe lat sto, kiedy wyższe pojęcie własnego i ludzkiego szacunku nakaże im wystrzegać się „małych grzechów powszednich.“

Innego znów powodu do wybuchu tychsamych lub pokrewnych wad naszego dziennikarstwa, dostarczyło znalezienie zwłok Kazimierza Wielkiego. Gdyby chodziło o zabójstwo żywego lub znieważenie zmarłego Kazimierza, trudnoby zdołano dać oburzeniu wyraz głośniejszy i więcej patetyczny. Piorunującym artykułom wtórowały protesta podpisywane po miejscach publicznych, a rozlepione po rogach ulic plakaty wzywały uczciwych ludzi, żeby pomścili świętokradztwo. Tymczasem owo znieważenie zwłok Kazimierza i rozszarpanie jego pamiątek, zredukowane do naturalnego i prawdziwego swego wyrazu, kończyło się na tem, że zwłoki i pamiątki z uszanowaniem i nie cichaczem wcale z grobu dobyte, z czcią złożone zostały do trumny, a dwa podobno guziki od sukni przechowywać się miały w katedralnym skarbcu. Przypuściwszy nawet, że popełniono przy tej czynności jakąś niewłaściwość (było nią istotnie przepomnienie prezydenta miasta), to czyż niewłaściwość taka, nawet umyślna, a umyślną nie była, zasługiwała na to, aby ją okrzyczeć jak zbrodnię, żeby przeciw niej protestować jak przeciw publicznemu zgorszeniu? Dobry to przykład tego niesumiennego przekręcania faktów i dowolnego zmieniania ich natury, dobry przykład tej przesady, która nie waha się z małej rzeczy zrobić wielką, nie waha się rzecz wystawić fał-

szywie a ludzi niesprawiedliwie oskarżyć o złe, którego nie popełnili, byle dogodzić własnym niechęciom, uprzedzeniom lub urazom, byle samemu stanąć o tyle wyżej, o ile drugiego poniżyć się uda. Przekręcać fakta i opisywać je inaczej niż się miały, udawać zgrozę tam, gdzie do niej powodu nie było, użyć przesady, żeby drugiemu w ludzkiem mniemaniu zaszkodzić, a samemu przez to wydać się lepszym od niego, może to zręczność i biegłość, ale to ani prawda ani uczciwość.

Najpóźniej, lecz nie najmniej jaskrawo, występowały tesame przywary przez cały ciąg ostatniego miesiąca z powodu lipcowego zeszytu naszego pisma. Możemy śmiało powiedzieć, że nie ma obelgi, którejby koledzy nasi w dziennikarstwie nie byli na nas napisali. Dziennik Warszawski i umizgi do policyi lub do rządu austryackiego, wyparcie się Polski i denuncyacye, tchórzostwo i podłość, zarzucano nam wszystko: i skazując nas na wzgardę publiczną, upominano nawet wyborców, żeby jednemu z naszego grona odebrali mandat poselski, skoro należy do pisma, które „przynosi wstyd imieniowi polskiemu.“

Nieradzi zabieramy głos w tej własnej sprawie. Przed ludźmi dobrej wiary, przed tymi, którzy znają nas i nasze pismo, bronić się, pochlebiamy sobie, nie potrzebujemy; umyślnie zaślepiających się i zaślepionych przekonać nie zdołamy. Łatwiej też i odważniej broni się drugiego jak siebie, bo obrona własna, już przez to samo że własna, wydaje się zwykle stronniczą. Toteż przez czas dość długi czytaliśmy spokojnie wszystkie miotane na nas oskarżenia i obelgi z mocnem postanowieniem, żeby ich ani jednem słowem odpowiedzi nie zaszczycić. W końcu jednak nasunęła nam się uwaga,

że nie jesteśmy w tem piśmie sami, że po za redakcyą liczy ono wielu łaskawych współpracowników, którym zawdzięcza część może największą swojej wartości i tej jaką się cieszy wziętości. Mająż więc ci zostawać pod oskarżeniem, że prace swoje ogłaszają w piśmie, które przynosi wstyd imieniowi polskiemu i równa się z Dziennikiem Warszawskim? Maż na czytelników, którzy to pismo od początków jego istnienia wspierają, padać ten cień, że utrzymują pismo nikczemne? Nie: jednym i drugim winniśmy obronę *Przeglądu:* a gdy prócz *Czasu,* który się za nami ujął, i który niech zechce przyjąć tu od nas wyraz szczerej wdzięczności, i prócz *Gazety Toruńskiej* mało w kraju naszym rozpowszechnionej, wszystkie inne dzienniki chórem przeciwko nam wystąpiły i nie ma tego, któryby nas chciał bronić, musimy obronę tę acz niechętnie prowadzić sami, i powiedzieć na jakiej to podstawie wydano na nas takie wyroki. Przykro nam, że osobistą sprawą musimy nudzić czytelnika, ale pocieszamy się tem, że sprawa ta choć osobista, nie jest ogołoconą ze wszelkiej nauki i z praktycznego przystósowania.

Od pewnego już czasu widocznem było, że *Przegląd* naraził się na niełaskę swoich codziennych kolegów w dziennikarstwie. Zauważyliśmy to po raz pierwszy, gdy współpracownik nasz pan Koźmian, parę miesięcy temu oświadczył się w kronice miesięcznej bardzo stanowczo za pozostawieniem delegacyi w Radzie Państwa i za wystrzeganiem się wszystkiego, coby zmierzało do zmiany istniejącej konstytucyi na drodze innej jak ta, którą sama ta konstytucya zostawia otworem. Oświadczenie to ściągnęło na nas zarzut konserwatyzmu (grzechu, który ani w tem ani w przyszłem życiu odpuszczo-

nym być nie może), i zarzut, że w serwilizmie względem rządu, w obojętności na dobro kraju, w niechęci dla sprawy narodowej, zaszliśmy dalej niż ktokolwiek przed nami. Zrazu jednak było to oskarżenie, jak każda kalumnija kiedy się zaczyna, *un venticello, un'auretta assai gentile.* Ale kiedy w tymsamym mniejwięcej czasie zjawiła się w *Przeglądzie* bezimienna publikacya, która pod tytułem *Teki Stańczyka* przechodzi koleją różne typy zdarzające się w naszem społeczeństwie, i wady ich lub niedorzeczności wyszydza i karci, wtedy łagodny zefirek zamienił się na prawdziwy szturm *che fa l'aria rimbombar,* i który jak echo w górach odbijając się coraz dalej, odnosi *al meschino calunniato* coraz nowy i coraz bardziej piorunujący odgłos potwarzy, która radaby wmówić w siebie, w nas i w publiczność, że jest owem *pubblico flagello,* pod którem zawstydzonym i zdeptanym nie pozostaje nam nic innego jak *„crepar“.* Że autor owej *Teki,* redakcyi tak jak i publiczności nieznany, nie oszczędza nikogo, i że redakcyi także bezstronności w tej sprawie odmówić nie można, dowód jest najlepszy, że autor w jednym ze swoich listów powiedział *Przeglądowi* samemu rzeczy wcale przykre, a *Przegląd* wydrukował je bez wahania. Zdaje się jednak, że ta bezstronność, na którą nie każde może pismo byłoby się w tymsamym stopniu zdobyło, nie zasłużyła na wzgląd u naszych dzienników i *Przeglądowi* za obronę nie starczyła, skoro wyrzuty i oskarżenia posypały się nań jak grad. Bezimienny i bezbożny Stańczyk wyprowadził raz na scenę kobietę, która lekkomyślnie miesza się do polityki, bo znajduje w niej sposobność do silnych wrażeń i przyjemne zaspokojenie swojej próżności. Że typ ten trafia się u nas, i że jest

i śmieszny i niepotrzebny, temu nikt zapewne nie zaprzeczy. Przecież, skoro się on w *Tece Stańczyka* ukazał, znalazł swoich rycerzy, którzy z tytułu, że owa kobieta polityczna gotowała się do pewnej roli (komicznej) w zamierzonym obchodzie Unii lubelskiej, zarzucili nam, że poniewieramy najświętsze w narodzie czyny, uczucia i pamiątki, że bluźnimy przeciwko Unii! Ile w tym zarzucie słuszności i dobrej wiary, zostawiamy sąd każdemu: ale nie na tem koniec. Z kolei obrał autor Stańczyka za cel swoich uwag i pocisków typ inny, typ awanturnika politycznego, któremu słaba zdolność, płytki rozum, i wstręt do pracy, nie pozwalają znaczyć w społeczeństwie, a któremu nieograniczona próżność nie daje poprzestać na tej zwykłej mierze zasługi i znaczenia, na tym szczupłym zakresie działania, jaki Bóg wyznacza nieskończonej większości swoich stworzeń. Człowiek taki zły na siebie, gorszy na społeczeństwo, szarpany boleśnie niepogodzoną nigdy sprzecznością pomiędzy siłami swemi a uroszczeniami, między tem czego mu się zachciewa a tem na co stać jego skąpo wyposażoną naturę, niepokoi się ustawicznie i pożąda zmiany, bo spodziewa się, że jak się wszystko do góry nogami przewróci, on samym faktem tego przewrotu bez trudu i pracy, znajdzie się na miejscu odpowiedniejszem jego próżności i wysokiemu rozumieniu o sobie. Ludzie tacy są wszędzie, w każdym kraju i narodzie, i w każdym są plagą. U nas o tyle niebezpieczniejsi, że w dobrej nieraz wierze mieszają uczucia dobre z temi fałszywemi aspiracyami, że niechęć do wszystkiego i do wszystkich barwią przed sobą i przed drugimi miłością ojczyzny. Przewrót, którego pożądają, zrasta się tak w ich pojęciu z powstaniem i niepodległością Polski, że często

sami przekonani są, że sprężyną ich działania jest ojczyzna, kiedy jest nią miłość własna lub nienawiść drugich. Człowiek taki wiecznie niezadowolony, wiecznie niespokojny, widzi zgubę lub zdradę ojczyzny we wszystkiem co jest i co trwa, gotów zawsze do spisku, przemyśliwa zawsze o powstaniu i rewolucyi, a kiedy rozum i wytrawność polityczna nie stawiają mu zapory żadnej, usprawiedliwia go nawet sumienie, złudzone tą miłością ojczyzny, którą człowiek ten ma częstokroć w sercu rzeczywistą, ale zaćmioną przez próżność, i wyzwoloną zupełnie z pętów rozsądku i przesądów rozumu.

Że ten typ berozumnego a często i bezsumiennego fałszywego patryoty istnieje u nas na nieszczęście, temu nikt nie zaprzeczy. Niedawne czasy, kiedyśmy go wszyscy zbyt często spotykali. Że jest szkodliwym sprawie, o tem sądziliśmy, że nikt już wątpić nie będzie. Pokazało się jednak inaczej. Musi snać ten rodzaj ludzi cieszyć się pewnem u nas wzięciem i zaufaniem, kiedy wymierzona jemu nagana wywołała taki chór oburzenia. Ze wszech stron naraz podniosło się głośne i namiętne „*Tolle*“ przeciw autorowi listu, i przeciw pismu, które list ten wydrukować śmiało. Jeden wołał, że denuncyujemy przed policyą emigrantów i domagamy się ich wypędzenia z Galicyi, drugi, że zastępujemy w kraju *Dziennik Warszawski*, trzeci, że emigracyę oskarżamy o złodziejstwo publicznego grosza i o to, że w każdej służbie publicznej widzi tylko łatwość takiej kradzieży, jeszcze inny mówi, że jesteśmy konserwatystami dla miłości Rosyi i Bismarcka, jeszcze inny, że w każdym objawie życia narodu widzimy zgubę, a zbawienia wyglądamy tylko od wygodnego i niezmiennego *statu quo*.

Zkądże to, i za co? Gdzie powód, gdzie pozór przynajmniej do takich oskarżeń? który to z nas i kiedy sprzeniewierzył się sprawie polskiej? który i kiedy zasługiwał się władzom lub podchlebiał ministrom? który i kiedy szkodził wygnańcom i wskazywał ich na nowe wygnanie? Żaden i nigdy: wiedzą o tem wszyscy, a nie gorzej od innych wiedzą ci, którzy nas udają za służalców i denuncyatorów. Ale powie kto: wszakże wydrukowaliście list, w którym stało wyraźnie, czarno na białem, że „ludzi naszych z wygnania zwabiamy (do rewolucyi) głównie nadzieją kas narodowych". — Czyż to nie dowód, czegóż jeszcze szukamy świadków, wszak oto zbluźnił, słyszeliście wszyscy! Tak jest, wydrukowaliśmy, i gdyby powtórzyć się dało, wydrukowalibyśmy raz jeszcze; tylko prosimy, żeby każdy pamiętał a nikt nie zatajał o kim to było napisane i do kogo się ściągało. Czy może kto twierdzić, że nie ma u nas, i w kraju i w emigracyi awanturników politycznych i spekulantów patryotyzmu? Czy śmie kto powiedzieć, że dla takich jednym z powabów mętnej wody nie jest to, że w niej połów łatwiejszy? Takim człowiekiem był i o takich pisał ów zmyślony Optymowicz Stańczyka. Jeżeli kto takich ludzi nie widział, winszujemy mu szczerze i zazdrościmy, że nie widział tego co jest najbrzydszem w naszem społeczeństwie; jeżeli kto nie uważa ich za złych i szkodliwych, ten dowodzi tępego wzroku i tępego zmysłu moralnego; ale jeżeli kto twierdzi, że ludzi takich nie wolno karcić dla tego, że się skryli pod krwawe szmaty królewskiego płaszcza Polski, jeżeli kto twierdzi, że przybytek ojczyzny ma być tem średniowiecznem asylum, w którem przekupnie i złoczyńcy kryć się mogą bezpiecznie i bezkarnie, a nikomu ich tam

2*

szukać, nikomu dojrzeć, nikomu potępić nie wolno, bo znieważyłby sam przybytek, temu chyba nie o czystość, nie o świętość przybytku chodzi, ale o przywilej nietykalności dla występku! Przykro nam, jeżeli który z emigrantów uczciwych i godnych uczuł się urażonym wydrukowanemi przez nas słowami i brał je do siebie lub sobie podobnych współwygnańców, ale powiedzieć mu możemy tylko, że je źle czytał lub źle rozumiał. A tym, którzy godną podziwienia sofistyczną sztuką ze słów owych wyciągnęli oskarżenie emigracyi i ogłosili nas za denuncyantów, tylko powiemy, że im tej zręczności zaprawdę nie zazdrościmy, i że gdyby nawet gorsze jeszcze oskarżenie na nas wymyśleć potrafili, nie przestaniemy potępiać kierunków i usiłowań, które mamy za szkodliwe i zdrożne, nie przestaniemy mówić, że nie ma nic gorszego, jak awanturnicy polityczni i Faryzeusze patryotyzmu, bo mamy to za swój obowiązek jako uczciwi ludzie, jako Polacy, i jako wydawcy publicznego pisma.

Taki był przebieg faktu, polegający w naciągniętem tłómaczeniu i przekręceniu myśli, z którego dziennikarstwo dzisiejsze tak mało robi sobie skrupułu. Ale jakiż był powód tych gniewów, tych nienawiści, tych zarzutów i tej zemsty? Musiała przecież zachodzić jakaś potrzeba fałszywego wytłómaczenia słów umieszczonych w *Przeglądzie* i wyciągnięcia z nich fałszywego świadectwa i fałszywego oskarżenia?

Poszukajmy tego powodu.

List Stańczyka, w którym Optymowicz rozwijał swoją teoryę o nieprzerwalności powstania, zbiegł się w tymsamym zeszycie naszego pisma z artykułem pana Szujskiego o znalezieniu zwłok Kazimierza Wielkiego

i z kroniką miesięczną pana Koźmiana, której myśl i treść była ta, że polityka agitacyi i demonstracyi jest naprzód czcza, a powtóre, że jest niebezpieczna, bo prowadzi do skutków, które się naprzód obliczyć nie dadzą, do skutów sięgających częstokroć o wiele dalej, aniżeli sięgał zamiar tych, którzy w tej polityce brali inicyatywę. Jeden i drugi z tych artykułów rozgniewał nasze dzienniki, a dodany do grzechów Stańczyka i do bluźnierstwa przeciw Optymowiczowi, podniósł tę burzę, która się dotąd nie uspokoiła. Strzały i gromy nie padają na Stańczyka samego, gniewy i obelgi nie odnoszą się do niego tylko, ale do *Przeglądu*, jako takiego, i do tej drogi postępowania, której on się trzyma i broni. Jesteśmy zdaniem naszych kolegów w dziennikarstwie, konserwatystami naprzód (ma się rozumieć), jesteśmy alarmistami, którzy dzwonią na gwałt bez powodu, jesteśmy tchórzami, których szelest liści przeraża, jesteśmy wreszcie denuncyatorami, jesteśmy grabarzami rozmiłowanymi archeologicznie w „śmiertelnej duszy Polski“ i chcącymi zrobić z niej mumię, grabarzami Polski i nieprzyjaciółmi jej niepodległości, bo „rok 1863 straszy nas jak zmora i zasnąć nam nie daje“.

Otóż prawdziwy powód gniewów i oskarżeń. Nie chcemy demonstracyi i manifestacyi! tego ulubionego środka partyi, która się uważa za partyę demokratyczną i za partyę ruchu: a nieudanych powstań boimy się jak ognia. Że tak jest, to prawda. Dlaczego tak jest, mówiliśmy już nieraz; ale skoro potrzeba, powtórzymy raz jeszcze.

Demonstracya, mówią niektórzy, to objaw uczuć narodu, to dowód jego życia. Dla kogo ten dowód i po co? Słyszeliśmy o pewnej osobie umierającej, która

czując, że życie uchodzi, kazała się kłuć szpilkami w rękę, żeby się przekonać, czy jeszcze czuje i żyje. U umierającej było to dowodem wielkiej zimnej krwi i przytomności umysłu; u żywego, tosamo byłoby szaleństwem, bo jeżeli wie, że żyje i czuje, to nie potrzebuje w ten sposób tego doświadczać. Gdyby więc demonstracye i manifestacye były istotnie objawem i dowodem życia, byłyby zbyteczne tam, gdzie tętno życia bije pomimo wszystkiego tak silnie, że czują go i swoi i obcy. Ale dowodem takim nie są: bo nie dowodzą ani siły, ani woli, ani rozumu, ani zapału, ani żadnej ze szlachetnych życia oznak i własności, tylko dowodzą co najwięcej nerwów, i na nerwy też tylko działają. Łudzą one pozorną odwagą, pozorną jednością, pozornem zaspokojeniem narodowego uczucia, ale nazajutrz nie zostawiają nic oprócz jakiejś próżni w wyobraźni, jakiegoś rozstrojenia nerwów: a jak u człowieka, który się pić przyzwyczaił, niesmak po przepiciu da się usunąć nowem tylko upiciem, tak i ta pozostała w wyobraźni próżnia, to rozstrojenie nerwów daje się tylko zapełnić i uspokoić nową dozą środków ekscytacyjnych. Ale w ten sposób swój system nerwowy zaostrzać i drażnić nie jest bezpiecznie, bo w ciele społecznem jak w ciele fizycznem skończyć się to może na *delirium tremens*. To w ogólności, w zasadzie, jako reguła powszechna dla wszystkich krajów, wieków i społeczeństw. A dla nas w szczególności jest to o tyle niebezpieczniejszem, że nic łatwiejszego jak ludność wprawioną w usposobienie nerwowe pociągnąć do wybryku, który na kraj cały może sprowadzić skutki najgorsze. Oskarżają nas o przesadę, o strach, o kłamstwo; nieszczęściem fakta stwierdzają aż nadto prawdopodobieństwo naszych obaw. Kiedy

wykryło się nadużycie popełnione w jednem z klasztorów krakowskich, ludność pod wpływem oburzenia posunęła się do niesłusznych jego objawów, do odgrażania się przeciw wszystkim klasztorom i szturmowania do niektórych. Wojsko musiało wystąpić i pilnować, żeby nie doszło do jakiego aktu złej i zgubnej zawsze *Lynch-Justice.* Jestże to stan normalny, stan, jaki być powinien? A teraz zważmy, że litość i oburzenie nię są najsilniejszemi z ludzkich uczuć, nie są temi, które najbardziej drażnią nerwy i rozpalają głowy. Jeżeli pod wpływem tych uczuć ludność posunęła się do ekscesu, czyż nie dałaby się do niego porwać łatwiej jeszcze, jeżeliby w rozmarzoną demonstracyami wmówiono, że wymaga tego po niej miłość Ojczyzny? Nie zrobi tego *Kraj* ani *Dziennik Lwowski?* dobrze, ale też żaden z nich nie przeszkodzi ajentom i prowokatorom, żeby zrobili i sprowadzili obrót rzeczy nieprzyjaciołom naszym wielce pożądany i pomyślny. Robiąc demonstracye i urządzając obchody nie chcecie burd ani starć z władzami? wierzę, ale chcący lub niechcący sprowadzić je możecie, (zbiegowiska w Krakowie mogą każdemu dać wiele do myślenia), a za tem starciem możecie sprowadzić skutki, których zapewne nie pragniecie.

Powiedzmy sobie raz prawdę otwarcie. Jeżeli wszyscy tak w istocie zasadzamy przyszłość Polski i jej politykę na porozumieniu z Austryą, jakto wszyscy głośno mówimy, jeżeli przywiązujemy pewne nadzieje do wojny, którą między tem Państwem a Rosyą w przyszłości przewidywać można, to miejmyż tyle politycznego rozumu i taktu, żeby nie robić demonstracyi, które przez obcych ajentów łatwo wyzyskane i przemienione w burdę, sprowadziłyby nam i stan oblężenia, i nowy, na pewien

przynajmniej przeciąg czasu, rozbrat pomiędzy Austryą i Galicyą, między Austryą i Polską. Miejmyż ten rozum, ten takt, i tę sumienność względem naszej własnej sprawy, żeby przedwczesnemi manifestacyami nie zmuszać rządu do wypierania się głośno i urzędownie tych objawów polskiego ducha, i polskiej płochości. Jak okoliczności dojrzeją, jak owa wojna będzie nieunikniona i pewną, wtedy manifestujcie; ale dziś nie poświęcajcie istotnych warunków narodowej przyszłości dla jej marnych pozorów. Jeżeli zaś ten kierunek polityczny oparty na łączności austryackich i polskich interesów, mamy za fałszywy i z dobrem Polski niezgodny, jeżeli dzisiejszy pomyślniejszy stan Galicyi mamy za niebezpieczny dla polskiego ducha tej prowincyi, jeżeli, a i to się trafia, mamy w najwyższej pogardzie jej instytucye i względne swobody, w takim razie logicznie robimy, że nie wahamy się narazić na starcie i zerwanie z rządem: ale w takim razie także powinniśmy mieć tę odwagę, żeby politykę tę naszą jasno określić i wyraźnie wypowiedzieć.

Ale, zawoła kto sentymentalnie, jakże więc mamy milczkiem święcić najdroższe rocznice, jakże mamy nie uczcić wielkich ludzi przeszłości? „Wszak Francya — mówi *Kraj* — czci swoją Dziewicę Orleańską, Hiszpania Ferdynanda i Izabellę, Włochy swoich Medyceuszów, Ameryka swego Washingtona“, a nam nie wolno uczcić Kazimierza Wielkiego lub Unii Lubelskiej?

Naprzód nie możemy zataić pewnego zdziwienia na widok tego kadzidła, które dziennik, który się rad za postępowy i liberalny uważa, pali na cześć Medyceuszów i króla Ferdynanda. Zdradza to pewną jeszcze niezupełność historycznych studyów tego dziennika, grzech młodości i niewiadomości, który zasługuje na wszelkie

pobłażanie, ale z którego poprawić się trzeba, skoro już nieszczęście chce, że traktując o polityce trzeba zawadzić nieraz i o historyę. Powiemy więc mimochodem i po przyjacielsku naszemu koledze, coby mu powiedzieć mogła pierwsza lepsza historya Włoch i Hiszpanii, nawet pierwsza podręczna książka dla szkół gimnazyalnych, że ani Hiszpanie w Ferdynandzie, ani Włosi w Medyceuszach nie widzą swoich narodowych bohaterów. Hiszpania zgodnie z historyą uważa swego Aragończyka za jednego z protoplastów i za jeden z najzupełniejszych typów tych monarchów przebiegłych i ogołoconych z sumienia, którzy umieli zniweczyć wszystkie w swoich krajach swobody, i na ich gruzach założyć władzę absolutną, która w całej niemal Europie dotrwała do połowy naszego wieku. Hiszpania zgodnie z historyą twierdzi, że Ferdynand założył te fundamenta, na których stanęła później „Monarquia“ Karola V i Filipa II, i do niego odnosząc początek wszystkich swoich wiekowych nieszczęść i upadków, za bohaterów uważa tych Katalońskich i Arragońskich powstańców, którzy praw dawnych bronili przeciw Ferdynandowi i jego wnukowi. Włosi uznając zasługi położone przez Medyceuszów około sztuk i nauk, przypisują im nieledwie w największej części winę upadku Rzeczypospolitych włoskich, i trzechsetletniego swego poniżenia. Utrzymują oni, że ród ten ambitny i chytry, ród mecenasów, lubowników i znawców włoskich obrazów, greckich rzeźb i manuskryptów, konsekwentnie dążył do ujarzmienia swego ojczystego miasta, dopóki celu nie dopiął. Zrazu nęcił i przyciągał umysły, starał się o popularność pozorami obywatelskiej równości: później gdy uczuł się silniejszym, pochwycił władzę urzędownie i otwarcie. Wygnany, dopóty łączył

się z obcymi najezdnikami, dopóki z mitrą na głowie nie zasiadł na wielkoksiążęcym tronie Florencyi; i wskutku tego Włochy i historya, zamiast czcić Medyceuszów jak bohaterów, datują od nich upadek włoskiej niepodległości. To wszystko w nawiasie, dla obrony historycznej prawdy przeciw niedokładnym nocyom liberalnego organu, który imiona te wymawia jednym tchem z imieniem Joanny d'Arc i Washingtona. A teraz wróćmy do owej zaprzeczonej niby przez nas wolności i słuszności czczenia wielkich ludzi i pamiątek. Wolności tej nie przeczymy, czci tej nie ganimy; żądamy tylko, żeby ta cześć była prawdziwa i uczciwa. I pytamy, czy podejrzenia i oskarżenia rzucone na komisyę archeologiczną lub na konserwatora starożytnych zabytków, czy artykuły pełne przesady i udanej zgrozy, czy protesta przeciw zgorszeniu którego nie było, są temsamem co cześć wyrządzona Kazimierzowi W.? Czy oskarżenia niesłuszne, które się coraz szerzej rozchodzą, a cześć wielkich ludzi i pamiątek to jedno? Nie: to tylko pod pozorem czci zmarłych chęć zbezczeszczenia żyjących, chęć zaiste ani patryotyczna, ani polityczna, ani uczciwa.

A teraz, skończywszy cośmy powiedzieć mieli o demonstracyach, przejdźmy do roku 1863. Niech się raz powie i to, co o nim czujemy i myślimy.

Zarzucają nam konserwatyzm, zarzucają nam, że nie chcemy restauracyi Polski, dlatego że roku 1863-go boimy się jak zmory, a ofiar jego i poświęceń szanować nie umiemy. Co do konserwatyzmu naprzód, wiecie dobrze moi Panowie, gdzie się nasz konserwatyzm kończy; udajecie tylko, że nie wiecie, bo wam to z planu i roli wypada. Tego zaś konserwatyzmu, który polega w tem, żeby starać się zachować resztki narodowego

życia strwonionego w nieudanych powstaniach, nie wypieramy się wcale. Lękamy się wszystkich ruchów lekkomyślnych, bo wiemy, że nie spłodzi dziecka człowiek, który się systematycznie niszczy samogwałtem, a nie czem innem jak polityczną onanią, płonnem wyzuciem się z sił żywotnych, grzesznem marnowaniem szpiku własnych kości, są nieudane niepłodne peryodyczne ruchy, i ta mdła pożądliwość ruchu, która się demonstracyami objawia. A gdy Bóg zrządzi kiedy, że upragniony syn mógłby się narodzić, wtedy łatwo może się pokazać, że już zapóźno, bo ojciec siły swoje głupio i występnie zmarnował. Nie wypieramy się też tego, że straszną marą jest dla nas rok 1863; jest on nią dla każdego, dla kogo nie był igraszką. Nikt nas nie słyszał, żebyśmy z niego drwili, nikt nie słyszał, żebyśmy inaczej jak ze czcią odzywali się o poświęceniach i ofiarach, o poległych i zasłanych w Sybir, wyzutych z mienia i na tułactwo skazanych. „Konserwatyści i odstępcy“ nie umiemy śmiać się z największej klęski jaką naród poniósł: a ofiary drugich umiemy zrozumieć i uczuć, choćby tylko dlatego, żeśmy nad własnemi płakali. Ale czuć poświęcenie, litować się nieszczęśliwych, płakać poległych, to nie jedno co bronić i wielbić fakt, który Królestwo pogrążył w przepaść, z której Bóg wie kiedy się dźwignie, a z Rusią i Litwą co zrobił? powiedzcie? Nie — rok sześćdziesiąty trzeci szanujemy tem uszanowaniem, które się należy nieszczęściu, ale pomimo wszystkich czystych ofiar i poświęceń, nie liczymy go do pięknych kart naszej historyi, ani do wspomnień chwalebnych. Są klęski, są nieszczęścia, które się dźwiga z żałością ale i z dumą; rok sześćdziesiąty trzeci nie zostawił nam tej pociechy. Jak wspomnieć,

że kiedy skutkiem lekkomyślnie podniesionego powstania przyszłość Polski i jej odrodzenie się cofnęły się gdzieś tak daleko, że ich dojrzeć nie można, jak wspomnieć, że krew się lała marnie od Warty do Niemna, że nieobliczone mnóstwo ludzi szło w jasyr sybirski a wsie ich z ziemią równał Murawiew, jak pomyśleć, że nad tą ziemią nawet Krzyż Pański nie został a na jego miejscu wznoszą się świątynie Cara-Baala, jak to pomyśleć! i wspomnieć, że kiedy to się działo lub gotowało, my graliśmy komedyę rządu bez kraju i państwa, żeśmy robili dyktatorów, którzy tyle ziemi mieli pod swoją władzą ile jej swemi stopami kryli, jak przypomnieć obok krwawych sztyletów takie błazeństwa jak te rysowane w Warszawie a do Galicyi przysyłane wzory mundurów dla wojska i dla urzędników cywilnych, jak pomyśleć, że mieliśmy admirałów! — o zaprawdę doznaje się najboleśniejszego z uczuć — wstydu! Dzieci nie inaczej bawiłyby się w rząd dla igraszki: a my bawiliśmy w Rząd i w wojnę kosztem Polski! i jeżeli dziś możemy jeszcze oczy i czoło podnosić, jeżeli z żalem i wstydem ale bez rozpaczy myślimy o tem co o nas przyszłe pokolenia powiedzą, co im odpowiemy, gdy zapytają nas cośmy z Polską zrobili, to zaiste winniśmy to tylko tym, którzy wtedy polegli. Ich śmierć, ich krew, ich poświęcenie ratuje nas od ostatniej hańby, i czyni zadość za nasze grzeszne niedorzeczności. Bo lekkomyślność, gdzie idzie o Polskę, nie jest rzeczą do darowania. Wiem, jeden z naszych wielkich ludzi zawołał gdzieś za granicą, precz z rozumem, a tu w kraju odpowiedziało mu echo, że do spraw publicznych nie trzeba rozumu tylko miłości ojczyzny. To nie prawda! — bez rozumu nie ma zbawienia, a lekkomyślność, gdzie

idzie o Polskę, lekkomyślność taka jak tych, którzy podnieśli ruch roku 1863, jest takim grzechem przeciw ojczyźnie, jakim jest dla chrześciańskiego sumienia grzech zuchwałego spuszczania się na łaskę Bożą, który katechizm katolicki nazywa grzechem przeciwko Duchowi świętemu, a o którym Ewangelia mówi, że ani w tem ani w przyszłem życiu odpuszczonym nie będzie. Wyznajemy więc otwarcie naszą wiarę co do roku 1863: uważamy go za największą klęskę Polski, i szanujemy jako taką; poległych czcimy, żałujemy cierpiących i prześladowanych. Ale nie uwielbiamy ani tego ruchu ani jego sprawców: nie mamy ani ruchu za piękną kartę w naszych dziejach, ani sprawców za bohaterów narodu.

Gazeta Narodowa powie nam na to, że „wsteczna partya“ zwichnęła powstanie i obłowiła się jego skarbami: niech mówi. Zwichnęli to powstanie tylko ci, którzy je źle przygotowali i lekkomyślnie podnieśli, a przeniesienie go do Galicyi i wszystkie inne radykalne i rewolucyjne środki nie byłyby uratowały tego dziecka, które podług własnych słów jednego ze swoich ojców, Stefana Bobrowskiego, urodziło się w szóstym miesiącu. *Gazeta Narodowa* wie to tak dobrze jak my. A jeżeli wie także jak to do zrozumienia dawać się zdaje, kto są ci wsteczni i „dobrze urodzeni“ ludzie, którzy sobie przywłaszczyli fundusze przeznaczone na powstanie, niech ich nazwie! nie mamy nic przeciwko temu, choćby ci ludzie kryli się w samej Redakcyi *Przeglądu Polskiego*.

Wiemy, że te słowa postawią nas w rażącej sprzeczności z uczuciem wielu: wiemy zwłaszcza, że stronnictwo, które ów ruch wywołało, nie chce się dotąd

przyznać, że źle zrobiło. Niedawno wpadła nam w rękę książeczka, która przez *plus* i *minus* robiła bilans złych i dobrych skutków tego ruchu, a *saldo* okazywało znaczną przewyżkę dobrych nad złymi. Na to odpowiemy powieścią o drobnym fakcie, którego byliśmy świadkami. W roku 1861 toczyła się rozmowa o ówczesnych wypadkach pomiędzy dwoma ludźmi. Jednym był młodzieniec zaledwie dwudziestoletni, który w dwa lata później poległ od kuli moskiewskiej, drugim był zmarły dziś także naczelnik zamierzonego ruchu z roku 1846, Franciszek Wiesiołowski. Ten ostatni utrzymywał, że należy co prędzej organizować powstanie, drugi, że trzeba czekać. „Czekać? — rzekł z oburzeniem dawny konspirator — winszuję cierpliwości i rezygnacyi. Na cóż to czekać i jak długo, może dziesięć lat albo i dwadzieścia?“

— „Choćby pięćdziesiąt i sto, jeżeli wcześniej nie zdarzy się sposobność, których jest tylko dwie pewnych, powszechna wojna z Rosyą, lub jej wewnętrzny rozkład. Narażać zaś przyszłość Polski na niepewne, nie godzi się nigdy i pod żadnym warunkiem, i jeżeli kto o tem wiedzieć powinien, to naczelnik poronionego powstania z roku 1846.“

Odpowiedź była sroga, ale zasłużona; a skutek pokazał, który z tych dwóch ludzi kochał ojczyznę nie więcej, bo tego nigdy sobie mierzyć i sądzić nie pozwolimy, ale lepiej i rozumniej. Otóż przykład ten stosuje się nieźle i do tego u nas stronnictwa, które podniosłszy powstanie roku 1863, i stawszy się przez to pośrednią i mimowolną przyczyną, ale zawsze przyczyną nieszczęsnych jego skutków, do dziśdnia upiera się przy swojem, do dziśdnia nie chce przyznać, że

się pomyliło. Odkąd zaczęło u nas działać to stronnictwo, które jest zarazem i rewolucyjnem i insurekcyjnem, dwa razy doprowadziło do spełnienia swoich politycznych kombinacyj, dwa razy wybuchło tym czynem, którego tak namiętnie łaknie i od którego niepodległości Polski wygląda, raz w roku 1846, drugi raz w 1863. Jeżeli taki rezultat nie otworzył mu oczów i nie zachwiał wiary we własną nieomylność, ludzka wymowa i prośba dokazać tego nie zdoła. Powiemy więc tylko, że sama miłość ojczyzny, samo sumienie powinnoby doprowadzić do zastanowienia i do przyznania, że w tym i w tamtym razie postąpiło się źle, nierozważnie, lekkomyślnie. Przyznanie takie miałoby niewątpliwie wpływ wielki i zbawienny. Zatarłoby dzisiejsze nienawiści i nieufności, u ludzi, którzy kochają ojczyznę, choć się boją powstań nieudanych i którzy boją się ich dlatego, że ją kochają, zatarłoby tę naturalną obawę przed ludźmi, którzy stoją lub stać się zdają na tej kolei. A stronnictwo demokratyczne i postępowe, jeżeli jest niem w istocie, mogłoby prawdziwe i rzeczywiste usługi oddawać sprawie wolności i postępu, gdyby się nikt nie obawiał, że sprawie Polski nowe zada szkody i klęski.

Ale zkądże te przypuszczenia i obawy? gdzież się zanosi na jakiekolwiek powstanie? Otóż to właśnie są te strachy na Lachy, te fałszywe donosy, te denuncyacye, które cała prasa polska jednomyślnie *Przeglądowi* zarzuca, to właśnie są jego potwarze i kłamstwa!

Odpowiadamy na to, że koledzy nasi widzą słomkę w naszem oku, a nie widzą tramu w swojem. Cóż robili i robią sami w sprawie Zmartwychwstańców nanaprzykład, co robią względem nas samych i tych wszystkich, których odsądzają od czci i miłości ojczyzny?

kłamią i szkalują. Jeżeli więc my także szkalujemy i kłamiemy, to dopiero jesteśmy z nimi na równi, jesteśmy siebie warci, i nie mamy prawa przymawiać sobie nawzajem jak smolny kocioł garnkowi. Ale zachodzi tu właśnie ta mała różnica, że my nie kłamiemy i nie szkalujemy. Nasze kłamstwa i potwarze mają niby w tem polegać, że oskarżamy stronnictwo ruchu o zamiary powstania w Galicyi. Tego nie powiedział ani pan Koźmian ani pan Szujski; a sam nawet fikcyjny Optymowicz przyznaje, że nie wie przeciw komu i z jakiego tytułu miałby dziś wołać „do broni“. Nie; myślimy, że ani *Kraj*, ani nawet *Dziennik Lwowski* nie mają w programie swoim powstania w Galicyi; ale twierdzimy, że popierając manifestacye i zachęcając ludność do demonstracyi, że podając jej w podejrzenie wszystkich i wszystko, od sejmu aż do najskromniejszego współpracownika w przeciwnem sobie piśmie peryodycznem, weszli sami i nas ciągną na drogę, na której końcu jest nie powstanie zapewne, ale burda ułatwiona i przygotowana tym jątrzącym tonem, którym przemawiają, sprowadzona przez przypadek lub wywołana przez rossyjskich agentów, a dalej, nieunikniony jej skutek, stan oblężenia. Jeżeli dzienniki te istotnie tak nie chcą burdy i stanu oblężenia, jak wierzyć chcemy, że nie chcą powstania w Galicyi, niechże zaprzestaną jątrzyć i wyzywać i tym sposobem z wolą lub mimowoli jedno i drugie czynić możebnem jeśli nie nieuniknionem. Jeżeli nikczemnie było w roku 1864 o stan oblężenia prosić, to jest głupio nad wszelki wyraz i pojęcie do niego mimowoli zmierzać.

Pozostaje jeszcze jedna potwarz i kłamstwo, z której pismo nasze oczyścić musimy, a tą jest owa zdradliwie

niby i jadowicie przypisana ludziom ruchu teorya nieprzerwalności powstania. Teoryi tej nie podsuwał nikt ani żadnemu z tych dzienników, które się o nią tak obraziły, ani, jak powiedziano z większym efektem niż prawdą, emigracyi jako takiej. Ale, że są i w kraju i zagranicą ludzie, którzy teoryę tę wyznają, że są, którym spiski i tak zwane organizacye na chwilę z głowy nie wyszły, to ani kłamstwo ani potwarz, ale czysta prawda. Przytoczymy na to jeden dowód, ale wymowny. Lat temu parę, wkrótce, bardzo wkrótce po roku 1863, próbowano faktycznie zawiązać organizacyę i urządzić kadry wojskowe w Galicyi; jeździli z tą misyą ajenci, a do ludzi, z którymi jeden z takich w tym zbawiennym celu porozumiewać się miał zlecenie, miał zaszczyt należeć i niżej podpisany. Dla uspokojenia czytelnika zatrwożonego może o los tego interesującego Optymowicza, dodamy, że nie został on wydanym policyi; ale zdenuncyowany został natychmiast przed krajem w pewnej broszurze, w której pan Szujski powstawał przeciw *Liberum conspiro*, a której do dziśdnia nasza *patryotyczna* prasa autorowi przebaczyć nie może, i co chwila gorżko wypomina. Ale dziś tak nie jest? Dziś nie ma już ani takich ludzi ani takich dążności. Doprawdy? czy doprawdy? Daj Boże! Ale zkądże te widoczne ślady dowództwa przy ostatnich zbiegowiskach w Krakowie? Zkąd to naiwne i bezwiedne przyznawanie się ludności do posłuszeństwa jakiemuś tajemniczemu kierunkowi? zkąd te symptomata, pomiędzy które liczymy także i to wielkie oburzenie na tych, którzy o zorganizowanej agitacyi mówić się ośmielili? Gdyby ten pociąg do spisków i organizacyi był tylko czczym wymysłem chorobliwej i wylękłej naszej wyobraźni, byłby

wywołał śmiech tylko, nie gniew i zajadłość. Z mrzonkami i urojeniami nie walczy się tak namiętnie: a słuszności naszych obaw, twierdzeń naszych prawdziwości, nic nie dowodzi lepiej jak ta furya złości, którą wywołały.

Oto są grzechy naszego żywota, oto te podłości i zbrodnie, któreśmy popełnili. W chórze obelg, które za nie zewsząd słyszymy, prym trzymał *Kraj*, który od początku swego istnienia wziął w dzierżawę monopol patryotyzmu, i *Dziennik Lwowski*, który sądeckich wyborców uczył, że pan Szujski powinien stracić ich zaufanie, skoro należy do redakcyi pisma, które „przynosi wstyd imieniowi polskiemu". Dziwniejszem już cokolwiek było, że *Gazeta Narodowa* przyłączyła się do tego chóru, jak żeby się wstydziła zostać w tyle za drugimi. Jednak i to tłómaczy się naturalnym zupełnie sposobem. Redaktor Gazety jest zbyt doświadczony i wprawny, kronikarz jej zbyt dowcipny [1]), żeby nie byli wyrozumieli łatwo myśli czy to pana Szujskiego, czy pana Koźmiana, czy wreszcie bezimiennego Stańczyka. Gazeta oprócz tego, zna się dobrze na wartości demonstracyi; dowiodła tego dostatecznie w roku zeszłym, kiedy pisywała o ceremonii poświęcenia owego pomnika nad Zurychskiem jeziorem. Nadto jeszcze, przed chwilą zaledwie, drukowała *Gazeta* powieść, której główną postacią był polityczny oszust, i powieści tej dała tytuł: *Koroniasz*. Gdybyśmy wtedy byli jej powiedzieli, że wszystkich koroniaszy szkaluje jako oszustów, Gazeta oburzyłaby się na tę niesprawiedliwość, jak sama prześladowana niewinność. A jednak nam, za typ pokrewny tamtemu,

[1]) Redaktor Jan Dobrzański, kronikarz Jan Lam.

rzuca w oczy zarzut, że denuncyujemy emigrantów; za to, że występujemy przeciw demonstracyom, mówi nam, że się łasimy rządowi, i w świętem oburzeniu pyta, czy jest jeszcze w redakcyi *Przeglądu* pan Szujski, czy jest w niej pan Tarnowski, jak żeby powiedzieć chciała, że albo wyjść z tej redakcyi musieli, albo porządnymi ludźmi być przestali.

Otóż *Gazeta Narodowa* ma wiele warunków publistycznego powodzenia, ma zręczność, biegłość i głęboką znajomość swojej publiczności, ale brak jej jednego przymiotu: godności. Do znajomości wszystkich instynktów i usposobień publiczności, łączy ona jeden dar fatalny, giętkość. Przeczuwszy bystro i dokładnie stan i stopień usposobienia publiczności; Gazeta stosuje ton swój do niego. Oprzeć się prądowi cokolwiek silniejszemu, na tę odwagę nie zdobyła się jeszcze nigdy. Dziś, kiedy prąd demonstracyjny wezbrał dość silnie, zwłaszcza we Lwowie, Gazeta uznała, że należy się pod nim ugiąć, bo inaczej sama byłaby posądzoną o wsteczność, o konserwatyzm, o brak patryotyzmu. Zdarzyło się, że w takiej chwili *Przegląd* jakby żywe wcielenie koserwatyzmu i reakcyi, stał się celem powszechnych obelg i pocisków, i Gazeta osądziła, że zręczna polityka nakazuje i jej także, żeby *Przeglądowi* rzuciła swój kamień. Tak sobie wystąpienia jej tłómaczymy, nie mając do niej żółci ani żalu. Powiemy jej tylko jedno słowo: Gazeta jako bystra i obdarzona trafnym instynktem, czuje może (nie żądamy, żeby to przyznała), że mimo całej zręczności i publicystycznej biegłości, choć wpływ wywiera, przecież niema w kraju powagi. Fakt ten jeżeli uwagi jej nie uszedł, musi ją dziwić niemało: możemy jej wytłómaczyć tę zagadkę

i tę tajemnicę. Oto *Gazeta Narodowa* dlatego nie ma tej powagi, jaką przy swoich innych warunkach miećby mogła, że nigdy nie chciała czy nie umiała, czy nie miała odwagi, wyrzec się chwilowej popularności: że pilnie publiczność za puls trzymając, własne tętna zawsze tylko podług tego pulsu regulowała. Miała też i mieć będzie zawsze chwilową popularność i pewną miarę wpływu, ale powagi niema dotąd i mieć jej nie będzie, dopóki nie nabierze godności.

Uderzył na nas i *Dziennik Poznański* i ten, wyznajemy, zadziwił nas swojem wystąpieniem najbardziej. Wiedzieliśmy wprawdzie, że z powodów, których dociec nie umiemy, zwykł on nieraz dawać przytułek najrozmaitszym opiniom, ale nie bylibyśmy przypuścili, że względność dla wszystkich posunie aż do krzyczącej względem jednych niesprawiedliwości. Tymczasem on właśnie ogłosił ów artykuł, który nam daje nazwisko grabarzy, a którego niepowinien był ogłosić, jeżeli nie przez wzgląd na nas i na słuszność (jako pełnego nieprawdy i złości), to przez wzgląd na siebie samego, jako rzeczy licho napisanej, jakich nie przyjmują zazwyczaj pisma dbałe o dobrą redakcyę tego co drukują. Widząc jak odmiennie od swoich korespondentów zapatruje się na demonstracye i na te wszystkie liche pozory patryotyzmu redakcya sama, mamy ochotę zapytać ją, czy wierzy w tych grabarzy i w to grzebanie, a jeżeli nie wierzy, dlaczego pozwala szarpać sławę drugich? Powiemy więc *Dziennikowi Poznańskiemu,* także bez żółci i gniewu, że boimy się czy i on nie był niesprawiedliwym ze strachu: czy i on nie dlatego rzucił na nas kamieniem, żeby sam uszedł oskarżenia o „konserwatyzm i brak patryotyzmu.“ W końcu do-

damy, że życząc dobrze *Dziennikowi Poznańskiemu*, radzi będziemy, jeżeli popełniona względem nas niesprawiedliwość, da mu powód do rozwagi nad sobą, i będzie ostatnią jakiej się dopuścił.

Czytelnik ma już zapewne dostateczne wyobrażenie o tem, jakie na nas rzucano obelgi i za co. Zapytujemy go więc w końcu, zapominając zupełnie, że tu o nas chodzi, czy to nie jest straszne i oburzające, żeby oskarżenia tego rodzaju, oskarżenia o szpiegostwo, o podłość, o odstępstwo od sprawy narodowej, spadać mogły bezkarnie na ludzi porządnych, którzy mogą niemieć zdolności ani zasługi (choć jeden z nich p. Szujski ma i jedną i drugą), ale z których żaden nigdy nic złego, nic nieuczciwego nie zrobił ani w prywatnem ani w publicznem życiu? Bo próżny byłby wykręt mówić, że wszystkie owe zarzuty ściągają się do pisma, nie do jego redaktorów — pismo nie pisze się samo, a kto je oskarża, oskarża nie jego tytuł lub karty, z których się składa, ale jego redakcyę. Słusznie też, zdaje mi się, powiedzieć możemy, że jesteśmy wymownym przykładem, jak żadna uczciwość, żadne dobre imię, żadna dobra chęć wreszcie, nie jest bezpieczną przed niesprawiedliwą napaścią niesumiennych pism publicznych. W tem wszystkiem co na nas ze wszech stron pisano, nie ma słowa prawdy: a z tych fałszywych podstaw wyprowadzono fałszywy wniosek, żeśmy służalcy, donosiciele, i zaprzańcy. Zastanowić się przychodzi nie żartem, jaki to jest stan społeczeństwa, w którem takie rzeczy robią się „bez skrupułu“ i bezkarnie: zapytać się można, kto takie rzeczy pisze i dlaczego? Chyba ten Durand, pokątny pismak francuskiego poety, który sprzykrzywszy sobie rzemiosło weterynarza, filozofi-

cznego poety, przybocznego dramaturga jarmarcznych teatrów, niezdolny do niczego, nie mogący ludziom przebaczyć, że na ich szacunek zasłużyć nie umiał, zajadły, bo niedołężny i podły, a niedołęztwem swem i podłością upokorzony, trafił wreszcie szczęśliwym przypadkiem do starego dziennikarza

Qui dix fois dans sa vie à bon marché vendu
Sur les honnêtes gens crachait pour un écu.

Adept uczuł się w swoim żywiole przy takim mistrzu, i zasmakował w nowem rzemiośle:

Qu'il est doux (mówi) *de rentrer et de se débotter*
Et de dépécer l'homme, et de salir sa gloire
Et de pouvoir sur lui vider une écritoire!
Ecrivains, députés, ministres, roi, Dieu même,
J'ai tout calomnié...

a w końcu jak żeby chciał wytłómaczyć, dlaczego mu to taką sprawia rozkosz, dodaje:

Pour un esprit mort-né, convaincu d'impuissance
Qu'il est doux d'être un sot, et d'en tirer vengeance!

Zbliżenia i podobieństwa z tym typem pismaka strzedz się powinni nasi jak wszyscy dziennikarze, jeżeli chcą sumiennie i z pożytkiem dla sprawy pełnić swój obowiązek, jeżeli ich prawo przemawiania do publiczności nie ma być szkodliwem nadużyciem i bezprawiem; bo typ ten jest tem dla sfer czytających, czem jest dla ludu wiejskiego pokątny pisarz i adwokat: kanałem, którym rozchodzą się „fałszywe impressye“, narzędziem „dywizyi i rozdwojenia między ludźmi i przedłużenia wojny domowej“. Z żalem wielkim stwierdzić to trzeba, że nie wszyscy zawsze z należną starannością wystrze-

gali się tego zbliżenia i tego podobieństwa. Dlatego musieliśmy przypomnieć, że sumienność i prawda są pierwszym obowiązkiem dzienników i dziennikarzy, że od ich sumienności i rzetelności zależy w wielkiej części zdrowie społeczeństw, i spraw powodzenie. Publiczności zaś czytającej przypomnieć musimy, że w jej ręku leży sumienność i rzetelność prasy peryodycznej. Jeżeli publiczność żądać jej będzie stanowczo i wytrwale, dzienniki będą musiały zastósować się do żądania: jeżeli nie, nie będzie miała prawa dziwić się coraz większym obłędom rozumów, coraz głębszemu upadkowi sumień, i skutki sama sobie będzie musiała przypisać, według ściśle logicznego prawa, zawartego w starem polskiem przysłowiu: „jak sobie kto pościele, tak się wyśpi“.

KRÓLOWA OPINIJA.

Drukowane w *Przeglądzie Polskim* w styczniu 1873.

Widziałeś kiedy, ktokolwiek czytać to będziesz, widziałeś kiedy poniżenie natury i godności ludzkiej, w formie jednej z najwstrętniejszych i najsmutniejszych jakie ono przybrać może, czy widziałeś kobietę w mocy niegodnego, nikczemnego człowieka? Ta kobieta jest winna, zła, najgorsza przypuszczam; ale jest istotą ludzką stworzoną na obraz i podobieństwo boskie, kiedyś jako dziecko była świeżą i czystą jak kwiat; później była dziewczyną, a w jej oczach dziś naprzemian wyzywających lub spuszczonych ze wstydu, błyszczała wtedy „anielskość jeszcze i spokojność.“ Kiedyś była ona taką, jak jest twoja córka lub siostra, mogła stać się taką jak twoja matka i żona; ale nieszczęśliwa popadła w szał, w obłąkanie, zopomniała o sobie, o świecie, o swoim i jego szacunku dla człowieka, który opętał jej wyobraźnię, opanował jej wolę, zamagnetyzował jej zmysły, i jest w jego mocy, jest u niego w niewoli. Ten podły panuje nad nią bez litości i względu; jeżeli w chwili rozwagi i opamiętania nieszczęśliwa próbuje się wydobyć z pod jarzma, grozi jej zgubą, wyjawieniem tajemnicy, każdy jej list jest w ręku tego człowieka wekslem, który ona zapłacić musi, bo inaczej on ją wyda przed mężem i światem; dochody, kosztowności, wynosić musi z domu pokryjomu, żeby opłacić potrzeby lub fantazye, a okupić milczenie człowieka, któ-

rego jest niewolnicą. Ona wie w końcu, że to najpodlejszy z ludzi, ale zerwać z nim, uwolnić się od niego, nie śmie, boi się, nie może: czasem i nie chce, bo choć zna swoją hańbę i jego nikczemność, trzyma się go przecie siłą niegodnej namiętności, i jakiegoś przywiązania bezwzględnego, które „psu jest zasługą, człowiekowi grzechem.“ Prawda, że to widok bolesny, a obrzydliwy? prawda, że za tę kobietę, która ci niczem nie jest, rumienisz się ty, mężczyzna i obcy, i jej poniżeniem, jej nędzą, cierpisz w swojej godności ludzkiej? prawda, że pojąć nie możesz, jakim sposobem istota ludzka, która ma duszę w ciele, może znosić takie upokorzenia i w takim wstydzie wytrzymać, prawda? A przecież zdarzają się takie rzeczy, zdarzają się takie dobrowolne a poniżające niewole; i nie samym kobietom tylko, ale mężczyznom także; zdarzają się w życiu, a kto ich nie spotkał, czytać o nich może nie w samych tylko romansach, ale i w historyi. Przechowała ona pamięć niejednej królowej, która na wszystko wyuzdana, niczego niepomna, jedną ręką składała godność swej korony u stóp wypieszczonego ulubieńca, a drugą dochody państwa wpychała w jego kieszenie, bezdenne jak beczka Danaid. Elżbieta, która choćby miała umrzeć z żalu po Essexie, umiała mu ściąć głowę, kiedy jej nie słuchać spróbował, Katarzyna, która żadnemu ze swoich faworytów zbytecznie władzy nad sobą wziąć nie dała, to przykłady rzadkie, bodaj czy nie jedyne; a na te dwa wiele to przykładów przeciwnych, wiele polityki szkodliwej i zgubnej, wiele państw zagrożonych, odartych, szwankujących na znaczeniu i honorze przez poniżenie i niegodną uległość królowej. Marya Stuart i Bothwell, Anna Austryaczka i Mazarin, Carowa

Anna i Biren, królowa Karolina w Neapolu i Acton, w Hiszpanii żona Karola IV i Godoy! a wszystkie oprócz sławy własnej narażają dla tego kochanka swój tron, cześć swojej korony, i samą nawet ideę monarchiczną, bo któż królów i królestwo szanować będzie, jeżeli nie szanuje ich królowa, sama nie szanując siebie i poddając się w publiczną pogardę? I jeżeli dziś monarchia w całej Europie upadła tak nisko, jeżeli naprzykład pierwsza niegdyś w świecie korona Karola V i Filipa II tak spadła w cenie, że długo nie było tego, ktoby ją nosić był zechciał, a jedyny, jaki się wreszcie znalazł[1]), porzucił ją, jak się rzuca starą rękawiczkę zbrukaną i zdartą, to upadkowi temu nieuczciwość i nierozum królów niewięcej może winne jak brak kobiecej uczciwości i godności w ich żonach. Co do włoskich i hiszpańskich linii Burbońskiego domu przynajmniej, jest to pewnem.

W dzisiejszej Europie jest jedna królowa, która w takiem poniżeniu żyje. Na tronie ona nie siedzi, ale „dymem kadzideł owiana i burzą poklasków“ daje w siebie wmawiać, że w demokratycznym świecie zajęła miejsce tronów i majestatów. Nazywają ją największem w Europie mocarstwem; ona niby króluje i rządzi, ona kieruje polityką gabinetów, ona w parlamentach przemawia, rozprawia, stanowi prawa, rozstrzyga o pokojach i wojnach, ma swoich pochlebców i dworaków, swoich zauszników i swoje Bastylie; królowie i ludy, politycy i awanturnicy, żołnierze i giełdziści, wszyscy przed nią na kolanach biją pokłony, czołami proch z przed jej stóp zamiatając; napozór to

---

[1]) Amadeusz Sabaudzki.

królowa tak wspaniała jak Elżbieta w Windzorze, Ludwik XIV w Wersalu, jak król Salomon w całej swojej chwale! Naprawdę, niewolnica w mocy awanturniczych zauszników i kochanków, niewolnica spodlona jak Karolina w ręku Actona lub Marya Ludwika Parmeńska u nóg Godoya, spodlona tembardziej, że upodlenia swego nie czuje — tą królową jest Opinija publiczna, a jej nikczemnym faworytem dziennikarstwo europejskie, któremu z posłuszną uległością powodować się daje.

Bo gdzie dziś prasa jest, czem być powinna, obroną zasad, tarczą i reprezentantem stałych przekonań, warownią narodowego ducha i honoru? Pozory te daje ona sobie wprawdzie jak może, hasła swoje powtarza szumnie, i na pierwszy rzut oka każdy dziennik wydaje się tak czystym i nieskalanym, jak żeby go wydawał sam Cato do spółki z Cincinatem i Aristidesem. W rzeczy, ten Cato, republikanin wielki, przyjaciel i trybun uciemiężonego plebsu przeciw wszelkiego rodzaju możnym i bogatym Patrycyuszom, ten obrońca wolności, bierze cichaczem subwencyę od Cezara, a poufny Cezara wysłannik przynosząc ofiarę do tej świątyni publicznego sumienia, zalecał mu: „gań rząd cesarski, krzycz, rzucaj się i miotaj, to uspokoi przeciwników i da im satysfakcyę tak, że sami odzywać się już nie będą,“ a po takiem zleceniu pisze się opozycyjny artykuł w obronie wolności i ludu, czytany z rozrzewnieniem i zapałem przez *soixante mille abonnès et un million de lecteurs* [1]). Cincinatus wydaje najpoważniejsze najmędrsze pismo na stałym lądzie Europy, przedajnością się nie plami, cześć swoją ceni wyżej niż pienią-

---

[1]) Dziennik *Siècle* za Napoleona III.

dze, a pióra swego nie ma na sprzedaż *plus offerenti,* i kiedy jakieś obce mocarstwo prosząc o jego pomoc i opiekę, chciało mu i nagrodę wyznaczyć, odrzucił tę nagrodę ze wzgardą w jawnem głosowaniu redakcyjnego zebrania; ale przyjął ją w głosowaniu tajnem[1]). Aristides nieposzlakowany zawsze i w zdaniu niezłomny, wczoraj gardłował za republiką umiarkowaną, jutro będzie uśmiechał się do radykalnej, a dziś pisze hymny na cześć i szczęśliwy powrót prawego króla Henryka V; dobrze jeszcze, jeżeli wszystkiego tego razem nie wydrukuje w jednym i tymsamym numerze swojego pisma. A zmiennictwa, a płochej i lekkomyślnej polityki, a płaszczenia się przed mocniejszym, deptania po słabszym, a schlebiania publiczności powtarzaniem ulubionych, choćby zgubnych haseł, a czczej frazeologii, a nędznej, nad wszystko nędznej reklamy, a wszystkich tych zdrożności, które dowodzą, że dziennik każdy niemal z nader małemi w Europie wyjątkami, jest narzędziem spekulacyi, albo w najlepszym razie głosem stronniczej nienawiści, ale nie głosem honoru, dobrej wiary, i publicznego ducha, wiele jest w dzisiejszem dziennikarstwie francuskiem, począwszy od *Revue des deux Mondes* i *Debatów* aż do *Gaulois* i *Figaro?* Gorzej nawet, bo kto wie, czy w tych straszliwych nieszczęściach Francyi, nie więcej odwagi cywilnej, prawdy, trafnego sądu o wewnętrznem i zewnętrznem położeniu, patryotycznego uczucia, czy nie więcej miał ten okrzyczany, skandalem żyjący, przez wytartego człowieka prowadzony *Figaro,* od poważniejszych niby i więcej poważanych dzienników.

---

[1]) *Journal des Debats i Cavour.*

Prasa niemiecka? wiedeńska zwłaszcza? wierna aliantka i ajentka giełdy, na usługi zawsze każdego przedsiębiorstwa, choćby jak podejrzanego, które jej się opłaci, grożąca potwarzą i zgubą tym, którzyby nie opłacić się śmiały, grożąca nawet ludziom prywatnym, że się rzuci na sławę ich żon i matek jeżeli się *na grzeczności znać* nie zechcą, czy to kapłanka i mistrzyni Opinii publicznej? Nie — to jakiś potworny mieszaniec, w którym jest coś rozbójnika, coś giełdowego faktora, a coś i posługaczki do wszelakich wygód. A wszyscy mówią o wolności, wszyscy o postępie, wszyscy o honorze, o patryotyźmie! wszyscy rzucają się na drugich zajadle jak psy, gromią ich wymownie i cnotliwie jak kaznodzieje! wszyscy ze sztuką dotąd w świecie niewidzianą, łączą najbezczelniejsze wyuzdanie cynizmu z najbezczelniejszem zuchwalstwem hypokryzyi! Zaprawdę, w Annalach Tacyta i w Satyrach Juwenala brak jest jednego rozdziału poświęconego zepsuciu prasy, i poniżeniu opinii, która taką prasę znosi i jej słucha; obraz byłby to godny stanąć w parze obok spodlenia tych Rzymian, którzy gięli karki i głowy przed wyzwoleńcami i ulubieńcami wyzwoleńców i ulubieńców Tyberyusza i Nerona, „pochyleni do ziemi *strachem i lubieżnością podłości.*“

U nas w Polsce, jak żeby wolność prasy samo tylko jej zepsucie była nam przyniosła w pożytku, najniżej co do moralności i honoru stoi dziennikarstwo tam, gdzie niczem niekrępowane ma zupełną swobodę, w Galicyi. Jakiem byłoby warszawskie, gdyby mogło mówić wszystko, gdyby polityczna wolność rozbudziła tam i polityczne namiętności, przypuszczać trudno. Po

niektórych najświeższych jego produktach, jak *Niwa* [1]) lub *Przegląd Tygodniowy*, lub po tych ulotnych tajnie drukowanych pisemkach, które pamiętamy z roku 1863 wnosićby można, że znalazłoby się tam wiele złego, wiele fałszu; ale dziś, jeżeli niektórym pismom warszawskim zarzucić można cokolwiek powierzchowności w sądzeniu, eklektyczny dar i zły zwyczaj mówienia o wszystkiem, a mało o czem gruntowniej i głębiej, to nieuczciwości nie słychać żeby im kto zarzucał, a publicznego zgorszenia dotąd dzięki Bogu z siebie nie dały. Z nielicznych pism wielkopolskich, jedno, *Dziennik Poznański,* mógł nieraz prowincyi swojej zaszkodzić tym kierunkiem lub raczej brakiem kierunku, którym stale błądzi, tem, że do zgodnego tam postępowania nieraz przeszkadzał i przeszkadza, że popularne hasła chwyta i powtarza bez zastanowienia, na ludzi niepopularnych bije bez powodu i słuszności; źle to zapewne, przecież nie najgorzej jeszcze, bo to raczej brak zalet, niż dodatność grzechu; a nieuczciwego, podłego, nic ile wiemy nań się nie pokazało. Ale w Galicyi! Prawda, jest jeden dziennik, od którego żaden w Europie czystszym, bardziej honorowym nie jest, choć wierzymy, że niektóre są mu pod tym względem równe; jeden z tych rzadkich, które ćwierć wieku żyjąc, nigdy się nie zmieniły, nigdy przekonań swoich nie zaparły, nigdy się nie ugięły, nie ulękły, nie płaszczyły, ani przed rządami, ani przed opinijami, ani przed terroryzmem policyjnym, ani przed rewolucyjnym; nietrzeba go wymieniać, każdy wie, że tym dziennikiem jest *Czas.* Ale prócz niego? Mamy dwa tylko w naszym kraju znaczące pi-

[1]) Odróżnić od *Niwy* późniejszej.

sma codzienne, znaczące hałasem jaki robią, wpływem jaki wywierają, nawet duchem, jaki mają, bo jedno z nich zręcznie zawsze odgadnąć i napisać umie to, co się w każdej chwili ludziom podobać będzie, a drugie w pięknych pozorach liberalizmu i gorącego patryotyzmu kryje rzecz u nas nową, negacyę wszelkiego religijnego wyznania, i pociąg do zcentralizowanej, jednolitej i jednostajnej (jak gdyby taką wbrew naturze rzeczy być mogła!) Austryi. Te dwa pisma wychodzą we Lwowie, a zowią się: *Gazeta Narodowa* i *Dziennik Polski*. Jedno i drugie jest ciekawym, a nierzadkim niestety w Europie przykładem pisma więcej przez ludzi słuchanego jak szanowanego, i szanownego, — przykładem wymownym tej uległości niedołężnej i wstydliwej, w jakiej zostaje względem dzienników mniemana królowa, Opinija.

Nie myślimy tu pisać ich historyi ani liczyć grzechów ich żywota. Nie zdołalibyśmy nawet, bo nie pamiętamy tego długiego szeregu zmiennictw, przechwałek, płochych twierdzeń, bezczelnych zaprzeczeń, oszczerstw, reklam, sofizmów, z których się pasmo tych żywotów składa; a powtóre, nie o to nam chodzi. Z ulubieńcami nie mamy nic do czynienia, ich wartość moralna i polityczna zdolność nie obchodzi nas wcale; chcielibyśmy tylko zgłębić i wykazać poniżenie ich królowej. Nie żebyśmy łudzić się mieli nadzieją, że ostrzeżona zechce lub zdoła z upadku się dźwignąć: nie, bo ona przestróg nie potrzebuje, wie wszystko! a jeżeli się nie oburza i nie podnosi, to znakiem, że jej w tym upadku dobrze i wygodnie. Ale dlatego, iżby fenomen jeden ze smutniejszych i bardziej gorszących, jakie znamy w historyi dziennikarstwa, nie przeszedł bez uwagi i bez pro-

testacyi: iżby kiedyś, jak nas wszystkich już tu nie będzie, nie mówiono o nas: „Jakto, działy się takie „rzeczy, a w całym tym kraju nie znalazł się nikt, „ktoby się oburzył, nikt nawet, ktoby się był choć „tylko zadziwił? Doprawdy, chyba wszyscy w tej nie„szczęsnej Galicyi byli zarówno *tief gefallen.*"

Lat temu parę, toczył się przed sądami proces między temisamemi dwoma dziennikami, proces z którego obie strony wyszły nie pięknie. Redaktor *Dziennika Polskiego* zarzucając przeciwnikowi przekupstwo, sam z ujmującą naiwnością przyznawał głośno przed sądem, że „pisze dla tego, kto mu płaci." Przeciwnik bronił się dowodząc, że przekupionym nie był, lecz tylko należał do interesu jakiegoś z którymś z banków czy przedsiębiorstw; a w odwet za oskarżenie przytaczał z życia oskarżyciela fakta, może nieprawdziwe, ale dotąd niezaprzeczone, fakta, z któremi poważne między ludźmi stanowisko zgodzić się nie może; wychodziły na wierzch kłótnie po kawiarniach, bójki, obelgi cierpliwie zniesione. Proces to był przykry nawet dla obojętnych, nawet dla nieprzyjaciół; bo bądźcobądź, dzienniki oficyalnie, przed obcymi, reprezentują kraj i jego opinię, a ci dwaj redaktorowie stracili w tym sporze podobno mało co... prócz honoru. Zdawało się wtedy, że po tem publicznem zgorszeniu coś się przecież w znaczeniu i stanowisku tych dzienników zmienić musi? że skompromitowani, bądź usuną się z redakcyi, bądź, jeżeli konieczności tej sami zrozumieć nie zechcą, będą do tego zmuszeni przez współredaktorów lub współwłaścicieli dbałych o dobrą sławę dziennika, zależną zawsze od dobrej sławy redaktorów, dbałych choćby o jego wpływ i o jego byt, o abonentów? bo przecież naturalnem i bliskiem było

przypuszczenie, że publiczność nie zechce trzymać i czytywać pism, których redaktorów po jawnym i głośnym skandalu szanować nie mogła? Jeżeli się zamyka dom przed człowiekiem podejrzanej uczciwości, przed kobietą złej sławy, to taksamo lub bardziej jeszcze należałoby zamykać go przed dziennikiem, pisanym przez niepewnych ludzi. Tymczasem, nic podobnego nie zaszło; oba pisma po procesie były tak dobre, jak przed procesem, oba z głową zuchwale do góry podniesioną, z pewnością siebie, jaką tylko bezczelność dać może, udawały jakoby im się nic nie było stało; oba dalej rozprawiały głośno o patryotyzmie, honorze, sumieniu publicznem; oba cenzory surowe a nieposzlakowane „stawiały pod pręgierzem“ (ich to ulubione wyrażenie) lepszych i czystszych od siebie, i cały ten skandal, za który rumienili się dalecy i obcy, bezpośrednio dotkniętym nie zaszkodził wcale! Czytano ich jak przedtem, wierzono? niewiele zawsze, ale niemniej jak przedtem. Słuchano tyle co przedtem: obawiano się ich jeszcze więcej. A wtedy ze smutkiem pytać się przychodziło, gdzie jest i co robi, czy jest u nas opinija? Bo zaiste, jeżeli jest, to w takim wypadku odezwać się była powinna: powinna była niepozwolić, żeby ludzie tak skompromitowani w pismach publicznych dalej pisywali! albo, gdyby tego sprawić nie mogła, nie pozwolić na dalsze istnienie pism samych. Wszak, gdyby proces podobny zaszedł między dwoma ludźmi zupełnie prywatnymi, to ty, abonent *Gazety Narodowej* czy *Dziennika Polskiego,* szanując swój dom, swoją rodzinę, siebie samego, zerwałbyś wszelką z nimi zażyłość i znajomość, dopókiby nadwerężonego honoru nie oczyścili? Twojemu młodemu synowi nie pozwoliłbyś z nimi przesta-

wać, nie dałbyś pełnomocnictwa w najmniejszej sprawie majątkowej, możebyś im nawet nie pożyczył pieniędzy: nie dość im na to wierzysz, nie dość ich szanujesz. Ale radzić o sprawach kraju czy ojczyzny, to im pozwalasz, pozwalasz nawet nieraz o tych sprawach rozstrzygać: bo ich słuchasz i powodować im się dajesz! bo na wyborach, bo w Radzie miejskiej, bo w Sejmie głosujesz zbyt często tak, jak oni chcą i każą! i cobyś w mniejszych rzeczach nie ufał, w tych ważniejszych ufasz, słuchasz, a niekiedy słuchasz choć nie ufasz, bo się boisz! Upadek, lub raczej absencya zupełna opinii publicznej w naszym kraju, nigdy może i po niczem nie dała się poznać tak wyraźnie i tak smutno, jak po tem niewzruszonem i niezachwianem stanowisku dzienników, których naczelni wydawcy i reprezentanci podług wszelkich praw logiki, jeżeli już nie czego więcej, wszelką powagę stracić byli powinni.

Nie stracili jej jednak! a widząc to, nie bez zdziwienia zapewne, stracić musieli do reszty szacunek dla tej królowej, która zdawszy się na łaskę i niełaskę tak im nad sobą przewodzić pozwoliła. Toteż dziś po przerwie lat paru mamy znaczny postęp: mamy pomiędzy dziennikami temi skandal nowy, od dawnego gorszy, tak wielki i gorszący, że choć bez wstrętu i obrzydzenia mówić o nim nie można, przecież zwyciężywszy obrzydzenie i wstręt wspomnieć o nim trzeba. Bo kiedy, prawdopodobnie i ten jeszcze ujdzie bezkarnie i płazem, kiedy obie strony i po tym jeszcze będą tak dobre jak przed nim, to dla honoru ludzkości i kraju trzeba, żeby pozostał bodaj jeden słaby ślad oburzenia i protestacyi.

Gazeta Narodowa i *Dziennik Polski* pokłóciły się znowu o coś przed parą miesięcy — powód nas nie obchodzi, był nim podobno sekwestr, którym rząd obłożył kolej czerniowiecką. W trakcie tego sporu w kronikach a czasem i w *poważniejszych* działach *Gazety*, ukazywać się zaczęły zaczepki przeciw właścicielowi i wydawcy *Dziennika*, opowiadania jakichś z jego przeszłości wypadków, które sprawdzać i kwalifikować należałoby w każdym razie nie do nas, ale do sądów karnych. Mowa tam jest o zegarkach, łańcuszkach, pularesach, o odbitych zamkach, a słowo *„kradzież“* i wszystkie jemu pokrewne, gęsto zdobią tę godną i czystą polemikę. *Dziennik Polski* odmierzył równą miarą; zrazu w jego kolumnach, następnie w osobno drukowanych listach otwartych, właściciel i wydawca jego odpowiada nie argumentami w obronie własnej, nie honor i uczciwość jego są tak znane i wyższe nad wszelką potwarz, że ubliżyłyby tylko sobie samemu, gdyby się do obrony zniżyć raczył! ale odpowiada długim szeregiem anegdot z życia właściciela i wydawcy *Gazety Narodowej*. Potwarze, przekupstwa, sprzeniewierzenia, figurują tam w licznem i dobranem gronie; a jako perły tego zbioru świecą zarzuty, jakoby niedyskrecya *Gazety* (umyślna, mówi oskarżyciel) była uwiadomiła Moskali o tożsamości osoby jednego z jeńców z roku 1863, który wskutek tego został rozstrzelanym; i śmierć młodego człowieka, który zaplątany przypadkowo w jakąś smutną sprawę, a nie mogąc, czy nie chcąc opłacić się *Gazecie*, żeby o tej sprawie milczała, sądząc się zgubionym na honorze, odebrał sobie życie z rozpaczy.

Przepraszamy naszego czytelnika najpokorniej, że śmiemy takie rzeczy przed nim powtarzać; zaręczamy

zarazem, żeśmy już o tem skończyli, i że dalej tych pięknych rzeczy przed jego oczyma rozwieszać nie będziemy. Niech wierzyć raczy, że i nam niemiło dotknąć tego wszystkiego, choćby piórem tylko. Ale jakaś wzmianka o tem, co między dziennikami temi zaszło, zrobioną być musiała; bez niej upadek naszej opinii nie byłby widocznym i zrozumiałym. Robiąc ją z konieczności, staraliśmy się tylko przez wzgląd na czytelnika, na siebie samych, na nasze pismo, zrobić ją, jak się dało najkrótszą. Kiedy się idzie, a jeszcze drugiego prowadzić musi koło miejsca, gdzie buchają wyziewy otwartych miejskich kanałów, idzie się przynajmniej szybkim krokiem, nie przystając na miejscu i nie zaglądając ciekawie w kanały.

Który z tych panów mówi prawdę, czy jeden, czy żaden, czy co najgorzej obadwa: nie wiemy i nie wchodzimy. Wyrok w ich sprawie niech ferują sądy, przed które się, jak mówią, pozwali. Co do nas, pragniemy szczerze, żeby obadwa byli tylko potwarcami; byłoby to, ze wszystkiego co w tych okolicznościach na jaw wyjść może, najmniej jeszcze brzydkiem. A że wstyd ludzi publicznych, do których niezaprzeczenie należą dziennikarze, zawsze w jakiejś części spada na ogół, na kraj, chcielibyśmy więc oczywiście, żeby ten wstyd był jak najmniejszym. Ale jest myśl inna, która nas z tego powodu prześladuje i dręczy, oto, że niski musi być poziom umysłów a zwłaszcza charakterów, niski stopień publicznego sumienia i godności w kraju, w którym zgorszenia takie zajść mogą między sługami a właściwiej może rzec panami, między tak zwanemi *organami* publicznej opinii.

Bo nie dzienniki stwarzają opiniję, lecz przeciwnie, jaka opinija, takie będą w kraju dzienniki. One kierować ją mogą od razu do razu w szczegółach, mogą sprowadzić to lub inne rozstrzygnięcie tej lub owej bieżącej kwestyi politycznej, przyczynić się do uchwalenia tej a tej rezolucyi, do odrzucenia tego a tego wniosku do prawa; ale ich strona i stała wartość moralna, ta zawsze zależy od publiczności, i zawsze będzie taką, jak publiczność chce lub pozwala. Jeżeli ta oburzy się na pierwsze i drugie kłamstwo, dziennik, dbały o swój byt, ze samego wyrachowania, w trzecie nie popadnie; jeżeli ze wzgardą odrzuci potwarz, dziennik dla własnego dobra będzie się bał i strzegł szkalować; jeżeli będzie stała i wierna swoim przekonaniom, a na zmiany dziennikarskich chorągiewek oczów zamykać nie będzie, uniknie tego, że rzecz jedna i tasama dziś w pismach peryodycznych opisana jest jako biała, jutro jako czarna. A jeżeli zażądać zechce, żeby prasa była w ręku samych tylko ludzi godnych i nieposzlakowanych, redakcye we własnym interesie podejrzanych do siebie nie przyjmą, lub z siebie wyrzucą. Ten zaś czujny dozór uczciwej opinii nad dziennikarstwem, zawsze potrzebny, staje się koniecznym tam, gdzie jak w Austryi prasa jest wolną. Znieść cenzurę urzędową i policyjną, i owszem: ale zaprowadzić cenzurę opinii, obyczaju, i honoru! bez tego wolność prasy będzie tem, czem się dziś pokazuje we Francyi, w Niemczech, w całej Austryi i u nas: wielkiem złudzeniem młodocianych umysłów, wielkiem desideratum wolności, o które wołają niedoświadczeni, a które po doświadczeniu okazuje się tylko wrotami otwartemi dla kłamstw, spekulacyi, oszczerstw, patryotycznych licytacyi i patryotycznych hypokryzyi.

Rzecz nie do pojęcia, nie do wiary: wolność nowoczesna nie pozwoli mi być szewcem, dopóki się nie wykażę że umiem robić buty, i ma słuszność; nie pozwoli mi sprzedawać leków w aptece, nie pozwoli krwi puścić, nie już człowiekowi lecz bydlęciu, dopóki nie dowiodę, że wiem jak to robić trzeba, i ma słuszność jeszcze większą; bo mógłbym szkodzić, mógłbym zabijać. Ale pisać, drukować, wydawać dziennik, to mi wolno, bylem umiał stawiać litery! i ten, któremu nie powierzą chorego psa ani konia, z obawy, żeby na nich nie robił szkodliwych eksperymentów, temu oddają w ręce losy kraju i cześć ludzi! na tych wolno mu eksperymentować jak mu się podoba! a czy o kraju rozumnie i uczciwie radzić jest zdolny, czy z czcią ludzi sumiennie obchodzić się będzie, o to nie pyta nikt! lancetu i pigułki tknąć się nie godzi bez examinu i patentu: ale dziennik, to narzędzie, które może organizm społeczny uzdrawiać albo zatruwać, zbawić albo zabić, to bierze do ręki i wojuje niem kto chce, pierwszy lepszy, nieumiejętny, niepowołany, prawdziwy weterynarz czy jarmarczny szarlatan! z tem bydlęciem, z narodem, każdy robić może co mu się podoba!

Jedna to ze sprzeczności najgorszych, najniebezpieczniejszych, jakie przyniosła ze sobą wolność poczęta, a na które wolność skończona i dojrzała, środek jakiś znaleźć będzie musiała. A gdyby marzeniami się bawić i układać *Utopie,* powiedzielibyśmy, że każdy kandydat na dziennikarza powinienby poddać się examinowi lub nowicyatowi dojrzałości a zwłaszcza uczciwości, po którym jakiś sąd przysięgły nowoczesnych Prytanów świadczyłby o nim, że jest nadzieja, jeżeli pewności być nie może, iż on pióra swego nigdy nie sprzeda i nie

zwala. Ale marzeniom dając pokój, a w Utopiję nie wierząc, przy tem zawsze obstawać musimy, że prosty examin szkolny byłby wymaganiem niezbyt wysokiem, a przecież jakątaką rękojmią, że dzienników nie będą pisali zupełni przynajmniej ignoranci. Dalej przytem, że uczciwość piszących zależy od woli czytających i jest w ich mocy, a jeżeli dziś dzienniki nasze rzucają sobie w oczy zarzuty takie, że czy są słuszne czy niesłuszne, my się za nie wstydzić musimy, tośmy sobie sami winni i mamy tylko to, na cośmy zasłużyli.

Bo czyśmy kiedy dbali o to, żeby je na złej drodze zatrzymać i na lepszą zwrócić? czyśmy im choć raz poznać dali, że nam się ich zły smak lub ich zdrożne zachowanie niepodoba? czy zdarzyło się choć raz jeden, żeby wykroczenie ich spotkało się z naszą naganą i protestacyą? Nigdy. Dzienniki w polityce zmieniały kierunki i drukowane zdania swoje z szybkością zadziwiającą, zdumiewającą: co wczoraj złem, jutro było u nich dobrem, a my słuchaliśmy cierpliwie i udawali grzecznie, że różnicy nie widzimy, że to zawsze tosamo. W tych ewolucyach dopuszczały się one najgrubszych sofizmów i naciągań, w polemice najwyraźniejszych przekręcań i grubijaństw rażących, a miały wszelkie prawo sądzić, że ani ich sofizmata i fałsze nie rażą naszego zmysłu moralnego, ani ich gburowatość i zły smak naszego zmysłu estetycznego, naszych przyzwyczajeń do dobrego wychowania. Kiedy kłamały, my kłamstwo przyjmowaliśmy jak prawdę, wiedząc dobrze, że ono prawdą nie było; kiedy szarpały ludzką sławę, rzucały potwarzą i błotem na ludzi uczciwych, myśmy albo klaskali głośno, albo przynajmniej cichaczem potakiwali, jeżeli spotwarzony był naszym przeciwnikiem

a choćby tylko osobą naszym upodobaniom niemiłą; kiedy groziły, myśmy ze strachu padali na ziemię i robili wszystko, co one chciały. I jakże one szanować nas mogły! jak mogły zachować jakietakie, jeśli już nie uczucie, to udawanie honoru, godności, prawdy, kiedy widziały, że jeden z nich przyznał się głośno, że pisze za tym kto mu lepiej płaci, drugi niezupełnie oczyścił się z zarzutu przekupstwa, a jednemu i drugiemu nic to w opinii naszej nie zaszkodziło, nikt ich nie skarcił, nikt się ich nie wyparł! Czyż dziw, że pozwalały sobie wszystkiego, kiedyśmy im na wszystko pozwalali? że nas szanować nie mogły, kiedyśmy sami szanować się nie umieli? że im dłużej to trwało, im dalej brnęły bezkarnie w tej swojej krzywej i błotnistej kolei, tem pewniejsze były swojej bezkarności? Uchodziło im tak wiele i tak długo, czemużby wszystko i zawsze uchodzić nie miało? I tak stopniowo ale logicznie doszliśmy do tego wstydu, że dwa główne dzienniki naszego głównego miasta zarzucają sobie wzajemnie oszustwa, przekupstwa, kradzieże, a na ten zarzut nikt z nas nie wykrzyknął dotąd z oburzeniem: *to fałsz!* My tylko nie wiemy i pytamy: który z nich mówi prawdę, i czy jeden, czy oba?

A czy przynajmniej czujemy że to wstyd, nie dla nich, o nie mniejsza, ale dla nas? Doprawdy możnaby o tem wątpić. Można uważać, że ile razy wyjdzie jeden z tych listów, w których właściciel *Dziennika Polskiego* lży właściciela *Gazety Narodowej,* rzucamy się nań skwapliwie, rozchwytujemy na ulicach, wydzieramy sobie w kawiarniach, czytamy na gwałt, z ciekawością namiętną, ze złośliwą przyjemnością; a wrażenie, jakie ztąd odnosimy, wyraża się nieodmiennie wykrzyknikiem

podziwienia, jeżeli nie sympatycznego podziwu: „ależ mu dał! a to go rąbie, tnie, jeździ!“ i podobnie.

Gdybyśmy rozumieli, że to sprawa bolesna i upokarzająca, może zachowywalibyśmy się inaczej! może nie tak chciwie bralibyśmy te brudy do ręki, możebyśmy nie tak ochoczo i wesoło o nich mówili. Ale powie kto, że ten dowód nic nie znaczy; gawiedź jest wszędzie, a gawiedź, lepiej czy gorzej ubrana, wszędzie i zawsze bawi się i cieszy skandalem. Niech i tak będzie: dajmy że po za tą brukową gawiedzią wszelkich stanów i stopni jest jakiś zastęp ludzi myślących, poważnych i porządnych, którzy umieją i zdala od skandalu się trzymać, i smutne jego znaczenie ocenić, i przeciw niemu surowo wystąpić, jeżeli mu już przeszkodzić nie mogli. Są? dobrze, wierzę temu; wiem, że porządnych ludzi u nas znajdzie. A więc pytam, w czem postawa ich w tej całej sprawie różni się od zachowania gawiedzi, co zrobili, żeby przeciw złemu wystąpić? a jeżeli już nie to, to żeby własną godność salwując zerwać z nim wszelkie stosunki. Jakim sposobem dziać się to może, że ci porządni ludzie, po tem wszystkiem co zaszło, jeszcze tak jeden jak drugi z rzeczonych dzienników znają, widują, czytują, trzymają. Dylemmat jest bez wyjścia. Jeżeli *Dziennik Polski* mówi prawdę, to jak ludzie uczciwi mogą brać do ręki *Gazetę Narodową?* Jeżeli prawdę mówi *Gazeta*, to na odwrót, jak mogą wdawać się z *Dziennikiem Polskim?* A jeżeli oboje mówią nieprawdę, to jak można przestawać na pismach, które tak bezczelnie kłamią? a gdyby wreszcie, gdyby, przypuśćmy najgorsze, gdyby oboje mówiły prawdę? czyż wtedy nie byłoby nad czem zadziwić się, oburzyć, rąk załamać ze smutku a oczów spuścić ze wstydu, że

takie pisma znosić mogliśmy choćby tylko dwadzieścia cztery godzin? A tu nie godziny, lecz lata całe znosimy, słuchamy, kłaniamy się, ściskamy za ręce, boimy się!

Ale może to przesadzone? może jeden z tych dzienników, którykolwiek, jest uczciwym i godnym, tylko jego kolega nikczemnym: i ten zacny, zdzierając maskę z twarzy tamtego, spełnia tylko przykry lecz istotny obowiązek i dobrze się zasługuje ojczyźnie? Niestety, żaden z nich nie zostawia nam ani tego nawet złudzenia. *Gazeta Narodowa,* czysta przypuśćmy i niewinna jak nowonarodzone dziecko, oskarża o brzydkie sprawy właściciela *Dziennika Polskiego; Dziennik* nawzajem, surowy i nieskazitelny jak Kato, wykrywa z powagą i oburzeniem sprawiedliwego, niepiękne czyny właściciela *Gazety;* jedno i drugie rozdziera na sobie szaty na widok takiej przewrotności, nikczemności i tym podobnych okropności. Tymczasem (zepsucie bywa niekiedy naiwnem jak niewinność), jedno i drugie nie chcący i nie domyślając się co robi, składa wyznania, które o niem samem różnie sądzić każą. „Ja cię znam," — mówi właściciel *Gazety,* — „przecież miałem cię przez lat parę w redakcyi mego pisma." „Znam cię — odpowiada właściciel *Dziennika* — przecież z tobą przez lat parę pracowałem w twojej *Gazecie.*"

Jakto? ten Pan, który, jak *Gazeta* twierdzi, odbijać miał zamki w mieszkaniach swoich przyjaciół, przebywał trzy lata w tej świątyni Prawdy, Sumienia i Patryotyzmu, która się nazywa Redakcyą *Gazety Narodowej,* a te mury czcigodne nie zawaliły się na jego głowę? a ten surowy cenzor, który dziś obelgami go zasypuje, wtedy nie wyrzucił przekupnia ze świątyni?

Jakto? *Gazeta Narodowa* zdradzała przed Moskalami nazwiska ujętych więźniów, *Gazeta Narodowa* kazała sobie opłacać milczenie lub słowa, a szanowny i niepokalany właściciel i wydawca *Dziennika Polskiego,* tensam, który dziś nie ma dla niej dość słów oburzenia i zgrozy, wytrzymał lat parę w redakcyi tejsamej *Gazety?* Nie! jeżeli wszystko inne co o sobie mówią, jest kłamstwem, to jedno (a to przecież prawdą być musi), to jedno wystarcza, żeby pokazać, co oni oba warci, i że są warci siebie: to samo powinno obu potępić stanowczo i nieodwołalnie, nie przed urzędem sądowym, ale przed sądem opinii. Bo cóż sądzić o dziennikarzu, który w piśmie swojem używa człowieka, którego ma za zdolnego kradzieży, i co sądzić o człowieku, który może zostawać i pracować w Redakcyi Pisma, które ma za zdolne przekupstwa i donosicielstwa?

Tymczasem jeden i drugi przemawiają językiem samego honoru i cnoty: sądząc ze słów, możnaby myśleć, że Bayard nie był bardziej od nich bez zarzutu, ani sławny Zawisza pewniejszym. Co za wspaniałe wykrzykniki oburzenia i zgrozy! co za anielskie pudory dziewiczej niewinności, gdy *Gazeta Narodowa* upomina się za sponiewieraną godnością opinii publicznej, a Dziennik, *Dziennik Polski!* strofuje Gazetę za oszczerstwa i potwarze. Że mu się też nie przypomni przysłowie o kotle i garnku, jemu co smolił i smoli tak dobrze jak Gazeta, jeżeli nie lepiej. Zupełnie zaś komicznem, gdyby nie było tak oburzającem, jest to przekonanie o własnej godności, z jakiem właściciel i wydawca Dziennika kładzie na swoją głowę wieńce obywatelskiej zasługi, własną ręką ma się rozumieć, jak Napoleon koronę, choć z innych może powodów: „Historya Galicyi — pi-

sze on w swoim liście III z 25 października — powie kiedyś, że *Dziennik Polski* był biczem bożym, który karał grzeszników, a bronił niewinnych". Doprawdy zapytać ma się ochotę kogo tu nie oszukują, bo oczywiście nikogo, ale kogo oszukać się spodziewają? Albo gdy w tymsamym liście tłómacząc przeciwnikowi powody swojej niezwyciężoności, mówi, że „Dziennik jako reprezentant całego stronnictwa, mógłby dopiero wtedy runąć, gdyby wpierw zaginęło całe jego stronnictwo. Dlatego dziś *ja go trzymam,* a jutro znajdą się inni, którzy mu zginąć nie dadzą".

Jeżeli istotnie jest stronnictwo, reprezentowane przez Dziennik trzymany przez tego Atlasa, to niech stronnictwo to przyjąć raczy nasze najniższe powinszowanie z okazyi szczęśliwego wyboru chorążego, którego rękom sztandarswój zwierzyło. Ale ta szumna grandilokwencya, ta bezczelna hypokryzya, ta oburzająca maskarada, w której bohaterowie gorszących zajść i procesów przebierają się za Katonów i Rejtanów, nie pomnąc, że tylko co sami naiwnie potępili się własnem zeznaniem, to doprawdy więcej niż zwykła ludzka cierpliwość znieść może.

A nasza Opinija Publiczna znosi wszystko, na wszystko pozwala, i nie szanując sama siebie podaje się w coraz większe lekceważenie i pogardę. Jak jest lekceważoną może sama nie wie, może się nad tem nie zastanowiła: ale poznać może z jednego drobnego faktu, o którym wspomnieć nam trudno i przykro, ale który tę stronę naszych stosunków maluje tak wyraźnie i dobitnie, że pominąć go nie możemy. Jeden z tych dwóch rozżartych na siebie dzienników, podług powszechnego mniemania ma być zależnym od Ministra pana Ziemiałkowskiego: mniemanie to, słuszne lub nie, jest tak utartem,

że nawet pisma zagraniczne mówiąc o *Dzienniku Polskim* dodają mu epitet *Das Ziemiałkowskische Organ. Dziennik Polski,* może być zupełnie niewinnym; ale jest oczywiście przez tę smutną polemikę bardzo skompromitowanym, i takim zostanie, dopóki jego właściciel i wydawca oczyszczonym nie będzie. W tym stanie rzeczy zdawałoby się naturalnem i koniecznem, żeby J. Eksc. Pan Minister, jeżeli z tym dziennikiem stosunków nie ma, głośno i jawnie podał to do publicznej wiadomości, albo jeżeli stosunki te ma, żeby usunął z Dziennika tego wydawcę: bo przecież nie już cześć, ale najprostsza przyzwoitość wymaga, żeby tych dwóch nazwisk nikt łączyć, tych dwóch ludzi nikt na żadnem polu obok siebie widzieć nie mógł. Tymczasem dotąd na krok taki ze strony Pana Ministra czekamy, z wielkiem zdziwieniem, że czekać musimy tak długo. I dla czego? czy J. Eksc. pan Ziemiałkowski nie ma uczucia tego co przystoi? Owszem, ma je, i bardzo żywe, on, który rozumie, że człowiek na wysokim urzędzie w przedsiębiorstwa i spekulacye wdawać się nie powinien, bo niedość mu być uczciwym, jemu trzeba, jak żonie Cezara, nie módz nawet być posądzonym. Pan Ziemiałkowski, który to wie, który się tej reguły trzyma, przecież dotąd nie uczuł potrzeby ani wyparcia się stosunków z *Dziennikiem Polskim,* jeżeli ich nie ma, ani, jeżeli je ma, oczyszczenia *Dziennika.* A kiedy szukamy powodu tej dziwnej w tym razie obojętności, odgadnąć go nie umiemy zgoła; tylko po fakcie sądząc, widzimy jasno, że J. Ekscellencya Pan Minister musi mieć bardzo liche wyobrażenie o Opinii Publicznej w swoim kraju i bardzo ją lekko ważyć, kiedy tej rzeczy tak prostej dotąd zrobić nie uznał za potrzebne.

I czyż jesteśmy doprawdy społeczeństwem tak nisko upadłem, tak nawskróś zdemoralizowanem, że takie dziennikarstwo znosimy, dajemy mu nad sobą przewodzić, że takie gorszące rzeczy mogą się u nas zdarzać i uchodzą bezkarnie? czy kłótnia *Gazety Narodowej z Dziennikiem Polskim* miałaby być charakterystycznym znakiem naszych stosunków, a one same naszymi reprezentantami, może naszem zwierciadłem? O, pomimo wszystkiego w to uwierzyć za ciężko, za boleśnie! ale żeby zupełnie tak nie było, tem sobie darmo nie podchlebiajmy. Zwierciadło może pokazuje nasz obraz szpetniejszym, obrzydliwszym niż jest w istocie: ale pewne rysy podobieństwa przecież tam są, bo w dziennikarstwie jak w fotografii stan umysłowy i moralny społeczeństwa odbić się może nie całkiem wiernie, może w karykaturze, ale odbić się w niem musi zawsze i podobieństwa zupełnie stracić nie może, a w zdrożnościach naszych pism publicznych łatwo poznać możemy właściwe nam wady. One nie mają zasad i politycznego zmysłu, bo my go nie mamy: one zmieniają front za każdym powiewem wiatru, piszą płocho, bezmyślnie, z dnia na dzień inaczej, taksamo jak my nie wiemy czego chcemy, czego się trzymamy; one szkalują i kłamią, bo my kłamstw i oszczerstw radzi słuchamy; one spekulują i spekulacyom służą, bo i nas niestety nieraz na giełdzie widziały; one jedne głośniej od drugich powtarzają popularne hasła i licytują się jedne nad drugie w patryotycznych nigdy nie spłaconych offertach, bo się licytacyi podobnych u nas napatrzyły. A jeżeli nas w złem przeszły, jeżeli nas niejeden raz do złego wiodły i jego uczyły, to na obronę swoją zawsze powiedzieć mogą jedno: oto że myśmy je wychowali, a uczeń, choćby mistrza prześci-

gnął, zawsze mu pierwsze wykształcenie swoje zawdzięcza.

Bo kiedy się szuka powodów tego sromotnego stanu naszego dziennikarstwa, znajduje się ich najwięcej — w nas samych! Przedewszystkiem nie żądaliśmy od niego nigdy uczciwości i prawdy. Czy mówiło o ojczyźnie, czy o ludziach, o polityce, czy o sprawach prywatnych, pozwalaliśmy mu zawsze naciągać, przekręcać, i kłamać. Przypomnijmy sobie te pamiętne z roku 1863 *głuchę wieści z mętnych źródeł*, te zwycięztwa i siły powstańców, z których, jeżeliśmy nad niemi nie płakali, śmialiśmy się jak augury udając jednak zawsze, że w nie wierzymy: i porachujmy się ze sumieniem, czy nam te zmyślania wyszły na dobre? Przypomnijmy sobie czasy uchwalania i powtarzania w naszym sejmie owej *Rezolucyi* z roku 1868, i popatrzmy wstecz co z niej dzienniki nasze robiły: jakie napozór hasła i programy dla kraju, jaką naprawdę broń na ludzi, i obliczmy ile nam te hasła, te programy, te mniemane sztucznie wyśrubowane sztandary przyniosły korzyści? zajrzyjmy w dzieje Delegacyi w Radzie Państwa, i policzmy wiele to ona popełniła błędów, wiele pożytków straciła przez to jedynie, że oglądała się na dzienniki i słuchała haseł, które one powtarzały hucznie i głośno jak trąby, a bezmyślnie jak papugi? A gdybyśmy od początku na takie przesady, na takie frazesy, na takie przekręcania i fałsze nie byli patrzyli cierpliwie i spokojnie, wiele bylibyśmy sobie mogli oszczędzić istotnych i ciężkich szkód politycznych?

Tak było w sprawach publicznych. A z ludźmi? Kto zliczy tych, których dzienniki lwowskie krzywdziły? Kogo one nie oszkalowały, nie obrzuciły błotem i po-

twarzą, kogo nie zrobiły oszustem, złodziejem publicznego grosza, podłym ambitnikiem, zdrajcą kraju? Kto przed tymi niepokalanymi był czystym, kto uczciwym przed tymi Arystidami?

Deputés, Senateurs, Ministres, Roi, Dieu même,
Ils ont tout calomnié...

A kto się kiedy za spotwarzonymi ujął, kto stanął w ich obronie? kto miał kiedy odwagę powiedzieć tym dziennikom, że potwarz to podłość? Wstańmy jeden za drugim, ilu nas jest, którzyśmy mniej czy więcej o publiczne życie się otarli, i policzmy od pana Namiestnika Gołuchowskiego, od księcia Marszałka Sapiehy i pana Ministra Ziemiałkowskiego do najskromniejszego z posłów lub publicystów, czy jest między nami choć jeden, któryby żadnej nigdy od nich krzywdy nie był poniósł? Ale nie mówmy o żyjących, weźmy przykład zmarłego jako wygodniejszy i wymowniejszy. Pamiętacie Adama Potockiego? Prawda? był człowiek dzielny i co się nazywa porządny, chciał dobrze, radził rozumnie, działał szlachetnie. — „A któż mówi, któżby śmiał mówić inaczej?“ — Doprawdy? tak się wam dziś wydaje? Dziś nie ma tego kto o nim źle mówił, a jak któremu przypomnieć to przeczy, bo się wstydzi. A jak to było lat temu kilka? Jak to było, kiedy dzień prawie nie przeszedł, żeby dzienniki wasze nie obrzucały go błotem i nie kłóły szpilkami? Co zrobił to ukryta prywata, co powiedział to pycha, co chciał to podejrzane: i dość, żeby myśl jaka od niego była wyszła, żeby ją okrzyczeć za złą i zdradliwą, tak że nie mógł nic zrobić, nawet przyjąć miejsca w Radzie Szkolnej, żeby dzienniki te nie krzyczały na jego oligarchiczną ambicyę i na jego zdradzieckie zamiary. A wy, którzy go dziś

szanujecie i żałujecie, gdzieście podówczas byli? który z was kazał milczeć potwarcom? który powiedział, to co mówicie dziś, że to człowiek i Polak jak Pan Bóg przykazał? Żaden. Czytywaliście ciekawie *Gazetę Narodową* i *Dziennik Polski*, uśmiechając się dowcipnie, jeżeliście jeszcze do tego rąk nie zacierali z radości. A gdyby wtedy trochę z waszej strony oburzenia, trochę wzgardy dla potwarzy, kto wie, może te dzienniki byłyby się opamiętały, może nie byłyby się tak na wszystko rozpasały. Ale nie, ani względem kraju, ani względem ludzi, uczciwości i prawdy nie żądaliście od nich nigdy, boście im zawsze fałsz i naciąganie płazem puszczali.

Drugim znowu powodem ich poniżenia i upadku jest to, żeście się ich zawsze bali. Ostro przeciw nim wystąpić, skarcić surowo? jakże, kiedy one wtedy na mnie rzucić się gotowe! a jeżeli miło jest przypatrywać się z bezpiecznego miejsca, jak szarpią drugiego, to samemu szarpanym być, nieprzyjemnie, a człowiek roztropny wie

„jak jest niebezpiecznie
z dziennikarzami nie być dosyć grzecznie“.

A że bez *ale* nie jest nikt, że każdy mógł nie być dość roztropnym, albo w czem pobłądzić, albo poczuwać się do jakiej śmieszności, więc każdy, wiedząc, że informacye i krytyki dzienników nie zatrzymają się na granicy jego publicznego zawodu, ale przestąpią próg jego domu i jego prywatnego życia, drżał ze strachu i na wszystko przystać był gotów, byle jego zostawiono w spokoju! Baliście się tych dzienników jak ognia, baliście się ich jak ostatni tchórze: i w tem występnem waszem

dla nich pobłażaniu, jak w niejednym naszym kroku, nawet politycznym niestety, poszukawszy dobrze, na dnie znalazłby się jako główny powód: strach!

Od tego strachu, od tej uległości i powolności, zasłonićby was mogła rzecz jedna, której nieszczęściem w Galicyi szukamy napróżno. Odwaga cywilna i publiczna godność, w indywiduach znaleźć się może zawsze: ale zbiorowa w społeczeństwie znaleźć się, a zwłaszcza trwać może tylko wtedy, jeżeli ma się o co oprzeć, gdzie skupić i obronić. Takiemi naturalnemi, ale najsilniejszemi dla niej szańcami, są wielkie i znaczące w kraju stanowiska i powagi, nie urzędowe, nie majątkowe, nie rodowe, ale moralne. Jak jedna poważna matrona, jeden dom uczciwy, może towarzystwo całego miasta od złego uchować, lub nawet naprawić, (a wiadomo jak skutecznym i potężnym był niegdyś pod tym względem w Warszawie wpływ pani kasztelanowej Połanieckiej naprzykład lub pani ordynatowej Zamoyskiej) — tak i w tych stosunkach szerszych, gdzie chodzi o godność nie kobiet, lecz mężczyzn, a często i całego kraju, taka moralna powaga kilku ludzi, których przeszłość, charakter, patryotyzm, wzbudzić musi u wszystkich cześć i zaufanie, jest naturalnym środkiem ciężkości, do którego dąży opinija i sumienie publiczne: punktem, w którym się wyrabia godna i odważna postawa społeczeństwa naprzeciw swoich i obcych. I znowu Warszawa za Królestwa Kongresowego stawia nam wzory takich ludzi i takich powag: naprzykład, dziennik, przeciw któremu byłby się oświadczył Niemcewicz, książę Adam Czartoryski, Matuszewicz, Staszyc, Stanisław Potocki, Woronicz, Koźmian, Brodziński, byłby musiał na zdanie ich zważać, poprawić się, albo znaczną część wpływu swego

utracić. W naszej Galicyi powag takich dobroczynnych nie było nigdy: nie było ich kiedy za Arcyksięcia Ferdynanda Este, Lwów zbyt się uniżał przed figurami rządowemi; nie było w roku 1848, kiedy znowu zbytecznie ulegał, tylko komu innemu; nie ma ich i dziś. I to nietyle może z braku ludzi stanowisko takie zająć godnych i zdolnych, ile raczej z jakiejś u nas już wyrobionej niezdolności szanowania i skłonności podejrzywania: z jakiegoś szkodliwego sceptycyzmu, z jakim patrzymy na wszystko, i na wszystkich. I rzecz godna uwagi: w zachodniej części kraju, gdzie takich moralnych powag i ich uznania było więcej, było też znacznie mniej wybryków i nadużyć na polu publicystyki.

Gdyby zapytać dalej, co jeszcze prócz tego dziennikom naszym szkodzi, trzebaby bez wahania wymienić Wiedeń. Ten wiele dobrego zrobił u nas od stu lat swoim przykładem, o bardzo wiele! Zaczął od tego, że ludzi możniejszych nauczył się płaszczyć, ubiegać za orderami, tytułami, szambelańskiemi kluczami, słowem wielu z nich pozbawił godności, godności swoje im ofiarując. Potem, stworzył u nas rodzaj ludzi nieznośny, rodzaj Wiedeńczyków *in partibus Polonorum*, dandysów niby, ale dandysów w złym gatunku, podobniejszych do kielnera, dżokieja, lub perukarza, niż do człowieka z wielkiego świata. Eleganci warszawscy z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa, mogli być niewiele warci, próżniaki, utracyusze, złych obyczajów: ale przynajmniej był u nich polor elegancyi prawdziwej, był wdzięk dowcipu, wykwintnego wychowania i smaku; modny panicz wychowany na przykładach francuskich, fanfaron, fircyk, do niczego, był przynajmniej elegantem prawdziwym i udatnym fircykiem. Modny panicz

lwowski, fanfaronujący z niemiecka, naśladujący ułożeniem, rozmową, strojem *cavalierów* wiedeńskich, dla którego ideałem marzeń był *Praterfahrt* w towarzystwie paniczów niemieckich, a rajem *Herren-Casino*, był nawet fircykiem w złym stylu i smaku. Źle udawał nieszczególnego zresztą eleganta wiedeńskiego, z którym naprawdę nigdy nawet w zażyłych stosunkach nie był, tylko conajwięcej być chciał, mniemał że udawał. Swoją ojczyznę zaś zbogacił i uszczęśliwił nowym nabytkiem, typem nigdy przedtem niewidzianym, *galicyjskiego Hrabiego*, typem komicznym, którego charakterystycznemi cechami są fanfaronada bez miary i granic, elegancya fałszywa i przesadna w układzie, w ubiorze i w mowie, tytuł wątpliwej autentyczności, głowa zawsze, a kieszeń najczęściej pusta. Typ tak w całej Polsce znany, i tak wyśmiany, że każdy kto ztąd przyjedzie do Warszawy, czy do Wilna, do Poznania, czy do Berdyczowa, zawsze musi spotkać się z uprzedzeniem, i jeżeli chce być uważanym za człowieka, przedewszystkiem przekonać musi, że nie jest *galicyjskim Hrabią*. To jeden z pożytków, któreśmy z naszych stosunków z Wiedniem odnieśli.

Gorszym była giełda. Przykład zgubny i pokusa niebezpieczna wielkich zarobków bez pracy, wielkich majątków wyrastających z niczego, z pod ziemi, jak grzyby w przeciągu jednej doby: przykład i pokusa, które niejednego u nas uniosły, a przywiodły do utraty majątku, a nieraz i honoru i uczciwości.

Otóż Wiedeń także, wiedeńskie dzienniki, ze swojemi wielkiemi zyskami, i swojemi obyczajami, z tą zasadą, jedyną jaką mają, że do zysku dojść można i należy jakiemibądź środkami, reklamą czy zastraszeniem,

insynuacyą czy otwartą potwarzą, prośbą czy groźbą, dzienniki wiedeńskie przykładem swoim wpłynęły fatalnie na nasze. Jeżeli ten lub ów dziennik w stolicy Państwa, temi środkami działając, temi broniami wojując, doszedł do tego, że ma trzydzieści przypuśćmy tysięcy abonentów, że wartość jego obliczona na kapitał wynosi miliony, a stanowisko takie, że trzęsie Parlamentem i Gabinetem, dla czegóżbym ja, w stolicy jednej prowincyi temisamemi sposobami nie mógł zdobyć abonentów bodaj pięć tysięcy, i trząść sejmem krajowym? Rachunek prosty, rozumowanie naturalne zupełnie i wcale nawet trafne; a przez nie stało się, że do dobrodziejstw, jakie zawdzięczyć mamy Wiedniowi, doliczyć jeszcze trzeba i demoralizacyę naszego dziennikarstwa.

Zachodzi tu jednak mała różnica, której pominąć nie możemy. Dziennikarstwo wiedeńskie z niektóremi wyjątkami jest pod względem moralnym ohydnem, obrzydliwem: ale są w Wiedniu bezsprzecznie dzienniki redagowane z talentem, odznaczające się staranną, nawet czasem wykwintną formą. Czytać można w nich tak w dziale politycznym jak krytycznym, artykuły znakomite, które stylem, formą, polotem myśli, zająć mogą i przywiązać czytelnika. Tam więc słabość królowej Opinii do kochanka da się wytłómaczyć poniekąd jego ujmującemi formami, intelligencyą, dowcipem, słowem temi zewnętrznemi zaletami, które olśnić mogą kobietę. Ale u nas cóż powiedzieć o dobrym smaku, o estetycznem poczuciu królowej Opinii, która rozmiłowaną jest w kochanku, o gburowatem obejściu, głupim jak stołowe nogi, brudnym, nie wymytym, nie zmieniającym koszuli, z czarnemi paznokciami i nie wyczyszczonemi

zębami, w kochanku, który upija się wódką, kłamie bez dowcipu, i co chwila zdradza się z grubą ignorancyą, za którą królowa wstydzićby się powinna i rumienić, gdyby była w stanie zmierzyć jej bezdenność. Czemże są bowiem owe szpalty dzienników lwowskich? Oto zbiorem niedorzeczności, przesad, płaskich konceptów, w oczy bijących kłamstw, redagowanych złą polszczyzną, przeplataną galicyzmami i okresami dosłownie z niemieckiego przełożonemi? Z wyjątkiem *Czasu,* którego numer przeczytawszy, wie się dokładnie co rzeczywiście w danej chwili zaszło w świecie, każdy rozsądny nienaiwny człowiek przeczytawszy dzienniki nasze, nie może mieć innego uczucia, jak tylko to, iż został najohydniej okłamanym tak w najważniejszych jak w najdrobniejszych sprawach, okłamanym i oszukanym bodaj czy nie częściej przez głupotę i nieuctwo piszących, jak przez ich nieuczciwość. Niedorzeczność, zły smak, przesada we wszystkiem i o wszystkiem, zaniedbanie stylu, ignorancya historyczna, literacka, i estetyczna, fanfaronady gimnazyalistów, studenckie sądy o wszystkiem, tak o dogmatach wiary jak o teatrze, płaskie dowcipy o mizernych osobistościach monotonnie powtarzające się, reklama bez werwy i w najgorszym gatunku, osobistości, szalbierstwo faktorskie, oklepane frazesa, słowem plewy na młode, na bardzo młode wróble, oto mięszanina, niesmaczna, na smalcu ugotowana i na pół zimna, którą lwowscy dziennikarze podają jako codzienną strawę czytającej publiczności! I ta publiczność zjada ją, bez skrzywienia się, bez zaprotestowania, bez upomnienia się o coś lepszego i zdrowego! Ależ na miłość boską, gdyby codziennie dawano podobne pożywienie kajdaniarzom w kryminale, zdobyliby się na protestacyę i upo-

mnieli się u władzy o coś zdrowszego! A nasza publiczność milczy, zjada, i cieszy się, jeżeli czasem ową strawę zaprawią sokiem zgniłej cytryny, lub wywietrzałemi korzeniami! Czyż więc już zupełnie straciła nietylko zmysł moralny, ale także i podniebienie i węch; i czyż jest zarazem moralną i fizyczną kaleką!? Nieraz zadajemy sobie pytanie, co ją może przywiązywać do owego ohydnego, głupiego i obrzydliwego dziennikarstwa? I wtedy nie znajdujemy odpowiedzi na to pytanie! I to właśnie najczarniejsze nasuwa nam myśli, o zupełnej prostracyi, o zupełnem zatarciu się w niej zmysłu, tak co do treści, jak co do formy. Społeczeństwo zaś, które przestaje dbać tak o wewnętrzną jak o zewnętrzną wartość, wkracza w ciemności barbarzyństwa!

Wpływ więc Wiednia na lwowskie dziennikarstwo, jest widocznym, lecz jest on jednostronnym; lwowskie wzięły z wiedeńskiego wszystko co złe, zgniłe i zepsute, nie umiejąc przywłaszczyć sobie jego błyszczących barw, wygląda ono tak przy niem jak Hrabia galicyjski przy prawdziwym *Cavalier* wiedeńskim z wyższego świata, wygląda jak jego strzelec. I nic byśmy nie mieli przeciw temu, gdyby ta pospolitość form i obejścia odrazę mogła wzbudzić w królowej; lecz do rozpaczy nas doprowadza, że pomimo jego furmańskich i kelnerskich manier, nie przestaje ona cierpieć i znosić kochanka, pozbawionego jednocześnie wszelkiej wartości moralnej i intellektualnej. Wpływ Wiednia tem groźniejszym stać się musi, jeżeli brać będziemy z niego wszystko co złe i ohydne, a nie potrafimy przywłaszczyć sobie tego, co tam ma rzeczywistą wartość.

Jednak wszystkie te powody i wpływy, czy zewnętrznych przykładów, czy naszego własnego braku opinii, odwagi i dobrego smaku, nie zdołałyby złego sprowadzić, gdyby wyższe w publicystach samych było pojęcie ich zawodu i stanowiska: dowód na to najlepszy, że w tymsamym kraju i w tychsamych warunkach *Czas* umiał zawsze być dziennikiem honorowym i nieskazitelnym. Nieszczęściem nie wszyscy tak jak on powołanie i obowiązki swoje rozumieją, a cześć swoją tak wysoko noszą. Strach patrzeć, jak się u nas dzienniki zakładają, a ich redakcye składają. W teoryi nic piękniejszego, nic wyższego jak prasa, organ opinii, kapłanka publicznego ducha i sumienia, nimfa Egeria publicznego rozumu! W praktyce w organ ten dmie fałszywo każdy, który zechce odpustowy organista, Westalka prostytuuje się pierwszemu lepszemu, a Egeria natchnienia swoje czerpie w brukowej mądrości i w sprawozdaniach giełdowych. Do tego kapłańskiego, jakim niby jest a być powinien, dziennikarskiego stanu kto i jak u nas się zabiera? Student, który examinów nie zdał, na nauczycielstwie prywatnem źle wyszedł, próbował różnych zawodów, a do żadnego dość zdatnym i pilnym nie był: zbankrutowany dyletant, literat własnego autoramentu, który nic porządnie pisać nie umiał, a do pisarstwa wziął się dlatego tylko, bo myślał, że ono pracą nie jest, kiedy już w żaden inny sposób poradzić sobie nie może, wstępuje do redakcyi dziennika. W głowie, z małemi wyjątkami, nie ma nic prócz pochwytanych tu i owdzie frazesów; w charakterze, nic prócz nieograniczonej pewności siebie; w sercu zwłaszcza nic, nic zgoła, chyba tylko trochę kwasu i jadu, nienawiści społecznej. Ale żąda mało, ale piórem szermuje śmiało choć nie

zdolnie, ale da się użyć do wszystkiego! Więc go do redakcyi biorą nie pytając, jaki jest i co wart, uczciwy czy podejrzany, mądry czy głupi, zdolny czy do niczego: biorą i wysługują się nim, pewni, że się przed niczem nie zawaha i nie cofnie. Znalazł swój swego, złoto poszło do złota! i przez miodowe miesiące lub lata rzeczy idą zgodnie i gładko, w redakcyi tak i z takich złożonej, przyjaźń, miłość, jedność, zwłaszcza w szkalowaniu i szarpaniu: bo jedna jest prawdziwa między tymi ludźmi wspólność, nie zasad i przekonań, ale nienawiści i zazdrości! Z *rozbójniczego* więc *zameczka*, jak nieboszczyk ksiądz Kaysiewicz nazywał redakcye takich dzienników, organizują się wyprawy na tego lub owego, poczem koledzy za powrotem dzielą się chwałą i łupem. Niestety, budująca ta koleżeńska zgoda nie zwykła trwać długo, a historya, jak we wszystkich powieściach o podobnych zamkach lub jaskiniach, kończy się najczęściej buntem, albo zdradą. Raz znajdzie się podwładny, który przywidziawszy sobie, że zwierzchnik jego za wielką część łupów sobie przysądza, uzna się pokrzywdzonym i z towarzysza stanie się wrogiem; drugi raz jak w *Rinaldinim* lub w *Zbójcach* Schillera, jakiś niewdzięczny brzydki charakter zdradzi przyjaźń i wyda tajemnice zameczka: naprzykład o stosunkach komendanta z byłym bankiem F. J. Kirchmajera w sprawie sprzedaży dóbr rządowych lub innej podobnej, albo wydrukuje gdzieś listów parę, w których opowie, że komendant winien jest tej lub owej nocnej wyprawy, która w swoim czasie zrobiła pewne na publiczności wrażenie. Komendant wtedy zdjęty słusznem oburzeniem i zgrozą na tak czarną niewdzięczność i zdradę, odstrzeli się z podobnej broni, odpłaci tąsamą monetą, i ogłosi przed

światem, że kiedy on sam ogólnie tylko obrotami kierował, porucznik jego bawił się drobniejszemi wyprawami na własną rękę, powie coś o szufladach, kieszeniach, pularesach... i otóż, jak przez nieostrożność lub niedyskrecyę, dobra sława całego zameczka dostać się może na złe ludzkie języki.

A ludzie wtedy co? A *Królowa Opinija*, co powie na tych swoich ministrów i szambelanów? Zdegraduje, odda pod sąd, skaże na wygnanie? Oby tak! ale spodziewać się trudno. Ona już tyle wiedziała, zniosła tyle, że nie ma pono rzeczy, którejby nie przebaczyła. Wszak i królowa Anna wiedziała, że Mazarin milionami francuskiego skarbu zapełniał swoje kufry i piwnice: i królowa Karolina wiedziała, że Acton był nikczemnym łotrem, i królowa Marya Ludwika wiedziała, że Godoy był łupiezcą i złodziejem: a żadna nie miała odwagi wyrwać się ze sromotnego jarzma, w którem chodziła jak niewolnica, każda jak *dyabeł czy Pińczuk* z lubieżnością *siedziała w błocie, do którego przywykła.* A kiedy dobrze już faworyta swego zepsuła, kiedy ten coraz więcej próbując przekonał się, że nie ma rzeczy, którejby sobie z nią pozwolić nie mógł, wtedy choćby ją lżył i kopał, choćby własnemi usty z właściwym takim ludziom cynizmem wyznał, że ją oszukuje i zdradza, nieszczęśliwa spodlona kobieta jeszcze i wtedy drzwiby mu nie pokazała, bo ten nikczemnik stał się już dla niej nałogiem, bez którego obejść się nie może! *Nie śmiem źle tuszyć, nie śmiem, ale tutaj azaliż nie tak będzie!* Mówią niektórzy, że królowa okazuje jakieś słabe chęci poczucia się w swojej godności, że w Radzie miasta Lwowa jeden z tych dziennikarzy doznaje od pewnego czasu złego przyjęcia. Dobrzeby to było,

ale pod warunkiem, żeby wyrok zapadł nie na jednego tylko, lecz na obu! inaczej nie będzie on ani na dziś postępem ani na przyszłość nauką, nie będzie sprawiedliwem ukaraniem skandalu, ale tylko exekucyą jednego człowieka, stale lub chwilowo znienawidzonego. Tu, jeżeli opinija na prawdę chciałaby się podnieść, gdyby chciała być szanowaną i szanowną, gdyby wogóle być chciała, trzebaby, żeby zdobyła się na coś więcej jak potępienie ludzi: trzebaby, żeby wyparła się pism przez te zgorszenia zaszarzanych i wytartych. A na to trzeba odwagi! trzeba woli! trzeba takiego poczucia godności, takiego stopnia oburzenia, jakicheśmy jeszcze w opinii naszego kraju nie widzieli: i ze smutkiem, ale nie bez podobieństwa do prawdy wróżyć można, że wszystko znowu nadal zostanie jak było, po dawnemu. Że w procesie, jeżeli będzie proces, sądy orzekną, że dowodów nie ma (istotnie na zarzucone z obu stron uczynki trudnoby dziś dowody się znalazły [1]), a oskarżyciel i oskarżony, dumni i silni tą swoją niewinnością prawną, chodzić będą jak przedtem z czołem pogodnem i podniesionem, drwiąc z niewinności moralnej, bo ta należy do trybunału honoru i sumienia, który na grzywny ani na turmę skazać nie może. A wy, wy będziecie jak przedtem ich nie szanować, jak przedtem im nie wierzyć, jak przedtem — ich czytać, jak przedtem słuchać, i jak przedtem ich się bać!

Czy jest na to jaka rada? Rada?! Nie ma żadnej. Rada może być tam tylko, gdzie jest wola. Jeżeli chodzi o osoby tylko, rzecz łatwiejsza, bo osoby umierają,

---

[1]) Sprawa skończyła się tak, że obie strony odstąpiły od skargi; sądu i wyroku nie było.

i gdy Karolina Brunświcka sponiewiera godność korony angielskiej, niesławę swoją zaniesie z sobą do grobu, a po niej przejść może jakaś uczciwa Wiktorya i honor w całości utrzyma. Ale gdy Królowa Opinija raz poniżyć się dała, a sama podnieść się nie chce lub nie umie, to chyba lata i nowe pokolenia naprawić zdołają co się zepsuło. Że w naszej „Danii jest coś spróchniałego“, tego nie najmniej dowodzą te wstydliwe a bezkarne zgorszenia wśród naszej publicystyki: ale przeciw tej spróchniałości, jakie *antidotum*, Bóg raczy wiedzieć. Mówią nam o stronnictwach, zachowawczych, postępowych? Te nie pomogą. Krzątamy się około wielu, a właściwie jednego byłoby nam potrzeba, stronnictwa porządnych ludzi. Ci niechby byli czemby chcieli, arystokratami, demokratami, republikanami, monarchistami, niechby socyalistami i komunistami nawet, byle uczciwymi ludźmi, ludźmi honoru, dobrej wiary i jednego słowa: byle nie kłamali i kłamać nie pozwalali, byle w brudnych spekulacyach rąk nie maczali, i byli w całem znaczeniu słowa *porządnymi ludźmi.* Na takich młode pokolenie wychować, to jedyna jeszcze dla kraju przyszłość i ratunek. Bo nasze pokolenie zawiele już widziało, zawiele zniosło i pozwoliło, zbyt się ze złem otarło, i zbyt niestety w niem samo wytarło, żeby wierzyć jeszcze można w narodzenie się pośród niego poważnej i odważnej, surowej a sprawiedliwej, jednem słowem prawdziwej opinii publicznej. Wprawdzieć to dźwignąć się można zawsze i z najgłębszego upadku, ale trzeba chcieć...

A biedna, biedna opinijo, biedna spodlona królowo, czy ty zechcesz podnieść się ze swego poniżenia, stanąć, i zawołać „Jestem!“ Sposobności ci nie brak, nie brak

powodów, ale wolę i siłę czy w sobie znajdziesz? A bez tego jakże ci poradzić? jak cię obronić i wyzwolić od tych twoich zauszników, pochlebców, i faworytów, jeżeli sama dobrowolnie zostajesz w ich mocy, haniebnej podległości swojej nie czując! Róbże sobie jak chcesz, śpij jak sobie sama pościelesz, i miej na coś zasłużyła. Ale pamiętaj: na dziś, czy na później, i rozważ to dobrze, że o wszelkiej niewoli, jakiegobądź rodzaju i pochodzenia, prawdą jest, co powiedział poeta:

„Że samo tylko upodlenie ducha
Swobodną szyję zgina do łańcucha“.

OBRACHUNEK „PRZEGLĄDU POLSKIEGO“

PO DZIESIĘCIU LATACH JEGO ISTNIENIA.

„Artykuł ten, ogłoszony w *Przeglądzie Polskim* z 1-go lipca 1876 roku, dotyka wielu kwestyj dziś przestarzałych i obojętnych, zawiera niektóre obawy niesprawdzone, pomija inne wtedy niedostrzeżone; dziś więc może słusznie wydać się częścią mylnym, częścią nudnym, a więc niepotrzebnym. Po rozważnym namyśle jednak postanowiliśmy go przedrukować, bo cokolwiek w nim mylne lub niegodne pamięci, określa on wiernie zasady i dążności, a opisuje dokładnie zamiary i czynności grona ludzi czy stronnictwa, do których autor jego należał i zawsze należy, i pisma, które tym zasadom i dążnościom służyło. Od tego czasu zmieniło się tyle w naszych stosunkach, że niejeden ówczesny zamysł lub krok musi wydawać się mylnym albo niepraktycznym: ale ogólne warunki naszego położenia w Europie, nasz stosunek do Państwa Austryjackiego, główne pierwiastki i czynniki złe czy dobre naszego wewnętrznego stanu, te się w istocie swojej nie zmieniły, jak nie zmieniło się nasze o nich pojęcie. Jako wiadomość zatem o stosunku jednego i dość znaczącego odcienia opinii polskiej, do ogólnych i do krajowych spraw politycznych w pewnym przeciągu czasu, artykuł ten może się kiedy w przyszłości komu przydać.

Dziesięć lat temu, wychodził pierwszy zeszyt *Przeglądu Polskiego:* dziesięć lat temu, trzech lub czterech ludzi, młodych jeszcze podówczas, zawiązało się w Redakcyę pisma peryodycznego, w nadziei że potrafią coś zrobić i na coś się przydać. Dziś, kiedy z tych nadziei nie było skutków, ale było choć trochę usiłowań, i kiedy za niemi jest przebyty kawał czasu tak duży, że znaczy zawsze nietylko w życiu ludzkiem, ale i w życiu społeczeństw, przychodzi nam chęć naturalna i łatwa do zrozumienia, obejrzenia się po za siebie na te ubiegłe lata, przypomnienia sobie co się w ich ciągu stało i cośmy robili. Ludzie rządni i gospodarni zwykli co pewien okres czasu obliczać rzeczywisty stan swego majątku, ludzie pobożni zwykli robić spowiedź powszechną i w sumarycznym rachunku sumienia zdawać sobie sprawę z przejść i błędów tej części swego życia; czemużby pismom nie miało być wolno pójść za tym przykładem i trzymać się tego dobrego zwyczaju? Wszak i one mają życie, i one choćby najmniej wywierały wpływu, mają zawsze swoją maleńką historyę; mogą i błądzić i trafnie rzeczy sądzić, mogą radzić źle albo dobrze, mogą chcieć dobrze a widzieć i radzić mylnie, a wszystko to staje się złym lub dobrym uczynkiem pisma, którego całem działaniem jest słowo. Te uczynki przypomnieć i rozważyć, ten rachunek sumie-

nia dla pisma zrobić, może być rzeczą dla czytelnika obojętną zapewne, ale dla pisma tak pożyteczną i zdrową, żeśmy się oprzeć nie mogli tej chęci pomówienia o niem, i o jego, nie działaniach (bo to wyrażenie dla niego za wielkie), ale usiłowaniach. Pokaże się z tego obrachunku, który dla spokojności własnego sumienia zrobić chcemy, czy i o ile odpowiedzieliśmy naszemu zadaniu, czy rozumieliśmy dobrze, a spełniali choć nie dobrze ale uczciwie ten pierwszy obowiązek pism publicznych, którym jest dobra wiara względem sprawy i ludzi; pokaże się czyśmy dobro sprawy dobrze rozumieć umieli i wedle możności go bronić, lub też czyśmy się w tych obowiązkach z jakiegokolwiek powodu (zboczenia woli czy pobłądzenia sądu) zaniedbali; pokaże się może nam samym, kiedy, w czem, lub dla czego nie zrobiliśmy tyle lub tak jakeśmy byli powinni. Dla nas jest to rzecz tak ważna, że zrobić ją czujemy wielką potrzebę; czytelników zaś naszych przepraszamy, że ich sobą i sprawami swojemi zatrudniamy. Niech wybaczą przez wzgląd na dobry zamiar, który nami kieruje.

Co się najpewniej z takiego obrachunku, z takiego przeglądu naszych dziesięcioletnich prac dziennikarskich pokaże, co się nawet pokazywać nie potrzebuje, bo jest widoczne i wszystkim, a nam samym najlepiej wiadome, to, że jesteśmy pobici. Pobici na całej linii i na wszystkich jej punktach: pobici w tem wszystkiem cośmy robili lub przynajmniej robić chcieli. Pobici jako Polacy we wszystkich interesach naszej sprawy, i pobici jako pismo we wszystkich jego dążnościach. Jako Polacy w ogólnej polityce i sprawie narodu, pobici ze wszystkiem pospołu, skoro świat dziś zdaje się oddanym na pastwę Prusom i Rosyi, a na jak długo, to Bogu jed-

nemu wiedzieć. Pobici w Austryi, w tem cośmy pojmowali, czegośmy szczerze pragnęli jako jej i naszej własnej przyszłości, skoro mamy Radę Państwa z bezpośrednich wyborów gorszą dla nas, a bodaj nie gorszą dla Państwa od tej, którą stworzyła była konstytucya Schmerlinga. Pobici w Galicyi, tak jak wszyscy, przez zmienione i okrojone atrybucye sejmu, przez organiczne defekta tkwiące we wszystkich naszych wybieralnych władzach: a więcej jak wszyscy w tem, że z myśli i zasad, których broniliśmy przez te lat dziesięć, żadna nie weszła w życie, że z naszych nadziei żadna się nie spełniła, że z walk jakie nam prowadzić się zdarzyło, żadna nie skończyła się zwycięztwem. Obstawaliśmy zawsze jakeśmy najlepiej mogli i umieli za lepszą organizacyą administracyjną, widząc w niej środek zaradczy na dezorganizacyę społeczną; wołaliśmy żeby znieść rozdział dworów i gromad w gminie, która tem jest prawie w organizmie społecznym, czem pierwotna komórka w organizmie fizycznym, i z tego nic. Myśleliśmy, może z pewnem złudzeniem, o rozwiązaniu kwestyi ruskiej, raczej o zagojeniu ruskiej rany, przez utwierdzenie Unii i polityczną ugodę; dziś Unii już prawie niema, a sprawa ruska nazywając się tu w Galicyi przynajmniej obszczo-ruską rozwiązuje się sama najprostszym sposobem, samobójstwem, od którego nie my wstrzymać ją zdołamy. Próbowaliśmy mówić o szkodliwości spisków i powstań bez warunków zwycięztwa: ogłoszono nas za zdrajców i nieprzyjaciół sprawy narodowej. Podjęliśmy walkę z jedną częścią naszego dziennikarstwa, bo nam się zdawało, że to nowe bóstwo naszego wieku, Prasa, powinna stać w przybytku prawdy czci i rozumu, a nie w kramie ani w karczmie; skutek

pokazał, żeśmy się mylili, i że wierni na takich właśnie miejscach chcą je widzieć, składać mu hołdy i słuchać jego wyroczni. Czegóż tu jeszcze brak? gdzie ta myśl, która przez nas podana, byłaby się rozeszła i przyjęła? gdzie to słowo, które byłoby się stało ciałem? gdzie ta walka, którąby nie była naszą przegraną? Chyba jedna tylko, jedna zasada, jeden punkt, w którym zwyciężonymi być nie możemy: jako katolicy możemy być prześladowanymi, nigdy pobitymi. Ale i tu czy tak pewnie i bezpiecznie liczyć na siebie możemy? Kościoła bramy piekielne nie przemogą; ale czy żadnej jego części nigdy nie zagarną, za to nikt nie zaręczył: a patrząc na pruskie i rosyjskie prześladowania, na tę materyalną zewnętrzną exterminacyę wiary i dezorganizacyę Kościoła, patrząc u nas na chłodną obojętność wielu, na niechęć ukrytą a niekiedy i jawną niektórych, na wpływ niemieckich i rosyjskich książek i pism peryodycznych, na szerzącą się zarazę filozofii pozytywnej, przychodzi nieraz zapytać, czy choć Kościół Powszechny ocaleje, Kościół polski nie zginie? Bo on nie samą tylko boską ale i ludzką wolą stoi, i zamyka go zwykle Bóg tam, gdzie ludzie chodzić do niego nie chcą. A choć spodziewać się i wierzyć należy, że wierność, tak powszechna i budująca, Wielkopolski od Prymasa do kmiecia, że wierność i stałość biskupów i duchowieństwa w Królestwie, że krew przelana na Podlasiu, przeważy złe, jakie być może w Warszawie czy w Poznaniu, w Krakowie czy we Lwowie, to jednak pod tym względem zupełnie bez obawy być trudno.

Strach popatrzeć ile złego przybyło, ile się namnożyło niebezpieczeństw i jak wzrosły, jak się wzmogły wszystkie siły przeciwne przez ciąg tych lat dziesięciu. Czy

siły polskie w tymsamym stosunku malały? czy złe rosło i piętrzyło się i rosło koło nas tylko, czy i w nas także? O to człowiek zapytać nie śmie, ze strachu żeby się nie dowiedział, nie śmie popatrzeć, żeby broń Boże, nie ujrzał: a jednak, trzeba starać się wiedzieć wszystko, trzeba oczy otwierać choćby i na najsmutniejsze widoki, trzeba widzieć wszystko za sobą, dokoła siebie i w sobie, jeżeli się chce dobrze patrzeć przed siebie... może ta rekapitulacya skromnych dziejów jednego mało znaczącego pisma, pomoże nam do takiego rozpatrzenia się wokoło siebie i w sobie, i do spojrzenia przed siebie.

I.

W tychsamych dniach kiedy nasz pierwszy zeszyt wychodził z pod prasy, spadła jak piorun bitwa pod Sadową na Europę, zdumioną i czekającą co dnia wiadomości o austryackich tryumfach. Austrya zbierała plon z zasiewu swojej polityki z roku 1863 i 1864, może i z dawniejszego jeszcze zasiewu: Francya stanęła na prostej drodze do Sedanu. Straszna to data w dziejach Europy ten 2 lipca 1866; ale na razie, choć było widocznem, że od niej musi się rozpocząć okres nowych wstrząśnień i wojen, nikt nie przewidywał, żeby to były dopiero *initia malorum.* Owszem zdawać się mogło, że te walki, skutek nieunikniony przewróconej zupełnie na korzyść Prus równowagi w Europie, skończą się równowagą prawdziwą i stałą. Że Austrya, która z lekcyi Fryderyka niedość skorzystała, dowie się wreszcie po lekcyi Bismarcka, gdzie są jej nieprzyjaciele prawdziwi; że Francya ujrzawszy się wobec

Niemiec Zjednoczonych, odrobiwszy własnemi rękami to co robiła od Franciszka I aż do Napoleona, zatrwożona o siebie, będzie musiała za cel swoich starań wziąć koalicyę, w której Austrya będzie naturalnym, głównym i pomimo przegranej zawsze silnym sprzymierzeńcem. Przyszłość Europy przedstawiała się podówczas jako wojna niedaleka, wojna Francyi i Austryi połączonej przeciwko Prusom: może i przeciw Rosyi, bo złe na tym świecie lepiej od dobrego swój interes rozumieć i swoich wspólników bronić umie. Taka wojna, zakończona możliwem choć niepewnem zwycięztwem dobrej, naszej strony, była dla nas wszystkich nadzieją i ideałem, jedynem możliwem nawiązaniem i rozwiązaniem sprawy polskiej, przez fizyczne terytoryalne oddzielenie Rosyi od Prus, a przyłączenie ziem polskich do Austryi. To była gwiazda polarna polityki, w którą trzymał oczy wlepione kto tylko miał oczy na tym biednym skołatanym polskim okręcie, okręcie bez kapitana i sternika niestety, z niższymi tylko conajwięcej oficerami, i z mało wprawną, mało umiejętną, mało karną załogą. Z tej załogi sługa może najniższy, ale niezły przecież, choćby przez to że się do steru nie rwał i gotów był słuchać każdego, ktoby mądrze rozkazywać chciał i umiał, *Przegląd* nasz, wiedział przynajmniej co owa gwiazda znaczyła, i patrzał w nią z nadzieją cierpliwą i na wodzy trzymaną, ale silną. To było dla nas celem i nadzieją polityki polskiej, to było duchem i dążnością naszego pisma: a środkiem było wszystko! Spokój wewnętrzny i dążenie do społecznej harmonii w naszym kraju; troskliwe unikanie i czynne usuwanie wszystkiego, co dla Austryi mogło być trudnością lub kłopotem; wierna i pewna zawsze

pomoc we wszystkiem, co jej siłę podnieść mogło, choćby nawet z poświęceniem niejednego ważnego, ale prowincyonalnego krajowego tylko interesu; umyślne milczenie o sobie i Polsce, opór stawiony wszelkim hałasom, wszelkim demonstracyom i manifestacyom; opozycya, nawet kiedy konieczna (a była nią często z winy większości Izb Wiedeńskich), zawsze łagodna i spokojna i niedopuszczająca do zerwania; oto co zdawało nam się drogą postępowania właściwą ze względu na przyszłość i dobro tak ojczyzny jak kraju, i co zdawało nam się drogą, którą iść będzie można.

Istotnie mówiono wtedy w Austryi *„die Bahn ist frei,“* droga jest otwarta i wolna dla każdego kraju z osobna do ubiegania się o warunki pomyślnego i narodowego życia: dla całego państwa, do takiego wewnętrznego przeobrażenia, które zgodne z jego naturą, wydałoby trwałe i dobre jego urządzenie. Rządził wtedy hr. Belcredi, Rada Państwa ciaśniejsza czy szczuplejsza, czy jakim tam oznaczona nielogicznym i niegramatycznym epitetem, była zawieszoną.

Sejm zwołany w jesieni roku 1865, a obradujący do wiosny 1866-go, był pierwszym w Galicyi, który obradował zupełnie swobodnie, a pomimo wszystkich trudności (głównie wewnętrznych), z jakiemi miał do walczenia, miał sam ufność, że coś sprawić zdoła i ufność tę wzbudzał. Patrząc dziś na jego rozprawy i uchwały, doznaje się przykrego wrażenia. Z jednej strony zazdrości się sobie samym tych nadziei czy złudzeń, jakie się miało przed dziesięciu laty, z drugiej robi się znowu sobie samym gorzkie wyrzuty, że z tylu spraw wtedy rozpoczętych ukończyliśmy tak mało, a zwłaszcza mało ukończyliśmy dobrze. Jak wspomnieć, że ostatnią znacz-

niejszą uchwałą ówczesnej sesyi była prośba o przyznanie Galicyi osobnego kanclerza, widzi się, jak od tamtego czasu postąpiliśmy w doświadczeniu, a jak cofnęliśmy się wstecz w spodziewanych i wcale nie przesadnie wielkich korzyściach! Któż dziś wystąpiłby z wnioskiem podobnym? chyba tensam, kto w jakiejś dziecinnej bajce chciał złapać rękami księżyc, odbijający się w wiadrze wody. Język polski w urzędzie i w szkole (jedno z głównych żądań ówczesnych), mamy wprawdzie i uznajemy to wdzięcznie; ale nie możemy przecież zapomnieć, że mamy go z mocy rozporządzenia tylko nie ustawy, ani przestać się obawiać, że dlatego danym nam był w tej formie, iżby kiedyś łatwiej mógł nam być odjętym. Organizacya szkół, podówczas także rozpoczęta, nie jest tak dobrą jak być mogła (zwichnęły ją niektóre pomysły, konieczne zapewne ze względów praktycznych), ani tak pewną jakby sądzić można, skoro samowolne reskrypta ministeryalne naruszyć ją mogły (jakeśmy to widzieli w sprawie mianowania dyrektorów gimnazyalnych); ale jest przynajmniej i jest oddawna. A nie o wszystkich sprawach wtedy rozpoczętych można tosamo powiedzieć. Wniosek o wykupnie propinacyi, który się wtedy po raz pierwszy zjawiał, jak świeżo zmienił się w ustawę? i to w jaką jeszcze? najgorszą, taką, która nie jest wykupnem ani wynagrodzeniem, tylko pozostawieniem *status quo* na pewną liczbę lat, i pozostawieniem jakiegoś choćby najdrobniejszego przywileju na zawsze. A ustawa gminna, wtedy uchwalona, wkrótce potem wprowadzona w życie, czy jest taką jak być powinna? czy są z niej jakie dobre skutki? Że się wtedy odrazu nie stało to, co się prędzej czy później ale koniecznie stać musi, jeżeli

w dzisiejszym składzie i stanie rzeczy zostaniemy, że nie przyszło do połączenia dworów i gromad w gminie, tego żałujemy mocno, bo zawsze to dziesięć lat i rzadkich lat spokoju, straconych dla wewnętrznego uporządkowania kraju. Ale jak pomyślimy, że wtedy z zaufaniem witaliśmy nową instytucyę Rad powiatowych, że garnęliśmy się z zapałem do tego co dziś okazało się częścią z natury, z winy ustawy, źle założonem, częścią z naszej winy źle prowadzonem, i co wegetuje smutno w obojętności lub ironicznej niechęci wielu, a trzyma się tylko wielkim mozołem i poświęceniem niektórych, znowu tęsknie żałować musimy naszych ówczesnych złudzeń i braku doświadczenia.

Bądź jak bądź, choć nie wszystko zrobiły co mogły i nie wszystko tak jak były powinny, sejmy ówczesne otoczone były powszechnem zajęciem, nawet zaufaniem. Zdawało się, że działać będą mogły, a pokazywały jakąś żywotność, rokującą że działać potrafią. Usterki tej lub owej uchwały, błędne widzenie rzeczy u pewnych osób lub stronnictw, to wszystko zdawało się możliwem do zmienienia i poprawienia; a była pewna energia, pewna ufność w siebie i w przyszłość, była niezaprzeczona dobra wola w rządzie centralnym. W takiem usposobieniu kraju obejmował bezpośrednie jego rządy zmarły przed rokiem hr. Gołuchowski, którego administracya więcej nam nierównie zrobiła dobrego, niżeśmy go sobie sami przez te lat dziesięć zrobili. W takiem usposobieniu zbierał się po raz drugi sejm roku 1866, a wiedząc, że niebawem rozpocząć się musi sprawa rewizyi konstytucyi w Austryi, zajął on stanowisko polityczne, równie godne, jak rozumnie obmyślane. Ze wszystkich, ile ich było, adresów galicyjskiego Sejmu,

żaden nie zastrzegł się tak silnie przeciw uroszczeniom i bezprawiom centralizacyi, żaden nie sformułował tak dobrze stosunku naszego kraju do Austryi. „Mamy wiarę — mówił sejm,... — że Austrya, aby być i silniej niż kiedy zakwitnąć, będzie w wewnętrznym swym ustroju najmocniejszym wyrazem poszanowanej wolności, a na zewnątrz tarczą cywilizacyi zachodu, praw narodowości, ludzkości i sprawiedliwości. Posłannictwo takie było naszem przez długie wieki“. Polityka krajowa i polityka narodowa była tu określoną wyraźnie, tak wyraźnie, że kiedy w zakończeniu adresu sejm mówił, iż „bez obawy odstępstwa od myśli naszej narodowej, z wiarą w posłannictwo Austryi i z ufnością w stanowczość zmian, które Twoje monarsze słowo jako niezmienny zamiar wyrzekło, oświadczamy, że przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy“ — Tylko zła wiara udawać mogła że nie rozumie, i że widzi w tych słowach właśnie owo odstępstwo od naszej narodowej myśli.

Ale jeszcze te słowa nie przebrzmiały, kiedy dał się słyszeć ton fałszywy, „jak zgrzyt żelaza po szkle“. — W sprawozdaniu swojem o tej sesyi sejmowej mówiło pismo nasze, że „niejeden wypadek, niejedna zmiana może jeszcze zajść i sprawić, że ludzie będą się naśmiewali z tego, co dziś wydaje im się pewnikiem, że Austrya sama swego posłannictwa i swego własnego dobra nie pozna“ — obawa ta wypowiedziana wtedy jako przypuszczalna możliwość, w której spełnienie wierzyć się nie chciało, sprawdziła się rychło. Zjawił się pierwszy symptomat zapowiadający, że Austrya własnego interesu należycie nie pojmowała, że zmiany wyrzeczone jako niewzruszony zamiar stanowczemi być

nie miały, że dawny duch centralistyczny, ten zły duch Austryi, który przez rządy Metternicha zgotował jej rok 1848, przez rządy Bacha rok 1859, przez rządy Schmerlinga i Mensdorffa rok 1864 i 1866, nie umarł, ale upokorzony i przytłumiony na chwilę, podnosił głowę na nowo. Patent cesarski z 2-go stycznia 1867 zwoływał nadzwyczajną Radę Państwa, jakoby konstytuantę do przyjęcia ugody z Węgrami i uchwalenia zmian potrzebnych wskutku tego w konstytucyi austryackiej: w miesiąc później hr. Belcredego już nie było u władzy, a bar. Beust jakimś odręcznym ministeryalnym reskryptem, datowanym z 4 lutego, zwoływał *„konstytucyjną“* Radę państwa, czyli dawny a przez półtora roku zawieszony *Engerer Reichsrath* pana Schmerlinga. Wracało wszystko, przeciw czemu Sejm protestował zawsze we wszystkich swoich odezwach od r. 1861 począwszy; wracał parlament zebrany na mocy ustawy wyborczej ułożonej tak przemyślnie, żeby nie mogła nigdy dać rzeczywistej reprezentacyi ludności krajów do państwa austryackiego należących, ale żeby zawsze musiała dać większość niemiecką; wracała znana już i wypróbowana nawet w tej konstytucyjnej formie dążność do germanizacyi; wracały wszystkie parlamentarne niesprawiedliwości, doświadczone już za czasów pierwszej rady państwa; wracało wreszcie, czy zjawiało nanowo bezprawne gwałcenie konstytucyi z pomocą konstytucyi samej. Ta bowiem stanowiła, że o rewizyi konstytucyi radzić może tylko *pełna Rada Państwa,* przez którą rozumiała się taka, w której zasiadaliby i posłowie Korony Węgierskiej. Teraz zwołano mniejszą, nie pełną radę państwa, złożoną z reprezentantów kraju nieznanego geografii ani historyi, a nazwanego ad hoc *Cis-*

litawią. Radę tę przezwano konstytucyjną, i kazano jej radzić o tem, o czem właśnie konstytucya radzić jej nie pozwalała! Zaczął się odwrót wewnętrznej polityki rządu z dobrej drogi na dawną złą—i zaczęły się nasze błędy.

Pierwszem złem, z którego wypłynęły wszystkie następne, była uchwała 2 marca: cofnięcie pod groźbą rozwiązania adresu już prawie przez sejm uchwalonego, i wysłanie delegatów do Rady Państwa. Nie będziemy tu wznawiać wszystkich, a dość zaiste gwałtownych sporów ówczesnych. Przeszło od tego czasu tyle lat, tyle klęsk, tyle wypadków europejskich wpłynęło zgubnie na losy Austryi, że gdybyśmy nawet wtedy byli postąpili tak jak należało, to dziś bylibyśmy w takiemsamem położeniu, w jakiem jesteśmy. Możemy więc mówić o uchwale 2 marca zupełnie spokojnie i trzeźwo. A spokojnie i trzeźwo patrząc na cały późniejszy bieg naszych spraw, trzeba przyznać, że mniej zręcznie, mniej politycznie postąpić było trudno. Rząd potrzebował koniecznie przyjęcia i potwierdzenia zawartej z Węgrami ugody przez jakiś parlament austryacki. Bez Czechów, Moraw, i bez Galicyi złożyć go nie mógł. A gdyby uzbrojony ówczesnem prawem był po powtórnej odmowie sejmów postarał się o delegacyę przez bezpośrednie wybory, to byłby miał, z Galicyi przynajmniej, reprezentacyę niedorzeczną i śmieszną, w którą nikt ani on sam nawet nie mógłby wierzyć, delegacyę z samych ludzi nieoświeconych. Minister Beust byłby nam mógł dokuczać, byłby mógł się mścić, ale w końcu byłby musiał ustąpić; i po przerwie, może nawet niedługiej, byłaby się uchwaliła konstytucya prawdziwie dobra, rada państwa dla spraw istotnie i koniecznie wspólnych, to jest monet, kredytu, cła i handlu, ban-

ków wypuszczających w obieg bilety, poczt, telegrafów i kolei żelaznych, sposobu i porządku powinności służby wojskowej, podatków, pożyczek, konwersyi długów państwa, wreszcie budżetu tej jego połowy, tak jak to określał artykuł II. dyplomu październikowego z r. 1860 — wszystkie inne, jak stanowił artykuł III tegoż dyplomu, oddanoby sejmom krajowym.

Ze względu na niebezpieczeństwo rozwiązania sejmu, wyborów bezpośrednich, dymisyi namiestnika hr. Gołuchowskiego, sejm ustąpił; i stanął na tej pochyłości, po której stoczyliśmy się naturalnym pędem rzeczy, do konstytucyi grudniowej, do tak zwanej Rezolucyi, do długich i marnych waśni z Radą Państwa, do Nothwahlgesetz, do dzisiejszych wyborów bezpośrednich, a jak wskazują niektóre symptomata, np. odjęcie Radzie szkolnej prawa mianowania dyrektorów gimnazyalnych, toczymy się po niej coraz niżej.

Kiedy się owa Rada Państwa schodzić miała, pisał jeden z naszych redaktorów, pan Józef Szujski, (Uchwała sejmowa z 2 marca i Delegacya do Wiednia, kwiecień, 1867) że „rząd i Rada Państwa niewiele zapewne pokażą ochoty, aby się za powolność naszą *decursive* grzecznościami wypłacać“.

Zaczęło się jednak od takich grzeczności; tylko że grzeczności nie były płacone z dołu za przyjście do Reichsrathu, ale były obiecywane z góry za dalsze z naszej strony powolności. Cała pierwsza sesya Rady Państwa (1867—68) była tylko ciągłą i sztuczną grą pomiędzy delegacyą, która zeszedłszy ze stanowiska adresów, robiła co mogła, żeby zawarte w nich żądania ratować i dostawać, a ministrami (z początku naprawdę jednym ministrem baronem Beustem), którzy jej zrażać

nie chcieli, bo wiedzieli, że gdzie chodzić będzie o prawdziwy interes państwa, o wojsko i podatki naprzykład, tam polskich głosów przeciw własnym stronnikom potrzebować będą, a nie chcieli naprawdę zrobić nic z tego, co delegacya żądała. I tak na wstępie zaraz potrzebowało ministeryum, żeby Polacy głosowali za adresem, wyrażającym wdzięczność za przywrócenie *konstytucyjnej* rady państwa. Wobec całej przeszłości sejmu, przy tak jeszcze świeżem wspomnieniu adresu z 2 marca, nie zdawało się to łatwem. Zaczęły się konferencye i obietnice; Minister zobowiązał się do wielu rzeczy, między któremi na pierwszem miejscu nominacya osobnego ministra dla spraw galicyjskich. Delegacya pamiętna dawnych próśb sejmu o kanclerza, i uważając słusznie posadę taką za niezmiernie ważną, ustąpiła, i głosowała za adresem, z tem zastrzeżeniem, że czyni to dlatego tylko, że nie może i nie chce głosować przeciw ustępowi mówiącemu o ugodzie węgierskiej. I cóż się pokazało? że obietnica była grzecznością, wypłaconą *decursive* za powolność dawną, *à conto* za powolności przyszłe, ale została tylko grzecznością. Pan minister chciał, pragnął, radby był z duszy serca! ale obawiał się Rusinów, zniechęcenia ich do Austryi i rzucenia w objęcia Rosyi; dość że z kanclerza, o którego sejm prosił, z ministra dla wszystkich spraw galicyjskich odłączonych od spraw innych krajów, którego pan Beust był przyrzekł, został się jeden Polak w ministerstwie cislitawskiem z departamentem rolnictwa! Przykład ten jest bardzo dobrą skalą do mierzenia praktycznych korzyści uchwały 2 marca. Takisam był stosunek we wszystkiem między tem, czego delegacya żądała, a tem co otrzymała. Grzeczności i obietnic takich

było więcej. W jesieni roku 1867, przyszli już głosem publicznym dezygnowani członkowie *cislitawskiego* gabinetu, odzywali się z tem, że ofiarują Galicyi odrębność conajmniej taką, jak kroacka przy Węgrzech, byle delegacya za nową konstytucyą głosowała. Tymrazem jednak Polak był ostrożny po szkodzie, i grzecznościom, które się z dołu wypłacać miały, nie wierzył.

Jednak wszystko to dowodziło, że stanowisko nasze w monarchii, jakkolwiek przyjściem do Rady Państwa osłabione, złem jeszcze nie było: że rząd ówczesny i odstręczać nas nie chciał, i (ze względu głównie na uchwały w delegacyach wspólnych) nas potrzebował, i ze względu na opozycyę czeską i morawską radby był nas z istniejącym stanem rzeczy pojednać i dla niego pozyskać. Z takiego położenia należało i można było skorzystać. Tylko znowu wyznać musimy, zepsuliśmy je sobie sami... Rezolucyą!

Prawda, że postąpić dobrze podówczas nie było łatwo. Godność, honor, szacunek siebie samych, patryotyzm i interes własny, nakazywały oświadczyć się bardzo silnie i stanowczo przeciw uchwalonej w Wiedniu w roku 1867 konstytucyi. Patryotyzm szerzej pojęty, wzgląd na dobro nie kraju tylko ale ojczyzny, rozum polityczny i wzgląd na możliwe złe dla prowincyi skutki, wymagały, żeby oświadczenie to stanowcze i silne prowadziło nie do zerwania lecz do ugody, nie do porażki, ałe do wygranej. Jak pogodzić te dwie konieczności, z których jedna krzyżowała drugą? Przypomnijmy sobie, jakeśmy o tem wiele podówczas myśleli, jak próbowaliśmy się znosić i porozumiewać, jak opinija słusznie już oburzona i obrażona na Radę Państwa, mniej słusznie oburzała się na sejm, na delegacyę,

na te lub owe osoby, jątrzona do namiętności przez niektóre dzienniki oskarżające delegacyę lub delegatów o zdradę lub zaprzedanie ojczyzny. W tej konieczności zrobienia czegoś, w tem namiętnem oburzeniu na Radę Państwa, i w tym gwarze jaki się u nas był podniósł, wielu straciło równowagę i prosty pogląd na rzeczy. Nie stracił go wcale jeden w całym kraju (co mu z uszanowaniem i wdzięcznością pamiętać należy) *Czas*, który od początku stale powtarzał, żeby to, co sejm powiedzieć ma, powiedział w adresie tylko, gdyż wszelki wniosek, wszelkie odniesienie się do Rady Państwa, byłoby uznaniem *de facto* zwierzchnictwa jej nad sejmem, a zatem odstąpieniem zasady i dotychczasowego stanowiska: a prócz tego wniosek taki, przyjęty przez sejm za program, miałby dla delegacyi moc nietylko obowiązującą, ale związującą tak, że nie mogąc od niego odstąpić, nie mogłaby dojść do kompromisu z Radą Państwa ani z rządem. Zaraz na pierwszem posiedzeniu sejmu sprawa wzięła inny i zły obrót. Skutkiem panującego rozdrażnienia opinii, drażnionej jeszcze bezmyślnie przez dzienniki i uchwały stowarzyszeń mających się za polityczne, był wniosek pana Smolki, wzywającego sejm, ażeby cofnął swoją uchwałę z dnia 2 marca 1867 r. i odmówił wyborów do rady państwa. Stanowisko to, logiczne i słuszne w teoryi, w praktyce, jak zwykle rzeczy absolutne, było nielogicznem, bo nie mogło sprawić, iżby się odstało to, co się już raz było stało; było niebezpiecznem, bo było nieprzyjaźnią otwartą, oporem nie przeciw przyszłości grożącej dopiero (jak 2 marca), ale przeciw uchwalonemu i istniejącemu choć niesprawiedliwemu prawu, i było szkodliwem dla sejmu, bo krępowało jego swobodę działania i stawiało go

wobec dylemmatu przykrego i trudnego do rozwiązania. Nie odesłać tego wniosku do komisyi znaczyłoby tyle, co wyznać milczkiem, że konstytucya bardzo nam dogadza; przyjąć go znaczyłoby tyle, co zerwać zupełnie. A choć pan Zyblikiewicz zręcznie przeprowadził sejm między tą Scyllą i tą Charybdą, wnosząc wysłanie adresu do cesarza i wybór komisyi, którejby jego i pana Smolki wniosek był oddany, przecież ten ostatni już swój zły wpływ wywarł, i jego duch ostro opozycyjny odbił się na całem dalszem postępowaniu sejmu. Trudno to bowiem ciałom reprezentacyjnym uniknąć wpływu powszechnego usposobienia (rzetelnego czy choćby sztucznie wywołanego), trudno o tyle spokoju i tyle odwagi, żeby się do panującego tonu uczucia nie dostroić i dostroić nie dać. Pan Smolka dał ton za wysoki, a orkiestra (sejm i jego komisya), była już poniekąd zmuszoną do niego się dociągać. I po długich naradach wyszła z komisyi i przeszła przez sejm ta rzecz bardzo niepolityczna i zgubna w skutkach, której potoczne mówienie, a może złośliwość wiedeńskich dzienników nadało szumną, przypominającą *Beschluss* węgierskiego sejmu z roku 1861, nazwę *Rezolucyi.* Że wszystko co w niej było zawartem, mogło być potrzebnem i słusznem, że to nawet, co napozór wydawało się bardzo przesadzonem, było usprawiedliwionem naszemi stosunkami, temu przeczyć nie chcemy; ale że sprawę słuszną, a poniekąd i do wygrania możliwą, tym aktem postawiono tak źle, że stała się nierównie zawilszą i do prowadzenia trudniejszą, temu znów nie mogą dziś zaprzeczyć nawet ci, którzy w ówczesnej komisyi adresowej pracowali nad jego ułożeniem. Ułożenie programu jest zawsze najłatwiejszą częścią poli-

tycznego działania; przewidzenie położenia jakie on stworzy i postępowania jakie nakaże, jest jego częścią najkonieczniejszą. Komisya wykonała tę pierwszą część zadania, określiła żądania, nie wykonała drugiej; nie dostrzegła, że ujmując je w formę dogmatyczną, kodeksową, paragrafową, stężałą i sztywną, i otrzymanie tych żądań utrudnia, i delegacyę w Radzie zobowiązuje albo do spełnienia programu, albo do zerwania, do bezskutecznej i szkodliwej abstencyjnej opozycyi. Sejm zaś z trudnością już mógł, a i nie chciał wcale zmieniać tego, co komisya zrobiła. Nie chciał, żeby się nie zdawało, że żąda mniej lub inaczej; nie mógł, bo rząd znowu (jak 2 marca) zawiesił nad nim groźbę, przed którą tem mniej ustąpić był skłonny, że tak świeżo i tak niefortunnie był raz ustąpił. I jeszcze uchwała owa nie była przyjętą, kiedy już wydała swój pierwszy zły skutek. Przyjazd cesarza i cesarzowej tak bliski, z taką radością oczekiwany, jako widomy wyraz i urzędowne niejako choć milczące stwierdzenie tego połączenia sprawy polskiej z austryacką, które było celem i kierunkiem naszej polityki, został zaniechany. Nie wierzyliśmy podówczas i dziś nie wierzymy, że powodem tego zaniechania była przyjęta przez sejm galicyjski postawa; ona była pozorem tylko, a powodem było to właśnie, że ten przyjazd miał być tak wiele znaczącym. Niepokojący dla wielu, dla nas był on zawsze nieocenioną korzyścią. I tej korzyści musieliśmy się wyrzec, poświęcić ją; poświęcając zrobiliśmy dobrze, bo gdzie wybór jest między korzyścią a godnością, tam wybór choćby najboleśniejszy, jest wskazany i jasny. Ale zawsze mamy ten słuszny żal do siebie samych i ten wyrzut sumienia, że daliśmy nie powód zapewne, ale

choćby tylko pozór do udaremnienia tego, co miało być wyrazem i sukcesem najrdzenniejszej i najistotniejszej naszej politycznej myśli, i podstawą jej dalszego rozwoju.

Drugim bezpośrednim złym skutkiem naszego ówczesnego kroku, była dymisya hr. Gołuchowskiego, która się stała konieczną; a dalsze objawiły się niebawem w Wiedniu.

Dziś, kiedy po tylu latach i bez żadnych już namiętnych uprzedzeń do ludzi czy rzeczy, próbujemy dociec dlaczego podówczas popełniliśmy błąd tak gruby, nie umiemy dopatrzeć powodu innego, prócz zbytecznej zawsze zależności naszej od bieżącej opinii, i podejrzeń jakich pozbyć się nie możemy względem niektórych zasad stronnictw i ludzi. Kiedy w roku 1867 cofnęła adres i wysłała delegacyę do Rady Państwa, większość sejmowa, źle czy dobrze zrobiła, nie zważała na to co o niej powiedzą. Ale powiedziano tyle, że drugi raz na tosamo wystawić się już nie miała ochoty, i uległszy kiedy zmysł polityczny nakazywał jej stanowczość, zdobyła się na nią teraz kiedy tensam zmysł wskutku zmienionego położenia nakazywał więcej nie uległości, ale elastyczności: nakazywał postępować *suavius in modo*. A głosy, które to doradzały nie znalazły łaskawego ucha. Dlaczego naprzykład rady i uwagi *Czasu* nie były więcej słuchane? dlaczego podczas dyskusyi samej Adam Potocki, który wnosił inną łagodniejszą i ogólniejszą formę tychsamych żądań, miał przy głosowaniu kilku tylko posłów za sobą? Chcielibyśmy się mylić, ale zdaje nam się, że powodem jest zła reputacya konserwatywnych, arystokratycznych jakoby i ultramontańskich (!) choćby najrozumniejszych organów, i tych arystokratów, których boimy się jak Laocoon *Danaos*

et dona ferentes, niezawsze patrząc jakie to *dona*, i czy między tem co nam niosą, nie ma przypadkiem czego dobrego. To pewna, że gdyby sejm był poszedł za myślą *Czasu* i później jeszcze za wnioskiem Potockiego, byłby uniknął i smutnej rezolucyjnej kampanii w radzie państwa ze wszystkiemi tej kampanii błędami i porażkami, i długiej a szkodliwej przerwy w administracyi pana Gołuchowskiego, i przyjazd cesarza, albo byłby doszedł do skutku, albo jeżeli nie, to przynajmniej nikt nie byłby mógł powiedzieć, że nie doszedł bośmy mu przeszkodzili.

Z tym faktem weszliśmy w nowy okres naszej galicyjskiej historyi. Czy rząd ówczesny i Rada Państwa postępowały mądrze i dobrze dla Austryi kiedy korzystały z naszej niezręczności to inne pytanie; ale że z niej zręcznie skorzystać umiały na rzecz swojej namiętności, swojej germanizacyjnej i centralizacyjnej dążności, to pewna. Gotować Polakom trudności na każdym kroku, upokarzać ich każdem słowem i każdą uchwałą, wynajdować coraz nowe wybiegi byle niedopuścić do spełnienia ich życzeń, a liczyć na to, że wrócą przecie te błogie czasy kiedy w Galicyi rządził system Metternicha i Bacha a ręka Kriega lub Mennsdorffa, to tak miło i rozkosznie! Ile złej woli, ile złej wiary doświadczyła delegacya kiedy stanęła w Wiedniu obarczona tym ciężarem rezolucyi! Zaczęło się od tego, że choć jeden paragraf statutów krajowych przyznaje sejmom prawo stawiania żądań i wniosków, nie ma nigdzie paragrafu, któryby rządowi lub Radzie Państwa nakazywał wnioski takie brać pod obrady, zatem ministeryum nie poczuwa się do obowiązku wniesienia żądań galicyjskich do Izby. Kiedy ten wybieg zmarnował już tyle

czasu, że na dłużej służyć nie mógł, znalazł się inny. Subtelne bizantyńskie dyskusye o słowa: czy rząd ma wnioski galicyjskie radzie państwa *przedstawić*, albo ich *udzielić*: jedno z tych słów wyrażało niby znowu *implicite* równorzędność sejmów, drugie zależność ich od Rady Państwa. I znowu długi przeciąg czasu zanim wnioski zostały wreszcie wprowadzone do Izby, dłuższy zanim zostały roztrząśnięte w komisyi; aż wreszcie sesya izby była już bliską zamknięcia, na podjęcie tak ważnej sprawy nie starczyło czasu, i pierwsza rezolucyjna kampania w Radzie Państwa, zakończyła się odroczeniem.

Ministeryum wtedy, na pociechę, wydało rozporządzenie wprowadzające język polski do administracyi. Pociecha pożądana i wdzięcznie przyjęta, ale która sama jedna wystarczyć nie mogła, nawet gdyby była prawem; a będąc tylko rozporządzeniem budziła to podejrzenie, że daną jest w tej formie na to tylko, żeby przy sposobności mogła być cofniętą. W kraju sejm jak przedtem znajdował się w położeniu trudnem, a wzmagające się rozdrażnienie opinii, podniecane w różnych dziennikach, stowarzyszeniach, klubach i manifestacyjnych obchodach, wyjść mogło tylko na korzyść (chwilową) tych u nas ludzi lub stronnictw, których cel był niedopuścić do żadnej ugody z Austryą,—i na korzyść stałą wiedeńskich centralistów, którzy po zerwaniu rozpocząć mogli nanowo i nadobre swoją niemiecką i niemczącą reakcyę. Tej pierwszej dążności jednak oparł się sejm stanowczo: czego zrobić nie mógł, to wyprzeć się swoich zeszłorocznych przekonań i postanowień. W ogólnej formie, zręczniej niż przed rokiem, ale powtórzył i powtórzyć musiał swoją rezolucyjną

uchwałę. A za tem poszło, że w sesyi Rady Państwa z roku 1869 na 1870 znowu agitowała się ta sprawa i z nielepszym jak poprzednio skutkiem, a zakończyła się wyjściem delegacyi z Rady Państwa, i wejściem na drogę do niczego nieprowadzącą, na drogę abstencyi.

I tu znowu przyznać musimy, żeśmy bicz na siebie ukręcili sami. Bez Rady Państwa Austrya ze swojem dzisiejszem prawem publicznem istnieć nie może: Rada Państwa nie może być przeto na łasce sejmów, które do niej posłów wysyłają lub nie wysyłają; i jedynym skutkiem naszego ówczesnego wyjścia na górę świętą, było, że na przyszłość odcięto nam i wszystkim innym drogę do tej góry, a sobie otworzono inną, która nowym ludem zapełnić zawsze mogła wiedeńskie Forum. Na polską abstencyę odpowiedziano niemieckiem *Nothwahlgesetz*.

A przecież i wtedy jeszcze ta ważna sprawa uregulowania stosunku Galicyi do Austryi skończoną ani przegraną nie była. Jeszcze do sejmu roku 1870 odezwał się rząd słowem, które otwierało drogę układom, i obiecywało szczęśliwe ich zakończenie; jeszcze później, za ministeryum hr. Hohenwarta zanosiło się na zupełną reformę austryackiej konstytucyi. Jeszcze więc to, co było główną treścią i głównym celem polityki polskiej działającej od roku 1866 w Galicyi i przez nią, stworzenie stałego, ścisłego, rzetelnego i sprawiedliwego stosunku pomiędzy nami a Austryą, straconem nie było.

Przepadło w swoim dotychczasowym kształcie i wyrazie, przepadło nie nazawsze sądzimy, ale na. długo, nie z naszej ani z rządu woli i winy, ale w tem trzęsieniu ziemi, które nic w Europie na miejscu nie zostawiło. Kiedy wszystko runęło, czyż mogliśmy my

jedni stać silnie na nogach? kiedy świat się zawalił, mogłaż nasza biedna strzecha ocaleć? Pojmując w przecięciu nieźle naszą sprawę, i jej potrzeby i cele w Austryi, prowadziliśmy ją źle, tego się zaprzeć nie możemy; ale i my mogliśmy jeszcze dawne niezręczności i błędy naprawić, i ci, z którymi mamy do czynienia, mogli się przekonać i do nas przechylić, mogliśmy prędzej lub później, trudniej lub łatwiej, ale mogliśmy dojść do celu naszych starań, do mądrze i sprawiedliwie określonego stanowiska Galicyi w Austryi... gdyby nie wojna francuska, gdyby nie jedyna dziś w Europie potęga nowego niemieckiego cesarstwa.

Za dawnych czasów (i nie tak bardzo dawnych nawet, bo podobno jeszcze za francuskiego Rejenta), kiedy wierzono w magię i zapomocą czarnoksięskich formuł i zaklęć wywoływano złego ducha, żeby się w swojej postaci zjawił, była jako z formuł tych najpotężniejsza, jakaś „Msza Czarna“ do Mszy świętej bardzo podobna, powtarzająca wszystkie jej chwile i słowa, tylko na odwrót: a w chwili konsekracyi, w chwili, kiedy przy Mszy świętej chleb i wino przemieniają się w Ciało i Krew Pańską, przy tamtej stawał na Ołtarzu ten, którego wzywano. Jak ta msza bluźniercza do prawdziwej, tak to cesarstwo nowe podobne jest zupełnie do tego, które niegdyś Karol Wielki zakładał. On w Europie, która jak ziemia po potopie zaledwo z zalewu barbarzyńców wynurzać się i tężeć zaczynała, był sam jeden mocnym, jeden miał prawo powiedzieć o sobie: Ja jestem. Dziś w Europie zaledwo już wyglądającej z pod potopu tego błota w które się rozłazi, nowy cesarz, jeden jest mocny i ma prawo myśleć o sobie, że jest sam. On może być dumniejszym i pewniejszym

swego panowania i śmielej może mówić *Plus Ultra*, niż Karol V pan Hiszpanii i Indyi, Neapolu i Flandryi, Medyolanu i Burgundyi i Niemiec, bo Karol miał Franciszka I, miał Solimana, miał protestantów niemieckich i protestantów całej Europy; za Karola V była Europa. On bardziej, niż Ludwik XIV może brać słońce za godło, bo Ludwik XIV nigdy w Wiedniu ni w Madrycie nie włożył sobie korony na głowę, a naprzeciw niego stał Marlborough i Eugeniusz, Godolphin i Wilhelm Orański, i różne potrójne i poczwórne alianse: za Ludwika XIV była Europa. On potężniejszy, niż był Napoleon na szczycie potęgi, bo przeciw tamtemu walczyła dyplomacya i flota i skarb angielski, i patryotyzm hiszpański, rosyjski, nawet niemiecki, i habsburska dawna tradycya wysileniem wszystkich sił swoich, i w końcu połączone armie całej Eurcpy; za Napoleona była jeszcze Europa. Dziś gdzie ona jest? kto, prócz tego jednego, który dawne cesarstwo koronował i poświęcał, Papieża, kto nowemu opór stawić może, śmie, probuje? Dziś on naprawdę jest prawie tak jeden w Europie, jak lat temu tysiąc z górą, jeden był Karol Wielki, a drugiego takiego przez cały ten ciąg dziejów Europy od wschodu cywilizacyi do jej dzisiejszego południa czy schyłku, nie było. Podobieństwo jest wielkie. Jeden założył fundamenta pod oświatę, drugi prowadzi walkę o kulturę; jeden rozszerzał panowanie wiary, i drugi rozszerza choć inną; tamten na kresach swego państwa zakładał Marchie jako strażnice swojej potęgi i swojej polityki, i ten swoim Margrafem osadził Wołoszczyznę i omal nie osadził Hiszpanii, a jego *Missi Dominici* dozorują i udzielają rozkazów królom Europy, Włoskiemu naprzykład, jak żeby podwładnym urzędnikom.

Lenników zrobił ze wszystkich królów i książąt niemieckiej Rzeszy, których jeszcze królami i książętami zostawił, a oręż jego dotąd się jeszcze z silniejszym i szczęśliwszym nie spotkał. Tylko ta jedna różnica, że ten cesarz nie jest rzymskim; że ta oświata, którą on szerzy, zna jeden tylko cel i jedną zasadę, wszechmocność jego, i jeden tylko środek, bezprawie i kłamstwo. Tylko ta wiara, którą on roznosi, tępiąc i prześladując Chrystusa, uczy, że Bogiem jest Państwo, Rząd nieomylnym, a pierwszem i największem przykazaniem, będziesz krzywdził i niszczył i obdzierał bliźniego swego, będziesz pożądał i zabierał wszystko co jego jest, aż do języka, aż do wiary, aż do modlitwy, aż do sumienia, które Bóg w niego tchnął, bo twój bliźni jest na to, żeby ciebie znał, ciebie się bał, i tobie służył: *Siła przed prawem!* A kiedy przed dziesiątkiem wieków w tych ciemnych barbarzyńskich czasach Karol przebierał miarę w okrucieństwie, był przecie ktoś taki na świecie co go mógł hamować i karać i gromić, i przypominać mu, że siła nie do wszystkiego daje prawo: że jest Bóg na niebie i zakon Jego na ziemi. Ten szczęśliwszy, kiedy mówi „wytracim narody, Germania jedna będzie,“ nie ma nikogo na kogoby zważał i kogoby słuchał, nie zna nikogo nad sobą. Owego stróża sumień mocarzy wyparł się dawno, a dziś myśli, że go do reszty zgnębi i zabije. W tem jego słabość: w tem, da Bóg, jego upadek. I gdyby był do pierwszego cesarza prawdziwie podobny, jużby dziś płakał, bo widziałby Normandów, nie cielesnym wzrokiem Normandów przypływających z za morza, ale wzrokiem rozumu widziałby wszystkie namiętności, wszystkie żądze, wszystkie przeczenia, które rozkiełznał i wypuścił, które w otchłani

opisanej w *Niedokończonym Poemacie* kłębują i piętrzą się coraz wyżej, tak, że się już niemal z powierzchnią ziemi zrównały, a które gorsze od Normandów nie napadają państw, ale je rozsadzają.

Tryumf nowego cesarstwa był klęską i upadkiem wszystkiego, co dotąd składało Europę. Kiedyś Dante ze zgrozą wspominał, że widział

> in Alagni entrar lo fiordaliso
> e nel Vicario suo oltraggiar Cristo.

Dzięki tym niemieckim zwycięztwom nasz wiek może powiedzieć, że widział tosamo i lepiej, bo nie do Anagni, ale do Rzymu, nie przechodem ale na stałe, wszedł burzyciel i grabieżca Kościoła.

Francya patrzała na dwa widoki, jakich nie zniósł żaden może jeszcze naród w Europie; kiedy król pruski wkładał na głowę cesarską koronę w zamku Ludwika XIV, Francuzi podkładali ogień pod Louvre Franciszka, pod ratusz Henryka, i walili na ziemię posąg zwycięzcy z pod Jeny! W Austryi prawnuk Maryi Teresy wypchnięty z Niemiec przez potomka Fryderyka, musiał patrzeć na wszystko spokojnie i trzymać z nim pokój; a kiedy bolał nad tem we wszystkich swoich uczuciach rodowych, rycerskich, monarszych, i patryotycznych, może i wspomniał co przepowiadała prababka: „przyjdzie czas, że pożałujecie rozbioru Polski.“ Z dawnej Europy zostały nazwiska i niektóre granice, ale stosunek sił się zmienił.

A cóż w tym przewrocie świata stać się dopiero mogło z nami najsłabszymi, najbiedniejszymi ze wszystkich! „Gdy hardzieje niezbożny — mówi Skarga — ubogi płacze i jakby w ogniu gore,“ a niezbożny zhardział

jak jeszcze nigdy, bez żadnego już hamulca ni wędzidła, bez obawy, nawet bez obawy ludzkich sądów, bo i tych już w Europie nie ma, mógł z ubogim robić co mu się podobało. I zaczął. Znęcanie się nad Wielkopolską przeszło wszystkie swoje dawniejsze granice, i dziś już nie z pisanemi prawami wojna, ale z przyrodzonemi, z językiem; ubogi płacze i jako w ogniu gore! Ale jak Siegfried niemieckich legend, jedno miał tylko na ciele miejsce, w które mógł być śmiertelnie ranionym, tak ten polski ubogi śmiertelnie ranny wszędzie, jedno ma miejsce, w które ranić go jest nieostrożnie, bo wprawdzie, jeżeli się uda, to on umrze, ale jeżeli tę ranę wytrzyma, to może wyleczyć się ze wszystkich. I w to miejsce właśnie rząd pruski ugodził. Czterema pociągami pióra zburzył Kościół katolicki w swoim państwie, a postawił nowy, swój własny, rządowy, pruski. Zrobiwszy to, zdumiał się na widok, że jego kościół nie stoi, a dawny jakoś się jeszcze śmie trzymać. A więc burzyć go dalej! już nie piórem, ale pięścią, ale zamykaniem kościołów, zatamowaniem źródła nabożeństw i Sakramentów, nieuznawaniem za prawnie ważne ani katolickich święceń kapłańskich, ani małżeństw prawnie przed Kościołem zawartych, zamknięciem duchownych zakładów a kształceniem księży w bezwyznaniowych teologicznych fakultetach, więzieniem i wygnaniem biskupów i księży, obsadzeniem parafij samozwańcami. Cios wymierzony na wszystkich katolików pod rządami tego cesarstwa spadł naprzód na Polaków. I nie chwalmy się że wytrzymali, bo to nie koniec jeszcze, ale dotąd dzięki Bogu wytrzymują: a da Bóg, że kiedy tak zaczęli, to i skończą dobrze. I zaiste, w tych czasach strasznych, jak gorszych, jak

takich od rozbioru nie było, jedna pociecha, jedna otucha, jeden wielki dowód siły ducha w naszym narodzie, to ta wierność i wytrwałość i proste a wielkie męztwo naszych w Wielkopolsce, od kardynała Prymasa począwszy, a skończywszy na ostatnim wyrobniku. To w historyi naszej tych lat ostatnich jedyna chwała, jedyne nie zwycięztwo jeszcze, ale już jego możliwość: bo może zwyciężyć, kto tak długo i tak dobrze walczyć zdołał.

Rosya nie potrzebowała ani zachęty, ani oswobodzenia od ludzkich i Boskich względów, żeby w Polsce robić co jej się podoba, bo któż na to zważał, kto chciał wiedzieć lub wierzyć! Była pewna, że cokolwiek zrobi, świat pokłoni się tylko i da lub uda wiarę jej słowom. Ale i ona przecież od pruskich zwycięztw nabrała odwagi. Nie, żeby przedtem była się bała zachodniej opinii lub broni; opinię tak łatwo oszukać, przekonać lub przekupić, a broni przecież nikt nie dobędzie za to, co się dzieje w *Przywiślańskim* lub *Jugo-Zapadnim* kraju! Ale zwycięztwo i wszechwładza Prus była naprzód stanowczym końcem tego porządku rzeczy, który był na dawnych, nie słusznych, ale przecież jakichś traktatach oparty, tej Europy, która pamiętała jeszcze choć trochę historyę i polityczne tradycye. Zwycięztwo Prus było przytem porażką tego przeciwnika, którego się Rosya zawsze bała, katolickiego i romańskiego ducha i jego cywilizacyi. Została tylko jedna siła protestancka i germańska, która w przeczeniu tamtej miała jedyną tradycyę i cel, a przeto wschodniej i syzmatyckiej była zawsze sprzymierzoną wiernie i bratnią w duchu. Uczuła się więc Rosya zupełnie wolną, i szczęśliwszą niż kiedykolwiek; bo w tem *zaćmieniu Europy* mogła i rolę słońca odgrywać przed światem,

i z Polską skończyć do reczty. Kto zliczy nieszczęścia Królestwa, Litwy i Rusi od tych lat dziesięciu? a któż zliczy piasek w morzu i gwiazdy na niebie! Zniesienie szkół polskich, wprowadzenie rosyjskich, w tych szkołach liczba uczniów Polaków ograniczona a nauka wyrachowana na to, żeby z nich robić złych ludzi, bez czci i bez wiary, i złych Polaków bez ojczyzny. Zniesienie wszelkiej administracyjnej odrębności Królestwa, ta nowa centralizacya, której Rosya nauczyła się od Niemców, a która naprzód przez komitet urządzający chciała stworzyć chaos w społeczeństwie, potem stworzyła go w administracyi, a dziś tworzy go w sądownictwie. A ukaz odsądzający Polaków i katolików od prawa nabywania ziemi, a wyciskanie z kraju ostatniego grosza przez kontrybucye, a wyciskanie z niego ostatków duszy przez wychowanie, przez prześladowanie religijne i zamykanie kościołów, przez przewrotne wyobrażenia rozsiewane z katedry, z izby sądowej, z kancelaryi mirowego pośrednika i z redakcyi rosyjskich dzienników! Dotychczas niezupełnie się to udało, ale poczęści już przyniosło owoce, które niejednego z nas zatruły. A nędze i uciski rodzin, nie już zasłanych lub opłakujących uwięzionego lub straconego, ale pozbawionych sposobu do życia, sposobu wychowania dzieci, wyrzuconych na bruk z dawno i dobrze zajmowanego miejsca; te już tylko Bóg jeden może widzieć i pamiętać, i godnie zapłacić! Ale to uczucie wolności nieograniczonej, którem tryumf Prus natchnął Rosyę, ale ta wojna, którą one wydały Kościołowi katolickiemu, ośmielił i ją, że się posięgła do ostatniego gwałtu na Unii. Chciała zawsze, zaczęła dawno, ale do skończenia lepszej pory upatrzeć nie mogła. Przeciw niej był tylko stary Papież w Wa-

tykanie, który armat i armii nie ma, a prośby i groźby jego dopiero na tamtym świecie pokaże się że coś znaczą; za nią było wszystko. Przykład, a zapewne i poufna przyjacielska zachęta alianta, poklask wszystkich antichrześciańskich dziennników, uprzejmość wszystkich dyplomacyj świata, które się o nic nigdy u niej nie upomną, na wszystko zamkną oczy, we wszystko wiarę udadzą. Wytępiła więc Unię; dokonała tego w Chełmskiem i na Podlasiu, co zaczęła Katarzyna na Rusi, co ciągnął dalej Mikołaj na Litwie. Tylko czy nie za śmiało? Coś się tam podobno dużo krwi przelało, a krew w takich sprawach sprowadza czasem skutki przeciwne tym których oczekujemy, i co miała służyć za wieczno-trwały cement świątyni kapitolijskiego Jowisza, spoiła mury na kościół św. Piotra. Na dwóch prawie krańcach dawnej Rzeczypospolitej, dwóch jej wrogów i panów robi tosamo: jeden przebieglejszy bierze na tortury katolickie sumienia, drugi dzikszy przelewa katolicką krew. I dziś jeden i drugi patrząc na swoje dzieło, widział, że było dobre. Nam tylko cierpliwości i wytrwania do czasu, kiedy jeden i drugi przekona się inaczej.

A w Austryi? I tu musiał się zrobić przewrót. W miejsce dawniejszego ideału, przymierza z Francyą przeciw Prusom, przyszła konieczność utrzymania bądźcobądź pokoju z Prusami. Rzadko kiedy w historyi błąd, a mówiąc po chrześciańsku grzech popełniony w polityce, pomścił się tak rychło i tak widocznie na tym, kto go popełnił. W roku 1866 nie chciała Francya ratować Austryi, bo myślała, że między dwoma osłabionymi sama zostanie panią losów Europy; w roku 1870 Austrya Francyi już ratować nie mogła, choć czuła dobrze, że jej to bezpieczeństwo własne nakazy-

wało. A jak na zagraniczne jej stanowisko wpłynąć, tak i w wewnętrznych stosunkach zwrot ten odbić się musiał. Wszelka nadzieja rychłego urządzenia monarchii, tak, jak tego wymaga jej natura i jej dobro, zginęła na długo. Pierwiastek niemiecki, choć geograficznie z Niemiec wykluczony, uczuł się w sile większej niż kiedykolwiek; oparty o działa Kruppa i o rząd księcia Bismarcka, nie pojmował już zgoła, jakby mógł nad wszystkiemi w Austryi nie panować, jakby Czechy mogły zachować odrębną indywidualność w monarchii a Galicya być krajem polskim, kiedy Niemcy bombardowały Paryż i zajęły Alzacyę i Lotaryngię. Oni są z Bożej łaski, oni są Niemcy, lud wybrany, któremu jakiś Jehowa czy Odin wszystkie inne narody dał za urodzonych sług i niewolników! „Germania jedna będzie,“ to hasło i nadzieja, którą tchnęły wszystkie dzienniki i mowy, które szeptały może we Wiedniu niektóre poselstwa. I spotęgowany, spanoszony duch niemiecki zaczął się domagać odwołania wszystkiego, co się przez te wszystkie lata stało, odrobienia tego, co nawet sam był zrobił, swojej niegdyś ukochanej konstytucyi grudniowej. Rząd, który w takim stanie rzeczy byłby chciał czy spór czeski kończyć, czy sprawę ugody z Galicyą dalej prowadzić, byłby wywołał burzę w Izbie, może burzę w stolicy, może i burzę dyplomatyczną. I to był powód, że rozpoczęta w roku 1868 sprawa naszych żądań skończyła się na niczem: gorzej jak na niczem. Zmienione położenie bowiem sprowadziło i zmianę gabinetu, a gabinet ożywiony tymsamym duchem, pałający tąsamą żądzą co niemiecka większość w wiedeńskim parlamencie i po za nim, z tym parlamentem pospołu sprowadził zmianę konstytucyi. Skutkiem prze-

8

wagi Niemiec w Europie, i wyrazem tej centralizacyi, która przez dziwny jakiś obłęd tylu rządzących po sobie w Austryi ludzi wydaje się im radą i środkiem na przyrodzoną niejednolitość państwa, był Reichsrath z bezpośrednich wyborów.

O gwałcie, zadanym przez to wszystkim statutom krajowym, nie ma co mówić, jest zbyt oczywisty. Ale nie mniej oczywistą jest i zmiana, jaką on w naszem położeniu wywołał. To znowu zwrot w dziejach naszego stosunku do monarchii i zwrot na gorsze, krok wstecz. Naprzód sejmy krajowe zeszły przez to do znaczenia dużych Rad powiatowych. Nie gniewalibyśmy się o to, że mniej zajmując się ogólną polityką, więcej mogą się oddać sprawom uporządkowania kraju: ale nie możemy nie widzieć ani patrzeć obojętnie na samowolne naruszenie ich praw, a tego nie widzimy wcale, żeby odbierając sejmom przyznany zakres działania i znaczenia, rząd był rozwiązał lub usunął wiszące spory z krajami. Żaden kraj nie stracił przez to tej politycznej ważności, jaką miał przedtem, każdy pozostał ze swoim zasobem sił, ze swoją summą potrzeb i żądań: a jeżeli dziś milczą, to dlatego, że się rezygnują do czasu, nie że się zgodziły i poddały na zawsze, i przy pierwszej sposobności, przy pierwszej zmianie, wszystkie dziś przygłuszone kwestye polityczne podniosą się znowu gwałtowniejsze może, trudniejsze niż przedtem. Czy więc rząd robiąc źle częściom, zrobił dobrze całości, to się jeszcze pokaże. A gdyby na tem tylko był koniec! Ale jak parlament wrócił do formy a może i do ducha reichstagu z roku 1848, (czy dla monarchii i dla dynastyi szczęśliwej pamięci?), tak rząd znowu, mamy na to nieszczęściem wskazówki wyraźne, zdaje

się chcieć wracać względem nas przynajmniej do tego ducha, który ożywiał ks. Metternicha przed rokiem 1848, a Bacha po nim. Ministeryalne rozporządzenie, znoszące prawo sankcyonowane przez cesarza, objęte wyraźnie konstytucyjną ustawą dlatego, żeby Radę szkolną galicyjską ukrócić w jej atrybucyach, to fakt niewielki, ale w swoim rodzaju ciekawy, rzadki i wymowny [1]). A czy ostatni w swoim rodzaju? Pragniemy szczerze, ale wierzyć nie śmiemy. Minister [2]), wysyłający ze swego ramienia dozorcę czy wizytatora szkół, z pominięciem władz nie już szkolnych ale nawet namiestnika, odważył się na krok tak śmiały, tak bezprzykładny, do jakiego nie posunie się nikt bez zastanowienia i zamiaru; i uwierzyć w to trudno, żeby krok ten nie był wypłynął z planu i nie był pierwszym (czy drugim) na drodze już obranej i wytkniętej.

I na tem dziś stanęła nasza sprawa z monarchią austryacką; to ostatni skutek naszych dziesięcioletnich słusznych, choć prawda że nie zawsze zręcznie prowadzonych zabiegów o zaprowadzenie stałego, rzetelnego, sprawiedliwego między nami związku. Jesteśmy pobici. Pobici także w tem, co było dla nas ideałem polityki zagranicznej, skoro zamiast przymierza Europy przeciw Prusom i ich aliantom, mamy przymierze trzech cesarzów, i nawet mu się dziwić, nawet na nie narzekać nie możemy, bo w tym stanie rzeczy jast ono koniecznym warunkiem spokoju i odzyskania sił dla Austryi, o której byt i siłę niemniej nam chodzi dziś, jak przed dziesięciu laty.

---

[1]) Odjęcie Radzie szkolnej krajowej prawa mianowania dyrektoratu szkół średnich w roku 1875.

[2]) Stremayer — ówczesny minister oświaty.

A wewnątrz? u siebie? czyśmy się posunęli naprzód, czyśmy z tego znacznego przeciągu czasu i spokoju skorzystali? Zyskaliśmy wiele przez rządy ś. p. pana Gołuchowskiego, przez znaczną liczbę dobrych i zdolnych urzędników, których on wykształcił, przez zamknięcie spraw serwitutowych, którego dokonał; zyskaliśmy przez troskliwość i sejmu i wydziału krajowego o drogi i szkoły; niektóre szczęśliwe powiaty zyskały podobno wiele na porządku i cywilizacyi, dzięki wyjątkowo dobrze prowadzonym Radom powiatowym. Ale prócz tego? Dwa nabytki cenimy bardzo wysoko. Jeden nie politycznej natury, choć nie bez politycznego znaczenia jako bardzo piękny zakład dobrej woli cesarza, to założona przez niego Akademia Umiejętności, ognisko naszej umysłowej pracy, już dziś czynna i pożyteczna, a w przyszłości da Bóg warownia naszej oświaty i ducha, jeżeli zechcemy być mniej niż dotąd względem niej obojętnymi. Druga korzyść jest polityczną, jest stanowiskiem zdobytem i zajętem, i mamy nadzieję, podstawą dalszego działania. Każdy czuje i widzi, że stosunek Galicyi nie do austryackich rządów, ale do Austryi, do panującego domu, do osoby cesarza, zmienił się bardzo w ciągu tych lat dziesięciu; zmieniło się to, co jest duszą i treścią każdego rzetelnego stosunku, nasze uczucie i nasza wola. Tej nieprzyjaźni, jaka w nas jest do dwóch innych państw rozbiorowych, tej dziś względem Austryi nie ma. Zmiana to wielka, sięgająca daleko, która może sprowadzić zwrot w całem naszem przyszłem działaniu i nadać mu to, na czem mu zbyt często zbywało, wytknięty kierunek i stałą postawę. Nie łowiąc ryb przed niewodem, nie tryumfując przed czasem, uważamy przecież tę zmianę

za najrzetelniejszą, za jedyną może polityczną korzyść, jakąśmy przez ten czas osiągnąć zdołali. Komu ją zawdzięczyć mamy? Przedewszystkiem, sprawiedliwość i wdzięczność nakazują nam to wyznać, — cesarzowi. O ile tylko jego stanowisko konstytucyjnego monarchy na to pozwala, dawał on i daje nam przy każdej sposobności dowody względów, poszanowania naszej narodowości, dbałości o nasze dobro, których nie uznać byłoby niesprawiedliwie, niewdzięcznie i brzydko, ufności, wiary w nasze słowo, którą zawieść byłoby brzydziej jeszcze. I ów niedoszły nieszczęściem przyjazd do Galicyi, i wprowadzenie języka do szkół, urzędów i sądów, i Akademia Umiejętności, i wreszcie mianowanie Polaka namiestnikiem po śmierci hr. Gołuchowskiego, wszystko to dowodzi, że cesarz ma względem nas dobrą wolę, i że my, choć nie w ministeryach ani w Izbach, ale mamy w Austryi o kogo się oprzeć, mamy takich, którzy nas i szanują i rozumieją, i chcą z nami być w zgodzie. Podobnie dobrego usposobienia dowody dawał nam i daje w swoim zakresie stale, brat cesarski Arcyksiąże Karol Ludwik.

Ale uznając wdzięcznie, co z tamtej strony zrobiono, możemy przecież przyznać i sobie, żeśmy takie usposobienie wywołali i ułatwili przez to, żeśmy przez cały ten czas cesarza nie zawiedli, i nie zboczyli z tej drogi, którą uznaliśmy za dobrą tak dla krajowej, jak i dla narodowej naszej polityki. Tę wierność raz przyjętemu kierunkowi uważamy za znak bardzo dobry, za dowód większej politycznej dojrzałości; a tę zmianę naszego stosunku do dynastyi za wielką korzyść, która w dzisiejszem położeniu państwa wszystkich swoich skutków objawić nie może, ale może je mieć i bardzo

wielkie, jak się to położenie zmieni. Nie potrzebujemy dodawać, że do wytrwania w tym kierunku przykładamy jak największą wagę, i że miara naszej ufności i sympatyi do ministrów i parlamentarnych większości nie powinna wpływać na nasz stosunek do cesarza i dynastyi, ani go naruszać.

Ale jeżeli w tym ogólnym kierunku naszej polityki nie pobłądziliśmy i nie mamy sobie dotąd nic do wyrzucenia, to w szczegółach za to pokaże się podobno inaczej. Którą ze spraw, dziesięć lat temu rozpoczętych, rozwiązaliśmy szczęśliwie i dobrze? Ruska, którą podówczas uważaliśmy bodaj czy nie za najważniejszą, stoi gorzej niż kiedykolwiek. Wzrost pruskiej i rosyjskiej potęgi odbił się i na niej, dodał sił stronnikom schizmy i Rosyi, a bezpośrednie wybory do Rady Państwa dały im wyborny środek działania. Gmina, która wedle naszych ówczesnych wyobrażeń, czy złudzeń, miała stać się podstawą społecznego porządku i harmonii, stoi dziś na temsamem miejscu, na którem stanęła w roku 1866. Zeszła tylko z porządku dziennego propinacya, ale powiedzmy szczerze, zrobiła tylko, jak mówią w teatrach, *une fausse sortie.* A czy przybyło nam dobrego rozumienia rzeczy, politycznego zmysłu i taktu, czy pokazały się między nami nowe i znaczące zdolności, czy wreszcie przybyło nam dobrej woli i względem siebie i do dobrego rozwiązania spraw naszych? Spokojniejsi jesteśmy, niż przed laty dziesięciu, nie kłócimy, nie oskarżamy, nie szkalujemy się tak bardzo; nie ma ani takich gwarów po dziennikach, ani takich demonstracyjnych, a marnych klubowych i rynkowych zgromadzeń. Ale czy to rozumu i sumienności, czy obojętności i ospałości więcej? Oby nie to ostatnie. Politycznych błędów po-

pełniamy mniej niż przedtem, ale czy to nasza zasługa, czy tylko brak sposobności? Bo żebyśmy lepiej nasze (wewnętrzne przynajmniej) sprawy rozumieli i z lepszą do nich brali się wolą, tego nie znać, skoro wniosek administracyjnej reorganizacyi kraju, obejmujący i gminę i powiat i centralny wreszcie zarząd kraju [1]), a podający środek na ich niedostatki, na ich dzisiejsze organiczne defekta, tak mało ma dotąd zwolenników. Nowe zdolności? kryją się może (daj Boże) między młodszymi i jeszcze nieznanymi, ale między tymi, którzy już w czynnem publicznem życiu występują, ich nie znać. A jak się między żyjącymi i działającymi trafiają, czy przynajmniej umiemy i chcemy ocenić je i spożytkować? Smutno powiedzieć, że niezawsze; a dziś, kiedy rzeczy dawno przeszłe już namiętności budzić nie powinny, niech nam będzie wolno przytoczyć jeden na to dowód, i przyznać się głośno do jednego wielkiego żalu i wielkiego zdziwienia. Mieliśmy między sobą zdolność jedną polityczną, pisarską i krasomówczą, którą może mylnie, ale zgodnie Europa uważa za zupełnie i bardzo wyższą. Zdolność ta była połączona z charakterem czystym jak łza, i z patryotyzmem, który się stwierdził całem życiem, które dlatego tylko było ciężkiem i trudnem, że było patryotycznem. W każdym innym kraju pan Klaczko zajmowałby znaczące, czynne i świetne stanowisko; ale my nie raczyliśmy go używać, nie chcieliśmy nawet wybierać go do Reichsrathowych komisyj, pozwoliliśmy mu być w naszym gronie figurantem, powierzając czynne role zdolnościom może niezupełnie wyższym od niego...

---

[1]) Zarząd władz administracyjnych Dunajewskiego i towarzyszy.

ale miejscowym! A ile tych zdolności w tym lat przeciągu ubyło! Pan Gołuchowski zaraz, najczynniejszy z natury swego położenia i dla Galicyi najpotrzebniejszy. Najwytrawniejszy, w najlepszej wychowany szkole, dyplomatycznie najzdolniejszy ze wszystkich, książe Leon Sapieha ubył także, bo choć żyje i daj Boże by żył jak najdłużej, ale się z publicznego życia wycofał. Adam Potocki, którego „lwia śmiałość i senatorska wspaniałość“ kryła takie złote serce i taką rzadką bystrość i zdolność polityczną, taką rzadką, u nas zwłaszcza, zdolność inicyatywy we wszystkiem co dobre, rozumne i pożyteczne. Jerzy Lubomirski, w którego idealizmie, może niezawsze praktycznym, nie było mniej zdolności i mądrości jak szlachetności, oba wyrwani z pośród nas tak nagle, tak niespodzianie, tak przedwcześnie! A wiele naliczyłoby się tych strat wielkich, wiele postaci pięknych, które świeciły i przyświecały, a w ciągu tych lat jedna po drugiej pogasły. Jenerał Zamoyski, żywa historya emigracyjnych czasów, chodząca tradycya roku 1831, *widmo Polski* za granicą, najwytrwalszy, jak mówił Zygmunt Krasiński, najbliższy gieniuszu, jak możnaby dodać. Ksiądz Kajsiewicz, kaznodzieja po Skardze największy, wielka postać księdza i Polaka, któremu nic do chwały nie brakło, ani blizn, ani policzków. Leon Rzewuski, dusza może zbyt w sobie zamknięta, a przez to intelligencya nie występująca w czynnem życiu, ale wielka dusza i wielka intelligencya. Andrzej Zamoyski, który jeden żyć i do życia budzić umiał w czasie, kiedy wszystko obumrzeć było gotowe.

„I gdzież są teraz te Pany w żupanie,
U których w sercu cnót na króla stanie“,

o kim dziś między nami powiedzieć można, że to człowiek „podług miary Fidiasza!“ Nauka straciła Szajnochę, Helcla, Libelta, Kremera, bogactwo krajowe przemyślnie a uczciwie pojmowane i pomnażane, straciło Aleksandra Kurtza, gdzie spojrzeć, straty, a nie wiedzieć, kto je zastąpi, kto tak polską myśl i tradycyę żywo i silnie utrzymać zdoła, jak oni zastępowali dzielnie i pięknie znakomitych ludzi tego pokolenia, które ich poprzedziło.

A dodajmy do tego znaczne zubożenie kraju przez szereg nieprzerwany klęsk elementarnych, i przez skutki obietnic i bankructw giełdy wiedeńskiej, dodajmy majątki szlacheckie zadłużone, w sporej części Niemcom lub żydom sprzedane, grunta włościańskie przez nieopatrzność, przez lichwy, przez weksle, przechodzące tysiącami w ręce żydowskie, ziemię usuwającą się nam z pod nóg i wymykającą z rąk, a z tego obrachunku pokaże się po latach dziesięciu smutny rezultat, że jesteśmy pobici, wszędzie i na wszystkich punktach pobici.

II.

Powyższe przypomnienie dziejów naszej prowincyi było nam potrzebne do lepszego przypomnienia własnych, o których głównie mówić chcemy. A kiedyśmy się na to trudne postanowienie i przedsięwzięcie zdobyli, to mówmy już zupełnie otwarcie. Czy mamy się przyznać do pewnej młodocianej illuzyi, z którą zaczynaliśmy wydawać nasze pismo? Czemu nie: illuzya nie jest grzechem ani wstydem, a w jej przypomnieniu nie ma doprawdy żalu do nikogo. Ani też apologii, tem mniej reklamy, dla siebie. Oto zdawało nam się wtedy, że mamy

w kraju, jeżeli nie gotowe stronnictwa, to przynajmniej elementa do nich gotowe i bliskie zupełnego połączenia. Zdawało nam się, że po wypadkach roku 1863, że w chwili, kiedy wewnętrzny stan Austryi otwierał nam drogę do działania, nasze położenie do zrozumienia tak łatwe, rozumiane jest dość powszechnie, i że ludzie, którzy na sprawy zapatrują się jednako, radzi będą wszystkiemu co ich zapatrywaniu da wyraz, widząc w tem pewien przybytek siły dla siebie i swoich dążności, i jakitaki środek działania. I w połowie mieliśmy słuszność. Większość ludzi oświeconych w kraju rozumiała dobrze i zgodnie tak złe skutki tajnych sprzysiężeń i robót, jak konieczności i korzyści porozumienia i zgody z Austryą. Ale rozumiejąc rzeczy jednakowo, nie czuła pragnienia i potrzeby jednakowego postępowania, czyli nie była gotowym materyałem na stronnictwo, nie mogła go z siebie wydać. A mówiąc to prosimy o wiarę i zaręczamy najsumienniej, że przed dziesięciu laty jak dziś nie myśleliśmy stronnictwa tworzyć, tem mniej niem kierować. Wiedzieliśmy, że one tworzą się same, a zebrania i stowarzyszenia, a narady i pisma wreszcie, są ich skutkiem, nie ich początkiem: i myśleliśmy, że nasz powstający *Przegląd* jest skutkiem i wyrazem tej zmiany w polityce i opinii, jaka u nas w zmienionych okolicznościach nastała. Nie roszcząc zaś sobie praw ani tembardziej nie pragnąc stać u steru, pragnęliśmy tylko być tej polityki jednem z narzędzi, tej opinii jednym z głosów, nie głową stronnictwa patryotycznego, rewolucyom przeciwnego, nie jego ręką nawet, ale jego jednym palcem: że od kierowania dalecy, sami będziemy pod kierunkiem mądrzejszych i wytrawniejszych od siebie, przyjmując od nich wskazówki i rady, i pisząc tak,

jak w każdej chwili uzna za potrzebne ten patryotyczny i przeciwrewolucyjny obóz, sam reprezentowany naturalnie przez ludzi co najrozumniejszych i co najlepszych. Mieliśmy nadzieję, że będziemy przyjęci łaskawie, jak zwykle przyjmowanym bywa ochotnik, który na żołnierza przydać się może, służbę swoją ofiaruje zadarmo, a prosi o jedno tylko, żeby mu dano coś do roboty i powiedziano jak ma robić. W tych nadziejach doznaliśmy zawodu. Mieliśmy w ciągu naszego istnienia przyjaciół, mieliśmy obrońców, dla których chowamy szczerą i wielką wdzięczność; każdy redaktor z osobna miał swoją chwilę powodzenia i swoją miarkę (czasem za wielką) pochwał i powinszowań. Ale żywego stosunku pomiędzy pismem a publicznością (tą jej częścią, z którą związku pragniemy), ale tego przyznania, że o polityce polskiej i austryackiej, albo o sprawach galicyjskich, mówimy to, co o nich myśli większość ludzi myślących i dobrze po polsku myślących, ale sprostowania i nakierowania, jeżeliśmy kiedy od tego kierunku zboczyli, tego nie mieliśmy nigdy. A jednak, każda w tej większości jednostka zapytana z osobna, przyzna, że o wszystkich sprawach i zasadach myśli tak jak my. Dlaczego więc ten brak związku i tego *Fühlung*, na które charakterystycznie bardzo polskiego słowa nie mamy? Że my nie umieliśmy swojem pismem zająć i zrobić je potrzebnem, to widzimy i przyznajemy; (dla czego tak było o tem później): ale nie my jedni byliśmy powodem. W odosobnieniu podobnem choć nie tak wielkiem zostawione są i inne pisma, *Czas* naprzykład choć tak dawny, tak rozumny i tak zasłużony. Ztąd wniosek, że opinia, której nie chcemy nazywać konserwatywną, ale przeciw-rewolucyjną, jeszcze nie czuje potrzeby swoich

własnych publicystycznych organów, że znajduje się dotąd w stadyum uczuć i instynktów dopiero, nie politycznego zapatrywania się na życie publiczne i jego konieczności, w stadyum powolnego kształcenia się dopiero w każdej jednostce z osobna, a nie zbiorowego działania w stronnictwie; że na wspak temu co w naturalnym porządku rzeczy być powinno, pisma u nas wyprzedziły opinię, i zamiast być jej skutkiem i wyrazem, musiały być jej początkiem, zawiązkiem i środkiem jej kształcenia.

Po latach, po nabytem doświadczeniu, tak sobie tłómaczymy obojętność dość powszechną względem *Przeglądu*. Na razie tłómaczyliśmy ją sobie tem, że pismo nowe, wydawane przez ludzi w tym zawodzie nieznanych, do względów nie ma prawa. Jednak ta obojętność, wyznajemy, była nam przykrą i nawet trochę dziwną. Nie znani jako publicyści, byliśmy wszyscy trochę, a jeden przez swoje dzieła nawet dobrze znani jako ludzie, i można było przypuścić, można było wierzyć, że lepiej lub gorzej, ale pisać będziemy w dobrym duchu, uczciwym i polskim. U wielu może szkodziła nam nasza zła reputacya *arystokratów*, ale czyż u wszystkich? a z bardzo małemi wyjątkami obojętność znaleźliśmy u wszystkich. Nawet *Czas* (niech raczy wierzyć, że piszemy to bez cienia żalu, owszem z serdeczną dla niego przyjaźnią i wielkiem uszanowaniem), on który później tyle razy i w najtrudniejszych dla nas chwilach, niósł nam pomoc tak życzliwie, tak odważnie i tak skutecznie, zrazu nie dał nam ani jednego słowa życzliwości i zachęty. Przecież nie mógł nam niedowierzać, przecież wiedział, że myślimy uczciwie jak on, po polsku jak on, jeżeli nie wiedział, czy myślimy jak on ściśle po katolicku, to

przecież mógł być pewnym, że nie myślimy jak protestanci, jak żydzi, ani jak bezwyznaniowcy? że bardzo Polacy, musimy choć trochę być katolikami? A jednak i z tej strony nic oprócz milczenia.

„To nas cokolwiek zmieszało“, jak zmieszała poetę wieść odebrana na piramidzie, i wynikające z niej przeświadczenie, że dalej żyć będzie musiał *in single blessedness*. Ale cóż było robić! Nie z taką fantazyą jak Italia, owszem z miną dość rzadką, powiedzieliśmy sobie z konieczności *farà da se*, i zaczęliśmy pisać jak najlepiej rozumieliśmy i umieli, w nadziei, że przecież czytać nas zaczną i że się przecież na coś przydamy. A przerzucając dziś nasze stare zeszyty, widzimy nie bez pociechy, żeśmy przecie w głównych jak w szczegółowych rzeczach stali po dobrej stronie. Nie żałujemy ani tego, żeśmy głośno i silnie wołali o gminę zbiorową, ani tego, żeśmy nastawali na zniesienie propinacyi, ani żeśmy pragnęli najgoręcej ugody z Rusinami w Galicyi, jako pomostu do zgody z Rusinami wszędzie. Dziś wydaje się to niemożliwością, illuzyą prawie dziecinną: jednak czy niemożliwość byłaby doszła do tego stopnia, na którym dziś ją widzimy, gdyby ta dziecinna illuzya była wówczas zmieniła się w męzką i powszechną wolę? Ale na cóż się przyda dziś poniewczasie żałować, kiedy na tym kompasie zaległa noc zupełna: jeżeli kiedy jeszcze padnie na niego jaki promień słońca, będziemy mówili nanowo. Przestańmy na przypomnieniu, że za dobrych czasów *der freien Bahn* pomagaliśmy mało, ale tyle ileśmy mogli, do wytłómaczenia konieczności związku polityki polskiej z austryacką i do korzystania ze sposobnej pory, do śpiesznego a dobrego załatwienia tych spraw we-

wnętrznych, na których opiera się pomyślność w kraju, a harmonia w społeczeństwie.

Ale niebawem zdarzyły się rzeczy, które nam kazały postąpić, czy przemówić, głośniej i ostrzej, zaznaczyć się wyraźniej w dwóch kierunkach naszej polityki, zająć stanowisko przeciw-rewolucyjne w Polsce i w Galicyi, przeciw-centralistyczne w Austryi, a ówczesne nasze kroki miały wpływ znaczny na dalsze losy naszego pisma.

Jedną z tych okoliczności była uchwała 2 marca.

Jeżeli jeden z redaktorów *Przeglądu*, ten mianowicie, który dziś te słowa pisze, ma sobie do wyrzucenia, że postąpił niekonsekwentnie, kiedy wbrew lepszemu instynktowi własnemu dał się przekonać, że powinien przyjąć wybór do Rady Państwa, choć przeciw tym wyborom głosował, to *Przegląd* jako taki nic sobie dzięki Bogu wyrzucać w tym względzie nie potrzebuje. Przeciwny wycofaniu adresu i wysłaniu delegacyi, przekonany i powtarzający zawsze, że ów cofnięty adres powinien być wskazówką dla delegacyi i treścią jej starań i żądań, kiedy się rzecz już stała i odstać nie mogła, *Przegląd* do secessyi i abstencyi nie namawiał nigdy, owszem jak mógł od nich odwodził, delegacyi w działaniu nie przeszkadzał, osób nie podejrzywał i nie oskarżał. Jego marzeniem i pragnieniem była podówczas federacya, jak i dziś jest jego przekonaniem, że tylko federacyjna Austrya może być zgodną ze swoją naturą, dobrą i silną. Ale skoro to na dziś dla zaślepionej niechęci Niemców i Węgrów i dla zupełnej ich w państwie przewagi, jest niemożliwem, nam zaś na exystencyi Austryi i naszej przy niej, więcej zależy niż na zupełnie dobrem jej urządzeniu, odłożyliśmy na bok ideały i absolutne teo-

rye, a w dążeniach naszych ograniczyliśmy się na teraz — i zapewne na długo — do względnie dobrego w praktyce urządzenia państwa i naszego w niem stanowiska. Nie zdaje nam się, żebyśmy przez czas pierwszej delegacyjnej kampanii byli w czem pobłądzili: raczej już podczas tego sejmu, który po niej nastąpił i uchwalił rezolucyę. Lepiej było, ze względu na zasadnicze i na praktyczne stanowisko trzymać się *Czasu*, i tak jak on chcieć wyrażenia żądań sejmowych w adresie tylko. Nam się zdawało, że adres, jako napisany do osoby cesarza, nie może o konstytucyi grudniowej, o jej skutkach i o żądaniach kraju, mówić tak obszernie i tak ostro, jak tego stosunek nasz do tej nowej konstytucyi wymagał. Dlatego chcieliśmy prócz adresu jeszcze innej uchwały sejmu, która nie byłaby wnioskiem do Rady Państwa, ale tylko oświadczeniem: wyliczeniem i żądań sejmu i krzywd, jakie mu ówczesna konstytucya zadała, a które bez doraźnych i wyraźnych skutków byłoby przecież programem dla sejmu i kraju, a drogoskazem dla delegacyi. Widzimy dziś dobrze, że ta myśl była zła, bo była niejasna i połowiczna; bo mniej może niepolityczna od *wniosku* była jego bliską i do niego prowadziła. Pisząc inaczej nie bylibyśmy na obrót rzeczy wpłynęli, ale bylibyśmy sobie oszczędzili wyrzutu, żeśmy złego jej obrotu nie przewidzieli i przed nim nie przestrzegli. Ale oprócz tego błędu, znowu w tej sprawie rezolucyjnej sumienie nie oskarża nas o nic, owszem oddaje nam to świadectwo, że dzięki bystrości miesięcznego swego kronikarza[1]), *Przegląd* i przewidział odrazu, że za Rezolucyą pójdzie opuszczenie Rady Państwa,

[1]) Koźmiana.

abstencya, a dla rządu i Izby konieczność wynalezienia jakiegoś środka jakiegoś *compelle intrare* na sejmy oporne, i od wyjścia z Rady Państwa, od abstencyi odradzał stale i jak mógł najsilniej. Przed sejmem też roku 1869 ustrzegł się zeszłorocznego błędu, i tak odmówieniu wyborów do delegacyi, jak zaostrzeniu sporu przez powtórne uchwalenie Rezolucyi, sprzeciwiał się zawczasu.

Ale ten zwrot centralistyczny, który się zaczął, kiedy hr. Belcredi ustąpił, a bar. Beust przyszedł do władzy, a w którym kraj nasz po tylu doświadczeniach nie może nie widzieć zawsze powrotu znanej i wrogiej sobie dążności germanizacyjnej, sprowadził szkodliwą zmianę i w wewnętrznym u nas stanie rzeczy. Niedość, że zmuszał gwałtem do oppozycyi tych, którzy zakończenie jej wzięli sobie za cel i zadanie, niedość, że odejmował wiarę w rzeczywistość i w możliwość austryacko-polskiego przymierza, jeszcze nadto otwierał nowe pole i dawał pożądaną sposobność tym wszystkim, którzy nie pojmują i nie chcą żadnego politycznego działania prócz oppozycyi, których jedynym środkiem tego działania jest agitacya jawna, konspiracya czy organizacya tajna, i negacya wszystkiego co jest, wszystkiego co bez rozruchów, otwarcie i spokojnie, i bez naruszania praw istniejących działa lub przynajmniej chce działać. Dla naszego narodu, który za niepodległości swojej nie lubił normalnego życia pod prawem i rządem, a po jej utracie przywykł do negacyi wszystkiego, co rządem było, a prawem się mieniło, i do tajnego konspiracyjnego działania, które przez czas tak długi jedno wydawało mu się działaniem patryotycznem, wszystko co sprzyja tej polityce, jest szkodliwem, bo nas utwierdza

w rozprzężeniu, utrzymuje w anormalnych warunkach życia i działania, przyzwyczaja do negacyi władzy jawnej i jawnego choćby złego prawa, a do słuchania pokątnego, samowolnego, czasem i nieuczciwego despotyzmu. W roku zaś 1867 i 1868 byliśmy od 1863 nie bardzo odlegli, i pełni jeszcze spiskowych tradycyj. Przypomnieć sobie, co było w tak świeżej pamięci, powołać do życia, co zaledwo żyć przestało, rzecz była łatwa. Na ludziach, którzy politykę taką z rozkoszą i namiętnością prowadzą, nie zbywa nigdy i nigdzie, a zwłaszcza u nas; ludzi zaś, którzyby się do niej i przez nią prowadzić dali, mógł licznie dostarczyć rząd sam, kiedy postępowaniem swojem zaczął nanowo wszystkich zmuszać do oppozycyi. Zjawiały się też zaraz pewne oznaki, odzywały się pewne po dziennikach głosy ukrywanej, lecz źle ukrytej radości, że *legaliści* czy *biali* (jak ich nazywano w roku 1863), ze swoją legalnością dostali się na manowce, że kierunek spraw będzie musiał przejść w godniejsze, energiczniejsze ręce: dawał się czuć ten niepokój, ta agitacya, która w żadnym razie sądzimy, nie byłaby się skończyła konspiracyą przeciw Austryi, ale która mogła była skończyć się oppozycyą bezwzględną, i reakcyą ze strony rządu. Zaczęły się więc te między nami walki, *quarum pars magna* był *Przegląd*.

Współredaktor nasz pan Józef Szujski, powiedział w ich początku *Kilka prawd z dziejów naszych*, których konkluzyą było, że dziś już „konspiracya ma absolutną niesłuszność, strona normalnej organizacyjnej prasy absolutną słuszność, że czem *Liberum Veto* po konstytucyi 3-go Maja, tem byłoby dziś *Liberum Conspiro...* tylko

w straszniejszej formie. To nie wolność, to socyalizm; to nie niepodległość, to pożarcie przez Moskwę".

Gniew powstać musiał: gniew tych naprzód, którzy z przeszłości wynieśli w najlepszej wierze cześć dla konspiracyi, jako jedynej niby widomej i wyraźnej formy dążenia do niepodległości; gniew tych następnie już w wierze mniej dobrej, których konspiracya była jedyną w życiu chwałą, zasługą i pracą; a wreszcie już bez dobrej wiary, gniew tych, dla których ona była nietylko jedynym znanym środkiem, ale na teraz nawet jedynym celem politycznego działania. Obojętność też prasy galicyjskiej, a raczej neutralność zbrojna, w jakiej się względem nas trzymała, przeszła zaraz w nieprzyjaźń i rozpoczęcie kroków wojennych. Byliśmy *legalistami*, którzy radzi, że żyją w spokoju, o Polsce nie myślą, i dla materyalnego spokoju lub dobrego bytu prowincyi, poświęcają ideę i nadzieję ojczyzny. Byliśmy *Białymi*, którzy we wszystkich po kolei powstaniach nie umieli ani widzieć, ani uczuć poświęceń i heroizmów, tylko się bali niepokojów i strat; byliśmy wreszcie ludźmi bez serca i Polakami bez czoła, którzy tak świeżo po przegranej sprawie roku 1863 zamiast pochwalną mową, a przynajmniej milczeniem uszanować nieszczęście, śmieli z bezbożnym cynizmem roztrząsać i wyliczać jej błędy i złe skutki. Wreszcie oczywiście wypieraliśmy się i nie chcieli ani Polski, ani niepodległości, skorośmy się odrzekli i nie chcieli konspiracyi, jedynego, a nie jedną ofiarą, nie jednym wielkim czynem uświęconego, tych dążeń wyrazu!

Dwie drogi nie rozeszły się od siebie dalej niż były przedtem, tylko się w swojej prawdziwej odległości widoczniej pokazały, każdy został na swojej. *Kilka prawd* nie przebrzmiało bez echa, ale nie nawróciły one podo-

bno nikogo. Cenili je bardzo i wzięli do serca ci, którzy nawrócenia nie potrzebowali; inni szarpali je tylko i robili swoje. A tymczasem grunt pod oppozycyę i pod agitacyę uprawiał się coraz lepiej. Spulchniła go wybornie konstytucya grudniowa, odwróciła go Rezolucya, a postępowanie Izb wiedeńskich z Rezolucyą, a niesprawiedliwości, upokorzenia, zła wola, jakieśmy tam znosić musieli, przygotowały go tak doskonale pod siew, że już niczego nie brakło. Jakoż wyszli na pole siewcy z pełnemi garściami i workami, i zaczęli rozsiewać, naprzód oskarżenia nieudolności i niedołężności przeciw delegacyi, nieuczciwości przeciw niektórym delegatom. Z tem równocześnie siali ziarno zerwania, oppozycyi bezwzględnej, negacyi tej polityki austryacko-polskiej, która była jedyną rozumną, jedyną wiodącą przecież do jakiegoś celu, jedyną możliwą. Siały się równocześnie i ziarna tego niebezpiecznego blekotu, który bałamuci rozumy, a przekręca i przewraca pojęcia, i ze społeczeństwa robi jakiś dom waryatów, w którym wszystko przewrócone jest do góry nogami. Kluby i stowarzyszenia grające rolę jakiejś niby wyższej instancyi, apellacyi nad sejmem, jak żeby one, a nie on były reprezentacyą kraju, i usiłujące podciągnąć go pod swój trybunał i pod swoje rozkazy. Owacye wymyślane przy każdej sposobności, owacye, przy których lud stoi na ulicy, nosi pochodnie i słucha co mu prawią z balkonu, a oratorowie przy uroczystej uczcie wnoszą toasty, które łatwowierni i lekkomyślni biorą za polityczne, kiedy w nich usłyszą jaki szumny i górno-lotny frazes o Polsce. Różne mnożące się obchody pamiątkowe, znowu sposobność do mów, do wyprowadzania ludności na ulicę. To wszystko, czy w celu wywołania rozruchów, lub rewolucyi we Lwowie? Nie;

ale w celu bezpośrednim opanowania sejmu, przejścia jego pod komendę klubów, stowarzyszeń, dzienników, i zmuszenia go do oppozycyi stanowczej, do zerwania z rządem, a co dalej nastąpi, to się potem pokaże!

Cokolwiek byłoby mogło pokazać się w przyszłości, to, co już było pokazywało wyraźnie, że może nawet sami o tem nie myśląc, możemy dojść do niepokojów i rozruchów. Kto się uczył historyi, kto zna cokolwiek naturę ludzi i społeczeństw, i kto sam miał sposobność choć raz na wypadki patrzeć, ten wie, że takie sądzenie sejmów przez kluby, takie wyprowadzanie ludności na ulicę, nawet czasem bankiety i mowy, dziać się zwykły w wilię rozruchów i bliskość ich zapowiadać. Kto pamiętał wypadki warszawskie, tak świeże jeszcze, ten mógł wiedzieć, że obchody i demonstracye zmierzają niekiedy gdzieindziej i dalej, niż się wydaje. A kto miał oczy otwarte i widział, jaką solą w oku, jaką kością w gardle były dla państw ościennych dobre stosunki Polaków z Austryą i dobre warunki ich życia w Austryi, ten mógł zaiste przypuszczać i bać się, że lada agent obcy skorzysta z lada obchodu, żeby wywołać rozruch, w szczęśliwym razie burdę, bójkę, o którą w wielkiem zbiegowisku ludzi zawsze łatwo: a wreszcie reakcyę, stan oblężenia i koniec polityki austryacko-polskiej.

Widzieć, że po roku 1863 takie rzeczy powtarzać się mogą, było bardzo boleśnie, bo jeżeli ta nieszczęsna nauka nie była dostateczną, to cóż nas już nauczyć zdoła. A jednak czekać z założonemi rękami, aż się stanie to co się przewiduje, nie ostrzegać, nie uprzedzać, nie bronić się jak i dopóki można? To niepodobna. Ale co robić? Nie pomogły żadne słowa choćby najrozumniej-

sze i najwymowniejsze. Nie pomogły wymowniejsze i poważniejsze nad wszystko lekcye historyi i doświadczenia. Cóż pomoże? Może ironia? broń to nieprzyjemna, bo niska i godząca w niższe części ludzkiej natury i duszy, w miłość własną. Ale kiedy rozum i sumienie słyszeć i rozumieć nie chciały przez miłość własną, jak najczęściej, zagłuszone, to nie pozostaje nic, tylko w nią ugodzić i zabić jej i ludzkie wysokie o niej rozumienie; a prócz tego obnażyć ją z tych wszystkich szat i przyborów w które się stroi, i zawstydzoną w tej nagości pokazać.

Przegląd zaczął wydawać *Tekę Stańczyka.* Kiedy zaczynał sam nie wiedział, że podejmuje dzieło tak znaczące i skuteczne. Doniosłość jego poznał dopiero z wrażenia, jakie sprawił. Wszystkie nożyce odezwały się naraz przerażającym, odurzającym, a może i trochę przecież oburzającym chórem, i nam redaktorom *Przeglądu,* i wszystkim do nas przekonaniami zbliżonym nadały we wspaniałej pogardzie swojej nazwę *Stańczyków.* Nazwę przyjęliśmy chętnie, nawet wdzięcznie, wiedząc z historyi, że przydomek dany w gniewie przez przeciwnika na wzgardę i urągowisko, staje się czasem tytułem chwały. Na śmiech przecież dano Holendrom pogardliwe w myśli dających a chwalebne naprawdę miano *des Gueux.* Nie porównywamy naszych małych rzeczy z tamtemi wielkiemi, jednak wyznajemy szczerze, ta nazwa była nam miłą. Przypadkiem i niechcący przeciwnicy dali nam chrzest i imię jako stronnictwu. A nietyle cieszyliśmy się z tego, że nam się to dostało, ile z tego, że tymrazem może, jak nieraz przedtem, nadane imię nada spójność, całość, indywidualność, jednakim ale rozproszonym pojęciom i usiłowaniom, że da nietylko nazwę

i sankcyę, ale i rzeczywistą organizacyę stronnictwu; że po jednej stronie, nie pod naszem przewodnictwem, ale za naszem poczęści pośrednictwem, zbiorą się w kupę wszyscy, którzy rok 1863 mają za największą klęskę porozbiorowej Polski i od klęsk podobnych na przyszłość chcą ją zabezpieczyć, po drugiej ci znowu, którzy w nim i w jego skutkach złego widzieć, raczej przyznać nie chcą, bo wtedy musieliby widzieć i przyznać, że sami źle zrobili. Co o nas mówiono i pisano? mniejsza! wyliczać zadługo, pamiętać i nie należy, i nie warto. Zdrada ojczyzny ozdobiona wszystkiemi agrementami nieludzkości i wszelakiej podłości, oto krótka treść zarzutów. Co zaś *Stańczyk* zrobił, a przynajmniej chciał zrobić? Upomnieć patryotyzm lekkomyślny, który chcąc dobrze, dobrze myśleć i działać nie umie; opamiętać patryotyzm sentymentalny, dziecinny, który pozór bierze za rzecz a frazes za czyn, wreszcie odsłonić patryotyzm fałszywy, faryzejski, któremu ojczyzna służy za pretekst, a celem mniej lub więcej świadomym jest zawsze *ja* tego lub owego człowieka.

Kiedy zaś obelg i oszczerstw nazbierało się tyle, że czuliśmy potrzebę otrząść się, jak koń kiedy go muchy obsiędą, dodał *Przegląd* do wszystkich swoich zbrodni jedną jeszcze: powtórzył nanowo, głośno i otwarcie, że rok 1863 i każde powstanie bez warunków zwycięztwa, uważa za nieszczęście i za grzech przeciw ojczyźnie, i wytłómaczył dlaczego je tak uważa. Stało się to w artykule o *Sumienności Dzienników i Dziennikarzy*.

Czy plewiąc kąkol nie wyrwał *Przegląd* i pszenicy? czy używając niemieckiego wyrażenia, wylewając kąpiel i dziecka z nią nie wyrzucił, a powstając na hypokryzyę patryotyzmu nie zgorszył kogo, nie naruszył w nim

patryotyzmu samego, myśli ofiary i przyszłości? Wiemy, że szyderstwo Stańczyka bolało nawet ludzi poważnych i rozumnych, i niespokojnie braliśmy teraz do ręki te karty, z obawą, czy tego grzechu na sumieniu nie mamy. Nie, i nie. Po latach, z głową wychłódłą i sercem wolnem od namiętności, mamy przekonanie, że kto bez uprzedzenia Stańczyka przeczyta, a rozumnie czytać umie, ten myśl jego rozpozna łatwo i odrazu; ten odróżni na pierwszy rzut oka do czego odnosi się jego ironia i (powiedzmy otwarcie) jego pogarda, a gdzie powyżej tego wszystkiego jest jego miłość, jego cześć, jego serdeczne żale i jego pragnienia. Gdyby zaś *Teka* sama mogła jeszcze nie być komu zupełnie jasną i potrzebowała korrektywu, komentarza, to ten zupełnie jest zrozumiały i stanowisko *Przeglądu* jasno tłómaczący, w artykule o *Sumienności Dzienników*. Ktoby jeszcze myślał i wierzył, że ojczyzny, walk o nią i ofiar dla niej szanować i kochać nie umiemy, ten niech go sobie przeczytać raczy.

A w tej sprawie, wspominamy z wdzięcznością i chlubą, nie byliśmy sami. Poparci odważnie, po rycersku i po przyjacielsku przez *Czas*, znaleźliśmy poparcie u wielu, tak że przez chwilę jakąś zdawać nam się mogło, iż przyjdzie do połączenia i zjednoczenia usiłowań ludzi połączonych zasadami i przekonaniami. Tego skutku nie było: ale czy nie było żadnego po *Tece Stańczyka?* może to zarozumiałe złudzenie, ale nie przyznając w tem sobie zasługi możemy powiedzieć, iż zdaje nam się, jakoby od tego czasu patryotyczny frazes bez myśli i treści był nieco przycichł, jakoby agitacye i demonstracye powtarzały się rzadziej, jakoby kluby i stowarzyszenia nie odgrażały się sejmom i nie powoływały ich przed swój sąd, i jakoby znana teorya znanego nie-

gdyś Mierosławskiego o nieprzerwalności powstania i jego peryodycznem powtarzaniu *(Ce sera à recommencer)*, od owego czasu po raz pierwszy była się odezwała w tym roku dopiero[1]) z okazyi rocznicy *szczęśliwego* powstania z roku 1863.

Ten rok 1869 był ważnym dla naszego *Przeglądu*. Naprzód przez *Stańczyka* podniósł jego znaczenie: u niektórych jego poważanie, u innych jego nienawiść. Ale zarazem przyniósł mu i znaczne szkody. Z trzech głównych jego redaktorów dwóch powołano do innego zajęcia, ważniejszego[2]); a jeżeli dla nich było to szczęściem, to dla pisma było stratą, bo obowiązki profesorskie nie dozwalały im poświęcić *Przeglądowi* tyle czasu, uwagi i pracy, ile mu dać mogli przedtem. Nastąpiło też pewne osłabienie w piśmie, które dobrze widzimy i przyznajemy: nieszczęśliwe dla niego w chwili właśnie, kiedy tak wzrastająca jego niepopularność jak i wzrastający wpływ, nakazywały właśnie wytężyć wszystkie siły, żeby je zrobić coraz lepszem, coraz bardziej zajmującem, coraz potrzebniejszem. Było przeciwnie. Naprzód po zajęciu, jakie obudził był Stańczyk, rozprawy naukowe lub literackie, z bieżącem życiem mniej związane, musiały wydawać się blado, a pismo, któremu właściwi współpracownicy nie mogli już całej swojej pracy poświęcać, musiało i pomijać wiele rzeczy o których mówić mu należało, i w wyborze artykułów być mniej trudnem.

I tu nasuwają nam się różne słuszne zarzuty, które nam czyniono. Naprzód ten, że kwestyj bieżących, w da-

---

[1]) 1876.

[2]) Szujski i Tarnowski do uniwersytetu; pierwszy jako profesor historyi polskiej, drugi jako docent literatury.

nej chwili żywo publiczność obchodzących, politycznych zdarzeń lub literackich nowości, nie traktowaliśmy ani dosyć na ilość, ani dość gruntownie na jakość. Pismo miesięczne powinno wiedzieć, co w przeciągu kilku najbliższych miesięcy stało się lub wyszło najciekawszego, i o tem mówić: powinno zawczasu starać się o artykuły w takich materyach, zamawiać je u piszących, i zawsze ich czytelnikom dostarczać: wtedy będzie i zajmującem i potrzebnem, a przez to znowu stanie się ważnem i wpływowem. Prawda niestety, wszystko prawda, pismo tak robić powinno, tylko niezawsze robić tak może! Jeżeli właśni redaktorowie niem wyłącznie zajmować się nie mogą, jeżeli u innych piszących nie ma dość łask, żeby w niem prace swoje ogłaszać lubili, jeżeli wreszcie nie jest dość bogatem, żeby artykuły hojnie płacić mogło, rzecz prosta, że nie może zamawiać wtedy artykułów jakieby mieć chciało, ale musi ogłaszać te, które ma. A my, choć ograniczeni na małą liczbę piszących, miewaliśmy prace o kwestyach bieżących, i prace, których zachwalać nie chcemy, ale o których wolno nam powiedzieć choć tyle, że złe nie były. Nie mówiąc o tych, które mówiły o kwestyach zbyt specyalnych, jak gmina, szkoła, dzielenie gruntów, propinacya lub hypoteka, przypominamy z wewnętrznych niektóre artykuły o Rusi: z szerszego zaś zakresu *Północny związek niemiecki*, *Listy z Francyi o Francyi*, po wojnie *Notatki z podróży* pana Klaczki, i dla nas napisany przez bardzo znanego francuskiego pisarza pana Sorel artykuł o powodach upadku pana Thiersa. *Listy z Pesztu, z Pragi*, wszystko to były takie przedmioty z bieżącej historyi, na czasie zajmujące i potrzebne. Albo powieści? Ile razy naprzykład staraliśmy się o nie, wiedząc, że to potrze-

bna ozdoba i że nam brak jej abonenci zarzucają. Ale zkąd ich wziąć niestety? Jest prawda kilka fabryk, w których gotowych powieści zawsze dostanie: ale do tych fabrycznych wyrobów mieliśmy nieco wstrętu, a sądziliśmy, że i nasi czytelnicy niebardzo ich łakną. Pragnęliśmy takich, a nasi czytelnicy zapewne także, które stawiałyby jakiś nowo dostrzeżony lub nowo obrobiony problemat psychologiczny, czy też towarzyski lub społeczny stosunek, a nie były mechanicznem tylko przerobieniem, przeżuciem, rzeczy sto razy już napisanych. A o takie, napisane z prawdziwą intelligencyą, z artystycznym zmysłem, jakże trudno! Jednak udało nam się znaleźć je niekiedy. Na brak zaś powieści próbowaliśmy radzić sobie jak się dało, zapiskami z podróży, lżejszemi anegdotycznemi epizodami z historyi: ale żebyśmy zawsze byli dawali rzeczy zabawne, tem pochwalić się nie możemy. Na to, by zawsze było pełnem rzeczy zajmujących, musi pismo być bogatem, czyli musi mieć dużo prenumeratorów: na to zaś, by ich miało dużo, musi z góry przynęcać ich dobremi i zajmującemi pracami, których bez nich zamówić i dostać nie może. Jestto błędne koło, w którem się kręcimy, a wyjścia znaleźć nie umiemy.

Zarzut drugi, jaki nam robiono i także słusznie, to, że na *Przegląd Polski* pisaliśmy zamało o Królestwie, Wielkopolsce i krajach Zabranych, a tylko o Galicyi samej. Uznając fakt z żalem i pokorą znowu do winy przyznać się nie możemy. Usiłowania nasze w tym kierunku były rzec możemy śmiało, nieprzerwane przez całe te lat dziesięć: skutek ich był bardzo przerywany, sporadyczny. Udało nam się kilka razy dostać (o Królestwie mianowicie) rzeczy pisane na miejscu i z do-

kładną znajomością stosunków, lub autentyczne i nauczające korespondencye z Poznania. Ale było ich mało. U siebie w redakcyi nie chcieliśmy artykułów takich układać, chyba, że chodziło o streszczenie jakiejś większej grupy faktów już powszechnie znanych (jak naprzykład o rządzie Pruskim i o Kardynale Ledóchowskim). Dostawać zaś informacye częste i ciągłe, czy z Warszawy, czy z Zabranych krajów jest niezmiernie trudno. Brukową korespondencyę bez wartości i bez ważnych informacyi lub spostrzeżeń dostać można. Ale ludzie, którzy wiele wiedzą i dobrze sądzą, pisywać nie mogą, nie mogą narażać siebie i dobrego jakie tam robią, na skutki, jakieby niewątpliwie pociągnęło za sobą wykrycie ich stosunku z polskiemi pismami w Galicyi. Nawet prosić ich o to nie ma się odwagi. A ztąd wynikło, że nie chcąc podawać czytelnikom rzeczy oklepanych i nic nie znaczących, a prawdziwie dobrych dawać im często nie mogąc, woleliśmy dawać rzadko i mało, ale to co wiedzieliśmy, że było prawdziwem i dobrem. Często zaś z umysłu nie chcieliśmy mówić o sprawach Królestwa i krajów zabranych, bo wiedzieliśmy z praktyki, że głosy dziennikarstwa polskiego po za granicami państwa rosyjskiego, często zwracały na siebie uwagę rządu, skłaniały go do wprowadzenia lub przyśpieszenia zmian uznanych tu za zgubne, do wstrzymania tych, które witane były jako pomyślne. Ostrzegali o tem wielekroć, ostrożność i milczenie zalecali jako obowiązek, najpoważniejsi nawet z tych, którzy mają prawo przepisywać nam, jak o ich sprawach mówić mamy, z mieszkańców, czy Królestwa, czy Litwy, czy Rusi. Nigdy więc przez niepamięć i nie dbałość, niezawsze przez niemożność, czasem i przez rozum i przez sumienie, przez wzgląd żeby nie zaszko-

dzić, milczeliśmy o Rosyi i o losach polskich krajów pod jej panowaniem.

Ale myliłby się, ktoby sądził, że te rzeczy były powodem naszych niepowodzeń, lub że one przeszkadzały nam do rozwinięcia naszego pisma. Zebrać siły dostateczne, aby odpowiedziały wymaganiom pisma miesięcznego zakroju *Przeglądu,* siły tchnące jednym duchem w artykule politycznym, jak w literackich, w powieści, czy w historycznym zarysie — na to potrzeba było zwycięztwa odniesionego w imię tych prawd, któreśmy bronili! a my walczyliśmy i walczymy w zastępie, niemnożącym się wcale. To, cośmy przedewszystkiem jako cel nasz uważali, to, czegośmy jako chorągwi odstąpić nie mogli, owa chęć mówienia społeczeństwu, czego mu albo nie powiedziano, albo mówiono tylko półgębkiem i nieśmiało — nie bywało zaiste zachęcającem dla sił młodszych, aby stawały w naszych szeregach, dla starszych, aby się terały na niewygodach naszej kampanii. Wielkie koryto bieżącej literatury naszej płynie zawsze jeszcze konwencyonalnym fałszem i pochlebianiem znarowionemu gustowi publiczności — a ta publiczność przełknie, jak tego tylekroć dawała dowód, zgubną doktrynę byle ocukrzoną patryotycznym frazesem, ale zakrztusi się zawsze, ilekroć się jej poda gorżką i smutną prawdę. Więc też nieliczni byli ci, którzy zgłaszali się do nas i chcieli wytrwać z nami, tem dla nas zaiste milsi, że narażali się na guzy razem z nami... ale nie mogący nam dać tyle pomocy — ile jej pismo wymagało... Wszakże dosyć było umieścić u nas artykuł, aby uledz albo — zamilczeniu, albo sponiewieraniu przez dzienniki; wszakże niejedna rzecz, odróżniająca się głębokością w pojęciach od powodzi drukowanych ko-

munałów w poezyi i prozie, ginęła w łamach *Przeglądu* bez reklamy dla autora, gdy największe nędze literackie urastały do wielkości w towarzystwach wzajemnej admiracyi nieprzyjaznych nam dzienników!

Dodawszy do tego dwa zarzuty, z których już ani brakiem sił, ani brakiem czasu, ani brakiem pieniędzy, a więc niczem wytłómaczyć się nie możemy, to jest, że zeszyty nasze prawie nigdy w terminie nie wychodziły, a korekta w nich była najczęściej zła, wyczerpie się podobno listę „grzechów naszego żywota", nie mówiąc naturalnie o tych ciężkich, które zarzucano nam niesłusznie.

A tu niech nam wolno będzie wspomnieć o jednym. Z jednej strony nazywano nas zdrajcami, arystokratami i ultramontanami. Z drugiej patrzano na nas podejrzliwie jako na wątpliwych katolików. Słowo więc o tem. Wyznajemy zupełnie, że w pierwszych latach istnienia *Przeglądu* uważaliśmy wszelkie ostre i gwałtowne występowanie w rzeczach religijnych za szkodliwe i niebezpieczne, bo, za mogące wywołać religijną kwestyę, której podówczas jeczcze u nas nie było, a wyznajemy, że i dziś pomimo dzienników bezwyznaniowych i pomimo, że w społeczeństwie samem jest wiele pod tym względem złego, nie zdaje nam się, jakoby po za temi dziennikami, w kraju samym, było przeczenie katolickiej wiary. Boimy się zaś, że nieoględna i namiętna gorliwość katolików mogłaby tę obojętność dzisiejszą, której nie bronimy wcale, zamienić nie w większą gorliwość, ale w zupełną bezwyznaniowość. Dlatego spokojność, łagodność i takt, wydają nam się dziś, jak wydawały się przed dziesięciu laty koniecznemi, nie dlatego, żebyśmy zbyt umiarkowanymi byli, ale właśnie dlatego, że nimi

nie jesteśmy. Może to pojęcie interesów i potrzeb kościoła polskiego i powszechnego w Polsce jest mylne, ale w każdym razie nie w obojętności ma ono swoje źródło.

Nie będziemy wspominać, co *Przegląd* myślał i pisał podczas wszystkich zakrętów i wykrętów jakie na drodze swojej spotykała sprawa uregulowania stosunku prowincyi naszej do państwa. Myślał, pisał, zawsze tosamo, przestrzegał przed zerwaniem, przed abstencyą; przewidywał *Nothwahlgesetz*, skutku sprawiał mało, to jego historya. Wolimy przypomnieć sobie inną jego kartę, o której zawsze nie bez dumy myślimy, o jego kronikach politycznych podczas wojny francuskiej. W tem nieszczęściu całego świata, w tem zawaleniu się Europy, nie zdarzyło nam się czytać (godzi się to powiedzieć o tem co nie nasze) nie zdarzyło nam się czytać nic, coby narazie tak było bystro powody nieszczęścia przejrzało i określiło, a tak trafnie wzrokiem, tak głęboko uczuciem objęło jego skutki. Po jakimś czasie, po namyśle, po pracy i wykryciu wielu źródeł, wyszły rzeczy obszerniejsze, bardziej nauczające, może i świetniejsze. Ale narazie nie przypominamy sobie nic w publicystyce europejskiej tak świetnego o Sedanie i upadku cesarstwa, jak p. Stanisława Koźmiana kronika z września i października roku 1870.

A kiedy to nieszczęście już się dokonało, kiedy król pruski został panem Europy, a żywioł niemiecki panem Austryi, znalazły się i te nieskończone małe jednostki, i pisma peryodyczne w Galicyi w położeniu zupełnie odmiennem. Co miały robić, czego pragnąć, do czego dążyć, o czem mówić! O Polsce, jej sprawie, jej polityce i jej potrzebach? chyba mówić do Boga w modlitwie, bo na ziemi nikt tego nie słucha. *Finis*

Poloniae, mówi Rosya i Prusy, a wtóruje Francya, Anglia i cała Europa. O Galicyi i jej stanowisku w Austryi? To stanowisko było z góry i na długo skazanem na to, iżby było takiem jak zechce dziennikarstwo wiedeńskie i lewica w Radzie Państwa, a Galicya ich woli swoją nie przełamie. Cóż więc pozostało do robienia ludziom a pismom do mówienia? Nic, tylko ten ciasny i mały a przecież tak ważny i wielki zakres wewnętrznych domowych spraw kraju: i większy od niego, największy ze wszystkich, zakres moralnego podniesienia własnego, ten zakres jedyny, w którym zawsze działać i zdziałać coś można, w którym kraj i naród każdy jest zawsze swobodnym, zawsze niepodległym, bo na tem polu nikt i nic nigdy przeszkodzić mu nie może. Potrzeba tylko dobrze czuć i chcieć.

Pomiędzy temi zaś oznakami złego, które nas o przyszłość kraju, o jego godność, o jego stan moralny i moralny zmysł trwożyły najbardziej, było na pierwszem może miejscu, dziennikarstwo bez zasad politycznych i bez zasad moralnych, wywierające trwale, bo przez cały szereg lat wpływ silny, a rzec można jedyny, na opiniję powszechną. Co się stanie z wszelkiem działaniem politycznem, jeżeli ono zależnem będzie od tego, co powiedzą ludzie naprawdę nie mający politycznego taktu, tylko bystry instynkt konserwacyi i popularności własnej? ani politycznego programu i celu prócz wziętości dla swego dziennika a przez to dobrego interesu dla siebie? Co się stanie z rozumem i ze zmysłem politycznym kraju, jeżeli wychowany w takiej szkole, co dnia będzie słyszał co innego, a nieszczęściem i czego innego słuchał? Co się stanie z jego poczuciem złego i dobrego, godziwości i niegodziwości,

honoru i nikczemności, jeżeli karmiony codzień kłamstwem, potwarzą, skandalem, tak do nich przywyknie, że w nich w końcu smakować zacznie? Co się stanie wreszcie z jego godnością i szacunkiem siebie samego, jeżeli dalej będzie otwierał przystęp do swego ucha i rozumu, do swego postanowienia i postępowania, ludziom, których nie szanuje, o których mówi to sam otwarcie i przy każdej sposobności, a przecież pozwala im mówić o wszystkich sprawach ojczyzny, pozwala im na nie wpływać, przyjmuje ich insynuacye, zważa na ich sądy, i swoje na tych wyrabia?

Obawy te trapiły nas dawno. Nie dlatego, że dzienniki te i przeciw nam także wojowały oszczerstwem i kłamstwem, i nie od tego dopiero czasu: rzeczy to dawne, a im dłuższe, tem gorsze. Próbowaliśmy raz na nie uderzyć, odsłonić sumienność dzienników i dziennikarzy, bez skutku. Może dlatego, myśleliśmy, że głos nasz ówczesny jako w obronie własnej podniesiony, mógł się wydawać uprzedzonym, stronniczym, zatem niedość wiarogodnym. Ale niebawem zaszły fakta, które wartość naszych organów opinii wystawiły w jasnem i jaskrawem świetle: proces, w którym jedna strona oskarżała drugą o przekupstwo, a tamta odpowiadała oskarżeniem o prostą kradzież, w końcu zaś obie od skarg odstąpiły z obawy, jak mówiono, żeby zarzucane sobie nawzajem uczynki nie dowiodły się zbyt jasno i wyraźnie. Nam wydawało się to okropnem, żeby ludzie, którzy z zarzutów takich oczyścić się nie umieją, mogli choćby udawać tylko reprezentantów, ba kierowników polskiej opinii! okropniejszem to, że w takiej chwili, wobec tej oczywistej hańby, opinija ta nie wyparła się ich odrazu, ale dalej pozwalała im w imię

swoje przemawiać, reprezentować się i kierować. I zdawało nam się, że jeżeli co, tedy fakt taki, albo już nic na świecie, zdoła otworzyć jej oczy i zmusić niejako do lepszego szanowania i siebie samej i zwłaszcza sprawy, której nieczyste ręce dotykać, o której skalane usta przemawiać nie powinny. I odezwaliśmy się wtedy do Królowej Opinii z gorącą prośbą, żeby tych faworytów swoich odprawiła, z nimi się nie prostytuowała, ale żeby godności swej pamiętna zachowywała się poważnie, jak przystoi tym, co królować mają ochotę i roszczą sobie prawo. Jaki był skutek? Dla nas nawał, chór, gwar oklasków, powinszowań i podziękowań, sukces literacki (ostatni któregośmy pragnęli), większy nad zasługę. Ale faworyci foworytami zostali! te przyjemne grzeszki, które jeden drugiemu wyrzucał, do których się jeden i drugi przyznawał, musiały chyba dodać im wdzięku w oczach królowej, bo zostawiła ich dalej na straży swojego honoru i dobra! Nikt ich nie odstąpił, nikt ich się nie wyparł, nikt im nie usunął ręki, ani nawet surowego oblicza nie pokazał. Postąpiliśmy bardzo niezręcznie. Potemkin podsuwał, dostarczał, protegował Łanskojów, Jermołowów i Momonowów, i nigdy też mądry łask pani nie stracił. My żądaliśmy od Katarzyny, żeby była wzniosłą Jadwigą, a przynajmniej poważną i godną Anną Jagiellonką! Oczywiście, nie mogliśmy osiągnąć nic, prócz nienawiści i zemsty tryumfujących faworytów.

I znowu byliśmy pobici.

Że jednak człowiek tylko za swoją wolę i usiłowanie odpowiada, nie za ich skutek, więc postępek ten musimy policzyć między zasługi *Przeglądu*. Czy miał on jeszcze jakie inne? Miał zawsze stateczną wierność

swoim zasadom, ale czynnie występował już mało, bo w dzisiejszem położeniu Austryi, czynność Galicyi musi być ograniczoną do spraw wewnętrznych a na zewnątrz być odporną tylko, na inicyatywę dla niej jedna pora już przeszła, a druga jeszcze nie nadeszła. Jedno chyba przyznać sobie możemy to, że wierność nasza we wszystkiem stateczna, w jednym kierunku stała się gorliwszą i czynniejszą. Kiedy walka religijna wybuchła wściekle, wprawdzie nie między nami jeszcze, ale w całej Europie mniej lub więcej od Niemiec zależnej, kiedy ciosy swoje najpierwsze i najgwałtowniejsze wymierzyła na kraj i lud polski, kiedy rzeczy stanęły tak, że wybór jest między Papieżem a Bismarckiem, Kościołem rzymskim a pruskim, katolickim i powszechnym a rządowym i policyjnym, kiedy rozwinęła się tak szybko i gwałtownie, że wyglądać można lada dzień nowej zmiany, nowej konieczności wyboru pomiędzy religią jakąś a żadną, Bogiem a niczem, nasze katolickie przekonania stwierdziły się wyraźniej, a stwierdzając się, utwierdziły się też silniej. Wprawdzie w tym stanie rzeczy pisalibyśmy w duchu katolickim, nawet gdybyśmy katolikami nie byli, z mocy naszego uczucia polskiego, z mocy instynktu konserwacyi własnej, i tego zmysłu politycznego, który uczy, że nieprzyjaciel naszego nieprzyjaciela jest naszym przyjacielem: i nie pojmujemy doprawdy tych dzienników polskich, których uczucie patryotyczne nie ostrzega, że występując z nienawiścią jawną czy ukrytą do Kościoła, ciągną wodę na pruskie i rosyjskie młyny i pomódz mogą do zmielenia polskiej duszy. Dla nas rzecz jest jasna. Politycznie tylko przy sprawie obchodzącej świat cały, przy wielkiej sprawie katolickiej, sprawa polska wypłynąć może z tej bezden-

ności, która ją pochłania, i utrzymać się na powierzchni wód: duchowo utrzymać się i dźwignąć może, tylko strzegąc pilnie swojej duszy, którą cudownie prawie przez wiek cały dochowała. Duszę zaś trzyma i krzepi tylko Bóg, i puścić ją może, kiedy ona powie sobie i Jemu, że tej podpory, tego pokrzepienia nie chce i nie potrzebuje. Połączenie sprawy polskiej z katolicką, w teoryi powtarzane u nas do znudzenia, w praktyce mało i rzadko dokonywane, objawiło się w tych ostatnich latach jaśniej i wyraźniej niż kiedykolwiek w Poznańskiem i Podlaskiem prześladowaniu, objawiło się, jak żeby na ostatnie upomnienie, jak żeby sam Pan Bóg mówił: „teraz którzy z Polaków mają oczy, niech patrzą, którzy mają uszy, niech słuchają, a którzy *intellectum habent, intelligant.*“

W przyjęciu, przechowaniu, zastosowaniu natchnień tej wielkiej wskazówki Opatrzności Bożej, widząc *conditio sine qua non* naszego życia i odrodzenia, widzimy też w nich jedno najczystsze źródło więcej patryotycznego działania wszędzie, w rzeczach wielkich i małych, w małym świecie rodziny i w wielkim świecie społeczeństwa, dla utrzymania i szerzenia narodowości, prześladowanej wraz z kościołem i wraz z kościołem liczącej na zwycięztwo, które w końcu odnieść musi przechowana tradycya prawd chrześciańskich. Liczymy, że odwaga wyznawstwa da i tę poradność wyznawstwa, która podkopała pogaństwo starożytne i nowożytne podkopie, która nie lekceważy siły przeciwnika i niezamyka się przed nią w ascetycznej pogardzie, ale wychodzi śmiało na plac boju i przejmuje wszystko co dobre u przeciwników, co daje siły i zasoby moralne;

liczymy i na to, że budujące i świetne wyznawstwo jednych, da drugim ten *intellectus,* to zrozumienie położenia, którego dla siebie i dla wszystkich pragniemy tem goręcej, że go dotąd w Polsce niedosyć widzimy. W tym duchu pisał *Przegląd* parę razy o sprawach prześladowanego kościoła. A mało miał w swojem życiu chwil tak szczęśliwych, jak kiedy mógł to połączenie widzieć i pokazać, własne sądy prostować, uprzedzenia odrzucać, ludzi i rzeczy widzieć w prawdziwszem, w najprawdziwszem i najlepszem świetle, i czołem uderzyć tam, gdzie niedawno jeszcze przyganiał. Robiąc teraz nasz rachunek sumienia z zeszytów naszych lat dziesięciu, znaleźliśmy w nich niejedno słowo ostre i namiętne o Kardynale Ledóchowskim. Usprawiedliwiać się nie chcemy, a odwoływać zbytecznie, bo nikt nas nie posądzi, żebyśmy dziś podobnie myśleli. Powiedzmy więc tylko, że Jego postać i postawa wobec prześladowczych rządów wydaje nam się największym tryumfem naszej zasady i sprawy, jedynym może tryumfem rzeczywistym, dotykalnym, jaki one w tych latach na polskiej ziemi odniosły.

Stan religijny narodu, jego stanu moralnego bliski a od tamtego wyższy, bo obejmujący go w sobie stosunkiem zależności, najobszerniejsze dla nas pole życia i walki, a jedynem, na którem dziś niektóre części Polski żyją zupełnie i walczą mężnie, i nasz do niego stosunek, niech zamyka ten przegląd naszych usiłowań. Chronologicznie nawet nic się w naszem piśmie od tego czasu ważnego nie stało i nic nie zmieniło.

Prawda, było jeszcze jedno przejście, bolesne bardzo, które nas poróżniło ze wszystkimi. To niżej pod-

pisanego artykuł o *Porcyach*[1]) i jego skutki, gniew i zaprzeczenie całego kraju. W dziejach naszego pisma była to chwila jedna z najważniejszych, zatem dla samej historycznej dokładności wypadałoby ją przypomnieć. Ale jest jeden, któremu nie wypada, który nie może, o tej sprawie mówić, bo był sam jej przedmiotem, to autor owego artykułu. Jako świadek byłby podejrzanym, instygatorem być nie może, sędzią nie powinien, adwokatem oskarżonego być nie chce, i zrzeka się obrony, z prawa apellacyi użytku nie robi, zachowując sobie tylko nadzieję, że kiedyś jaki sąd kassacyjny zmieni dobrowolnie wyrok pierwszej instancyi. Pytano nas, czy wspomnimy o tem zajściu choćby tyle ile potrzeba, by pokazać, jak u nas jeszcze daleko do solidarności w postępowaniu między ludźmi, skoro w tak trudnem i ważnem przejściu ona się nie objawiła? Nie, tego jakoby opuszczenia nas przez politycznych i osobistych przyjaciół, nie pamiętamy. Pamiętamy tylko, że mieliśmy dowody przyjaźni jawne, głośne, połączone z trudną ofiarą, od nieznanych i mało znanych, i od niektórych pism publicznych, a tego dobrego uczynku jednym i drugim nie zapomnimy nigdy.

A teraz dosyć, niech o tem mówi kto chce, tylko nie my.

Ale to wydarzenie wpłynęło znowu na losy i dzieje *Przeglądu* i wywołało w nich jeszcze jeden zwrot, ostatni. W tem rozdrażnieniu, jakie przeciw nam panowało, baliśmy się nawet mówić o bieżących krajowych sprawach, żeby głosem naszym nie przeszkodzić w opinii temu, czemu chcielibyśmy pomódz. Milczenie absolutne

---

[1]) W roku 1874.

jest oczywiście niepodobieństwem, ale nakazaliśmy sobie mówić o Galicyi i jej sprawach jak można najmniej. Stanowisko takie jednak długo utrzymać się nie da, i w ostatecznej konsekwencyi swojej prowadzi do absurdum, albo do zaprzestania wydawnictwa.

Pismo polskie, które przez granice rosyjskie nie przechodzi, które w Wielkopolsce wprawdzie czytanem bywa, ale nią głównie zajmować się nie może, które wychodzi w Galicyi i przedewszystkiem dla niej, i ją głównie musi mieć na uwadze, bo w niej choć się nie skupia, ale jest jakieś polityczne działanie polskie, pismo takie, któreby o Galicyi i jej sprawach milczało, straciłoby wszelką racyę bytu. Zadawaliśmy też sobie pytanie, czy ją mamy? czy tysiące względów nie nakazywałoby nam raczej dać pokój i zamiast nowego zeszytu wydać oświadczenie, że *Przegląd Polski* wychodzić przestał? Istotnie, pismo, które przez dziesięć lat nie zdołało stać się potrzebnem, które zdobyło sobie czytelników i przyjaciół tak mało, że o własnych siłach stać ledwo może: którego koło czytelników zatrzymało się na pewnej bardzo skromnej mierze, po za którą nigdy się nie rozszerzyło, a w ostatnich czasach jeszcze się ścieśniło, pismo takie musi mieć w sobie jakiś defekt organiczny. Czy są nim małe zdolności redaktorów, czy ich przekonania i dążności, czy ich osoby? nie wiemy, może to wszystko razem, ale coś być musi, bo skoro inne pisma utrzymywać się mogą, to mogłoby i to, gdyby przekonaniom i smakowi czytających, lepiej odpowiadało. Nie mogąc zaś ani dać sobie większych zdolności, ani zmienić naszych przekonań i osób: widząc, że przekonaniom i upodobaniom publiczności nie odpowiadamy i prawdopodobnie już lepiej nie odpo-

wiemy, zastanawialiśmy się bardzo, czy nie byłoby lepiej dać wszystkiemu pokój? Pismo nietrzymane i nieczytane nie może mieć wpływu, nie mając go, nie może być pożytecznem, nie ma prawa do bytu. Nadto, jeżeli przez dziesięć lat, mówiąc jak umiało najlepiej i jak można najsumienniej o ogólnym kierunku narodowej i krajowej polityki i o wszystkich niemal jej szczegółach, nigdy prawie swojego zdania rozpowszechnić i drugim udzielić nie mogło: jeżeli nawet kiedy wytoczyło przed trybunał opinii sprawę dzienników lwowskich, z ich skandalicznym procesem w ręku, nawet wtedy sprawę przegrało, a skutek pokazał, że publiczność przyznaje słuszność zasadom *Dziennika Polskiego* i *Gazety Narodowej,* i im oddaje swoją ufność i swój szacunek po owym procesie jak przed nim, to rzecz jasna, że pismo to niepotrafi nic zaradzić, nic i nigdy dopomódz do tego, co uważa za dobre. Jaki powód tej na nas niełaski? zapytywaliśmy nieraz sami siebie z podziwieniem, z obawą czy przypadkiem nie w nas jest wina. Obraza, oburzenie, tłómaczyłyby tę niechęć w ostatnim roku tylko, i w części publiczności, a ona była dawniejszą, ciągłą, i była (jeżeli nie niechęć, to obojętność) powszechniejszą. Nienawiść niektórych rozumiemy łatwo: trudniej obojętność tych, którzy myślą tak jak my. Mówią niektórzy, żeśmy byli zbyt surowi, zbyt wymagający i zbyt hardzi. Surowi? a czyż mamy pobłażać, podchlebiać i głaskać? złe jak się stanie, pokrywać milczeniem, żeby się rozrosło? czy to przeznaczenie, czy to obowiązek ludzi, którzy widzą i w goryczy serc swoich czują, że dziś w Polsce jest źle, a chcą, żeby było lepiej? Czy mamy się jedni drugich psuć i pieścić jak źli rodzice psują i pieszczą

dzieci, podchlebiać sobie jak dworacy ograniczonym królom aż do dnia, kiedy dzieci i rodzice płaczą na te pieszczoty, a król najtępszy spostrzega się w końcu, że państwo stracił, bo nigdy prawdy nie widział? Nie... pytaliśmy przed chwilą, czy mieliśmy powód i prawo do bytu? Jeżeli żadnego innego, to mieliśmy ten jeden bodaj, i tę jednę przed Bogiem i ludźmi zasługę, żeśmy byli surowi.

Hardzi? może szorstcy czasem pod wpływem oburzenia i smutku, ale przynajmniej nie dumni z siebie, nie zarozumiali, nie zakochani w sobie, nie czegokolwiek dla siebie pragnący. Wymagający? to prawda? wymagaliśmy wiele od swoich, bo wiele dla nich pragniemy: wymagaliśmy w patryotyzmie rzetelności, w polityce rozumu, w nauce pracy i prawdy, w literaturze piękności, w życiu uczciwości i powagi, jeżeli już nie godności i cnoty — a gdyśmy brak której z tych rzeczy widzieli „wnet nam serce jakaś bojaźń brała boża,“ bojaźń o przyszłość! Pod jej wpływem narzekaliśmy może gorżko, gromili ostro. Ale dlaczego? Bo mamy w sercu wysoki ideał Polski, a w głowie przekonanie, że on wtedy tylko się urzeczywistni, kiedy człowiek każdy i czynność każda do niego będzie się dociągać czystością zamiaru i szlachetnością działania. Względem Niemców, Amerykanów lub Greków bylibyśmy mniej wymagający i mniej surowi. Żeśmy tem wymaganiem niewiele sprawili, to wiemy: ale nie możemy ani go żałować, ani zmienić, ani wreszcie uwierzyć, żeby dla niego właśnie *Przegląd* był się stał tak niepopularnym.

Jakkolwiekbądź, bez wpływu, bez czytelników, bez pieniędzy, oszkalowany, oczerniony, oplwany tak, że nie zostało na nim jednej suchej nitki, jednego zdro-

wego niezranionego, nieobitego miejsca, cóż on ma robić? zwiesić głowę chyba, opuścić ręce, i przestać wychodzić? O mało też, że nie przestał. Ale nie: wychodzimy i nadal wychodzić chcemy! wychodzimy, bo pamiętamy, że główna myśl polityczna, którą wyznajemy, związek polityki polskiej z austryacką, żyje jeszcze, a my mogliśmy się przecież do utrzymania tej myśli przyczynić; wychodzimy, bo mówimy sobie, że jeżeli kraj nie zaszedł dalej na drodze agitacyi, demonstracyi, i bezwzględnej oppozycyi, a nie przeszedł na blisko leżącą drogę konspiracyi, to może przecież poczęści i naszą także zasługą. Myślimy więc, może mylnie, żeśmy czasem przecie służyli i byli pożyteczni; a przypuszczamy, że w przyszłości jeszcze zdarzyć się mogą chwile, w których usługi oddawać i pożytek przynosić będziemy mogli. Skłania nas prócz tego do wytrwania w przedsięwzięciu wzgląd jeszcze jeden: oto ten, że nad wszystkie niebezpieczne wpływy, nad wszystkie gorszące przykłady, boimy się jednego: zniechęcenia. Ten nietylko na drugich źle działać, ale i nas samych mógłby zepsuć: bo kto się w jednem zniechęcić dał, ten pomału może zniechęcić się do wszystkiego; kto raz stracił odwagę i energię i ręce opuścił, ten może przywyknąwszy opuszczać je zawsze i z nich puszczać wszystko: a kto raz dobrowolnie jedną broń złożył, ten może później wszystką rzucić o ziemię. A więc nie: z obawy niebezpiecznego złego wpływu na siebie samych i na drugich, nie ustajemy i wydajemy *Przegląd* dalej. Nadewszystko zaś z jednego powodu. Doraźnego, zupełnego, wielkiego skutku, nie spodziewaliśmy się po nim nigdy, nawet w samych początkach; tem mniej dziś, po tylu latach i tylu doświadczeniach. Dziś wie-

my, że co się robi dziś, to nie na dziś, ani na jutro nawet, które jest w ręku Prus, Rosyi i prawdopodobnie rewolucyi, ale na to pojutrze dopiero, które jest w ręku Boga: a temu pojutrze może przecież choć trochę przydać się zdołamy. Na dziś, słudzy i cząstka najmniejsza sprawy przegranej, nie mamy dla siebie innego pragnienia, innej ambicyi, jak z tą sprawą razem *być tą przegraną, której cel daleki,* i z nią razem i w niej wygrać choćby po wiekach, ale i na wieki! nie mamy innego hasła tylko: *„fais-ce que dois, advienne que pourra.“*

Dlatego nieczytani, niesłuchani, pozbawieni niby racyi bytu, wychodzimy jeszcze: dlatego pobici zawsze i wszędzie, na całej linii i na wszystkich jej punktach, dajemy się bić dalej!

III.

Dokąd zaszliśmy przez ten lat przeciąg, gdzie i jak stoimy, zkąd i jakie grożą niebezpieczeństwa, z dzisiejszej teraźniejszości, jaka jutro wyjść może przyszłość? oto ostatnie a najważniejsze pytania, jakie sobie stawiamy. Nie w nadziei zuchwałej, że je dobrze rozwiązać zdołamy: obliczyć i zważyć to co jest, przewidzieć co być może, rzecz to trudna, której i najmędrszy z ludzi w przybliżeniu tylko dokaże. Jednak i zwyczajnym ludziom wolno jest o tych rzeczach myśleć i mówić; owszem myśleć i mówić powinni, nawet kiedy są wśród nich wielcy, cóż dopiero, kiedy ich nie ma. A prócz powinności jest i konieczność; bo o czemże człowiek ma myśleć, jak nie o tem jutrze, które mu na sercu i głowie ciąży jak kamień. Czasem z takiego my-

ślenia bywa i pożytek; bo choć zupełnej prawdy żaden z ludzi nie dojrzy, to część jej jakąś każdy przeczuć może, jeżeli ma rozsądek zdrowy i serce na swojem miejscu. Ileżto razy u nas w Polsce zdarzały się takie trafne ocenienia dzisiejszej, a przewidzenia jutrzejszej chwili, ile razy mógł z nich być pożytek? Nie równając się z tymi poprzednikami zdolnością ani zasługą, dobrą chęcią przecież do nich podobni, możemy z daleka dążyć w ich ślady. Zatem dziś, w roku Pańskim 1876, jakie mogą być dla nas warunki położenia i życia? i jakie, nie śmiemy rzec nadzieje ale obowiązki, i sposoby dorobienia się nadziei?

Ktoby na takie pytanie był chciał odpowiadać w lat dziesięć po listopadowem powstaniu, byłby się pocieszał, że choć stracono wiele, wiele przecież zostało. Poszło wojsko i skarb, ministerya i konstytucya, uniwersytet warszawski i wileński i wołyńskie liceum, poszło w świat, co było najlepszego i najdzielniejszego i najmędrszego w narodzie, kwiat, serce, tętno najsilniejsze jego życia przeniosło się za jego granice, a w kraju pozostał statut organiczny i książę *Warszawski* w Królestwie, Siemiaszko w Litwie, Bibików na Rusi, Mikołaj gniewny i mściwy wszędzie. A im do pomocy, wiele przymusowej niewiadomości i ciemnoty, wiele dobrowolnej nieczynności, wiele pieniędzy, marnotrawstwa, zbytku i rozpusty! w Warszawie balety i kluby, na prowincyi jarmarki, w Berdyczowie bałagólstwo, a wszędzie prawie w męzkich pokojach karty i hulanki, w kobiecych francuszczyzna: źle było wtedy. Ależ było i czem się pokrzepić. Te głowy i serca, które za Polską żyjąc dla Polski tylko biły i o niej myślały, były wielkie, i prąd życia, który z nich wychodził,

dostawał się i do pozostałych w kraju, i na Zachodzie udzielał się cudzoziemcom. Politycznie było to widmo Polski tylko, ale to widmo stało ciągle, i czekało chwili żeby stać się rzeczywistością. Złudzeń było wiele zapewne, czy w Mickiewicza nadziejach rychłego zwycięztwa, czy w księcia Adama i jego przyjaciół rachubach opartych na związaniu sprawy polskiej ze wszystkiemi żywotnemi sprawami w Europie. Złego było wiele, i w działaniu przez spiski, i w skutkach, i emigracyjne towarzystwa demokratyczne nie mogą się wyprzeć, że one głównie rozsiały te nienawiści społeczne, które dziś kwitną, i że one sprowadziły rok 1846. A jednak mimoto wszystko piękny był jeszcze czas, kiedy stary książę Adam przez swoich powierników i wysłańców, jak drugi Amfiloch „szukał nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu" po wszystkich stronach Europy, kiedy z Izb francuskich odzywała się co roku, a z angielskich nierzadko protestacya, jakoby obietnica, że Polska nie zginie, a z francuskich katedr odzywał się głos Mickiewicza na dowód, że jej duch nie słabnął, kiedy w ślad za ostatniemi kartami Tadeusza przekradały się do kraju pierwsze karty *Przedświtu*. Cokolwiek utracono, duch został, i w dziesięć lat po klęsce można było wierzyć, że po długiej nocy zaczyna się przedświt, który przez powszechne europejskie wypadki, przez wojnę wedle nadziei jednych, przez rewolucyę wedle myśli drugich, zamieni się w dzień.

Przedświt ten zgasł „z dymem pożarów" roku 1846 i 1848, i nie stał się czem był powinien, świtem jasnym w 1854 roku.

I znowu w drugie lat dziesięć, po klęsce, ktoby był liczył siły i nadzieje, byłby mógł podnieść się na

duchu; znowu nie wszystko było stracone, a było zyskane niejedno. Cesarz Mikołaj nie żył, jego następca wprawdzie groźnie zakazywał marzyć, ale był słabszy i na działanie patrzał przez szpary. Rosya była upokorzona, a zdawało się, że była i okiełznana, i uwiązana. Interes Francyi „był wszędzie, gdzie sprawa dobra i cywilizacyjna,“ a koniec położony obcym panowaniom w jednym kraju, zdawał się być początkiem ich końca w całej Europie. Oddychano, uczono się i bogacono w Warszawie, w Wilnie, w Kijowie, podnosiła się oświata i moralność, szlachetniała opinija, a z niemi podnosiła się i moc, szlachetniało życie w Królestwie, w Wielkopolsce, w krajach Zabranych, nawet w Galicyi. Nie było wielkich poetów jak w poprzednim lat dziesiątku, wszyscy oni zeszli, ale poziom umysłowy i moralny był wyższy; nie było (sądziliśmy wtedy) tajnych spisków jak przed rokiem 1846, ale jawnego prawdziwego i skutecznego patryotycznego działania było więcej.

I znowu można było myśleć, że to *Przedświt*. W roku 1861 już prawie się na niego zaniosło, ale się skończył *Nieboską komedyą* roku 1863; po której został Psalm Żalu powtarzany przez tych wszystkich, którzy mają prawo mówić sobie „nie strach mówił ze mnie“ i mówić drugim „nie wcieliłeś się w to ciało, co tak cierpieć miało.“

A po tym już lat dziesiątku niewiedzieć doprawdy, co jeszcze straconem nie jest. Mówiliśmy za każdym razem „nie mamy już nic do stracenia,“ „gorzej jak jest być nie może:“ a za każdym razem traciliśmy tyle, iż po doświadczeniu wiemy już, że nigdy nie jest tak źle, iżby jeszcze gorzej być nie mogło. Tak i teraz. A mówimy nie o Galicyi, której jest nieźle, a gorzej

daleko być może, ale o Polsce całej; nie wszystko stracone. Ale choć gorzej zapewne być może, bo możemy stracić wszystko do reszty, to tak źle jak dziś od ostatniego rozbioru nie było jeszcze ani razu.

Ze wszystkich części Polski jedna tylko ma byt na jakiemś prawie oparty i swobodę bytu narodowego, zatem możność i powinność rozwijania go w sobie dla siebie i dla drugich, a ta jedna, wystawiona przez lat dziesięć na próbę, żeby pokazała co umie i co może, wyszła z tej próby bez tryumfu. W postępowaniu politycznem brakło jej często zręczności, w rządzie wewnętrznym (o ile ten był jej pozostawionym), energii i czynności, w kwestyach społecznych tego rozumu który przewiduje, i czasem tego publicznego ducha, który poświęca, przyjmuje niewygodę dla zgody, nieprzyjemność dla wyjścia z nieładu. Ekonomicznie nie dzwignęła się także, poczęści prawda z niezależnych od niej powodów, poczęści nie z braku starań, bo podejmowano u nas prac wiele w tym kierunku, a niektóre nawet w dobrym duchu: ale po wielkiej części także nie posunęła się Galicya naprzód na tem polu — owszem wiele straciła z własnej winy, z pragnienia zarobku łatwego, szybkiego i wielkiego, a bez pracy. Nasze spekulacye na giełdach zakończone smutno a czasem i niepięknie, upadkami w których zginęło wiele polskich pieniędzy, a trochę i polskiego honoru, nie liczą się do pięknych kart naszej historyi. Poziom nasz umysłowy i moralny nie widać także, żeby się podnosił. Są wprawdzie, i to wielka pociecha, prace poważne i ludzie poważni na polu nauki: stanowisko jej, jej wymagania i prawa pojęte są przez niektórych lepiej i głębiej a prowadzone sumienniej, niż dawniej bywało.

Nie możemy sądzić o tem, co się zrobiło i robi w zakresie nauk ścisłych i przyrodzonych, ale widzimy z radością, że historya polska naprzykład jest dziś lepiej znana, lepiej rozumiana, niż przed laty trzydziestu, niż przed dziesięciu nawet, że z nieustającem wydawnictwem źródeł, przybywa nam co dnia prawie podstawy do sądzenia siebie samych w przeszłości a znajomości siebie w teraźniejszości; że z młodych pracowników na tem polu wielu wstydziłoby się (jak to nieraz ich poprzednicy robili) mówić na wiatr, stawiać twierdzenia i podawać fakta niesprawdzone, i tanim kosztem wyjść na historyków narodu, nie znając jego historyi. Postęp to rzeczywisty, przed którym z wdzięcznością i uszanowaniem schylamy czoło: a nie mamy powodu wątpić, że tensam duch prawdy, tasama potrzeba rzetelnej wiedzy, panuje i w innych naszych naukowych usiłowaniach. A nie zgrzeszymy podobno mówiąc, bo sami zasług tam nie mamy żadnych, że ten szczęśliwy zwrot w umiejętności polskiej zawdzięczamy w mierze podobno największej, działaniu przykładowi i wpływowi byłego Towarzystwa Naukowego i dzisiejszej Akademii i jej zarządu. Trzebaby też być ślepym lub bardzo niewdzięcznym, żeby nie uznać tego podniesienia się sztuki, która jak żeby na pociechę w dzisiejszym upadku poezyi przynosi nam tyle chluby przed sobą i przed obcymi.

Nie zabaczymy też i tego, że o wychowanie publiczne jest starań wiele. Kraj łoży na nie kosztów ile tylko może, i nietylko sejm, ale rady powiatowe, ale w tych radach włościanie nawet nie ociągają się, nie szczędzą, gdzie idzie o szkoły. Mnożą się też wszystkie: wiejskich przybywa ciągle, średnie nie mogą uczniów pomieścić, przybywają i szkoły nauczycieli, i szkoły

żeńskie; a dzięki znajomości rzeczy i usilności niektórych ludzi, podnosi się pojęcie i umiejętność nauczania i wychowywania. Pod tym więc względem niema w Galicyi upadku, owszem, zdaje się, że jest rzeczywisty postęp, przynajmniej postęp, polepszenie, woli. Ale i tu czy nie mamy sobie nic do wyrzucenia? Wiem, że nigdy na tym świecie wszystko nie może być jak powinno, zwłaszcza nie w przeciągu lat dziesięciu; jednak czy w tych sprawach wychowania nie mogły rzeczy iść lepiej niż idą? Słychać skargi naprzykład, że szkoły wiejskie mają nauczycieli umiejących mało lub nic prawie, ale zato obałamuconych i bałamucących pojęciami anti-religijnemi i anti-społecznemi. Jeżeli tak jest, dziwić się nie można. Tych kilka świeżo założonych seminaryów nauczycielskich nie miało jeszcze czasu wychować i wypuścić znaczniejszej liczby nauczycieli prawdziwie dobrych. Inni znów mówią, że w szkołach średnich religijna wolność służy częstokroć za pozór, pod którym nauka udziela się w duchu niekatolickim i niechrześciańskim, że książki same nasuwają wątpliwości w rzeczach wiary, że małe chłopcy dysputują o bóstwie Chrystusa i wojują argumentami Renana. Jeżeli tak jest, znowu wina spada nie na nasze zapewne ale na wyższe władze szkolne, na system wynikły z ducha i dążności wszechwładnych Izb i dzienników niemieckich. Ale czy my ze swojej strony robimy wszystko, co możemy, żeby złemu, jeżeli ono jest zapobiegać? czy przy obsadzaniu posad nauczycielskich jedni, drudzy przy wyborach do rad szkolnych (zwłaszcza do centralnej, krajowej), zważamy dosyć na rozum, zdolność, zasady i uczciwe pojęcie powołania u tych, którym powierzamy bądź wychowanie, bądź

jego kierunek? czy względy politowania, protekcyi, przyjaźni, popularności, nie sprawiają czasem, że do czynności takich przypuszczamy i niezdolnych? Kwestya to zbyt obszerna, żeby ją tu naprawdę roztrząsać można i wymagająca osobnego i gruntownego zbadania, ale zbyt ważna, iżby ją milczeniem pominąć przy wyliczaniu różnych *habet* i *debet* naszego kraju.

A przypuściwszy nawet, że pod względem naukowym i szkolnym on idzie w górę tak widocznie i tak dobrze, że tylko patrzeć i dziwić się, to zostałoby jeszcze wiele znaków, z których o naszym stanie umysłowym dobrze sądzić trudno. Wielu jest u nas ludzi, którzy czytają? Wiele wychodzących książek, któreby się naprawdę rozchodziły? Co lepsze, co rozumne i coś warte, to zalega stoły księgarskie przez całe lata i ginie w obojętności; nie w zapomnieniu, ale w zupełnej niewiadomości publiczności, która o książkach nie wie i wiedzieć nie chce. Gazeta, to jeszcze jedyny druk, jaki bywa czytany, a i ta nawet! W Warszawie samej, pomimo cenzury, wychodzi pism kilkadziesiąt, i wszystkie jakoś żyją; u nas w warunkach daleko lepszych, jest ich kilka tylko, a i te ledwo że wyżyć mogą. W tym stanie rzeczy handel księgarski, który iść i zysk jakiś przynosić musi, szuka naturalnie przedmiotów pokupnych; i charakterystycznym wcale znakiem czasu jest rozpoczęte na dość wielką skalę wydawnictwo tłómaczonych romansów francuskich. Czas tłómacza, nakład wydawcy, i pieniądz nabywcy, traci się na głupstwa lub wszeteczeństwa takie, jak powieści Gaboriau, takie jak *Salammbo* lub *Comtesse de Chalys.* To co przed laty czterdziestu Musset nazywał „Literaturą strupieszałą i smrodliwą,“ było czystem i szlachetnem w po-

równaniu tych rzeczy, które skwapliwie na język polski przełożone, dość skwapliwie są czytane. Wydawca, który je do czytania ofiaruje, ma ciężki grzech na sumieniu, bo nietylko zniża literaturę do roli finansowej spekulacyi, nietylko przyczynia się do zepsucia smaku, ale oswaja wyobraźnię z brudem, umysł z głupstwem, a zmysł moralny ze złem. Publiczność zaś, która tak ofiarowany towar przyjmuje, dowodzi, że ani pod estetycznym ani pod moralnym względem wiele od autorów i od dzieł nie żąda. Jestto symptomat zatrważający, zapowiadający upadek i literatury, i (gdyby miał potrwać) intelligencyi czytających.

A przypuściwszy nawet, że pod tym względem obawiać się nie mamy czego, i że wszystko jest jaknajlepiej, to wtedy jeszcze nasuwałaby się wątpliwość jedna i pytanie ze wszystkich najważniejsze, czy nasz poziom moralny i patryotyczny podniósł się w tym okresie czasu? Poziom moralny? Gdzie? w życiu prywatnem czy w publicznem? i w którym stanie, w której warstwie narodu? Kiedy się słyszy o częstych u nas w dawniejszych czasach rozwodach i zgorszeniach, kiedy starsi ludzie opowiadają, że przed rokiem 1846 nie było jarmarku w obwodowem mieście, któryby nie był teatrem szulerstw, pijatyk i różnego rodzaju równie nieobyczajnych jak nieestetycznych hulanek, że miasta większe były teatrem szalonych gier, bardzo częstych pojedynków, i zalotności przechodzącej te granice, w których ona jeszcze niewinną udawać może, myśli się, że przecie teraz lepiej: że tego wszystkiego jest mniej lub bardzo mało, żeśmy i w moralności i w cywilizacyi postąpili. Ale na to uczucie pociechy czy chluby jest gorzkie lekarstwo. Pijaństwa, zawadyactwa, mniej za-

pewne, może i szulerstwa mniej, choć niektórzy twierdzą, że jest i kwitnie; ale nieuczciwości pieniężnych, ale oszustw więcej podobno niż dawniej. Sprzeniewierzali się ludzie w stanowiskach poważnych, otoczeni takim szacunkiem i zaufaniem powszechnem, że każdy ręczyłby był głową za ich uczciwość; młokosy podpisywali fałszywe weksle, a jeszcze usprawiedliwiani bywali tem, że złe niebardzo wielkie, bo tylko podpis ojca lub matki sfałszowali! a z dwojga wolimy już chyba to, co mniej podłe, wolimy tego, kto z namiętności gra lub żyje w rozpuście, kto z grubijaństwa upija się i robi burdy, od tego, kto z zimną krwią oszukuje i kradnie. Nie tak huczna i nie tak widoczna, i nie tak szczęściem rozpowszechniona, niemoralność dzisiejsza jest brzydsza, jest nikczemniejszej natury. Dodajmy do tego, że w młodszych pokoleniach najlepsi mają wprawdzie przymiot wielki, uczucie obowiązku i chęć do pracy, ale zapału i pragnień mało; że średni mają skłonność do tej wygodnej legalnej policyjnej moralności, której ideałem jest zgoda z kodeksem karnym i z opiniją, karyera i pozycya, a która jest tylko wyrozumowanym egoizmem, bez przywiązania do zasad, bez popędu do cnoty, bez myśli o czemkolwiek prócz siebie: a nie będziemy mogli naszem usposobieniem moralnem bardzo się cieszyć i chlubić. Cóż dopiero, jak wspomnieć o tych nieszczęsnych z różnych stron kraju oszustach polskich zagranicą! od tego mniej jeszcze winnego, który przyciśnięty biedą, sztuki swoje farbuje ofiarą i cierpieniem za ojczyznę, aż do panicza z szumnym tytułem i nazwiskiem, który włócząc się z miejsca na miejsce zostawia wszędzie za sobą niepopłacone rachunki, długi karciane, i opiniję spadającą na Pola-

ków w ogólności! o tych ludziach, którzy sami bez czoła winni są temu, że inni swoje nieraz spuszczać muszą? Zliczywszy to wszystko, a jeszcze i naszą wyrozumiałość, naszą zastarzałą a nielitościwą bezkarność, bać się przychodzi doprawdy, czy nie wyciera się u nas i nie ginie ta rzecz pierwsza i ostatnia, która strzeże osobistego i wspólnego honoru, wstyd. Astrea dawno odleciała do nieba, ale on został na ziemi jako stróż ostatni: smutny anioł, który na złe zrezygnowany wstrzymuje i ratuje od tego już tylko co najgorsze, co ostatnie, od podłości i hańby. Dopóki ten został, jeszcze jest cześć, a do niej wszystko co stracone może zwolna powrócić i przyróść. Ale niechże pamiętają i ci, co brudy robią, i ci, co brudom lub ludziom brudnym pobłażają, że jak *sprawiedliwość* tak i *wstyd „ultimus coelestium“* może nas porzucić, — a ten już z naszej własnej winy!

Moralność i godność w życiu publicznem? Te przeniewierstwa, o których wspomnieliśmy wyżej, jako popełnione przez ludzi przyodzianych charakterem publicznym (a taki charakter nosi na sobie czy bankier, czy adwokat, czy dyrektor jakiej spółki), wykraczają już z zakresu ściśle prywatnych stosunków. O wielkich grzechach, o przekupstwach w urzędach czy sądach naprzykład, dzięki Bogu nie słychać. Ale tendencyjne kłamstwa i potwarze niektórych dzienników nie świadczą dobrze o naszej moralności w rzeczach publicznych. Czy może nikt temu nie winien, nikt za to nie odpowiada, co one piszą i jak? Owszem winni i odpowiadają ci wszyscy, którzy je czytają i ich słuchają, a nie zmuszą ich choć mogą, żeby były inne.

Nasz patryotyzm wreszcie? Oszczerca i bluźnierca kto o nim wątpi? Być może; nie wątpimy też, że jest

wiele dobrego pod tym względem uczucia, i że nawet jest i dobra wola. Ale dostateczne może w teoryi, w praktyce to uczucie i ta wola, jakie my mamy, niewystarczają. Uczucie przestaje na tem, co jemu samemu czuć i poznać daje, że ono jest, na rozczuleniu, na wzruszeniu: i rade, że jest, mniema, że spełniło swoje zadanie. Wola poprzestaje na pragnieniu, na teoryi; ale do starania, do praktyki, rzadko się podnosi. Może nieprawda? Powiedz młodzieńcze tak dumnie zaufany w swoje uczucie i w swoją wolę, bo ci serce bije, kiedy czytasz Wallenroda lub Dziady, czy masz tę dobrą wolę wyższą, która się nazywa staraniem, kiedy lekcye opuszczasz i nie uczysz się póki czas? Albo ten starszy, już pan swojej woli, który mówi sobie, że młodości przecie użyć trzeba, na czynne życie czasu dosyć, i między porą tańców, a porą polowań, między przejażdżką zagranicę, a przejażdżkami po kraju, łudząc się czasem, że się czemś zajmuje, nic nie nabywa, nic się nie kształci, zapomina co wiedział, jeżeli się niepotrzebnych i złych rzeczy nie uczy? A gospodarz wiejski, nawet ten przez siebie i drugich uważany za najlepszego człowieka, jeżeli jest nieporządny albo rozrzutny, jeżeli wskutku tego zmuszony sprzedać ziemię, na której osiada żyd albo niemiec, czy ma dość dobrej woli i dość patryotyzmu? A ty radco powiatowy, który się zaniedbujesz i czynności te lekceważysz, jako zamałe lub wyśmiewasz jako nudne? a ty wyborco, który do sejmu posyłasz ludzi niezdatnych albo i szkodliwych, sam nie wiesz dlaczego, boś się dał przegadać, bo drudzy zrobili taksamo, bo stosunki sąsiedzkie lub przyjacielskie przeważyły inne względy i zagłuszyły instynkt rozsądku i sumienia? Nie skończyłoby się nigdy, gdyby się liczyć chciało wszyst-

kie nasze codziennie popełniane grzechy uczynkowe i opuszczenia, tak powszechne, że na nie już nie zważamy nawet i za złe ich sobie nie mamy. Narzekamy, że wódką i lichwą żydzi psują i wywłaszczają chłopów, ale żydów na karczmach trzymamy; narzekamy, że Rosya i Prusy nie dają nam już mówić po polsku, ale sami mówimy po francuzku. Gdyby zaś tego wszystkiego nie było, to mielibyśmy dopiero ubytek złego, dopiero zero na termometrze patryotycznej dobrej woli. A gdzież plus? gdzie dodatnia czynna zasługa i cnota? A dopieroż ten patryotyzm głośny i deklamacyjny, który wiele mówi i wiele podchlebia, z wielkiej niby miłości ojczyzny admiruje wszystko, żeby sam był admirowanym, z małych ludzi robi wielkich, żeby sam większym się wydał, i tumani sądy ludzkie, rzuca piaskiem w oczy, bo wie, że nie zaćmione oczy widziałyby go w jego rzeczywistej a opłakanej małości? ten patryotyzm bez wartości i zasługi, bez rzetelności i prawdy, który wszystkich uczy widzieć rzeczy fałszywo, żeby sam dobrze widzianym nie był, który frazesem wojuje, bo frazes wypłaca się oklaskiem, a nawet pieniądzem, który tak kocha ojczyznę, że aż Boga znać nie chce, bo Bóg jest pierwszym przed ojczyzną i nad nią, i z miłości Polski niby, szkalując i podkopując wiarę i Kościół robi przez głupstwo swoje tyle złego, jak żeby był przez Prusy i Rosyę umyślnie na to najętym? ten, który czując w gruncie jak mało myśleć i czynić umie, *in seines Nichts durchbohrendem Gefühle* szkaluje lepszych od siebie i mści się za to, że sam dobrym, rozumnym i skutecznym nie jest — o ten! tak mało ma prawdziwej dobrej woli, że się chyba ostatni ze wszystkich podniesie i uszlachetni.

Nie, narzekać umiemy, rozczulać się lubimy, ale starać się, nawet lepsi, jeszcze nie umiemy. Nasz duch patryotyczny przez te lata się nie podniósł.

Czy nie podupadł? Są, którzy się tego boją, i mówią, że ideał ojczyzny zaciera się pomału i rozpłynąć się może jak mgła; że zapału, wiary w przyszłość coraz mniej, a nadziei nie ma wcale. Że niedawno jeszcze, kiedy młody człowiek marzył o przyszłości i układał w wyobraźni idealny obraz swego życia, u każdego koroną, szczytem tych marzeń, najpiękniejszą, ale konieczną w tem życiu chwilą, po za którą już pragnienia dalej nie sięgały, była niepodległość; on sam albo ginął w ostatniej zwycięzkiej bitwie, albo po zwycięztwie używał tego szczęścia, którego wyobrazić sobie nie mógł, ale bez którego także nie wyobrażał sobie życia. Dziś ma to być inaczej: mają być jakieś początki rezygnacyi, osłabienia nadziei i pragnień, których ostatniem słowem musiałby być kiedyś w przyszłości koniec polskiej myśli i tradycyi. Czy tak jest? Nie widzimy i nie sądzimy. Prawda, że mniej jest może niż dawniej u młodych zapału i marzeń. Dziwić się nie można, pokolenie które myśleć zaczęło po roku 1863 i od dzieciństwa patrzy na tępienie resztek polskiego życia i żywiołu, który nawet bronić się nie może, trudno, żeby było bardzo do nadziei skore i pochopne. A jeżeli spisek i zbrojne powstanie nie jest w ich pojęciu jedyną formą patryotycznego działania i obowiązku, jeżeli marzą mniej, sądzą chłodniej, a uczą się więcej, i lepiej do różnych życia zawodów sposobią, jeżeli robią to w myśli i zamiarze czynnej patryotycznej służby, to nie ma za co rzucać na nich kamieniem. Owszem naszym lotnym i bujnym fantazyom, naszym temperamentom nerwowym, naszym

rozumom niestałym i łatwowiernym, trochę rozwagi, trochę praktycznego zmysłu, trochę ciężaru i konsystencyi szkodyby nie przyniosło. A o grunt tych serc, o kierunek ich woli, obawiać się dotąd przynajmniej nie ma przyczyny. Chyba w jednym tylko razie. Jest jeden nieprzyjaciel chytrzejszy od wszystkich, jedna choroba zabójcza jak żadna, która gdyby broń Boże stała się zaraźliwą, mogłaby nas wymieść co do nogi, dobić Polskę zabijając jej ducha. Tą ospą, tym trądem, który na ducha pada i tak go zmienia, tak go szpeci, że jego pierwotnych przyrodzonych rysów poznać nie można, jest pozytywizm, który zjawił się w filozofii jak na komendę w tymsamym czasie, kiedy w naukach przyrodzonych zjawiła się teorya eksterminacyi organizmów słabszych przez silniejsze, a w polityce teorya i praktyka wielkich aglomeracyj, wielkich assymilacyj, wielkich pochłonień i połykań, i tasama z królestwa zwierząt przeniesiona maksyma: śmierć słabym, śmierć i pożarcie przez mocnych, siła przed prawem!

Wszystko się to trzyma; a kto w swoich wyobrażeniach filozoficznych przypuszcza, że w świecie naszym nie ma nic prócz materyi i siły, kto śmierć człowieka uważa za śmierć zupełną, po której nic nie zostaje tylko zwłoki, które się rozłożyć muszą, słowem kto bądź przeczy, bądź tylko nie przyznaje duszy nieśmiertelnej i osobistej w człowieku, ten w konsekwencyi musi prędzej czy później dojść do tego, że straci wiarę w przyszłość narodu i zgodzi się na jego śmierć. Cóż go bowiem dotąd od śmierci broni? Nic tylko dusza. A jeżeli tej nie ma, jeżeli to prawda, że w świecie jest tylko materya i tylko siła, więc cóż nam zostanie? Ogromem materyi i prężnością siły Rosya i Prusy większe są od nas o tyle,

że nas zgnieść, zmiażdżyć i strawić koniecznie muszą; nie ma się co opierać, nie ma się co skarżyć, byłoby to tosamo, co żalić się na prawo ciążenia ciał do środka ziemi, co protestować przeciw *dwa a dwa jest cztery:* niedorzeczność, szaleństwo, nie ma nic do roboty tylko upokorzyć się przed faktem dokonanym, zgodzić się i dać się pochłonąć! Materyalista Trembecki, którego instynkt narodu niedarmo uznał odstępcą, dawno już, bo zaraz po rozbiorze odkrył tę logiczną prawdę i winszował sobie i nam, że pierwiastki z naszego rozłożonego organizmu pójdą innym na posiłki i w nich odżyją, przemienione, przerobione na co innego. On był logicznym. Nasi nowocześni pozytywiści, którzy w Boga i w duszę nie wierzą, a chcą wierzyć w Polskę i jej przyszłość, są może od niego lepsi, ale mniej ze sobą zgodni. W ich nielogiczności odzywają się resztki sumienia, resztki tej przez nich zaprzeczonej duszy, i zadają gwałt ich rozumowaniom i teoryom, ale logiki w nich nie ma. Darmo, jedno albo drugie, bo trzeciego nie ma: albo Bóg, Jego sprawiedliwość i miłosierdzie, dusza osobista, nieśmiertelna bezwzględnie w człowieku, i dusza względnie na tym świecie nieśmiertelna w narodzie, a wtedy można wierzyć w Polskę, ją kochać, dla niej żyć, dla niej umierać — albo jeżeli tego wszystkiego nie ma, to organizm polityczny raz rozłożony musi „pójść obcym ciałom na posiłki;“ wskrzesić go nie można, galwanizować miłościami, poświęceniami i tym podobnemi mrzonkami nie warto.

Że w tych latach właśnie, w tych czasach podupadłej po ostatnich klęskach odwagi i nadziei, ta filozofia przyszła i między nami szerzyć się zaczęła, to dopust Boży jeden z najcięższych i pokusa z szatańskich

najgorsza. Dopust wytrzymać, pokusę odeprzeć i zwyciężyć trzeba koniecznie, albo skończyć. A ta zaraza szerzy się niestety i nie tu w Galicyi tylko, ale i w Warszawie, i gdzieindziej podobno. Dotychczas, cokolwiek robiliśmy niemądrego lub złego, mieliśmy prawo z czystem sumieniem i podniesionem czołem mówić z poetą:

„wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
a duchaśmy nie dali" —

Dziś, gdyby ta pokusa spodlić, gdyby ta szatańska nauka opętać nas miała, dalibyśmy go sami dobrowolnie, i nie mielibyśmy prawa, nie mielibyśmy już nawet chęci prosić

„abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci" —

Obok tego niebezpieczeństwa, które dziś jeszcze strasznem nie jest, ale się takiem stanie, jeżeli nas łaska Boża i miłość ojczyzny nie opamiętają, widzimy dla naszego patryotycznego ducha inne, w powszechnem w całej Europie osłabieniu patryotyzmów takiem, że czasem zdaje się, jakżeby w żądzach używania i społecznych nienawiściach ginęło samo pojęcie ojczyzny. Dawniej rewolucyonista miał ojczyznę, znał ją i kochał, źle może, bezrozumnie, ale szczerze. Konwencya myślała o Francyi; nasze emigracyjne towarzystwa demokratyczne myślały o Polsce. Dziś, kiedy we Francyi rewolucya podniosła wojnę domową wobec patrzących tryumfujących i urągających Prusaków, dziś trzeba przypuszczać, że ona pojęcie ojczyzny i jej miłość zatraciła; trzeba wierzyć, że Krasiński dobrze przewidywał, kiedy Pankracemu mówić kazał, że „ojczyzna to stary przesąd, i słowo, które trąci przeszłością". Czy u nas nie ma takzwanych demokratów na wzór francuskich bohate-

rów komuny? Daj Boże, żeby ich nie było, ale jeżeli są, to ich teorye i ich propagandy mogłyby w swoim czasie dla naszej idei i naszej miłości ojczyzny okazać się tak zgubnemi, jak były tamte dla Francyi.

Mamyż mówić o naszym duchu i stanie religijnym? Ktoby nas widział w chwili jakich uroczystych kościelnych obrzędów, jak wylegamy tłumnie na ulice chodząc procesyami, możeby się bardzo z nas zbudował, a u prostego ludu jest niezawodnie prosta i budująca pobożność; czy tak świadoma siebie, tak głęboko pojęta i tak gotowa na wszystko, jak na Podlasiu lub w Wielkopolsce? zapewne nie, ale jest przecież. Wiemy także, że między młodem duchowieństwem (w niektórych dyecezyach przynajmniej) jest i rozumu i nauki, i prawdziwego powołania, i gorliwości, i przykładnego życia, więcej niż bywało, a u wielu świeckich instynktem dochowywana katolicka tradycya, nabiera stałości i pewności wyrozumowanej, świadomej siebie zasady. Ale nie mówiąc o jawnych i czynnych nieprzyjaciołach, którzy bądź przez polityczne, bądź przez filozoficzne doktryny nienawidzą Kościoła i w nienawiść podać go usiłują, jest u katolików samych tyle jeszcze strachu, żeby się katolikiem nie wydać i na zarzut „ultramontanizmu“ nie wystawić, tyle uprzejmości dla zdań przeciwnych i tyle wobec nich pokory, tyle *wyższości nad zastarzałe przesądy* i zaniedbania w zachowywaniu kościelnych przepisów, słowem tyle obojętności, przekonań i odwagi tak mało, że za dobry stanu tego żadną miarą uważać nie można.

Każda z napomkniętych tu naszych stron słabych, opisana w swoich powodach i skutkach, dostarczyłaby wątku na osobne, obszerne i smutne studyum, a wiele

innych pominęło się zupełnie? A ta bierność i bezwładność, która sprawia, że ludzie jednych przekonań w pewnych tylko chwilach czują potrzebę porozumienia i styczności, a zresztą chodzą zawsze luzem, każdy osobno, rozsypani jak piasek, którego ziarka nie trzymają się siebie? a dobra szlacheckie i grunta włościańskie przechodzące w obce ręce? A ten brak zdolności okazujący się w każdej potrzebie, przy obsadzeniu każdej posady, gdzie nie najlepszego wybierać, ale na najmniej złym zawsze przestawać mamy? A stanowisko polskich ministrów w Wiedniu tak mało znaczące i silne, że nawet ukrzywdzeniom naszych instytucyj, nawet bezprawnym wtrącaniom się władz centralnych w nasze sprawy przeszkodzić oni nie mogą? a ta nieprzełamana skłonność do politycznej komedyi, która każe nam naprzykład do przyszłych sejmowych wyborów mianować komitet przez głosowanie powszechne? I to, gdzie jeszcze! we Lwowie, na Rusi, gdzie głosowanie powszechne, gdyby ludność do niego należeć chciała, wypadłoby na wsiach tak, jakby zechcieli świętojurcy, w miastach jakby zechcieli żydzi? i gdzie te wybory z dołu muszą albo być demokratyczną komedyą, odegraną na korzyść kilku agitatorów, albo wypaść źle i skład przyszłego sejmu oddać na łaskę wpływów bardzo niepewnych? A powiatowe wielkości i powiatowe solidarności? A podejrzenia i niechęci między wschodnią a zachodnią częścią kraju, jednostronne tylko jak twierdzi każda z nich, czy obustronne? A coraz otwartsza, coraz bezczelniejsza rosyjska i schizmatycka propaganda świętojurców, na którą prawowierność biskupów poradzić nie może, a rząd, nie wiedzieć istotnie dlaczego nie radzi? Wszystko to dowody, że nam przez ten czas wiele sił nie przybyło, i że

jeżeli w położeniu łatwem wegetujemy jakoś, bo nas nikt nie depcze i nie kosi, to położeniu trudnemu Bóg wie jakbyśmy podołać umieli i mogli.

A jeżeli źle się dzieje w tej części Polski, której się dzieje najlepiej, to cóż mówić o innych? Na Litwie i Rusi ubyło sił polskich tyle, a rosyjskich tyle przybyło, że kto tam żyje, utrzymuje polski dom i polską rodzinę, polską służbę, i ziemię w polskiem ręku, ten zrobił wszystko co mógł, spełnił cały swój obowiązek w zakresie, jaki mu pozostał. W Królestwie, najmniej może ze wszystkiego balibyśmy się, dziwnie powiedzieć, rosyjskiego języka w szkołach i urzędach. Mieliśmy tu niemiecki przez lat dziewięćdziesiąt, i wiemy z doświadczenia, że język wprawdzie się tym sposobem bardzo psuje i szpeci, ale nie ginie. Czy może pokrewieństwo naszego języka z rosyjskim stanowić ma niebezpieczeństwo większe, większą możliwość assymilacyi? nie sądzimy. Język bardziej wyrobiony może się od mniej wyrobionego popsuć, ale się na niego nie przerobi. Strasznieisza jest ta systematyczna dezorganizacya wszystkiego: administracyi przez wcielenie „nadwiślańskiego kraju“ do cesarstwa i obsadzenie urzędów Rosyanami, sprawiedliwości i wszystkich stosunków prawnych przez zmianę kodeksu, wychowania przez urządzenie szkół i przez utrudniony do nich przystęp, a w nich postęp dla Polaków, Kościoła przez opróżnione stolice biskupie i tak utrudnione stanowisko tych biskupów którzy są, wreszcie społeczeństwa samego przez umyślne zubożenie, wyrzucenie na bruk tysiąca rodzin, przez odjętą im możność starannego wychowania dzieci, przez szczepiony usilnie antagonizm między wsią i dworem, przez wszystkie te środki eksterminacyi wprowadzane systematycznie,

jeden po drugim, a co jeden to gorszy, co jeden to głębiej sięgający we wszystkie stosunki i wstrząsający wszystkiemi podstawami bytu.

Jednak jest tam żywotność taka, że wszystkie te środki do zupełnego rezultatu nie doprowadziły, i da Bóg, że nie doprowadzą. Kwestyi włościańskiej, po której rząd obiecywał sobie tak wiele, nie ma w Królestwie podobno wcale; majątki pomimo wszystkich ciężarów i trudności nie upadają, owszem idą w górę, tak przynajmniej mówią naoczni świadkowie, i tak dowodziła ostatnia wystawa rolnicza w Warszawie. Uniwersytet warszawski i szkoły średnie pełne są młodzieży, która uczy się podobno naprawdę, i choć w rosyjskim języku, z polską myślą: to co pisać i drukować można, to ludzie czytają bardzo. Słowem, nieszczęśliwe Królestwo tak wyniszczone, tak ze wszystkiego odarte, tak gwałtem przerabiane na „kraj nadwiślański" i tak przemocą zduszone, własnego i utrwalonego życia ma i rozwija więcej daleko od szczęśliwej Galicyi, której w życiu politycznem mało co, a w umysłowem i ekonomicznem nic nie przeszkadza.

Jednak są i tam niebezpieczeństwa, a nie mówiąc o tem największem, jakiem są skutki dzisiejszego stanu rzeczy, gdyby on długo potrwał, są i wewnętrzne. I zaraz jedno w Warszawie samej. Że ona rośnie, że z każdym rokiem bardziej staje się wielkiem miastem, to widoczne i to bardzo szczęśliwe. Wzrost ten zawdzięczamy w wielkiej mierze nagromadzeniu interesów handlowych, przedsiębiorstw wszelkiego rodzaju i znacznych bardzo kapitałów. Ale rozumiejąc i uznając zupełnie wszystkie korzyści, jakie ztąd na miasto i na kraj spadają, nie możemy przecież nie widzieć złych skutków,

które prawdopodobnie nie wynikną, ale wyniknąćby mogły. Miasta takie bardzo handlowne, wyrabiają sobie zazwyczaj życie własne, wielu krajom potrzebne, ale od swojego mniej zależne i z nim mniej złączone, a przez to nabierają jakiegoś kosmopolitycznego charakteru i ducha. Śmiesznie to może obawiać się go dla Warszawy, kiedy wszyscy wiemy, że ona, i to we wszystkich rzec można warstwach swojej ludności, jest tak nawśkróś polską, najbardziej może z całej Polski patryotyczną. Jednak w miarę mnożących się interesów i kapitałów, wzrasta i znaczenie tych, którzy interesa robią, a kapitałami obracają, i w Warszawie znaczenie ich już dziś jest bardzo wielkie. Ci zaś nie wszyscy są Polakami. Jeżeli ich wpływ będzie rósł dalej w tym stosunku, jak urósł od ostatnich lat dziesięciu, jeżeli z naszej strony będziemy mu się chętnie poddawali, czy wtedy nie moglibyśmy się obawiać takiego napływu obcych żywiołów i sił, że w końcu jużbyśmy go w tamach trzymać nie zdołali i ulegli zalewowi niezupełnemu zapewne, ale zawsze niebezpiecznemu? Czy w takim razie Warszawa nie straciłaby nieco z tego polskiego charakteru i ducha, którym dotąd świeci i innym przyświeca?

To jedno niebezpieczeństwo, i może najmniejsze ze wszystkich. Drugiem jest filozoficzny pozytywizm prowadzący koniecznie do politycznej rezygnacyi i abdykacyi, o którym mówiliśmy wyżej, a który i tam podobno grasuje. Dalszem znowu jest powolne i stopniowe oswojenie się z panującym żywiołem rosyjskim. Pozbawieni sposobu do życia u siebie, Polacy licznie bardzo szukają go w Rosyi. Zdolniejsi podobno, lepiej wykształceni i uczciwsi, rzetelniejsi od krajowców, znajdują łatwo posady wysokie i znaczące jako adwokaci, urzęd-

nicy, inżynierowie i t. d. Żyjąc w Rosyi, mając tam zawód, oswajają się z nią, żenią się z prawosławnemi, zakładają rodziny już prawosławne, w końcu przywiązują się do Rosyi i są ogniskami propagandy nie polskiej między Rosyanami, ale rosyjskiej między nami, pijonierami assymilacyi i fuzyi. Wpływ ich na pozostałe w kraju rodziny, na społeczeństwo w ogólności, mógłby z czasem być bardzo złym.

Że Wielkopolska ma nad nami wszystkimi wyższość ogromną w wyrobionym świadomym siebie patryotyzmie ludu wiejskiego, że w tej chwili właśnie daje dowody stałości i wierności wspaniałej, to tak wiadome, jak i to, że głównem jej nieszczęściem i niebezpieczeństwem jest napływ niemców i utrata fizycznego posiadania ziemi; a siła moralna choćby największa osłabnie, jeżeli jej materyalnej podstawy zabraknie. Jednak to co oni robią, od pierwszej chwili prześladowania Kościoła, aż do najnowszego prześladowania języka, jest najpiękniejszą bez kwestyi polską robotą tych lat ostatnich. Trudno! patrząc na to, co się dotąd dzieje, nie mieć nadziei i wiary, że taksamo pójdzie dalej; że choć ludzie świeccy nie stoją może na tej wysokości co duchowni, albo szlachta na tej co lud wiejski, przecież wytrzymają do ostatka i w końcu zwyciężą; że jak niegdyś pierwsi chrzest przyjęli, tak teraz tym powtórnym chrztem czy bierzmowaniem prześladowania i przykładem swoim, odrodzą ducha katolickiego, a utwierdzą polskiego w nas wszystkich. A przecież nie ma walki na świecie, w której zwycięztwo byłoby pewnem, nie ma jej bez niespokojności i obawy. Tu obawa jest dwojaka. Jedna, że lud pozbawiony stopniowo księży prawdziwych, a potrzebujący nabożeństw i sakramentów,

pomału, gdyby to trwać miało, przyzwyczai się do księży rządowych, lub doprowadzony do rozpaczy dopuści się tu i owdzie jakiego gwałtu (może i umyślnie wywołanego), a przez to narazi się na represyę tak srogą, że w końcu znużony i złamany ulegnie.

Drugą obawą przejąć musi każdego myślącego to postępowanie dziwne niektórych dzienników i ludzi, którzy chcąc walczyć z rządem pruskim na polu narodowem, gotowi są przyjąć spokojnie to, co on robi na polu religijnem, i protestując ile mogą przeciw gwałtom dokonanym na języku naprzykład, protestują półgębkiem tylko, lub wcale, przeciw gwałtom zadawanym wierze, sumieniom i Kościołowi. Nie z katolickiego ale już tylko z politycznego stanowiska nie może być mniej zręcznego i szczęśliwego sposobu działania. Jestto tosamo, co w wojnie odpychać sprzymierzeńców i rzucać najlepszą broń o ziemię; co broniąc oblężonej twierdzy zagwoździć swoje własne działa i to te jeszcze, które niosą najdalej. Żyd lub protestant byle miał źdźbło politycznego rozumu i trochę polskiego uczucia, wiedziałby, że dziś nigdzie w Polsce, a najmniej w Wielkiej, nie można odstępować katolickiej chorągwi, ani się jej wypierać, ani jej służyć nieszczerze, bo tam jest ten środek, to jądro jedynej wielkiej armii, która nieprzyjaciela może pokonać; że od niej się oddzielać i na własną rękę prowadzić forpocztowe utarczki, to znaczy dobrowolnie siły rozpraszać i łudzić siebie samych pozorem wojny, którego nieprzyjaciel się nie ulęknie; to znaczy robić tak, jak ci dowódcy, którzy chcąc koniecznie na siebie zwrócić uwagę i sobie zrobić sławę, rzucają się na nieprzyjaciela ze swoim korpusem w złym czasie i w złem miejscu, a przez to udaremniają plan walnej bitwy, która

bez tej samolubnej i ciasnej zuchwałości mogła być wygraną. Żyd i protestant, byle z rozumem i z polskiem sercem, wiedziałby to dobrze i takby postępował; nie wiedzą tylko i postępować tak nie chcą nasze polityczne i patryotyczne marodery.

A więc pod rządem rosyjskim wszystko zburzone i z ziemią zrównane, pod pruskim wszystko podkopane, podminowane, przygotowane do wysadzenia w powietrze; pod austryackim życia, energii, politycznej zdolności i publicznego ducha niewiele, a niebezpieczeństw bez liku — oto nasz stan dzisiejszy. Po dziesięciu latach, oto summa naszych sił, oto warunki, w których walczyć musimy o życie lub śmierć z dwoma najpotężniejszemi mocarstwami w Europie — a musimy naprawdę, choćbyśmy nie chcieli, bo one nas w pokoju nie zostawią.

IV.

I co się z nami dalej stanie? Co teraz mamy robić? Ze wszystkich smutków naszego położenia najbardziej dręczący, jeżeli nie najgorszy jest ten, że sami sobie radzić i na swoje losy wpływać nie możemy, ale z założonemi rękami musimy stać i czekać tego co nam wypadki przyniosą. I to nie my tylko, którzy swojego rządu i państwa nie mamy i swojej woli wykonywać nie możemy, ale i narody niepodległe, i państwa zorganizowane, i wielkie mocarstwa nawet, żyją w podobnej niepewności jutra. Cała różnica, że one mogą coś działać, a przynajmniej łudzić się, że działają, że odsuwają chwilę przewrotu. Ale czują wszystkie, że ten przewrót przyjść musi, że podkopana z dołu socyalizmem i rewolucyą, a u góry pozbawiona już wszelkiego prawa na-

rodów, Europa w tym stanie długo trwać nie może. Czy ten przewrót nieunikniony sprowadzony będzie wybuchem rewolucyi, czy sam brak prawa narodów i równowagi między niemi zmusi je do wojny powszechnej, czy jedno z drugiem się połączy i jedno za drugiem pójdzie, tego nikt nie przewiduje: ale każdy czuje, że musi przyjść coś, co położy koniec dzisiejszemu porządkowi rzeczy, a rozpocznie nowy. „Już się ma pod koniec starożytnemu światu, wszystko co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje“. Tylko przy schyłku epoki rzymskiej byli barbarzyńcy, którzy nową mogli rozpocząć, dziś w Europie nie ma ludów nieznanych i świeżych, nie ma ich na całej kuli ziemskiej. A więc i na to wyjście, na ten sposób odmłodzenia naszego zgrzybiałego świata liczyć nie można. Czy może, jak chcą niektórzy, wystarczą na to zadanie barbarzyńcy miejscowi, europejscy, jakieś na wielką skalę wszędzie komuny, które zmiotą wszystko co jest, a zmiotłszy nie będą wiedziały co dalej począć: i wtedy Kościół rozpocznie z nimi to, co zrobił już na wstępie wieków średnich z innymi, ucywilizuje, umoralni, i da Europie możność życia nanowo? Koniec taki byłby logicznym, przystawałby dobrze do początku. *Nieboska komedya* byłaby zupełną i sprawdzoną co do słowa. Ale przewidzieć co to będzie, zkąd przyjdzie, przeszkadzać temu lub na tych nieznanych wydarzeniach ciemnej przyszłości opierać swoje widoki i rachuby, nie może nikt; bo jeżeli są tacy, którzy wypadki te przygotowują, to nie na tych, którzyby niemi podług woli kierować mogli. Tyle wiemy, że stoimy przed jakąś zmianą — jaka ona będzie, *was uns die nächste Stunde schwarzverschleiert bringt*“, próżno i zgadywać.

A kto wie, czy w chwili, kiedy to piszemy, ta czarna zasłona nie zaczyna się rozdzierać, czy niebawem nie ukaże się to, co ona zakrywa, czy nie roztlił się już ten lont, który podpalić ma prochy i dzisiejszy stan rzeczy wysadzić w powietrze?

Dziesięć lat temu, kiedy wychodził pierwszy zeszyt *Przeglądu*, zatrząsł Europą grzmot rozlegający się z Sadowy i pchnął tę bryłę na nowe tory, zaiste nie proste. Co przyniosą jutro dzisiejsze wypadki na Wschodzie? Mogą przynieść przemianę jakąś większą od tamtej. Do przewidywań i kombinacyj pole otwarte; a choć to robota najczęściej marna i w śmiech podana wypadkami wprost przeciwnemi tym, których się spodziewano, jednak przewidzieć się dadzą nie wypadki, ale pewne alternatywy, jednak są fakta, które przewidywań nie potrzebują, bo są; są wynikające z nich pewne konieczności i obowiązki położenia i postępowania, które nie dadzą się dokładnie oznaczyć, ale dadzą się w przybliżeniu wskazać.

Faktem takim jest zaraz bliski koniec Porty Ottomańskiej. Przypuszczam, że w tym roku jeszcze on nie nastąpi, że Turcy zwyciężą Słowian południowych, którym Rosya narazie nie będzie miała siły czy odwagi pomagać; że polityka angielska choćby z austryacką nie połączona zdoła jeszcze raz Turcyą zagalwanizować, a jakieś dyplomatyczne konferencye jeszcze raz zatrą tynkiem spróchniały i walący się budynek — czy on dlatego długo postoi? Oczywiście nie; dawno świat mówi do Turcyi: „twoje mi śmiercią chore już oblicze“, a dziś na to oblicze chore wystąpiły wszystkie oznaki konania. Choćby sztucznemi środkami ostatnią chwilę odwlec zdo-

łano, siły i życie nie wrócą. To jest fakt, a wobec niego jakie nasze położenie?

Takie, że działać nie możemy, a więc myśleć nie potrzebujemy? Zapewne, ale na błędy jest czas i miejsce zawsze; i w bezczynności zupełnej jeszcze je popełniać można. Furze siana wszystko jedno, czy komar na niej siędzie lub odleci, ale komar nie powinien siadać tam, gdzie może nogę uwięzić lub skrzydło opalić. Zatem jak my biedne, słabe komary, latać mamy koło tej wschodniej świecy, z której lada chwila buchnąć może pożar?

Wiemy dobrze, że jak za Rzeczypospolitej, za naszych wojen z Turkami, wielkim błędem naszej prawie niebyłej polityki zagranicznej było to, żeśmy Słowian południowych poznać, podnieść i użyć nie umieli, żeśmy nie robili tego, co robi Rosya: tak od rozbiorów znowu utrzymanie Turcyi było jednym z kardynalnych punktów polityki polskiej, jedną z rzeczywistych jej potrzeb i podstaw. Rzeczy się zmieniły, dawny nieprzyjaciel stał się sprzymierzeńcem; uczciwość jego względem nas w czasie rozbiorów, których na wstyd *chrześcijańskim (!)* panom jeden po papieżu nie uznał, a za którą wdzięczność i poszanowanie winniśmy mu zawsze, a zwłaszcza wspólny nieprzyjaciel i niebezpieczeństwo z tejsamej północnej strony sprawiły, żeśmy byli szczerze przyjaciołmi Turków; przekonanie zaś, że kwestya wschodnia musi doprowadzić do koalicyi europejskiej przeciw Rosyi, kierowało naszemi uczuciami i postępkami, i słuszność niezaprzeczoną mieli ci, którzy w roku 1854 po stronie Turków stali i sprawy ich polskiemi legionami bronili. I dziś jeszcze słuszność byłaby tasama, gdyby była tasama możliwość wojny wszystkich przeciw Rosyi o Tur-

cyę. Alė kiedy to bez Francyi możliwem nie jest, kiedy my ani Turcyi dopomódz, ani sprawy swojej do wschodniej przywiązać nie możemy, to wszelkie występowanie, wszelkie odzywanie się za Turcyą byłoby i niepotrzebnem i szkodliwem, byłoby tą pomocą komara zarozumiałą a śmieszną, której wóz nie potrzebuje, ale która mogłaby mieć złe skutki dla komara. Mówimy to z tego powodu, że słychać jakoby tonąca Turcya chwytała się brzytwy i w uciskach swoich szukać chciała ratunku nawet w formacyi polskich legionów. Jeżeli tak jest, znalazłaby zapewne ludzi pozbawionych gruntu pod nogami, którzy zaciągnęliby się w jej służbę nie mając nic innego do roboty, i znalazłaby zawsze między nami takich, którzy przyjmą każdy stopień oficerski choćby najmniej rzeczywisty, najbardziej illuzyjny. Otóż o tem przestrzedz chcemy, że co przed laty dwudziestu miało polityczną myśl, a mogło mieć i polityczny skutek, to dziś znaczenia nie miałoby żadnego, i żadnego dla naszej sprawy pożytku. Ówczesna wojna rozpoczęta nad Dunajem o Turcyę mogła była i powinna była skończyć się gdzieindziej i o co innego, ówczesne legiony mogły sobie robić nadzieję, że powiedzą im w końcu „marsz, marsz do ziemi polskiej“ — dziś, jeżeli nawet wybuchnie wojna powszechna, to tego charakteru ona nie przybierze, a wszelkie formacye polskie w Turcyi byłyby tylko illuzyą pomocy dla Turków, illuzyą legionów dla Polaków.

A więc cóż? Jeżeli Turcya żyć nie może albo i niepowinna, więc cóż mamy robić? przejść życzeniami i sympatyami przynajmniej na stronę Słowian? Możnaby, gdyby oni byli sami. Ale wiedząc, kto ich pcha i prowadzi, kto z ich wygranej obiecuje sobie zwycięztwo

i zdobycz, przystać do nich trudno, choćby najbierniejszą tylko sympatyą. Źle im życzyć? Nie godzi się, bo i chrześcijanie, i uciśnieni, i Słowianie wreszcie. Pragnąć ich klęski byłoby niegodnie, przeszkadzać im w czemkolwiek, a choćby tylko przeciw nim się odzywać, byłoby niepolitycznie, bo byłby to zaród nienawiści między nami, a całym tym światem słowiańskim, który może przychodzi do życia; w każdym razie nowy powód do nieporozumień między nami, a wszystkimi Słowianami w Austryi. Ale jak nic przeciwko nim, tak też i nic za nimi także. Cokolwiek osobiście kto myśleć i czegokolwiek pragnąć może, zbiorowo powinniśmy zachować neutralność jak najściślejszą i jak najostrożniejszą. Na losy Turcyi i Słowiańszczyzny my wpłynąć nie możemy; to nas uwalnia od jawnego występowania i oświadczania się, to sprawia, że z czystem sumieniem możemy po żadnej stronie nie stawać. A pamiętajmy o tem, że politykę polską i jej widoki oparliśmy o Austryę, że dziś jak przed dziesięciu laty innego oparcia nie mamy, że nasza myśl, nasz głos, nasza siła, tylko dodane do jej sił coś znaczyć i do znaczenia dojść mogą. Gdybyśmy dziś wyrwali się i platonicznie po stronie Słowian stanęli, czy nie znaleźlibyśmy się czasem w sprzeczności z polityką austryacką? czybyśmy od głównej linii naszego postępowania nie zboczyli? Bośniakom i Serbom niewielebyśmy pomogli; sobie moglibyśmy zaszkodzić wiele, przynajmniej w naszych stosunkach galicyjskich. Wszelkie oświadczenie się, wszelkie złamania neutralności mogłoby pomścić się na nas w Austryi, sympatye tureckie nieprzyjaźnią Słowian bardzo dla nas złą w chwili, kiedy zjawi się nanowo, a zjawić się musi, kwestya ugody z Czechami: sympa-

tye słowiańskie nieprzyjaźnią Węgrów, która mogłaby zrobić nam tyle złego, ile ich dzisiejsza łaska nie robi nam dobrego. Komu rozum i zmysł polityczny nakazuje neutralność, a komu Bóg dał, że z czystem sumieniem, bez zdrady swoich obowiązków i utraty swego honoru, zachować ją może, ten niechże będzie neutralnym, i wdzięcznym, że nim być może.

Oto zdaniem naszem najlepsza i najprostsza dla nas droga postępowania wobec zawiłych wypadków na Wschodzie. Pomocy naszej nikt nie potrzebuje; życzliwości naszej Turkom dać nie możemy, bo prześladują. Chrześcijanom dalibyśmy ją z duszy serca, gdybyśmy mogli, gdyby byli sami: w tym stanie rzeczy nietylko musimy być obojętnymi w postawie, ale możemy być obojętnymi w uczuciu. W zupełności prawda ta zimna krew utrzymać się nie da, owszem, burzy się i bardzo; ta obojętność uczucia przechodzi i w gniew i w oburzenie, i bez mała w nienawiść i wzgardę ostatnią, tylko te nie odnoszą się do Turków, ani do Słowian, ale do kogo innego.

Że Turcy barbarzyńcy i okrutni, to być może. Że Słowianie mają prawo wybić się na wolność i że zasługują na cześć, bo się za swoją ojczyznę biją, i dobrze, to pewna. Ale jak pomyśleć, że o ich trochę krwi przelanej upomina się świat cały, że trzech cesarzy i trzech kanclerzy zjeżdża się i naradza, że ich zwierzchnikowi podają warunki, a prawie rozkazy, jak ma nimi rządzić: jak pomyśleć, że broni, pieniędzy, dowódców dostarcza im jedno z wielkich mocarstw otwarcie prawie, a inne patrzą na to przez szpary, jak pomyśleć wreszcie, że to ludy, które niewiele w historyi świata znaczyły i swojej niewiele miały, pierwotne jeszcze, częścią dzi-

kie, bez zasługi w Europie, bez wiekowych z nią stosunków, nawet bez tego najsłabszego tytułu do opieki, jakim są traktaty, i że za nich noty, groźby, konferencye, ultimata i interwencye, sypały się na Turcyę jak grad, że o nich lada dzień zapalić się może wojna powszechna, i jak to porównać z sobą, z tem, co się u nas działo przed laty trzynastu, pali się serce i jątrzy nie zawiścią do nich — owszem, szczęść im Boże — ale jakiemś do Europy uczuciem, które stopień jeszcze, a mogłoby chyba stać się nienawiścią. Co Turcy robili? mordowali, palili, rabowali? A u nas co? Równali z ziemią sioła i osady? A u nas co? Wiele wsi, wiele zaścianków zburzonych i zagładzonych? wiele tysięcy ludności wyrwanej z ziemi i przesiedlonej gdzieś na drugi koniec świata? tego już Turcy nie robili. Ale Turcy prześladowali chrześcijan? Doprawdy? Śmiech z tej chrześcijańskiej gorliwości, z tej filantropii czy miłości bliźniego, śmiech i przekleństwo! Nie, Turcy nie prześladowali tak jak wy niby chrześcijanie, Turcy nie pędzili gwałtem do meczetów, nie ogłaszali za muzułmanów ludzi, którzy chrześcijanami być chcieli, nie trzymali, bulgarskich czy bośniackich kobiet w śniegach i lodach, dopóki do meczetu nie wejdą i prorokowi nie oddadzą pokłonu, nie strzelali rotowym ogniem do tych, co w kościele zostać chcieli; Turcy nigdy tego nie robili, i po takich mordach i okrucieństwach Turcy nie kłamali, nie odprawiali nabożeństw dziękczynnych, nie sławili w miodowych słowach tryumfów swojej świętej cerkwi, nie bili sobie medalów na pamiątkę dobrowolnego nawrócenia chrześcijan na ich wiarę. Nie, Turcy nie byli ani tak okrutni, ani tak bezczelni! i kiedy różne mocarstwa europejskie w świętem uczuciu swojej

chrześcijańskiej misyi, upominały się u nich o krzywdy Bulgarów czy Bośniaków, Turcy mieli prawo i powinni byli odpowiedzieć, że zmienią swoje postępowanie, jak chrześcijanie dadzą im przykład: jak cesarz rosyjski przywróci unię (choćby tylko na Podlasiu i w Chełmskiem), jak cesarz niemiecki pozwoli biskupom bierzmować i święcić księży, księżom chrzcić, spowiadać i mszę odprawiać. I mogli jeszcze dodać, że oni mają wymówkę, bo i chrześcijanami nie są, i do sławnej europejskiej cywilizacyi nie mają pretensyi: gdyby więc byli więcej złego zrobili, to ich wina byłaby zawsze mniejszą, a zrobili mniej złego. Tymczasem na nich o krzywdy i okrucieństwa mniejsze powstali wszyscy; ręce nie oschłe jeszcze z krwi chrześcijańskiej, rozdzierały szaty ze zgrozy, pisały skargi i groźby, zbierały pieniądze, wysyłały broń, skubały szarpie dla nieszczęśliwych uciśnionych chrześcijan! usta wykrzywione jeszcze ostatniem bluźnierczem kłamstwem o „dobrowolnem nawróceniu unitów“ bluźniły i kłamały dalej podnosząc wielki krzyk w obronie niby Chrystusa i chrześcijan — a świat cały słucha pokornie, i udaje, że wierzy. Ale kiedy robiono nie tosamo, tylko sto razy więcej, nie z nieznanymi półdzikimi ludźmi, ale z tymi, o których Europa przecież wiedziećby coś mogła, bo im jest coś winna i znała ich dość długo, to wtedy nic; jeden chciał niby coś robić, ale się uląkł i schował, inny „miał prawo mieszać się w te sprawy, ale nie miał *obowiązku*,“ wszyscy umilkli, wszyscy pozwolili sobie dać policzek. Nie ma lepszej miary do zmierzenia niezmierzonej podłości Europy, jak postawa jej w sprawie polskiej przed laty trzynastu, a postawa jej i Rosyi dziś w sprawie Słowian południowych. Rosya okrutna

względem nas i nie mająca prawa powstawać na Turków, bo robiła więcej i gorzej niż oni, w tej sprawie ma i rozumu i godności więcej niż miała Europa w naszej. I nie byłoby dziwnem, gdyby najwięcej siły pokazał i zwycięztwo odniósł ten, kto ma tyle przynajmniej rozumu i charakteru, że wie, czego chce, a to, co chce i ma za dobre dla siebie, umie i przedsięwziąć.

To przypomnienie i idące za niem wrażenie, że „coraz podlej na tej ziemi było,“ oto co w obojętnem prawie usposobieniu czuć się nam daje najwyraźniej i najsilniej.

Co zaś pokazuje się najjaśniej jako dobry sposób postępowania w danych okolicznościach? Dotychczas widocznem jest to tylko, że one jeszcze dane nie są i mogą się różnie obrócić. Nateraz, mówią nam, niema prawdopodobieństwa wojny powszechnej. Austrya nie chce państwa słowiańskiego w sąsiedztwie Węgier, zatem chce utrzymania Turcyi; Rosya chce jej zguby, ale czy że niedość gotowa, czy że lęka się wielu nieprzyjaciół naraz, wojny dziś nie rozpocznie. Niemcy pośrednio tylko tą kwestyą dotknięte, widząc, że Rosyi sił i krajów nie przybywa, zachowują się spokojnie. Niema więc ani powodu, ani ochoty do wojny, ani nawet stron wojujących, Turcya da sobie radę z Serbami i utrzyma się jeszcze na czas jakiś; możemy spać spokojnie.

Może to i prawda, na czas jakiś, na kilka miesięcy, do przyszłej wiosny naprzykład, ale czy prawda na długo? Ze wszystkich fikcyj, jakiemi styl dyplomatyczny łudzi gabinety i narody europejskie, najbardziej ułudną jest może fikcya zawarta w znanej formule *Status quo ante.* Nie; nigdy po wypadkach nie wraca

czysto i poprostu stan jaki był przed wypadkami, i sprawa południowej Słowiańszczyzny raz rozpoczęta, wniosła w stosunki europejskie zmianę, która rozwinąć się i dojrzeć musi, musi się skończyć albo tryumfem polityki rosyjskiej na Wschodzie, albo zupełną jej porażką. Jestto jak proces chemiczny, jak ferment przeobrażających się ciał, który zatrzymać się, zostać na miejscu, tembardziej wrócić do dawnego naprawdę — nie może.

Na dziś mówią nam o zupełnem porozumieniu Rosyi z Austryą. Porozumienie to może być tylko negacyjnem. Oparte na tem, że dziś jedna i druga nie chce wojny, a przeciwne naturze rzeczy, skoro jedna z nich dąży do tego, czego obawia się druga, rzeczywistem i trwałem ono być nie może. Pociągnie czas jakiś, objawi się może śmielszem występowaniem dążności centralistycznych w Galicyi, ale zachować je nie zależy nawet od woli czy tych rządów, czy tych monarchów. Łączy ich dziś z sobą pragnienie pokoju, a może obawa, że wojna obróciłaby się na korzyść sąsiada, który dla obudwóch już dziś jest za mocny. Ale niech Serbia odniesie znaczniejsze korzyści w wojnie przeciw Turkom, zaraz przeciwny interes nakaże obu państwom przeciwne postępowanie; niech Niemcy zaniepokojone porozumieniem swoich dwóch sąsiadów zechcą naprawdę poróżnić ich i popchnąć do wojny, a sposób i pozór znajdą.

Wreszcie, rzecz najważniejsza i najpodobniejsza do prawdy, sprzymierzeniec sam zyskawszy w ten sposób nieco czasu do przygotowania, wyciągnąwszy kilka kasztanów z żaru rękami Austryi, wystąpi otwarcie z planem, o którym skrycie zawsze myśleć musi; może

zrobić nad Dunajem w roku 1877 lub 1878 tosamo, co inny sprzymierzeniec zrobił nad Elbą w 1866; a wtedy „Nie śmiem źle tuszyć, nie śmiem,“ ale lękamy się bardzo, że ci, którzy widzą w Rosyi ratunek Austryi, pamiętają dawne czasy cesarza Mikołaja i księcia Metternicha, ale nowszych znać i rozumieć, ale z ostatnich nauk swojej historyi korzystać nie umieją. I jeżeli ich polityka, jak się to zdaje, zwycięży, to w krótkim czasie na innym teatrze i z innymi aktorami powtórzyć się może tensam dramat, którego akt ostatni skończył się w Nikolsburgu! Daj Boże, żeby Austrya nie odegrała w nim tejsamej roli co w tamtej; daj jej Boże ministra spraw zagranicznych (dzisiejszego lub jego następcę) któryby ją od tej roli, a sam siebie od roli hr. Mensdorffa umiał ochronić.

A z tego wszystkiego wynika, że nie dziś to jutro przyjść mogą wypadki, które i na nasze położenie wpłyną, do których nasze postępowanie stósować się będzie musiało.

Między takiemi wypadkami stawia się odosobnienie i trudne położenie Rosyi. Widocznie poniosła ona już dotkliwą klęskę. Puściła w ruch Słowian południowych, a w chwili, kiedy tego ruchu już powstrzymać nie mogła, pokazało się, że nie może go popierać bez wojny, której nateraz rozpoczynać nie chce; że napotyka na swojej drodze silny opór ze strony Anglii, a opór ukryty ze strony Prus i Austryi, poniekąd aż do zjazdu cesarzów w Reichstadt. Po takiej porażce może Rosya swoją urazę stłumić i ukryć, ale nie może jej zapomnieć; i przy pierwszej zdarzonej sposobności, postara się o odwet. A wtedy niektórzy przewidują zabór Galicyi, jako satysfakcyę dla narodowej miłości

własnej rosyjskiej upokorzonej tem, że na swojem nie postawiła i Słowian południowych opuściła, i twierdzą, że zmiana taka nieszczęśliwa dla Galicyi, wyszłaby na dobre, na wzmocnienie żywiołowi polskiemu pod rządem rosyjskim. Teorya ta mogłaby mieć za sobą pewne, nawet dość łudzące pozory słuszności, gdyby nie ten fakt, że w Galicyi są Rusini i Unici, którzy z dniem zaboru, byliby przez rząd rosyjski i swoich duchownych przeprowadzeni na schizmę jak Podlasianie, a przez to interes polski poniósłby szkodę, której liczebny wzrost sił polskich w Rosyi przeważyćby nie zdołał. Zresztą, kto mówi o zaborze Galicyi, ten wchodzi na pole hipotez mglistych i nieokreślonych, bo na pole zmian terytoryalnych, które z góry przewidzieć i oznaczyć się nie dadzą. Jaki zabór? Spokojny, bez wystrzału, drogą kompensat i układów między Rosyą i Austryą? A czy nikt trzeci nie sprzeciwiłby się tym facyendom? Drogą wojny? *Dubius* zawsze *belli eventus*, i jak zabór Galicyi przez Rosyę, tak możnaby zarówno przypuszczać w takiej wojnie zdobycie Królestwa przez Austryę i na niem znowu budować gmach przypuszczeń i kombinacyi. A wszystko to gmachy i zamki na lodzie, których budowa dziś jest marną stratą czasu. Dość będzie myśleć o zamkach, jak zamiast lodu będzie ląd pod nogami, jak jakieś zmiany terytoryalne rzeczywiście nastąpią, a przynajmniej będą bliskie.

Jest przypuszczenie inne, zawarte bardziej w sferze praktycznego i łatwiejszego prawdopodobieństwa. Jeżeli Rosya, mówią, zobaczy się przez czas jakiś odosobnioną i zagrożoną nieprzyjaznem usposobieniem całej Europy, natenczas szukając sił i sprzymierzeńców, a nie znajdując po za granicami, zechce ich szu-

kać w swoich granicach, zwróci uwagę na Polskę, z której każdy jej nieprzyjaciel tak łatwo może korzystać, opatrzy się, że niemądrze, niezgodnie z własnym interesem z nią postępowała i spróbuje naprawić, co psuła od roku 1863. Zwrot taki w dniu, w którym Rosya uczułaby się naprawdę zagrożoną, byłby możliwym i logicznie przypuszczalnym. A wtedy co? jakby nam wobec niego zachować się wypadło? Gdyby znalazł się jakiś sposób wyjścia z dzisiejszego położenia, porozumienia się z rządem rosyjskim, i gdyby tego środka chwyciło się Królestwo tak, jak tonący chwyta się brzytwy, któżby śmiał odradzać mu, albo mu to brać za złe? Oni chcą i muszą żyć, oddychać, a wypompowano im powietrze; jeżeli go trochę zaczerpnąć mogą, śmiałyby był ktoby za to rzucił na nich kamieniem. Czy są dziś takie środki porozumienia? Nie wiemy, i nie sądzimy. Ale widzimy pewną skłonność do ich szukania, i tej skłonności mamy do powiedzenia dwa słowa. Pierwsze to, że cokolwiek jutro stać się może, dziś na kroki takie, a choćby tylko na najsłabsze kroki z naszej strony zawcześnie. Pomiędzy dwoma przeciwnikami równej siły, zawsze ten stawia się w położeniu gorszem, który robi pierwszy krok, bo tem daje poznać, że zgody bardzo potrzebuje. Słabszy i zwyciężony wprawdzie często pierwszy krok zrobić musi, ale powinien robić go wtedy dopiero, kiedy zwycięzca ustał w zapędzie i nie wié, gdzie i jak ma iść dalej. Wyciągać do niego rękę w chwili, kiedy upojony swoim tryumfem jeszcze się nie opamiętał i nie wytrzeźwił, to na nic; ręka będzie wyglądała jak wyciągnięta nie do zgody, ale po prośbie, on ją odepchnie z urąganiem, i jedynym zyskiem będzie wstyd. Na wszystkie więc

pomysły jakie się od lat paru zjawiają czasem w różnych broszurach, choćby na mądrzejsze i godniejsze od tych, które się dotąd zjawiły, jeszcze zawcześnie.

A druga przestroga następująca: Jeżeli przyjdzie kiedy sposobna do układów chwila, pamiętajmy o tem, że rząd rosyjski chętnie ustąpi, nawet wiele, pod względem narodowym, byleśmy ustąpili pod względem religijnym. Zważywszy ucisk dzisiejszy, zważywszy, że jedność interesu polskiego z katolickim, nie jest ani powszechnie, ani dostatecznie rozumianą nawet między katolikami samymi, że filozoficzne i polityczne doktryny doprowadziły wielu wprost do nienawiści katolicyzmu: że Kościół narodowy podobałby się może, jako patryotyczny niby, niejednemu płochemu umysłowi, że rząd mógłby tej ponęty użyć, wiedząc, że ten narodowy pozór długo nie potrwa, a Kościół od powszechnego i rzymskiego oderwany stanie się prędzej lub później, ale koniecznie państwowym, rosyjskim: przypominamy, że układ na takich warunkach zawarty, zabiłby Polskę, wyzułby ją z jej duszy, zaprzeczyłby całej jej historyi, z najdalej na wschód posuniętej strażnicy cywilizacyi zachodniej zrobiłby najdalej na zachód pchniętą przednią czatę wschodniego, schizmatyckiego, rosyjskiego ducha i porządku. Toby nie był targ taki jak głodnego Ezawa, kiedy za soczewicę oddał swoje prawa, ale pakt taki jak Fausta z Mefistofelem: ty mnie dasz używanie życia, a ja tobie za to moją wolę i moją duszę na wieki.

A gdyby przyszło do takiej zmiany w postępowaniu Rosyi względem Polaków, gdyby ta nieroztropność i niezręczność dziś utrzymywana namiętnością, ustąpiła miejsca polityce prawdziwej i rozumnie prowadzonej,

co przy wrodzonych zdolnościach i giętkości Rosyan, niemożliwem nie jest, jak niezręcznym i smutnym mógłby się wtedy okazać ten krótki wzrok austryackich gabinetów i parlamentów, które nigdy szczerze i nigdy szczodrze ustąpić nie umiały, które nigdy nie chciały zawrzeć z nami układu, które jeżeli rękę wyciągnęły, to na to, żeby ją w tył cofnąć, które nawet kiedy co przyznały, to zawsze półgębkiem, zawsze z restrykcyą, zawsze tak, iż zdawało się, że przyznają na to, by czemprędzej odwołać, dają, by odebrać. Gdyby Rosya, która pod tym względem zawsze była zręczniejszą, zrozumiawszy położenie, zmieniła swoje postępowanie, to zmiana taka, lękamy się, nie byłaby bez wpływu na Galicyę. Znaleźliby się tacy, my pierwsi, którzyby z raz wytkniętej drogi nie zeszli i polityce austryackiej wiernymi zostali, ale czy wszyscy? za to ręczyć nie śmiemy. I dlatego przed błędami takiemi, jak okrawanie Rady szkolnej w jej atrybucyach, jak wizytowanie szkół przez ministeryalnych wysłańców z pominięciem praw i władz krajowych, nawet najwyższej władzy namiestnictwa, przestrzegamy jaknajusilniej i jaknajgoręcej, dla dobra nie nas samych tylko, ale dla dobra Austryi, i nie Austryi tylko, ale monarchii austryacko-węgierskiej.

W naszem przekonaniu bądźcobądź, jest ona dziś, jak była przed dziesięcioma laty, jedyną podstawą i jedynem oparciem; a cokolwiek się stanie, w wojnie czy w pokoju, wiemy, że w Austryi tylko i przy niej działać możemy skutecznie i w polskim duchu, i trzymamy się wiernie tego, wielekroć w podejrzenie dawanego ale mądrego, słusznego i najrzetelniej dziś polskiego hasła: „przy Tobie stoimy i stać chcemy.“ Stoimy dziś w niezmienionym stanie rzeczy, bo tu tylko na swoich no-

gach stać a przynajmniej stanąć na nich możemy, bo tu mamy byt ludzki i narodowy, prawem strzeżony a dobrą wolą cesarza zabezpieczony. Stać chcemy w razie, jeżeli się okoliczności zmienią, jeżeli naprzykład przyjdzie do wojny, bo ufamy, że w wojnie takiej cesarz austryacki i jego armia będą po stronie dobrej, że ich zwycięztwo będzie zwycięztwem cywilizacyi zachodniej nad wschodnią, katolickiej nad bizantyńską czy petersburską, prawa narodów nad ślepym popędem ras i mas, zatem zwycięztwem także polskiego ducha i interesu, może i materyalną polskiej sprawy korzyścią. W tych zawikłaniach, z których jutro Bóg wie co wypadnie, może wojna wszystkich ze wszystkimi, dla nas Polaków droga jest jasno i wyraźnie wskazana. Nie czepiać się Turków, nie bratać się z Serbami, nie oglądać się na te możliwe piękne obietnice, które Krasiński opisuje jako *moskiewskie mamidła,* ale trzymać się tego państwa, którego ręce prawda zbyt często uzbrojone są dwojaką miarą i wagą dla różnych prowincyj państwa, ale którego głowa wierną jest prawom Boga i honoru. W razie wojny zwycięztwo Rosyi byłoby hasłem do rozpoczęcia tego dzieła słowiańskiej jedności, którego celem jest roztopienie, rozłożenie, strawienie i Polski i wszystkich innych słowiańskich narodów. A choć w skutek i trwałość tego dzieła na długo wierzyć nam trudno, przecież i krótkie jego trwanie mogłoby wystarczyć na to, by nas zgładzić, a przynajmniej bardzo osłabić i zmienić. Zwycięztwo Austryi byłoby zwycięztwem jedności narodowych nad jednością plemienną, równowagi europejskiej nad wszechwładnemi mocarstwami, zachodniej historyi, tradycyi, cywilizacyi, nad wschodnią, katolickiej dynastyi nad prawosławnym pa-

pieżem. Jedno otwiera z pewnością wojskom rosyjskim drogę do Karpat a przez Karpaty do Dunaju i Bałkanów, to jest do panowania nad światem: drugie Austryi otworzyć może drogę do Warszawy. Którego z dwojga pragnąć, komu dobrze życzyć, komu wedle sił w danym razie pomagać, przy kim stać, to dla Polaków, dla katolików wątpliwem być nie może.

To na przypadek zmian. W jednej alternatywie, gdyby Rosya szukała zgody z Królestwem, nie zawierać jej kosztem religijnych ustępstw, któreby wyszły na odstępstwa, a pierwszego kroku do niej nie robić. W drugiej alternatywie, wojny, trzymać się Austryi i jej raczej niż innym wierzyć. Ale jest trzecia jeszcze możliwa, i jak się dziś wydaje najpodobniejsza do prawdy. Dajmy na to, że rzeczy zostają jak są, że przez lat parę lub kilka utrzymuje się *status quo* w Europie i w Austryi — cóż wtedy robić mamy? Oczywiście myślimy tu o nas w Galicyi tylko, bo wszystkim innym zostanie jedno tosamo co dziś zadanie, starać się żyć i ducha w sobie zatrzymać. My zaś w Galicyi co w takim razie robić mamy? To co dotąd, tylko lepiej: energicznie, co robiliśmy niedołężnie, statecznie, co robiliśmy lekkomyślnie, ciągle co sporadycznie, i wspólnie, co pojedynczo. Przedewszystkiem pamiętać, że w Austryi tylko dziś żyć nam wolno, i że przy niej odżyć możemy. A jakkolwiek zdarzyć się może łatwo, że warunki tego życia staną się chwilowo trudniejsze i gorsze wskutek zawsze tychsamych namiętności i doktryn parlamentarnych lub ministeryalnych, które może i z mniemanych wymagań polityki zagranicznej zechcą zrobić sobie wygodny pretekst do prowadzenia swego dzieła, to zmiana taka chwilowa i częściowa istoty

i natury rzeczy nie naruszy, i prędzej czy później interes Austryi, mocarstwa zawsze wielkiego w Europie, będzie musiał zejść się z naszym. Zatem, dbać jak dotąd o Austryę, o jej wewnętrzny spokój i wojskową siłę, o przychylność i dobrą wolę cesarza; złą zaś chwilę, choćby bardzo przykrą, przeczekać cierpliwie i spokojnie. Nie szarpać się, nie hałasować, nie świecić i nie popisywać się ze sobą; oponować, jeżeli tego potrzeba, ale w Radzie państwa tylko; po za nią zachować się jak najciszej i jak najspokojniej, przycichnąć, choćby dać o sobie zapomnieć. Bo tego możemy być pewni, że gdyby taka zła chwila reakcyi niemieckiej, wywołanej rosyjskiemi lub pruskiemi żądaniami nadeszła, to im więcej my o sobie, o swoich prawach i dążnościach polskich mówić, im więcej niemi świecić będziemy, tem ta reakcya będzie gwałtowniejszą, tem głębiej sięgnie we wszystkie nasze stosunki, tem silniej zatrzęsie tem wszystkiem, co już mamy. Zatem mówić jak najmniej i jak najciszej, robić jak można najwięcej a najnieznaczniej. Robić jak najwięcej, to znaczy dla młodych iść do urzędów administracyjnych, sądowych, do jakiejkolwiek ekonomicznej czy technicznej służby, zajmować wszystkie miejsca dobrze myślącymi a rzetelnie pracującymi; dla gospodarzy wiejskich to znaczy wiele rzeczy, a między innemi znaczy także wydobycie choćby stopniowe i powolne karczem i szynków rąk szkodliwych; dla wyborców wysyłanie do Rad powiatowych, do rad szkolnych, do Sejmu ludzi, którzy nietylko dobrze czuć ale i rozumnie myśleć umieją (mniejsza o to, czy pięknie umieją mówić); dla wszystkich ratowanie ziemi własnej przez porządek, włościańskiej przez zapory stawiane lichwie, ratowanie społeczeństwa

i Polski przez powagę i rygor w rodzinie, żeby synowie nie wychodzili na lichych ludzi i lichych Polaków, przez powagę i rygor opinii, żeby nieczystym lub podejrzanym przewodzić nad sobą nie dawała, przez uczciwość i sprawiedliwość w stosunkach z ludem wiejskim, przez wierność Bogu i szanowanie Jego wiary. Dodajmy do tego, żeby każdy w swoim zawodzie i zakresie naprawdę pracował, i żeby każdy oświecał się choć trochę, a będziemy mieli na złą chwilę do roboty dosyć, i robotę, w której nam nikt nie będzie mógł przeszkadzać. Jeżeli trzeba będzie jakiś czas przeczekać, to z tem zajęciem będziemy mogli czekać cierpliwie, nie znudzimy się; doczekawszy się zaś lepszej pory, przekonamy się, że zła chwila w ten sposób użyta, wyszła nam na dobre, i że znajdziemy się o wiele silniejszymi, kiedy nam przyjdzie wziąć się znowu do silniejszej politycznej akcyi.

Tej zaś nigdy, nawet w najgorszych warunkach, nie zaniedbywać, nie porzucać, ale spokojnie, cierpliwie a nieustannie choćby bez nadziei rychłego skutku robić to, co do dobrego wewnętrznego urządzenia kraju należy. A więc starać się o gminę, któraby umysłowych i materyalnych sił miała tyle, iżby sprawy swoje naprawdę i dobrze prowadzić mogła, choćby ten skutek nie dał się osiągnąć inaczej, jak „nieszczęsnem i tak niebezpiecznem“ połączeniem obszarów dworskich z gromadami, choćby nawet pewną liczbę gromad i obszarów połączyć przyszło w jeden „okręg gminny.“ — A więc starać się zaradzić na tę anomalię, że Rada powiatowa ma pewne atrybucye bez exekutywy, pewne prawa, których ani wykonywać, ani wykonania dopilnować nie może; anomalię, która w wielkiej części jest powo-

dem tej anemii, na jaką choruje instytucya Rad powiatowych; tchnąć w nią życie, dać jej możność działania i jego zdolność, choćby to stało się nawet kosztem zmniejszenia liczby Rad powiatowych; niech ich będzie mniej, ale niech będą w zasadzie lepiej opisane i opatrzone a w praktyce dzielniejsze. A więc poradzić na ten dualizm, na ten rozdział dwóch równoległych porządków władzy, płynących z dwóch źródeł, od siebie niezależnych, a spotykających i krzyżujących się z sobą nieraz z wielkim uszczerbkiem obudwóch a zwłaszcza kraju. Dwóch rządów nigdy być nie może, bo albo jeden musi być tylko udanym, albo obadwa będą chrome i niedostateczne. Niech będzie jeden rząd z dwóch źródeł wypływający, ale zlewający się w jedno i idący jednem korytem i jednym kierunkiem, nie krajowy osobno, osobno cesarski, ale jeden krajowy i cesarski razem, łączący oba te początki i oba interesa. Organizacya władz administracyjnych taka, jak była opisana w dobrze znanym zarysie, a Sejmowi podana do uchwały przez pana Dunajewskiego, wydaje nam się być najlepszym planem urządzenia Galicyi w dzisiejszem jej położeniu; a choć wiemy, że w Wiedniu musiałyby rzeczy zmienić się znacznie na to, by u nas ten plan dobry mógł stać się rzeczywistością, to niemniej powinniśmy odrazu, stale i ciągle do jego urzeczywistnienia dążyć. I niedalej jak zaraz, w najbliższej przyszłości, w tej czynności ważnej, do której niebawem przystąpimy, w wyborach do Sejmu. Radzibyśmy naprzód, żeby raz zwyciężonym został przypadek, który działał w nich zawsze i z tegosamego okręgu wysyłał ludzi wprost przeciwnych wyobrażeń; lekkomyślność czy bezmyślność, która wybierała ludzi bez stałych i wyro-

bionych wyobrażeń, bez przekonań politycznych; żeby zwyciężonym był ten duch powiatowy, który wysyłał do Sejmu zbyt wiele może miejscowych powag i wielkości. Ale oprócz tego wszystkiego pragniemy bardzo, żeby te wybory odbyły się pod hasłem administracyjnej reorganizacyi kraju, żeby wyborcy — jak już tarnopolscy dali im dobry i piękny przykład — tym kandydatom głosy swoje dawali, którzy się przyznają do zasad organizacyi we wniosku pana Dunajewskiego objętych.

Na tę zaś zmianę w Wiedniu, która ociągnąć się może, ale przyjść będzie musiała, czekać cierpliwie i spokojnie; nie przyśpieszać jej środkami takiemi, które właśnie opóźnićby ją mogły, jak głośna a mało straszna opozycya, nie wywoływać jej środkami takiemi, które i nam i państwu szkodzićby mogły (takim byłoby naprzykład obcinanie budżetów wojskowych), bo złe ministerya nie potrafią nigdy zrobić nam tyle złego, ile zrobiłoby osłabienie państwa. Ale jak przyjdzie chwila, że gabinet dzisiejszy chwiać się zacznie, a będą pod ręką żywioły, z których lepszy da się złożyć, wtedy bronić go i podtrzymywać nie mamy żadnego obowiązku ani powodu.

Oto zdaniem naszem konieczny i naturą rzeczy wskazany kierunek polityki polskiej w ogólności, i polityki polskiej w Galicyi. A ze wszystkiego, co powiedziano, pokazuje się jasno, że *po dziesięciu latach* jest on takisam, jak był przed dziesięciu laty. Tasama dla jednej potrzeba oparcia się o Austryę, tasama dla drugiej pierwsza potrzeba wzmocnienia narodowości przez uporządkowanie administracyi i ugruntowanie prawdziwego społeczeństwa, tasama dla obu konieczność wystrzegania się kroków nieostrożnych jak opozycya gwał-

towna, i kroków niebezpiecznych, jak demonstracye i konspiracye. Linija drogi została tasama, tylko trudności jej są nierównie większe. Gładką nie była ona nigdy; ale od tego czasu tak najeżyła się kamieniami, tak rozgrzęzła kolejami i wybojami, tak się zwęziła, i takie po obu stronach rozdarły się głębokie i strome urwiska, że jechać nią a nie zawadzić, wozu nie połamać, karku nie skręcić, daleko trudniej. Dlategoteż właśnie, że po doświadczeniach i na sobie mniej polegać możemy i zewsząd więcej widzimy niebezpieczeństw, powtarzając to, co mówiliśmy wiele razy, powtarzamy głośniej, usilniej, bo przez te lat dziesięć straciliśmy wiele, nabyli mniej, a to, co nam jeszcze zostało, przepaść może, jeżeli się dobrze do ratunku nie weźmiemy. Ziemi, praw, języka, nawet pieniędzy, wszystkiego nam ubyło; a bodaj czy i nie ufności w sobie i szacunku u drugich, czy nie ducha w ciele, a Boga w sercu. Wszystkiego strzedz musimy, bo wszystko to już resztki i ostatki, ale tego dwojga najbardziej, żebyśmy sami i drudzy o nas powiedzieć mogli, co słusznie mówili o sobie nasi poprzednicy: „duchaśmy nie dali.“ A dajemy go, ile razy cześć swoją w jakikolwiek sposób poniewieramy, dajemy go, kiedy wpadamy w kosmopolityzm rewolucyjnych teoryj, albo w kosmopolityzm zagranicznego życia, obyczaju i mody; dajemy go, kiedy wmawiamy w siebie, czy w drugich, że nie ma pewnej dowiedzionej duszy w człowieku a tem mniej w narodzie, dajemy go zwłaszcza, kiedy złudzeni sofizmatami lub pokusami uwiedzeni odrzekamy się swojej wiary i Kościoła, i w *zmowie* bezwiednej i mimowolnej ale rzeczywistej z *Moskalem* i Prusakiem walimy w nie taranami lub rzucamy błotem; dajemy ducha wreszcie,

kiedy go trujemy kłamstwem i potwarzą, kiedy go kazimy miłością siebie samych, gasimy ciemnotą, kiedy go dusimy rezygnacyą, i kiedy go odhartowujemy zwątpieniem. Z tem wszystkiem wojna bez wytchnienia i bez pardonu, oto środek najbliższy, codzienny, zawsze dostępny, a nieraz jedyny, dla „tej przegranej, której cel daleki,“ jeżeli ona chce do tego celu się zbliżyć i być kiedyś wygraną.

WOJNA ROSYI Z TURCYĄ

i nasz do niej stosunek.

Artykuł drukowany w *Przeglądzie Polskim* w sierpniu 1877, bez podpisu, w myśli, że przezto łatwiej ujdzie niejakich niechęci, a znajdzie lepsze przyjęcie. Dziś oczywiście przestarzały, a rażący mylnemi naiwnemi przewidywaniami, naprzykład kiedy wierzy w nieuniknione niby po wojnie zmiany wewnętrzne w Rosyi. Wydaje nam się jednak godnym przedrukowania dlatego, że naprzód daje poznać dokładnie stosunek opinii polskiej do ówczesnej wojny, a prócz tego zawiera uwagi o naszym stanie wewnętrznym i naszej polityce konspiracyjnej, które wartości nie straciły i przestarzałe jeszcze nie są.

Kiedy przed rokiem toczyła się wojna w Serbii, a Rosya, która ją podżegła, gotowała się do swojej, mającej jej otworzyć przejście Dunaju, Słowiańszczyznę południową, może i przejście Bałkanów i bramy Konstantynopola, zapytywano na tem miejscu, jaki jest wobec tych wypadków interes Polski, a przeto jaki obowiązek zachowania się dla Polaków. Dziś, kiedy z powstania Bułgarów i z wojny serbskiej rozwinęła się wojna Rosyi z Turcyą, kiedy armia rosyjska za Dunajem, za Bałkanem, a książę Czerkawski, nasz dobry znajomy z Warszawy, urządza administracyę Bułgaryi jak żeby już rosyjskiej własności, kiedy Rumunia ogłosiła się niepodległą (dowód, że te zmiany na Wschodzie dzieją się za zgodą Prus), kiedy Anglia niegdyś stała patronka Turcyi, zdaje się pożądliwem okiem patrzeć na to coby jej z rozbioru Ottomańskiego państwa przypadło, a Austrya, druga dawna Porty przyjaciółka, już już uledz miała pokusie przyłączenia Bośnii — dziś w tych okolicznościach tak znacznie odmiennych, a przecież tak podobnych, w tym drugim akcie sprawy wynikłym tak logicznie z przeszłorocznego jej zawiązania, dziś jakie mogą być nasze życzenia, interesa, i konieczność postępowania ze względu na własną sprawę? Pytanie to, na które odpowiedzieć byłoby łatwo, gdyby się rzeczy składały po naszej myśli i woli. Życzeniem i interesem byłoby, żeby

ktokolwiek odważył się rozwiązać sprawę wschodnią przez sprawę polską, a koniecznością postępowania byłoby tego kogoś wspierać. Ale kiedy takiego nie ma w Europie, kiedy ten ideał się nie ziści, a rzeczy pójdą koleją wytkniętą im przez nie nasze interesa, jakichże i na jakiej drodze spodziewać się możemy z tej wojny korzyści? Że Europa nie wróci do *status quo ante*, że jej karta wskutku tej wojny zmienić się będzie musiała, to, przewidywane jasno przed rokiem i zawsze, dziś wobec powodzeń choć powolnych rosyjskiego wojska, wobec faktu zajęcia Bułgaryi i oderwania się Multan i Wołoszczyzny od Turcyi, stało się zbyt widocznem. Przed rokiem można było jeszcze przypuszczać, że wojna wypowiedziana Turcyi przez Rosyę zamieni się zaraz w wojnę europejską; że i Anglia i Austrya na rozbiór Turcyi nie pozwolą, a wskutek tego można było rozsądnie przypuszczać smutny dla Rosyi koniec tej wojny. Dziś położenie jej przedstawia się o tyle lepiej, że zupełnej porażki przewidywać nie można; owszem pogodzić się trzeba z myślą, że Rosya wyjdzie z tej sprawy z pozornym tryumfem, może z rzeczywistemi nabytkami. Prusy, które ją popchnęły do wojny, częścią przez zemstę za rosyjskie *veto* przeciw zamierzonej w roku 1875 nowej napaści na Francyę, częścią dlatego, żeby potężnego sąsiada na długie lata wycieńczyć z sił i środków działania, dlatego wreszcie, żeby całą Europę zatrudnić Wschodem tak, iżby pruskim planom i krokom przeszkodzić nie mogła, Prusy napół tylko Rosyę zdradziły, a napół jej bronią. Chcą jej osłabienia, nie jej zguby; zaprowadziwszy ją w to trzęsawisko sprawy wschodniej, cieszą się, że ona w niem grzęźnie; nieżyczą sobie, żeby w niem utonęła. To usposobienie Prus względem Rosyi,

które neutralną i lenną Rumunię spuściło z paska i tem ułatwiło, umożliwiło poprostu kampanię, trzyma znów na wodzy Austryę, tak że ona patrzeć musi spokojnie, jak słowo panslawizmu dąży już otwarcie do stania się ciałem; nie przeszkadza choć położenie swoje rozumie, a gotowaby i pomagać, kiedy je rozumieć przestaje. Pomimo wszystkich zaś pomyłek, jakie Rosya przed wypowiedzeniem wojny popełniła, pomimo tak przedwczesnej mowy wojennej cesarza Aleksandra w Moskwie, pomimo armii postawionej na pół roku przed wojną, czekającej, kosztującej miliony, dziesiątkowanej chorobami, dyplomacya rosyjska umiała być tak zręczną, że nikt Turcyi nie popiera i nie broni; a pomimo wszystkich trudności kampanii, pomimo istotnych jak się zdaje niepowodzeń w Azyi, przygotować się trzeba na to, że wojsko, które Dunaj przeszło nie wróci pobite, ale walcząc choćby z trudnością z nieprzyjacielem, z warunkami wyżywienia i komunikacyi, choćby nawet z niedostateczną zdolnością i biegłością swoich wodzów, przecież samą przemagającą siłą, samą swoją massą, posuwać się będzie naprzód i ostatecznie Turków zwycięży.

Przygotować się więc musimy na to, że Rosya wyjdzie z tej wojny z tryumfem choćby tylko pozornym, conajmniej z honorem; że uwieńczona laurem zwycięzcy a opromieniona aureolą oswobodzicielki ujarzmionych, wspomożycielki prześladowanych, zajmie bardziej jeszcze niż przedtem imponującą postawę wielkiego mocarstwa, otwarciej niż przedtem mówić zacznie o swojej missyi słowiańskiej i sprężýściej jeszcze dzieło to prowadzić, że na przyszłym kongresie zabierać będzie głos bardzo stanowczy, jeżeli nie rozstrzygający, że po wojnie i my

i ona znajdziemy się na swoich miejscach, jedni naprzeciw drugich, jak przed wojną.

A więc zkądże i jak mówić o zmianach? Zmiany być mogą i wielkie, przetworzyć całą kartę Europy i cały w niej stosunek sił, obrócić się na szkodę Turcyi, może na szkodę Austryi, jak się rozszerzy choćby nie materyalne panowanie Rosyi, ale tylko dążenie do słowiańskiej jedności: ale nie obrócą się na naszą korzyść. Dla nas żadnej wyciągnąć, żadnej przewidzieć, o żadnej nawet myśleć nie można.

Istotnie, jeżeli tylko, jak wszystko zapowiadać się zdaje, wojna turecko-rosyjska nie stanie się wojną jakichś sprzymierzonych przeciw Rosyi, i skończy się, jak w takim razie prawdopodobnie skończyć się musi, zwycięztwem Rosyi, to dla nas nie ma żadnej możliwej korzyści. Jednak, czy i w takim razie nie nastąpią zmiany w naszem położeniu, to inne pytanie. Rosya może wyjść z tej wojny z honorem, nawet z tryumfem, ale taką jaką w nią weszła, wyjść z niej już nie może. Wstąpiła ona przez tę wojnę na drogę, która koniecznie prowadzić musi do wewnętrznego przeobrażenia, a z takich dróg się nie schodzi, jeden krok postawiony jest stanowczym i pociąga za sobą dalsze bez powrotu i odwrotu; i ziemie polskie pod panowaniem rosyjskim znajdą się w położeniu może nielepszem, ale innem jak dziś, nie wskutku wojny lub zwycięztwa Rosyi, albo tylko wskutku zmian wewnętrznych, których ona uniknąć nie zdoła.

Dziwne dzieją się tam rzeczy i nigdy dotąd niewidziane. Wojna wbrew woli rządu, cesarz pchany przez dzienniki, przez komitety, zmuszony stanąć na czele tej opinii i iść na wojnę, to fakta, które w każdem państwie

byłyby ważne, a cóż dopiero w tem, gdzie dotąd nic nie stało się nigdy inaczej jak przez rząd i z jego inicyatywy. Cesarz Mikołaj i jego czasy już daleko: a jeżeli prawdą jest, co twierdzą dzienniki niemieckie, że komitet słowiański w Moskwie z panem Aksakowem na czele, podał następcy tronu memoryał, w którym żąda nie już ziemstwa i milicyi (zapewne gwardyi) narodowej, ale zmiany osób w dyplomacyi i zwinięcia gwardyi cesarskiej jako zbyt ulegającej wpływom dworskim — jeżeli istotnie komitety wtrącają się tak bezpośrednio w sprawy i prawa cesarza, jeżeli tak otwarcie wypowiadają wojnę dworowi, to Rosya zaszła może dalej niż się zdawało. Ludwikowi XVI naprzykład o ile wiemy, nikt się nigdy nie wtrącał w mianowanie ambasadorów. I to dzieje się w chwili świetnej, w chwili wojny, kiedy nikt w Rosyi złego jej końca nie przypuszcza, a rząd ma wszystkie pozory siły. Cóżby było, a w wojnie wszystko stać się może, gdyby te piękne nadzieje zawiodły, a wojna skończyła się klęską Rosyi lub choćby tylko jej upokorzeniem?

Ale Rosyanie utrzymują, że nie ma u nich żywiołów ani niebezpieczeństwa rewolucyi, że wzrost socyalizmu i nihilizmu dowiedziony świeżemi i częstemi procesami, to rzeczy nic nie znaczące, do których tylko nieznajomość Rosyi i polska skłonność do złudzeń może przykładać jakąś wagę. Przypuśćmy, że tak jest, że rosyjskie szczęście idzie tak daleko, iż ich historya zada fałsz historyi całego świata i pokaże, że pewne prądy raz wezbrane cofają się wstecz lub dają się utrzymać w brzegach normalnego zwykłego koryta, przypuśćmy, że Rosyi nie grozi żadne gwałtowne wstrząśnienie, żadna rewolucya: to czy w takim razie ona będzie mogła

pozostać czem jest dzisiaj, czem zawsze była? Rząd, który się dał porwać i popchnąć, który poszedł za cudzym popędem nie za swoją wolą, to rząd, który *de facto* abdykował. Osoby mogą zostać tesame, ale władza się zmieni, przeniesie swój środek ciężkości gdzieindziej. Czy może kto wierzyć, że te wszystkie siły, popędy, namiętności i żądze, te wichry, które się w Rosyi przy tej sposobności wyrwały, które tak żywo i tak zawzięcie zaczęły kręcić i wichrzyć, które wreszcie wygrały sprawę, postawiły na swojem, popchnęły cesarza i rząd tam gdzie chciały, że one po wojnie wrócą do milczenia i spokoju na pierwsze *quos ego* Eola, który tylko co sam za niemi z jaskini wyjść musiał? Cesarz Mikołaj mógł zrobić, czego nie zrobił Wallenstein Schillera, uśmierzyć bunt wojskowy jednem groźnem spojrzeniem, jednem zmarszczeniem swoich Jowiszowych brwi; spodziewać się, że cesarz Aleksander po wojnie będzie samowładcą takim jak przed nią, to byłoby złudzenie większe od wszystkich złudzeń polskich. Ze spiskowymi i zbuntowanymi łatwo dać sobie radę: ale ludzi, którzy się przyzwyczaili mówić, działać, rząd ganić, do rządu się mieszać, rządu pragnąć i nieledwie rządzić, to sztuka taka jak ta, której nie dokazał uczeń czarodzieja uciekający przed wodą i wołający napróżno: *Besen, Besen sei gewesen.* — Ten „potok“ — „nie wraca w posłuszeństwa łoże“; naród który raz owocu władzy pokosztował, będzie go łaknął tem pożądliwiej, im dłużej to był owoc zakazany. Natura ludzka, ta ostatnia przyczyna wszystkich politycznych zdarzeń, sama już doprowadzi Rosyę do zmian wewnętrznych. O wolności, o prawach, o samorządzie drugich nie mówi się nadarmo i platonicznie; zażąda się go prędzej czy później dla

siebie: i nie pozwala się bezkarnie o nich mówić i krzyczeć, kiedy chodzi o Słowian i Turków, a rząd, który pozwolił, musi się przygotować na to, że niebawem usłyszy wołanie podobne u siebie i do siebie, i ustąpi.

A panslawizm? a idea i missya słowiańskiej jedności, która dziś w Rosyi stała się namiętnością. Czy ta może, przestając na częściowej satysfakcyi, uspokoi się, uciszy i zniknie? Nie, to para, która się będzie gotować i rozprężać tak, że maszynista będzie musiał otwierać jej klapy bezpieczeństwa, a może i maszynę puścić w ruch, z obawy żeby jej para nie rozsadziła. Ta namiętność panslawistyczna i ten fakt już wywartego wpływu ludności na postanowienia i politykę rządu, to są oznaki takie, że albo logika natury ludzkiej, natury społeczeństw i historyi jest w Rosyi inna niż na całym świecie, albo Rosya przeobrazić się będzie musiała. Dodajmy do tego, że stosunki ekonomiczne wpływają nieraz przeważnie na polityczne zmiany, że konieczność kredytu naprzykład zmusza czasem rządy do podzielenia się władzą z rządzonymi, i że stan finansowy Rosyi po wojnie świetnym zapewne nie będzie, a będziemy mieli powodów dosyć do przypuszczenia, że wypadki obecne doprowadzą ją do zmiany formy rządu. Nie będzie to zapewne parlament ani konstytucya, będzie zrazu coś małego, nieznacznego, jakaś Rada przyboczna czy wzmocniona z głosem doradczym tylko: zawsze się od tego zaczyna, od półśrodków! zawsze władza absolutna, zmuszona do abdykacyi, targuje się i broni jak może najdłużej; ale zawsze także te półśrodki, te wybiegi, te parlamentaryzmy udane, kończą się na parlamentach prawdziwych, które znowu czasem stają się *zgromadzeniami*

narodowemi, czasem *parlamentami długiemi*, czasem *konwencyami*.

Wierzymy zatem, że wojna dzisiejsza samą siłą rzeczy doprowadzi Rosyę do konstytucyi wewnątrz, na zewnątrz do coraz energiczniejszego prowadzenia dzieła słowiańskiej jedności. Czy to będzie dobrem dla Rosyi? Nie nam o tem sądzić, ani się tem troszczyć. Wielu Rosyan, i to pod względem rozumu i charakteru podobno wyborowych, marzy, jak mówią, o konstytucyi jak o talizmanie odrodzenia i potęgi. Co do nas, gdyby ta sprawa była naszą, obawialibyśmy się raczej ze stanowiska rosyjskiego osłabienia państwa wskutku takiej zmiany, niżbyśmy się wzmocnienia jego spodziewali. Ale to ich rzecz; nas w tem wszystkiem to jedno obchodzi, że zmiany te odbić się będą musiały i na losach ziem polskich pod zaborem rosyjskim. Otóż, jak się odbiją? jakiem może być ich położenie, jak się zachować dziś i w bliskiej przyszłości, w tej epoce przejścia, przygotowania, rozpoznawania sprawy?

Nie rosyjscy poddani, nie ciśnieni jak tamci, nie mamy prawa my z pod panowania austryackiego uczyć ich co robić mają. Możemy tylko powiedzieć z naszego stanowiska jednej części narodu, że co tamte dla siebie wybiorą, co postanowią i uznają za dobre, to my za dobre dla nich przyjąć musimy i z obowiązku tak się zachowamy, żeby im nie zawadzać i nie bruździć, lecz owszem, ile to w naszej mocy, dopomagać i służyć. Ze stanowiska zaś ogólnego, polskiego, mamy prawo powiedzieć, że gdzie złe doszło do tak przerażających rozmiarów, gdzie idzie o życie lub śmierć, tam każde umniejszenie złego, każde zabezpieczenie życia wydaje nam się korzyścią, której lekceważyć a temmniej odrzucać

nie można. Jeżeli zatem wskutku wojny nastąpią w Rosyi zmiany, które i na Polaków rozciągnąć się będą musiały (bo trudno jest przyznając wszystkim konstytucyjne wolności, wykluczyć niektórych, trudno na drodze do słowiańskiej jedności i braterstwa gnębić, deptać i tępić Polaków), uważalibyśmy to za szczęśliwy tej wojny skutek, i to jest ta korzyść, która, zdaniem naszem, wyniknąć dla nas może.

Przypomina się tu przeszłoroczne pytanie: „Jeżeli Rosya opatrzy się, że niemądrze, niezgodnie z własnym interesem postępowała z Polską i zechce naprawiać to, co psuła od roku 1863, co wtedy? jak nam wobec takiego jej zwrotu zachować się wypadnie?“ Przeszłego roku odpowiedź była: przedewszystkiem nie wyrywać się, nie robić pierwszego kroku, nie wyciągać ręki, któraby odepchniętą być mogła, a powtóre strzedz się takiego układu, który ustępując nam choćby wiele na polu politycznem, żądałby od nas ustępstw na polu religijnem. Tosamo powtarzać trzeba i dziś, tylko głośniej, usilniej, natarczywiej, bo przyszła istotnie chwila nie układów, nie propozycyj nawet, ale pewnej układności, pewnej zmiany w tonie, pewnych nie oficyalnych lecz przecie znaczących kroków nie do Polaków wprost, ale koło Polaków, jak żeby dla dowiedzenia się gdzie oni i jak stoją, co oni myślą, jak żeby na próbę, czy oni ze swego stanowiska ruszyć i zbliżyć się nie dadzą. Widzieliśmy też tu i owdzie po naszej stronie pewne oznaki tej właśnie skwapliwości zbytecznej, tej gotowości nietylko do chwycenia ręki wyciągniętej, ale i do wyciągania swojej, która to zbytnia skwapliwość i gotowość mogłaby nas doprowadzić nietylko do wyjścia ze sta-

nowiska odpornego i nieprzyjacielskiego, ale i do zejścia ze stanowiska polskiego.

Mamy tu na myśli te słowa pojednania, które od pewnego czasu odzywać się zaczęły w dziennikach rosyjskich i te głosy polskie, które tamtym wtórowały.

Nie przywiązujemy zbyt wielkiego znaczenia do artykułów dziennikarskich, bo te nikogo do niczego nie obowiązują. Z niedowierzaniem zwłaszcza słuchamy pojednawczych głosów rosyjskich, którym pojednawcze fakta nie wtórują wcale. Co najlepiej dowodzi prawdy i wartości tych sentymentalnych frazesów o zgodzie i wspólnem słowiańskiem pochodzeniu, to że się je drukuje po dziennikach, że się koresponduje z emigrantami, ale nie mówi się z tymi, których to najbliżej obchodzi, z Polakami pod rządem rosyjskim. Gdyby zamiar był szczery, to tych wezwanoby pierwszych, ich by pytano, z nimi próbowanoby dojść do porozumienia. A kiedy tę uwagę zrobić, słyszy się czasem odpowiedź, że Rosya chciałaby, ale nie wie jak się do tego wziąć, jak zacząć, nie ma inicyatywy. Doprawdy? nie znaliśmy jej z tej strony nieśmiałości i zakłopotania! a nie pojmujemy doprawdy, jak to można być rządem a nie mieć inicyatywy i nie wiedzieć jak się wziąć do rzeczy i jeszcze rzeczy tak prostej. Te pojednawcze głosy dowodzą tylko lepszego zrozumienia rzeczy i lepszego uczucia sprawiedliwości u niektórych osób. Fakt zaś, że rząd na ogłoszenie artykułów takich pozwolił, dowodzi zapewne chęci uśpienia, ukołysania Polaków, nastrojenia ich tanim kosztem na ton miększy, łagodniejszy względem Rosyi, co w dzisiejszych ważnych wypadkach, które Bóg wie jak jeszcze obrócić się mogą, może zawsze być rządowi potrzebnem, a już conajmniej wygodnem.

Ale nie wierząc w rzeczywistą wartość, raczej w skuteczność tych usposobień pojednawczych, to znowu przypuszczamy, że po wojnie Rosya przebywać zacznie wewnętrzną przemianę, która i na losy Polski wpłynąć będzie musiała. A na ten przypadek, nie poważając się ani wskazywać ani radzić naszym braciom z pod rosyjskiego zaboru, którzy sami najlepiej wiedzieć będą, co i jak robić im wypadnie, zaniesiemy do nich tylko dwie prośby. Pierwszą powtarzamy dosłownie, nawet z tego, co tu przed rokiem o ich położeniu mówiono. Oto „jeżeli przyjdzie kiedy sposobna do układów chwila, pamiętajmy o tem, że rząd rosyjski chętnie ustąpi, nawet wiele, pod względem narodowym, byleśmy ustąpili pod względem religijnym. Zważywszy ucisk dzisiejszy, zważywszy, że jedność interesu polskiego z katolickim nie jest ani powszechnie ani dostatecznie rozumianą nawet między katolikami samymi, że filozoficzne i polityczne doktryny doprowadziły u nas wielu wprost do nienawiści katolicyzmu, przypominamy, że układ na takich warunkach zawarty zabiłby Polskę, wyzułby ją z jej duszy“. A druga prośba ta: że jeżeli istotnie przyjdzie kiedyś chwila zmiany, żeby nie powtórzył się ten rozdział pomiędzy ludźmi działać skutecznie mogącymi, który przed rokiem 1863 osłabił i udaremnił działanie tak margr. Wielopolskiego jak hr. Andrzeja Zamoyskiego. Niech to dzieło prowadzi ktokolwiek, ale jeden. Zbytnie obstawanie przy różnicach naszych zdań opłaciliśmy zbyt drogo. Osobistości, uprzedzeń, niechęci, podejrzeń, tych wszystkich rzeczy, za które Skarga nas gromił kiedy prosił: „Wielmożni Panowie nie kurczcie Ojczyzny w sercach waszych“, nie obawiamy się i nie przewidujemy; ale sprzeczność w zapa-

trywaniu, obstawanie przy swojem w najlepszej wierze lecz zbyteczne, to zawsze między ludźmi bez żadnej dla nich ujmy i obrazy przewidywać można. I można też przypomnieć, że rozdwojenie takie mogłoby dla nas być tak złem lub gorszem w tych możliwych nowych wypadkach, jak było w ostatnich.

Ale gdyby teraz od przyszłości i możliwej zmiany położenia Polaków w Rosyi, które są zawsze tylko przypuszczeniem i przewidywaniem, zwrócić się do obecności i do rzeczywistości i zapytać, jaki jest w tych dzisiejszy stan sprawy polskiej, to powiedzieć trzeba, że dziś, jak przed rokiem, jak przed laty dziesięciu, rzeczywistość narodowego bytu i rzeczywista możliwość tak korzyści i pożytków jak politycznego działania, jest w Austryi tylko i przy niej, a ztąd jasno pokazuje się i konieczność dalszego postępowania. Z czterech stałych istotnych czynników wchodzących w skład sprawy polskiej, bo wszystkie inne przypadkowo tylko i chwilowo wchodzić w nią mogą, to jest, z trzech Państw rozbiorowych i z Polski, jeden rzuca czasem jakie piękne słowo, ale zachowuje się zupełnie jak przedtem; drugi, nie mówiąc ani słowa, gnębi Polskę u siebie, pośrednio i pomału gotuje jej zgubę, jeżeli zamysłów swoich dokona: dwoma drugimi swoimi sprzymierzeńcami posuwa jak szachami po desce, a te szachy myślące i czujące dają się prowadzić o ile koniecznie muszą, a marzą o chwili, w której będą mogły wyrwać się z tej kierującej ręki, a jak Pan Bóg da, i przeciw niej obrócić. I nie byłoby nic dziwnego, gdyby ze wszystkich państw rozbiorowych najwięcej w tej chwili myślało o Polsce to, które o niej nie mówi nigdy, a nienawidzi jej najgłębiej. Myśli nie o tem naturaluie, żeby jej pomódz lub

ją podźwignąć, ale o tem, żeby żaden z sąsiadów sprawy tej nie podjął, bo przez to każdy z nich zyskałby na sile, a powtóre o tem, jakby od jednego z nich, klucz tej sprawy w swoje ręce uchwycić. Że w tych kombinacyach pruskich, których pierwszym krokiem jest zatrudnienie Rosyi i Austryi na Wschodzie, a dalszym ma być oczywiście zaokrąglenie własne, między różnemi namiętnościami i nienawiściami, przeciw Kościołowi, przeciw Francyi, przeciw Austryi, odzywa się i namiętna nienawiść do słabej Polski, a między różnemi widokami anneksyi na Zachodzie, czy na Południu, przesuwa się niekiedy i zaokrąglenie granic wschodnich, Wisła i Warszawa, to rzecz, o której dyplomatom tylko dokładnie niewiedzieć i wątpić wolno, ale którą instynkt polski, ten trafny instynkt chorego, który nerwami przeczuwa każdą zmianę atmosferyczną, instynkt słabego i uciemiężonego, który zdaleka zgaduje i czyta myśl ciemiężyciela i wroga — czuje doskonale i powszechnie. Czuje on też, że ze wszystkich błędów, jakiebyśmy dziś popełnić mogli, największym byłby błąd taki, któryby jakimbądź sposobem ułatwił, dał pożądliwościom pruskim pozór do rzucenia się na jakąkolwiek część ziemi polskiej. Pod tym względem nie zdarzyło nam się spotkać dwóch zdań różnych; a to powszechne w Polsce przekonanie, że lepiej jeszcze Rosya niż Prusy, jest rękojmią, że nie zrobimy nic, coby przyszłości naszej w tym kierunku groźnem być mogło. Drugą rękojmią znowu jest sam oczywisty interes Rosyi, jej miłość własna, i wielka dla Prus trudność wynalezienia pozoru i przyczepki do obdarcia sprzymierzeńca, brata ślubnego, i ukochanego krewnego. Z tej więc strony na dziś obawy nie ma, jeżeli jej nasze własne postępowanie porywcze

i łatwowierne, zwłaszcza w razie niepowodzeń rosyjskich w Turcyi, nie sprowadzi.

Dwa inne czynniki naszej sprawy, Austrya i my sami, ogółem wziąwszy, stoją po roku tak i tak się w jego ciągu zachowywały, jak im wskazywał ich dobrze zrozumiany a wzajemnie bardzo siebie bliski interes. Nie łowiąc ryb przed niewodem i nie tając sobie, że w przyszłości jedna i druga mogłaby jeszcze z dobrej drogi zboczyć, trzeba powiedzieć, że do tej chwili z niej nie zboczyły, i pragnąć gorąco, żeby swojej busoli z oka nie straciły. Pokus i obaw wprawdzie nie brakło, ale nateraz przynajmniej pokusy są przezwyciężone a obawy usunięte. I dziwna rzecz, to niebezpieczeństwo zboczenia i pobłądzenia w drodze, groziło bliżej Austryi niż Polsce. Rola jej w sprawie wschodniej, jej położenie trudne między zwycięzcą wczorajszym, któremu upokorzenia swego zapomnieć nie może, a nieprzyjacielem jutrzejszym, w którym niektórzy radziby widzieć pomocnika i mściciela przeciw pierwszemu, sprzeczność tych dwóch polityk rosyjskiej i pruskiej (dziwne podobieństwo do stronnictw takich u nas za czteroletniego Sejmu) uczucia, które każdą z nich wydały, cele, które każda z nich sobie zakłada, wreszcie koleje, jakie one przebywały, ustępstwa, jakie jedna drugiej robić musiała, cała ta historya Austryi w roku 1877 opisaną była tak prawdziwie, tak dosadnie, tak doskonale w ogłoszonym niedawno szeregu artykułów wstępnych *Czasu*, każda chwila, każde przejście tak było wytłómaczone bystro i gruntownie politycznemi i psychologicznemi motywami, że więcej i lepiej, jeżeli powiedzieć o tej materyi można, to przynajmniej nikt dotąd lepiej nie powiedział. My z naszej strony,

gdybyśmy mieli mówić o stanowisku i polityce Austryi, moglibyśmy tylko streścić i powtórzyć mniej dobrze to, co już tam powiedzianem było. A że niewątpliwie treść tej znakomitej w publicystyce naszej rzeczy, czytelnikom naszym świeżo jest w pamięci przytomną, więc praca powtarzania byłaby zbyteczną i bez celu. Od ogłoszenia rzeczonego studyum wszakże zaszła zmiana jedna bardzo znacząca. Pisane ono było w tej chwili właśnie, kiedy zajęcie Bośnii przez Austryą, tak dla zaspokojenia własnego sumienia nazwana „okupacya równoległa,“ niby neutralna, (jak żeby krok taki mógł być neutralnym), ani z Rosyą, ani przeciw niej... w teoryi, kiedy ta okupacya zdawała się postanowioną, nieuniknioną i już nawet bardzo bliską. Zdawało się, że Austrya wyrwie się z tego stanowiska wyczekującego i niezależnego, które w stanowczej chwili może stać się rozstrzygającem, że stanie się cichym spólnikiem Rosyi w tym turecko-słowiańskim ryzykownym interesie, że przez to zmniejszy ryzyko wkładki rosyjskiej i wyciągnie sąsiada z tej postawy odosobnionej, niewygodnej, jeżeli nie niebezpiecznej, w której się obecnie znajduje, i ułatwi mu zadanie w ostatecznym wyniku dla siebie samej, dla Austryi, zgubne. Niebezpieczeństwo było wielkie i bliskie, pchał do niego cały zbiór psychologicznych względów i politycznych złudzeń, a pchał tak silnie, że szala już się zdawała przeważoną na stronę tej niebezpiecznej okupacyi. W ostatniej chwili przecież, kiedy kość miała być rzuconą a Rubikon przebytym, stan rzeczy zmienił się nagle, doraźnie i bardzo wyraźnie. Co go zmieniło? czy przeciwna tej polityce a bardzo jawnie i stanowczo wypowiedziana opinija wszystkich krajów, których korony nosi cesarz Franci-

szek Józef? Bo istotnie dziwna, zupełna, jedyna może tak zupełna była zgoda w ich zapatrywaniach. Niemcy, Węgrzy, Polacy, jakiegokolwiek stronnictwa i wyznania mówili tosamo, tegosamego chcieli, czy niechcieli. Innym tonem przemawiali tylko Czesi, sami jedni, a ten ich ton, zwłaszcza przy szczęśliwym akompaniamencie listu, w którym pan Rieger ofiarował panu Aksakowowi Czechy na przednią czatę panslawizmu pod zwierzchnictwem Rosyi, mógł był i powinien był zwrócić uwagę, dać do myślenia, może do poznania, która polityka była prawdziwie zgodną z dobrem Austryi. Niewątpliwie przyczynił się najwięcej do tego pomyślnego obrotu sprawy, rozum ministra spraw zagranicznych i jego zręczność. W części przyczyniła się zapewne i Turcya sama, tak mądra, czy tak mądrze przez kogo innego nauczona, że blizka zupełnego zgniecenia Czarnogóry pobitej na głowę, zamiast iść na Cetynię, zatrzymała się i cofnęła. Powodów musiało tu działać wiele, ale skutek był ten, że Austrya nietylko do Bośnii nie weszła, ale przez usta dwóch ministrów, austryackiego i węgierskiego, wyparła się stanowczo i uroczyście wszelkiej myśli okupacyi. A wskutku tego i Rosya została sama jedna, bez oparcia i zasłony, i Austrya została swobodną w swojej postawie neutralnej, a wobec wojujących przecież bardzo silnej, nie popełniła błędu takiego, jak niedawno w księstwach nadelbiańskich, i wreszcie nie siągnęła po nabytek wątpliwej wartości, a niewątpliwie niebezpieczny nie dla węgierskich tylko, ale i dla niemieckich Austryi interesów, bo oczywiście za nowemi na Wschodzie nabytkami i jej środek ciężkości mógłby się coraz bardziej ku Wschodowi posuwać. Że dla naszych polskich interesów wszystko co

usuwa przymierze i wspólną akcyę Austryi z Rosyą jest wielką korzyścią i zabezpieczeniem, to oczywiste.

Ale jeden sukces, choćby znaczny, nie jest jeszcze pewną i stanowczą wygraną, a jak teraz kość padła szczęśliwie dla nas, tak w przyszłości może jeszcze posłużyć naszym przeciwnikom. Te wszystkie uczucia, względy, kombinacye i nadzieje, które nateraz ustąpiły i ucichły, mogą jeszcze wziąć górę. A wtedy co? A nie to uważalibyśmy za groźbę i klęskę dla Austryi i dla siebie, gdyby ona z neutralności wyszła, gdyby nawet wyszła w pole; mogą zdarzyć się okoliczności takie, żebyśmy czynnego jej wystąpienia pragnęli najgoręcej i do takiego ją całą siłą namawiali. Ale jeżeli Austrya zejdzie ze swojej drogi w złym kierunku, jeżeli pieszczona długo przez wielu, a dziś z żalem zapewne poświęcona myśl zajęcia Bośnii, byłaby odłożoną tylko, schowaną do czasu, na to, by znowu wyjść na wierzch i stać się czynem, cóż wtedy?

Położenie Austryi stanie się nierównie gorszem. Wybawi ona Rosyę z kłopotu, nabędzie niewiele, kto wie czem ten nabytek okupić będzie musiała, pomoże sama do urzeczywistnienia panslawistycznych zamiarów, a w dodatku ściągnie sobie prędzej czy później wojnę z Rosyą, jak niegdyś wojnę z Prusami. Taki zaś fałszywy krok z jej strony mógłby odbić się smutno i na naszych losach, bo to prawda, co miał rzec jeden z austryackich ministrów, że okupacya znaczy tyle co kompensacya; zaokrąglenie z jednej strony pociągnęłoby za sobą straty w stronie drugiej. Wszelako, gdyby do tego przyjść miało, gdyby Austrya uległa tej bośniackiej pokusie, czy w takim razie ma się co zmienić w naszem względem niej stanowisku i postępowaniu?

Sądzimy, że nie; że żałując jej błędu, nie potrzebujemy przecież dlatego, ani możemy schodzić z raz wytkniętej drogi. Interes krajowy galicyjski i ogólny interes Polski wskazują nam to, oba zarówno wyraźnie i niewątpliwie. Pierwszy jest tak oczywisty, że go dowodzić nie trzeba. Drugi nakazywałby tosamo raz dlatego, że zabezpieczony byt narodowy polski choćby dla jednej tylko części narodu, nie jest obojętnym dla całego, i tak jak niegdyś, kiedy był pod rządem rosyjskim, utrzymywał się przez to pośrednio pod dwoma innemi, tak dziś, choć w mniejszej mierze, może on przez czas jakiś przechowywać się w Galicyi i dla innych także; powtóre dlatego, że wspólna z Rosyą akcya na Wschodzie musiałaby prędzej czy później ale niewątpliwie doprowadzić Austryę do wojny z Rosyą, wojny, w której interes Polski znowu niebyłby po stronie rosyjskiej.

Dlatego my, nawet w tym wstrętnym i złym dla nas razie, jeszcze powinnibyśmy trzymać się swego planu postępowania, trzymać się Austryi, która i dziś jest dla nas jedynym punktem oparcia, i w przyszłości, gdyby nawet na złą drogę zeszła, to samą siłą rzeczy na dobrą wrócić będzie musiała.

A wreszcie my sami? My z pewnem uczuciem pociechy i spokoju sumienia przyznać sobie możemy, że przez ten rok nie zrobiliśmy nic, coby nam mogło było zaszkodzić. Fakt to, który zapisując, ma się obowiązek dodać „dzięki Bogu,“ a miałoby się nieledwie ochotę dodać „nie uroku.“ Że dopóki wojna jest tylko turecko-rosyjską, to nas tylko zupełny spokój, zupełna neutralność chroni od niebezpieczeństw tak śmiertelnych, jakiem byłoby naprzykład zajęcie Królestwa przez Prusaków, to rzecz jasna jak słońce; ale też i rzecz po-

wszechnie uznana, powszechnie przyjęta za regułę postępowania. Wyjątki zdarzały się wprawdzie, ale nie były liczne, a były bardzo i silnie i we wszystkich częściach Polski odparte. Był naprzód ów niby legion i niby polski, który polskiego imienia i munduru nawet nie nosił, a składał się z ludzi (niewielu nawet) wszelkiego kraju i pochodzenia, między którymi było nieco Polaków. Przedsięwzięcie to, które jak się coraz jaśniej pokazuje, nie było nawet awanturniczem, tylko awanturników, doznało w Polsce zupełnego i świetnego niepowodzenia. Odezwało się wprawdzie tu i owdzie parę trąb, które na pobudkę pana Artur-Beja czy innego odpowiedzieć chciały i fałszywo zagrały parodyą dawnej nóty „Marsz marsz Dąbrowski,“ ale i te, czy widząc że im chór nie wtórzył, czy też pomiarkowawszy się, że trąbią fałszywo, ucięły prędko. Może tylko ucichły; może jak sławny postylion sławnego facetusa Szumlańskiego dmą po cichu w zamarzniętą trąbkę, a kiedyś cała ta wdęta przez ten czas masa tonów i melodyj odezwie się razem tem głośniej i tem przeraźliwiej: być może, ale w tej chwili przynajmniej muzyki tej niesłychać. Zdarzały się i wielkie myśli polityczne jak ta naprzykład, żeby zawrzeć przymierze zaczepno-odporne z sułtanem, jeżeli przysięże i da rękojmie, że nie złoży broni, dopóki nie odbuduje Polski! a punkt ten zawrzeć i podpisać miał zapewne jeneralny ambasador polski, mianowany i przy wszech rządach i ludach uwierzytelniony... przez kogo? Któż widział pytać o takie drobiazgi. Przecież wszystko to pozostało dotąd szczęśliwie w stanie swojej przyrodzonej słabości i śmieszności. Ważniejszem i gorszem byłoby to, co sądzono i mówiono w Wiedniu, mianowicie: że *„es spuckt in Gali-*

zien.“ Byłoby złem, bo dowodziłoby, że doświadczenia roku 1863 jeszcze nas nie przekonały, co są warte organizacye i konspiracye. Ale kiedy trudno żądać, żeby wszyscy ludzie dobrze myśleć umieli, kiedy zwłaszcza u nas tego złego nie widać i nie słychać, kiedy wogóle tak mało jest skłonności i zaufania do pokątnych i podziemnych działań, to pocieszajmy się tem, że gdyby nawet złe istotnie było, w co wierzyć nie chcemy, to pozostałoby złem w teoryi, bez szkodliwych skutków w praktyce. Od tych pewniejsze, ile wiedzieć można, były zdaje się wieści o agentach tureckich, uwijających się po kraju i usiłujących skusić Polaków do jakiejś na korzyść Porty demonstracyi czy nawet dywersyi; niektórzy twierdzą, że w ślad za tureckimi przybywali i angielscy dla przekonania się, jak się tamtym powodzi, ale jeżeli byli istotnie, to jedni wracali zawiedzeni w rachubach swojej dyplomacyi, a drudzy zdziwieni spokojną postawą i zimną krwią jaką zastali.

Ta postawa i ta zimna krew nam daje dobrą otuchę. Wprawdzie z naszym temperamentem nie można być pewnym, czy się usposobienie w jednej chwili nie zmieni, bo krew polska jest burzliwa a nerwy drażliwe; wszelako sposób, w jaki przyjęliśmy i legiony, i agentów tureckich i polskich ambasadorów, spokój niewzruszony, jaki zachowaliśmy wśród okoliczności, bardzo silnie działać mogących na wyobraźnie, jest znaczącym symptomatem, z którego wnosić można, żeśmy się naprawdę i w dobrem znaczeniu słowa czegoś nauczyli. Ale nie idzie zatem, żebyśmy na swojem politycznem rozumie z zupełnem bezpieczeństwem już polegać mogli. Osądzić trzeźwo i słusznie myśli i plany oczywiście błahe, pozbawione podstawy i treści, nie dać się niemi

uwieść i pociągnąć, jest to zawsze coś, ale to jeszcze nie wszystko. Chodzi zaś o to, i bardzo, żeby myśli i plany poważniejsze, żeby kombinacye polityczne bardzo u nas i bardzo słusznie popularne, nie pociągnęły nas do jakiego kroku, któryby je napozór popierał a naprawdę udaremniał.

Oddawna jest u nas zakorzenione, w zdrowej logice uzasadnione przekonanie, że sprawa wschodnia otworzyć musi najpewniejsze widoki dla sprawy polskiej. Nasłuchaliśmy się wszyscy aż do przesytu, że ci, którzy podnieśli powstanie w roku 1830, powinni byli ze swego stanowiska podnieść je za wojny tureckiej, że same wypadki ostatnie byłyby skończyły się inaczej, gdyby zamiast w roku 1863 były przyszły w 1854. Czy istotnie byłoby się tak stało, dziś dochodzić rzecz próżna, ale to znowu rzecz prosta, że ile razy Rosya rzuca się na Turcyę i szuka tam zdobyczy, ile razy przez to sama jedna staje w sprzeczności z interesami wszystkich prawie państw europejskich i naraża się na rzeczywiste niebezpieczeństwo, tyle razy w polskich głowach i sercach odzywa się ulubiona kombinacya polityczna i ulubiona nadzieja. A ludzie, przynajmniej trzy państwa rozbiorowe, wiedzą o tem tak dobrze, tak są pewne tego, co Polacy w takiej chwili myślą, czują i pragną, interes Polski wiąże się tak oczywiście i od tak dawna z wypadkami na Wschodzie, iż wydaje się naturalnem, koniecznem, żeby Polacy zabrali głos w tej sprawie; jeżeli go nie zabierają, to zdaje się, że o swojej sprawie zapominają, milczenie wygląda nie w oczach tych rządów z pewnością, ale w oczach Polaków samych, nieledwie na zrzeczenie się. Ztąd to uczucie, które się już nieraz objawiło, a które domaga się przy-

15

pomnienia kwestyi polskiej. Mówiło się zawsze, od pół wieku blisko, że kwestyę tę przywiązać należy do jakichś wielkich europejskich a przedewszystkiem do wschodnich wypadków, że ona przy takich tylko może wyjść na wierzch i na wierzchu się utrzymać. Powtarzali to wszyscy spokojni i umiarkowani w kraju, powtarzali wszyscy emigracyjni dyplomaci, kiedy odwodzili od spisków i powstań, powtarzali tak długo, aż z pomocą roku 1846, 1848 i 1863, przekonali gorętszych, że trzeba czekać sposobnej pory i wypadków. Ale dziś wypadki są: dziś Rosya sama jedna walczy za Dunajem, inni patrzą na nią niechętnie, podejrzliwie, i może będą zmuszeni przeciw niej się oświadczyć i obrócić, a więc dziś lub nigdy ta sposobna pora, ta obiecywana chwila, dziś trzeba kwestyę polską przypomnieć i postawić. I nie konspiracyjnym ani rewolucyjnym sposobem, broń Boże, bynajmniej; owszem tak legalnie, tak otwarcie jak tylko być może, wobec istniejących rządów i w granicach ich własnych praw. Nietrzeba na to nawet nic zmieniać, nic tykać w tym stosunku Galicyi do Austryi, o który wielu ludziom chodzi tak bardzo. Bo skoro Austrya tyle co my lub jeszcze więcej stracić może na złem rozwiązaniu sprawy wschodniej, skoro wzrost rosyjskiego panslawizmu jest dla niej tak groźnym, skoro ona przeciw temu bronić się koniecznie musi, więc niechże się broni najlepszą, najdzielniejszą bronią, niech jej sprawę ujmie w rękę i postawi. Nie zdradzi się ani jej interesu, ani tej tylokrotnie jej przyrzekanej wierności i przyjaźni, jeżeli się jej doradzi to, co jej samej wyszłoby na pożytek i ubezpieczenie. A postąpi się legalnie, politycznie, nawet dyplomatycznie, bynajmniej nie rewolucyjnie,

owszem, zgodnie z odwiecznym programem tylch umiarkowanych i zarozumiałych, którzy sobie przypisywali zawsze wyłączny monopol politycznego zmysłu i rozumu, jeżeli się kwestyę polską postawi w Austryi i rozwiązania jej przez Austryę żądać będzie!

Jestto rozumowanie tak proste i logiczne, że zrobionem być wręcz musiało, i nie dziwimy się wcale, jeżeli znajdują się ludzie choćby najrozumniejsi i najpoważniejsi nawet, którzy zrobiwszy je wyciągnęli z niego ten wniosek, że byłoby mądrem, a nawet wskazanem, obowiązkiem względem ojczyzny i własnego honoru, a koniecznością wobec rozumnej i praktycznej polityki, żeby teraz w tych okolicznościach otwarcie i śmiało wystąpić. Przecież powiedzieć musimy, że teraz i w tych okolicznościach właśnie wystąpienie takie przyniosłoby sprawie naszej szkodę ale nie pożytek.

Jakto? przez lat pięćdziesiąt kazaliście czekać na sprawę wschodnią i na niej plany i nadzieje opierać; przez lat pięćdziesiąt kazaliście działać legalnie i dyplomatycznie przy wielkich mocarstwach i przez nie, przez lat pięćdziesiąt migaliście nam przed oczyma tą obietnicą, czy rzucali w oczy tym piaskiem: a dziś, kiedy wszystko się dzieje podług waszego własnego programu, kiedy są i te wypadki, i te wielkie mocarstwa, i ta droga jawnego legalnego działania, słowem, te wszystkie warunki, których do postawienia kwestyi żądaliście sami, dziś jej stawiać nie chcecie, odradzacie? mówicie, że nie czas i nie pora? A to chyba albo kłamaliście i zwodzili od roku 1831 ciągle, w nadziei, że okoliczności, na których oprzeć się miały nasze widoki, nie przyjdą nigdy, albo dziś żartujecie, drwicie,

a naprawdę postawienia sprawy polskiej dziś ani nigdy nie chcecie?

Oto co mógłby powiedzieć człowiek przywykły zdawna oglądać się na sprawę wschodnią jak na jutrzenkę swobody, gdyby usłyszał, że teraz o Polsce mówić nie trzeba. A przecież tak jest: nie trzeba, teraz nie. A dlaczego? Odpowiedź prosta, dlatego, że nie ma wojny z Rosyą, że prócz Turcyi cała Europa jest jej przyjazna albo niechętna, ale cała w pokoju, i ten stary program, do którego się wszyscy odwołują, w dalszym biegu wypadków spełnionym być może, ale nie musi, a dziś spełnionym nie jest. Jeżeli zaś chcemy dopomódz a nie przeszkodzić jego możliwemu w przyszłości spełnieniu, to dziś o Polsce cicho, ani słowa.

Wszakżeż w myśli tych, którzy chcą jawnego i śmiałego wystąpienia, sprawa polska przez Austryę tylko mogłaby być podjętą i rozwiązaną: prawda? A czy Austrya o tem myśli, czy tego chce? czy ten program jest jej programem, a ten ideał jej ideałem? Z pewnością nie. Ona, i dziwić się, ani za złe brać jej nie można, ona przedewszystkiem chce pokoju, chce się utrzymać w swoim dzisiejszym stanie i składzie, który zwłaszcza, jeżeli kwestye wewnętrzne dadzą się należycie urządzić, zapewnia jej stanowisko i znaczenie wielkiego w Europie mocarstwa. Ona okolicznościami i to bardzo już naglącemi przyparta, mogłaby do wojny się porwać, a w tej wojnie mogłaby użyć Polski jako pomocy i sprzymierzeńca, ale swojego głównego celu, ona w Polsce nie widzi i widzieć nie może. Żądać zaś od niej, żeby ten cel w swój program wcieliła, chcieć ją gwałtem i zaraz z sąsiadami poróżnić i pchać do wojny, to zdałoby się na to tylko, żeby ją z dzisiejszej neu-

tralności wypchnąć, ale nie na naszą, tylko na Rosyi korzyść. Wyobraźmy sobie, a to doprawdy nietrudno, jak pożądanym byłby taki nasz krok dla Rosyi, jak zręcznie i jak łatwo ona by go wyzyskać umiała i jakie wrażenie sprawiłby on w Wiedniu. Bądźmy sprawiedliwi i starajmy się przenieść myślą w stanowisko drugich: wszakżeż my sami powtarzamy Austryi do unudzenia jej i siebie: „strzeż się, bądź ostrożna, nie chodź do Bośnii, nie wyciągaj kasztanów z pieca dla Rosyi, ona ci stoi na zdradzie i chce cię do swoich celów nadużyć.“ — A Rosya, gdybyśmy się z kwestyą polską odezwali, miałaby Austryi tegosamego niepowiedzieć? Powiedziałaby: „a widzisz, nie mówiłam, przekonaj się teraz, jak cię Polacy zdradzają, jak cię chcą do własnych celów nadużyć, poważnić ze mną, wplątać w wojnę i samą jedną bez obrony i zasłony zostawić na łasce Prus. Zobaczże teraz, kto twój prawdziwy przyjaciel, odrzeknij się ich, poświęć mi ich, a ja ci za to zawsze służyć będę za oparcie i zabezpieczenie przeciw Prusom.“ A choć w naszych słowach jest istotna prawda i istotna dbałość o przyszłość Austryi, w tych ostatnich tylko ich udanie, to tyle przecież znamy świat i życie, iżby wiedzieć, że nie nasze ale te zrobiłyby wrażenie i osiągły skutek w Wiedniu. I nasze wystąpienie w sprawie polskiej mogłoby sprowadzić to właśnie, czego najwięcej niechcemy, wyjść na korzyść partyi rosyjskiej bardzo na dworze silnej, w dalszym następstwie sprowadzić zmiany w ministeryum spraw zagranicznych (czem znowu zarobilibyśmy sobie na zasłużoną nieprzyjaźń wielu), i przyśpieszylibyśmy tę okupacyę zrazu neutralną i równoległą, a następnie do spółki z Rosyą, której właśnie tak

stanowczo, tak bardzo niechcemy. Dalibyśmy wyraz i satysfakcyę naszym uczuciom, ale zadalibyśmy cios srogi i tej Austryi o którą nam tak chodzi, i swojej własnej przyszłości.

Bo zważać nam trzeba jeszcze i na to, że wojna nie jest powszechną, że takiej nikt nie chce, że dopóki ona się toczy między dwoma tylko, to zawsze może zajść jakieś pośrednictwo, które jej koniec położy; że wreszcie na kongresie, który po niej nastąpi, Rosya stanąć może niezłamana i nie upokorzona. A w takim razie czy po wystąpieniu naszem z kwestyą polską, ona nie wystąpi na kongresie z oświadczeniem, że stan i zachowanie się Polaków w Galicyi, jest dla niej źródłem niepokoju i wzburzeń i czy nie zażąda zmiany tego stanu? czy w tem żądaniu nie poprą jej gorliwie Prusy? I czy na kongresie całym znajdzie się taki, ktoby przeciw nim bronić śmiał lub tylko chciał kogo? Polaków! Z pewnością ani Francya, ani Anglia, ani Włochy, ani nawet choćby chciał pełnomocnik austryacki, bo ten wobec ich zbliżenia i połączenia, musiałby bronić czego innego: Austryi i jej bezpieczeństwa.

Nie; jesteśmy dziś w tem szczęśliwem położeniu, że jakiekolwiek są związki między Prusami i Rosyą, to względem Austryi one nateraz w zgodzie nie są. Połączyć je, zjednoczyć ich działanie w Austryi i na nią, mogłoby w tej chwili tylko to, co ich zbliża i jednoczy zawsze, nawet kiedy się najdalej od siebie rozejdą, to jest Polska. Wystąpmy z nią tylko otwarcie, a zobaczymy zaraz, że się zejdą, porozumieją, i Austryę zmuszą, żeby poszła wskazanym przez nich kierunkiem. Jaką usługę oddamy przez to Austryi, jeżeli mimowoli skleimy ścisłe przymierze między jej sąsiadami, jaką

sobie samym, Galicyi i Polsce, części i całości, teraźniejszości i przyszłości — to jasne.

I dlatego wszelkie dziś otwarte i oficyalne mówienie o Polsce, choćby zalecane przez najbardziej doświadczonych i wytrawnych ludzi, choćby godzili się na nie ludzie znaczący z różnych części Polski, wydaje nam się niezręcznem i szkodliwem. Dlatego o ile żałujemy, że delegacya nasza w Radzie Państwa nie zabrała w swoim czasie głosu, żeby przemówić ze stanowiska polskiego o sprawie wschodniej, o tyle mamy jej za dobre, że wolała milczeć zupełnie, niż mówić o sprawie polskiej, a tem sobie tylko zjednać popularność, sprawie zaś zaszkodzić. A dodajmy jeszcze i to, że głos taki padający z jakiejś trybuny, mógłby się odbić po świecie echem, ani bardzo wiernem, ani pożądanem. Ludność bywa zwykle gorętszą, mniej rozumującą od swej reprezentacyi; idzie od niej śmielej i dalej, słowa jej przyjmując, najczęściej je o cały ton podnosi, i sądzi, że jeżeli reprezentacya w swojem stanowisku urzędowem mogła tyle powiedzieć lub zrobić, to jej wolno, jej nawet wypada, powiedzieć i zrobić więcej. Czy zatem jakieś przemówienie w kwestyi polskiej urzędowe lub legalne nie posłużyłoby czasem komu za dowód, że trzeba w niej i nieurzędownie i nielegalnie działać; czy nie byłoby w tym duchu wytłómaczonem i wyzyskanem przez takich (a tacy zawsze być muszą), którzy tajnego działania pragną i potrzebują jak powietrza? I to także przedmiot do namysłu.

Ze wszystkiego zaś najgorsze byłoby to, co ze zdumieniem wyczytaliśmy niedawno w *Dzienniku Poznańskim,* a na co niedawno zwrócił uwagę *Czas* w wybornym artykule, do którego przystępujemy zupełnie.

Dziennik Poznański chce oddać kierunek sprawy „mężom zaufania, którzy mają porozumieć się między sobą, odezwać się do społeczeństwa; powiedzieć mu, że jest zastęp ludzi, który czuwa i nie opuści chwili, gdy sposobność się nadarzy, do podniesiesienia głośno i jawnie krzywd naszych,“ i wreszcie „w myśl tego głosu pracować. Jak się to stanie, ustanie chaos, a zapanuje jasność i prawda!“ Jak się to stanie, zapanuje organizacya i konspiracya. Ci mężowie zaufania, którzy kierunek spraw muszą objąć sami, bo im go nikt oddać nie może, byliby, choćby powszechnego zaufania najgodniejsi, mężami zaufania własnego, bez mandatu i upoważnienia. Byliby nie jawnymi, jak mówi *Dziennik*, ale ukrytymi, bo przecież żaden z nich głośno nie powie: „oto ja ten i ten jestem mężem zaufania i czuwam;“ żaden nawet imienia swego pod żadną odezwą podpisać nie może. A więc byłaby to władza tajna, a praca tego zastępu musiałaby także być tajną, konspiracyjną. Mężami zaufania kraju są ludzie, których on wybrał i w tym zakresie działania, do którego ich wybrał; wszyscy inni byliby tylko samozwańcami, a ci-sami nawet, gdyby który z nich po za zakresem swoim reprezentacyjnym chciał działać, byliby mężami, zaufania... nadużywającymi. Dziennik powiada, że „o ile wié, poczyniono już praktyczne ku temu kroki,“ a winszuje sobie, że w skutku tego położy się koniec bezprogramowości dzisiejszej.“ Prawda, koniec położy się jej radykalnie i stanowczo, spełnieniem programu... ks. Bismarcka i Rosyi! i pojąć nam trudno, jakim sposobem dziennik wychodzący pod rządem pruskim może tak dalece, tak zupełnie nie znać najbliższego bezpośredniego programu tego rządu względem Polski, i tak na

jego młyn ciągnąć wodę. Jeżeli zaś prawdą jest, co wié *Dziennik* nie my, że „to się już stało“ i jeżeli do tego faktu należą jacy ludzie z Galicyi, to tym powiedzieć musimy, że z drogi legalnego jawnego działania już zeszli, i że jeżeli innych za sobą pociągną, stworzą Polsce stosunek do Austryi taki, jaki jest do Prus i do Rosyi, i sprowadzą „porozumienie“ rzeczywiste... trzech rządów, które będą nad nami *czuwać* i „nie opuszczą chwili do *podniesienia* krzywd naszych“. „Jak się to stanie, ustanie chaos, ustanie mistyfikacya, a zapanuje jasność i prawda“—tylko nie ta, „której nadewszystko pożądamy.“ —„Niechże więc mężowie zaufania chwilę tę jak najprędzej w imię wspólnego dobra“ Prus i Rosyi „zbliżą, a zasłużą się dobrze całemu społeczeństwu naszemu.“

Nie! dość tajnych działań, dość ukrytych rządów czy komitetów, a przyjaciele *Liberi conspiro*, które jest nową formą i dalszym ciągiem *Liberi veto*, niech sobie przypomną, kto tamtego do ostatka bronił, i niech się zastanowią przecie, że dziś z tego znowu tensam ciągnąłby pożytki. Nie! nie czuwać z ukrycia, nie wołać z pod ziemi, nie stawać z boku, ani stawiać się wyżej nad legalną i prawdziwą reprezentacyą kraju, jako władza własnego autoramentu. Że żaden Sejm dzisiejszy nie jest Czteroletnim, to niestety prawda: ale jest Sejmem i jako taki, on jeden jest, on jeden ma prawo mówić i działać, a kto po za nim lub pod nim coś poczyna lub próbuje, ten podobnie jak wtedy wydać może Polskę na nowy rozbiór Fryderykowi Wilhelmowi i Katarzynie.

Nie; tak nie robić, ani się tem dać zbić z toru. Nie mówić zatem o sprawie polskiej, ale tylko o wschod-

niej ze stanowiska polskiego, ale zawsze także z austryackiego: używać wszelkich sił i wpływów na to, aby Austryę powstrzymać od okupacyi, a utrzymać w mądrej neutralności dzisiejszej, kiedy wiemy, a to przecież wiemy, że my do akcyi dla nas korzystnej popchnąć jej nie zdołamy; jeżeli w przyszłości przez swój interes ściśle austryacki będzie zmuszoną do wojny (a przez taki tylko zmuszoną być może), wtedy dopiero podsunąć jej tę myśl, która wtedy byłaby pomocą, ale teraz postrachem i przeszkodą; wtedy wystąpić, ale do tej chwili trzymać się w zupełnym spokoju i milczeniu, w postawie biernej i wyczekującej, jak przez ciąg ubiegłego roku — oto dla nas droga wskazana, prosta i jedyna wiodąca do celu. Jeżeli zaś chwila taka nie przyjdzie i wojna dzisiejsza zostanie do końca ograniczoną i lokalizowaną, to wtedy zwrócić się do spraw wewnętrznych cichych, nieznacznych, ale skutecznych i wyrabiających siły, oto co dla nas Polaków w ogólności, a przedewszystkiem w Galicyi, jest do roboty w najbliższej przyszłości. Że takie zachowanie się bierne, takie milczenie o sprawie wśród okoliczności, które jej wiele obiecywać się zdają, nie jest łatwem, to pewna; kosztuje ono wiele, wymaga wiele zimnej krwi, wiele mocy nad sobą, wiele walki, walki z własnem uczuciem i popędem naprzód, walki ze zdaniem przeciwnem, z powabnemi ale łudzącemi pokusami, które nas nieraz opadać mogą, i wreszcie z ludzkiem mniemaniem, które może podejrzywać, posądzać, oskarżać i potępiać. I na to zadanie, jak na cały nasz trudny zawód, potrzebne nam są te trzy cnoty, na które dostaliśmy upomnienie i błogosławieństwo w tej mowie Piusa IX do Polaków,

o której przepomnieć nie można, kiedy się myśli i mówi o Polsce w r. 1877.

Nie obojętny to dla tej sprawy fakt ta pielgrzymka do Rzymu, to stwierdzenie wobec świata uczuć katolickich Polski ze wszystkich tych jej części, które uczucia te okazywać mogą, ani to wobec świata uroczyste przyjęcie Polaków jako narodu. I w tem pociecha wielka, że lud wiejski zebrał się tam tak licznie, a zachował tak poważnie, że zwrócił na siebie uwagę i zyskał poważanie cudzoziemców. Pierwszy to raz podobno był on zagranicą tak tłumnie, i pierwszy raz nie w charakterze przybranym żołnierza lub deputowanego, ale poprostu jako taki, jako chłop polski. Że z Poznania i z pod Krakowa lub Lwowa, on, który o sobie mało zapewne słyszał, nie zapomniał się przecie, ale się wzajemnie szukał, poznał i po bratersku przywitał; zwłaszcza, że był tam z własnego popędu i halicki Rusin gwałtem ogłaszany za Rosyanina, a przerabiany podstępem na syzmatyka, to wszystko jest więcej jak miłe, bo szczęśliwe. A nie omyli nas podobno nadzieja, że ta przez wielu źle widziana katolicka (jak nazywano) demonstracya, i pod względem patryotycznym nie pozostanie bez znaczenia i wpływu. Chłop, który był przez Papieża przyjętym i pobłogosławionym jako Polak, musiał, jeżeli jej nie miał przedtem, nabrać przez wrażenie świadomości swojej narodowej istności i odrębności. Chłop, który słyszał o prześladowaniu i ucisku nie od Polaka i pana, ale od widomej głowy Kościoła, pomyśli i uwierzy, że musi być coś prawdy w tem co czują i mówią panowie i Polacy: a kiedy słyszał i widział Papieża błogosławiącego całą Polskę, to się zastanowi i zrozumie, że i ta Polaka musi być błogosławieństwa Bożego warta.

Wrażenia swojej audyencyi u Papieża oni nie zapomną, podadzą je tradycyjnie pokoleniom, a było ich tam wielu i z różnych stron, tak że wrażenie rozejdzie się szeroko. Czy zrozumieli całą wartość i myśl błogosławieństwa danego *całemu Królestwu Polskiemu?* tknąć ich przecież ona musiała, bo czują i pamiętają, że kraje, które zamieszkują są tylko częściami, a przypomnienie całości z takich ust, mogło wywołać zdziwienie i wrażenie w niejednej głowie i w niejednem sercu: oby w wielu głowach więcej oświeconych także, i w wielu sercach mniej prostych. Bo to imie „całego Królestwa Polskiego“ nie wymówione nigdy głośno w całym świecie od lat ośmiudziesiąt, rzucone w świat z wysokości tego nadświeckiego tronu, zabrzmiało takim dźwiękiem i zagrzmiało taką siłą, jak żeby to słowo, wymazane, zagładzone na ziemi, zapisane było w niebie; a słowa, które ztamtąd zstępują, stają się ciałem.

Dla nas to nowy dowód, nowe upomnienie, nowy zakład, że jest zasada wyższa, jest podpora, jest droga pewniejsza od wszystkich polityk lepszych czy gorszych, mędrszych, czy nieroztropnych, to Bóg i wiara i Kościół: to być zawsze i wiernie tam gdzie jest *via et veritas et vita.*

Ale żeby wrócić do tych cnót zaleconych Polakom, *stałości* potrzebują wszyscy, zawsze i wszędzie; *cierpliwości*, ci, którzy cierpią, zatem najmniej Polacy w Galicyi; a *odwagi*, tej odwagi moralnej, której różne są rodzaje i stopnie, potrzebują wszędzie innej, stósownie do swego szczególnego położenia. Jedni potrzebują jej żeby wytrwać bądźcobądź, nie dać za wygraną, nie zwątpić: inni żeby się opierać różnego rodzaju zewnętrznym lub wewnętrznym pokusom. I ten rodzaj odwagi,

który polega w tem, żeby miary i zimnej krwi (przy sercu gorącem) nie stracić, żeby o ludzkie sądy nie dbać zanadto, żeby zostać w spokoju kiedy tego potrzeba, a gorliwością zbyteczną sprawy nie narazić, ten ten rodzaj odwagi potrzebny jest dziś szczególnie, może wyłącznie, Polakom w Galicyi.

Nie jest to odwaga najłatwiejsza. Znany i piękny medalowy napis „*sapere auso*“ dowodzi, że zdaniem dawnych ludzi trzeba było śmiało odważyć się na to, by być mądrym. Daj nam Boże ten warunek, odwagę, i ten skutek, mądrość. Nie tę którą wychwalał niesłusznie Napoleon III, kiedy mawiał *inertia sapientia*, *inertia* to zawsze *ineptia;* ale tę, która jest „spokojnością wśród burz niepokoju“. Bo jeżeli spokojność jest prawie zawsze największą siłą, to są chwile, że dla narodów jak dla ludzi jest największą mądrością, nawet największą zręcznością. A wtedy staje się „w zamęcie miarą, i strojem w rozstroju“.

PO KONGRESIE BERLIŃSKIM.

Artykuł ten, jak poprzedni, w znacznej części przedawniony i bez znaczenia, mógł przecie zachować niejaką wartość jako świadectwo czasu, jako wiadomość historyczna o ówczesnych staraniach, i wreszcie jako wyraz tej politycznej dążności i zasady, której trzymała się stale pewna liczba ludzi w Galicyi, jak w innych częściach Polski.

Dzieło dokonane, pokój zawarty. Posłowie wszystkich państw europejskich wracają z oliwnemi rószczkami i zwiastują, że korab biegle sterowany, wydobył się szczęśliwie z rozbujałych fluktów i spoczął na Araracie. *Nunc plaudite!* i w inną stronę odwróćcie oczy widzowie, rozejdźcie się do domów, do swoich zatrudnień, bezpieczni i pewni, że ich wam nic nie przerwie; możecie spać spokojnie, macie pokój.

Widzowie słyszą tę dobrą wieść z radością, wychodzą, oglądają się dokoła, a widząc wody potopu uciszone, gotowiby gałęzie palmowe rzucać pod nogi tym, co wracają z oliwnemi w dłoni... tylko rozglądając się wszędzie, jednego dojrzeć nie mogą — tęczy, znaku przymierza pomiędzy niebem a ziemią, obietnicy, że potop nie wróci, że się skończył naprawdę, i smutni, niedowierzający, zwieszają głowy i ręce, a zamiast tryumfalnych peanów na cześć pokoju i pokojodawców, niespokojnie witają ich pytaniem, czy potop nie stał się przypadkiem na długo regularnym ruchem oceanu, który teraz odpłynął tylko nakrótko, żeby za chwilę groźniej, z silniejszym nawałem powrócić?

Te letnie miesiące, poświęcone zwykle słodkim wczasom naszych europejskich dyplomatów, jak żeby chciały odbić się za rolę podrzędną, jaką zwykle grają w akcyach politycznych, w tej sprawie tureckiej zapi-

sują się ważnemi wypadkami, oznaczają zwroty, zamykają jedne a otwierają nowe stadya i fazy. Akcya zaś, jak żeby przez starego klasyka układana, tak jest regularna i porządna, że każdy jej akt jest prawie równie długi. Przed dwoma laty, po Bułgarsko-Hercogowińskim prologu, zaczęła w tych miesiącach właśnie wychodzić na jaw zdawna przygotowana interwencya rosyjska, zaczynał się akt pierwszy, expozycya dramatu. Przed rokiem wojska rosyjskie były za Dunajem i dążyły właśnie ku Bałkanom, ku tej Plewnie, gdzie spotkać się miały z przeszkodami tak niespodzianemi, z niebezpieczeństwami tak strasznemi; to był początek aktu drugiego. A jego sceny rozmaite, zmienne, dramatyczne, jak rzadko w historyi i w dramacie, to naprzód klęski rosyjskie i zguba tak bliska, tak wisząca na włosku, że ktoby był ten włos zerwał, musiałby tę zgubę sprowadzić. Potem zmienia się postać rzeczy. Rosya, jak niegdyś za Piotra nad Prutem, wychodzi cało z niebezpieczeństwa, ale nie przestaje na tem, jak niegdyś za Piotra, tylko idzie naprzód, a w tym pochodzie, w którym zasługi i energii wojska zaprzeczyć wcale nie myślimy, ma tyle szczęścia, że wszystkie miejsca obronne, wszystkie niezdobyte twierdze, łatwo jakoś wpadają jej w ręce. I idzie szybko, śmiało ku spełnieniu dawnych marzeń, posuwa się na Stambuł, i kiedy widzi zdala migający na Sofijskim meczecie półksiężyc, mówi sobie: „niech się ucieszy, to jego dni ostatnie, jeszcze chwila, a zatkniemy na jego miejscu podwójny krzyż prawosławny“.

Wtedy świat się wzruszył; przestraszył o wszystkie swoje interesa na lądach i morzach, wtedy nowa scena negocyacyi, not, zastrzeżeń, warunków, gróźb,

wszystko w obronie Turcyi i zagrożonej europejskiej równowagi. Toczą się układy o konferencye, o przedkonferencye, Rosya je prowadzi chętnie, zgodnie, cierpliwie, ale w pochodzie wojskowym i dyplomatycznym nie staje, tylko w samym wirze tych konferencyjnych układów ogłasza światu swój z Turcyą zawarty traktat w San Stefano.

Jest więc u celu, wygrała! Turcya jeżeli niezupełnie jeszcze do niej należy, to zależy już od niej zupełnie. Legendowy a prawdziwy, choćby był wymyślonym, testament Piotra stał się rzeczywistością, Rosya panuje nad Wschodem, niebawem zapanuje nad światem.

A w tej chwili, kiedy zdaje się być u szczytu marzeń swoich i celów, nowa zmiana, nowe niebezpieczeństwo — śmiertelne; włos, na którym wisiała zguba, zaczyna się rwać. Naprzeciw armii rosyjskiej pod San Stefano stoi w Bosforze angielska eskadra, z Indyj płyną angielskie wojska. Stary lew albioński, który zbyt napasiony zasnął był leniwo, przebudził się przecie, przypomniał sobie, że jest lwem, i ryknął aż wszystko zadrżało. Jak w każdym calu króla Leara, tak w każdem słowie ówczesnego okólnika lorda Salisbury, znać było króla i lwa, który sobie panowania wydrzeć nieda, ale nieda ruszyć i prawa drugich. Od tego jest królem i lwem, żeby przestrzegał honoru i słowa i poprzysiężonych układów, żeby było jakieś prawo na świecie.

A wtedy dla Rosyi co? albo upokorzenie niewidziane i niesłychane, rozdarcie własną ręką traktatu z San Stefano, wyrzeczenie się tego celu upragnionego od wieku, tak bliskiego: — albo wojna. Wojna? jak? bez pieniędzy? z armią wycieńczoną marszami, zdziesiątkowaną bojem i chorobą? z armią, górami i morzami od-

dzieloną od własnego kraju? z armią, na którą teraz rzuci się ośmielony Turek, której w pomoc nikt nie przyjdzie, która morzem nie wróci, której na lądzie odwrót przeciąć może świeża, niezmęczona, niegłodna, zdrowa i wielka armia austryacka? Walka, jaka się wtedy odbyła w myślach i w uczuciach tych ludzi, co składają rząd rosyjski, walka między namiętnością, między tą rosyjską wściekłością panowania i dumy a rozumem i koniecznością, musiała być straszną. Z podobnej ale mniejszej nierównie, wyszedł niegdyś cesarz Mikołaj śmiercią; jego syn ugiął się pod ciężarem konieczności, i najdroższym z kosztów, upokorzeniem, okupił przyszłość. Traktat z San Stefano cały, jak był, zgodziła się Rosya poddać pod rozsądzenie Państw europejskich, czyli zgodziła się z góry na jego rozdarcie. Pod tym jedynie warunkiem zejść się mógł ten kongres, który podpisał nowy pokój Berliński, a który dziś skończony, zamknął akt drugi tego wielkiego historycznego dramatu.

A kiedy kortyna zapadła i między aktem tylko co skończonym a następnym zajdzie jakaś przerwa trwająca cokolwiek dłużej, skorzystajmy z tej chwili wytchnienia, żeby spojrzeć dokoła siebie i pomiarkować, gdzie jesteśmy. Zrobiło tak pismo nasze przed dwoma laty, zrobiło przed rokiem; dziś chwila niemniej ważna, warto i dziś przypomnieć sobie, co się przez ten rok zrobiło, pomyśleć o tem, co się w przyszłości stać może lub robić wypadnie.

I.

Nikt się nie zdziwi, jeżeli pomiędzy wspomnieniami naszych najświeższych dziejów, pierwsze poświę-

cimy w hołdzie czci i żalu pamięci Piusa IX. Było wielu w ciągu wieków Papieży wielkich i świętych, nie było nigdy żadnego, któryby dla nas był tak dobrym. Że żal po tej stracie był powszechnym, a chęć uwiecznienia tej pamięci stałą i gorącą, dowodzi choćby tylko myśl tak skwapliwie przez ogół przyjęta i urzeczywistniona, postawienia zmarłemu Ojcu chrześciaństwa a miłościwemu Ojcu naszego narodu, pomnika pośród naszych bohaterów i dobroczyńców. Katolicką demonstracyą chcą niektórzy zamiar ten nazywać. Prawda, że manifestują się w nim uczucia katolickie, ale niemniej od nich i polska wdzięczność.

Jakim był Pius IX dla Kościoła, jakim dla nas, nie tu czas i miejsce wspominać. Ale jak za niego i przez niego podniosła się powaga Kościoła i miłość jego w całym świecie, to można było poznać przy jego śmierci i obiorze jego następcy. Kiedy Pius IX wstępował na tron, komu, prócz duchownych może, przyszło do głowy pośpieszyć do Rzymu z hołdem i przyrzeczeniem wierności i posłuszeństwa? Leon XIII miał takich hołdów i przyrzeczeń tyle, ile krajów, ile narodów na świecie. Albo kiedy śmierć papieża tak wzruszyła cały świat do żywego? Nie śmierć Grzegorza XVI, ani Leona XII, ani Piusa VII nawet, choć był tak świątobliwy i czczony, ani Piusa VI, choć umierał na wygnaniu. Trzebaby gdzieś sięgnąć daleko po za reformę Lutra, po za wiek XV może, żeby znaleźć taką powagę, taki urok Kościoła i papiestwa, a ten zewnętrzny znak jest oczywistym skutkiem i dowodem wewnętrznego ich podniesienia.

Że u nas wiara i przywiązanie do Kościoła wzmogły się w ciągu tych lat trzydziestu, nietyle może

co we Francyi lub w Anglii, ale bardzo, że zwłaszcza utrwaliły się stałe przekonania katolickie i odwaga w ich wyznaniu, na to znowu znajdujemy dowody przy śmierci ostatniego a wstąpieniu na stolicę dzisiejszego papieża. U nas także nikt nie myślał o powitaniu Piusa IX; złożyć hołd Leonowi XIII, wydało nam się rzeczą tak naturalną, że nietylko nikt jej się nie dziwił, ani nie sprzeciwiał, ale każdy do niej należał, nawet ludzie, których katolickie uczucia i przekonania uchodziły za wątpliwe lub chłodne. A jeżeli w adresach do Piusa IX było naturalnie bardzo wiele osobistej wdzięczności dla jedynego w Europie obrońcy Polski, to jego następca, poczynający zaledwo, uczuć takich budzić nie mógł, i adres do Leona XIII był czysto wyrazem wierności i czci dla Kościoła i jego Głowy.

Adres ten niech będzie pierwszym polskim czynem, o którym dziś wspomnimy. A mówiąc o nim, zapiszmy to z pociechą, że podpisały go i przez reprezentantów swoich złożyły wszystkie części Polski, które zrobić to mogły, i że inicyatywę tego kroku, jak i moralne przodownictwo w deputacyi polskiej wzięła ta część naszej Ojczyzny, której to z wieku i z urzędu należało, historycznie i religijnie najstarsza, a między dyecezyami polskiemi przedniejsza jako dyecezya Prymasa, Wielkopolska. Tak rzadko mamy sposobność występować z nią razem i ustępować jej kroku jako starszej siostrze, ona w swojem nieszczęśliwem położeniu tak rzadko może zrobić coś więcej nad powtarzanie tychsamych zawsze protestów, że zrobić coś z nią razem i widzieć ją na czele, było dziwnie miłem uczuciem.

Adres w imieniu wszystkich składał hołd, a prosił dla wszystkich, dla niepodpisanych także, dla tych może

zwłaszcza, o błogosławieństwo i opiekę. Błogosławieństwo było udzielonem w słowach bardzo łaskawych i ojcowskich, a opieka już dziś jest widoczną. I wielkie to szczęście wiedzieć, że następca Piusa IX, *in modo* może od niego *suavior,* choć niemniej *fortis in re,* sprawy Kościoła polskiego wziął do serca odrazu i gorąco. Te podobno przed innemi, które najpilniej, najgwałtowniej opieki jego potrzebują, sprawy Kościoła unickiego w Galicyi i opróżnionych dyecezyj. Niech mu a nam przez niego Bóg szczęści, a niech nas jego dziełami coraz więcej i mocniej do wiary i Kościoła swego przywiązuje!

Po tym wstępie aż nadto, sądzimy, usprawiedliwionym i koniecznym, przejdźmy do rzeczy świeckich i politycznych.

Choć nie tak ciężki i stanowczy, jak Rosya lub Turcya, przebyliśmy zawsze przecież rok ważny. Nie chodziło nam, jak państwom wojującym, o być albo niebyć, ani się dla nas wypadki nie obracały tak groźnie, jak dla innych niewojujących, którym ważyły się szale przyszłości, a bodaj czy i nie przeważyły się stanowczo. Mogliśmy mieć wiele do zyskania w tej wojnie, mieliśmy i mamy zawsze coś do stracenia; ale jak w najlepszym razie nie mogła ona wrócić nam niepodległości, tak w najgorszym razie nie mogła nam odebrać tego zasobu życia, jaki rzeczywiście mamy. Chodziło nam więc o to głównie, żeby raz nie narazić na szwank tego co mamy, a powtóre, żeby nie przeszkodzić okolicznościom, z których dałyby się ciągnąć korzyści. Sfera naszych nadziei, jak naszych działań, była zatem dość ciasna: nie mogliśmy, choćbyśmy nawet byli chcieli, postawić wszystkiego na tę jednę kartę, jak zrobiła

Rumunia, Serbia, a nawet Rosya: ani też zrobić jak Austrya, która należąc do gry, nic na tę kartę postawić nie chciała. Przecież byliśmy w grze, jak cichy spólnik, który jednemu z przeciwników pomaga całą siłą swoich życzeń, a w danej chwili może być wezwanym, żeby pomógł czynnie, kieszenią, radą, wszystkiem co ma, i chwili tego wezwania czekaliśmy spokojnie napozór, z bijącem sercem, z pałającemi pulsami naprawdę. Były też i dla nas, choć nieaktorów niby, chwile dramatyczne w ciągu tej akcyi, a ta rola cicha miała swoje kolizye i walki niedostrzeżone dla widza, trudne i bolesne dla aktora. Trzeba było wytrzymać spokojnie pierwszą chwilę niepowodzeń rosyjskich i czekać, czy nie znajdzie się taki, ktoby z nich skorzystać zechciał lub potrafił; potem trzeba było zgryźć gorycz zawodu, kiedy ta chwila przeszła a ten ktoś się nie znalazł; dalej jeszcze trzeba było widzieć zwycięzki pochód Rosyi aż pod Stambuł i przewidywać, jak się nasze położenie zmienić może od kiedy ona została panią Wschodu; i jeszcze raz widzieć ją na samym brzegu przepaści, być już prawie pewnym, że w nią wleci a z niej nie wyjdzie, widzieć ją po takiej wojnie podejmującą drugą wojnę gorszą, z Anglią, może i z Austryą, — i jeszcze raz ujrzeć ją uratowaną! a swoje widoki i rachuby, na których te się opierały, przewróconemi, to był nasz los w ubiegłym roku, to wrażenia, które spadały na nas po kolei. Mieliśmy więc także swoje walki i trudy, swoje chwile jaśniejsze i ponure, i swoje zadanie, które choć niegłośne ani widoczne, dla nas było ważnem i wielkiem, a nie było łatwem.

Jakeśmy je spełnili? Z czystem sumieniem możemy podobno przyznać sobie, że wziąwszy wszystko

razem spełniliśmy je dobrze. Dokładny obrachunek z ubiegłego roku wykazuje, że nie utraciliśmy nic, nic nie narazili, i nic nie zaniedbali z tego, co nam zrobić należało. Dla ludzi, którzy pod karą śmierci nie mogą sobie pozwolić ani jednego błędnego kroku, jak mówił niegdyś pan Thiers o rządach cesarskich we Francyi, nie popełnić błędu, to już jest rzecz bardzo dobra. A ta zasługa ujemna czy bierna, musiała oczywiście być podszytą czy podpartą zasługą dodatnią i czynną rozumnego postępowania. To zaś jest już zyskiem, zarobkiem, zadatkiem korzyści dalszych. Czy je osiągniemy, to już nie od nas samych zależy, ale możemy pomału nabierać tego o sobie przekonania, że skoro uczymy się postępowanie swoje do okoliczności stósować, to nauczymy się także z pomyślnych okoliczności korzystać, jeżeli się nam takie nadarzą. Nietylko więc niema żadnej straty, ale jest nabytek, którego lekceważyć nie można, bo jest rzeczywisty i większy, niż się napozór wydaje, ten mianowicie, żeśmy rozumowali logicznie a działali rozumnie, i że do swojego politycznego zmysłu i wykształcenia mogliśmy nabrać niejakiej ufności.

Naszem zadaniem wobec wojny rosyjsko-tureckiej, która tak łatwo mogła była i była powinna przejść w rosyjsko-austryacką i powszechną, było: naprzód nie odzywać się i nie wyrywać z kwestyą polską, żeby nikogo nie spłoszyć, ale czekać, aż się z wojny tureckiej wywiąże austryacka lub powszechna, a z kwestyi wschodniej polska, jako jedyny dla nieprzyjaciół Rosyi środek stanowczego zwycięztwa. Z tego wynikał obowiązek drugi, którym było, robić co tylko w naszej mocy, żeby Austryą postawić w możności prowadzenia

wojny, i znowu ile w naszej mocy otwierać jej oczy, przekonywać ją, że od takiej wojny zawisło jej bezpieczeństwo, jej przyszłość, może i sam jej byt. Przed rokiem roztrząsając warunki naszego położenia wobec sprawy wschodniej, pisano na temsamem miejscu, że „drogą dla nas wskazaną, prostą i jedyną, wiodącą do celu, jest trzymać się w postaci biernej i wyczekującej; nie mówić o sprawie polskiej, ale o wschodniej tylko, z polskiego także, ale głównie z austryackiego stanowiska. Jeżeli nie możemy popchnąć Austryi do akcyi dla nas pożądanej, to używać wszelkich sił i wpływów na to, żeby przynajmniej powstrzymać ją od akcyi dla niej samej i dla nas szkodliwej (okupacyi Bośnii i Hercogowiny). A jeżeli w przyszłości ona przez swój interes ściśle austryacki, będzie do wojny zmuszoną (a tylko przez taki zmuszoną do niej być może), wtedy dopiero wystąpić z myślą, która w takim razie byłaby pomocą, ale dziś jeszcze postrachem i przeszkodą. Jeżeli zaś chwila taka nie przyjdzie, to wtedy zwrócić się do spraw wewnętrznych, cichych, nieznacznych, ale skutecznych i wyrabiających siły.“

Nie stało się to oczywiście niczyim w szczególności, a najmniej tego pisma wpływem i zasługą, ale stało się rzeczywiście, że słowa powyżse były jak żeby zapowiedzią i streszczeniem naszych działań i dziejów w ciągu ostatniej wojny. Nie zrobiło się nic, żeby rządy i gabinety sprawą polską spłoszyć i od wojny odstraszyć, nie zaniedbało się nic, żeby je o konieczności wojny przekonać i środków do niej dostarczyć. Czyja w tem zasługa? Oczywiście tych, którzy, jedni z urzędu i głośno o sprawach tych mówić mogli; a że wszystko, co się mówi w Berlinie, jest rzucaniem grochu na ścianę,

salwowaniem *animae suae*, a wpływu i skutku dziś mieć nie może, przeto punkt ciężkości wystąpień polskich w sprawie wschodniej był w Wiedniu, a zasługa wystąpień mądrych i politycznych należy się posłom galicyjskim. Że wystąpienia ich nie odniosły takiego skutku, jak przy zdrowej logice i dobrej polityce odnieść były powinny, za to odpowiedzialność nie spada już na nich, ani na nas Polaków w ogólności. My możemy sobie oddać tę sprawiedliwość, żeśmy nie zaniedbali nic potrzebnego, i nic, przynajmniej prawie nic niepotrzebnego, nie zrobili.

Mówimy *prawie*, bo niepodobna jest ludziom, a dopieroż w działaniu zbiorowem, a zwłaszcza w okolicznościach tak trudnych, tak naprężających uczucia i wyobraźnie, ustrzedz się drobnych pomyłek. Chodzi tylko o to, żeby one były drobnemi, a na czas rychło naprawione nie wywierały złego wpływu. Nie można się też dziwić, że pod wpływem klęsk rosyjskich pod Plewną w sierpniu roku zeszłego, przeszedł po nas jakiś rozkoszny dreszcz oczekiwania, któreto oczekiwanie w umysłach mniej rozważnych przybrało formę ustalającej się nadziei. Temu raczej się dziwić, i to słusznie w stanie czynnym naszej sprawy zapisać można, że nawet w owej chwili i pod wpływem tych wieści próby spisków i tajnych organizacyj były tak słabe, tak mało ponętne i skuteczne. Kilka zaledwie, i to policyjnych kilkodniowych aresztowań, to dowód dostateczny, że rzecz była błaha, ograniczona, między ogółem ani zakorzeniona, ani szeroko rozpostarta. My więc, Polska, ani Galicya, nie pobłądziliśmy w tym względzie. Nowym zaś, a ważniejszym jeszcze dowodem faktu, o którym mówimy, były zaszłe ubiegłej wiosny aresztowa-

nia warszawskie. Policya zaniepokojona jakimś małym ulicznym wybrykiem, zaczęła przetrząsać papiery młodych ludzi, głównie uczniów uniwersytetu. Napadła wtedy na dwa gatunki spisku. Jeden był nihilistyczny, kierowany z Moskwy czy z Kijowa. Ten mógłby rządowi rosyjskiemu dać do myślenia, pokazać mu, czem się staje Polak, któremu Polakiem być nie dają, a który wtedy, zwątpiwszy we wszystko, robi krzyżyk na Polskę jak na rzecz straconą i niemożliwą. Drugi spisek był polski, patryotyczny, formami i duchem podobny do organizacyi z roku 1863. Ten doprowadził do aresztowania pięciu wszystkiego, czy sześciu osób; aresztowani zaś, w opinii całej Warszawy, w kołach najbardziej patryotycznych, nawet jeżeli dla większej powagi dodać to trzeba najmniej arystokratycznych, aresztowani mówię, w opinii tej uchodzili za ludzi szanownych, bo poświęcających się, ale bynajmniej nie za hohaterów, nie za zbawców. Za obałamuconych i szkodliwych, którym należy się współczucie kiedy cierpią, ale opór kiedy chcą działać. Takie więc pojęcie naszych obowiązków i działania, rozszerza się widocznie i staje coraz bardziej gruntownem przekonaniem. Że ci, którzy w tym rodzaju błądzą zawsze, może nie sercem, jak mówi pismo, ale rozumem, w tym razie błądzić musieli, to rzecz tak naturalna, że mówić o niej zbytecznie.

Jako pomyłkę dalej wspomnieć musimy i zeszłoroczny adres naszego Sejmu. Że nie mógł nie być, że będąc, nie mógł nie dać satysfakcyi naszemu uczuciu i sprawy wschodniej wcale nie dotknąć, to przyznajemy zupełnie. Że dotykając jej, mówił o polityce zagranicznej, o Rosyi tak wyraźnie, iż rząd zmuszony właśnie

podówczas do największej ostrożności, wolał zamknąć sesyą, niż dopuścić do dyskusyi i uchwały, tego żałujemy, bo ze względu polityki jak godności, źle jest, kiedy reprezentacya kraju naraża się na upomnienia, które bez odpowiedzi znieść musi. Pomyłka ta, choć w praktyce złych skutków nie miała, była przecież rzeczywistą pomyłką. Naprawiła ją szczęściem delegacya polska w Radzie państwa. Szła ona po wązkiej ścieżce między dwiema przepaściami. W jednę wpaść musiał, ktoby był milczał: w drugą ten, ktoby mówił porywczo, z zadowoleniem własnego uczucia a szkodą rzeczy. Delegacya umiała iść tak, że ze ścieżki krokiem nie zboczyła, że jej się, rzec można, noga nie pośliznęła.

Gdyby nam chodziło o przypomnienie wszystkich prac i zasług delegacyi w ubiegłym roku, a nie o jedno tylko jej zachowanie się w stosunku do polityki zagranicznej, mielibyśmy do zapisania wiele walk, wiele trudów, wiele słów mądrych i wiele patryotycznej zasługi. W pierwszym rzędzie trzebaby w takim razie wymienić i opowiedzieć wszystkie zabiegi i wszystkie przemówienia pana Kornela Krzeczunowicza w sprawach podatkowych (opodatkowanie Towarzystw akcyjnych, podatek rentowy, nowella do regulacyi podatku gruntowego, nowy wymiar podatku gruntowego, reforma podatków budynkowych, podatek zarobkowy etc. etc.). Prawdziwa to regularna kampania prowadzona z wytrwałością rozpaczliwą, z namiętnem przywiązaniem do dobra kraju, ze znajomością rzeczy, która nawet przeciwnikom imponuje, a czasem nawet, pomimo ich złej wiary i zawiści, wygrywa, jeżeli nie całą wojnę, to przynajmniej jedną utarczkę lub nawet bitwę.

Ale zajęci jedynie polityczną stroną działania delegacyi, pominąć musimy wszystko, co się odnosiło do spraw wewnętrznych Austryi, przestając mimo chęci na wzmiance i na jednym wyrazie uznania i wdzięczności.

Jest przecież jedna sprawa wewnętrzna, a jednak jakoby międzynarodowa, bo jest paktem między udzielnem *przedlitawskiem* i udzielnem *zalitawskiem* państwem, to sprawa ugody finansowej z Węgrami. Termin układu wyszedł w roku zeszłym, i trzeba było odnowić go lub innym zastąpić. W jakich okolicznościach? Wobec wojny wschodniej, która dotykała wszystkich najżywotniejszych interesów Austryi, i każdej chwili mogła ją zmusić do chwycenia za broń w obronie tych interesów, przyszłości, nieledwie bytu państwa, a z pewnością bytu jego jako mocarstwa. I w takiej chwili znaleźć się wobec wewnętrznego sporu, od którego załatwienia zależeć musi wszelka możność, swoboda i gotowość działania! Komu zależeć mogło na tem, żeby Austryą w tym stanie niepewności, niegotowości, niemożności postanowień i działań utrzymywać jak najdłużej? Może nie samej tylko Rosyi. Dość, że patryotyzm i zmysł polityczny niektórych w Radzie państwa stronnictw, kazał im właśnie nie coprędzej, choćby tymczasowo, ugodę zawrzeć, choćby niekorzystnie, byle państwu rozwiązać ręce wobec zewnętrznych zawikłań, ale owszem spierać się, targować, i zawarcie układu przeciągać w nieskończoność. A tymczasem Rosya szła na Konstantynopol, a tymczasem zawierała ten traktat w San Stefano, na który Austrya przystać nie mogła, nie przystając, mogła lada dzień znaleźć się w wojnie. Na ten patryotyzm niektórych Niemców trzeba było rady, trzeba było koniecznie głosów, żeby dojść

do jakiejś w Radzie państwa większości. A wtedy, jak przed dwustu laty, jak nieraz w parlamentarnych kłopotach, Austrya uciekła się do polskiej pamocy. Sobieski pomógł. Ale, jak niegdyś bez niego, tak dziś bez jego potomków Austrya mogła była znaleźć się w położeniu dość trudnem. Tę rolę naszych posłów w sprawie ugody z Węgrami możemy im i sobie w ogólności mieć za zasługę. Była ona znowu spełnieniem jednego z warunków naszego położenia, tego mianowicie, żeby wiernie bronić interesów Austryi, i o ile to w naszej mocy, postawić ją w możności prowadzenia wojny. Austrya jej prowadzić nie chciała, to już nie nasza wina: ona powinna była iść na wojnę, my wojnę ułatwić. My zrobiliśmy co do nas należało, żeby jej i siebie bronić. A zapisać też warto, że cesarz Franciszek Józef, wdzięczniejszy od swego przodka Leopolda, uznał tę stałość i wierność polskiej pomocy, której nieraz już doświadczył. Prezesowi Koła polskiego panu Kaźmierzowi Grocholskiemu, nadał godność, jednę z najwyższych, jakie w Austryi są do rozdania, godność tajnego radcy. Niezawodnie wyszczególnienie to odnosiło się i do osoby dawnego ministra, i do jego zasług cesarzowi dobrze znanych. Ale okoliczność, że nastąpiło to teraz właśnie, dowodzi, że cesarz nie samego tylko pana Grocholskiego miał na myśli, ale chciał tym sposobem wyrazić uznanie zachowania delegacyi i jej polityki, której prezes Koła jest urzędowym reprezentantem i głównym przewodnikiem.

Ale dostarczyć rządowi środków do prowadzenia wojny, to jeszcze nie wszystko; było zadanie drugie, niemniej ważne: otwierać mu oczy, przekonywać go, że wojnę prowadzić powinien, nie już dla polskich,

ale dla swoich własnych ściśle austryackich celów i interesów.

Słowo *wojna* wypowiedzianem oczywiście być nie mogło, ale wszystko co było potrzebnem i możliwem do powiedzenia, to Rząd austryacki od Polaków usłyszał. Pierwszym takim ich krokiem ważnym (a oczywiście mówić tu możemy o najbardziej znaczących tylko), była interpellacya, podpisana przez wszystkich członków koła, złożona przez pana Grocholskiego na 344-tem posiedzeniu Izby, w dniu 22 lutego. Tekst jej, jako ważny historyczny dokument, podajemy w przypiskach, tu zaś zamiast ją oceniać, wolimy przytoczyć i czytelnikom naszym przypomnieć piękne słowa, które z tego powodu pisał *Czas* z dnia 24 lutego b. r. (Nr. 46).

„Odezwanie się wczorajsze posłów naszych w Radzie Państwa, jest i pozostanie dla nas doniosłym faktem historycznym. Interpellacya delegacyi naszej jest tak znakomicie obmyślaną, tak na czasie postawioną, że nietylko w kraju naszym, ale ze strony całego narodu polskiego wywoła jednogłośny szczery oklask. Nigdy może reprezentacya nasza nie wzniosła się tak wysoko dlatego właśnie, że z trudnego zadania wywiązała się mówiąc tylko prawdę. Nie dozwoliła ona, aby dziejowe wypadki minęły bez podniesienia sprawy narodu polskiego, ale postawiła ją stosownie do obecnego położenia, bez złudzeń. Delegacya nasza zachowała potrzebną miarę, nic nie pominęła, ale też nie dała się porwać po za granice nakreślone rozumem politycznym. Interpellacya postawiona wczoraj, jest arcydziełem, jest stre szczeniem ogólnie polskiego programu i polskiego rozumu stanu, który, Bogu niech będą dzięki, nie zginął. Naznacza ona zarazem w szerszem pojęciu związek in-

teresów austryackich z polskiemi; wskazuje doniosłość tego związku.

„Posłowie nasi wznieśli się wysoko, a zarazem oparli się o silną podstawę zasad, przemawiając za narodowemi prawami Słowian półwyspu Bałkańskiego, i żądając uznania tychsamych praw dla Polaków, a wypowiadając jednocześnie niezbite, niezaprzeczone wolne od wszelkiej przesady zdanie o postępowaniu Rosyi z Polakami pod jej berłem.

„Interpellacya wczorajsza zamyka świetnie oskarżenie w wielkim dziejowym procesie, który Polacy mieli prawo wytoczyć i wytoczyli Rosyi, od chwili, jak przemówiła i powołała się na prawa narodowe i na wolność chrześcian tureckich, gnębiąc jednocześnie u siebie Polaków i katolików.

„Największy nieprzyjaciel Polski przyznać musi, że delegacya nasza umiała spełnić powinność nie przekraczając służącego jej prawa. Wypowiedziała ona tylko prawdę. Ktokolwiek zaś czuje po polsku, ten wyrazić jej musi najgłębszą wdzięczność, że tak wzniośle, zacnie a zarazem politycznie podniosła sprawę polską.

„Delegacya spełniła swój obowiązek, następstwa i przyszłość są w ręku Boga.“

Drugie wystąpienie naszych posłów miało miejsce w delegacyach wspólnych, kiedy Rząd po raz pierwszy zażądał kredytu 60 milionów, żeby być na wszelki wypadek gotowym. Pan Grocholski wtedy, wotując za kredytem, powiedział wszystko co miał, cośmy wszyscy mieli na sercu, powiedział, że klucz do zabezpieczenia interesów austryackich, a zatem pomyślnego rozwiąza-

nia kwestyi wschodniej, jest nad Wisłą. Że wypowiedział tylko oczywistą i wielką prawdę, to Austrya zrozumié kiedyś, bodajby nie po czasie, jak my rozumiemy już dawno. Ale czy, jak zaraz wtedy pisano, „wypowiedzenie tej prawdy w dzisiejszej chwili, i przez Polaka, mogło posłużyć do sprowadzenia jej z wyżyn teoryi w dziedzinę rzeczywistości?“ *Czas* znowu słuszną wtedy zrobił uwagę, że mowca sam, skoro z góry ministra od odpowiedzi niejako uwolnił, nadał słowom swoim cechę jakiejś teoretycznej tylko deklaracyi praw i przekonań. Tymczasem prawda w nich zawarta jest rzeczywistą, żywotną i praktyczną. Należało zatem albo właśnie domagać się odpowiedzi, albo, jeżeli się wiedziało, że odpowiedź nastąpić nie może, wstrzymać się z powiedzeniem prawdy, która z jednej strony rzucona, a przez drugą pozostawiona bez odpowiedzi, wydaje się być abstrakcyą tylko albo utopią.

Wreszcie już kongres miał się otwierać: już było rzeczą pewną, że Rosya cofnęła swój traktat z San-Stefano i poddaje warunki jego pod rozsądzenie mocarstw: było więc widocznem, że drugiej wojny z Anglią, z Turcyą, z Austryą może, prowadzić nie chce, nie zdoła, że się wojny boi. Takiego upokorzenia po takim tryumfie, nikt, a zwłaszcza Rosya ze swoją nieograniczoną ambicyą i dumą, nie zniesie, nie zada sobie, jeżeli nie musi. Co ją to kosztowało, to ona jedna wié; a jak to dla niej musiało być koniecznem, to wiedział ten rosyjski dyplomata i mąż stanu, co w ostatniej chwili pośpieszył z Londynu, żeby w Petersburgu otworzyć oczy komu należy, i zdobył tem zrzeczenie się traktatu ze San Stefano, możliwość nowego. Zagorzały patryotyzm rosyjski i wszystkie jego organa miotają się

wściekle na hr. Szuwałowa, oskarżając go o poświęcenie czci i potęgi Rosyi, gotowe niemal oskarżyć go o zdradę. Zanim przyjdzie ten czas, że swoi oddadzą mu sprawiedliwość i zaczną stawiać posągi obok Pożarskich i Rostopczynów, świadkowie najmniej w tej sprawie podejrzani, bo nieprzyjaciele, mogą przyznać, że ocalił Rosyę bardziej, niż Rostopczyn lub Pożarski, a tak jak niegdyś Katarzyna I nad Prutem wyciągnął ją z błota, tylko może jeszcze gorszego. Ale skoro on wrócił z przyzwoleniem swego rządu na ustępstwa, wtedy dla całego świata stało się jasnem jak słońce, że Rosya ustępować musi, że musi koniecznie i gwałtownie potrzebować pokoju, że zatem można od niej żądać wiele, można jej wiele przepisywać i narzucać. Jedno z drugiego wynikało tak logicznie, tak wyraźnie, że każde dziecko byłoby zrozumiało, jak się ma na kongresie zachować.

Austryacko-węgierski minister spraw zagranicznych zdawał się ożywionym najlepszemi nadziejami. Energia i stanowcza wola tryskały z każdego jego słowa i z każdego kroku. Misyą jenerała Ignatiewa, kiedy ten w obawie Anglii próbował przejednać Austryę i przeciągnąć na stronę Rosyi, odepchnął chłodno, niektórzy mówią, że sztywnie. Na wszelki wypadek chciał być gotowym do wojny i zażądał kredytu 60 milionów, który też otrzymał: a kiedy w delegacyach wspólnych zaręczał, że staraniem jego na kongresie będzie „utworzenie trwałego pokoju“ to zdawało się, że innego nie podpisze, a po znanej *genialności* hr. Andrassego, po tym orlim wzroku, który na to tylko spuszcza z uwagi drobne szczegóły, żeby tem szersze obejmował hory-

zonty, można było oczywiście wnosić, że ten mąż stanu wié, co to jest trwały pokój i rozumié jego warunki.

Do tych więc szerokich widoków i genialnych pomysłów ministra mogli odwołać się posłowie, i ze stanowiska nie tak wysoko wzniesionego nad ziemię, nie obejmując może tak rozległych widnokręgów, rozmówić się szczerze i na rozum, i wskazać na tych wielkich przestrzeniach wprawdzie jeden punkt tylko, ale punkt środkowy austryackiej polityki i przyszłości. Chwila była ważna, stanowcza, rozstrzygająca może o dalszych losach Austryi. W niewielu dniach miało się pokazać, czy ona zajmie naprawdę przeważne na Wschodzie, a silne w Europie stanowisko, lub też poprzestając na jego pozorach zostanie w tej kolei, po której pcha ją od roku 1870 silniejsza wola i dobrze zrozumiany interes, z austryackim bodajby zawsze zgodny. W takiej chwili i własne dobro i wzgląd na dobro państwa i dynastyi, których byliśmy niezawsze słuchanymi, ale zawsze wiernymi a najczęściej dobrymi doradcami, i sama zgodność ze wszystkiemi naszemi słowami i krokami, nakazywały koniecznie jeszcze raz przemówić.

Stało się to na 12-tem posiedzeniu delegacyj wspólnych, 4 czerwca 1878 r. przy rozprawie nad sprawozdaniem komisyi budżetowej, w mowie p. Dunajewskiego.

Mowa ta, z której żadnego nie przytaczamy wyjątku, bo także jako ważny dokument podajemy ją poniżej w całości, jest doskonałem streszczeniem i polityki, której się posłowie nasi stale trzymali, i ogólnie zapatrywań polskich na położenie i politykę Austryi. Wychodziła ona z tego założenia, że w moc całej swojej historyi i jej koniecznych wyników, Austrya do

niedawnych lat jeszcze miała trzy główne przedmioty czy kierunki polityki, któremi były Niemcy, Włochy i Wschód. Z tych trzech, ostatniemu, z natury rzeczy, najmniej poświęcała uwagi i starań. Ale odkąd dwa pierwsze ubyły, i zapewne bezpowrotnie, Austrya jeżeli chce i ma zostać mocarstwem, jak ją do tego przeszłość jej i rozległość obowiązuje, musi ze Wschodu zrobić główną oś swojej polityki, jej główny przedmiot, a przez szanowanie i ubezpieczenie prawa wewnątrz i nazewnątrz, przez utrzymanie i rozkrzewienie zasad wolności, przez uznanie ludzkiej godności w ludziach czy w ludach, reprezentować, szerzyć i zasłaniać cywilizacyą zachodnią, i być dziś dla Europy całej tem, czem przed wiekami w początkach swoich miała przeznaczenie być dla państwa niemieckiego wschodnią Marchią, strażnicą i twierdzą europejskiego prawa, porządku i światła na Wschodzie.

W tem zadaniu musi ona oczywiście mieć do walczenia z siłami i interesami państw i ludów wschodnich. Z Rosyą zatem przedewszystkiem, która ich siły, dążności i ducha, skupia w sobie, reprezentuje i kieruje. Zderzenie to konieczne i niebezpieczne, skoro Rosya długą linią graniczną do Austryi przytyka, a żądzami i praktykami swemi obejmuje ją z trzech stron i sięga do samego jądra jej posiadłości, przygotowuje Rosya zdawna i przebiegle przedewszystkiem swoją propagandą religijną, prawosławiem ogłoszonem przez nią za jakąś narodową religię słowiańską, dlatego, że jest państwowym Kościołem rosyjskim i wybornem narzędziem do assymilowania wszystkich plemion słowiańskich, do panslawizmu. Schizma jest dla Rosyi zawsze przednią strażą wojsk napadających i zdobywających, a jak przed

wojną krymską ułatwiła się z Uniją na Litwie, tak teraz nie poszła na Turcyą, dopóki nie wytępiła resztek Unii pod swojem panowaniem na Podlasiu. I nie będzie miała spokoju, dopóki pozostanie ostatni na ziemi ślad jej widomy, Metropolia unicka we Lwowie. Jak w wieku XVI-tym protestantyzm służył książętom Rzeszy za środek do wyłamywania się z pod posłuszeństwa i rozbijania potęgi cesarza, tak dziś inna religia innemu nieprzyjacielowi służy za środek do podkopania i obalenia potęgi i panowania innego Habsburga. Od tego niebezpieczeństwa Austrya musi się bronić. Mowca zaś ma tem większe prawo i obowiązek przestrzegania przed tem niebezpieczeństwem, że jest synem narodu i obywatelem kraju, który dążności tych stał się ofiarą a jest najbliższym świadkiem. Jeżeli Austrya, jak mówi pan Minister spraw zagranicznych, chce i potrzebuje naprawdę trwałego pokoju, to niechże pamięta, że trwałym i prawdziwym może pokój być wtedy tylko, kiedy się usunie powody ustawicznego niepokoju. Powodem niepokoju są zaborcze i panslawistyczne namiętności i dążenia Rosyi: usunąć je, położyć im tamę, można jedynie przez uznanie i przywrócenie praw narodowych Polski. Przypomniawszy jeszcze, że ona niemniej zapewne tych praw ma i jest warta jak Bułgarya lub Czarnogóra, skończył mowca przypomnieniem równie mądrem jak potrzebnem, że do wielkich przedsięwzięć trzeba wielkich poświęceń i zapałów, a te znajdują się i dają tam tylko, gdzie są wielkie myśli, wielkie zasady i wielkie cele.

Nie można było z większą względnością i miarą, ale nie można też było wyraźniej mówić o położeniu Austryi i jego niebezpieczeństwach, jak nie można też

było w tej chwili powiedzieć więcej o prawach i sprawach Polski. Wszystko, do czego nas obowiązywała wierność sobie samym i swojej sprawie, uczciwość względem Austryi, słuszność i uczciwość względem Słowian południowych, rozum polityczny i honor, to, mówione nieraz przez naszych posłów, powtórzone zostało jeszcze raz, ostatni, w stanowczej chwili, w przeddzień kongresu, jak żeby na zapieczętowanie całorocznych czynności politycznych delegacyi. W kilka dni później otwierał się kongres, na którym wedle słów i nadziei swoich pełnomocnik austryacki miał budować „trwały pokój", a wszystkie inne czynności bądź zamknął, bądź na bok i w głąb usunął.

Delegacya galicyjska w wiedeńskiej Radzie Państwa była w tem położeniu, że ona jedna mogła być słuchaną, kiedy mówiła o sprawie wschodniej i o jej związku ze sprawą polską. Posłowie wielkopolscy mogli wprawdzie mówić taksamo, i mówili; ale mówić o polskich prawach lub sprawach w Berlinie, było oczywiście rzeczą próżną, mówieniem dla zaspokojenia sumienia, ale bez żadnego możliwego skutku. Praw tam nie uznają żadnych, oprócz jednego, prawa Prus do wszystkiego i wszystkich; sprawy zaś i interesa nasze z pruskiemi nigdzie się nie schodzą i nie godzą, wszędzie się krzyżują i sprzeciwiają sobie wzajemnie. Wystąpienie zatem Wielkopolan skutku nie mogło tam sprawić żadnego, mogło być tylko uczynieniem zadość narodowemu uczuciu i honorowi, i tem było. W mierze może nawet za wielkiej: bo choć się strzela na wiatr i choć się o tem wie, to zawsze trzeba tak strzelić, jak żeby się do jakiegoś celu mierzyło i w niego trafić chciało i mogło. Pan Komierowski tak dobrze wiedział, że trafić nie

może, iż powiedział sobie: *wszystko jedno,* i mowę swoją tak wysoko wymierzył, że oczywiście nie miał na celu żadnej z tych rzeczy, które dziś dosięgniętemi być mogą, i strzał jego rozległ się w powietrzu, a żaden z berlińskich mężów stanu nawet głowy nie odwrócił i nie schylił z obawy postrzału lub bodaj osmolenia. Wiedzieli dobrze, że nabój pójdzie górą i przeniesie.

W Wiedniu inaczej. Tu tyle jest wspólnych interesów, niebezpieczeństw i nieprzyjaciół, że kto mówi o bezpieczeństwie i przyszłości Austryi, ten o sprawę polską potrącić musi; a może i powinien być zrozumianym, kiedy o niej mówi. Dlatego posłowie galicyjscy mieli prawo spodziewać się, że mówiąc, nie będą rzucali grochu na ścianę, dlatego oni mieli możność, a zatem obowiązek mówienia za wszystkich, dlatego punkt ciężkości politycznego działania polskiego podczas wojny, musiał być w Wiedniu.

Że wszystko co w parlamencie austryackim i jako austryaccy poddani powiedzieć mogli, to powiedzieli, że żądali wszystkiego, czego od austryackiego rządu żądać było można, że co nadto, to byłoby już szkodliwem, bo dając marną satysfakcyą uczuciu, byłoby naraziło praktycznie możliwy skutek, wpływ na postanowienia i politykę Austryi, to rzecz jasna. I istotnie, po tej swojej ostatniej kampanii, delegacya miałaby prawo zapytać nas, kraju (i to nietylko swojej prowincyi) „co jest więcej cobym ci zrobić była powinna, a nie zrobiła.“

A jednak była celem nieustającego i systematycznego prześladowania. Nie można, choćby się chciało, rzucając okiem na nasze dzieje z ostatniego roku, prześlepić lub udać że się nie widzi faktu, który drobny

sam w sobie, jako fakt jest znaczącym i złym jako symptomat. Wojna przeciwko delegacyi, rozpoczęta zaraz w roku 1867, prowadzona raz z mniejszą drugi raz z większą zawziętością, wybuchła w roku ostatnim z podwójną energią. Jak długo chodziło o kwestye konstytucyjne, o ustawy grudniowe, albo o *Rezolucyą*, o taktykę wreszcie, o wyjście z Rady Państwa lub pozostanie w niej, jak długo w łonie delegacyi samej różne były pod tym względem zdania, można było pojąć do pewnego stopnia pewien rodzaj stałej opozycyi przeciw delegacyjnej polityce, choć nigdy nie można było pojąć środków takich, jak oskarżenia o odstępstwo, zdradę, nawet o przekupstwo. Ale dziś, kiedy wiemy wszyscy, że nie jest pora do zmian w konstytucyi austryackiej i jesteśmy zupełnie przygotowani aż do takiej chwili znosić spokojnie stan obecny, kiedy kwestya polityki zagranicznej góruje nad wszystkiem, i kiedy moglibyśmy przecie rozumieć, że ani w austryackiej Radzie Państwa o niepodległości Polski mówić, ani od austryackiego Rządu żądać można, żeby za tę niepodległość bił się z Rosyą i Prusami, dziś skargi i potwarze na delegacyą, nie mają żadnego rzeczywistego powodu ani celu, są opozycyą dla opozycyi, sztuką dla sztuki. Chyba że mają jeden powód i cel ukryty: ten mianowicie, że delegacya jest reprezentacyą kraju jawną i prawną, a skoro jest taka, w Wiedniu czy we Lwowie, to wszelkie zwierzchności niejawne i nieprawne, tracą powód bytu naprzód, z czasem stracić mogą resztki uroku i wpływu, jakie im jeszcze mogły pozostać. Innego zrozumiałego powodu dopatrzeć się nie można. Że delegacya nie jest dość *liberalną*, albo znowu niedość *patryotyczną*, to się mówi, ale tego nie

myśli nikt, kto myśli choć trochę. Taki wié doskonale, że dziś w Austryi, od Austryi, nikt więcej żądać dla Polski nie może jak delegacya żądała, a kiedy krzyczy *„za mało“*, śmieje się sam z tych, co mu wierzą. Cała ta wojna, prowadzona przez dwa najwięcej dzienniki, a dziś bodaj czy nie przez jeden tylko, a za podstawę operacyi mająca nasz brak odwagi i energii, za cel ma poniżenie i podkopanie wszystkiego co jest i być ma prawo, bo potem dopiero, ci co być chcą a nie mają prawa, ciemni ludzie i cele niejasne, znaleźć mogą dla siebie miejsce i pole. W tej niedorzecznej, małej, ale niemało gorszącej agitacyi, która w czynach i skutkach swoich jest niczem, kryje się przecież na dnie walka zasad: to jawny porządek rzeczy walony jest ustawicznie i systematycznie przez tajny nieporządek. O środkach mówić nie chcemy, były zamałe, a często tak małe, że ich gołem i prostem okiem dojrzeć nie można. Ostatnim, najgrubszym, miną podłożoną, która miała delegacyę wysadzić lub rozsadzić, było wywołanie secesyi w łonie jej samej. I był to zapewne piękny dzień do zapisania w annalach naszych parlamentarnych czynności, kiedy kilku ludzi w imię raz uciemiężonej wolności, drugi raz znowu w imię zaniedbanych niby praw i interesów narodowych, odbiło się od większości koła, i miało jemu i nam pokazać, jak się to tych praw broni i tym sprawom służy. Niestety, obiecanego przykładu nie widzieliśmy dotąd, a to z powodu, że gdy jeden tylko z tych obrońców mógł, a każdy chciał mówić, nie mówił żaden, bo się we trzech [1]) na wybór jednego generalnego mowcy zgodzić nie mogli! Śmieszność

[1]) Hausner, Ujejski, Ludwik Skrzyński.

miewa czasem tę własność, że zabija, ale tej nie ma nigdy, żeby zmazała lub zmniejszyła zdrożność.

A o ile wskazywanie drogi, rada, wytykanie błędów popełnionych jest rzeczą godziwą i konieczną, o tyle zdrożnem jest takie podkopywanie umyślne i systematyczne. Brzydkie i złe w zasadzie, szkodliwe jest w skutkach. Mogliśmy się o tem przekonać przy wyborach na opróżnione krzesło poselskie z miasta Lwowa; a jeżeli ten stan rzeczy potrwa, możemy doczekać się tego, że ludzie poważni i rozumni będą ze wstrętem uciekali od wyboru. Czy o to chodzi? Być może, że o to właśnie. Ale naszej sprawie i godności chodzi o co innego; o dobre owszem wybory, o wybory ludzi rozumem i charakterem poważnych, i dlatego pomiędzy obowiązkami, które nas w roku przyszłym czekają, wymienić należy jako jeden z pierwszych i ważniejszych staranie około przyszłych wyborów do Rady Państwa.

Czynność polityczna posłów nie mogła przechodzić sali obrad parlamentarnych. A tymczasem w innej sferze, dla nich niedostępnej, toczyła się inna, stanowcza i rozstrzygająca, kongres. Ten miał tak wiele do czynienia z urządzeniem i podpisaniem pierwszego rozbioru Turcyi, że wykluczył z góry z obrad swoich wszystkie sprawy bezpośrednio do tej jednej nienależące. Najbardziej zaś ze wszystkich wykluczał tę, o której nie mówił, tę, co ze wszystkich pośrednio związanych najbardziej bezpośrednio związana jest z kwestyą wschodnią, sprawę polską. Jeżeli niegdyś ambasador austryacki podniósł się ze swego miejsca i chciał wychodzić, kiedy imię Włoch wymówionem było na kongresie paryskim, cóżby dziś zrobił pełnomocnik Rosyi, co Prezydent kongresu a kanclerz Niemieckiego cesarstwa, gdyby kto

był śmiał wyszepnąć to imię, wywołać tego ducha! Z jakim strachem byłby się od niego odżegnywał pełnomocnik francuski, i włoski, i angielski, i austryacki, i wszystkie te w areopag zebrane „półśrodków sztucznych Pany“. O wprowadzeniu sprawy polskiej na kongres nie można było nawet marzyć; a że o politycznych sprawach nie marzyć, ale rozważnie myśleć trzeba, więc pomyślawszy, że na kongresy dostają się tylko takie sprawy, które się im koniecznie siłą swoją nałożą, wypadło przygotować się, że teraz mowy o tej sprawie być nie może, i znieść to, jak się już wiele rzeczy zniosło, zapisując to tylko na *debet* naszej epoki i cywilizacyi.

Ależ znowu czy może być, żeby po za kongresem przynajmniej, podczas kongresu, mowy o Polsce nie było wcale? Jakikolwiek jest, ten kongres reprezentuje Europę i stanowi o najważniejszych jej sprawach. Jakiekolwiek będzie to prawo które on podpisze, choćby miało trwać dzień jeden i chociażby przez jeden dzień nawet nikt w nie nie wierzył, zawsze ono będzie zapisane w prawie narodów. A więc wobec tego nie odezwać się wcale? nie przypomnieć co się z nami dzieje pod rządem rosyjskim? nie porównać tych zasad wolności religijnej, politycznej i cywilnej, w których imię Rosya poszła oswobodzić Słowian Południowych, z tą wolnością, którą ona praktykuje w Polsce? Więc kiedy wszyscy, Serbowie, Czarnogórcy i Rumuni stają i wołają o to co im się należy Polska jedna... nie chcemy przpominać ile od nich nieszczęśliwsza i ile więcej warta, żeby nie równać — jedna ma milczeć i milczeniem narazić się na posądzenie, że *qui tacet consentire videtur?* Kiedy jakieś mniejsze czy większe prześladowania żydów w Rumunii wywołały krzyk i upomnienie wszystkich ich

współwierców w Europie, a ta skarga bogatych przyjętą była przez kongres z najsłodszym uśmiechem i uprzejmością najbardziej ujmującą, więc prześladowanie katolików, więc tyle kościołów zamkniętych, tylu biskupów i księży wygnanych, tyle tysięcy gwałtem przechrzczonych, i tyle krwi wylanej, do Boga tylko ma wołać o pomstę, a przed ludźmi milczeć? A nie! O pomstę, której wykonać niezdolni, o sprawiedliwość, której udają że nie rozumieją, wołać do nich niewarto. Ale dla siebie, dla ojczyzny, dla prawdy, dla honoru i sumienia, dla przestrogi tych biednych oswobodzonych Słowian, dla zawstydzenia tych wszystkich innych, dlatego żeby się siebie samych i Boga samego nie zaprzeć, trzeba było, w tej stanowczej chwili trzeba było koniecznie, dać znak życia i przemówić, czy będą słuchali czy nie.

Jak? przez kogo? to pytanie, i to był sęk. Kto miał prawo mówić za Polskę całą i w jej imieniu? Posłowie Wielkopolscy lub Galicyjscy jako jedyni dziś z narodu polskiego wybrańcy? Nie, bo naprzód są oni posłami jednej tylko prowincyi, powtóre, niechcąc przekraczać swojego charakteru urzędowego, mogliby udać się do jednego tylko pełnomocnika tego państwa, do którego należą: a wreszcie gdyby ci mówili, Rosya miałaby gotową odpowiedź: „Moi poddani są spokojni i szczęśliwi, to tylko tamci Polacy krzyczą, i swoim krzykiem ich podburzają, a wam się przykrzą“. A więc emigracya? ktoś z emigracyi? Książę Władysław Czartoryski naprzykład? I to nie, bo naprzód akt taki wychodzący z emigracyi podlegałby temusamemu zarzutowi: bo powtóre bez wezwania, bez mandatu, którego nikt oczywiście dać nie mógł, nikt w imieniu drugiego przemawiać nie powinien; bo wreszcie wyrzucano emi-

gracyi tyle razy, że kierunek spraw krajowych dla siebie uzurpowała, iż ona dziś służyć zawsze gotowa, inicyatywy brać za kraj i występować za niego nie chce. W tem położeniu upaść musiała sama z siebie, jeżeli jaka była, myśl memoryału podać się mającego kongresowi. Naprzód nie było tego ktoby go był przyjął, bo kongres z góry milczkiem sprawę polską, a choćby tylko sprawy polskie wykluczył, i Prezydyum byłoby akt taki rzuciło pod stół. Powtóre nie było tego, ktoby mógł był oddać, bo posłowie do Parlamentu pruskiego czy austryackiego oddać go mogli tylko swoim ministrom, nie wszystkim członkom kongresu; emigracya zaś lub emigranci nie mieli do takiego kroku tytułów prawnych, nie mieli mandatów, ani uznanego urzędowego, żeby się tak wyrazić, stanowiska i charakteru. W takich warunkach zgłaszać się do kongresu, byłoby to narażać się daremnie na nowe upokorzenie, a doprawdy było ich już dosyć. Ci co dowodzili, że bądźcobądź, przebojem, trzeba koniecznie odezwać się do kongresu jako takiego, i narzucać mu kwestyę choćby jej nawet nie rozbierał, zapominali o tem, że takie narzucenie nie jest możebnem, nie da się zrobić; że kongres sam tylko, a nikt inny, wprowadza sprawy na kongres, a te których programem nie objął i nie wprowadził, ignoruje, nie widzi ich, nie zna; nie ma ich i nigdy ich nie było. Wszelka zatem odezwa do kongresu, choć przez pocztę wiernie oddana, byłaby ugrzęzła w loży portyera, może w kieszeni woźnego, w najlepszym razie w koszu, do którego urzędnicy biura prezydyalnego rzucają niepotrzebne papiery, prośby od odstawnych oficerów, nieszczęśliwych wdów, ociemniałych nauczycieli wiejskich itp.

Do tej więc trudności, że niebyło ani komu, ani do kogo mówić, przybywała jeszcze druga: co mówić? O Polsce niepodległej mówić Rosyi, Prusom, Austryi i całej tej dzisiejszej Europie? O Polsce podległej jakiemu innemu, nie rosyjskiemu panowaniu? Kto nie chciał sam siebie oszukiwać, ten o tem oczywiście myśleć nie mógł. A więc mówić o traktatach roku 1815, albo choćby tylko o zmianach najkonieczniejszych, choćby żądać powrotu do tego, co było przed rokiem 1863? A któż ma prawo stawiać żądania za wszystkich i kłaść im granice? O tem już nie mówiąc, że na tej drodze układów można wiele przyjąć, ale nic żądać; i nic otrzymać nawet, jeżeli się kto niepytany z żądaniami i warunkami wyrywa. A więc była konieczność odezwania się, a trudność odezwania się dobrze, tak, żeby i głos był słyszany, i wszystkie formy i pozory prawności zachowane: i żadna zasada, żeby nie była poświęconą, i żadna choćby najmniejsza ulga odepchniętą.

Kto znalazł formę, która wszystkie te sprzeczności godziła, a z wszystkich trudności wychodziła zwycięzko, o to nie pytamy; dość, że *Exposé,* które w zeszycie niniejszym, jako ważny, historyczny i polityczny akt podajemy, rzeczywiście odpowiadało wszystkim potrzebom, nienarażało żadnych interesów, a żadnej zasady nie poświęcało. W formie i w treści było zarówno roztropnie obmyślanem i do potrzeby chwilowej zastósowanem. W formie, dlatego, że niebyło aktem wymierzonym do kongresu, a ogłoszone, rozesłane po całej Europie, nie mogło być uważanem za niebyłe, ignorowane; dlatego dalej, że bezimienne, a przez najbardziej znanych i poważnych ludzi członkom kongresu polecone, miało za sobą poręczycieli świadczących, że wyszło z kraju, i że

lekceważonem być nie może. Wreszcie dlatego, że napisane było z tą ścisłością i jędrnością myśli i pióra, z tą powagą i miarą, jaka cechować zwykła najlepiej pisane akta dyplomatyczne, a która czytelnikom, zwłaszcza takim jak ci, do których to było wymierzone, imponuje bardziej od najpiękniejszych kwiatów stylu i retoryki.

W treści było mądre i doskonałe, bo mówiące do ludzi językiem jaki oni zrozumieć mogą, bo biorące w rachubę i obecny stan Europy i zakres czynności kongresu; zatem prawdziwie polityczne, a ze stanowiska polskiego czyniące zadość w pełnej mierze uczuciom i potrzebom narodu i jego godności, bo nie zrzekając się żadnego z jego praw mówiło o wszystkich jego krzywdach, a o nic nikogo nie prosiło.

Nie potrzebujemy powtarzać tu jego treści, jest zbyt powszechnie i zbyt świeżo w pamięci: ktoby zresztą chciał je sobie przypomnieć, znajdzie je poniżej w całej osnowie. Powiemy więc tylko, że zdaniem naszem największą jego zaletą jest to, że dając obraz zupełny, a tak dokładny, tak sumiennie nie przesadny naszych stosunków, iż nikt jednego słowa zaprzeczyć ani nawet sprostować nie może, nie stawia żadnej konkluzyi, żadnego żądania. Każdy z nas wie czego Polacy pod rządem rosyjskim żądać mogą; żaden nie ma prawa żądań tych formułować, żaden nie może za wszystkich powiedzieć: *to dosyć*. Gdyby to zrobił, byłby samozwańcem naprzód, a powtóre wszedłby na tę drogę ustępstw i kompromisów, która może zadaleko prowadzić. A potem, dość już było tego proszenia, tego przypominania ludziom, że jeżeli chcą być o siebie bezpieczni, powinni Rosyi położyć tamę i hamulec. Rola Kassandry przykrzy

się w końcu tym, którzy ją grają, więcej nierównie niż tym, co jej słuchać nie chcą. Prosiliśmy i upominali bez ustanku przez lat trzydzieści z górą, zyskaliśmy na tem wiele upokorzeń i nic więcej. Mamy ich dość, a z nich tę przynajmniej korzyść i naukę, iż dziś wiemy, że liczyć możemy tylko na siebie, że dopókiśmy słabi, prośbą nie wskóramy nic, a jak w nas siłę poczują, to nas sami prosić będą.

Ale nic nie żądając, nie skarżąc się i nie lamentując, nie formułując żadnych próśb ani warunków, powiedzieć: „Oto dzieje się u nas tak i tak, Rosya, która walczy za prawa ludzkości, wolności i narodowości, tak w nie wierzy i tak je szanuje, a wy, którzy radzicie o Bułgarach i Serbach i na stan ich nieznośny szukacie lekarstwa, zamykacie umyślnie oczy na bezprawia i okrucieństwa, które z tamtemi ani w porównanie iść nie mogą“ — do tego każdy z nas miał prawo, bo w tem mu każdy Polak musi przyświadczyć, żaden nieprzyjaciel nie może zaprzeczyć, a choćby był najskromniejszym z ludzi prywatnych, ma taką, mówiąc to, powagę i siłę prawdy, że go każdy z uszanowaniem słuchać musi, nawet najdostojniejsze i najmniej do szanowania drugich skłonne zebranie wielkich ludzi i wielkich panów.

W tem zaś, że się tak umiało ograniczyć, zastósować do chwili, w której mówiło, skurczyć do miary ludzi i rzeczy, było *Exposé* dowodem niepospolitego politycznego wyrobienia; nie chcemy ręczyć, że dowodem, ale conajmniej oznaką niemałego w nas samych postępu. Bo zarzuty jakie się przeciw niemu słyszeć dają, są albo błahe, albo uprzedzone.

Jednym z nich jest to właśnie, co stanowi największą rzeczy zaletę i zasługę: akt taki powinien był być przypomnieniem praw, sformułowaniem żądań, a wreszcie protestem przeciw kongresowi, który tych praw nie uznaje, a tych żądań nie pełni. Gdyby był tem, akt taki byłby śmiesznym, bo śmiesznem w polityce jest wszystko, co fantastyczne; żądać zaś od tego kongresu, żeby czyto niepodległość Polski przywracał, czy zmuszał Rosyę do przywrócenia jej praw, byłoby fantazyą, łudzeniem siebie samych, a bawieniem drugich sobą. Z tego zaś zarzutu wypływał drugi, ten mianowicie, że *Exposé* wyliczając polskie krzywdy, zapomina o polskich prawach i ich się zrzeka. To, to poprostu nieprawda; bo ktokolwiek czytał, mógł widzieć na pierwszej zaraz karcie, że „nie zrzekając się nieprzedawnionych praw, jakie prawo boskie narodowi nadaje“ nie mówi się o nich nateraz, bo nie tu czas i miejsce „rozbierać kwestye prawa“, czyli, że z tymi, którzy fakta tylko uznają, chce się mówić o tem co uznają, o faktach samych.

Słyszało się prócz tego coś ważniejszego i bardziej zastraszającego. Oto, jakkolwiek *Exposé* jest tylko bezimienną broszurą, jest przecież pod tym skromnym pozorem rzeczywistą skargą na Rosyę zaniesioną do całej Europy, a Rosya tak się o to obrazi, że nietylko cofnie się we wszystkich zamiarach ulg lub zmian, jakie miećby mogła, ale z podwojoną zaciekłością mścić się będzie na Królestwie, a pastwić nad Litwą i Rusią.

Co do pierwszego, to tylko odpowiedzieć możemy, że ze wszystkich rodzajów fantastycznej polityki polskiej, najfantastyczniejszym, najbardziej chimerycznym i marzycielskim jest rodzaj tej polityki *trzeźwej*, która każe wszystko znosić, a wszystkiego się spodziewać po

wielkoduszności rosyjskiego narodu i rządu, który jak raz stanie u celu, *przebaczy* wszystkim, nawet Polakom! Niedawno wpadła nam w rękę broszura, w której uczciwy jakiś, ale nieco naiwny Słowianin, dowodził cesarzowi JMci Austryackiemu, że powinien dobrowolnie oddać Niemcom Wiedeń z przyległościami, Włochom Tryest i Trydencki okręg Tyrolu, Wołoską część Siedmiogrodu Multanom, a potem ogłosić się królem czeskim, węgierskim i polskim. Od tego Słowianina niewięcej naturę rzeczy znają i z nią się liczą ci, co nam każą wyglądać zbawienia od dobrej woli cesarza Aleksandra, czy jego ludu. Że Rosya zmuszona przeobrazić się, będzie może potrzebowała i szukała przyjaciół wszędzie, nawet w Polsce, to w przyszłości zdarzyćby się zapewne mogło; że Rosyanie rozumni mogą się poznać na tem, ile szkody sobie samym przynoszą dzisiejszym systemem rządzenia w Polsce, w tem nie byłoby nic dziwnego. Ale takim *Exposé* nie zaszkodzi, owszem może się przydać, bo może im dać do myślemia, dopomódz do otwarcia oczów. A tacy, czy inni, jeżeli o zmianach jakich myślą, lub myśleć będą, to z potrzeby, z interesu ze słusznego rozumowania, nie z popędu wspaniałomyślności i rozczulenia. Tej potrzeby, tego interesu, tego wyrachowania, jedno *Exposé* nie przeważy, ani go nie zmieni.

Drugi wzgląd jest ważniejszy. Że Rosya mścić się umié i lubi, znamy ją dość, by o tem wiedzieć. Że w tym razie mścić się nie uzna za dobre dla siebie, ręczyć za to oczywiście nie możemy, materyalnej pewności ani rękojmi nie mamy. Zdaje nam się tylko, że ten kto *Exposé* tak rozważnie napisać potrafił [1]), musiał nie-

[1]) Paweł Popiel był głównym autorem.

mniej rozważnie oglądać się na wszystko; a kto znał tak dokładnie stan Królestwa i krajów zabranych, ten musiał sobie zadać pytanie, czy krokiem swoim stanu tego nie pogorszy? Ale przypuszczenie nie jest dowodem, a powaga jakiegoś nieznanego anonima może nie być żadną. Nie odwołując się więc do niej, odwołamy się tylko do dwóch rzeczy, z których coś przecie wnosić można, do natury ludzkiej i do historyi, i powiemy, że jak wskazuje jedna i druga, chwila klęski, przegranej, nie zwykła być chwilą zemsty. Że w Rosyi zbierają się teraz niewidziane może masy mściwych pragnień i namiętności, o tem niewątpimy bynajmniej, ale żeby one chciały się wylać na Polskę i tym przedmiotem się zaspokoiły? Nie — chyba, że te namiętności, te ambicye i zemsty, są daleko mniejsze i słabsze niż się wydają.

Są znowu tacy co mówią, że kto sprawę przeciw rządowi, któremu jest poddany, wytacza przed trybunał obcych, ten *ipso facto* wchodzi na drogę spisków i powstań, bo sprawę wewnętrzną przenosi na pole zagraniczne. „Czy Galicya nie zeszłaby z drogi legalnej, naprzykład, gdyby przed jakimkolwiek kongresem skarżyć się chciała na bezpośrednie wybory do Rady Państwa lub na cokolwiek innego?“ Przykład jest zły: naprzód już z samego punktu formalnego prawa stosunek Galicyi do Austryi jest inny zupełnie, niż stosunek kongresowego Królestwa do Rosyi. A powtóre, kto tym argumentem wojuje, ten zapomina o tej małej różnicy, że w Galicyi i w Austryi jest prawo i poszanowanie prawa, że kto się w swojem prawie osobistem czy narodowem ukrzywdzonym czuje i mniema, ten tego swego prawa bronić może w Austryi samej, i do niego w Austryi

dojść. W Rosyi nie: gdzie nie ma prawnego stanu, tam nietylko wewnątrz Państwa prawa swego dochodzić nie ma poco, ale nie ma żadnego prawnego stosunku pomiędzy rządem a rządzonymi, i odwołanie się do trzecich, staje się czasem koniecznością a zawsze prawem. Temwięcej odwołanie się do opinii publicznej, a *Exposé* nie jest czem innem. Nie inaczej robili Bułgarowie i wszyscy inni, a Rosya ujmując się za nimi, przyznała sama, jak mądrze a złośliwie wytyka jej to *Exposé*, że „władza nawet uprawniona wiekowem posiadaniem i traktatami, traci swoje prawa, skoro ich nadużyje“.

Wreszcie zarzut jeszcze jeden, to że *Exposé* nie ma żadnej praktycznej doniosłości, żadnego celu, ani możliwego skutku. To prawda. Ani kwestyi, o których mówi, nie wprowadziło na kongres, ani prawpopodobnie na postępowanie Rosyi nie wpłynie. Czy jednak jest tak zupełnie marnem i bez rezultatů? Rezultat taki pozwolilibyśmy sobie zaraz widzieć, jeden, w tem, że milczenie w chwili tak stanowczej byłoby politycznym błędem, zapomnieniem o sobie, abdykacyą, dobrą w oczach tych chyba jedynie, którzy ze związanemi rękami chcą nas zdać na łaskę i niełaskę Rosyi. Od tego błędu, od tej abdykacyi, zasłoniło nas *Exposé*. A że znając ludzi i stosunki wśród których wychodziło, umiało się do nich zastósować a przez to być nie wybuchem uczucia, choćby najbardziej porywającym, ale rzeczywistym politycznym aktem, to znowu rezultat, bo dowód widoczny politycznej zdolności i politycznego rozumu. Że ono tem jest, świadczy choćby tylko sposób, w jaki dzienniki zagraniczne przyjęły je i o niem mówią. Francuskie, które od roku 1863, ile razy Polskę wspomniały, to zawsze z przekąsem, z urąganiem i z nieskończonemi ukłonami

i kadzidłami dla Rosyi (nie mówimy tego oczywiście o dziennikach katolickich, które stanowią w tym względzie wyjątek jedyny i szlachetny), mówią o tym ostatnim akcie polskiej polityki w sposób dla nas niesympatyczny i wstrętny, ale przynajmniej z powagą i poszanowaniem. Co więcej, dzienniki pruskie, te najzawziętsze, najzajadlejsze ze wszystkich, i te nawet nie mogą drwić i urągać. A kiedy taka naprzykład *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* o rzeczy polskiej, sobie tak przeciwnej, musi mówić poważnie i przyzwoicie a szydzić i natrząsać się nie śmié, to widać, że rzecz ta musi być poważna i rozumna.

A zatem dobrze że jest: a zatem tosamo jest już może jakim takim rezultatem. Innego zapewne nikt nie przypuszczał. Pewien dziennik wiedeński roztrząsając tę sprawę mówi, że Polacy sami wiedzieli najlepiej, iż od tego kongresu niczego spodziewać się nie mogą, chcieli tylko oddać kongresowi swoją kartę wizytową. Dowcipne to, a w intencyi może nawet złośliwe wyrażenie, przyjmujemy zupełnie. Tak jest, chcieli oddać kartę wizytową, i nic więcej: oddać ją na znak, że są, że do tego towarzystwa należą i znajdować się w niem mają prawo. Karta wizytowa, to mała rzecz, ale służy za znak widomy stosunków między ludźmi, i za środek ich utrzymania. Rzucona jak należy, nie bywa zwróconą jak prośba żebraka i natręta, nie zostaje w ręku odźwiernych i służących, ale dostaje się do państwa, którym przypomina, że winni są rewizytę. Z czasem sprowadzić może zaproszenie. Kraków nie odrazu zbudowany, *summa petuntur paullatim,* a kto chce zrobić sobie miejsce w jakiem towarzystwie, ten zaczynać musi od kart wizytowych. Na tej zresztą zapisane było nie same tylko

nazwisko, ale coś więcej. I nie samo tylko przedstawienie stanu Polski. Ukryta dobrze i słusznie, była tam i ta konkluzya, której napozór braknie. Jest ona najogólniejsza jak być może, ale jest. Mieści się zaś w tych słowach, gdzie proklamacya cesarza rosyjskiego zestawioną jest z postępowaniem Rosyi w Polsce, z którego to zestawienia wynika stwierdzenie faktu, że Rosya sama, jak dowodzą jej własne słowa uznaje, że „władza nawet najbardziej prawowita traci swoje prawo, kiedy go nadużywa".

Rosyanie, którzy to przeczytają, a będzie takich wielu, pomyślą może, że ich cesarz byłby lepiej zrobił, gdyby proklamacyę swoję był zredagował cokolwiek inaczej. A my, którzyśmy dziś na stwierdzeniu tego faktu rosyjskiego przyznania, na chwyceniu ich za słowo, poprzestać musieli, w swoim czasie znajdziemy może sposobność odwołania się do tego zapisanego faktu, przypomnienia tego słowa.

Exposé zamyka szereg naszych działań podczas ostatniej fazy kwestyi wschodniej. Skromnie zapewne, jak skromnem z natury rzeczy musiało być nasze w tych wypadkach stanowisko i działanie, ale godnie i rozumnie. Godnie, bo ani żadnego z naszych praw nie poświęca, ani o nic nie prosi, ani nas na żadną śmieszność, na żadne upokorzenie nie naraża; bo spełnia obowiązek, jakiśmy mieli względem siebie samych i względem drugich. Rozumnie, bo jest dalszym ciągiem i uzupełnieniem naszych zabiegów parlamentarnych, w chwili, kiedy one ustać musiały, w miejscu, do którego one nie miały przystępu, może i z miejsca, gdzie takich nie ma. Jest niejako pieczęcią przyłożoną na całem naszem dwuletniem postępowaniu, spełnieniem programu, który za-

mykał się w słowach: „nie narażić nic z tego, co się ma, nie zepsuć pośpiechem tego co wypadki przynieść mogą“. Cokolwiek stanie się kiedyś, to już jest nabyte i pewne, i odebranem nam być nie może, bo należy do przeszłości, że w tym okresie sprawy wschodniej, który obejmował wojnę Rosyi z Turcyą, a zakończył się pierwszym Turcyi rozbiorem, zachowaliśmy się mądrze. Co dalej będzie? Ten okres wypadków nie przyniósł nam nic, prócz obfitych zarodów nowych zawikłań, nowego w odmiennej formie wybuchu kwestyi wschodniej, nowego jej aktu, w którym my znowu chcemy czy nie chcemy, rolę jakąś do grania mieć będziemy musieli. Jakiż może być ten nowy kształt tejsamej zawsze sprawy? jakie nasze w niem miejsce i położenie? jakie z położenia tego wynikające konieczności i obowiązki?

II.

Zawcześnie dziś układać plany na przyszłość, bo teraźniejszość niedość jest jeszcze znana i nie daje rzeczywistej podstawy do wniosków i przypuszczeń. Żaden z tych sterników polityki europejskiej, którzy byli na kongresie i zatwierdzili nowy stan rzeczy, nie mógłby zapewne powiedzieć jaki obrót wezmą sprawy jego państwa, jakie okażą się skutki tego nowego traktatu, jakie zmienione stosunki sił i przymierzy. Mogą wiedzieć zaledwie, co chcą zrobić jutro; ale co ich zaskoczy, co im robić wypadnie pojutrze, o tem jasnego pojęcia a tem mniej wyrobionego przekonania i planu mieć nie mogą. A cóż mówić dopiero o prostych ludziach, którzy ze swego poziomu mniej jeszcze znać i widzieć mogą.

Równie próżnym a zarozumiałym zamiarem byłoby zrywać się dziś na ocenienie i osądzenie dzieła kongresu. Jego ostatni rezultat, warunki pokoju i urzędowe sprawozdanie z jego przebiegu, protokóły, są wprawdzie w ręku wszystkich. Ale taki nawet, co z nadzwyczajną jakąś bystrością zdołałby w tak krótkim czasie należycie wszystko rozważyć i zbadać, nawet taki nie mógłby się pokusić o takie przedsięwzięcie: bo znając formalną, oficyalną historyę kongresu, nie znałby jego prawdziwych wewnętrznych dziejów, nie umiałby wskazać tych sprężyn ukrytych, które poruszały krokami i nadawały kierunek postępowaniu, a które złożone w poufnych raportach, po latach a nieraz po wiekach dopiero wychodzą z tajnych archiwów, i historykom tłómaczą rzeczywiste powody działań, kiedy i działanie samo i przedmiot jego oddawna już do przeszłości należy i wpływu niewywiera. Współczesny publicysta piszący o bieżących sprawach, nie ma tych przywilejów późnego historyka przeszłości: a wiedząc tylko tyle ile widzi, ograniczony w sądzie na własny rozum i uczucie, mówić może na domysł tylko nie na pewne, z instynktu nie z dokumentów, i do dokładności, do istotnej i niezawodnej prawdziwości tego co mówi, sam pewnej wiary i zaufania niezachwianego mieć nie może.

Daleka też od nas ta myśl i zarozumiałość, żebyśmy chcieli kreślić obraz antecedencyi i działań kongresu albo je sądzić. Wiemy dobrze, że robota taka byłaby marnym pozorem bez treści, i nawet smutnym pozorem, bo takim, któryby nikogo nie złudził. Nie próbujemy też dochodzić, co kto ma do zrobienia, żeby zapewnić co zyskał, lub odbić co stracił, co komu grozi i jak groźba da się odwrócić. Wszystko to jeszcze nie

pokazało się jasno. Jak w pierwszym dniu stworzenia pływają obok siebie pierwiastki przyszłych konieczności i kombinacyj, antagonizmów i przymierzy, ale nie miały jeszcze czasu oddzielić się wyraźnie, skupić w określne kształty i ustalić. Czuje się tylko, że stało się coś wielkiego, jakaś zmiana stanowcza, po której świat będzie wyglądał inaczej, a polityka i historya pójdą inną niż dotąd koleją; czuje się, że przed jednymi otworzyły się nowe i nieprzejrzane, nieprzewidywane zwłaszcza pola działania, przed innymi przepaście tak głębokie, że dna nie dojrzeć, a głowa się zawraca, kto zmierzyć spróbuje: że wszyscy będą musieli szukać sobie jakichś nowych dróg po świecie.

Ale, jeżeli na postanowienia zawcześnie, bo do przewidywań zaledwo a nie do obrachowań mamy podstawę, to jest jedno co zawsze zrobić można i trzeba, obejrzeć się dokoła i starać się rozpoznać, co się stało. Na to nigdy zawcześnie: owszem, gdyby się spóźnić, mogłoby już być po czasie. Kto miał wypadek w drodze, zabłądził, spadł z konia lub coś podobnego, ten musi przód wstać i popatrzeć, potem dopiero myśli o tem, jak się do domu dostanie.

Że Europa zrobiła znowu krok ogromny ku temu przekształceniu, które się coraz śpieszniej i coraz silniej wyrabia, to jasne jak słońce. Są w historyi fakta tak potężne i górujące nad innemi, że stają się na całe wieki koniecznemi i pierwszorzędnemi czynnikami i pierwiastkami w historyi; każde działanie i każde dążenie musi je przyjmować za dane, brać w rachubę, do nich się stósować. Takim faktem było przez cztery wieki panowanie Turków w Europie. Zrazu zmieniło ono wszystkie jej stosunki, było zupełnym przewrotem,

następnie było długą groźbą, mieczem Damoklesa zawieszonym nad południem i wschodem, z czasem stało się częścią składową, konieczną ingredyencyą tego ciała, warunkiem jego równowagi, tak, że Europa bez Turków już się pomyśleć nie dała. Wiązało się do nich tyle interesów, tyle przyzwyczajeń, tyle tradycyjnych środków oddziaływania jednych przeciw dążnościom drugich, że niepodobna było wyobrazić sobie, jakby świat europejski dziś mógł wyglądać i obejść się bez tego, co przed czterma wiekami uważał za swoją największą klęskę, hańbę i niebezpieczeństwo.

Dziś musi Europa odwykać od tego, do czego z tak dawna była przywykła. Jeden z faktów determinujących i podstawnych jej historyi, skończył się w naszych oczach niezupełnie niby, nie *de jure,* ale skończył się rzeczywiście. Turcy są jeszcze w Europie i może długo w niej zostaną, ale nie ma już tureckiego panowania. W Europie na półwyspie Bałkańskim już ludności, przez Turków niegdyś zawojowane, stały się lub stają niepodległemi państwami, inne dążą do tego i prędzej czy później dojdą: a w Azyi, w tej przynajmniej, co najbliżej Europy dotyka, zacznie się panowanie angielskie pod pozorem tureckiego, naprawdę na jego miejscu. Zdaje się, jak żeby ta część Europy wróciła była na tensam punkt, na którym stała przed wtargnieniem Muzułmanów. Różne ludy słowiańskie, jak wtedy niezupełnie jeszcze wykształcone, jak wtedy dzielne męztwem i przywiązaniem do swojej niepodległości, szukają dla siebie jak wtedy rozmiarów i form państwa; możnaby myśleć, że jak zaklęta księżniczka w bajce, spały przez wieki, a przebudzone prowadzą dalej to, co robiły przed uśpieniem, gdyby liczne ich zadawniałe

blizny i świeże rany nie dowodziły wyraźnie, że one cierpiały nie spały. Ale po Turkach dziś, mają tensam instynkt, tęsamą chęć, tosamo zadanie, co wtedy przed Turkami, wytworzyć z siebie zupełny i silny organizm polityczny: a dzisiejsze Milany i Mikołaje widzą w snach swoich carstwa rapsodowych Duszanów i Łazarzów. Szczęśliwi, jeżeli organizm ten zdołają wyrobić z siebie sami, jeżeli im go jaki nowy pan nie nałoży, nie skrzywi i swojem zwierzchnictwem nie przygniecie. Zajęcie Cypru zdaje się zapowiadać powrót tych czasów, kiedy wyspy morza Śródziemnego i Egejskiego były w ręku Europejczyków: angielska dzierżawa w Azyi Mniejszej, to parcie zachodu na wschód, przypomina nie Lwie serce Ryszarda wprawdzie, ani Św. Ludwika, ale handlowe średniowieczne dążności Wenecyan i Genueńczyków, lub zaprowadza pod inną formą, trwalszą zapewne, jakieś nowe w tych stronach cesarstwo łacińskie; Osmanlisy w Konstantynopolu grają dziś rolę tak smutną, jak niegdyś Paleologi, a na Paleologów stolicę, która jak wtedy ostatnia dostała się Turkom, tak dziś ostatnia przy nich została, patrzą pożądliwie nieprzyjaciele najbliższej przyszłości, prawni spadkobiercy Paleologów, Grecy. Wszystkie te elementa, które się przed wiekami widziały i działały w historyi tych lądów i mórz europejskich i azyatyckich, wychodzą znów na wierzch i działają; możnaby myśleć, że się jest gdzieś nanowo w wieku XIV, i ma robić dalej to, co Turcy przerwali, odrabiać, co oni zrobili. W Niemczech wróciło cesarstwo, Wschód zaczyna wyglądać jak przed Turkami, we Włoszech nie ma ani cesarskich, ani Francuzów, ani Arragończyków, czyżbyśmy się do średnich wieków wracali? czy ówczesny skład Europy

miałby być naturalnym, przyrodzonym i dobrym, a nasze wiekowe rewolucye miałyby długą i krwawą drogą prowadzić do restauracyi tego, co było? Jeżeli tak, jeżeli ta bolesna i straszna historya naszego wieku ma się zakończyć powrotem nie do średniowiecznych praw i instytucyj, nie do ówczesnego stanu społecznego, ale do średniowiecznego składu politycznego Europy, do średniowiecznych granic między narodami i państwami, w takim razie, jeżeli kongres berliński bezwiednie do takiej mety prowadził, kongres byłby szczęśliwym i dobroczynnym w dziejach wypadkiem. Wrócić do natury rzeczy, wrócić do tego, co w Europie jest przyrodzone i naprawdę z Bożej łaski, to jest zadanie, to tajemnica spokoju i równowagi. Przyrodzony ten porządek zburzyli niegdyś poczęści Turcy, z nimi razem współzawodnictwo Francyi z Domem austryackim, Reformacya i wojny religijne, i ich koniec a początek nowoczesnego państwa i nowszego prawa narodów Pokój Westfalski — burzył go dalej Ludwik XIV i Fryderyk, zburzył do reszty rozbiór Polski. Napoleon i wszystkie późniejsze restauracye i rewolucye wydawały same tylko nietrwałe, z naturą rzeczy niezgodne, kreacye; kto wie, czy w najgorszej chwili ostatecznego rozstroju i rozpaczliwego chaosu, bez ludzkiej woli i wiedzy, bez planu mężów stanu, wyższą pchani mądrością i wolą, nie weszliśmy na tę drogę, która wyprowadzić nas może z pustyni błądzenia powrotem do tego, co przyrodzone, co naturalne, co przez Boga stworzone. Na Wschodzie pokazał się mały świt, a że bez czyjejkolwiek woli i zasługi, więc wnosić można, że z woli Bożej, i że go ludzka wina i niemądrość nie zagasi, ale tamta rozetli tak, że się rozejdzie i rozedni dalej.

Nie ma w polskich sercach nienawiści do Turków: owszem, jest raczej jakiś rodzaj politowania dla dawnego nieprzyjaciela, który nam przypomina dobre czasy naszych nieprzyjaźni: wiele uszanowania dla ludu, który czy był przyjacielem, czy wrogiem, był zawsze rzetelnym: wiele wdzięczności dla tych, co i rozbioru Polski nigdy nie uznali i po rozbiorze byli nam wiernymi przyjaciółmi, a nieraz gościnnymi i dobroczynnymi opiekunami. Przecież wyznając głośno wiele dla nich szacunku i wdzięczności, wyznać musimy, że panowanie ich w Europie było anomalią, której długa trwałość i przywyknienie nie zdołały nadać charakteru prawowitości. Nikt w Europie nie myślał, żeby oni tu być powinni; byli oni faktem, wypadkiem, nie byli nigdy, choć sto razy uznani przez traktaty, wrodzonym i potrzebnym żywiołem europejskiego życia; byli zewnętrznym przyrostem tego organizmu, nie jego wewnętrznym i żywotnym organem. Dlatego dziś, kiedy się kończą, możemy żałować Turków, ale nie Turcyi i jej panowania. Owszem, kiedy się to kończy, a ludy, prawni tej ziemi właściciele, Chrześcianie i Słowianie, przychodzą do narodowego a częścią niepodległego życia, musimy powiedzieć i mówimy pierwsi: dobrze jest.

Przynajmniej może być dobrze: czy będzie, to zależeć musi od tego, kto i jak z dzisiejszego chaosu kształcić będzie przyszły porządek i równowagę. Zaród dobrego jest, znalazł się sam, bez niczyjej ludzkiej woli i zasługi: chodzi teraz o to, żeby go dobrze wyhodować.

Bez woli i zasługi? Czy godzi się tak mówić? czy polska namiętność nie dochodzi w takich słowach do niesprawiedliwości krzyczącej? A Rosya? Rosya, która wylała naprawdę rzekę krwi i złota, która hero-

icznie zniosła wszystko, co tylko żołnierz najcięższego znieść może? która, choćby najbardziej o sobie była myślała, poszła tam przecież na to, by tych Chrześcian i Słowian oswobodzić; czyż to oswobodzenie, które dziś jest faktem, stało się bez jej woli i bez jej zasługi?

Trzeba tu rozróżnić. Zasługi żołnierza, oficera, który ginął, marzł, marł z głodu, z nędzy, z choroby, ze znoju, a bił się przecież do ostatka, zasługi tych jenerałów, co przodem przed wojskiem kopali się śniegiem przez Bałkany, aż zrobili co im kazano i doprowadzili wojsko tam, gdzie go ich król i naród chciał widzieć, nikt nie przeczy, ani umniejsza: to, co szanowne i piękne szanuje się u nieprzyjaciół jak wszędzie. Ale, że oswobodzenie Słowian takie jak się stało, że to dobre, jakie w dzisiejszym stanie Półwyspu kryć się może, nie wyszło z ducha i zamiaru Rosyi, nie stało się podług jej woli i myśli, a więc nie jej zasługą, to przyzna każdy, kto tylko okiem rzuci na te dwa traktaty San-Stefański i Berliński, i porówna ich warunki. W pierwszym jest prawdziwa myśl i prawdziwy cel Rosyi, panowanie jej nad Wschodem, a dla Słowian południowych tylko zmiana jarzma i pochłonięcie, roztopienie, rozpuszczenie ich w panslawizmie. Drugi, zachowując do czasu zwierzchnictwo tureckie nad jednymi, tworząc z drugich małe państwa udzielne, wszystkim stawiając po boku potęgę angielską i austryacką, strzeże wszystkich od potęgi i panowania Rosyi, a daje im sposobność wyrobienia się tak, iżby kiedyś o własnych siłach stać mogli. Zaiste, nie tego chciała Rosya: a widząc, jak ona była już bliską swego celu, jak trochę tylko rozwagi, trochę umiarkowania, trochę mniej samochwalczej i zarozumiałej buty a trochę więcej względu

na świat otaczający, i byłaby na swojem postawiła, trzeba uznać wielką i szczęśliwą prawdę tego przysłowia, które mówi: że Pan Bóg kule nosi, kiedy człowiek strzela.

Nic bardziej zajmującego, dramatycznego, jak przebieg tej wojny; najlepiej pisana powieść nie mogłaby rozwijać naturalniej obfitszych i rozmaitszych zmian i perypecyj, a w tych wszystkich przejściach zręczność rosyjskiej dyplomacyi była prawdziwie godną podziwienia. Kto się jej najwięcej obawiał, kto na niej najwięcej mógł stracić, kto ją opłakiwał najbardziej, ten jeszcze musiał zazdrościć tej śmiałości i tej sztuki, z jaką Rosya prowadziła negocyacye z Anglią i z Austryą, przystawała na zawieszenie broni, na konferencye, a śmiejąc się w duchu ze wszystkich, robiła swoje, aż stanęła pod Stambułem, który zdawało się, że już, już, a zostanie naprawdę Carogrodem.

Tylko pokazuje się, zanadto się śmiała, lekceważyła zanadto. Dziwić się jej nie można. Od wieku robiła co chciała, kłamała jak chciała, a nikt jej się nie sprzeciwił, każdy udawał, że jej wierzy. Mogła więc nabrać przekonania, że w Europie wszystko uchodzi, a jej wszystko udać się może. Kto zabrał Polskę, a za to odebrał tylko pokorny ukłon wszystkich, kto w roku 1863 dał wszystkim mocarstwom Europy policzek, który one grzecznie do kieszeni schowały; kto nie przestając na tem, że kartę Europy przewracał, fałszował jej historyę, a zabierając odbierał niby to, co mu się należało, a nikt z uczonych świata fałszu mu nie zadał i nie sprostował; kto samo swoje nazwisko co jakiś czas zmieniał, rozciągał, rozdymał, aż objęło wszystkie Rusie, a nikt go nigdy nie zapytał, dlaczego dziś na-

zywa się inaczej, jak się nazywał wczoraj; kto na swoje sumienie brał wszystko, co Rosya w Polsce robiła od rzezi humańskiej aż do prześladowania unickich chłopów na Podlasiu, i cały tą krwią oblany, czarny od dymu tych pożóg, obładowany temi krzywdami, mógł zawołać na cały świat, że idzie bronić religijnej i narodowej wolności, a nie usłyszeć jednego słowa zaprzeczenia; ten, zaprzeczyć mu nie można, — mógł cały świat mieć za nic, miał prawo gardzić, a w pogardzie drugich, a w ubóstwianiu własnej zuchwałości myśleć, że może porwać się na wszystko, bo cokolwiekby robił, nikt mu nigdy w niczem napoprzek nie stanie.

„Rzekł głupi w sercu swojem: nie ma Boga“ — a ja mogę go używać jak chcę, i udawać że go bronię. A tymczasem usłużył mu może naprawdę, niechcący, kiedy swoim tryumfem, swoim traktatem z San-Stefano sam podkopał swoje dzieło, a sprowadził to, co może stać się początkiem sprawiedliwego, przyrodzonego porządku rzeczy w tych krajach, które przez tak długie czasy były Turcyą.

Rosya przeholowała, przerachowała się, i w plonie odniosła upokorzenie jedno z najgłębszych, jakie dzieje świata widziały. Że cesarz, opuszczony przez poddanych, wyklęty, ugnie się pod groźną potęgą Papieża i w stroju pokutnika stoi za drzwiami w Canossie, że inny cesarz, zwyciężony, klęknie w portyku św. Marka, że Napoleon podpisze abdykacyę w Fontaineblau, nawet (choć to już najgorsze), że Napoleon III pod Sedanem z grzecznym listem złoży swoją szpadę królowi pruskiemu, to wszystko jest dość straszne: takie, że prosty człowiek nie może pojąć, jak ci królowie mogą znieść takie upokorzenia. Ale ci wszyscy mają przecie jakąś

przed sobą samymi wymówkę, która ratuje ich miłość własną: byli zwyciężeni, byli złamani. Ale zwycięzca po trudnej a bądźcocądź świetnej, w niektórych chwilach bohaterskiej kampanii, mocarz na czele największego w Europie państwa, i na czele zwycięzkiej armii, który wydaje wojnę w imię wielkiej idei, który staje u celu, do którego od wieków dąży całemi siłami polityka jego państwa, który własną ręką podpisuje pokój najchwalebniejszy, najwspanialszy o jakim marzyć mógł on i jego naród, i za chwilę tąsamą ręką, ten zwycięzca, ten tryumfator, ten pan połowy Azyi i Europy rozdziera ten traktat, a warunki jego skromnie, potulnie, pod sąd drugich i pod ich wyrok poddaje — nie! to upokorzenie, jakich niewiele było na świecie! i kiedy Aleksander II przechodził pod to jarzmo kaudyńskie (i słusznie, bo tym sposobem ratował przyszłość), to ojciec jego przewracał się w trumnie, a „carycy w grobie kości nie kleiły się z radości, trup nie parskał w śmiech szyderstwa".

Bo to było wyznaniem, głośnem i jawnem przyznaniem się przed całym światem, że ta potęga nie taka jak się napozór wydaje: że ambicyi panowania nad Wschodem nie towarzyszy odpowiednia planom takim siła, że ton i postawa tryumfatora dopóty tylko utrzymać się dały, dopóki ktoś nie pogroził, a że przed pierwszą groźbą konieczność zmuszała zmięknąć i ustąpić. Że ta armia najwaleczniejsza, wierzymy temu, ale źle opatrzona, źle żywiona, krzywdzona przez swoich dostawców, a jak chcą niektórzy, nawet przez swoich własnych jenerałów, trudem i chorobami przerzedzona, bić się nie może, a drugiej za nią nie ma. Że ta druga nie stanie, bo w skarbie pustki a na kredyt ludzie da-

wać nie chcą; że w stanie wewnętrznym pokazują się razporazu niepokojące znaki buntu i rozkładu; zmazanie traktatu ze San-Stefano było przyznaniem się do tego wszystkiego, przyznaniem się do słabości!

Nie dziwimy się bynajmniej rozpaczy i wściekłości, w jaką wpadły dzienniki rosyjskie na widok tego, co się stało w Berlinie. Żaden naród nie zniósłby łatwo takiego zawstydzenia, a dopieroż ten, który nietylko ma wiele patryotyzmu, ale którego patryotyzm jest przedewszystkiem narodową pychą, tą głównie żyje i pod tą formą głównie się objawia. Ale nie dziwiąc się stwierdzamy tylko, że z obecnych dziejów Rosyi można czytać jak z księgi najwyraźniejsze i najgłębsze nauki. Jedną z najmniejszych, ale dobrą do zapamiętania może być ta (choć nie nowa wcale), że po nieszczęściu ci najgłośniej krzyczą, co w nieszczęściu zawinili najbardziej. Wszakże to *opinia* pchała cesarza do wojny, ona ją sprawiła, ona łudziła rząd i naród, że ich sile nic oprzeć się niezdoła; ona nadużywała hasła „oswobodzenia uciemiężonych braci,“ ona w rzecz z natury poważną, w politykę wielkiego państwa wprowadziła tę błahość najnędzniejszą i najzgubniejszą ze wszystkich, którą jest krzykactwo i fanfaronada; ona winna, ją patryotyzm rosyjski ma prawo przeklinać z głębi swojego żalu i upokorzenia — a ona tymczasem dalej naucza, dalej krzyczy, dalej oszukuje, i schlebia, i jątrzy, i zamiast skryć się pod ziemię ze wstydu jeżeli nie z sumienia i miłości ojczyzny, ona w bohaterskiej postawie peroruje, deklamuje, małpuje Katona i Milcyadesa, i dawszy sobie patent na monopol patryotyzmu, śmie jeszcze nauczać i oskarżać! Widziało się to nieraz w dziejach świata, ale dotąd nigdy w Ro-

syi. A widząc to, można pytać: czy jej największa dotąd cnota, patryotyczna karność i jedność i godność w nieszczęściu, która tak świetnie doprawdy objawiła się za Żółkiewskiego i za Napoleona, czy ta nie zginęła?

Ale jest inna nauka głębsza i donioślejsza, którą te wypadki podają jak na dłoni, dobra dla słabych jak dla potężnych, to ta, że nie wygrywa się pozorem, blichtrem, udaniem, fanfaronadą, ale rzeczywistością i prawdą. Trzeba do zwycięztwa tej rzetelnej prawdy w sile, której tu nie było. Bo skarb pusty, bo wojsko choćby liczne i bitne, ale źle opatrzone przez nieudolną lub nieuczciwą administracyę, przed słabym tylko mogą siłę udawać, przed mocnym muszą uledz lub ustąpić. A nadto wszystko jeszcze pokazuje się, że potrzeba prawdy nietylko w sile, ale i w zamiarze, w myśli podniesionej sprawy. Gdyby Rosya naprawdę, jak to głosiła, była szła za Dunaj dla oswobodzenia Słowian, gdyby Europa mogła była jej wierzyć, wtedy z temi siłami jakie miała, byłaby celu swego dopięła i zawarła traktat zapewniający tamtym wolność, jej samej ogrom korzyści i chwały, a nikt nie byłby jej groził i do odwrotu jej zmusił. Ale ten świat, który tak długo, tak cierpliwie, tak grzecznie udawał wiarę w to wszystko co ona mówiła, nie wierzył jej naprawdę. I nie mógł wierzyć, bo choć oczy niby zamykał, widział co ona robi, a widząc, musiał dowiedzieć się, gdzie dąży. Polska, ta nienazwana, ta zapomniana, ta sponiewierana i zdeptana, ta świadczyła, że nie chodziło ani o oswobodzenie chrześcian i Słowian, ani o religijne i narodowe wolności, a to świadectwo skutkowało. Ono sprawiło, że i wypowiedzenie wojny przez Rosyę i jej zwycięzki pochód zatrwożył wszystkich i obudził ich czujność tak,

iż w chwili, kiedy traktat ze San Stefano przyszedł stwierdzić ich podejrzenia i obawy, stali już pod bronią, gotowi do wojny. Pierwszyto raz Rosya bierze taką lekcyą i taką karę za Polskę, pierwszy raz Nemezis mówi do niej wyraźnie. Bo gdyby w Polsce kościół, narodowość, prawo, stały na swojem miejscu, to nietylko Rosya sama w sobie byłaby silniejszą i śmielszą, nietylko ta piękna rola oswobodzicielki znajdowałaby ufność zupełną w mających się oswobodzić, ale i inne państwa byłyby zapewne wierzyły, wierząc, byłyby patrzały spokojnie. Oswobodzić Słowian i sobie przytem zdobyć należne słusznie za trudy korzyści, w tem nie byłby Rosyi przeszkadzał nikt, bo wszakże nikt ruszyć się niemiał ochoty: ale do panowania nad Wschodem dopuścić jej nie mogli.

A ona tego nie chciała. Warunki jej traktatu dowiodły, że w słowach nie było prawdy, jak przedtem dowodziła tego Polska: że Rosya poszła nie uwalniać z pod panowania Turków, ale zagarniać pod swoje, nie szanować i przywracać prawa, ale zabierać własność drugich, nawet sprzymierzonych, jak Rumunii. Gdyby było chodziło o tamte, traktat byłby wypadł inaczej, i byłby niezatrwożył nikogo i został w całości: a że Rosyi, która w Polsce wszystkie prawa religijne i narodowe zdeptała, nie chodziło o tesame prawa gdzieindziej, tylko o rozszerzenie swego panowania, więc podyktowała Turcyi warunki pokoju, których Europa przyjąć nie mogła. Nieprawda w zamiarze, poparta drugą nieprawdą w wykonaniu, to jest siłą więcej pozorną niż rzeczywistą, zaprowadziły ją w przepaść, z której się tylko ostatniem upokorzeniem wydobyć zdołała.

Mówią niektórzy, że głównym powodem takiego obrotu rzeczy były te od niedawna tak jawnie i głośno występujące dążenia i namiętności, które panslawizmem nazwano. Zdaje nam się przecież, że panslawizm i jego rycerze tylko się znacznie do tego skutku przyczynili, ale nie oni stworzyli powody. Cokolwiek i ktokolwiek działa pod spodem, nie można nigdy oddzielać woli rządu od jego postanowień i kroków, ani rządu lub panującego od narodu. Skoro, choćby nawet wbrew swej woli i przekonaniu coś postanowił i zrobił, już to postanowienie stało się jego wolą, już on odpowiada za skutki. A jeżeli w państwach najbardziej konstytucyjnych monarcha fikcyjnie nieodpowiedzialny, rzeczywiście w ostatecznym rezultacie odpowiada za wszystko, bo on daje firmę, on podpisuje, on przyzwala, to o ileż więcej w rządach despotycznych odpowiedzialność nie da się nigdy zdjąć z rządu, a zwalić na kogo innego. Na rosyjskich fanfaronów siły i patryotyzmu spada, prawda, bardzo znaczna część odpowiedzialności: z ich łaski Rosya wybrała się na wojnę w złą porę, z ich łaski przeceniła siły własne, z ich łaski lekceważyła nieprzyjaciół, nie samych Turków tylko, ale świat cały, obiecując sobie, że go czapkami zarzuci. Oni popchnęli, oni winni niezaprzeczenie. Ale większa jest wina i odpowiedzialność rządu, który się dał popchnąć, który o Turcyi, Europie i własnej sile miał tyle wyobrażenia, co redaktorowie gazet; który ich sam podszczuł, rozkiełznał, rozpuścił, tak, że już powstrzymać nie mógł i musiał się dać przez nich ciągnąć. Tym wszystkim fabrykantom i woźnym opinii w Rosyi, nawet się dziwić nie można. Wszakżeż naród cały od Bóg wielu wielu pokoleń chowany i utrzymywany był w tej wierze, że

jego przeznaczeniem, jego prawem jest zabrać Konstantynopol i panować nad światem, i że jest niezwyciężony. To oni widzieli w swojej historyi, w polityce i postawie swoich carów, tego uczono ich w szkołach, to czuli w sobie jako najwyższy cel i wyraz swojego patryotyzmu. Cóż dziwnego, że kiedy im raz mówić pozwolono, powtórzyli to, czego się od wieków nasłuchali i napatrzyli: że powiedzieli głośno to, co było cichą myślą i żądzą ich rządu. Takiego rozumu jak miał Piotr albo Katarzyna, Aleksander i Mikołaj, od polityków brukowych żądać przecie nie można: a czując i wiedząc, że o tem tylko marzą, tegosamego chcą, o czem marzył Piotr i Aleksander, czego czciała Katarzyna i Mikołaj, mogli nawet w dobrej wierze mieć się za mądrych i usprawiedliwionych. Ich myśl była zupełnie tasama co we wszystkich od półtora wieku wojnach Rosyi i Turcyi: wykonanie tylko było gorsze, bo oni się do niego wmięszali. Myśl wyszła z gabinetu na rynek, wpadła pomiędzy ręce niezgrabne, głowy słabe i gardła krzykliwe; o polityce, której rozmiary rzeczywiście wielkie, mają się w stosunku odwrotnym do jej moralnej wartości, zaczęły radzić wszystkie hałaśliwe mierności imperyum. Oczywiście musiało się skończyć na głupstwie i szkodzie. Ale czy pan Aksakow, Katkow, lub jakikolwiek inny mógł wiedzieć, co myśli gabinet angielski lub austryacki? Czy *Gołos* miał możność i obowiązek dokładnej znajomości sił własnych i obcych? Czy *Nowoje Wremia* mogły zająć się administracyą wojenną? Nie! to wszystko rząd powinien był wiedzieć, on zanim przystał na wojnę, do której go pchano, miał sobie zadać to proste i znane pytanie: *„quibus auxiilis, quomodo, quando."* A że tego nie wie-

dział i nie zrobił, więc najcięższa odpowiedzialność spada koniecznie na niego.

A jak jego jest winą, że nie było rzeczywistej prawdy w tej sile z jaką Rosya wyszła w pole, tak on winien także, że nie było prawdy w zamiarze. Panslawizm jest tylko najnowszą, jeżeli się tak wyrazić wolno, formą rosyjskiej idei i namiętności; ale on z ducha Rosyi wyszedł, przez nią jest wychowany, i kiedy mówi że idzie się bić za wolność i wiarę swoich braci Słowian, robi tosamo zupełnie (tylko mniej źle), co robiła Katarzyna, ta Rosya wcielona, kiedy brała w opiekę polskich dyzunitów, albo poskramiała polskich *Jakobinów,* albo dla całości i bezpieczeństwa Rzeczypostolitej gwarantowała wolną Elekcyę i *Liberum Veto:* tosamo, co robił Mikołaj, kiedy po apostazyi Siemiaszki i krwawem prześladowaniu Unii na Litwie, bił medale na pamiątkę tej *miłości,* która ją *złączyła* nanowo z prawosławną cerkwią. I jeżeli to prawda, że panslawizm czy demokracya podyktowały Aleksandrowi II słowa jego manifestu do Bułgarów, to podyktowały to z myśli i ducha wszystkich poprzedników tego cesarza, i wiernie, dosłownie tak, jak się od nich nauczyły.

Wina i odpowiedzialność są więc wspólne i podzielone. Formę ostatniemu przedsięwzięciu Rosyi dały nowe żywioły, panslawizm i demokracya: ale duch i dążności były dziedziczne, tradycyjne, rdzennie rosyjskie i rządowe.

A gdyby trochę więcej prawdy, więcej zgodności między słowami a postępkami, między manifestem wojennym a warunkami pokoju, gdyby tę rolę jaką grała Rosya, była pojęła nie jako rolę, ale jako rzetelną swoją misyę, co za wspaniała byłaby karta w hi-

storyi i co za widoki w przyszłości! W wojnie samej, w przejściu Bałkanów naprzykład, było niezaprzeczenie coś heroicznego, epickiego; w działaniu dyplomacyi była śmiałość i zręczność połączona z jakąś dumą imponującą. Cel sam, oswobodzenie Słowian i chrześcian, był szlachetny i wzniosły, a skutek był już osiągnięty. Każdy naród na świecie mógłby był Rosyi zazdrościć tej karty jej dziejów, gdyby była rolę swoją do końca dobrze odegrała, gdyby oswobodziwszy Bułgaryę, usamowolniwszy Serbię i Czarnogórę, sobie samej zapewniwszy wszelkie odszkodowania i korzyści, była się zdołała powstrzymać od zaprowadzenia w tych krajach swojego zwierzchnictwa i rządu. Wpływ jej na Słowiańszczyznę (nietylko południową) nie byłby wtedy mniejszym, cała byłaby wielbiła oswobodziciela i zbawcę, a nawet Polska, choć tej wielbić i wierzyć tak trudno, byłaby zdumiona pytała: „Co to jest?“ czy nie stało się coś dziwnego i czy na tej białej karcie, o której mówi Mickiewicz, nie zacznie czasem „pisać palec Boski“. Tureckie morza, cieśniny i skarby stałyby jej otworem, a turecka moc opieraćby jej się nie mogła. W Europie zaś nie moralne tylko ale materyalne jej stanowisko byłoby podniosło się niezmiernie, bo nikt nie byłby miał powodu ani pozoru przeciw niej wystąpić, zatrzymać ją, wszyscy byliby musieli patrzeć spokojnie jak zbiera plony swoich trudów, a moralna przewaga stałaby się była w krótkim czasie nieprzełamaną materyalną potęgą na Wschodzie. Żeby do celu dojść, potrzeba było Rosyi tylko nieco umiarkowania, i potrzeba było prawdy.

Ale zamiast tego, szydło wyszło z worka; w San Stefano pokazała się prawda tego, co Rosya myśli i chce,

nieprawda tego co mówi. Cel szlachetny i wzniosły okazał się, czem był w istocie, żądzą panowania i groźbą dla świata, a wtedy skutek już osiągnięty wypadł z rąk i rozbił się jak dzbanek Lafontaina mleczarki. Wtedy rozległo się to groźne *Stój!* o którem z takiem rozkosznem uczuciem tryumfu opowiadał parom Wielkiej Brytanii jej pierwszy minister, — a zwycięzka Rosya posłusznie stanęła.

Z traktatu berlińskiego osiągnęła ona zawsze bardzo wiele korzyści: ale z poprzedniego, z jej własnego traktatu San Stefańskiego, została jej tylko jedna lekcya, jedna, ale wielka i tak wyraźna, jak jej dotąd jeszcze nigdy nie słyszała. Z całej tej karty jej dziejów wychodzi jasno jak słońce, jaskrawo jak upomnienie Baltazara, wypisane przykazanie: „nie będziesz brał imienia bożego nadaremno“. Rosya brała nadaremno, nadużywała imienia Bożego, imienia prawdy, prawa, wolności, kiedy im sprawami swemi urągała, i dostała teraz pamiętne. Można jej życzyć, żeby naukę wzięła na rozum i do serca. Rozwaga mogłaby przydać się jej tembardziej, że nie samo tylko to jedno przykazanie przestąpiła. Jak dziś przekroczenie drugiego, tak kiedyś może się na niej pomścić pogwałcenie piątego, albo siódmego, albo ósmego, albo dziesiątego, albo wszystkich.

Jednak nie ona wyszła najgorzej na tym kongresie. Zaszachowana na Wschodzie daleko prawdziwiej i skuteczniej niż pokojem paryskim w r. 1856, upokorzona bardzo, osiągnęła przecież wiele. Bądźcobądź jest ona wielkiem mocarstwem, którego, jeżeli się złamać nie chce lub nie ma odwagi, to do rozpaczy przywodzić je nie jest roztropnie. Anglia zawarłszy z Turcyą swój traktat w San Stefano i dostawszy ją pod swoje zwierzch-

nictwo, oczywiście ani chciała ani potrzebowała wojny, i mogła potem ustępować Rosyi we wszystkiem, co dla niej nie było rzeczą główną. Austrya? jakich ta trzymała się wyrachowań i planów, nie wiemy; ale skłonną do ustępstw nawet w tem, co dla niej zdaje się być rzeczą główną, była oczywiście, skoro Rosya wzięła Bessarabię, to jest jeden brzeg Dunaju i jedno jego ujście, i pozwoliła Rosyi zbliżyć się do Bułgaryi, do całej tej Słowiańszczyzny, która wobec Rosyi jest jej piętą Achillesa. *Uczciwy faktor* może niebardzo gorliwie Rosyi faktorował, ale ani chciał, ani mógł poświęcić jej zupełnie; i z Bessarabią, z Bułgaryą nateraz zajętą, a na przyszłość łatwo jej wpływom jeżeli nie wojskom dostępną, z Karsem, Ardahanem i Batum, Rosya wychodzi z tej sprawy ze zdobyczą nawet jak na zwycięzcę dość świetną, a cóż dopiero na takiego zwycięzcę, który się głośno przyznawał, że dalej zwyciężać już nie będzie. Nie wszyscy z takim zarobkiem wrócili z kongresu, choć byli tacy, coprawda, którzy wrócili z nierównie większym.

Nic świetniejszego jak wystąpienie Anglii po traktacie San Stefańskim, i jak tryumf odniesiony na kongresie berlińskim: nic zręczniejszego jak postępowanie angielskich dyplomatów. Nie było z pewnością skuteczniejszego środka do obrony interesów angielskich na Wschodzie, jak ta kombinacya, mocą której Anglia wzięła w dzierżawę Azyę Mniejszą, a w posiadanie wyspę, z której może mieć oko na azyatyckie wybrzeża, floty i wojska wysyłać gdzie zechce: a Turcyę pod swoją protekcyą. Ta dała może przykład państwom upadającym, jak mogą byt swój ratować a w najgorszym razie przedłużać: zrobiła tak, jak robi nieraz zadłużony

szlachcic polski, który niewiedząc już jak sobie radzić, oddaje majątek w dzierżawę lub w administracyą mądrzejszemu od siebie, wymówiwszy sobie tylko pewien skromny dochód. I zdarza się nieraz, że po latach takiej dzierżawy czy administracyi, majątek oczyszczony, zagospodarowany wraca pod zarząd właściciela, który jest znowu tak wielkim panem jak był. Czy ta dzierżawa nie stanie się wieczystą? czy drugie lub trzecie pokolenie dzierżawców nie zechce jej uważać za swoją własność, to inne pytanie. Ale na dziś, właściciel zbył się kłopotu, dochód ma zapewniony, własność niezaprzeczoną, a nadewszystko tę błogą pewność, że zamożny i potężny dzierżawca zyskując wiele na tym interesie, w który włożył znaczny fundusz własny, będzie musiał dbać o życie i bezpieczeństwo wygodnego jurisdatora. Turcya zrobiła zatem interes wcale korzystny, który jeżeli *choremu człowiekowi* zdrowia i sił powrócić nie zdoła, to wegetować pozwoli mu długo. Anglia odniosła tryumf, jakich niewiele w jej dziejach; przez Cypr, przez zarząd Azyi Mniejszej, panuje nad morzami i cieśninami, pilnuje Rosyi i na każdym jej kroku może stawić zaporę; tę część kwestyi wschodniej która ją obchodziła prawdziwie, rozwiązała po swojej myśli i stale, a jakie niewyczerpane źródła nowych bogactw znaleźć może w Azyi Mniejszej, tego sama nawet dziś wiedzieć nie może. I to wszystko bez wojny, bez wystrzału, bez wydatku, samym tylko rozumem i zręcznem korzystaniem z okoliczności. Ale, jeżeli narodowa duma Anglików może słusznie upajać się tym tryumfem, to bezstronny na uboczu stojący spektator ma prawo zadawać sobie pytanie, czy tasama ręka, która tak silnie ujęła ster spraw tureckich i tureckich

posiadłości, czy nie wstrzęsła czasem całym gmachem międzynarodowego prawa a przynajmniej jego tradycyi. Protestuje się przeciw traktatowi z San Stefano, bo on oddaje panowanie na Wschodzie w ręce jednego mocarstwa: równowaga Europy i jej bezpieczeństwo pozwolić na to nie mogą. Protestuje się tak silnie, z taką gotowością do wojny, tak się dumnie żąda żeby Rosya swój traktat poddała pod cenzurę wszystkich, że Rosya ustępuje i kongres się zbiera. Zasada uratowana: o tem co obchodzi wszystkich, nie można stanowić bez wszystkich wiedzy i zgody. Tymczasem, kiedy ci wszyscy przejęci ważnością swojej misyi wybierali się do Berlina, fatalna jakaś dziennikarska ciekawość i gadatliwość ogłasza światu, że w sprawie poddanej właśnie pod sąd tego areopagu, po za plecami areopagu, stanął już układ między dwoma przeciwnikami. Wieść o zawarciu angielsko-rosyjskiej konwencyi musiała zdziwić nieprzyjemnie spieszących na kongres dyplomatów: dowiedzieli się oni, że oszczędzono im połowę trudu, że nie będą potrzebowali łamać sobie głowy, ale poprostu przyszedłszy do gotowego, zatwierdzić tylko i wypracować w szczegółach układ, którego główne punkta były już faktem dokonanym. Zdziwienie większe zaś nierównie, kiedy podczas obrad kongresu i zawsze za jego plecami, wyszła na jaw konwencya angielsko-turecka, pod jego sąd i potwierdzenie nie poddana wcale. Protestować przeciw traktatowi z San Stefano w imieniu praw i interesów całej Europy, zwołać ją całą na kongres na to, by ten traktat obalić, a w tejsamej chwili, właśnie kiedy ten kongres zasiada, zawrzeć tajemnie z Turcyą swój traktat, takisam jak rosyjski z San Stefano, tylko o wiele jeszcze donioślej-

szy: zawarłszy go ani pomyśleć, ani przypuścić nawet, żeby mógł być pod czyjkolwiek sąd poddanym lub potrzebował czyjego potwierdzenia, ale ogłosić go jako fakt dokonany, i jak fakt niby naturalny, w porządku rzeczy, najprostszy w świecie — to było niezawodnie arcydziełem dyplomatycznej zręczności i śmiałości, ale było zarazem takiem lekceważeniem, takiem zadrwieniem z kongresu i z Europy, że zapytać po niem trzeba, kto jeszcze będzie wierzył w moc obowiązującą międzynarodowych paktów i zwyczajów, jeżeli tak w nie wierzą, tak je szanują ci sami, co w ich obronie podnoszą głosy i zwołują kongresy?

Dziwny był ten kongres. Z jednej strony dowodził zdaje się poczucia i poszanowania prawa narodów, zadał poniekąd fałsz głębokiemu i smutnemu słowu wesołego austryackiego dyplomaty, który po wojnie francusko-pruskiej, mówił: *il n'y a plus d'Europe.* Teraz pokazało się przecież, że jest jeszcze jakaś Europa, i że jak zechce może być mocniejszą od zaborczych aglomeracyjnych dążności, że prawo międzynarodowe i jego traktaty mogą być ponad prywatnemi traktatami zawieranemi przez strony wojujące, czy to w San Stefano, czy gdzieindziej. Politycznej zdolności i rozumu było w tym kongresie oczywiście więcej niż w Paryskim z r. 1856, bo wtedy jak dziś celem było powstrzymać Rosyę w jej dążeniu do opanowania Wschodu, a środek dziś wynaleziony jest od ówczesnego nierównie skuteczniejszy i pewniejszy; zdawałoby się zatem, że można nabrać pewnego zaufania do traktatów zawieranych przez naszych współczesnych ludzi stanu, do rzeczywistej bytności i wartości europejskiego prawa narodów; możnaby przypuścić, że jest jakiś porządek oparty na

jakichś zasadach. Przecież, nie ważąc lekko materyalnego dzieła kongresu, przyznając zupełnie, że celu swego dopiął lepiej i zręczniej od swego najbliższego poprzednika, możnaby zapytać, czy on sam nie jest symptomatem, a może dowodem, że prawo narodów, jak dawniej bywało, jego poszczególne artykuły (traktaty) jego tradycye i zwyczaje, straciły swoją rzeczywistość i żywotność, że zostały po nich formy niektóre napozór szanowane i przestrzegane, ale w rzeczy nie wierzą w nie, nie zachowują ich, śmieją się z nich, ci sami nawet, którzy w obronie ich występują.

Mówiąc tak, nie mamy na myśli Bessarabii, oderwanej od Multan prawem chyba, jak się dawniej mówiło, kaduka. O zasady, o moje i twoje, dawno już nauczono nas nie pytać w sprawach politycznych, i temu zaborowi nie dziwimy się bynajmniej. Rumunia była mała, słaba, bronić się nie mogła: Rosya żądała Bessarabii, w której mieściła jakiś punkt honoru niby, a naprawdę przydatny punkt operacyjny: trzeba było dać jej jakąś satysfakcyę, osłodzić ciężkie upokorzenia, ułatwić ich przyjęcie, nic naturalniejszego jak że koszta komplanacyi zapłacił najsłabszy. Biedna Rumunia! drogo okupiła swój tytuł *niepodległej*, i dowiedziała się jak jest niebezpiecznie wchodzić w spółkę z wielkimi. Dobroduszny bocian z bajki, który wilkowi kość z gardła wyciągnął, a potem upomniawszy się o nagrodę cieszył się, że uszedł z życiem, mógłby jej służyć za stósowny herb, a przynajmniej za naukę. A jeżeli cała jej dawna i współczesna historya nie wzbudza u nas wielkiego dla niej zapału, to ta ostatnia karta budzi współczucie. Pragnęli niepodległości, któż im się może dziwić lub brać za złe? bili się dobrze, dali wyniszczyć swój kraj do

ostatka, a gdy się skończyło, odprawiono ich gorzej jak murzyna z Fiesca, bo murzyn odszedł przynajmniej z tem co miał, a im odebrano co było ich. Bodajby chociaż skutkowała ta lekcya, i nauczyła ich z kim na przyszłość łączyć się i komu bezpiecznie wierzyć mogą.

Los, który ich spotkał na kongresie, jest czemś tak zwykłem, że prawie nie robi wrażenia. Mała krzywda wyrządzona bardzo małemu państwu! nie ma nawet o czem mówić. Było ich tyle większych nierównie! Ale co zupełnie nowe, a o stałości naszych zasad i faktów niedobrze świadczące, to takie postąpienie Anglii, która powoławszy Rosyę przed sąd Europy, w tejsamej chwili zrobiła tosamo, o co tamtę oskarżyła: to Rosya, która otwarcie, jawnie bez pudoru, ogłasza i zbiera składki na statki korsarskie, kiedy sama tak świeżo podpisała uroczyste potępienie i wyrzeczenie się tego podejrzanego środka wojowania. Następca tronu, który sam swojem imieniem zasłania korsarzy, a swoją w przyszłości cesarską purpurę wywiesza na nich, jak żeby w zastępstwie tej flagi której nie mają, to jest podobno nowe w dziejach świata, — jak nowym jest widok państwa i monarchy, który nazajutrz po ratyfikacyi traktatu ogłasza w dzienniku urzędowym swoim poddanym, że w ten traktat nie wierzy, ani go dochować myśli: „Podpisałem, bom musiał, ale nie bójcie się, jak tylko będę mógł zrobię to co wy wiecie, i co chcecie; a ten pokój, który podpisałem, to tylko potrzebne wytchnienie, po którem znowu wydam wojnę. Ten pokój nic nie znaczy, mój podpis nie obowiązuje ani mnie, ani was, bo go kładłem z mentalną restrykcyą i cofnę przy pierwszej sposobności.“

Czy dawni dyplomaci mieli więcej dobrej wiary, więcej rzetelności i poszanowania swego słowa? Może nie, ale umieli przynajmniej zachowywać pozory. W pewnym nowym, niebardzo pięknym, ale bardzo skwapliwie czytanym romansie, jest dyalog jeden między dwoma ludzmi wątpliwej uczciwości, ale niewątpliwej zręczności w zachowywaniu pozorów właśnie. Jeden z nich nazywa siebie i towarzysza ludźmi honoru, drugi go poprawia, dajmy pokój tym szumnym słowom, powiedzmy o sobie *gens de tenue.*—Otóż w r. 1815 naprzykład, albo nawet w 1856, rzetelnego honoru nie było może wiele, ale była jego hypokryzya, była *la tenue.* Dziś i ta znikła, a z nią ostatki tradycyi dawnego prawa narodów. Istoty rzeczy nie było już dawno, ale zostały jej ślady w pewnych pozorach i formach: w tem że i te dziś znikają, można podobno upatrywać oznakę końca, a bliskości czegoś nowego, koniecznego, i może rzeczywistszego niż to co było.

Oto cośmy mieli na myśli mówiąc na początku, że zawarty pokój nie budzi w nikim ufności, że potop się nie skończył, ale się tylko cofnął na krótki czas, żeby za chwilę groźniej powrócić. Niewidać tęczy, znaku przymierza pomiędzy niebem a ziemią, bo w poronionem dziele nie było tej mądrości, która daje stanowczość i siłę, ani tej sprawiedliwości, tej wyższej zasady, która jedna tylko daje prawdziwą mądrość. I Rosya ma słuszność kiedy mówi, że ten pokój to tylko krótkie zawieszenie broni, a całym jego skutkiem zdaje się być to jedynie, że mechanicznie terytoryalnie zbliżył do siebie wszystkie sprzeczne interesa, dążności, tak, że zderzenie da się może przewlekać, ale się nie da uniknąć. Anglia i Rosya, Rosya i Austrya tak się

z sobą stykają na wschodzie, a tak sobie tam nawzajem przeszkadzają, że rozprawić się ze sobą stanowczo i nie już pośrednio na gruncie i grzbiecie Turcyi, ale wprost, koniecznie będą musiały.

A to, co przed miesiącem było tylko przewidywaniem i obawą, dziś jest już faktem. Na wypogodzonym horyzoncie wychodzą już chmury czarne i groźne, i mówią wyraźnie że to marcowe słońce, które się lada chwila zaćmi wichrem i śniegiem i gradem.

Austrya weszła do Bośnii i Hercogowiny. Stało się, czego dla niej obawialiśmy się najbardziej, nie my tylko Polacy, których zawsze o własne cele posądzać można, ale wszyscy życzliwi Węgrzy i Niemcy, taksamo, jak Polacy. Weszła z polecenia Europy całej, z zaszczytnym mandatem zaprowadzenia ładu i dobrego rządu tam, gdzie Turcya utrzymać go nie zdołała: z chlubną misyą, z chlubną ufnością mocarstw, miała nieść na wschód sztandar cywilizacyi, tarczę przeciw Rosyi i uspokojenie. A wszedłszy zastała tam wojnę, i każdy wąwóz, każdy gródek, każdą piędź ziemi prawie, musi kupować i zdobywać krwią swoich żołnierzy. Że zdobędzie, że stłumi ten opór, o którym nikt nawet dobrze nie wié jaki on jest, słowiański czy turecki, czy jeden i drugi razem, czy czysto-powstańczy, albo i skrycie rządowy także, czy ze Słowiańszczyzny sąsiedniej lub z Konstantynopola, lub dalej z zagranicy poddmuchnięty, że go narazie stłumi, to pewna, bo na siłę większą ją stać. Ale cóż z tego! zwycięztwo tego nie zmieni, że jak dziś opór jawny, tak potem będzie opór skryty i głuchy i ognisko wiecznych przeciw Austryi knowań i powód wiecznych do niej zaczepek.

Jak łatwo byłoby dziś natrząsać się z tego polityka, który przyjął mandat okupacyi, a nie pomyślał o tem, nie dowiedział się naprzód, jakie będą tej okupacyi skutki i jakie jej przyjęcie? Jak łatwo przyszłoby przypominać te wszystkie przestrogi ze wszech stron dawane Austryi, żeby drugi raz nie chodziła do Szlezwiku i Holsztynu, albo pytać, jakiem czołem, z jakiem tłómaczeniem stanie przed Izbami minister spraw zagranicznych, który tyle razy tak wymownie, tak stanowczo i uroczyście oświadczał, że nie pójdzie do Bośnii i wbrew swoim zaręczeniom a ich przekonaniom i przestrogom tam poszedł! Jak łatwo nam zwłaszcza Polakom co od lat piętnastu powtarzamy, że panslawizm czyha na rozbiór Austryi, dziś, kiedy on zgotował jej niespodzianą wojnę, byłoby stać na boku ze złośliwie udanem zdziwieniem i *pytać: A co to?* Jak łatwo, kiedy Austrya tam poszła i zaślepienie swoje płaci krwią, byłoby jej powiedzieć: *Tu l'as voulu.* Ale rzecz jest za smutna. Niech patrzy z boku i zaciera ręce ten Turek, który przez Austryę nie broniony, przepowiadał jej niedawno, że po kwestyi tureckiej nastąpi austryacka: albo ten rosyjski publicysta, co swoim drogę do Stambułu wskazywał na Wiedeń: albo ten wreszcie, co od tak dawna powtarza, że środek ciężkości Austryi powinien być przesuniętym na Wschód: ci mogą się cieszyć. My, cośmy cesarzowi i państwu szczerze życzyli i radzili uczciwie, my, cośmy los własny z ich losem związanym i od niego zależnym widzieli, my czujemy dziś tylko gorycz popełnionego błędu, a przeczuwamy niebezpieczeństwo i do ironii nie mamy humoru. Wiemy oddawna, że do wojny między Rosyą i Austryą przyjść musi, a życząc Austryi zwycięztwa, pragnęliśmy, żeby

wojnę tę podjęła w najlepszych możliwych warunkach: a nie stało się jakeśmy chcieli, jeszcze raz polityka polska jest pobita. Jednak nie myliła się ona, dobrze wiedziała i dobrze radziła. Przepowiadała wojnę, dziś już ją wszystko zapowiada, już nie same tylko organa rosyjskiej opinii rzucają się wściekle na Austryą, ale sam organ rządu przyrzeka głośno, otwarcie, że Rosya w zamysłach swoich i zaborach nie spocznie. Dziś sama logika, sama natura rzeczy i ludzi wskazuje, że każdy rząd i każdy cesarz rosyjski, dbały o swoją władzę, o swój wpływ, o sam swój byt może, będzie musiał dać satysfakcyę obrażonemu, upokorzonemu uczuciu narodu i szukać odwetu za zdarty pokój San-Stefański, a podpisany Berliński. A gdzież go poszuka? W Turcyi? Nie: tam Anglia, którą się straszy wyprawą na Indye, ale której się w Azyi Mniejszej ani na Bosforze nie zaczepi; droga do Konstantynopola zamknięta i marzenie o nim trzeba odłożyć na wiek cały, jeżeli nie zapomnieć do szczętu. Jest zaś kto inny, bliższy, na którym łatwiej wywrzeć nienawiść i zemstę i zaspokoić żądzę zaborów, bo nie trzeba ścigać go po morzach, bo pod wszystkie jego słowiańskie prowincye zdawna podkopało się miny, podłożyło prochy, tak, że w zdarzonej porze tylko zapał przytknąć zostanie. Czy to się stanie zaraz? Zapewne nie, Rosyi potrzeba czasu by wytchnąć z trudów i wygoić się z ran ostatniej wojny, ale się stać musi i stanie niechybnie. Tymczasem niech się Austrya zabawia Bośnią i Hercogowiną. Jak Turcya z bułgarskiem powstaniem, z wojną serbską i czarnogórską, tak ona pasować się będzie z mniejszemi i większemi spiskami i powstaniami, tracić siły, czas i pieniądze. W Serbii, w Czarnogórze, w Bośnii samej

nietrudno stworzyć i rozżarzać ogniska *słowiańskiej* nienawiści i agitacyi przeciw Niemcom i Węgrom ciemiężycielom, wrazie potrzeby można i Turcyę poruszyć, obiecać jej to lub owo, pokazać jej jak obrońcy zagarniają jej prowincye, jeżeli Bóg poszczęści, popchnąć ją nawet do wojny, zawikłać, zaplątać Austryę w te wschodnie pęta tak, żeby się ruszyć nie mogła; niech się te drobne walki przeciągają, niech się ślimaczą, niech ją ze sił wyczerpią jak wrzód, a wtedy, kiedy ona już się dobrze osłabi, a my wzmożemy się cokolwiek, wtedy...

Wtedy wojna, jak w r. 1866, wojna na dwóch granicach, bo dla czegóż Włochy nie miałyby wziąć Albanii, jeżeli Austrya wzięła Bośnię, albo wziąć Dalmacyi, która im się oczywiście z prawa należy jako spadkobiercom Rzeczypospolitej weneckiej? bo *Italia irredenta* wyciąga do nich ramiona i woła o wybawienie, bo Włochy mają i apetyt dobry i talent do pieczenia swoich pieczeni przy cudzym ogniu. Wojna bez sprzymierzeńców: — bo któż do niej pomoże? Czy Anglia? ta zrobiła i zdobyła na Wschodzie wszystko czego potrzebowała, a jeżeli gotowa była do przymierza kiedy dopiero do swego celu dążyła, to dziś dopiąwszy go nie ruszy się dla miłości drugich. Czy Prusy? ten sprzymierzeniec, który chce Austryę *nach Osten versetzen*, faktorował uczciwie w Berlinie i dotąd zadarmo. A przecież i jemu należy się coś za trudy. Kto wié, czy on w takim razie usług swoich nie przypomni, nie poda rachunku? Kto wié od kogo i jakiego faktornego zażąda? Oto, co mówił oddawna rozsądek, znajomość ludzi i historyi i sama natura rzeczy. Oto, co dziś mówi całą swoją postawą i wszystkiemi swemi głosami Rosya,

co mówią Włochy, co mówi najwyraźniej zbrojny opór w Bośnii.

I w takie położenie wejść samochcący! Pchać się na Wschód, kiedy całą siłą pcha tam nieprzyjaciel jeden, a drugi czyha tam zbrojny całym zasobem dawno nagromadzonych środków zaczepnych? Iść tam, jak na przechadzkę wojskową, z lekkiem sercem i głową swobodną, „jak młode pacholę ze strzelbą na ramieniu świszcząc iść na pole“ a wpaść w przepaść, z której wyjście Bóg jeden wié jak trudne; nie słuchać tych, co ostrzegali zawczasu, przypominając świeżą holsztyńską naukę, ale słuchać dawnego holsztyńskiego towarzysza broni i z rąk jego przyjmować ten dar niebezpieczny, wiedzieć czem jest panslawizm dla Austryi, a własnemi rękami odsłonić mu swoją pierś, żeby w nią godził; zrobić to wszystko, będąc austryackim ministrem i Węgrem do tego! to ogrom błędów, który łatwiej widać da się popełnić, aniżeli zrozumieć. Więc za nic wszystkie nauki i wszystkie fakta dawnej i najnowszej historyi? więc pamięć roku 1866 już wywietrzała? więc w Austryi wszyscy Niemcy, Polacy, Węgrzy, wszystkie dzieci i wszystkie wróble na dachu wiedzą i mówią, jakie są rosyjskie względem tego państwa zamysły i cele, a nie wiedzą tego tylko ministrowie spraw zagranicznych? Więc na to wszystkie żaki uczą się na pamięć *Timeo Danaos*, żeby mężowie stanu nie pamiętali tego wiersza i przyjmowali Bośnię z tej ręki, która Austryi Szlązk zabrała, a potem ją z Niemiec wypchnęła? Więc kiedy ta Rosya, która całym swoim ogromem wali się na Austryę, a całym swoim jadem i podstępem ją rozkłada i rozsadza, znękana, wycieńczona, zginąć mogła od jednego zamachu, kiedy jednem słowem można

było angielską flotą, angielską energią, angielskiem złotem, zapewnić sobie spokój z tej strony nazawsze, to mądrować i przemądrować i wypuścić Rosyę z tej matni, a samemu w nią wpaść? Nie wydać wojny, kiedy nieprzyjaciel ledwo żywy bronić się nie mógł, a potem być zmuszonym ją prowadzić, jak i kiedy się temu nieprzyjacielowi spodoba? nie wydać jej w przymierzu z Anglią i z Turcyą, ale czekać, aż ją Rosya wyda w przymierzu z Włochami? chować swój geniusz na wielką okazyę, doczekać się takiej, jaką los raz tylko na wiek państwom daje i tak z niej skorzystać...

Albo może Rosya i Prusy nie są nieprzyjaciółmi Austryi i nie czyhają na jej zgubę, a te wszystkie obawy to polskie przywidzenia i szaleństwa? Niestety wiek już temu blisko, jak jeden z tych szalonych Polaków powiedział, że Rosya i Prusy zaczęły rosnąć wtedy, kiedy w Europie miejsca na nowe państwa już nie było, i one róść mogły tylko kosztem drugich. A odkąd nikt nie położył im tamy, odkąd im pozwolono zabrać Polskę, one silniejsze tym zaborem będą chciały i będą musiały rzucać się na innych. Co do Prus, sprawdziły się podobno te słowa na Francyi i dwa razy na Austryi: co do Rosyi sprawdziły się na Turcyi, a odkąd do tej zamknęła się droga, sprawdzą się, Rosya bynajmniej tego nie tai, na Austryi. Prusy też dzieła swego nie ukoronowały jeszcze, nie cała dawna Rzesza zjednoczona jest pod nowym cesarzem. Są więc wrogi, jest niebezpieczeństwo, jest bodaj czy nie kwestya życia lub śmierci; i kiedy z tych nieprzyjaciół jeden był w matni, nienależało go z niej wypuszczać. Macchiavel mówi: „kiedy twój nieprzyjaciel wpadnie w błoto po pas, podaj mu rękę i ratuj: ale kiedy wpadnie po szyję, nastąp

mu nogą na głowę i pogrąż w błocie na wieki". Rosya była w błocie po szyję; Austrya jej na głowę nie nastąpiła, i sama wpadła w błoto po kostki, daj Boże, żeby nie po kolana. Jest w Bośnii, ale krok za krokiem, dom za domem zdobywa w Serajewie ognisko przyszłych panslawistycznych spisków; a dzienniki mówią o potrzebie użycia sił znaczniejszych (czyżby to miało eufemicznie wyrażać mobilizacyę?). Słowem stoi wobec trudności wszelkiego rodzaju. Dyplomatycznie jest podobno zawsze w dawnem potrójnem przymierzu, Drei Kaiserbund. A choć jak złośliwy jakiś Wiedeńczyk mówił, że z tego przymierza trzech cesarzy, ubył trzeci ze śmiercią króla Wiktora Emanuela, to na króla Humberta liczyć można, że swoją rolę trzeciego w tem przymierzu taksamo jak ojciec odegrać zechce. *„Das hat er gethan, der grosse Künstler!"*

Źle jest, i gorzej niż można było przewidywać. Przed miesiącem jeszcze, kiedy Austrya miała iść do Bośnii, z uchwały kongresu, można było cieszyć się, że nie idzie wiedziona w pole przez Rosyę, że uniknęła tego błędu, jaki popełniła niegdyś w Holsztynie, a robić sobie nadzieję, że okupacya spokojna i rząd pod którym każdemu wolno chwalić Pana Boga jak chce i mówić własnym językiem, będzie skuteczną zaporą przeciw rosyjskiemu panslawizmowi. Dziś już łudzić się trudno: zamiast spokojnej okupacyi jest wojna, z jakimiś nieoznaczonymi powstańcami naprzód, w przyszłości Bóg wié z kim jeszcze być może; a ta wojna gdyby nawet nie kosztowała tyle co kosztuje i skończyła się na kilku zupełnie małych utarczkach, byłaby straszną, bo wskazywałaby przyszłość nieustannych zawikłań, spisków i walk. To nie jest powtórzenie wyprawy Szlez-

wicko-Holsztyńskiej, ale coś gorszego: to jest tosamo, co się zaczęło z Turcyą w roku 1876, niepokojenie, szarpanie jej przez małych, dopóki wielki nie przygotował się do wojny. Ale gdyby nawet i tak nie było, gdyby po stłumieniu tego oporu, który rychlej czy później nastąpić musi, nastał w Bośnii spokój zupełny i niczem nie zamącony, gdyby Turcya ustąpiła Austryi swoich praw zwierzchniczych, Serbia i Czarnogóra szczerze szukała w niej punktu oparcia, a kraje zajęte z jednomyślną wdzięcznością poddały się jej panowaniu, to i wtedy jeszcze ten dar Danajski miałby wartość wątpliwą bardzo, a posiadanie jego sprowadziłoby koniecznie tysiące pytań do rozwiązania trudnych. Jak urządzić stosunek tych krajów do reszty Monarchii? Wcielić je do węgierskiej czy do austryackiej jej połowy? [albo może wbrew Niemcom i Węgrom zwalić panujący dualizm i narazić się na skutki takiego śmiałego kroku? Jak tam rządzić i przez kogo? krajowcy urzędników przecież nie dostarczą, a zkądże brać przychodnich? Z Węgier? to ich rządy kierowane zawsze nienawiścią do Słowian, wywołają, stworzą oppozycyę i tęskne marzenia o wyswobodzeniu, o słowiańskiej jedności i o Białym Carze jej patronie. Z Czechów, Kroatów, Słowaków? a któż zaręczy, że między tymi nie znajdą się gorliwi apostołowie panslawizmu? Ale dajmy, że na wszystko jest rada, że ze wszystkich trudności wyszło się zwycięzko i Bośnia jest najszczerzej i najwierniej przywiązaną prowincyą Austryi i najmocniejszą jej fortecą przeciw panslawizmowi, to wtedy dopiero co? Pozycya może bardzo silna zajęta przeciw Rosyi na południowych granicach Państwa, w chwili, kiedy Rosya odparta od południa przez Anglię musi przenieść

swoją podstawę operacyi gdzieindziej i Austryą tylko od północy atakować może. Gotowiśmy wierzyć, że nie nastąpi to tak rychło, choć przysięgaćbyśmy nie śmieli czy rosyjska namiętność i rosyjska śmiałość nie upatrzy jakiej chwili sposobnej, kiedy siły austryackie zatrudnione będą na południu i nie skorzysta z niej, żeby śmiałym zamachem otworzyć sobie drogę w środek austryackich posiadłości. Ale przypuśćmy, że tak źle nie będzie: że Rosya wycieńczona wojną, a przerażona swoim dość groźnym zaiste stanem wewnętrznym ekonomicznym i socyalnym, długo nie będzie mogła myśleć o tej wojnie, którą tak otwarcie zapowiedziała; to i w tym razie jeszcze, w tym najlepszym, po latach, czy łatwo będzie prowadzić dwie wojny naraz na dwóch granicach państwa, i jakie są rachuby, jakie widoki przymierzy i pomocy, które Austrya postawi naprzeciw tej rosyjsko-włoskiej kombinacyi? Prawda, może do tego nie przyjść zaraz, nie przyjść wcale; może się coś stać, Rosya może wpaść w stan społeczny, który jej nie pozwoli myśleć o wojnach i zaborach. Ale jeżeli naprzeciw niebezpieczeństw tak rzeczywistych i tak groźnych austryaccy politycy mają do postawienia tylko możliwość zmian i wstrząśnień w Rosyi, to mogą zawieść się tak, jak nieraz zawiodła się Polska, kiedy liczyła na swoje nieszczęściem zbyt zwykłe środki zwycięztwa, na klasyczną *Rewolucyę w Petersburgu* i na *jakoś to będzie.* A choć przy wielkiej i walecznej armii rozpaczać nie ma powodu, to tryumfować w takim zbiegu okoliczności nie ma się też prawa.

I oto w jakim stanie kongres postawił czy zostawił Europę: Turcya napół już podzielona, pewna niby tego co jej zostało pod opieką Anglii, ale otoczona ro-

jem małych sąsiadów pożądających drugiego jej rozbioru; Anglia zaspokojona i pewna swego, ale tego nie pewna wcale, czy nabytych wpływów i posiadłości nie będzie zmuszona bronić orężem; Włochy czekające tylko (jak się ktoś złośliwie wyraził) pierwszej przegranej bitwy, żeby urwać jakiś kawałek czegoś i gotowe w tym celu połączyć się z każdym i przeciw każdemu; Francya do stanowczego wystąpienia dziś jeszcze niezdolna; Austrya zawikłana w sprawę swojego nowego niebezpiecznego nabytku, z nieprzyjaciołmi dobrze widzialnymi a sprzymierzeńcami, których dojrzeć nie można; Rosya, która za swoją klęskę pomsty na kimś szukać musi, i Prusy, które za swoje faktorskie usługi na kimś dochodzić muszą wynagrodzenia. Tyle palnego materyału razem dawno niewidziało się w Europie, i nie dziw, że świat z nieufnością i strachem patrzy na ten pokój, jak żeby sobie mówił, że „przed burzą bywa chwila cicha i spokojna“, ale jak burza się zacznie, to może być taka, że nie piorunami strzelać i gradem tłuc będzie, ale wulkanami buchać i trząść całemi lądami.

A i ci od niej nie pewni, którym z zewnątrz nic niby nie grozi, i rosyjska i sama nawet straszna pruska potęga zdaje się dotknięta jakiemś wewnętrznem niezdrowiem. Być może, że w Rosyi rzeczy nie znaczą tego co gdzieindziej, ale na całym świecie symptomata takie uchodziłyby za bardzo złowieszcze. Dalecyśmy od uwielbienia politycznych morderstw, i Wiera Zazulicz bohaterką naszą nie będzie nigdy. Owszem, nie możemy bez oburzenia i goryczy myśleć o społeczeństwie, które z dziką radością klaskało okrucieństwom większym milion razy kiedy się spełniały na Polakach, a pomściło barbarzyństwo, w porównaniu z tamtemi prawie żadne,

kiedy było spełnione na jednym ze swoich. Przecież oburzenie na barbarzyństwo jest w Rosyi czemś tak niezwykłem i nowem, że gotowiśmy widzieć w niem postęp, a czyn Wiery Zazulicz, który wszędzie indziej byłby poprostu złym, tam może się wydawać niby szlachetnym, skutkiem przewróconych pojęć i zasad nieistniejących ale niezłych popędów. Ale uniewinnienie zabójstwa przez przysięgłych, ale aplauz dany temu werdyktowi przez sam kwiat stołecznej ludności, ale owacya zrobiona uniewinnionej, to są oznaki nietylko przewróconych pojęć moralnych w narodzie, ale takich w tym narodzie uczuć, które mogłyby z czasem wydać coś bardzo dla rządu groźnego. A to zabójstwo nie jedyne: w Odessie i w Moskwie samej rozruchy, w Kijowie tajemnicze morderstwa, we wszystkich miastach prawdziwej Rosyi tajemnicze plakaty i bezimienne listy grożące śmiercią rządowym figurom, miecz Damoklesa zawieszony nad każdym wysokim urzędnikiem, a spadający wreszcie na świętą i nietykalną głowę Naczelnika Żandarmów, Ministra tajnej policyi, szefa *Trzeciego Oddzielenia!* to jest tego w Rosyi człowieka, który po cesarzu był zawsze największy i najstraszniejszy... to wszystko dowodzi, że czasy Mikołaja daleko, i że Rosya po tej drugiej wojnie wschodniej skupia się w sobie czy nie skupia, ale się z pewnością w sobie przemienia, fermentuje i burzy. A wobec takich faktów artykuły lub mowy dziennikarzy są czemś bardzo małem zapewne: przecież ciekawym symptomatem były słowa, w których namiętny trybun moskiewski pan Aksakow wylewał żółć swoją na rosyjskich dyplomatów i kongresowych pełnomocników. „Zdrajcy to bez głów i bez sumień, którzy w Berlińskim traktacie zdeptali

honor Rosyi, sprzedali jej krew, i przeszachrowali jej prawa. Ale nasz wielki, nasz mądry, nasz wspaniałomyślny Imperator, oswobodziciel milionów poddanych i uciemiężonych Słowian obrońca, on tego dzieła ohydy nie potwierdzi, nie podpisze, podpisać nie może!"... — A jeżeli podpisze, jak istotnie podpisał, bo podpisać musiał, więc cóż wtedy? Więc on będzie takim jak ci jego pełnomocnicy? Wniosek nie wypowiedziany, ale jasny jak słońce; i jasne także, że gdzie takie rzeczy się mówią i piszą, tam chwiać się muszą podstawy tronów i korony na głowach monarchów. Aksakow poszedł na wygnanie, to prawda, ale *Wiestnik* urzędowy pospieszył przecie ogłosić, że pokój jest żartem tylko, czemś nakształt rewersu, który się podpisało, ale którego się płacić nie myśli. Wygnany Aksakow dostał jakąś przecie i niemałą satysfakcyą, a słowa jego były i rozszerzyły się, i nic ich zmazać ani zatrzeć nie zdoła.

A jeden jeszcze drobny, ale kosztowny symptom tego przerabiania się Rosyi i tego jej wewnętrznego niezdrowia, widzieć można w zachowaniu się jej dostojnego kanclerza na kongresie. Kiedy przyszła na stół sprawa Bułgaryi, i kiedy trzeba było zadać sobie ten przymus bolesny, żeby oświadczyć, że Rosya ustępuje od swoich San-Stefańskich stypulacyj, książę Gorczakow nie przyszedł na posiedzenie. Upokorzenie, odpowiedzialność, całe odium przed rosyjską opinią (ale dodajmy i całą zasługę przed rosyjską historyą) zostawił swoim kolegom, a sam salwował swoją odpowiedzialność i swoją popularność. Takie małoduszne poświęcenie obowiązku dla popularności widywało się czasem u nas w Polsce, i było jedną z najbrzydszych, najsamolubniejszych, najtchórzliwszych stron naszego charakteru.

W Rosyi przeciwnie bywała dotąd jedna wielka cnota, solidarność w nieszczęściu, i odwaga zrobienia tego co dobro państwa wymaga, bez uwagi na to co ludzie powiedzą. Dziś ta dawna rosyjska cnota zdaje się przeradzać w tę bodajby przedawniałą polską wadę, a pierwszy widoczny przykład daje pierwszy dygnitarz państwa i sternik jego zagranicznej polityki. Nie zdarzyły się takie rzeczy, kiedy Napoleon był w Moskwie, ani kiedy Batory szedł na Psków. Nadużycia i kradzieże w administracyi wojennej, to nie nowe, choć nigdy, jak ludzie mówią, nie dochodziły tak wysoko w cyfrach, i w figurach które się przeniewierstwa dopuszczać miały; ale to małoduszne ratowanie popularności własnej, zrzucenie na drugich odpowiedzialności za czyn przykry, o którego konieczności i zbawienności jest się w głębi duszy przekonanym, to jest zupełnie nowe, i jest oznaką małą ale niemylną, że coś tam próchnieć musi w tej rosyjskiej Danii.

A w Prusiech? *Welche Wendung durch Gottes Fügung!* Dawny król pruski (i dla Prusaków podobno bardzo dobry król i człowiek), a dziś cesarz zjednoczonych Niemiec, ten co spełnił wszystkie marzenia narodu, a jego miłości własnej dał satysfakcyę najzupełniejszą może jakiej naród jaki doznał w historyi, kiedy koronę cesarską kładł na głowę w zwyciężonym kraju nieprzyjacielskim, we własnym pałacu Ludwika XIV, ten sam stary Wilhelm, Wilhelm zwycięzca, Wilhelm wskrzesiciel cesarstwa, dwa razy w przeciągu jednego tygodnia wzięty na cel i omal nie zabity na ulicach swojego Berlina! Nie mamy powodu, my Polacy, kochać króla pruskiego: ale tego nie możemy zaprzeczyć, że Niemiec, który do niego strzelił, niemieckiego uczucia

musiał chyba nie mieć za grosz. I cóż się stało? Skrytobójstwa i królobójstwa *im Reich der Gottes Furcht und edlen Sitte!* Zbierają co sami zasiali. Bo dla czegóż Hödel i Nobiling nie mieli strzelać do króla? że król? a cóż to jest król? czy królestwo jest czemś i czy ma lub daje jakiś osobny charakter i jakieś prawo? Gdyby tak było, to król pruski nie byłby się targnął na królestwo swojego hanowerskiego sąsiada i krewnego. Bo życie Wilhelma potrzebne dla dobra państwa? Kiedy Nobiling rozumiał dobro państwa inaczej: a któż wie, czy jego czy króla pojęcie było dobre i słuszne. Więc może dlatego, że król był człowiekiem i że jest jakieś przykazanie Boskie, które ludzi zabijać nie pozwala? Nad takie przesądy państwo oświecone, *Culturstaat* i jego obywatele wznieśli się już dawno; wszakże uczą ich od wieku, że cokolwiek dziać się może za światem, na świecie jedynym Bogiem jest państwo, jego interes jedynem prawem, nad którego wyższego (rząd pruski stwierdził to nieraz i świeżo jeszcze w swoich prawach majowych) nie ma, być nie powinno i nie może. A zatem jeżeli w przekonaniu Hödla i Nobilinga interes państwa wymagał śmierci króla, więc wniosek ztąd jasny, że wedle pojęć i zasad, których przykład i wzór dawał sam rząd pruski, Hödel i Nobiling mieli zupełne prawo króla zabić; a jeżeli inni, katolicy naprzykład lub Polacy mają prawo ich potępiać, to sądy pruskie gdyby chciały być w konsekwencyi z ideami i zasadami swego państwa i kodeksu, powinny były conajmniej wynaleźć dla oskarżonych wiele okoliczności łagodzących.

Ale w przerażeniu niedbano o logikę i konsekwencyą; Hödla stracono, z Nobilingiem jak przyjdzie do zdrowia, stanie się tosamo, a potężne, najpotężniej-

sze w Europie państwo Pruskie kuje osobne prawa przeciw niebezpiecznym socyalistom. Zły to znak, kiedy się tak pod strachem pisze wyjątkowe prawa z powodu pewnych wypadków i przeciw pewnym ludziom *ad hoc*, bo znak osłabienia i praw powszechnych i państwa. A jeżeli, jak ostatnie wybory zapowiadać się zdają, rząd w nowym parlamencie większości mieć nie będzie? jeżeli poparcia w nim nie znajdzie i będzie zmuszony jeszcze raz go rozwiązać, albo przed nim ustąpić? jeżeli te stowarzyszenia socyalistów, stłumione i prześladowane na powierzchni ziemi, a zbyt już silne żeby na rozkaz zniknąć mogły, skryją się pod ziemię i tajnie robotę swoją dalej prowadzić zechcą, cóż wtedy?... Nie, nie wszystko złoto co się świeci, nie wszystko zdrowe i czerstwe *im Reich der Gottes Furcht und edlen Sitte*, a na horyzoncie pruskim ukazują się punkta tak czarne, że aż sam książę żelazny i nieustraszony zląkł się i przeżegnał się na ich widok. Nuncyusz papieski zaproszony był do Kissingen na świadka tego przeżegnania.

A myż w tem wszystkiem? jak stoimy i co robić mamy lub możemy? My, naprzód, spadliśmy z konia, tego sobie taić nie możemy, ani sofistycznie próbować w siebie wmawiać, że to upadek mały i nieznaczący. Jest on bardzo wielki i bardzo ciężki. Oddawna, a od czasu jak Rosya pełnemi żaglami nieść się dała prądem panslawistycznym już zupełnie i powszechnie, liczyliśmy na wojnę Rosyi z Austryą jako na niechybny a konieczny sposób wyjścia z tego położenia, w którem się kraje polskie pod rządem rosyjskim znajdują. Konieczność tej wojny była punktem wyjścia i podstawą naszej polityki, a była ona logiczną i rozumną, bo ta wojna choć tymrazem nie była, to raz koniecznie być musi.

Była ta polityka uczciwą względem Austryi, bo nikt z nas nie myślał jej zdradzać, ani jej do swoich celów nadużywać, tylko przy zabezpieczeniu (najpewniejszem i najskuteczniejszem) jej potęgi i przyszłości, zabezpieczyć i byt własny. Ze wszystkich jakie były od rozbioru, ta myśl polityczna polska była najtrzeźwiejsza i najlogiczniejsza, bo ani interes francuski za Napoleona, ani rosyjski za Aleksandra nie był tak ściśle z polskim związanym, tak od niego zależnym, jak był i jest teraz interes austryacki. Rachuba była zatem dobra. Skutek zawiódł jak za Napoleona, jak za Królestwa kongresowego. Austrya zdaje się nierozumieć ani niebezpieczeństwa, jakiem jej Rosya zagraża, ani że od tej groźby Polską jedną zasłonić się może. Austrya, która gdyby po San-Stefano umiała była użyć angielskiej ówczesnej gotowości do wojny, i gdyby była sama wyszła w pole, mogła była zabezpieczyć się od Rosyi nazawsze i pokonać ją prawie bez wystrzału, Austrya z tej sposobności nie skorzystała i wojny nie wydała. A kiedy nie wydała teraz, to nie wyda już nigdy; bo tak zaślepioną znowu być nie może, iżby nierozumiała, że warunków pomyślniejszych do wojny nie znajdzie. Takie sposobności nie powtarzają się w historyi; szczęście nie lubi dwa razy przychodzić, a kto go w lot chwytać nie umiał, ten go potem nie dogoni. To zwycięztwo Austryi nad Rosyą, na którem zakładaliśmy nadzieję jej i naszego zbawienia, może jeszcze zdarzyć się w przyszłości, ale tak łatwem i pewnem jak teraz być mogło, nie będzie już nigdy. Syzyf jeszcze raz wytoczył swój kamień pod górę, i w chwili, kiedy już już miał postawić go na szczycie, kamień zleciał mu na dół.

Szczęściem nie w przepaść, ale do pół góry tylko zkąd toczyć go bliżej; i Syzyfa nie przytłukł i sam nie rozbił się w kawały.

Bo przez ten zawód gorżki o ile zmieniło się nasze położenie? Czy może zmyleni w rachubie, która powinna była być pewną, mamy porzucić dawną podstawę działania i dawny jego kierunek, a szukać jakichś nowych i nieznanych a fantastycznych? szukać punktu oparcia gdzieś w chmurach, w Rosyi albo we Francyi, albo w spiskach i rządach narodowych, a odstąpić tej polityki austryackiej, którejśmy się dotąd trzymali? Byłoby to szaleństwem nie do darowania i szkodą nie do powetowania. Bo jeżeli przez tę jakąś nieszczęsną bierność, jaka jest w Austryi, niezyskaliśmy w tych wypadkach tego, cośmy rozsądnie zyskać mogli i logicznie byli powinni, to z tego cośmy mieli, nie straciliśmy nic. To zaś jest bardzo wiele: to wolność religijna i byt narodowy, to administracya choć niezupełnie własna, ale przez Polaków sprawowana, to wychowanie i sądownictwo polskie, to samorząd w kraju, a poszanowanie i opieka prawa w kraju i w państwie. Zejdźmy z tej drogi, szukajmy w niecierpliwości czy (łatwem choćby do pojęcia) rozdąsaniu, polityki innej, a możemy wszystko to stracić, znaleźć się w stanie, jeżeli nie takim jak nasi pod rządem rosyjskim, to w takim jak my sami pod dawniejszemi austryackiemi. Jak stracimy zaś, to nie dla siebie tylko, ale i dla wszystkich tamtych części Polski, którym niejedno dobro wspólne my przechowujemy. Zatem trwać dalej i do końca w dobrem porozumieniu z Austryą, w szczerej i wiernej dla niej przyjaźni, i pod jej panowaniem zachować co mamy i przyrabiać

więcej, oto nasz pierwszy obowiązek, nasza najlepsza polityka, i nasze wyrachowanie najbliższe.

A z tem dalszem nie rozstawajmy się tak skoro i łatwo. Źle się stało, Austrya wypuściła z rąk sposobność, która nie wróci; na jakiś krok przedsiębiorczy i śmiały, na inicyatywę z jej strony liczyć nie możemy, to prawda. Musimy odtąd rachuby nasze oprzeć na tym z doświadczenia wziętym pewniku, że polityki czynnej od Austryi spodziewać się nie można. Zapewne jestto równie złe dla nas jak dla niej, skoro zazwyczaj ten wygrywa co pierwszy zaczyna. Ale to tylko pewność zwycięztwa się zmniejszyła, nie pewność wojny. Ta wojna, której Austrya nie wyda, jej będzie wydaną, i ona stoczyć ją musi; a zwycięztwo choć trudniejsze nierównie, niemożliwem przecie nie jest. A w takim razie Syzyf może jeszcze swój kamień na sam szczyt wytoczyć: w takim razie kto wié czy góra sama wierzchołka swego dla niego nie zniży i stromych pochyłości nie złagodzi.

W każdym razie jest Austrya wielkiem Państwem, i takiem, które słabiej lub dzielniej, czynniej lub bierniej, pochłonięciu Słowiańszczyzny przez Rosyą opierać się może, i opierać się musi. „Nam i bierna nawet Austrya potrzebna i pomocna, powiedział *Czas* w mądrym artykule, w którym stawiał dla nas program postępowania na dzisiejsze czasy. Jest ona Państwem jedynem, w którem po polsku żyć można, które nie ma nas za wrogów ani za pariasów, jest jeżeli nie katolickiem Państwem, to w każdym razie Państwem przez katolika rządzonem i od prześladowań Kościoła dalekiem, i ma cesarza, któremu naprzód wiele jesteśmy winni, i któremu teraźniejszość i potomność przyzna sławę *um welche der König mit einem Bürger wettei-*

fern muss, sławę porządnego człowieka, niemałą zaiste, ani bardzo między monarchami częstą. Zatem nie zmieniać, nie szukać dróg nowych, o których się nie wié dokąd prowadzą, ale trzymać się dawnej. Spadło się z konia, to prawda; ale nie łapać na arkany dzikich tabunów, ani fantastycznych hippogryfów nie próbować kiełznać i siodłać, tylko podziękować Bogu, że się karku nie skręciło i kości nie połamało, i jechać dalej na tymsamym, który do mety prędzej czy później dojść może, a ku mecie koniecznie iść musi. Trzymać się jak dotąd Austryi, i nie porzucać tej austryacko-polskiej polityki, którą wyśmiewać łatwo, ale zastąpić czem lepszem podobno trudniej".

To jedna reguła postępowania, która nam się wydaje jasną jak słońce. Dalszą byłoby to, żeby postępować w każdej części Polski legalnie i jawnie, w każdej tak, jak miejscowe warunki wskazują, a w każdej z jednością celu w sercu i na oku. Pięknie określił to *Czas* w tym artykule tak mądrym i wyczerpującym, że go słusznie za program uważać i przyjąć możemy, kiedy mówił: *każdy u siebie, a każdy dla wszystkich.* Jedność narodu i celu, w rozmaitości położeń, warunków, a skutkiem tego może i działań. Artykuł ten, do przekonania naszego trafia zupełnie; to ważny także dokument naszej historyi współczesnej, a bodajby i drogoskaz przyszłej. Łącząc się z nim nie potrzebujemy powtarzać go tu i przypominać po szczegółach. Dwie tylko z niego myśli dla wyraźniejszego ich podkreślena (jeżeli się tak wyrazić można) wyjmiemy z całości. Jedna jest ta, żeby z okresu pokoju czy on dłużej czy krócej potrwa, skorzystać na to, by się do Słowian w Austryi zbliżyć i sprawę ich gdzie tylko jest słuszną

popierać, a tym sposobem kłaść ile w naszej mocy tamę szerzeniu zabójczej dla Słowian zarazy rosyjskiego panslawizmu. Druga, w programie owym nie wypowiedziana ale wychodząca z niego logicznie, jest ta, żeby na wszelkie jakieby się zdarzyć mogły zachcianki tajnych niby narodowych rządów odpowiadać tak, jakto zrobiła z nowym manifestem takiego rządu broszura *Na Jaw*, którą w bilansie naszej sprawy także jako postęp, jako dodatnią cyfrę odwagi, dojrzałości, i rozumu z pociechą witamy. Oto jeden z jej argumentów: „List bezimienny nigdy nie znajdzie wiary: człowiek w masce jest zawsze podejrzany, kobieta, która chodzi w masce, temsamem pozwala się posądzać. Nikt im nie ufa, nikt im na słowo nie wierzy ani nie powierza swojej myśli, honoru, losu, ani nawet swoich pieniędzy. A bezimienny rząd pod maską miałby mieć prawo, żebyśmy na słowo wierzyli w jego mądrość i uczciwość, poddali mu swoją wolę i powierzyli losy nie swoje już ale sprawy, ale Polski? A nie! Do niego jak do wszystkich innych stosuje się to prawo, że co zakryte i pod maską, to choćby nawet podejrzanem nie było, podejrzenie zawsze budzić musi“.

Oto odpowiedź temu jakiemuś rządowi, który przyrzeka, że się objawi jak oswobodzi ojczyznę, ogłasza się nieustającym, a tymczasem żąda bezwzględnego i powszechnego posłuszeństwa swoim rozkazom. Miejmy nadzieję, że ta odpowiedź jest ostatnią, a manifest ostatnim strzałem polityki, która tyle strawiwszy strawiła w końcu urok jaki mieć mogła, jeżli nie siebie samą.

I jedna jeszcze reguła z tegosamego źródła zaczerpnięta: nie rozpaczajmy, nie patrzmy zbyt czarno na siebie i swoją przyszłość. I to nie dlatego tylko, że pesymizm wszelki jest jałowy i paraliżujący, ale dlatego,

że do rozpaczy naprawdę niemamy powodu, a raczej do czego innego. Kto tyle wytrzymał co my, a życia i ducha nie stracił, ten oczywiście ma wielki zasób sił i musi mieć jakieś w przyszłości przeznaczenie, nam dziś zakryte, ale przez Boga przejrzane. Dziś mamy siły intellektualnej, społecznej i ekonomicznej niedosyć na to, byśmy przeważnie i skutecznie w wielkich sprawach politycznych występować mogli, ale mamy jej więcej może niż przed laty kilkunastu, więcej niż w roku 1848, więcej niż w 1846. Starajmy się, żeby nam jej przybywało, a pamiętajmy, że siła dobrze ćwiczona i użyta, rośnie w geometrycznej progressyi. Dziś zresztą mniej niż kiedykolwiek wątpić się godzi, bo w tym stanie rozpaczliwym, kiedy ziemscy lekarze ratunku i dobrego końca nie widzą, Bóg sam jak żeby wdał się bezpośrednio w sprawy tego świata i wskazywał wyjście: a odżycie narodów, które od tylu wieków napozór były umarłe, i osłabienie wewnętrzne, jakieś choroby tych, które napozór wydają się tak potężne, mogą nas zaprawdę natchnąć nie zwątpieniem i rozpaczą, ale odwagą i nadzieją.

Jakiemi drogami i z czyją pomocą wyjdziemy kiedyś na ziemię równą, to oczywiście Bóg jeden wié. Tak się przecież wydaje, jak żeby pod koniec tego wieku naszych porozbiorowych dziejów powtarzało się z niejakiem podobieństwem to, co się działo niegdyś, w samych początkach Polski historycznej. Był czas, kiedy nasi pogańscy przodkowie naciskani od zachodu przez Niemców, od wschodu przez różnych dzikszych od siebie sąsiadów, w sobie pozbawieni jedności, skupienia, organizacyi i siły, byli już bardzo bliscy zagłady. Wtedy zjawił się Mieczysław i przejrzawszy po swojej ślepocie, zobaczył środek ratunku. Poznał, że trzeba się zgo-

dzić z jednym z sąsiadów, choćby tę zgodę drogo przyszło okupić, żeby obronić się innym. Poddał się cesarzowi, ochrzcił się, i tym sposobem nietylko swoich ocalił od zagłady, ale złożył zaród cywilizacyi i organizacyi przyszłego państwa. My dziś podobnie od zachodu i wschodu zagrożeni, podobnie rozbici i słabi, podobnie zagłady bliscy, podobnie byt swój ratować musimy: a bodaj czy nie podobnemi środkami. Zaczynać skromnie od małego, ochrzcić się jak on, to jest podnieść się i odrodzić tak w wierze jak w moralnej godności, jak w domowej i publicznej cnocie; otworzyć wrota światłu i szerzyć je, a równocześnie, pocichu i skromnie wyrabiać z siebie zaród organizacyi społecznej, przysposabiać materyały do fundamentów przyszłej państwa budowy. Oto rola, jaka nam dziś i na niejedno może pokolenie przypada, jedyna, której zupełnie podołać możemy. Niemała ona jest, i bez przesady rzec można, że bardzo wielka; bo dziś, jak wtedy, jak zawsze i u każdego na świecie narodu, Mieczysław być musiał, zanim i na to, żeby mógł być Chrobry.

DODATKI.

Dokumenta, o których jest mowa w poprzednim artykule, dołączają się tu dla wiadomości czytelnika i dla łatwiejszego osądzenia rzeczy.

I.

INTERPELLACYA POSŁA GROCHOLSKIEGO

i TOWARZYSZY.

z dnia 22-go lutego 1878 roku.

Równie z wielkiem zadowoleniem powzięli podpisani wiadomość, że rząd polepszenie położenia chrześcian na Wschodzie poczytał za odpowiednie interesom austryackim, jak również, że stara się o trwałe, wszechstronnie zadawalniające rozwiązanie kwestyi wschodniej i uznaje za obowiązek swój i zadanie, politycznym i materyalnym interesom, tudzież powadze monarchii w każdym kierunku nadać znaczenie. Według naszego przekonania, nietylko ogólne interesa europejskie, ale także polityczny interes Austryi wymagają, aby zwróciła się uwaga mocarstw europejskich nietylko na położenie chrześcian w Turcyi, ale także na położenie ich w różnych, również na granicach Austryi leżących krajach, a których ludność najściślejszemi węzłami dziejów i wspólnego pochodzenia z ludnością jej jest związaną. Faktem jest znanym, że właśnie te prawa, które Rosya przy rozpoczęciu wojny z Turcyą dla tamtejszych chrześcian zapewnić niby, jak twierdzi, chciała, jak opiewa manifest rosyjski: „prawa uświęcone narodowości, języka i religii,“ są w krajach polskich pod panowaniem rosyjskiem zostających, poniewierane sposobem bezprzykładnym w nowszych czasach w państwach chrześciańskich. Zniszcze-

nie wszelkiej autonomii, tej nawet, którą traktaty podziału Polski i akt kongresu wiedeńskiego poręczyły; zagłada języka polskiego we wszelkich stosunkach życia publicznego; zakaz pod względem osób pochodzenia polskiego i religii katolickiej nabywania własności nieruchomej; prześladowanie religijne udowodnione dla każdego jasno przez dokumenta świeżo przedłożone parlamentowi angielskiemu: to są zaprawdę okoliczności wystarczające, aby nacechować los Polaków pod panowaniem rosyjskiem. Jeśli c. k. rząd widział się w swoim czasie powodowanym poczytać ciężkie położenie chrześcian w Turcyi, jako interesom austryackim szkodliwe i w tym duchu postępowanie swoje ułożyć, to zaiste nietylko wzgląd na powszechne, również w stosunkach międzynarodowych przyjęte zasady moralności europejskiej, lecz także ze szczególnym względem na interesa austryackie taki stan rzeczy w krajach pogranicznych Austryi nie da się pogodzić z trwałem i wszechstronnem uspokojeniem.

Zważywszy te okoliczności, ośmielają się podpisani postawić prezesowi ministrów pytanie: czy rząd mniema, że będzie w położeniu działać na kongresie mającym się zebrać, aby obok położenia chrześcian w Turcyi, także los Polaków pod panowaniem rosyjskiem zostających, był przez mocarstwa europejskie wzięty pod rozwagę i uwzględniony?

II.

MOWA POSŁA DUNAJEWSKIEGO

przy dyskusyi nad wnioskiem Komisyi budżetowej o udzielenie Rządowi kredytu 60 milionów na cele mobilizacyi armii,

na 12-tem posiedzeniu Delegacyi austryackiej Rady państwa, w dniu 4 czerwca 1878 roku.

Szanowna Komisya budżetowa wnosi, aby Wysoka Delegacya oświadczenie Jego Eks. Pana Ministra spraw zagranicznych powzięła do wiadomości. Przeciw wnioskowi temu nie mam co nadmienić, zgadzam się na niego; niezupełnie jednak zgadzam się na uwagę Komisyi, że nie ma tu zresztą żadnego powodu do zastanawiania się nad treścią tego oświadczenia. Szanowna Komisya, jeśli dobrze pojmuję jej sprawozdanie, tylko co do samej siebie, tylko w zakresie swojej kompetencyi postanowiła nie wszczynać rozpraw takich.

Każdemu jednak członkowi tej wysokiej Delegacyi wolno objawić swoje zapatrywania i mniemania o tem oświadczeniu, tudzież o przebiegu sprawy wschodniej, jakiego może spodziewać się należy. Nie dla krytykowania polityki zagranicznej wysokiego rządu przed wysoką Delegacyą, co do mnie przynajmniej zamiaru takiego nie mam, bo pomny jestem słów, że nic łatwiejszego od krytyki, a nic trudniejszego od sztuki, mianowicie trudnej sztuki kierowania spra-

wami zagranicznemi państwa takiego, jak monarchia austro-węgierska; już dlatego, że reprezentanci ludu nie mogą znać dokładnie przeróżnych krzyżujących się wzajemnie i przeciwnych sobie prądów, które sternikowi polityki państwa częścią zwalczać częścią na właściwe tory sprowadzać wypada; ale i dlatego jeszcze, że wedle oświadczenia, o którem tu mowa, kongres europejski ku uregulowaniu spraw wschodnich niebawem ma się zebrać, a wspólny wszystkich ludów monarchii austro-węgierskiej interes wymaga, aby reprezentant jej stanął na tym kongresie nietylko zasobny w środki materyalne, na jakie stać monarchię tak wielką jak austro-węgierska, lecz także poparty tą powagą moralną, jaką nadaje mu przychylny głos reprezentacyi ludów.

Ze stanowiska jednak reprezentanta ludu jestto z jednej strony poprostu obowiązek, aby wyłuszczył zapatrywania, któremi powoduje się przy oddaniu głosu, z drugiej strony zaś nie może przecież być bez pożytku, że i reprezentant polityki zagranicznej dowié się o owych prądach i mniemaniach, o owych obawach i nadziejach, które wiążą się z jego działalnością, z jego kierownictwem polityki zagranicznej w przeróżnych warstwach ludności.

Wszakże już stary statysta z Florencyi, uchodzący często jeszcze za wzór dla nowożytnej sztuki dyplomatycznej, powiedział, że kto stoi na wyżynach władzy, podobien jest do wędrowca, który znajduje się na wierzchołku góry i ma pogląd na kraj w ogólności, ale może nie dostrzega tu i owdzie cząstek i szczegółowych konfiguracyj, z których całość się składa; kto zaś pozostaje na skromnem u stóp góry stanowisku, może nie ma poglądu dobrego na całość, ale dokładniejszą szczegółów świadomość, o ile własne oko jego sięga.

Aby wyłuszczyć tu zapatrywania i przekonania tej przynajmniej ludności, którą ja znam, pozwolę sobie prosić wysoką Delegacyą, aby zechciała poświęcić życzliwą wywodom moim uwagę.

Polityka austryacka po kongresie z roku 1815 postępowała w kierunku potrójnym. Mieliśmy politykę wło-

ską, niemiecką i wschodnią. Byłoto z konieczności następstwem dziejowego rozwoju państwa, jak niemniej skutkiem samego jego położenia geograficznego.

Powody historyczne tłómaczą dostatecznie, dlaczego ówczesna polityka austryacka zwrócić się musiała głównie w stronę Włoch i Niemiec, żeby tam wpływu swojego strzedz, rozszerzać go i zachować. W sprawach wschodnich była polityka ta raczej przeczącą i obronną tylko. Zbyt zatrudniona na zachodzie i południu, nie mogła w tamtę stronę rozwijać wielkiej czynności, i jeżeli ją dobrze widzę i pojmuję, dbała przedewszystkiem o utrzymanie *status quo* na wschodzie.

Mieć z tamtej strony spokój i bezpieczeństwo, to było całe jej żądanie i staranie. Ale odkąd wskutku nieszczęść spadłych po kolei na Austryę w ostatnim okresie czasu, Włochy i Niemcy stanęły po za zakresem jej władzy i wpływu, pozostała Austryi osłabionej, jak to dostojne zgromadzenie zapewne przyzna, ale jak się spodziewam nie złamanej, jedna tylko alternatywa: albo trzymać się zdala od wszystkich spraw europejskich i poprzestać na skromnem życiu wewnętrznem, albo politykę zagraniczną zwrócić na wschód z całą siłą jaką państwo rozrządzać może.

Pierwsze nie byłoby może dobrem, a dla wielkiego państwa nie byłoby z pewnością możebnem. Wielkie państwo a polityka mała i zaściankowa, to sprzeczności, które nigdy, przynajmniej trwale i nadługo, zgodzić się nie dadzą.

Nie samym chlebem żyje człowiek, już Pismo święte to powiedziało; a nie samą skromną wewnętrzną domową pracą żyją wielkie państwa. Nawet gdyby sąsiednie państwa, co się wcale przypuścić nie da, nie przeszkadzały takiemu skromnemu cichemu bytowi, to samemu rozwojowi oświaty i cywilizacyi wewnątrz monarchii nie wyszłoby to na pożytek, gdyby monarchii tej tak wielkiej zakreślić na długo takie ciasne koło drobnych zadań i celów.

Jedno więc tylko pozostaje, a tem jest polityka wschodnia.

Co do mnie przynajmniej, z niemałem zaspokojeniem powziąłem do wiadomości to, co JE. Pan Minister spraw

zagranicznych w objaśnieniach swoich ze szczególnym wypowiedział naciskiem, to mianowicie, że nie jest bynajmniej interesem Austryi ani Węgier, ludom żyjącym pod panowaniem tureckiem kłaść tamy i przeszkadzać w ich rozwoju. Nie raz i nie dwa powtarzał sternik polityki zagranicznej przed tem dostojnem Zgromadzeniem, że nikt nie może od Austryi żądać, ażeby krwią i groszem swoich poddanych, zasłaniała niepodległość Turcyi albo jej złe rządy. Zasadę tę rozumiem doskonale, i widzę w niej znak dodatniej, twierdzącej polityki austryackiej monarchii w stosunku do spraw wschodnich.

Taką politykę wskazuje już jasno i wyraźnie sama historya Austryi. Szanować prawo wewnątrz i nazewnątrz, szanować osobistą wolność, uznawać ludzką godność w ludziach czy w ludach, słowem być przedstawicielem, krzewicielem i opiekunem cywilizacyi zachodniej, to były te zasady, mocą których dom Austryacki doszedł niegdyś do swojego wielkiego górującego w Europie stanowiska i znaczenia, i mocą tych zasad także, jeżeli je dalej na wschód rozszerzać zacznie, może Austrya teraz zdobyć sobie przyszłość szczęśliwą i wielką.

Jeżeli to zrobi, stanie się Austrya w naszych czasach taką przednią strażą, *Wschodnią Marchią* Europy, jaką w swoim czasie była dla cesarstwa niemieckiego kolebka dzisiejszej monarchii, arcyksięstwo austryackie. To zdaje mi się są ogółem wziąwszy te zasady, których się Austrya w swojej polityce zagranicznej trzymać powinna. Ale w wykonywaniu tej polityki i w jej dalszem rozwijaniu, musi Austrya koniecznie — jak się to z natury rzeczy w życiu państw jak ludzi pojedynczych zdarza — napotkać przeciwników tych zasad i tych interesów. Nieunikniona to kolej rzeczy ludzkich, i nauka, którą ja przynajmniej wyczytałem w historyi Europy, że cywilizacya zachodnia musi koniecznie zderzyć się i zajść w spór z przeciwnemi dążnościami wschodu. A zwłaszcza też od końca XVIII wieku, kiedy państwo jedno podobnem zadaniem żyjące — Rzeczpospolita Polska — ubyło, od tego czasu wschód, państwo rossyjskie mianowicie, ciąży i ciśnie

coraz większą wagą i siłą na Austryę. Ciśnienie to zaś i prężenie tem groźniejsze, że nad długą tych dwóch państw granicą mieszkają ludy pokrewne i blisko ze sobą złączone.

Groźba ta i niebezpieczeństwo nie może lepiej i trafniej streścić się i sformułować, jak w tem słowie nowszej europejskiej historyi bynajmniej nie obcem, w słowie „schyzmatyckie i panslawistyczne dążności“.

Wiem dobrze, że w tych nowszych czasach rządy europejskie nie dają się powodować względami wiary lub wyznania: ale to rzeczy nie zmienia. Co na spodzie, między ludem, porusza umysły i objawia się jako uczucie, jako wiara, religia, wyznanie, choćby nawet jako przesąd i zabobon, to u góry, na szczytach władzy uważanem bywa najczęściej, dziś jak dawniej, za dogodne polityczne narzędzie: i bywa też także jako środek działania i rozszerzenia władzy używane.

Jeżeli na to potrzeba dowodu, to pozwolę sobie tylko przypomnieć, że ten ruch religijny tak wielki i skutkami brzemienny, który niegdyś w Niemczech reformacyą nazwano, służył ówczesnym książętom Rzeszy do rozszerzania swoich posiadłości, do wyłamania się z pod zwierzchności cesarza, wreszcie do wyparcia potęgi austryackiej z Niemiec.

Do podobnych celów zmierzają na wschodzie te dążności, które określiłem jako schyzmatyckie i panslawistyczne. Nie do mnie należy ani tu jest miejsce wchodzić we wszystkie głębokie różnice nauk i instytucyi kościoła greckiego, tak jak się w Rosyi wykształcił i przemienił, od prawideł i dążności chrześciańskich wyznań na zachodzie. Ale to przynajmniej niech mi się godzi powiedzieć, że gdzie państwo jakieś robi sobie środek politycznego działania z braku wszelkiej nauki, wszelkiego wpływu na obyczaje, na moralność mas ludności, tam dla państw sąsiednich niebezpieczeństwo powstać musi, a to tem groźniejsze, im ściślej u przeciwnika złączona jest władza świecka z duchowną.

Jestto charakterystyczną a niedość dostrzeganą własnością i cechą kościoła grecko-prawosławnego w Rosyi,

że on u obcych narodów inną religią uznaje, a przynajmniej znosi. Ale u Słowian nie cierpi, nie znosi żadnej religii, żadnego wyznania, uważając je jakoby zą sprzeczne i przeciwne rosyjskiemu celowi. Słowianie powinni wszyscy wyznawać prawosławie; im ta jedna religia jest pozwolona, bo ta jedna może być środkiem do stopienia wszystkich plemion słowiańskich w jednę massę, do rozszerzenia granic tego państwa i panowania tego kościoła.

Jeżeli dostojne Zgromadzenie życzy sobie ujrzeć jaki na to dowód, to przypomnę mu tylko, że zanim Rosya wyprawiła się na swoją wojnę z Turcyą w roku 1854, postarała się wcześnie, na lat dziesięć z góry, o to, by w dawniej na Polsce zabranych krajach, kościół grecko-katolicki z Rzymem złączony — jakże się tu parlamentarnie wyrazić — aby Kościół unicki... usunąć. A zanim dzisiejsza kwestya wschodnia wyszła na wierzch, powtórzyły się tesame dążności i czynności, tesame kroki, tylko w formach nierównie sroższych i w daleko większych roz miarach, na ludności unickiej w Królestwie Polskiem, tuż przy samej granicy austryackiej.

Ruch ten zaś nie zatrzyma się, dopóki mu kto nie postawi dostatecznej tamy.

Nie chcę tutaj dochodzić, w jakiej chwili najnowszych dziejów ruch ten był popierany przez sfery rządzące w Rosyi, a w jakiej znowu wbrew ich woli lub przynajmniej mimo ich woli szedł naprzód: ale faktem jest to, że on nie spoczął i nie spoczywa, że podziemna praca podkopywania nie ustała nigdy na chwilę w krajach podległych Najjaśn. Panu, i nie ustanie, dopóki ostatnia grecko-katolicka Metropolia, to jest lwowska, także podkopaną nie zostanie.

Takie jest powszechne przekonanie ludzi poważnych a cesarzowi i państwu szczerze przychylnych, w tych kołach, w których ja pojęcia i przekonania swoje wyrabiałem. Sam zresztą rząd cesarski, przynajmniej rząd tej austryackiej połowy państwa, wié coś, jak sądzę, o tem, że ta podziemna robota przeszła już po za granice Galicyi, i że się dalej szczęśliwie prowadzi. A że dążności te

są takie jak je tu określiłem, na to nowego dowodu dostarczają preliminaria pokoju w San Stefano, o którym, i z powodu którego, pan Minister spraw zagranicznych udzielił nam swoich zapatrywań i wyjaśnień.

Cóż bowiem widzimy w warunkach tego pokoju? Oto powiększenie lub utworzenie takich państw, których zarząd z góry opisany i postanowiony, ma być, jeżeli niezupełnie takisam jak zarząd sąsiedniej Rosyi, to w najlepszym razie do tamtego bardzo podobny. W zamiarze pomienionych preliminaryów pokoju ma to być posterunek naprzód wysunięty, a tak silny, że zachwiać może najsilniejszą nawet budową państw sąsiednich, jeżeli się zawczasu środków zaradczych przeciw temu nie przedsięweźmie.

Zajęcie tych właśnie części Turcyi i małych państw jej podległych, które od roku 1815 każdy minister spraw zagranicznych w Austryi uważał za *noli me tangere* austryackiej polityki, zwłaszcza też zamiar zajęcia ich na dłużej, dowodzi znowu tejsamej zawsze myśli.

A gdyby potrzeba tych dowodów jeszcze więcej, to mamy jeszcze tę pieczołowitość, jaką preliminarya pokoju otaczają prawosławną cerkiew, przekręczając nawet granice przyszłej Bulgaryi, jak świadczy punkt odnoszący się do góry Athos. Wszystko to stwierdza, że warunki tego pokoju są tylko wynikiem i wyrazem powszechnych w Rosyi schyzmatyckich i panslawistycznych dążności.

Wobec takiego planu, nie może być inaczej, jak, że pokój ten w najwyższym stopniu zaniepokoić musiał tych, którym zagraża najbliższe i największe niebezpieczeństwo.

Przypisując oczywiście wszystkim członkom tej delegacyi jednakowe prawo do sądzenia polityki austryacko-węgierskiej, i najwytrawniejsze o niej zdanie, muszę przecież powiedzieć otwarcie, że jako poseł tej prowincyi, która najbliżej z Rosyą graniczy, z położenia mego najlepiej mogę niebezpieczeństwa te znać, a przeto wskazać i obawę ich wzbudzić.

Nie sama tylko historya narodu, do którego należę, ale i bezpośrednie codzienne doświadczenia i te tysiączne związki wszelkiego rodzaju (rodzinne, majątkowe i t. p.),

które nas łączą z rodakami naszymi pod panowaniem rosyjskiem, dają nam prawo (nikomu nie ubliżając, ani się nad nikogo nie wynosząc) w tych właśnie sprawach być pewną powagą. Nasza znajomość rzeczy usposabia nas właśnie dobrze do wskazania i uzasadnienia tych trosk i obaw, które dla monarchii austryackiej skutkiem jej składu, jej położenia i jej naturalnego ciążenia ku wschodowi, mają doniosłość stanowczą i rozstrzygającą. Nie można się też dziwić temu, że u nas ludność cała z wielką radością dowiedziała się o tem, iż wedle oświadczenia pana Ministra, rząd cesarski uważa warunki pokoju San-Stefańskiego za absolutnie niezgodne z interesami monarchii austryackiej.

Pan Minister sam wskazał w przemówieniu swojem te punkta traktatu, przeciw którym stanowczo i jaknajsilniej zamierza wystąpić. Są to te, które dotyczą niezaprzeczenie najżywotniejszych interesów Austryi i Węgier, lub im nawet zagrażają, ale tylko od wschodnio-południowej granicy. Sądzę jednak, że wedle zdania bardzo rozpowszechnionego, usunięcie tych warunków pokoju jedynie, lub nawet udaremnienie tych tylko planów, nie wystarczy na to, by Monarchię austryacko-węgierską a w dalszej konsekwencyi i Europę od tych niebezpieczeństw naprawdę i nazawsze zasłonić.

Jeżeli co w oświadczeniu Pana Ministra mogło słusznie przyjętem być z radością, to przedewszystkiem jego przyrzeczenie, że na kongresie starać się będzie o zaprowadzenie *trwałego* pokoju. Zbytecznie mówić, że w całem państwie Austryackiem niema nikogo, czy między tymi, którzy o sprawach państwa jako-tako myśleć umieją, czy między wielką masą ludności pracującej, która się polityką nie zajmuje, niema nikogo, ktoby *trwałego* pokoju nie powitał z radością. Ale *trwałym* może pokój być tylko wtedy, kiedy usunięte będą ile możności powody trwałej i ustawicznej niespokojności.

To dostojne zebranie nie będzie, mam nadzieję, dziwić się temu, że ludność, mojego zwłaszcza rodzinnego kraju, od początku dzisiejszych zawikłań zrozumieć tego nie może, jakim sposobem państwa europejskie, które tak

troskliwie zajmują się losem Bułgarów i Serbów, i tym — zamiar z pewnością najchwalebniejszy — chcą do pozyskania i zabezpieczenia praw ich dopomódz, jakim sposobem mogą nie widzieć tego, że naród i liczniejszy nierównie i inaczej przecie około europejskiej cywilizacyi zasłużony, i po tysiącu latach swojej historyi więcej przecie znany i znaczący, niema żadnych praw zgoła, i to pod tymsamym rządem właśnie, który na swoim sztandarze wypisał jako hasło przywracanie praw po za granicami swego państwa. Tego przecież pojąć nie można, jakim sposobem, jeżeli wolno użyć tego porównania, towar jakiś uznany jest za dobry do wywozu za granicę, ale konsumcya jego w kraju samym zabroniona jest najsurowiej i wszelkiemi możliwemi środkami tłumiona. I temu też nie można się dziwić, ani ludności naszej brać za złe, że widząc jak od lat całych wszystkie mocarstwa europejskie biorą w opiekę Izraelitów w Rumunii, słysząc, jak świeżo jeszcze J. Exc. Pan Minister spraw zagranicznych obiecywał sprawą ich zająć się jaknajtroskliwiej, nie może pojąć dlaczego inny lud, prawda że nie starozakonny, nie miałby mieć prawa do podobnych względów, do podobnej ze strony państw europejskich troskliwości?

Z tych powodów i w tej myśli, wychodziliśmy zawsze, moi towarzysze i ja, przy rozprawach austryackiej Rady państwa z tego stanowiska, że rozwiązanie tak zwanej kwestyi wschodniej i uspokojenie prawdziwe i trwałe, nie da się osiągnąć nigdy, dopóki państwa europejskie (już z mocy traktatów mające po temu wszelkie prawo) nie ujmą się tak za prawami i interesami Polaków pod rządem rosyjskim, jak się teraz ujęły za Słowianami tureckimi.

W tej myśli podaliśmy przed niedawnym czasem interpellacyę do ces. rządu: usłyszeliśmy odpowiedź, że kongres ma się wyłącznie zająć właściwą kwestyą wschodnią, czyli raczej ściśle tylko samą turecką. Nie po to wspominam o niej, by wytaczać zarzuty przeciw kierownictwu spraw zagranicznych; pojmuję doskonale tę konieczność ostrożności, w jakiej znajduje się Pan Minister. Tuszę tylko, że on znowu ze swojej strony zrozumie, iż

poseł, reprezentant narodu, do ostrożności tak wielkiej nie obowiązany, winien jest sobie i narodowi, którego jest posłem, wypowiedzieć otwarcie te troski i obawy przed tak poważnym a w wielkiem mocarstwie najwyższym areopagiem.

Dostojna delegacya uchwaliła tylko co kredyt 60 milionów. Oczywiście, nie jako środek konieczny do utrzymania lub zawarcia pokoju, ale też i nie na to, by prowadzić wojnę. Na pokój nie potrzeba tych 60 milionów, na wojnę potrzeba o wiele razy więcej. Co nas czeka w przyszłości po kongresie, tego oczywiście nie wiem, ale przypuszczać muszę różne przypadki i różne możliwe obroty spraw. Być może, że sam Pan Minister spraw zagranicznych, gdyby mógł mówić tak swobodnie i otwarcie jak ja, odpowiedziałby na powyższe pytanie taksamo: *Ja także nie wiem.* Zna się tylko zamiary, cele; skutki są w wyższej mocy. Gdyby więc, a i to być może, kongres do zamierzonego skutku nie doprowadził, gdyby te 60 milionów miały być pierwszym krokiem na innej drodze, na drodze (jak to sam Pan Minister w komisyi budżetowej przypuszczał) stanowczej i czynnej obrony prawdziwych interesów monarchii, na ten przypadek pozwalam sobie wyrazić zdanie nie własne tylko, lecz bardzo rozpowszechnione, że w takim zbiegu okoliczności ten, kto stać będzie u steru spraw zagranicznych monarchii, będzie musiał liczyć się ze zdaniami i uczuciami rozmaitemi, różnych ludzi lub krajów.

Parę lat temu, kiedy Delegacye zasiadały w Peszcie, słyszałem, pamiętam, z ust Jego Excellencyi to dowcipne porównanie, że sprawy zagraniczne są grą, a w tej jak w innej z odkrytemi kartami wygrać nie można. To rozumiem doskonale. Ale sądzę, że przychodzą czasem takie w historyi chwile, w których gra najlepsza do wygranej prowadzić nie może, jeżeli chce koniecznie być grą matematycznie pewną. Kiedy zaś taka chwila przyjdzie, trzeba umieć się na niej poznać i przypomnieć sobie przysłowie: *qui ne risque rien n'a rien.* Kto nic na kartę postawić nie chce, ten z pewnością nic nie wygra; a kto w życiu ludów chce stawiać na kartę i przedsiębrać, ten musi ludom wskazać wielkie zadania i cele. Prawda, że ludy austryackie po-

słusznie zawsze stawały na głos cesarza, i taksamo, sądzę, zawsze staną; przecież w ważnych i trudnych chwilach nie dość jest posłuszeństwa i wierności, trzeba zapału. Ten zaś znajduje się tam tylko, gdzie są istotnie wielkie zadania i cele: a wystąpienie stanowcze i śmiałe jest podobno zawsze najlepszym środkiem (proszę wybaczyć jeśli się mylę, nie jestem dyplomatą z profesyi) do utrzymania dawnych wiekami utwierdzonych, a pozyskania nowych sprzymierzeńców.

Jeżeli zaś skończy się na pokoju, to w takim razie życzeniem tych, których ja tu reprezentuję, byłoby, ażeby słowa Pana Ministra stały się rzeczywistością, ażeby to był naprawdę pokój trwały, a taki, jeszcze raz to powtarzam, nie jest i nie będzie naszem zdaniem możliwym, dopóki nie będzie pewności i rękojmi, że te dążności, o których mówiłem, monarchii, a nawet i równowadze europejskiej niebezpieczne, nie będą wzdłuż całej północno - wschodniej granicy państwa poskromione i ujęte w karby. To zaś nie może się stać inaczej, jak tylko przez poszanowanie tych praw i interesów, o których wyżej wspomniałem.

Jako prostemu tylko reprezentantowi ludności, powtarzam, było mi to rzeczą stosunkowo łatwą dać wyraz tym zapatrywaniom, życzeniom i obawom, co dla ministra spraw zagranicznych, a jeszcze przed kongresem, jest rzeczą wprost niemożliwą. Ministrowie angielscy, o ile wiem, nie mówili nigdy jaśniej i wyraźniej i nie zapuszczali się więcej w szczegóły, jak kierownik naszych spraw zagranicznych, choć jasnem jest jak słońce, że Anglia już wskutek samego swego położenia, nierównie mniej ma względów do zachowania aniżeli Austrya.

Wypowiedziałem tu przekonania moich rodaków. Mniemam, jak już raz nadmieniłem, ze miałem po temu prawo i obowiązek. A sądziłem się tembardziej w tem prawie i w tej możności, że przemawiam do rządu mającego na kongresie występować w imieniu Monarchy, który przez osobliwszą łaskę swoję i pieczę około dobra naszego narodu, zjednał sobie na drodze pokojowej serca ludności polskiej.

EXPOSÉ.

Kongres wkrótce zakończy swe prace. Celem jego jest pogodzić interesa Europy z dziełem przedsięwziętem przez Rosyę, które cesarz Aleksander II w odezwie swej do Bułgarów nazwał upomnieniem się *(revendication)* „o prawa narodowe, będące nieodzownym warunkiem naturalnego i prawidłowego rozwoju ich bytu.“ Czyż te zasady i prawdy stosują się do pewnych tylko ludów? Czyż właściwe, słuszne i niezbędne w Bułgaryi, tracą one swą cechę słuszności i prawdy w zastosowaniu do innych? Czyż „wolność i byt narodowy“ są tylko dla Słowian południowych „warunkiem normalnego bytu i prawidłowego rozwoju?“

Dostojne Zgromadzenie, które w tej chwili zasiada w Berlinie, postawiło jeszcze przed zebraniem się zasadę, że chce się ściśle zamknąć w granicach kwestyj poruszonych faktycznie wypadkami ostatniej wojny.

W chwili jednak toczących się obrad, w chwili, gdy uznane są prawa kilku ludów do bytu narodowego i prawidłowego, w chwili przyznawania niektórym z nich tego bytu, Polacy zachowując milczenie, mogliby być posądzeni, że sami zapominają o sobie.

Nie ma może sprawy trudniejszej do rozbierania nad sprawę polską, i aby mieć odwagę mówienia o niej, potrzeba przekonania o obowiązku, i nadziei, że duch sprawiedliwości i rozumnej przezorności nie wygasł w radach monarchów i narodów.

Nie zrzekając się praw nieprzedawnionych *(droits impréscriptibles)*, jakie prawo boskie zapewnia narodom —

i przywodząc na pamięć rękojmie i uroczyste obietnice zapisane w prawie narodów i sformułowane w konstytucyach i statutach organicznych, jak z roku 1815 i 1832, których większa część weszła w prawo publiczne europejskie, nie chcemy dziś rozbierać kwestyi prawa — ograniczymy się na przedstawieniu faktów.

Proste wyłuszczenie sytuacyi całego narodu, wsteczny pogląd na cały system politycznej względem niego akcyi, zbyt mało znany lub raczej nie dość oceniony, dostarczy, gdyby mógł zająć uwagę badawczego umysłu, przedmiotu do poważnego zastanowienia się i stanie się wielką przestrogą, której zaprawdę społeczeństwa, narody i rządy obecne na nieszczęście potrzebują.

Wogóle przypuszczają zgodnie, że wszelkie działanie a nawet wszelka aspiracya Polaków nietylko jest niepraktyczną, lecz niewykonalną; każde zatem ich żądanie napotyka odmowę. Sądzą może nawet, lub udają że sądzą, iż tyle lat cierpień i strasznych nieszczęść przesunęło się ponad nami niezostawiwszy śladu, i że według słynnego frazesu: niczegośmy nie zapomnieli i nic się nie nauczyli. Sąd ten jest mylny. Ktokolwiek śledzić chce z dobrą wiarą i umysłem mniejwięcej badawczym akcyę naszych delegowanych do parlamentu wiedeńskiego i berlińskiego, kto chce zastanowić się nad obradami naszych sejmów prowincyonalnych, zgłębić bieg organiczny instytucyj przyznanych ludności polskiej, przyznać musi, a nawet zaświadczyć, że nasze społeczeństwo, nasz lud szczególnie, stanowią ważny żywioł społecznego porządku, nie będący bez wartości w epoce tak burzliwej, jak nasza.

Klasy kierujące dają dowody ducha przezorności, rozsądku politycznego i poświęcenia, lud poszanowania prawa, instytucyj i władzy. Świadczą o tem mowy naszych deputowanych, język naszych najlepszych dzienników i przeglądów, spokój, jaki w kraju naszym panuje. Wyjątki, coraz to rzadsze, stwierdzają tylko mądrość większości narodu. Socyalizm, przeciw któremu widzi się dziś rząd miemiecki zmuszonym uzbroić w wyjątkowe ustawy, odpycha nasza ludność.

Zwróćmy jednak na to uwagę, że położenie anormalne i doprowadzające do rozpaczy, mogłoby służyć za wymówkę tembardziej, że zaraza społeczna przychodzi do nas z zewnątrz i od tychsamych narodów, które nas tak surowo sądzą.

Pod rządem austryackim sześcio-milionowa ludność używa z umiarkowaniem wolności obywatelskiej, politycznej i religijnej, z sądami krajowemi, wolnem zastosowaniem języka narodowego w szkole, rządzie i sądzie. Galicya przedstawia obraz prowincyi dobrze uorganizowanej, a deputowani jej dowodzą swem głosowaniem pieczołowitości o potęgę monarchii, o honor panującego domu, który umiał natchnąć Polaków uczuciem czci i wdzięczności.

Pod rządem pruskim spłacili Polacy dzielnie i hojnie haracz krwi w trzech idących po sobie wojnach. A jednak czują się oni zbyt często dotkniętymi w swych najwewnętrzniejszych przekonaniach. Nie mając zamiaru wyszczególniać tu praw, na jakie się ludność polska w Prusach powołuje, chcemy jedynie stwierdzić, że pozostały dotąd bezowocnemi najbardziej nawet uzasadnione domagania się i protestacye deputowanych polskich w Berlinie.

Mamy nadzieję, że światłe umysły i wzniosłe charaktery zasiadających obecnie w radach Europy, zwrócić zechcą uwagę na przedłożenie niebędące oskarzeniem Rosyi, ale szeregiem faktów, których znajomość równie jest ważną dla tego mocarstwa, jak dla nas. Są sprawy, w których solidarność istnieje nawet między przeciwnikami.

Pojąć można, że monarcha samowładny, odstąpiwszy od systemu rządzenia swego poprzednika, i próbując, wskutku ruchów których niedość zbadał doniosłość, nadać krajowi pewne swobody miejscowe, dotknięty w swych uczuciach, lub zawiedziony w swych sądach, wraca do surowego systemu, aby zapewnić sobie względną spokojność; lecz trudno sobie wytłumaczyć, jak tensam monarcha zezwalać może w podobnym razie na zagładę i zniszczenie całego narodu. Tak jednak obchodzą się z Polakami od lat czternastu.

Ogłaszając w teoryi nieinterwencyę, Europa przyjęła w praktyce słusznie lub nie, nową zasadę w swojem prawie publicznem: prawo interwencyi. Zasada ta tak się da sformułować: „Ponieważ nieprzedawnione prawa sprawiedliwości zostały naruszone, występuję z siłą, jaką mi Opatrzność nadała dla obrony słabego przeciw nadużyciom siły brutalnej.“ Z mocy tej zasady Rosya wkroczyła do Bułgaryi. Historya świadczy o wiekowych cierpieniach Bułgarów. Nie naszą rzeczą badać, czy Turcya mogła w imię traktatów rościć sobie, jak to czyni tyle innych państw, prawo postępowania ze swymi poddanymi według swego widzimisię. Przeciwnie, jeżeli rzeczywiście jest dowiedzionem, że Bułgarowie doznają uszczerbku w swych prawach religijnych, obywatelskich i narodowych, pierwsi radujemy się z odrodzenia tej rodziny plemienia słowiańskiego, tembardziej, że Rosya zapewniała tylokrotnie, iż polityka jej, oswabadzając Bułgarów, całkiem jest bezinteresowną.

Ale faktem jest dla nas i dla całej Europy, że Rosya uznaje, iż władza uprawniona wiekowem posiadaniem i traktatami traci swe prawa, skoro ich nadużyje.

Postawmy się na stanowisku rosyjskiem i przypuśćmy, że podbój tworzy początek prawa, i że prawo to, jeżeli za niem idzie rząd ojcowski, może z czasem ubiegać się o legalność. Przypuszczenie to jest, jak mniemamy, dość obszerne *(large)*, lecz w zamian przyznać trzeba, że prawo podboju, jakkolwiek ma źródło swoje w sile, niemniej jednak podlega pewnym warunkom. Czyż zwycięzca może twierdzić lub dowieść, że ze względu, iż nie istnieje żaden układ, wszystko mu jest dozwolonem? że może względem słabego poddanego zaniechać wszelkich praw ludzkości? że tak zwana „racya stanu“ upoważnia go do gwałcenia praw własności, godności człowieczej, natury i sumienia? że może pracować nad moralnem zepsuciem i osłabieniem społeczeństwa przez antagonizm klas ludności, i że niedość mu karać indywidua śmiercią lub wygnaniem, lecz może także przywieść do milczenia naród, i zgładzić całe plemię? Sumienie zgodnie z prawem publicznem odpowie: nie. Nie, gdyż nikomu nie jest danem prawo niszczyć dzieło

Boże; nie — gdyż taka negacya wszelkich uczuć moralnych stawia w wątpliwości możność zasad, i tworzy ogromne niebezpieczeństwo społeczne: przepaść, której głębi nie dojrzy oko olśnione namiętnością fanatyzmu, lecz którą zmierzyć zdoła roztropność prawdziwych mężów stanu, gdyby nawet sumienie dozwalało im milczeć.

Stłumiwszy ruch powstańczy 1863 roku, Rosya mniemała mieć prawo karania, i użyła go w całej pełni, lecz nie poprzestała na tem. W chwili, gdy zaszły wypadki 1863 roku, ferment rewolucyjny nurtował Rosyę.

Dążąc do różnych celów, ludzie kierujący ruchem w Polsce i w Rosyi mniemali mieć punkta zetknięcia ze sobą, lecz gdy powstanie wybuchło z dążnością wyłącznie narodową i polską, cesarz odwołał się do uroku swej władzy i do patryotyzmu rosyjskiego. Sekciarze panslawistyczni podnieceni zarazem dumą i nienawiścią narodową i fanatyzmem rewolucyjnym, rzucili się na Polskę, aby zniszczyć w niej istniejące instytucye i pogwałcić własność osobistą. Cesarz obrażony, że nie uznano jego chęci, party rozgorączkowaną opinią, uważał za stosowne obrać środki, które zaważyły odtąd na wypadkach: oddał kraj na pastwę kaprysu i eksperymentów panslawistycznych.

Przed końcem 1863 roku pięciu biskupów zostało wywiezionych, a nie zadawano sobie nawet pracy udowodnienia im winy politycznej; setki księży wysłano na Sybir. Być może, że między ostatniemi niektórzy mocno byli skompromitowani, niemniej jednak jest prawdą, że większa część została wywiezioną prewencyjnie, i że dotąd znajduje się jeszcze w głębi Rosyi.

W dniu 4-go marca 1864 roku pojawiły się cztery ukazy, z których pierwszy nadaje własność ziemską włościanom, drugi wskazuje procedurę tego aktu, trzeci oblicza wynagrodzenie właścicieli, a czwarty urządza gminę.

Wyłączając pewne rozporządzenia pierwszego, natchnione nienawiścią i teoryą, ukazy te były potrzebne i dadzą się wytłómaczyć politycznie. Ostatni mógł równie jak pierwszy stać się zbawiennym i nadać ludowi własność ziemi, niepsując go, gdyby wykonanie było powierzonem

ludziom i umysłom prawym. Dodajmy, że szlachta polska żądała oddawna pierwsza wyswobodzenia włościan i zniesienia pańszczyzny. Towarzystwo rolnicze, w którem wszyscy właściciele ziemscy brali udział, wypracowało z upoważnienia rządu projekt zniesienia pańszczyzny. Środek ten więc odpowiadał życzeniom kraju, pojęciom wieku i interesom ekonomicznym. Lecz człowiek, który dla szczęścia Bułgaryi i, jak mniemamy, dla honoru Rosyi, znalazł śmierć przedwczesną wśród swego zawodu zniszczenia [1]) uczynił wszystko, aby zwichnąć zamiar swego pana, aby zasiać niezgodę w umysłach i chciwość w sercach, czyniąc tym sposobem wstęp do dzieła, które zamierzał zastosować do własnej swojej ojczyzny, Rosyi.

W ośm miesięcy później postanowionem zostało zniesienie klasztorów, a środek wykonany był pod zasłoną tajemnicy, w nocy, z niesłychaną surowością. Zakonników rozpędzono, jedni wygnani, drudzy uwięzieni, własność zagrabiona. Dziwno i smutno widzieć notę dyplomatyczną, mającą wytłómaczyć ten czyn, podpisaną przez szlachcica, patryotę, znakomitego męża stanu, ks. Gorczakowa.

Prawie równocześnie i naraz nałożono na właścicieli polskich i katolickich na Litwie, Ukrainie, Wołyniu i Podolu, kontrybucyę roczną. Kontrybucya ta oznaczona na każdy powiat, nie przestaje być pobieraną do dziśdnia. Skonfiskowano dobra właścicielom skompromitowanym. Podejrzanych wywieziono bez sądu z mocy rządowego rozporządzenia, i zmuszeni oni są w ciągu lat dwóch sprzedać swoje własności. Po upływie tego terminu rząd wystawia te dobra na licytacyę i sprzedaje za bezcen, gdyż wielka większość mieszkańców nie może być nabywcami. W istocie sławny ukaz z 10 grudnia wzbrania każdemu Polakowi i każdemu katolikowi zostać właścicielem w tych prowincyach. Pozbawia on Polaków prawa posiadania własności ziemskiej z mocy testamentu, ścieśniając je do granic prawnej sukcesyi. Przekazywanie własności w stopniach najbliższych (z rodziców na dzieci) nie może się odbywać za

[1]) Książę Czerkaski.

życia. W ukazie tym nie zaszła żadna zmiana i aż dotąd zastosowywany on jest z całą surowością. Potworne te rozporządzenia, przynosząc uszczerbek najprostszym zasadom ekonomicznym, ścieśniają prawo własności, wstrzymują rozwój bogactwa publicznego, i gwałcą wszelkie pojęcie sprawiedliwości i prawa.

Na Litwie i w prowincyach zabranych posunięto się aż do wzbronienia języka polskiego na ulicy i we wszystkich miejscach publicznych pod surowemi karami. Widzieliśmy niestety! i widzimy rządy zaprowadzające nielitościwie obcy język nawet w szkołach początkowych, lecz nikt nie widział, o ile nam wiadomo, aby despotyczny fanatyzm mógł posunąć się aż do zakazania brutalnie narodowi języka macierzystego.

Co do prześladowania religijnego, nie możemy postąpić właściwiej, jak odwołać się do okólnika tak jasnego, tak dokładnego i umiarkowanego, który przesłał rządowi rosyjskiemu J. Emin. kardynał Simeoni, sekretarz stanu Stolicy świętej.

Jest jednak punkt ważny, na który kładziemy szczególny nacisk, a który największy przynosi uszczerbek wykonywaniu praw obywatelskich znacznej części ludności. Katolicy z tytułu samej religii jaką wyznają, pozbawieni są wykonywania praw, których używają mieszkańcy tychsamych prowincyj należący do innych wyznań. Nie mogą oni pełnić żadnego urzędu bądź sądowego, bądź administracyjnego. Liczba młodzieży przypuszczonej do zakładów wychowania publicznego, nie może przewyższać 10% ogółu uczniów. Ponieważ stopnie uniwersyteckie nadają prawa i ważne przywileje młodzieży powołanej pod chorągwie, jest to więc kwestya wielkiej wagi, gdyż służba wojskowa obowiązuje wszystkich.

Prócz tego wszystkie gubernie Litwy, Podola, Wołynia i gubernia Kijowska podlegają stanowi wyjątkowemu. Nie zastosowano do nich reform sądowych w całej rozciągłości; wykluczony tam jest sąd przysięgłych; sędziowie pokoju, równie jak urzędnicy, wybieralni w innych guberniach, tu mianowani są wprost przez rząd. Zresztą pozba-

wiono je dobroczynnej instytucyi autonomicznej prowincyonalnej, znanej pod nazwą „Ziemstwo."

Królestwo Polskie przyłączone faktycznie do cesarstwa, zachowało tylko swą nazwę: ostatni ślad dawnej swej autonomii.

Mimo względniejszego nieco postępowania, prześladowanie religijne jest tam na porządku dziennym. Pięć dyecezyj pozbawionych jest swych biskupów, a proboszcze wszyscy bez żadnego wyjątku są internowani w swoich parafiach. Chcąc się oddalić bądź dla obsłużenia sąsiedniego kościoła, bądź w interesie do miasta powiatowego, zmuszeni są wyrabiać sobie paszport. Łatwo sobie zdać można sprawę ze złowrogiego skutku, jaki to nadużycie władzy i to niedowierzanie sprawiać może u ludności. Co zaś do duchowieństwa, nietrudno również pojąć, jaki wpływ wywierać koniecznie musi na nie ten system odosobnienia i pod pewnym względem aresztu, jakiemu ulegają.

Powtarzamy: więzy narzucone religii, podkopanie karności duchowieństwa, dezorganizacya seminaryów, oto plan wykonywany przez rząd, aby osłabić kościół i przygotować jego zlanie się z urzędowym kościołem rosyjskim. Jak każda wielka nieprawość i ta sprawi ogromne złe, nie osiągając celu jaki sobie założono, a dowodem jest to, co się dzieje w naszych oczach u Unitów w Królestwie Polskiem. Od pięciu lat, rząd po dwunastoletniem z kolei przygotowaniu dzieła swego, napróżno próbuje wszelkich środków, jakie obłuda nastręcza a ludzkość potępia, aby doprowadzić ludność tę do odszczepieństwa. Wprowadziwszy biskupa intruza i pasterzy renegatów, wyczerpawszy wszelkie pokusy i wszelkie groźby, usiłują zmusić do zmiany wyznania.

Na rozkazy, odpowiedzieli Unici odmową; na użycie siły, męczeństwem.

Znane są teraz te szczegóły, jakie zaprzeczała zła wiara, a dokumenta urzędowe ogłoszone przez neutralnych stwierdziły. Ludzie urągający śmierci z odwagą chrześcian pierwszych wieków; matki, które wolą widzieć śmierć swych dzieci nad przejście ich na schyzmę, ludność wiej-

ska narażona — kobiety i dzieci — przez całe dnie na mróz 20-stopniowy; tysiące osób wywiezionych nie wiedzieć gdzie: oto osiągnięte skutki. Takie są w całej swej bolesnej nagości zgubne i oburzające następstwa systemu zastosowanego do ludności unickiej i eksperymenta sekty panslawistycznej, której oddał kraj na łup cesarz Aleksander. Po strzałach nastąpiły deportacye i exekucye wojskowe, naprzód w formie chłosty cielesnej, następnie przez nacisk, jaki wywierali żołnierze zakwaterowani u włościan, aby ich zmusić przez ruinę i nędzę do przyjmowania sakramentów schyzmatyckich. Stan ten rzeczy trwa jeszcze dziś pod formą niemniej barbarzyńską, chociaż odzianą pozorem legalności. Unici, aby uniknąć ślubu, któremu błogosławi ksiądz kościoła urzędowego, żyją w konkubinacie lub bezżeństwie. Aby uniknąć chrztu świętokradzkiego, tają urodzenie swych dzieci i chrzczą je po kryjomu. Policya wykonywa ze ścisłością, jakiej wieki mniej cywilizowane nie znały, kontroluje narodzenia, kontroluje obecność w kościele. Każdy ksiądz katolicki, któryby odważył się udzielać sakramentu Unicie, pewnym jest, że natychmiast zostanie wysłany na Syberyę. Państwo interweniuje obłudnie, twierdząc, że nie może cierpieć, aby cała ludność zaniedbywała swych obowiązków religijnych. Jako środek publicznego porządku rozpoczynają się nanowo prześladowania: wloką matki do cerkwi, wiara jednych upada, drugich odnosi zwycięstwo. Nieszczęśliwi Rusini, prześladowani za wiarę, znaleść mogą schronienie tylko w Galicyi.

Przypuszczając, że w roku 1863 Rosya broniła swego panowania w Polsce i sądząc bezstronnie ukazy z marca 1864 roku, mniemamy uwzględniać dostatecznie to, czego polityka surowa, lecz w pewnej mierze zrozumiała, dozwalać mogła rządowi cesarskiemu.

Lud rosyjski ma widocznie wielkie przymioty: jego patryotyzm, jego znana dzielność wojskowa, stwierdziły się znowu w ostatniej wojnie. Lecz względnie Polski tesame przymioty posunięte zostały aż do exaltacyi i fanatyzmu współczesną akcyą rządu, i stronnictwa politycznego, które zdołało zagarnąć władzę. Dość przeczytać broszury i ode-

zwy z roku 1863, aby pojąć do jakiego stopnia opinia była rozgorączkowaną. Większa część narodu rosyjskiego przejęta była uczuciem nienawiści i trwogi, z czego rzeczone stronnictwo umiało skorzystać, aby wywrzeć nacisk na monarchę. Znudzony, obrażony cesarz dał *carte blanche* najzacieklejszym naszym wrogom.

Wtedy burzyciele zawładnęli Polską, jakby swą zdobyczą. Instynktowne uprzedzenia rasowe, gniew z powodu poronienia ich usiłowań, dążenie wzniesienia się, wszystko to podwoiło wściekłość, z jaką stronnictwo rządzące na dworze i opinia publiczna rzuciły się na ten kraj. Nie chodziło już o zapewnienie bezpieczeństwa cesarskiego rządu, lecz o przywiedzenie społeczności do stanu zupełnej prostracyi przez skażenie ducha ludu, wywołanie antagonizmu klas społecznych, wytępienie języka, ruinę kraju i dążenie zniżenia poziomu godności osobistej wszelkiemi pokusami, jakie ma na swe rozkazy władza absolutna bez kontroli i sumienia.

Królestwo Polskie, jakie stworzył kongres wiedeński a cesarz Aleksander uposażył obszerną autonomią, zachowało po stracie swobód konstytucyjnych w roku 1831: miejscową administracyę krajową, prawodawstwo, w którego duchu rozwijały się wszelkie stosunki społeczne, sądownictwo prawne, które w procedurze używało jedynie krajowego języka. Z temi instytucyami, pomimo surowego systemu księcia Paskiewicza, kraj zachował swój dobrobyt; czuć było poskromienie, lecz przynajmniej karyera otwartą była dla wszystkich i byt był znośny. Rozumiano język, znano ustawy.

Zaledwo ogłoszone zostały ukazy z roku 1864, powstała potworna władza obok władz miejscowych i zabsorbowała je wszystkie, począwszy od namiestnika.

Komitetowi urządzającemu przewodniczył ks. Czerkaski, który utworzył cały swój sztab główny ze stronnictwa, jakie reprezentował. Aby zastosować swoje zasady, uczynił on z przeszłości *tabula rasa*. Jednak zuchwałość jego wobec wszelkiej wyższej władzy i arbitralne jego postępowanie ściągnęły nań niełaskę; duch atoli stronnictwa

przeżył człowieka i dzieło jego było prowadzone dalej. Naprzód przystąpiono do zniesienia ministerstwa skarbu i spraw wewnętrznych, centralizując je w Petersburgu. Zbytecznem byłoby wyjaśniać zamęt, jaki powstał natychmiast w sprawach, skoro już nie mogły być rozstrzygane gdzieindziej, jak w stolicy carstwa, w języku nieprzystępnym dla interesowanych, według form nowych i przez urzędników nieznających całkiem kraju. Dodajmy, że wyrzutki „czynowników“ rosyjskich były wysyłane, aby szukać karyery w Polsce, i że tysiące Polaków, którzy przez całe swoje życie służyli krajowi i monarsze, znalazły się na bruku i przywiedzione zostały do żebractwa.

Kraj ten, który dotąd korzystał z narodowej administracyi, znalazł się na łasce obcych urzędników. Tasama zawsze władza: Komitet urządzający, starał się podniecać zawiści i zachcianki właściciela włościanina przeciw wielkiemu właścicielowi. Sprawa służebnictw była szczególnie wyzyskiwaną w tym duchu i mogła była doprowadzić do zgubnych skutków, gdyby zdrowy rozsądek i charakter ludu nie był temu położył zapory, jakiej nie przewidziano. Lecz jeżeli powodzenie niezawsze wieńczyło te usiłowania, o ileby pragniono, niemniej jednak wyrządzono krajowi tyle złego, ile było można. I tak w chwili, w której to piszemy, ważna kwestya wspólnych pastwisk i serwitutów gruntowych leśnych, umyślnie nieuregulowana, mąci stosunki i nie dozwala wielkim i małym właścicielom wyzyskiwać racyonalnie swej ziemi.

Oto, do czego zeszły rękojmie traktatów: oto stan, w jakim znajduje się Królestwo Polskie, któremu dzienniki najbardziej wpływowe, przywódcy stronnictw najpopularniejsi, odmawiają nawet nazwy, zamieniając ją na *„Kraj nadwiślański.“*

Tak więc kraj ten, który nawet po roku 1831 używał zupełnej autonomii administracyjnej z namiestnikiem cesarskim w Warszawie i ministrem stanu w Petersburgu, ujrzał się pozbawionym wszystkich praw swoich, zabsorbowanym, zlanym z carstwem rosyjskiem i rządzonym przez ministrów carstwa.

Warszawa, stolica Królestwa Polskiego, jest dziś już tylko miastem stołecznem gubernii lub conajwięcej prowincyi; a jeżeli kraj przyciśniony podatkami, wyzyskiwany literalnie przez administracyę rosyjską, nie doszedł jeszcze do stanu zupełnego zubożenia, winien to tylko energii swoich mieszkańców, i wielkim zasobom, jakiemi go Opatrzność uposażyła.

Dwa środki destrukcyjne pozostawały jeszcze do użycia i nie dały czekać na siebie. Naprzód rzucono się na system publicznego wychowania, a w pierwszym rzędzie na język. Jednym pociągiem pióra zaprowadzono język rosyjski w szkołach jako język naukowy, i zmuszają dzieci polskie uczyć się po rosyjsku języka Mickiewicza. Każdy umysł bezstronny pojmie trudności, jakie młodzież napotyka w naukach, niedostateczność podobnego kształcenia, rozpacz rodziców, niemogących dawać swym dzieciom innej nauki.

Nie tu miejsce rozbierać system rosyjski nauczania, lecz mamy prawo dziwić się zupełnemu brakowi wszelkiego wpływu moralnego w wychowaniu, co tylko zwiększać musi liczbę adeptów nihilizmu; a nawet to pozorne wychowanie antimoralne i antinarodowe, przystępne jest ograniczonej tylko liczbie, gdyż rozkaz pochodzący ze sfer rządowych: przepuszczenia tylko pewnej liczby uczniów do klas wyższych, wprowadzony został w życie przez obcych z tą nieugiętością, jaka właściwą jest urzędnikom rosyjskim nowej szkoły.

Żądza assymilowania wszystkiego rzuciła się na ostatnią i najważniejszą instytucyę przeszłości.

Wiadomo ludziom politycznym, że prawodawstwo cywilne, procedura, trybunały, kształtują, rzecby można, całe społeczeństwo; zaprowadzenie więc nowego kodeksu, nowej procedury, pociąga za sobą zawsze przewroty, tem dotkliwsze, tem niebezpieczniejsze, gdy zasady prawodawstwa jakie się chce wprowadzić, różnią się od tych, które mają być zastąpione. Kodeks cywilny francuski i jego procedura zaprowadzone w Polsce od lat siedmdziesięciu, zakorzeniły się tam całkowicie. Cesarz Mikołaj pragnął

zrazu i przygotował kodyfikacyę, naciągniętą do *Swodu* rosyjskiego. Przybył dwa razy osobiście do Warszawy, aby przyspieszyć prace i przystąpić do reorganizacyi sądownictwa, i dwa razy przekonał się o bezużyteczności, a nawet niebezpieczeństwie tego środka. Światłe rady pana Błudowa zaważyły w znacznej części nad jego postanowieniem. Pan Wałujew, wtedy jeszcze młody, mógłby poświadczyć dokładność tych szczegółów. Dziś działa się bezwzględniej: wbrew opinii ludzi kompetentnych wysłanych z Petersburga, i jeżeli dobrze jesteśmy powiadomieni, wbrew opinii i w nieobecności ministra hr. Pahlena, nadszedł ukaz zachowujący jeszcze niby rozporządzenia kodeksu cywilnego, a zaprowadzający nową procedurę i nową organizacyę sądową. Trybunały orzekające według cywilnego kodeksu francuskiego, wyrobiły w Królestwie Polskiem sądownictwo równie znakomite nauką, jak prawością. Nowa organizacya sądowa została zaprowadzoną. Nie naszą rzeczą oceniać tu jej wartość, stwierdzamy tylko, że język narodowy wykluczony jest z trybunałów i z całej organizacyi sądowej, skutkiem czego ustąpić musiała wielka liczba sędziów i adwokatów, którzy stanowili chwałę naszego kraju. W zamian przysłano nam z głębi Rosyi całą falangę ludzi, którzy nie mając żadnego wyobrażenia o dawnem prawodawstwie i nie znając języka krajowego, wydają po większej części wyroki bez świadomości sprawy. Sędziowie ci są najczęściej brani z armii lub administracyi nieukończywszy nauk, nie znają ani zasad prawnych w ogóle, ani nawet ustawy, jaką mają stósować. Sądy przysięgłych uzupełniające nowy system sądowy cesarstwa, nie zostały zaprowadzone w Królestwie Polskiem, które równie w tej rzeczy, jak w innych wyjęte jest z pod prawa. Akta notaryalne, zeznania świadków, wymagane są w języku rosyjskim, niezrozumiałym większej części mieszkańców. Bezradność, nieświadomość, niedbałość sędziów, arbitralność w orzeczeniach, wszystko to przyczynia się, że często niejeden zrzeka się wytoczenia słusznej sprawy i ucieka się do sądu polubownego, niemożebnego jednak w wielu razach. Niezdolność sędziów w sprawach karnych

daje powód do bezkarności, która nieraz skłania ludność do czynienia sobie dowolnie sprawiedliwości. Zresztą zacięta walka między sądownictwem i administracyą, podkopuje władzę jednego i drugiej i doprowadza do szczytu chaos, w jaki kraj jest pogrążony.

Pojmujemy, że żądają posłuszeństwa, podatków, poboru od kraju: lecz w zamian należy mu się sprawiedliwość i bezpieczeństwo.

Wogóle niech nam powiedzą ludzie doświadczeni, czy podobny system wstrząsający samemi podstawami bytu narodu, usiłujący odębrać mu jego narodowość, religię, tradycyę i język, może inne sprowadzić skutki, jak zwiększyć uczucie pokrzywdzenia i wzajemną nienawiść; wykopać między obu narodami coraz głębszą przepaść.

Zważywszy, że stan obecny Polaków, z wyjątkiem w Galicyi, jest ciągłem pogwałceniem nietylko praw narodu, lecz nadto praw ludzkości; zważywszy, te ten stan tworzy sam przez się niebezpieczeństwo tak dla społeczeństw, jak dla rządów europejskich, a nawet dla Rosyi; zważywszy, że Polacy mają prawa narodowe niemniej święte, niż ludy półwyspu bałkańskiego; zważywszy nareszcie, że ich wartość moralna i społeczna nie jest niższą od wartości plemion żądających opieki kongresu, polecamy powyższe przedstawienie ocenieniu dostojnych mężów, zebranych w imieniu monarchów i ludów.

III.

PROGRAM „CZASU“.

Artykuł wstępny z dnia 27 lipca 1878 roku.

Wojna rosyjsko-turecka, złączone z nią wypadki na wschodzie zakończone traktatem berlińskim, stanowią ważny dla wszystkich państw, narodów i społeczeństw okres dziejowy, po którym każde z nich winno zrobić sumienny obrachunek. Tem więcej uczynić to winien naród polski, że wypadki te nie mogą pozostać bez wpływu na teraźniejszość i przyszłość jego, już dlatego, że znajduje się on w sferze moralnych i materyalnych interesów przez nie poruszonych. Sprawy polskie nie rozwinęły się wskutku zawikłań wschodnich w wielkim, że tak powiemy, stylu; ale zawikłania te dotknęły i podniosły bardzo ważne i żywotne pytania, odnoszące się wprost do naszego bytu, i zmuszają nas do zastanowienia się nad ogólnym programem polskim.

Dłużej nieco musimy się nad tym przedmiotem zatrzymać, ale jest on niezaprzeczenie doniosłym, a żądanie musi być koniecznie spełnionem.

Przedewszystkiem zapiszmy z rzetelnem zadowoleniem i z uprawnioną dumą, że zachowanie się narodu polskiego, wziętego jako całość, od początku do końca ostatnich wypadków, było pełnem godności, wolnem od wszelkiej w jedną lub drugą stronę słabości, a co równie ważnem jest,

a nierównie u nas rzadszem, że było nacechowane prawdziwym zmysłem politycznym. Jestto nietylko godny uznania fakt, ale nadzwyczaj pocieszający postęp do policzenia w aktywach polskich. Naród polski tem mądrem zachowaniem się nietylko nic nie stracił materyalnie, ale ocalił ważną dla niego zasadę tak względem siebie samego, jak względem ludów słowiańskich i innych.

Szczegółowa historya zachowania się narodu polskiego od początku do końca wypadków, wykazująca pokusy, na które był wystawiony, ujemne objawy sporadyczne i ujemne usiłowania bezowocne kilku indywiduów, coraz rzadsze i odosobnione wyskoki dawnych nałogów, a wykazująca z drugiej strony stałe, konsekwentne, wytrwałe, a wielką, bo mądrą miłością sprawy publicznej i ojczyzny nacechowane, pełne umiarkowania zdobytego i wywalczonego na sobie, zachowanie się całego narodu, byłaby wielce pouczającą, bardzo pocieszającą: i jest to piękne zadanie, które należałoby spełnić, lecz które przekracza ramy codziennego pisma.

Przy rozpoczęciu zawikłań wschodnich powiedzieliśmy: że w polityce głównem zadaniem jest przedewszystkiem oszczędzić sobie strat, następnie odnieść jaknajwięcej możliwych korzyści.

Pierwszą część zadania spełnił w całej mierze naród polski; nigdzie nie naraził swoich interesów, nie uronił nic z posiadanego w chwili kapitału, nie stracił nic ani moralnie, ani materyalnie, ani ze swojej godności, ani ze swojego narodowego majątku, ani z dobrej swej sławy. Wychodzi z zakończonych wypadków cały, odpoczęty, z poczuciem rozumnie spełnionego obowiązku, gotów do dalszej wytrwałej i sumiennej pracy i walki o swój byt i swoje prawa. To dawno już nie zdarzyło się po wielkich europejskich wstrząśnieniach.

Czy zyskał, co zyskał? Mamy sumienne przekonanie, że zyskał wszystko, co w danych okolicznościach i z rozporządzalnemi środkami mógł zyskać, że nie opuścił ani jednej istotnej sposobności, że nie zaniedbał ani jednego obowiązku, że był czujnym i roztropnym, i że to, co mógł

stracić a nie stracił, zatem zyskał, zawdzięcza swojemu zachowaniu się; a że gdyby był o jeden krok, o jednę linię zboczył z drogi, na której wytrwał, nietylko, że nie byłby nic więcej zdobył, ale byłby niechybnie naraził się na bezowocne straty. Naród polski zyskał bardzo wiele na dobrej sławie, zyskał tem, iż znacznie zmieniono niepochlebne przedtem o nim mniemanie, zyskał na szacunku wobec siebie samego i wobec innych, zyskał na doświadczeniu i na ustaleniu zdania swojego o swoich własnych zadaniach, nauczył się przemawiać z miarą i z tej nauki nadal skorzysta; a nabytki te są tem korzystniejsze i drogocenniejsze, że zbogacił się niemi tym razem nie kosztem ofiar, ale jedynie roztropnem zachowaniem się, które śmiało nazwać możemy mądrą polityką. Są to wszystko — że je tak nazwiemy — rozumne wkłady, które dziś już mają swoją wartość i podnoszą wartość kapitału narodowego, a które niezawodnie w przyszłości muszą przynieść dochód. Innych większych, znaczniejszych w danej chwili zysków osiągnąć nie mógł, bo wypadki aczkolwiek doniosłe, nie przybrały tych rozmiarów, w których jedynie wpłynąćby mogły znacznie na jego położenie. Zamiast wyjść jak dawniej z każdych znaczniejszych wypadków, jako żywioł roztroju, nieładu, zaburzeń, wojny, a w końcu jak niewstydliwy żebrak być odepchniętym, lub oszukanym przez wszystkich, dziś naród polski okazał się być czynnikiem ładu, porządku i pokoju europejskiego, i podobnym do ubogiego, nieszczęściem dotkniętego, ale w nieszczęściu dumnego szlachetną dumą, niepotrzebującego nikogo i nierachującego na niczyją pomoc, chcącego i mogącego samemu sobie dać radę, bo umiejącego poprzestać na tem, co mu Opatrzność wyznaczyła. Jestto najlepszy sposób nakazania szacunku, i postępowanie wróżące i zapewniające lepszą a pewniejszą, bo na własnej tylko pracy opartą przyszłość.

Przyszłość ta w tych warunkach winna być właśnie teraz główną, ciągłą troską naszą i przedmiotem sumiennego zastanowienia. Sąd o niej najzdrowszy wydać można opierając się przeważnie na najświeższych naukach i doświadczeniu, nabytych tym razem tanim kosztem.

Jak zawsze w rzeczach ludzkich, tak tu nie wszystko jeszcze odnośnie do najświeższego okresu spełnione, nie wszystkie skopuły już ominięte. A przedewszystkiem w narodzie jak nasz, skłonnym do wpadania w ostateczność, niebezpieczeństwem chwili byłby pesymizm, tak, jak ongi był nim optymizm; a jak ten ostatni nie był prawie nigdy usprawiedliwionym, tak tem mniej usprawiedliwionym byłby obecnie pierwszy. Aby od pesymizmu się uchronić — a mówimy tu o całym narodzie polskim i o syntezie myśli polskiej — dosyć będzie dla serc prawych i wzniosłych umysłów, dla wiernych synów Polski i patryotów zauważyć, że jeżeli optymizm najczęściej marnuje i niszczy posiadane i nagromadzone skarby narodowe, pesymizm nic nie jest w stanie wytworzyć i zdolnym jest tylko zjałowić ziemię ojczystą, choćby najżyźniejszą. Oddziaływać przeciw pesymizmowi jest pierwszem w ogólnem gospodarstwie polskiem, zadaniem; obowiązkiem, już dlatego, że jest on zwykle pokrywką egoizmu, wymówką dla obojętności, a w następstwie bezczynności, a nam należy być czynnymi, bardziej czynnymi niż kiedykolwiek, ale rozumnie czynnymi.

Losy narodu polskiego, jego pomyślność, pomimo wielkich klęsk i wyjątkowo twardych okoliczności, są, jesteśmy o tem głęboko przekonani, jeszcze w jego ręku, byle jasno, trzeźwo, a z męskim hartem umiał zapatrywać się na istotne swoje położenie; byle wiedział i pamiętał, że polityka, że sprawa publiczna nie jest sztuką akrobatyczną, w której skokami zwycięża się, lecz, że jest raczej twardą, systematyczną, umiejętną pracą w kopalniach, w których trzeba umieć przechodzić z jednego szybu do drugiego; i dlategoto, kto w sprawie publicznej chce skokami na trapezach popisywać się i zachwycać, ten w końcu kark łamie, kiedy przeciwnie górnik dochodzi do wydobycia istotnych bogactw.

Wschodnie zawikłania i traktat berliński pozornie w niczem nie zmieniły położenia narodu polskiego, rzeczywiście jednak przysporzyły mu nietylko nauki, ale i nowych życia żywiołów. Z pierwszych skorzystać powinniśmy, z drugiemi liczyć się.

Przekonaliśmy się wśród najdonioślejszych wypadków europejskich, a ze wszystkich możliwych, pośrednio najbliżej dotykających spraw i interesów polskich, że sprawa polska nie będąc już międzynarodową, nie przestała być europejską w tem znaczeniu, że położenie, usposobienie, losy narodu polskiego, oraz jego części wpływają wciąż na stosunki europejskie, że narodowy byt Polaków, jest rzeczą ładu, porządku, sprawiedliwości, pokoju i prawa. Z drugiej strony wypadki dowiodły, że ogólny stan i stanowisko narodu polskiego, nie przestawszy być w powyższem znaczeniu sprawą europejską, stały się sprawami wewnętrznemi, których losy rozegranemi być winny między nim, a bezpośrednio otaczającemi go czynnikami i stosunkami; że byt jego i przyszłość, nie za pomocą zewnętrznych wpływów rozstrzygniętemi być mogą, ale wewnętrznych, a dopiero wskutku wewnętrznych procesów oddziałać mogą i muszą nazewnątrz. Pokazało się jednocześnie, że naród nasz w obecnym stanie, nie może stanowczo wpłynąć na geograficzno-graniczny stosunek ziem polskich, a zarazem, że dotknięcie się tego stosunku w ten lub ów sposób, jest rzeczą tak dalece trudną i niebezpieczną — może i dla nas — że przed nią cofają się najbardziej interesowani, nawet kiedy są przez to narażeni na istotne szkody i niebezpieczeństwa. Słowem, okazała się cała trudność poruszenia kwestyi granic na gruncie polskim. Ztąd prosty dla nas na najbliższą przyszłość wniosek, że powinniśmy na pierwszym planie naszego programu stawiać sprawę bytu narodowego i samodzielności naszej, bez względu na granice geograficzne i państwowe podziały; że winno to być głównem naszem zadaniem, i to w ten sposób, aby zmiany te, gdyby nastąpiły, w niczem nie dotknęły i nie zmieniły głównego naszego programu. Nie spekulujmy zatem na wypadki i zawikłania, mające zmienić warunki granic geograficznych, zachowujmy się tak, aby, gdyby nastąpiły, największe możliwe przyniosły nam korzyści, najmniejsze straty. Naród cały nie może żyć w ciągłem *qui vive!* a najgorzej byłoby, gdyby żył w urojonem.

Upraszcza to niezmiernie żadanie, i usunąć może jednę z głównych a najrzeczywistszych przeszkód w rozwoju naszym narodowym. Jeżeli bowiem program polski postawi narodową samodzielność po za kwestyą granic, temsamem wzniesie swoją sprawę ponad nienawistną nam politykę, a narodowy byt i samodzielność tej lub owej części Polski nie będą się przedstawiać jako groźne lub wrogie dla żadnego z osobna mocarstwa, ani społeczeństwa; przeciwnie, będą tem, czem być powinny: rękojmią ładu, dobrobytu i wzajemnych stosunków, opartych na słuszności, sprawiedliwości i równowadze. Jednocześnie interesa polskie i sprawa polska przestaną być igraszką lub stawką między trzema sąsiedniemi mocarstwami, przestaną być kolejno środkiem w rękach każdego z nich, a zatem ofiarą pomiędzy niemi, a stać się mogą dla każdego same przez się celem.

Tak się przedstawia w głównych zarysach położenie nasze, tak nie konjekturalna, ale istotna polityka, którą wypadnie się nam rządzić.

Przedstawia ona niebezpieczeństwa i strony ujemne; a jak każda znaczniejsza w życiu choćby duchownem przemiana, jest najeżona nietylko trudnościami, ale także skopułami. Polityka ta prowadzi nietylko do rozdziału, ale do rozgraniczenia pracy i usiłowań, do odosobnienia wśród pracy i usiłowań; dotknąćby zatem mogła boleśnie i niebezpiecznie syntezy myśli polskiej i jedności polskiej. Na to złe znowu w nas samych tylko lekarstwo. Jedność musimy utrzymać i zachować nietylko dlatego, że to największa nasza siła, ale, że to dzieło Boskie, że to fakt, przeciw któremu nie ma rozumowania, ani z którym nie ma kompromisów. Tego nikt, nawet rządy trzech sąsiednich mocarstw zaprzeczyć ani zniszczyć nie mogą, i z tą prawdą nadludzką mniej lub więcej zawsze rachować się muszą. Nam jednak iść musi o to przedewszystkiem, aby tę jedność w danych okolicznościach uczynić rzeczywistą i praktyczną, nikomu nie wrogą, nam użyteczną; nam idzie o to, aby po za polityczną jednością i jednością geograficznych granic, która nie istnieje, umieć ją istotnie

i należycie zachować i przechować, nie w nadziejach lub złudzeniach przyszłości, ale w rzeczywistości, w teraźniejszości, na gruncie istotnych interesów i codziennego życia. Bardzoby złym objawem było, gdybyśmy wskutku zmieniających się kształtów i okoliczności, zagubić mieli nasz ideał. Byłby to dowód ostygnięcia patryotyzmu. Po za życiem, że tak powiemy, w dośrodkowem kole, prócz ważnych zadań, które każda część narodu polskiego ma do spełnienia o własnych siłach i na własną odpowiedzialność, są inne odśrodkowe znajdujące się na peryferyi koła, w których streszczać i skupiać się powinna jedność narodu polskiego. O tę jedność dbać powinniśmy koniecznie i pielęgnować ją tak, aby ona szczegółom, szczegóły jej nie szkodziły, aby ona dopomagała szczegółom do kształcenia się, a szczegóły oddziaływały na nią orzeźwiająco i zbawczo. Pierwszym do tego warunkiem jest działanie jawne, legalnemi tylko środkami, a nikomu niewrogie, ani nienawistne, na rzecz jedności myśli polskiej i syntezy sprawy polskiej. Wiele, w danych nawet warunkach, bardzo wiele mamy środków po temu, byleśmy tylko chcieli i umieli ich użyć.

Słusznie powiedziano niedawno: „w uszanowaniu prawa każdego i wszystkich, znajdziemy uznanie własnych", a w tych słowach mieściło się bardzo wysokie pojęcie wolności religijnej, za którą zawsze przemawiamy. Faktem jest jednak, że niesłychana większość narodu polskiego jest katolicką i to z krwi i kości, równie jak z ducha. To też pierwszym najskuteczniejszym a legalnym wyrazem jedności dla narodu polskiego, o którym mówimy, jest i pozostanie religia katolicka, a jedności naszej w niej symbolem i streszczeniem jest i pozostanie Stolica Piotrowa, u stóp której winniśmy składać tej jedności dowody.

Jedność nasza winna znaleść wyraz w tych samych, z małemi odmianami, zasadach społecznych na całym obszarze ziem polskich i wszędzie, gdzie się Polacy znajdują. Jedność nasza winna znaleść wyraz w przechowaniu obyczaju polskiego, stosując go do pochodu świata. Jedność ta winna znaleść wyraz co do politycznego działania w dwóch

regułach: jawności i legalności. Jedność nasza winna znaleść wyraz w literaturze, piśmiennictwie, w języku i trosce o niego, w umiejętności polskiej, w sztuce polskiej, która tak dziwnie pięknie zakwitła i tak szlachetnie rozwija się w duchu tej jedności. Jedność nasza objawiać się winna w ciągłem zajęciu, w ciągłej ciekawości, w ciągłych wiadomomościach o tem, co się we wszystkich częściach Polski dzieje, a tu wielki obowiązek i wielka odpowiedzialność spadają na dziennikarstwo. Jedność nareszcie nasza może i powinna się skupiać w dwóch głównych punktach: w zachowaniu wszędzie z osobna na rzecz ogółu godności narodowej i samodzielności narodowej. Umiejmy tylko nadawać w tych wszystkich kierunkach czynnościom naszym ducha i znamiona jedności, a wystarczy pracy dla naszego pokolenia, aby tę jedność przechować nie w mgle rzekomych nadziei, ale przechować ją w rzeczywistości i ustalić jej byt na silnym i wspaniałym gruncie prawdy.

Przyznać jednak musimy, niestety, że nie zawsze i nie wszędzie dajemy nawet w granicach możności dostateczny wyraz jedności we wszystkich kierunkach życia, a najgłówniej grzeszy pod tym względem Galicya i Kraków. W chwili zatem bardzo ważnej, odzywamy się do uczucia patryotyzmu rzeczywistego, aby wzmacniając w sobie to poczucie jedności, jakeśmy je wyżej określili, a które jest w nas, nową nadać mu siłę wśród dzisiejszych okoliczności. W tym celu zwalczajmy w sobie i walczmy przedewszystkiem z wadami i nałogami, które poczuciu jedności szkodę i ujmę przynieść mogą. Niedawno zmarła wielkiego umysłu Pani, co ostatnie niemal chwile Rzeczypospolitej zapamiętała, mówiła: „Obcy nas rozdzielili na trzy części, ja się obawiam, że my sami rozdzielamy się w nieskończoność na tyle części, ile jest ognisk życia u nas". I tu jest rzeczywiste, istotne niebezpieczeństwo, a temu właśnie zaradzić mogą główne ogniska życia polskiego, jak dziś: Warszawa, Lwów, Kraków, Poznań, a w nich głównie dziennikarstwo i ludzie dobrej woli. Szlachetne współzawodnictwo może istnieć, ale współzawodnictwo w pracy i usiłowaniach na rzecz jedności myśli

polskiej. Wojny zaś, antagonizmy i egoizmy ustać muszą koniecznie; przejmijmy się wszyscy tym obowiązkiem, a w nieuniknionych starciach życia codziennego, gdyby miały one wyrodzić ostrzejszą nieco walkę, poddajmy się wszyscy moralnemu rozjemstwu Warszawy. Jej jest zadaniem utrzymać swoim wpływem między głównemi ogniskami życia polskiego dobrą harmonię, jej zadaniem karcić zazdrość i zatargi; dziś nawet może ona w pewnej mierze odegrać tę rolę za pomocą dziennikarstwa i ludzi dobrej woli. Dotkniemy jeszcze drażliwej zawsze, ale niezbędnej kwestyi, wolimy ją odrazu nazwać: kwestyi pieniężnej. Czynności życia polskiego rozdzielają się na wszystkie dzielnice i w każdej winny posługiwać się tylko legalnemi środkami, tylko legalnemi zasobami. Są jednak niezaprzeczenie w życiu polskiem rzeczy dotyczące ogólnej idei polskiej, jedności polskiej, nieobjęte żadnym i ani też miejscowemi budżetami; na to musi być budżet osobny. Potrzebny on nietylko dla wspierania literatury, umiejętności, sztuk pięknych, ale potrzebny także w tysiącu wypadków dla poparcia nawet materyalnych interesów. Nikt nas nie posądzi, abyśmy mieli na myśli tajną kasę, tajny budżet i ściąganie podatku w imieniu Polski. Nie, nas nikt o to nie posądzi. Nasz budżet na sprawy ogólne, jak wszystko w naszej Rzeczypospolitej, musi być jawnym, nie uchwalonym, nie określonym, musi powstać z podatku nie nałożonego przez nikogo i na nikogo, nie rozpisanego ani wyexekwowanego, a jednak budżet ten musi się corocznie równoważyć, za pomocą prywatnej a patryotycznej ofiarności. Bądźmy oszczędni w życiu prywatnem, ale nie skąpmy nigdy na rzeczywiste potrzeby jedności naszej; oszczędzajmy na to, aby módz na te cele poświęcać dużo, bo jeżeli chcemy we wszystkich kierunkach popychać naprzód nasze sprawy, w dzisiejszych szczególniej czasach, musimy mieć do rozporządzenia i umieć rozporządzać pieniądzmi. Naród, który najlepiej zna cenę pieniędzy, żydowski, nigdy nie skąpi ich na ogólne cele swoje, bo wié, że to wkład, który się opłaci; tak postępowały inne narody, które umiały chodzić około swoich interesów i umiały

bronić swoich praw. Na owym naszym idealnym budżecie pierwsze pozycye, bo najzaszczytniejsze, zajmować winny zamożne a historyczne rody; nie pozwoliłyby one i nie pozwolą, aby ktokolwiek je wyprzedził; następnie wszyscy zamożni synowie i mieszkańcy Polski, nareszcie wszyscy wedle możności.

Jedności polskiej i polskim interesom przyjść możemy wszyscy skutecznie w pomoc, bacząc, aby jedna część nie przeszkadzała pracy i rozwojowi drugiej, czy to przez egoizm, czy lekkomyślność; aby jedna nie szkodziła drugiej choćby tylko zbyt niby gorącą a szkodliwą miłością. Dla nas jedność istnieć może tylko za pomocą pracy rozumnej i płodnej poszczególnych części; w pracy zaś tej, każdej części należy i trzeba zostawić wolność, autonomię moralną i odpowiedzialność moralną; tym tylko sposobem możemy zapewnić, ustalić i zużytkować dla dobra narodu polskiego, jedność polską — i nikt nie będzie miał prawa mówić o zatraceniu ideału, o rozdarciu syntezy sprawy polskiej, odnośnie do ogólnej idei polskiej. Najświeższe wypadki wytworzyły jeszcze tę konieczność i obowiązek, że wszyscy i każdy z osobna winniśmy zwrócić więcej niż kiedykolwiek baczną uwagę na świat słowiański, starać się zbliżyć do tych jego czynników, które tak jak my chcą zachować godność indywidualną i zapewnić sobie samodzielność. Uznanie praw narodowych innych, a mianowicie ludów słowiańskich, ze stanowiska polskiego uważanem być musi jako aktywa, które nam zawikłania wschodnie przyniosły, aktywa mogące stać się drogocennemi i intratnemi.

Aby jednak wszelkie usiłowania na rzecz jedności i syntezy polskiej były płodnemi i zbawczami, musimy się zwrócić przedewszystkiem i głównie do poszczególnej pracy każdej dzielnicy i do poszczególnych jej stanowisk; jedno i drugie dopiero składać się bowiem muszą na jedność i zasilać ją sokami żywotnemi. Ztąd zwrócić się musimy i zwrócić naszą usilność do poszczególnych zadań. W zadaniach tych postawić znowu trzeba pewne zasady, które są następstwem i są w ścisłym związku z temi, na któ-

rych oparliśmy działanie na rzecz jedności. Każda część z osobna winna strzedz przedewszystkiem swej godności narodowej i samodzielności. Wszystko, co w danych warunkach dopomaga do zachowania i wykształcenia samodzielności, powinno być wszędzie i nieodmiennie przez Polaków popierane. Walczyć zaś oni powinni ze wszystkiem, co jej szkodę i ujmę przynieść może. Ztąd konieczność dla Polaków stawania zawsze i wszędzie po stronie prawa i zasady prawnej, bo ona najskuteczniej ochrania godność i najlepiej zabezpiecza samodzielność; ztąd instytucye będące następstwem paktu, ugody, a oparte na prawnej podstawie, o ile szanują wszelkie słuszne prawa, muszą mieć w nas zwolenników i popleczników. Instytucye wolne, ale na prawnej oparte podstawie, są i muszą być dla nas zbawczemi. A że kwestye prawa są z sobą solidarne, winniśmy przemawiać zawsze i wszędzie za słusznemi prawami innych, a teraz głównie za ustaleniem i rozwojem praw, za zabezpieczeniem samodzielności pokrewnych nam ludów słowiańskich; ztąd wysnuć należy naszą słowiańską politykę, jako przeciwstawienie panslawistycznej. W pracach naszych i walkach naszych w poszczególnych dzielnicach, powinniśmy być żywiołem ładu i porządku, właśnie dlatego, że jesteśmy żywiołem prawa; ztąd walka nie może być skierowaną przeciw władzy i jej syntezie, ale przeciw systemom nam zgubnym, zasadzie prawnej przeciwnym. Chcąc skutecznie w naszem położeniu pracować i walczyć, musimy przyjąć pewne fakta, a walczyć powinniśmy z błędnemi i nam szkodliwemi systemami. W każdej zatem części, legalna, jawna praca, i legalna jawna walka o samodzielność narodową, o zasadę prawną, a w tym celu, wyrobienie sumienne wewnętrznych warunków bytu, śledzenie i umiejętne korzystanie z wewnętrznego rozwoju otaczających stosunków, zasłanianie się przed ciosami, autonomia samopomocna i dążenie przez nią do autonomii prawnej, używanie i rozwijanie tej ostatniej tam, gdzie się ją ma.

Pod tym względem jak pierwej, tak i teraz, ta część Polski, w której się znajdujemy, najkorzystniejsze, a co

najważniejsza, najrzeczywistsze posiada warunki; co więcej, stan Galicyi i jej stosunek do monarchii, jest rękojmią ogólną dla idei polskiej i rękojmią jedyną dziś nawet przyszłości poszczególnych części. Pielęgnujmy zatem ten stan rzeczy wytrwale, sumiennie, pielęgnujmy troskliwie stosunek kraju z tą dynastyą, pod egidą której rozwijać się możemy jako część i pracować dla całości. Austrya przeszła teraz przez ważne i doniosłe wypadki, i wśród najkorzystniejszych dla niej warunków do zaczepnego działania; okazało się, że przemogła jej natura odporna. Nie zamykajmy oczu na tę prawdę, bo dla nas szczególniej mogłoby się to stać zgubnem; ale niech to w niczem nie osłabia naszego z Austryą związku, naszej z nią spójni. Przeciwnie, związki i obopólne rękojmie, tem będą silniejsze, trwalsze i płodniejsze, że oparte na prawdzie, a nie na złudzeniach i marzeniach. My potrzebujemy i odpornej Austryi, i odpornej także musimy dać wszelką pomoc moralną i materyalną. Mamy w Austryi rzeczywiste, zadawalniające życie narodowe, na kształceniu i rozwijaniu którego, musi nam wiele zależeć i zależy. Przedstawiajmy w Austryi prawa i samodzielność ludów i walczmy o nie dla siebie, dla innych, głównie dla Słowian. Bądźmy jak dotąd wiernymi tronowi i jego podporą i właśnie dlatego walczmy z błędnemi systemami. Cokolwiek się stanie, cokolwiek zajść może odnośnie do ogólnej idei polskiej, lub w poszczególnych częściach, Austrya, a w niej Galicya, w dobrym z sobą stosunku, potrzebne zawsze będą w ogólnem gospodarstwie polskiem, czy to jako ostateczne schronienie, spichlerz wśród głodu, czy jako rękojmia; a tej nikt nie jest w stanie dać lepszej niż Austrya, bo nie mówiąc już o wzniosłych tradycyach dynastyi, skład monarchii, jej rdzenna natura i jej obecne położenie, są tu najlepszą rękojmią, a tej nikt i nic zastąpić nie może. Stosunek nasz zatem z Austryą wolny jest od wszelkich niespodzianek i ukrytych myśli, a zakryty przed zmiennemi losami rzeczy ludzkich, czy te dla nas na gorsze czy na lepsze w ogóle się zmienią; a dopiero co traktatem

berlińskim zakończone wypadki utrwalić tylko winny ten stosunek, bo go oparły na poważnej podstawie prawdy.

Weźmy się zatem po zakończonym wielkim okresie dziejowym wszyscy, jedni w lepszych, drudzy w gorszych warunkach, każdy u siebie, do pracy i walki, jakeśmy je powyżej określili. Nieprzestając być sprawą europejską, a przedewszystkiem Europejczykami, śledźmy uważnie, jak na cywilizowanych ludzi przystoi, ogólnego biegu wypadków; ale zwróćmy się przedewszystkiem do rzeczy dotyczących możliwej, rzeczywistej i praktycznej jedności polskiej, a następnie do poszczególnych prac i walk naszych.

Co do nas, w tej myśli, w tym kierunku dla spełnienia tego zadania podwójnego, a jednego, nie spuszczając z uwagi ruchu świata, starając się utrzymywać spójnię narodową, bacznem śledzeniem i zajmowaniem się wszystkiem, co się w ziemiach polskich dzieje, zostawiając jednak każdej części to, cośmy nazwali moralną autonomią: zwrócimy się głównie i przeważnie do zadań naszego kraju, oraz do zadań austryacko-polskich i galicyjskich w tem przekonaniu, że tem najlepiej i najskuteczniej służyć dziś będziemy także jedności i ogólnej myśli polskiej.

Obecnie zaś przed niedalekiem już zebraniem się Sejmu, zwróćmy się przeważnie do licznych spraw wewnętrznych kraju naszego leżących odłogiem, lub rozpoczętych już, lecz wskutku ogólnego skierowania uwagi na wielkie zewnętrzne wypadki, nieco zaniedbanych. Prosimy światłych i dbałych o dobro publiczne Obywateli, aby nam w tej mierze dopomagali radą i materyałami głównie w kwestyach specyalnych i lokalnych.

Wszystkich zaś Polaków na całym obszarze ziem Polskich i gdziekolwiek się znajdują, wzywamy, aby przystąpili do spełnienia obszernego, daleko sięgającego, a trwałego programu pod godłem: każdy u siebie, ale każdy dla wszystkich!

CZEŚĆ ZŁEMU UCZYNKOWI!

W umieszczonym wyżej artykule *Po kongresie Berlińskim* była wzmianka o trzech posłach, którzy odłączywszy się od solidarności Koła polskiego w Wiedniu, chcieli na własną rękę występować w Radzie Państwa. Zaledwo zeszedł się Sejm, we wrześniu 1878, zaraz zebrało się koło sejmowe, i potępiło uroczyście, prawie jednomyślnie, to zerwanie solidarności. Ale po sejmie znowu zaraz zebrała się Rada Państwa, a w tej Lewica niemiecka wnosiła adres naganiający okkupacyę Bośnii i domagający się jej cofnięcia. Delegacya polska głosowała przeciw takiemu adresowi. Ale poseł Otto Hausner, jeden z owych trzech, nietylko głosował inaczej jak cała delegacya, ale wystąpił z mową bardzo przez dzienniki niemieckie chwaloną, w której otwarcie zajął stanowisko inne niż cała reprezentacya polska. Zaraz potem Rada miasta Lwowa nadała mu obywatelstwo honorowe. Był przy tem i bankiet dla pana Hausnera, a dla większej świetności zgromadzone tłumy miały na ulicy wywoływać wiwaty. Tego zbiegowiska nie dopuściła policya. Do tych zdarzeń odnosi się niniejszy artykuł, w którym po kilkunastu latach autor nie widzi nic przestarzałego. Drukowany był w *Przeglądzie Polskim*, w grudniu r. 1878, pod tytułem: *Posejmowe wypadki w Galicyi*.

Miesiąc ledwo upłynął od zamknięcia Sejmu, a mniej jeszcze od czasu, kiedy nasz sejmowy kolega i przyjaciel zdając sprawę z jego obrad, z otuchą i z przekonaniem pisał słowa, które czytelnik nasz tylko co miał przed oczyma. „Czyż potrzebujemy, pisząc dla publiczności polskiej, dodawać, że sprawę secesyi w Delegacyi polskiej do Rady państwa rozstrzygnął Sejm nie na posiedzeniu publicznem, w obecności komisarza rządowego, ale Sejm zawiązany w Koło polskie, a rozstrzygnął tę sprawę, taką większością głosów (93 na 96 głosujących, jeżeli nas pamięć nie myli), po tak krótkich naradach, tak energicznym manifestem, że doprawdy już wątpliwość nadal powstać nie może, czyli działanie po za legalną reprezentacyą, przez kraj wybraną i od kraju mandat dzierżącą, może być uważane i przedstawiane za działanie patryotyczne lub nie.“

„*Errare humanum est, sed perseverare diabolicum.*“ Sądzić, że przez wyłamanie się z „pęt“ karności, nałożonej polskim regulaminem a uświęconej dwudziestokilkoletnią polską tradycyą w Berlinie i w Wiedniu, służy się myśli polskiej, mogło być wolno w dobrej wierze do czasu, póki Sejm polski w tej sprawie orzeczenia nie wyda. Odkąd jedyny Sejm na polskiej ziemi obradujący, objawił w sposób tak stanowczy swoje zapatrywanie w tej mierze, i uchwalił manifest, w którym

na artykuł konstytucyi 3 maja 1791 roku się powołał, niewolno już nikomu działać po za Sejmem i po za Delegacyą polską w Wiedniu dopóty, dopóki Sejm orzeczenia swego nie zmieni.“

Tak pisał jeszcze temu parę tygodni p. Jan Stadnicki; tak myśleliśmy i wierzyli wszyscy. Niewiele trzeba było czasu na to, by nas przekonać inaczej. Nauczono nas, że można nie poddać się uchwale większości, że można drwić z Sejmu, że można zostać Sobieskim tej niemieckiej większości w Radzie państwa, z którą kraj walczy od lat siedemnastu, której zawdzięcza i konstytucyę grudniową, i bezpośrednie wybory, i opiekę dla rosyjskich agentów przeciw nam Polakom, i zamachy na szczegóły naszej autonomii i na zasadę naszej odrębności, że można to stronnictwo rozbite, podupadłe, złamane na sile a ze znaczenia odarte podpierać, że można zyskać aplauz nie samych tylko wiedeńskich centralistów, ale i pochlebne powinszowania rosyjskich i pruskich dzienników, siłę polską w Wiedniu i jakątaką powagę wobec rządu czy parlamentu zachwiać, że można to wszystko zrobić, i za to, za takie sprawie polskiej oddane usługi, dostać honorowy doplom obywatelski od głównego miasta kraju! Dowiedzieliśmy się, że reprezentacya tego miasta może tak dalece dać się uwieść tajnej agitacyi lub tak jej przestraszyć, że nie opatrzy się co robi, i takie zasługi nagradza najwyższym jaki dać może zaszczytem: że ona także pozwala wziąć się za rękę i tą ręką wyciąć Sejmowi policzek, a kiedy jej mówią, kto jej do tego używa i dlaczego, milczy i poczciwego słowa słuchać nie ma odwagi. Widzieliśmy wreszcie rozruch uliczny i rozlew krwi we Lwowie, którego skutkiem może być początek tego

w rządzie przekonania, że skoro Polacy sami nawet porządku na ulicach utrzymać nie umieją, to trzeba im posłać jakiego niemca i jenerała, żeby ich porządku uczył i w nim trzymał. A nie dzisiejsi przyjaciele i wielbiciele pana Hausnera w Radzie państwa, nie te pruskie i rosyjskie dzienniki, którym się jego mowa tak podobała, zechcą w danym razie temu nowemu porządkowi przeszkodzić.

Że od roku 1863 nie popełniliśmy takiego błędu i nie zaszkodzili tak dobrowolnie swojej sprawie, jak teraz, to pewna. A nie secesya tych trzech posłów jest największem złem: bezkarność jej, nagrodzenie jej, stawienie jej jako aktu patryotycznej zasługi, to jest dopiero symptom zły, to czarna plama tyfusowa na naszem ciele; a ta opłakana burda na ulicy, w której winy urzędów policyjnych ani przeczyć, ani zmniejszać nie myślimy, choć może nie była w programie tych, co z Sejmem i z Delegacyą i z wszelkiem jawnem działaniem prowadzą wojnę zawziętą i systematyczną, to na ich korzyść wyjść mogła i może, a nam sprowadzić takie skutki, że je nie Galicya tylko, ale Polska długo poczuje i popamięta.

Boleśnie tem wszystkiem dożywego przejęci, mówić jak nateraz wiele nie chcemy. Na słowa naprzód jest zapóźno. Kiedy się po raz pierwszy pokazywać zaczęło tajne a systematyczne działanie przeciw Sejmowi i przeciw Delegacyi, wtedy był czas mówić i pisać, i przekonywać i wskazywać, zkąd to pochodzi a dokąd wiedzie. Żeśmy tego obowiązku nie zaniedbali, ale przez dziesięć lat wołali że agitacya pokątna wydała wojnę jawnemu działaniu, tego przynajmniej nikt nam nie zaprzeczy. Byliśmy zato Stańczykami, zdrajcami, Moska-

lami: a co prawda, to, że byliśmy głosem wołającym na puszczy, zagłuszonym przez krzyki tych, których wartość moralną i patryotyczną nazywaliśmy po imieniu. Ale wtedy zaraz, dziesięć lat temu, po pierwszych potwarzach i kłamstwach, po pierwszych zdradliwych insynuacyach, należało tej dwugębnej dziennikarskiej famie założyć kaganiec, nie rękami urzędów, kodeksowemi i policyjnemi środkami, ale własną ręką, a środkiem godnym ludzi uczciwych: odwagą i pogardą. *Principiis obsta:* i gdybyśmy dawniej byli się zdobyli na tę odwagę zaprawdę niewielką, żeby fałsz nazwać fałszem a podłość podłością, i jedno z drugiem odepchnąć, nie narzekalibyśmy dziś, że fałsz podminował a podłość oplwała wszystkie czynności i same podstawy naszego publicznego życia.

Dziś zapóźno. Daliśmy im tak wzrastać swobodnie i bujno, że nas przerosły: i tak nad umysłami zapanować zdołały, że wielu już nie wie, co czarne a co białe. Że Sejm uchodzi za jakąś samozwańczą frakcyę, Delegacya za zbiór niedołęgów albo złych Polaków, poseł zrywający solidarność za bohatera, a honory jemu oddawane za akt patryotycznej zasługi. I to nie w dziennikach tylko, ani u ludzi młodych i zapalnych, ale w ciałach zbiorowych tak znaczących, jak Rada miasta Lwowa. W takim stanie rzeczy mówić, nie zda się już na nic. Fakta oby nas nie przekonały! Ale jeżeli Delegacya rozbita straci siłę i powagę, jaką miała w oczach rządu i Izby i żadnej zapory nikomu stawić nie zdoła: jeżeli z galicyjskich posłów jedni w Radzie państwa jako całość występować będą Rusini: jeżeli niemiecka większość nie potrzebując się nas wtedy obawiać, weźmie się po kolei do wszystkich naszych narodowych

praw i swobód, jeżeli jaki drugi Mensdorf z drugim Kriegem lub Moschem za suflera zasiędzie w Namiestnictwie, jeżeli przy przyszłych wyborach do Rady państwa wzrośnie zastęp zwarty Świętojurców i liczba luźnych „Austryaków mówiących po polsku,“ a zastęp polski stopnieje do minimum, wtedy pokaże się, kto miał słuszność a kto nie, i kto miał naprawdę Polskę w sercu, a kto na ustach tylko, a w sercu zawiść — i siebie!

Daj Boże, żeby do tego nie przyszło, ale w każdym razie słowami już się temu nie przeszkodzi. Zwłaszcza takiemi, które w tem piśmie wychodzą. Nawróconych nawracać nietrzeba: zbałamuconym i uprzedzonym niewolno czytać zaprzedanych Rosyi stańczykowskich pism. A gdyby kto i przeczytał, to uprzedzenia swego zwalczyć nie da, i będzie wolał czerpać prawdę z czystej krynicy *Gazety Narodowej*, niż walać sobie usta i krew zatruwać temi mętami i błotem, któreby mu *Czas* lub *Przegląd* podawał!

Krótko zatem i z dziennikarskiego obowiązku jedynie, powiemy o faktach.

O mowie p. Hausnera naprzód. Nie o jego wystąpieniu z Koła i o patryotycznej wartości tego czynu, który tu i owdzie za bohaterski ogłoszony, oceniony został zgodnie i sprawiedliwie przez całą Polskę, o ile ona zdanie swoje wyrazić może. *Dziennik Poznański* — ten niestańczykowski podobno ani przesadnie konserwatywny — powiedział otwarcie prawdę zupełną; dzienniki warszawskie, o ile mogły pod swoją cenzurą, powiedziały ją także. Dla publiczności galicyjskiej to powinno wystarczyć i dać jej do myślenia, a patryotycznogo sumienia p. Hausnera tykać i roztrząsać nie myślimy. Po-

wiemy więc tylko słów parę o wartości i myśli politycznej jego mowy.

Gdyby przed zawarciem traktatu berlińskiego pan Hausner był powiedział rządowi austryackiemu: nie chodź do Bośnii, bo cię to wplątać musi w wojnę albo niebezpieczniejsze od wojny przymierze z Rosyą, powiedzielibyśmy, że myśl nie jest nowa, skoro od dwóch lat powtarzają ją wszystkie dzienniki polskie (jakoż wszystko, co o niebezpieczeństwach okupacyi i tego przymierza powiedział pan Hausner, czytaliśmy wiele razy a mianowice w *Czasie*) ale, że myśl jest i słuszna i polityczna. Gdyby po traktacie berlińskim i po okupacyi dokonanej, mowca był wskazał rządowi co ma z tym nabytkiem robić, żeby mu się nie obrócił na szkodę, gdyby naprzykład był go nauczył, że z tych słowiańskich krajów powinien zrobić tamę i warownię przeciw rosyjskiemu panslawizmowi, podziwialibyśmy znowu myśl polityczną. Ale żądać od cesarza, żeby poprostu z zajętej Bośnii wojsko wycofał, to pomysł tak utopijny, że w ustach człowieka nie już politycznego, ale tylko doświadczonego wygląda dziwnie. Okupacya mogła być, sądzimy że była, największym błędem: ale abecadłem politycznej sztuki jest, o ile wiemy, przysłowie: „co się stało, odstać się nie może;“ regułą tej sztuki jest wychodzić z punktu, w którym się właśnie jest, a nie z tego, w którym się być mogło lub powinno: jej celem dopiero jest dojść tam, gdzie się powinno, a z sytuacyi jaka jest, choćby złej, wyprowadzić dobrą. I tak z samego zajęcia Bośnii można wyprowadzić coś dobrego, jeżeli: 1. Austrya zająwszy te słowiańskie kraje postawi Słowiańszczyznę prawdziwą naprzeciw panslawizmowi; 2. jeżeli zajmie w nich pozycyę tak silną, żeby Rosyę

trzymała w szachu i do spełnienia panslawistycznych marzeń jej przeszkodziła. To były rzeczy do dostrzeżenia łatwe a dobre do powiedzenia, choć zapewne u centralistów nie miałyby powodzenia. Ale żądać od cesarza, powtarzamy jeszcze raz, żeby nie spełnił mandatu, którego się uroczyście podjął, żeby widząc Rosyę w Bułgaryi i Rumelii, zostawił jej jeszcze wolną drogę do Czarnogóry, to pomysł, który, aby wykonać, trzebaby naprzód zmienić naturę ludzką, a potem wystawić na sztych bezpieczeństwo państwa austryackiego. Może cesarz źle zrobił, że do Bośnii wszedł, ale wyjść z niej, kiedy Rosya trzyma Bułgaryę z Rumelią, nie może. Za przykład stawiał mu p. Hausner prywatnego człowieka, który zły interes ciska i szuka innego. Kiedyż bo nie ciska! cisnąć nie może: niejeden mając dobra odłużone a nieprzynoszące dochodu, radby je rzucić, a nie może, bo na tych dobrach ciężą prawa i zobowiązania drugich, za które on jako właściciel odpowiada. W tym razie prawem drugich jest europejski interes pilnowania Rosyi, któregoto interesu straż Austrya na siebie przyjęła; i coś drugiego jeszcze, prawa, interesa, byt, tej bośniackiej ludności. Bo wszakże w Bośnii nie sama tylko Turcya ma prawa; a pan Hausner, który z moralnego i polskiego stanowiska tak się oburzał na gwałt i zabór na niej dokonany, nie dostrzegł tego, że w jego polskiem stanowisku brak jest jednej małej zasady, która w stanowisku polskiem ogólnem jest zawsze, i tak konieczna, tak wyraźna, że po niej głównie poznaje się to stanowisko. Oto to, że zabór choćby trwał wieki, prawa nie daje; że nie Turcya ale słowiańska ludność jest z Bożej łaski panią i właścicielką bośniackiej ziemi, że te ludy do życia mają prawo, a pod panowaniem tu-

reckiem nie mają jego możności. I to powód, dla którego nasza polityka polska, choć sprzyja Turcyi jako nieprzyjaciółce Rosyi, po stronie Turcyi przecież stanąć nie może. I tej myśli bylibyśmy żądali od mowy, która swoje stanowisko polskie głosiła tak skwapliwie, jak żeby się bała że go w niej bez tego nikt nie dostrzeże.

Kto w rzeczach politycznych jest choć trochę wytrawny i doświadczony, ten przedewszystkiem nie będzie w nich żądał niepodobieństw. Z dzieci się śmiejemy, kiedy chcą łapać księżyc w wodzie: chcieć dziś powrócić Turcyę do stanu w jakim była przed ostatnią wojną, lub cofnąć okupacyę Bośnii, to jest łapać księżyc w wodzie. To zaś była myśl polityczna adresu, za którym głosował pan Hausner, i jego mowy.

Ale chodziło o to, żeby ta okupacya nie stała się w przymierzu z Rosyą, a to przymierze żeby nie sprowadziło reakcyi w Austryi i nie skończyło się zamknięciem parlamentarnego przybytku za Szkocką Bramą w Wiedniu? O tem przymierzu naprzód nikt dotąd nic pewnego nie wie, ale kto go się obawia, a do tych liczymy się w pierwszym rzędzie, ten w okupacyi Bośnii tę przynajmniej dobrą stronę widzieć musi, że ona gdyby nawet w porozumieniu z Rosyą poczęta, musi doprowadzić nie do przymierza ale do zerwania; że daje na przyszłość nietylko punkt zerwania dla dwóch gabinetów, ale punkt zderzenia dla dwóch wojsk, i to punkt dla wojsk austryackich korzystny.

Cała więc myśl polityczna mowy kończyła się na opuszczeniu Bośnii, i była utopijną i błahą. Jej część patryotyczna polska, te długie ustępy o Rosyi i przeciw Rosyi, w tych nie było nic prócz deklamacyi. Pytamy wszystkich ludzi dobrej wiary, gdzie było więcej myśli

polskiej i myśli politycznej, czy w tych mowach pana Grocholskiego i pana Dunajewskiego, które dowodziły jasno jak na dłoni, że kwestyą życia i śmierci dla Austryi jest obrona przed panslawizmem przez Polskę i z jej pomocą; czy też w mowie pana Hausnera, który na Rosyę wprawdzie kilka szumnych skarg wyrzucił, ale ani od Austryi niczego nie żądał prócz ewakuacyi Bośnii, ani dla *„zniweczonej“ (vernichtet)* Polski niczego ani się spodziewał, ani pragnął? Czy głębiej i lepiej myśleli ci, co wskazując Austryi jej własny i Polski interes, przypominali, że „wielkie państwo o małej polityce ostać się nie może,“ czyli też ten, który żadnego z tych interesów nawet nie dotknął, a bronił tylko interesu finansistów i wpływu centralistów? „Gdyby ten adres, za którym prawa strona Izby nie chce głosować, bo jak mówi, nie jest on dość stanowczym“ (to powiedział był pan Grocholski), gdyby był bardziej stanowczym „słyszelibyśmy,“ twierdzi pan Hausner — „jaki z tej strony podniósłby się syk węża.“ Dziwno nam, że nikt dotąd na te słowa nie zwrócił uwagi: nie dlatego żeby je odpierać, żeby przypomnieć i upomnieć że się od pana Grocholskiego i jego kolegów głos ludzki i polski a nie strwożony syk słyszało zawsze i słyszy: ale na to, by wskazać, że insynuacya ta właśnie przypomina syk tych różnych reptiliów, z któremi pan Hausner wszedł w alians tak ścisły.

Na co zwrócono uwagę odrazu i słusznie, to, że wszystko co mówił pan Hausner o Rosyi, to co zapewne jedno podobać się mogło u nas w kraju i sprowadzić mu wiadome tryumfy, to mógł powiedzieć taksamo, gdyby był z Polakami głosował przeciw adresowi, a nie z Niemcami za adresem. A więc dlaczego ten zły przy-

kład i to zgorszenie? dlaczego to osłabienie stanowiska polskiego w Radzie Państwa? dlaczego ten otwarty bunt przeciw Sejmowi, który solidarność tak uroczyście uznał za obowiązek poselski i obywatelski? Dlaczego? kiedy wszystko co w tej mowie było polskiego, dało się doskonale pogodzić z głosowaniem takiem jak głosowali wszyscy Polacy; dlaczego ten jeden Polak głosował inaczej? Na to pytanie jeszcze dotąd nie odpowiedział ani sam mowca, ani jego wielbiciele i chwalcy. Odpowie może przyszłość, ale odpowiedź, kto wie czy nie będzie w sobie kryła jakiej dla wielu — nie dla nas — niespodzianki.

A więc, rekapitulując cośmy powiedzieli, powtarzamy, że jedyna myśl polityczna w tej mowie zawarta, myśl ewakuacyi Bośnii, jest tak utopijną i błahą, że epitet *politycznej* żadną miarą służyć jej nie może. Że o interesie Austryi w zwalczeniu panslawizmu przez Polskę, to jest o dzisiejszej formie praktycznej idei polskiej, w której stawiała ją i broniła zawsze Delegacya, tu nie było ani słowa; że to, co było powiedziane o Rosyi, było powtórzeniem tego, cośmy wszyscy przez całe lata mówili i pisali; że głosowanie za adresem nie było logiczną konsekwencyą mowy; że fakt różnego głosowania między Polakami był i buntem przeciw Sejmowi i osłabieniem naszego stanowiska, tak wobec rządu, jak wobec Parlamentu.

I te, te dwa fakta ostatnie, to jest jedyna ale tym razem istotna doniosłość polityczna tej mowy, która zresztą prawdziwej politycznej myśli nie miała.

Zaledwo bowiem głośne echo słów pana Hausnera doleciało do Lwowa, pochwyciła je i na swoją korzyść obróciła dawna i niepoprawna agitacya, której całą poli-

tyką i zadaniem jest przeczyć wszystkiemu, co w kraju jest lub się robi, a wszelkie jawne działanie udaremniać i walić, żeby tajnemu zostawić pole i racyę bytu. Między wyobrażeniami i nawyknieniami politycznemi pana Hausnera, i tych krajowych dzienników, które sławę jego tak pod niebiosa wynoszą, nie ma nic wspólnego. Po jednej stronie liberalizm, mała skłonność do oppozycyi, zamiłowanie materyalnego postępu i konieczny przytem wstręt do zaburzeń i wojny: po drugiej oppozycya nieustająca, oppozycya dla oppozycyi, namiętność właśnie niepokoju w umysłach i w czynach — ideał niepodległości Polski stawiony, wierzymy że szczerze, ale z wielkim hałasem, i, jeżeli ten ideał jest szczerym, pragnienie wojny jako środka, który do tego celu wiedzie. Dwóch polityk bardziej od siebie odległych, trudnoby może znaleźć w naszym kraju, i gdyby dzienniki, *Gazeta Narodowa* naprzykład, były same z sobą zgodne, to mało byłoby w kraju ludzi tak im niesympatycznych; jak właśnie pan Hausner. Ale o zgodność uczuć i myśli z postępowaniem, i z własną nawet, jeżeli jest jaka, tradycyą, nie chodzi tu wcale. Mają one inną konsekwencyę, i tej, przyznać im trzeba, trzymają się wiernie: a tą jest, szkodzić dodatniemu działaniu gdzie i jak się da, i wyzyskać wszystko, co mu szkodzić może. Pan Hausner miał tę zasługę ogromną, że się przeciw Sejmowi poprostu zbuntował, że mimo wiadomego oświadczenia o solidarności i do Koła w Wiedniu nie wrócił, i przeciw Delegacyi głosował. A więc trzeba z niego zrobić bohatera! Kilka ustępów, w których mówił o swojej nienawiści do Rosyi, posłużyły za pretekst; piasek ten zawsze da się ludziom rzucić w oczy i często ich zaślepi na wątpliwą wartość patryo-

tyczną uczynku. I on to sprawił, że postępek niezgodny z poselskim i polskim obowiązkiem, niewywołał w kraju takiego oburzenia i zgorszenia, jakie wywołać był powinien, i że dzienniki, które sobie monopol patryotyzmu konfiskują i zawsze tylko o prawach narodu i niepodległości Ojczyzny mówią, mogły wystroić na bohatera takiego posła, który stanął przeciw swoim po stronie niemieckiej centralistycznej większości.

Zaczęła się agitacya: skoro poseł tak odważnie zbuntował się przeciw Sejmowi, a więc trzeba mu ten heroizm nagrodzić owacyami i honorami. Pierwsza niestety dała sobie oczy piaskiem zasypać Rada miejska lwowska; a patrząc nawet na sprawy i ludzi z jak największem pobłażaniem, od ciężkiej winy wymówić jej nie można. Że ciała reprezentacyjne miejskie nie są obowiązane do szybkiego i bystrego wzroku w rzeczach politycznych, to pewna; ale do pomiarkowania się w sytuacyi tak jasnej i prostej jak ta, nie potrzeba ani bystrości ani wytrawności politycznej, ale tylko tej najprostszej znajomości położenia kraju, jego interesów, i wreszcie jego historyi, jakie każdy jego obywatel oświecony mieć koniecznie powinien. Od Rady miasta Lwowa nie żąda się zbyt wiele, jeżeli się żąda, iżby wiedziała, że jeżeli w kraju niepodległym poszanowanie czy władzy czy reprezentacyi krajowej jest koniecznie potrzebnem, to w kraju podległym a mającym własną reprezentacyę, staje się to nierównie jeszcze konieczniejszem: iżby pamiętała, że niekarność, nieposłuszeństwo jednostki przeciw Sejmowi, która się w Polsce źrenicą wolności nazywała, doprowadziła do upadku nietylko wolność polską ale i niepodległość; iżby wiedziała, że takie niekarne i nieposłuszne jednostki uważane były

zawsze za złych obywateli, a Sejm konstytucyjny nałożył karę śmierci na takie uczynki. Tyle znajomości historyi polskiej od radców miasta Lwowa wymagać można: i możnaby wymagać tej świadomości, że i narodowa solidarność wobec obcych i poszanowanie własnego Sejmu są rzeczy potrzebne, że źle robi, kto jedno czy drugie czy oboje razem gwałci.

Tymczasem Rada miasta Lwowa takiemu obywatelowi za taki czyn nadała najwyższy, jaki nadać mogła zaszczyt: obywatelstwo honorowe swego miasta! Że była zaskoczoną, że przedstawiono jej rzecz tak, jakoby zaszczyt ten miał być danym w nagrodę prawdziwej obywatelskiej zasługi, to ją niewiele uniewinnia. Sama nagłość wniosku, w którego naturze przecież nic nagłego nie było, powinna była dać do myślenia, że pod nagłością kryje się jakiś cel inny, że, jak mówi włoskie przysłowie: *ten ogon nie jest od tego kota.* Nagłości wniosku żądano właśnie dlatego, że bez niej Rada miejska nie byłaby się dała podchwycić i uwieść, że parę dni, choćby tylko parę godzin rozwagi, mogły były wystarczyć na to, by jej otworzyć oczy i dać uczuć co robi. Że takie ciało zbiorowe może się łatwo dać uwieść i porwać, to zbyt z doświadczenia znane i częste, iżby dziwić mogło; ale Rada miasta Lwowa nie może się wymawiać i zasłaniać brakiem przestróg i niezrozumieniem rzeczy. Na przestrogach nie zbywało. Sam zgodny chór pochwał, intonowany na cześć mowcy i mowy przez wszystkie niemieckie i rosyjskie dzienniki, mógł służyć za taką przestrogę. Kiedy mnie nieprzyjaciel chwali i winszuje, to znak niemylny, że swoim musiałem zrobić coś złego. Czyż tak dalece straciliśmy zmysł polityczny i zmysł konserwacyi własnej, żeśmy już w nie-

mylność instynktu nieprzyjaciela wierzyć przestali? Ale radcy miejscy nie czytali dzienników, (choć niemieckie czytać mogli), nie wiedzieli? Kiedyżbo mieli bliższe i przystępniejsze wskazówki! Kiedy Prezydent opuszcza swoje krzesło i zapowiada dymisyę, kiedy Vice-Prezydent robi tosamo, to Rada, która ich przecie sama wybrała i za ludzi poważnych uważać musi, może się domyśleć, że tu nie chodzi o żarty. Ale nie potrzeba było domysłu ani nawet namysłu, bo oprócz pp. prezydenta Jasińskiego i Madejskiego znaleźli się tacy, co się połapali zaraz; wiedzieli co się święci, a nie prezydując, mogli mówić. P. Filip Zuker, poseł, i pan Julian Czerkawski wytłómaczyli znaczenie i wniosku o honorowe obywatelstwo dla p. Hausnera, i znaczenie i powody nagłości, tak, że nie zrozumieć ich mógł chyba ten, kto zrozumieć nie chciał. Zasłudze p. Zukra oddajemy wszelkie uszanowanie; najlepszą drogą do równouprawnienia i jedności między różnemi w kraju pierwiastkami i wyznaniami jest tosamo uczucie narodowe i tosamo pojęcie obywatelskiego obowiązku. Wtedy równouprawnienie staje się prawdziwem, bo jest usprawiedliwionem. Oprócz więc tej pociechy, z jaką widzi się zawsze człowieka z przekonaniem i odwagą, widzieliśmy z radością, że starozakonny miał tak pewny i trafny instynkt polskiego sumienia i interesu: choć przykro jest pomyśleć, że tylu Polaków z krwi i tradycyi musiało od niego brać lekcyę. Ale jego zasłudze nic nie ujmując, musimy przecież dać folgę uczuciu, od którego nam serce rośnie, i powiedzieć, że dawno nic nas tak nie rozradowało do głębi i nie podniosło na duchu, jak mowa, którą pan Czerkawski z głębi swojego żalu i oburzeuia wybuchnął. Naprzód nie można było lepiej i dokładniej wytłóma-

czyć ogólnej sytuacyi, ani roztrząsnąć moralnej i patryotycznej wartości wniosku, ani ocenić politycznej i patryotycznej strony w mowie p. Hausnera: a potem niema nic piękniejszego, jak żołnierz kiedy idzie do szturmu, i za takim, kto ma serce w piersiach, poszedłby w śmierć. Ale choć śmiercią nie grozi, niemniej piękny a może trudniejszy jest szturm na fałsz i oszukaństwo, kiedy widząc *civium ardor prava jubentium* (a w tym razie, Bóg widzi jak złem było to co *cives* kazali), z odkrytą głową i otwartą piersią, z mieczem tylko prawdy w ręku, człowiek idzie naprzód i rąbie; a jak w tamtym szturmie, tak w tym tryumfuje się, nawet kiedy się nie zwycięża. Że p. Czerkawski mówił rzeczy politycznie słuszne i mądre, że jego improwizacya niestaranna ani wygładzona, była nawet w formie piękna przez wielką siłę przekonania i ogień uczucia, to prawda. Ale co najpiękniejsze i najlepsze, to męski duch, to śmiałość w powiedzeniu prawdy, i śmiałość jeszcze trudniejsza w odkryciu, obnażeniu fałszu. Od czasu jak w jakiejś złej godzinie wylęgły się we Lwowie prasowe reptilia i zarażają go swemi wyziewami, nigdy im nikt tak nie zdarł maski i nie starł łba. Obdarł do naga ze wszystkich pożyczonych redutowych polskich strojów i patryotycznych płaszczów, i obnażonych obwlókł dokoła trzy razy, żeby się wszyscy tej brzydkiej nagości przypatrzeć i zbudować nią mogli. Te dzienniki mówią, że p. Czerkawski takiej mowy nigdy nie powiedział. Prawda... powiedział ją inaczej: podając do druku, zrobił ją łagodniejszą, wyrzucił lub stępił wyrażenia zbyt ostre, takie, które w zapale walki wyrwać się mogą, ale których człowiek drugi raz rozważnie nie powtarza. Dziwnie to, że te dzienniki właśnie protestują przeciw

autentyczności mowy p. Czerkawskiego; czyby im chodzić miało o rekonstrukcyę oryginalnego textu?

Przestróg więc ani tłómaczeń nie brakło: a jeżeli pomimo nich Rada miejska zerwanie solidarności i bunt przeciwko Sejmowi pochwaliła i nagrodziła, to dlatego, że tak zrobić chciała. Że sobie dostatecznie nie zdawała sprawy z tego co robi? znamy dość ciała zbiorowe na to, by wierzyć, iż tak było. Ale zawsze pozostał fakt i dobry przykład, ten mianowicie, że uczynek, za który wojskowy miałby szlify zdarte przed frontem i szpadę złamaną, w służbie poselskiej powinien nagradzać się wieńcem obywatelskim!

Za tym przykładem poszły już niektóre miasta mniejsze: Sambor, Drohobycz, może pójdą i inne. Zaprawdę nie będzie to piękną kartą w historyi miasta Lwowa, nie zapisze się obok bohaterskiego zniesienia kozackich oblężeń, ani obok tego drugiego Zniesienia, na które Lwów codzień patrząc, ma sobie czem dobre tradycye odświeżać, ale chyba obok tej Kokoszej Wojny, która pierwsza w Polsce dała przykład gorszący a długo naśladowany, odurzania się krzykiem i poświęcania ważnych spraw Rzeczypospolitej wmówionym potrzebom, z których sama sobie dobrze sprawy nie zdawała.

A co było dalej? Na tym tryumfie jeszcze niedosyć. Że Rada miejska stanęła wbrew Sejmowi i solidarności poselskiej, to pięknie zapewne, ale to jeszcze nie wszystko. Abecadło sztuki agitatorskiej uczy, że kto chce umysły utrzymywać w niepokoju, ten musi na ulicę wyprowadzać lud, i młodzież rzemieślniczą czy szkolną. A więc ta demonstracya, którą po polsku opisują długiem a niezgrabnem wyrażeniem jako *pochód z pochodniami*, a w potocznej mowie nazywają *fakielcugiem* —

tymrazem przyznać trzeba, ta niemiecka ceremonia miała sens a nawet wyglądała na złośliwą ale dowcipną ironię. Wynikła z niej rzecz smutna, burda uliczna, wiele osób potłuczonych, pokaleczonych, nawet ranionych — i naturalne nieuniknione oburzenie ludności na policyę. Chcieliśmy z naszej strony powiedzieć jej ostro wszystko na co zasługuje: przypomnieć, że gdyby niegdyś zakazawszy *meetingu* zakaz ten była utrzymała, teraz nikt nie byłby chciał zakazów jej łamać: zapytać, czy do nas, do publiczności, należy uczyć ją, jak się w takich razach postępuje, a mianowicie, że się oznajmia poufnie prezydentowi miasta, dyrektorom szkół, starszym cechowym itd. swój stały zamiar utrzymania zakazu, i wzywa się ich, żeby ludności na ulicę wyledz nie dali, bo inaczej oni, przestrzeżeni, będą odpowiedzialni za skutki; że się zakaz podług jakichś form i przepisów zapowiada; że kiedy go już siłą utrzymać przychodzi, to rozumnie i zręcznie, tak, iżby ludziom krzywdy nie robić i o niebezpieczeństwo samego nawet życia nie przyprawiać, i nie otwierać przepaści pomiędzy ludnością a władzą. Chcieliśmy to wszystko powiedzieć ostro i obszernie. Wstrzymał nas przeczytany świeżo w *Neue freie Presse* artykuł, który mówi, „że Polacy zaczynają sami przychodzić do poznania, iż dawni urzędnicy Niemcy byli lepsi i zdolniejsi [1]“, — i winszuje „p. Dobrzańskiemu, redaktorowi *Gazety Narodowej* (a jak wiadomo, odda-

---

[1]) P. Wolski ogłosił w lwowskich dziennikach, że prosił w Wiedniu o przysłanie Komisarza. P. Hausner zaś w liście do *Dziennika Poznańskiego* pisze dosłownie: „Z goryczą przypominają sobie, jak oględnie i łagodnie w latach 1861—1863 *rząd niemiecki*, pod Mensdorffem, zachował się przy podobnych sposobnościach“.

wna panującemu faworytowi Królowej Opinii, który, zręczny jak Potemkin, cierpi mniejszych obok siebie, ale władzę nad panią zazdrośnie sam dzierży;) „p. Dobrzański“ wedle korespondencyi ze Lwowa do *Neue freie Presse* „w tym kierunku na opinią działa“. Z obawy więc, żeby i nam podobnej zasługi nie powinszowano, zachowujemy dla siebie to, cośmy mieli do powiedzenia, a do urzędów policyjnych zwrócimy tylko jedno słowo: do nich należy przekonać Rząd, iż administracya polska może być tak dobrą jak niemiecka i lepszą; a ludność nauczyć nietylko poszanowania władzy, ale dobrowolnego i szczerego dla niej uszanowania. Wogóle udaje się to dzięki Bogu nieźle; ale takie fakta, jak rozruch uliczny we Lwowie, psują wiele i mogą nas bardzo na tej drodze cofać. Niechże więc urzędnicy policyjni będą rozumni, zręczni, a do tego przejęci tą dobrą wolą i wysokiem pojęciem swego obowiązku, bez których mogą łapać złodziei i pijaków, ale publicznego porządku naprawdę utrzymać nie zdołają.

Że rozruch stał się dopiero niespodzianym a niewyczerpanym dla agitatorów skarbem, rzecz naturalna. W ludności skrzywdzonej rozdmuchać niechęć do rządu, winę całego zajścia zwalić naturalnie na Delegacyę, wstrząsnąć tą równowagą, do której kraj przychodzić zaczynał, rozdraźnić ludność na Rząd i doprowadzić ją do kroków, które znowu Rząd rozdraźnią, w dalszej konsekwencyi przerzucić kraj w oppozycyę i obalić tę niepatryotyczną, zaprzedaną austryacko-polską politykę, a rozpuścić wtedy wodze działaniom tajnym i spiskowym, co za pole szerokie, co za wspaniały horyzont niespodziewanie się otwierający! Burda a temmniej rozlew krwi, nie były oczywiście w programie, ale przy-

szły tak w porę, tak na rękę, że nic szczęśliwszego zdarzyć się nie mogło. Dziwiono się i gorszono, że kiedy na ulicy była bójka i ludzie pokaleczeni i skrwawieni, niektórzy i ciężko ranni padali na ziemię, to zebrani na ucztę rokoszanie po krótkiej przerwie bankietowali dalej, i że jak się wyraża zawsze tasama *Neue freie Presse: „die gehobene Stimmung“* wróciła rychło. Gorszyć się można, dziwić niema czemu: rokosz znalazł nowy dla siebie żywioł i dzielny środek działania, którego użyć potrafi. Prosta rzecz, że *„in einer gehobenen Stimmung“* trącał w kielichy i wołał *kochajmy się!*

Co się stanie dalej, nie wiemy; co się stało, widzimy. Stało się naprzód to, że Sejm został wyzwanym i znieważonym, że Delegacya, która tylko solidarnością się trzyma, została osłabioną nie ubytkiem trzech głosów, ale efektem moralnym tych owacyj dla secesyonistów, które prasa wiedeńska do swoich celów dobrze wyzyskiwać umié. Stało się dalej takie pomięszanie pojęć, takie zboczenie z jedynego prostego kierunku polityki, takie prześlepienie naszych obowiązków i interesów, że alians z centralistyczną większością Rady państwa wydaje się patryotyczną zasługą. Stało się wreszcie takie zbałamucenie sumień i umysłów, takie zatrwożenie charakterów, że mało kto widzi złe w całej jego rozciągłości, a jeszcze mniej kto ma odwagę je karcić.

To się już stało. Stać się zaś jeszcze może to, że jeżeli przykład p. Hausnera znajdzie naśladowców, do czego dzienniki i owacye oczywiście zachęcają, to w Radzie państwa nie będzie jednolitej reprezentacyi polskiego kraju i polskiej sprawy, ale zbiór posłów z różnych okręgów wyborczych. Rozpuszczenie naszej odrębności i indywidualności, rozbicie jedności i całości kraju na

atomy okręgów czy Bezirków, które się Bachowi nie udało, może stać się faktem w Radzie państwa; a w niej może stać się ustawą, która jakie znowu pociągnie za sobą fakta, to łatwo przewidzieć. Może się stać i to także, że jeżeli burdy i rozruchy powtarzać się zechcą to dostaniemy tych urzędników Niemców, którzy, zdaniem niektórych patryotów, tyle zyskują na porównaniu z urzędnikami Polakami [1]); może się stać, że wrócimy nie do takiego stanu zapewne, jaki był za rządów Bacha, ale do takiego, jaki był za rządów Mensdorffa. Ale może to najlepiej, może to właśnie czego trzeba? Bo wiadomo przecie, że im gorzej tem lepiej, a im mniej w kraju porządku, wolności i narodowego bytu, tem więcej pola dla tajnych i samozwańczych, niby narodowych rządów.

A co na to wszystko robić? Środka doraźnego niema, i kto chciał, żeby widoczne oddawna agitacye nie doprowadziły nas tam, gdzie jesteśmy, ten powinien był oddawna i od początku stawiać im zapory. Dziś jedna tylko rada, ale ta byłaby skuteczną, w energii i odwadze ludzi. Dzięki Bogu widzieliśmy jej przykłady, tylko niedość liczne. W mieście Lwowie pokazał je dotąd p. Czerkawski i p. Zuker, ze wsi dotąd tylko pp. Polanowski, Obertyński i Jędrzejowicz swojem oświadczeniem przeciw *Gazecie Narodowej*, i p. Dawid Abrahamowicz swoim listem otwartym do p. Hausnera. Liczyliśmy na to, wyznajemy, że na to hasło jaki taki poczuje się w sobie, i że za tym przykładem wystąpienia podobne posypią się jak grad. Dotąd czekamy ich daremnie, a ci panowie sami jedni, nie poparci przez

---

[1]) Patrz przypisek na str. 389. *P. R.*

nikogo, szkalowani przez dzienniki tak jak one szkalować umieją, wyglądają pośród nas jak dzielni żołnierze, którzyby na ochotnika poszli naprzód w nadziei i w przekonaniu, że cały pułk idzie tuż za nimi, a tymczasem znaleźli się sami wśród nieprzyjaciela; pułk się nie ruszył.

Miejmy nadzieję, że się jeszcze ruszy; a jeżeli się ruszy a śmiało, to może jeszcze i tę bitwę wygrać, i straconą pozycyę odzyskać, i tak jeszcze nieprzyjaciela pokonać, że długo nie będzie śmiał podnieść głowy. A może Bóg da, że nawet, jak mówi poeta, „zadusi się mułem, w którym pełza“.

Z SEJMEM.

Artykuł niniejszy, odnoszący się do tejsamej sprawy co poprzedni, wyszedł osobno, jako broszura, i bezimiennie, w myśli, że tym sposobem zrobi może więcej wrażenia, niż gdyby się ukazał w *Przeglądzie Polskim*. Że zaś *Przegląd* nie mógł o tych zdarzeniach nie wspomnieć, i zdania swego o nich nie wypowiedzieć, więc autor zmuszony był pisać dwa razy o tymsamym przedmiocie.

Zdarzenia same przez się drobne bywają czasem znacznych w narodzie przemian oznaką, albo i ważnych zwrotów w ich historyi, czy w ich polityce początkiem. Patrząc na ostatnie tak wobec historyi małe wypadki w Galicyi, zapytujemy sami siebie, czy one nie są symptomatem jakiejś w tej części Polski dojrzewającej lub już dojrzałej wewnętrznej zmiany, i czy nie pociągną za sobą zwrotu w jej dotychczasowem położeniu i postępowaniu. Że dwóch lub trzech posłów odbije się od wszystkich i zechce występować na własną rękę i odpowiedzialność, to tylko strata tyluż głosów dotkliwa może, może niekiedy praktycznie szkodliwa dla jakiejś szczegółowej sprawy, gdyby przez to w głosowaniu upaść miała, ale dla stanowiska całego kraju i jego reprezentacyi, dla jego polityki i jego przyszłości, dla jego sprawy i jego historyi, zupełnie obojętna. Że miasto jakieś, choćby tak znaczące jak Paryż lub Londyn, nada komu obywatelstwo honorowe, to także na szali losów świata nie zaważy. A że gdzieś zrobi się rozruch na ulicach, to może być krzywdą dla zranionych, nieszczęściem jeżeli zaszły wypadki śmierci, może być niepotrzebnem junactwem z jednej strony, naganną niezręcznością lub bezwzględnością z drugiej, ale gdzie ani ludność, ani rząd nie miały powodu ani zamiaru

występować przeciw sobie po nieprzyjacielsku, gdzie rozruch był zupełnie przypadkowym, tam po uspokojeniu chwilowego wzburzenia wszystko powinnoby po rozruchu być takiem, jakiem było przed nim.

W Galicyi nie zaszło nic innego i nic większego. A przecież po wystąpieniu trzech posłów z delegacyjnego koła wiedeńskiego, po nadaniu jednemu z nich obywatelstwa honorowego przez miasto Lwów, i po przypadkowej burdzie na ulicach tego miasta, o której nikt nie myślał i której nikt nie chciał, stan rzeczy w tym kraju okazuje się cokolwiek innym niż był przedtem; dają się tam słyszeć jakieś tryumfy i jakieś obawy z miarą wypadków wcale nie w proporcyi; dają się widzieć sprzeczności pomiędzy przekonaniem i uchwałami reprezentacyi kraju, a słowami i postępowaniem niektórych obywateli; wreszcie w postępowaniu tych ostatnich daje się widzieć sprzeczność wielka z tem wszystkiem, co było od lat kilkunastu stałą i powszechnie zdawało się przyjętą polityką tego kraju, przyjętą i prowadzoną bez wyraźnego upoważnienia, ale z porozumieniem i approbacyą tak Wielkopolski jak i ludzi znaczących z Warszawy i wogóle z pod rosyjskiego zaboru.

Kiedy więc naraz zdarza się zboczenie z takiej drogi, a przynajmniej oznaki i zapowiedzi zboczenia, trzeba zapytać co to jest: przypadek, lub też dążność jakaś dochodząca do dojrzałości objawiająca się wyraźnie nazewnątrz, z której może wyniknąć kryzys w polityce i w stanie Galicyi?

I.

Mówimy często i słusznie, że różne części Polski po kolei dostają lepsze warunki bytu, a z niemi możność i obowiązek przechowania i pomnożenia sił narodowych dla siebie i dla innych; mówimy, że kiedy po roku 1863 runęły wszystkie, jakie jeszcze były resztki odrębności i narodowych praw pod rządem rosyjskim, dostały się te prawa i wynikające z nich obowiązki Galicyi, ona została wziętą na próbę, ona miała zdobyć dla żywiołu polskiego odrębne życie i stanowisko znaczące w jednem państwie naprzód, a skoroby to zrobiła, przez to państwo zdobywać i rozszerzać to znaczenie i stanowisko dalej.

Jakiekolwiek miała trudności, zewnętrzne od większości parlamentarnej niemieckiej, czy od rządu, który międzynarodowego charakteru wszystkiego co polskie nigdy z oka nie spuszcza, unikać musi wszystkiego, coby go na rosyjskie i pruskie reklamacye narażać mogło; czy też wewnętrzne od Rusinów lub od własnego w życiu publicznem niedoświadczenia — Galicya, ogółem wziąwszy, z zadania swego wywiązała się nieźle. Po latach dwunastu ma, czego od stu lat blisko nie miała: język polski w szkole, w sądzie i w urzędzie, ma urzędników rządowych prawie bez wyjątku Polaków, ma niektóre sprawy we własnej administracyi, a powstające drogi, szkoły, szpitale, dowodzą, że administracya ta nie jest ostatnią; dawna waśń społeczna między szlachcicem i chłopem załagodziła się bardzo; a wreszcie przez rozumne postępowanie w Radzie Państwa, mianowicie przez dbałość o to, by to państwo

miało dostateczną siłę obronną, Galicya doszła do tego, że i życzliwą ufność cesarza i nieżyczliwe poszanowanie ministrów i parlamentarnych przywódców zdobyła, doszła w Austryi do znaczenia, jakiego przedtem nie miewała. Kiedy zaś wybuch wojny wschodniej dał jej potemu sposobność, powiedziała przez usta swoich delegatów za całą Polskę to, co ona jedna z całej Polski powiedzieć mogła, to jest: że zabezpieczyć Austryę i zatamować potop rosyjskiego panslawizmu można nie nad Dunajem, ale tylko i jedynie nad Wisłą. Zajęła więc w politycznych sprawach świata stanowisko małe zapewne, bo przeważnego zająć nie mogła, ale polityczne, rozumne, i polskie.

Wszystko to są rezultaty dodatnie i nie ostatnie, kilkunastu lat galicyjskiej historyi.

Żeby do nich dojść, miała Galicya kilku ludzi niepospolitych zapewne, a wielu dobrze myśleć i dobrze robić umiejących, ale miała pewne materyalne i moralne punkta oparcia, i pewne z doświadczenia wzięte stałe i niemylne tradycye. Tym punktem ciężkości, na którym się wszystko spierało, i około którego wszystko się obracało, był Sejm, władza prawodawcza własna, z wyborów powstała, otoczona jak dotąd powagą i uszanowaniem powszechnem, a która przez to tylko, że trwała przez lata, uczyła ten kraj rozumieć i cenić władzę, uważać ją za konieczną i za dobrą, swoją a nie narzuconą, popierać ją i słuchać jej; czyli Sejm w początkach był, a im dłużej trwał, temwięcej stawał się tą jednością podstawną, która całość skupia i trzyma, stosem pacierzowym tego organizmu, który całemu szkieletowi daje związek i ruch. To był

ten pierwszy kardynalny nabytek i kardynalny punkt stały w galicyjskiem życiu publicznem.

Oprócz niego była stała polityczna tradycya, wyniesiona ze stu blisko lat doświadczeń, a ucząca, że dążność wynarodowienia, zniemczenia Galicyi, absorbcyi jej przez żywioł niemiecki i przetrawienia na pewną liczbę austryackich *becyrków*, po Józefie II, po Metternichu i Bachu tak nagle zniknąć nie mogła, ale że gdzieś czy to w niemieckiej ludności, czy w sferach urzędniczych choćby wysokich, ona żyć musi. Wszystkie zaś do dziśdnia większości w Radzie Państwa, odrzucając wszelkie w rozprawach konstytucyjnych poprawki lub wszelkie po za temi rozprawami stawiane żądania Galicyi w kierunku odrębności narodowej, owszem gwałcąc sam statut krajowy i samą konstytucyę Państwa, przez ustanowienie bezpośrednich wyborów, obcinając wreszcie w ich atrybucyach instytucye już Galicyi nadane, dowiodły, że duch Józefa II, Metternicha i Bacha, duch absorbcyi narodowości polskiej w Austryi przez polityczną centralizacyę, żyje dziś głównie w tem niemieckiem stronnictwie, które się nazywa liberalnem i *wierno-konstytucyjnem.* Ztąd wyrobiła się w Sejmie galicyjskiem i w jego Delegacyi tradycya na doświadczeniu oparta, a nigdy żadnym najmniejszym faktem niezachwiana, że jak w Europie pierwszym nieprzyjacielem Polski są Rosya i Prusy, tak w Austryi pierwszym i głównym nieprzyjacielem Polski i polskości, nie jest ani dwór, ani wojsko, ani wspólny rząd austryacko-węgierski, tylko centralistyczna większość w Radzie Państwa.

Do odgadnięcia nieprzyjaciela, narody miewają instynkt niemylny. Galicya więc, skoro odgadła (a nie było to nawet trudnem) tego nieprzyjaciela, z którym

ustawicznie do czynienia mieć musiała, odgadła znowu zmysłem zachowania siebie samej, że choć zawsze w Radzie Państwa zwyciężoną być może, to zjedzoną nie będzie, jeżeli wszyscy jej posłowie będą zawsze w każdej sprawie wielkiej czy małej, głosowali jak jeden człowiek. To jest początek i powód tej solidarności, która jest oczywiście środkiem tylko, ale środkiem tak wypróbowanym i tak koniecznym tam, gdzie się ma do czynienia z silniejszym nie już politycznym, ale narodowym przeciwnikiem, że środek stał się zasadą, axiomatem politycznym. Zrozumiała też to Galicya odrazu i rozumiała długo. W łonie jej reprezentacyi w Wiedniu bywały przez długie lata większości i mniejszości (rozdzielone między sobą zasadniczemi kwestyami jak wysłanie lub niewysłanie do Rady Państwa, jak Rezolucya z roku 1868, jak Federalizm wreszcie), a w Izbie przed Niemcami wszyscy zawsze występowali i głosowali jak jeden.

Z temi trzema pewnikami, z temi zasadami i punktami stałemi, a zarazem środkami działania, doszła Galicya do tych rezultatów, któreśmy wyżej wskazali, a niedawno temu jeszcze nikt nie mógł przypuszczać, jakoby w ogromnej swojej większości nie uważała ich za pewniki, za zasady, za punkta wytyczne swojego postępowania. Bo jeszcze w bieżącym roku, kiedy trzech czy czterech, czy pięciu podobno posłów, zerwało solidarność Koła i odbiło się od jego większości, to wprawdzie dwa okręgi wyborcze w małym komplecie wyborców dały im absolucyę, czy nawet approbacyę, ale kraj cały potępił ich bez wahania i zgodnie jako secesyonistów. Kiedy zaś Sejm, lub żeby mówić dokładniej, posłowie sejmowi w Koło zebrani, wyrok ten potwierdzili

i solidarność polską w Radzie Państwa ogłosili za konieczny obowiązek Polaka i posła, nie było nikogo coby im słuszności odmówił, i dotychczasowe zasady postępowania zdawały się zatwierdzone nanowo i nadługo.

Co się stało, że się zmieniły? że przestały być czem były od roku 1861? Postaramy się wyśledzić. Nateraz ograniczamy się na stwierdzeniu, że coś się zmienić musiało, że ani Sejm nie jest już jak widać powagą, ani karność względem niego obowiązkiem, ani większość Rady Państwa nieprzyjacielem, ani wreszcie jedność delegacyjna koniecznym środkiem działania, skoro tylko co po zapadłej uchwale Koła mógł ktoś i z tej jedności wystąpić, i centralistów niemieckich mową i głosowaniem swojem poprzeć, a zamiast surowej nagany lub dotkliwszej jeszcze obojętności, odbierać hołdy, oklaski, i korony cywilne.

Kto baczną dawał uwagę na bieg spraw galicyjskich, ten widzieć musiał, że od początku, to jest od czasu kiedy zawieszona za rządów Belcredego Rada Państwa zebraną została nanowo przez ministeryum Beusta, zatem od roku 1867, zaczęła występować niechęć przeciwko Delegacyi tak konsekwentna i systematyczna, że koniecznie przypisać jej trzeba zamiar i plan. Gdyby bowiem chodziło było o kwestye i zasady polityczne tylko, jak naprzykład uchwała z 2-go marca 1867, mocą której Sejm wysłał delegatów swoich do Rady Państwa, gdyby o postępowanie Delegacyi w tym lub owym wypadku, o mniejszy lub większy zakres lub stanowczość jej żądań, w takim razie i różnica zdań i nawet namiętność dałaby się pojąć, a oppozycya przeciw Delegacyi mogłaby była mieć cechę dobrej wiary i uczciwości. Ale tak nie było: od pierwszej

chwili wydały jej wojnę niektóre krajowe dzienniki, a prowadziły tę wojnę znanym doskonałym sposobem, rzucaniem podejrzeń i rozsiewaniem potwarzy. Jeżeli Delegacya zrobiła jakiś krok czy to mylny, czy tylko krajowi niemiły, krok ten zaraz użyty był za pretext, za środek rozdrażnienia opinii, a na dnie leżało zawsze domyślne lub nawet głośno wypowiedziane oskarżenie, że Delegacya goni za swojemi widokami, ten za orderem, drugi za ministeryalną teką, inny za zyskiem, a wszyscy odstępują sprawy i interesów kraju, wszyscy się „zaprzedali!“ To wielkie słowo, a nawet podejrzenia prostej nierzetelności pieniężnej, odezwały się już w roku 1867. Kiedy po całorocznej przeszło kampanii Rady Państwa, zebrał się Sejm w jesieni roku 1868, nowe agitacye, nowe oskarżenia, powoływania posłów przed trybunały meetingów, nawet żądania jakiegoś sądu na Delegacyę, jak żeby ona w mniejszości będąc mogła była przeszkodzić konstytucyi z grudnia 1867 r., i zrobić coś więcej jak przeciw tej konstytucyi mówić i głosować. Krzyki były tak długie i hałaśliwe, że aż na Sejm sam (i w tem jego znowu wina) zrobiły wrażenie. Sejm po ogłoszeniu nowej konstytucyi musiał i przeciw niej protestować, i stanowisko kraju jasno oznaczyć; ale wszelki pomysł czy projekt był tak zaraz okrzyczany jako niegodny, miękki, bojaźliwy, niepatryotyczny, niedość wiele żądający, licytacya *in plus* tak szła ostro w dziennikach, że w końcu i Sejm sam stracił równowagę, i zamiast sformułować przekonania i żądania swoje ogólnie, uchwalił kategoryczną i dogmatyczną rezolucyę.

Ta znowu stała się podstawą operacyjną nowej przeciw Delegacyi kampanii. Rząd jakkolwiek niechętny

w układy wchodził; na wszystkie przecież artykuły rezolucyi godzić się nie chciał, czy nie mógł. Ile razy Delegacya wchodziła w jakieś układy i próbowała dojść do kompromisu, który mógł się skończyć niemałemi dalibóg dla kraju nabytkami, wołało się zaraz, że Delegacya zdradza program sejmowy, buntuje się przeciw mocodawcy, *zaprzepaszcza* rezolucyę, poświęca prawa i interesa kraju. A oczywiście zawsze dla osobistych celów i korzyści. Delegacya powinna albo zdobyć na rządzie i Radzie Państwa rezolucyę całą, albo wyjść z Rady Państwa: to było hasło, które powtarzane w dziennikach przyjęło się w opinii, na nieszczęście i w Delegacyi samej, która zrobiła czego chciano. Nie mogła zdobyć wszystkiego, wyszła.

Odpowiedzią na ten krok było prawo o bezpośrednich wyborach w razach koniecznych *(Nothwahlgesetze)*, pierwszy krok do tych wyborów bezpośrednich, które mamy dziś, a które dla Rady Państwa są wyrazem i środkiem tej centralizacyi i absorbcyi, która z różnych krajów i narodów ma zrobić jednolitą Austryę, ideał Józefa II, Metternicha, Bacha, i dzisiejszej parlamentarnej większości.

Nieustanne więc szczucie opinii przeciw Delegacyi miało ten skutek, że Sejm bardzo niezręcznie uchwalił swoją rezolucyę, że z tej rezolucyi nie wynikło nic, prócz otwarcia drogi bezpośrednim wyborom.

A wtedy nowe pole do agitacyi.

Adresy do cesarza, adresy narzekające i oskarżające, politycznego i praktycznego skutku pozbawione zupełnie, bo cesarz nigdy na nie nie odpowiadał, godności Sejmu i kraju przez to szkodliwe, stawały na pierwszem miejscu jako pierwszy niby obowiązek Sejmu

jako jego czynność polityczna, a miały ten przymiot nieoceniony, że utrzymywały niepokój w umysłach po za Sejmem i w Sejmie, że zabierały dużo czasu, że spraw krajowych choćby najważniejszych załatwiać nie dawały, a przez to znowu podkopywały znaczenie i powagę Sejmu, o którym znowu trąbiło się na wszystkie strony, że nic nie zrobił lub zrobił zamało.

Im dłużej to trwało, a powtarzało się częściej, tem silniej i śmielej mogło występować, bo każde oskarżenie przez publiczność przyjęte, nie odparte, stawało się podstawą nowego. Prawda, że nikt na to wiele nie zważał, że kraj przyzwyczajony do zmiennych a kłamliwych dziennikarskich sądów puszczał je mimo siebie, w mniemaniu, że one nic zmienić i nikomu zaszkodzić nie zdołają; pokazało się przecież, że zawiele ufaliśmy sobie samym, a nie dość zręczności przeciwników, skoro z tej ich roboty jak dziś mamy dowody, zawsze jak mądrze mówił Voltaire zostawało coś w głowach, i dużo nawet zostało. Wojna przeciw wszystkiemu co jawnem jest i jawnie działa, prowadziła się tak regularnie, nienawiść do Sejmu występowała tak otwarcie a nieufność do niego propagowała się tak systematycznie, że Sejm obecny jeszcze nie był otwartym, kiedy dzienniki lwowskie zdecydowały i napisały, że „po tym Sejmie niczego dobrego spodziewać się nie można“.

Kwestya wschodnia doprowadziła naturalnie usposobienie to do wyższej potęgi, a zarazem dążnościom tym dała pożądaną sposobność do podszczuwania ludzi na Sejm i na Delegacyę. Kraj czekał oczywiście i spodziewał się, że Austrya skorzysta z jedynej sposobności, żeby się raz nazawsze zabezpieczyć od Rosyi; Delegacya polska w Wiedniu nie mogła ani Rosyi wojny

wydać, ani rządu do wydania jej zmusić. Że tego zrobić nie mogła? któżby to brał w rachubę; że co mogła to zrobiła, to jest nie opuściła żadnej sposobności żeby rządowi tłómaczyć, że Polska jedna może Austryę od Rosyi i panslawizmu zasłonić, że to był jedyny sposób możliwy i praktyczny mówienia o Polsce, że dzięki Delegacyi w chwili tego zwrotu w dziejach świata Polska powiedziała swoje i od przedawnienia się zawarowała, któżby był dość głupim, żeby to przyznał! To wszystko było, i było prawdą, i było zasługą, i miało większą wagę niż wszystkie szumne dziennikarskie frazesy lub wszystkie noty dyplomatyczne uniwersalnego ambasadora Rządu narodowego: ale to wyszło z Delegacyi, to mówił bądź Grocholski, bądź Dunajewski, bądź który inny, ale zawsze jeden z ludzi stojących i działających jawnie; a więc to jest, raczej to musi być przedstawione jako nic nie warte, owszem jako szkodliwe, nie zero ale *minus*, nie obojętność lub niezdolność tylko, to byłoby zamało, ale jako zdrada sprawy narodowej przez Delegacyę. Co się o niej nie pisało od roku 1876! jakie kłamstwa, jakie potwarze, jakie żądania nie do spełnienia, na tensam zawsze temat: Delegacya nie stawia kwestyi polskiej! Opowiadano nam — *se non é vero é ben trovato* — że po śmierci Piusa IX jeden dziennik lwowski z góry zaręczał, że ta wiarołomna i zaprzedana Delegacya z pewnością zaniedba wywrzeć energicznego wpływu na *Conclave*, ażeby zapewnić wybór Papieża dla interesów narodowych korzystny.

Równocześnie szkalowało się wszystko, co tylko w tym chórze wtórować nie chciało. *Czas* dla czytelników *Gazety Narodowej* jest organem rosyjskim, re-

daktorowie jego układali się z jakimś jenerałem Lewaszewem, a nawet i z Wielką Księżną Dagmarą o zaprzedanie Polski (czy Galicyi) w niewolę rosyjską: ludzie prywatni, jeżeli który z nich nie słuchał z nabożeństwem słów *Gazety Narodowej* i śmiał się odzywać, dostawali zaraz patenta na zdrajców. Wszystkie te niecne potwarze i niedorzeczne baśnie skutkowały przecież trochę; tu i owdzie z jakiego powiatu ozwał się jaki cienki głosik piszczący anatemata na Delegacyę, która odstąpiła sprawy narodowej, tu i owdzie z jakiego więcej hucznego niż licznego zgromadzenia ludu rozlegały się grzmiące pioruny trybunów.

Zostawały przecież bez echa: jedynem echem naprawdę był śmiech. Źle: zdrajcy, konserwatyści górą! tak dalece górą, ze kiedy w roku 1877 Rząd narodowy rozpoczynał werbunki i zamierzał zapewne wtargnąć w granice Królestwa lub Wołynia, nikt się nie ruszył, a rzecz skończyła się na kilku policyjnych aresztach, conajwięcej na wydaleniu kilku indywiduów; tak dalece, że kiedy Rząd wydalił za granicę pana Gillera, którego uważał (nie wiemy czy słusznie), za główną sprężynę i duszę tych agitacyj, nikt się nie ruszył ani nie obruszył, słuszność przyznawano powszechnie rządowi; tak dalece, że kiedy w roku 1878 Rząd narodowy wydał manifest do swoich poddanych, w którym przyrzekał im opiekę a nakazywał posłuszeństwo, poddani ani się ucieszyli, ani przestraszyli, a jeden z nich był nawet tak zuchwały, że w broszurze *Na jaw* manifest wydrukował, a sam Rząd narodowy ostro krytykował.

To już bardzo źle, to nie może być gorzej! To dowód, że legaliści (jak ich nazywano w Warszawie

przed rokiem 1863) czują się na siłach, a za garść swobód chcą sprzedać Polskę Austryi, jak Ezaw starszeństwo za garść soczewicy.

Wszystkie żywioły spiskujące w Galicyi przelękły się tego stanu rzeczy, przelękły się o swój wpływ i o tę „czystą ideę polską," którą one jedne, jak mówią, z Bożej łaski rozumieją, dzierżą, i reprezentują. Z drugiej strony dzienniki od lat dziesięciu czy jedenastu wojujące ze Sejmem i z Delegacyą, widząc, że polityka konserwatywna i legalna nie ustępuje ani przed ich gromami, ani nawet przed manifestami Rządu narodowego, zaciekły się w swojej zawziętości do ostatka, a nieszczęśliwy obrót sprawy wschodniej i daremność usiłowań Delegacyi, żeby jej nadać inny, służyły im wybornie; kraj był głęboko zbolały, zawiedziony gorżko, zatrwożony o swoją i o Austryi nawet przyszłość. Mówić mu, że kiedy się nie udało zdobyć więcej, to powinien to co ma starannie zachowywać i rzeczywistością żyć, dopóki go okoliczności znów do ideału nie zbliżą, to rola małych duchów i serc niepatryotycznych. Wielkie zdolności i wielkie chataktery uderzają w takich razach na ludzi działających, i na nich walą odpowiedzialność, że nie odbudowali Polski, a przynajmniej Austryi do odbudowania jej nie zmusili.

Tak więc stały rzeczy w Galicyi przez ciąg roku 1877. Spiskowcy krzątający się czynnie, ale bezskutecznie, przy okazyi wojny i o swój wpływ przestraszeni; dzienniki wierne swojej jedynej tradycyi, a używające swojej jedynej zdolności przeczenia wszystkiemu co się robi, a szkalowania wszystkich co robią, pod ich sztandarem zaś wszystkie fałszywe ambicye, wszystkie niedouczone geniusze własnego autoramentu, wszyscy

aspiranci do wysokich płac i posad, cała armia tych urodzonych malkotentów, którzy nigdy zrozumieć nie mogą, że nie są pierwsi na świecie, kiedy są tak mało warci i tak mało zdolni; a pod tem wszystkiem dopiero ludzie dobrego serca i dobrej woli, którzy widzieli, że przepadła jedyna nigdy jeszcze niewidziana sposobność pobicia i upokorzenia Rosyi. I ci mogli łatwo uwierzyć, że ktoś temu winnym być może, że albo coś złego zrobił, albo coś dobrego zaniedbał: a kiedy im też powtarzano przez lat dziesięć bez ustanku, że Delegacya dba o interes austryacki i rządowy tylko, co najwięcej o galicyjski, ale nie o polski, mogli w końcu pomyśleć sobie czasem: „a któż wie? może to i prawda!"

Dojrzewały tak pomału elementa sytuacyi dzisiejszej rozwijane wpływem europejskich wypadków: anarchia, i patryotyzm prawdziwy odległe od siebie i od siebie niezależne, ale łatwe do zbliżenia, jeżeli tylko wypadek jaki pozwoli pierwszej ująć za uczucie drugie, a ująwszy, oszukać go i do swoich celów nadużyć.

Wypadek zdarzył się drobny i mały. Kilku posłów (pięciu podobno), poróżniło się z Kołem delegacyjnem. O kwestye zasadnicze i polityczne napozór, o regulaminowe w istocie. W jednych jak w drugich trudno było zrozumieć czego ci panowie chcieli, bo kiedy im podawano biały papier, pisali na nim mgliste programy ogólnikowe nie wskazujące co jak i robić, lub elastyczne regulamina, które nic nie regulowały, i najważniejsze, najłatwiejsze do przewidzenia wypadki zostawały bez normy postępowania. Być może, że nie wszyscy wiedzieli jasno czego chcą, a przynajmniej nie wszyscy chcieli jednego. Pan Kornel Ujejski naprzykład albo pan hr. Artur Gołuchowski czuł brak jakie-

goś grzmiącego słowa o Polsce, które, gdyby jej nie odbudowało, to przynajmniej zagrzmiałoby dobrze. Pan Hausner zaś wie dobrze, że grzmot tylko tam dobry, gdzie z nim razem uderza i piorun, a pan Ludwik Skrzyński (mówiono to wiele razy, a on nie zaprzeczał) odzywał się z tym głośno, że żądać teraz od Austryi rekonstytucyi Polski, to dziecińątwo. Co do tych dwóch ostatnich przynajmniej zdaje się prawdopodobnem i okazuje się z ich własnych mów na zebraniu Koła we Lwowie (25 września b. r.), że głównym powodem wystąpienia był regulamin Koła, wedle którego każdy poseł wtedy tylko w Izbie mówi, kiedy mu Koło pozwoli, i tak mówi, jak mu ono poleciło. Jakiekolwiek zresztą były powody, dość, że wystąpili. Krok ten, złamanie solidarności koniecznej w Wiedniu, pochwalony przez okręg wyborczy samborski i miasta Lwowa (przy małej liczbie wyborców), przyjęty był bardzo źle i zganiony surowo przez cały kraj. Pan Skrzyński, pan Kornel Ujejski dostali od swoich wyborców dość znaczącą, choć bardzo grzeczną prośbę, żeby do Koła napowrót wstąpili: inne okręgi aprobowały swoich posłów za to, że w solidarności wytrwali. Sejm wreszcie dał uczuć tym, jak ich zwano secessyonistom, że narazili sobie jego przychylność i ufność, kiedy ich obu przy wyborach do komisyi pominął. Uroczyście zaś i bardzo silnie krok ich potępił, choć żadnego z nich nie wymienił, kiedy na posiedzeniu Koła z dnia 25 września b. r. uchwalił większością 93 głosów przeciw trzem, znane oświadczenie, w którem solidarność w Radzie państwa uznaje za konieczną, i przypomina, że Sejm konstytucyjny zniósł na wieczne czasy konfederacye i *Liberum veto.*

Zdawało się, że wszystko dobrze, że z wyjątkiem dwóch dzienników i pewnej liczby turbatorów, kraj wzmocnił się w swojem przekonaniu i silniej około Sejmu skupił. Charakterystycznie tylko odezwał się wtedy jeden głos cichy i pokorny, ale świszczący groźnie jak syk węża, głos jednego dziennikarza, zapowiadający, że kiedy sejm wyparł się ojczyzny, to teraz kraj wyprze się Sejmu. Na tę, jak się zdawało, bezsilną groźbę mściwej niemocy nikt nie zważał. Pokazało się jednak niebawem, że ona tak zupełnie bezsilną a nawet bezskuteczną nie była, i że jeżeli kraj nie wyparł się Sejmu, to zdołano zrobić przecież tyle, że część jego dała się uwieść i narzucić sobie pozory takiego wyparcia.

Po zwołaniu Rady państwa, kiedy delegacya zeszła się nanowo w Wiedniu, secessyoniści *w upragnieniu zgody niby i w poddaniu się uchwałom Sejmu*, wysłali do Koła pismo z propozycyą, że wrócą do jego grona, jeżeli Koło wyznaczy komisyę, która z nimi wspólnie ułoży nowy projekt regulaminu. Koło odpowiedziało, że regulamin może być zmienionym na wniosek jego własnych członków, ale że ludzie do Koła nienależący, nie mają prawa mięszać się do jego regulaminu i nasyłać mu swoich wniosków; że kto do Koła wejdzie na tych zasadach i warunkach, na jakich ono się zawiązało i trwa, potem będzie miał prawo wnosić co zechce. I znowu Koło miało słuszność, i znowu ta słuszność obróciła się przeciw niemu. Oppozycya zgodna, powolna, posłuszna, złożyła urazę ze serca i wyciągnęła rękę; a dumna delegacya zatwardziała w hardym uporze odepchnęła tę rękę ze wzgardą! Tak mówili panowie oponenci i zostali po za Kołem, tak mówiły dzienniki lwowskie i otaczały ich swoją sympatyą.

Wreszcie przyszła dyskusya adresowa, a w niej mowa pana Hausnera, ta kropla, co przelała czarę pełną zadawnionej systematycznej agitacyi.

Adres był jeden z najlichszych, jakie się kiedykolwiek w tym lub jakim innym parlamencie widziało. Pod względem austryackiego patryotyzmu przypominał wdzięcznie tę prośbę, którą w roku 1866 zaniosła do cesarza wiedeńska Rada miejska, żeby tylko broń Boże stolicy swojej od zbliżającego się nieprzyjaciela nie bronił. Pod względem politycznym chciałby był powiedzieć, że trzeba wycofać wojska z Bośnii, chciałby był powiedzieć, że jeżeli Austrya sprzymierzy się z Rosyą, to może zapanuje w niej despotyzm: ale jednego ani drugiego nawet wyraźnie powiedzieć nie śmiał. Na pierwszą z tych myśli przypominało się, co tak niedawno jeszcze w tejsamej Izbie mówił pan Dunajewski: „wielkie państwo o małej polityce stać nie może.“ A co do drugiego, mogą być bez obawy. Rosya czy w przymierzu, czy w wojnie z Austryą, z pewnością nie zrobi nic na szkodę parlamentu, którego większość małą tylko politykę rozumiejąc i takiej się domagając, ciągnie wodę na jej młyn. Jedyna rzecz, która się z tej suchej a nawet nie kwaśnej cytryny dała wycisnąć, był strach wojny, strach materyalnych strat, jakie ona za sobą pociąga. Dyskusya nad tym adresem była jego godną. Blada, miękka, nudna, ślimaczyła się w sposób tak opłakany, prowadzona była przez ludzi, którzy tak widocznie wyczerpali już co mieli myśli i talentu, i na żadną myśl nową, na żaden nowy efektowy zwrot retoryczny zdobyć się już nie mogli, że same wiedeńskie dzienniki pisały w rozpaczy: „taki adres i taka dysku-

sya, to klęska dla wiernokonstytucyjnego stronnictwa, to jego wyrok śmierci.“

Koło polskie oczywiście uchwaliło głosować przeciw adresowi, bo jeżeli żądał wycofania wojska z Bośnii, to żądał rzeczy niemożliwej, zatem był niepolityczny; jeżeli żądał pokoju *quand même,* to wyrażał może politykę i interesa przemysłowców i finansistów, ale nie dążności i interesa Polaków; jeżeli zaś drżał o dualizm i całą kanstytucyę dzisiejszą, to my Polacy o jakąś konstytucyę z pewnością dbali, tej za ideał swój nie mamy i w jej obronie występować nie widzimy powodu. Przemawiał w imieniu Polaków pan Grocholski, i wytłumaczył dlaczego oni przeciw temu adresowi głosować będą. Nie żeby pochwalali politykę i ministra, których dziełem była okupacya Bośni, ale że na ten fakt dokonany rady już nie ma, a że polityka, jakiej domaga się adres, jest jeszcze mniejszą i jeszcze szkodliwszą od tej, jaką prowadzi hr. Andrassy. Wreszcie „nie na półwyspie Bałkańskim będzie można ubić kwestyę wschodnią w duchu równowagi europejskiej i interesu Austryi najbardziej zagrożonego, bo nie na półwyspie Bałkańskim trzeba szukać achillesowej pięty rosyjskiej potęgi; tą piętą jest kwestya polska. Tylko wraz z nią można ubić kwestyę wschodnią w duchu austryackim, bo tylko przez nią można złamać supremacyę Rosyi i osiągnąć trwały pokój.“

Zdaje się, że w tych słowach jest myśl polska i dość wyraźna nawet? Skoro zaś w adresie nie było takiego pojęcia interesów austryackich, rzecz prosta, że Polacy nie mieli żadnego obowiązku głosować za nim, lecz owszem, mieli obowiązek głosować przeciw niemu.

Dziwna rzecz, jak te słowa przeszły niepostrzeżone, jak dzienniki lwowskie nie zwróciły na nie uwagi. Czy dziwna? bynajmniej. Jakże miały o nich mówić, kiedy słowa te zaprzeczały (nie pierwsze) wszystkiemu, co te dzienniki od lat dziesięciu często, a od dwóch już bez przerwy o delegacyi mówiły. Jakże miały zwrócić na nie uwagę swoją czy drugich, kiedy w tych słowach było więcej aniżeli we wszystkich frazesach ich samych i ich protegowanych? Czy choćby to jedno milczenie tylko nie jest poszlaką planu, systematycznej, umyślnej niesprawiedliwości, programu?

Przemówił wreszcie pan Hausner, i zrobił dawno niepamiętany w Izbie wiedeńskiej efekt. Oklaskom nie było końca, Wiedeń przez kilka dni mówił tylko o tej mowie, a dzienniki wiernokonstytucyjne rozpływały się z uniesienia i wdzięczności. Treść tych wszystkich artykułów a prawie hymnów pochwalnych była mniejwięcej ta, że „nasze stronnictwo napisało adres tak nędzny, jakiego jeszcze świat nie widział, illustrowało go i komentowało w mowach tak czczych i nudnych, jakich świat jeszcze nie słyszał, wystawiło sobie także *testimonium paupertatis,* że po niem byłoby musiało abdykować i rozejść się. W rozprężeniu i rozbiciu samo nie wiedziało czego chce i co myśli. Przyszedł pan Hausner i powiedział mowę z takim talentem, że pokrył całą tę słabość i uratował sławę i sprawę stronnictwa, *vivat* niech żyje Sobieski *der Verfassungspartei!*"

Że talentu oratorskiego a zwłaszcza dyalektycznego było w tej mowie wiele, nie chcemy ani wątpić, ani przeczyć; nie centraliści powitali ją, jak żeby im była spadła z nieba, nie możemy się dziwić. Czy miała wartość a choćby tylko myśl polityczną, i czem

mogła tak bardzo spodobać się Polakom, to inna kwestya. Były w niej rzeczy bardzo słuszne o niebezpieczeństwie rosyjskiego przymierza, o nauce, jaką Austrya ze swojej holsztyńskiej wyprawy wynieść była powinna; ale to wszystko było nie nowe naprzód i nie mowcy własne, bo się czytało i słyszało zawsze od dwóch lat przynajmniej, a powtóre, było doskonałe do powiedzenia przed okupacyą Bośnii. Kto dziś po tym fakcie dokonanym chciałby był powiedzieć mowę polityczną, ten byłby musiał fakt dokonany wziąć w rachubę, ocenić go jako niebezpieczny, a potem wskazać rządowi, co ma robić, żeby niebezpieczeństwa tego uniknąć, czyli powiedzieć mu, że zająwszy te kraje słowiańskie, musi albo wszystkie inne do panslawizmu przegrać, albo w tych i w innych ze słowiańszczyzny samej zrobić sobie przeciw panslawizmowi tarczę — a dalej, że tarcza sama nie wystarcza, lecz trzeba i oręża, a tym jest na Rosyę jedna sprawa polska. To były myśli i rady polityczne dobre do powiedzenia rządowi austryackiemu dziś, kiedy jest w Bośnii. Żądać, żeby z niej wyszedł, znaczyło żądać rzeczy niepodobnej. Rząd miał na to, pomijając wszystkie inne, tę odpowiedź doskonałą, że jeżeli można było lepiej i wcześniej interesu państwa bronić, to nie bronić go wcale byłoby gorzej: że skoro Bułgarya jest w ręku Rosyi, to Bośnii nie można zostawić na łasce losu, bo stałaby się zaraz albo łupem Rosyi, albo przynajmniej ogniskiem jej panslawistycznej propagandy. Całe zaś rozumowanie, że okupacya podjętą jest w porozumieniu z Rosyą, pozornie tylko coś znaczy, bo i porozumienie to, jeżeli jest, jest pozorem tylko, pod którym kryje się przyrodzony antagonizm i konieczne starcie w przyszłości.

To, co do myśli i wartości politycznej tej mowy. Jej wartości patryotycznej, (nie uczynku secessyi i głosowania przeciw Polakom, ale tylko mowy samej), nie chcemy sądzić sami, ani się powoływać na pisma polskie, wystarczy nam to, co pisał Niemiec jakiś w jednej z gazet wiedeńskich — *(Sonn- und Montags-Zeitung* 10 listopada 1878 roku nr. 89): „Pan Hausner pojmuje podział Turcyi jako coś podobnego do podziału Polski: nie ma przecież mniej stosownego porównania. W podziale Polski rozdarty był gwałtem na trzy części naród żywotny i zdolny do życia, choć ciężko upadły. W Turcyi, w zdobytych przed wiekami krajach, żyją od wieków uciśnione ludy, a przez tę wojnę, choć ją Rosya z chciwości i dumy wydała, odzyskują one swoją niepodległość. O rozdarciu tureckiego narodu mowy być nie może.“ Kto się stawia na wysokim stanowisku prawa narodów i sam siebie idealistą nazywa, ten tę różnicę praw rozumiećby powinien: a kto tak pełen uczuć polskich, u tego dziwić musi brak jednego ale koniecznego i najistotniejszego z tych uczuć. Oto, że nas Polaków nic tak nie gniewało i nie bolało, jak kiedy sprawę naszą i nasze położenie z innemi porównywano, kiedy naprzykład mówiono jednym tchem: Włochy, Węgry i Polska! Jak żeby Włochy z wyjątkiem Lombardyi i Wenecyi nie były miały niepodległości! Jak żeby Węgry nie były same dobrowolnie zaprosiły na swój tron Habsburgów! Jak żeby krzywdy częściowe, pogwałcenia konstytucyi lub podobne, mogły się równać z tem, co spełniono na Polsce! Jeżeli więc bolało nas i obrażało, kiedy obcy takie porównania stawiali, to jakże dopiero dziwić nas musi polskie uczucie tego Polaka, moralność tego moralisty, świadomość prawa tego

adwokata praw narodów, który mówi, że rozbiór Polski a koniec tureckiego podboju, który milionom przywraca życie i wolność, to są rzeczy podobne!

Ze stanowiska austryackiego więc, była ta mowa politycznie złą, bo utopijną naprzód, a powtóre popierającą tę „małą politykę,“ o której wielkie państwo stać nie może, a którą tensam dziennik opisuje jako „niezdarność i niemoc wierno-konstytucyjnego stronnictwa na polu polityki zagranicznej, niski poziom, z którego ono patrzy na wielkie europejskie sprawy, a na który spadło przez to, że przez ośmnaście lat myślało tylko o małych i samolubnych interesach.“ Ze stanowiska polskiego zaś, mowa, pomimo wszystkich narzekań na Rosyę, była złą, bo dążyła w Austryi do takiej małej polityki, zgubnej i dla Polski i dla Austryi, a dla jednej tylko Rosyi pożądanej; bo uratowała od sromotnego *fiasco* to stronnictwo, którego każda porażka jest naszą wygraną; bo wreszcie i ubliżała Polsce przez to, że ją narówni z Turcyą stawiała, i naruszała polską zasadę przez to, że turecki podbój i przemoc uważała za zasadę i prawo, i przestrzegając prawda Austryę przed Rosyą, na Polskę zdawała się robić krzyżyk, bo o jej prawach, o jej przyszłości, o rozwiązaniu kwestyi wschodniej przez nią, nie mówiła. Czy ten fakt dokonany w Bośnii, tak niemoralny i oburzający, że go czemprędzej odrobić trzeba, gdzieindziej miałby być uprawnionym? a skoro Turcya ma tak niewątpliwe, tak dobre prawo do panowania nad Słowiańszczyzną południową, skoro bezprawie z czasem może się stać prawem, to czy Rosya do podobnego prawa odwołaćby się nie mogła? Czy nie mogłaby, gdyby jej kto zaprzeczał prawa do posiadania naprzykład Polski, uciec się pod obronę

tych wzniosłych idealistów, co ze stanowiska prawa i zasady bronią prawnego i sprawiedliwego panowania Turcyi nad Bułgarami i Bośniakami?

W mowie tej stanął więc pan Hausner, pod względem czy to austryackiej czy polskiej polityki zupełnie na stanowisku wiedeńskich centralistów. Że jednak człowiek, nawet w swoich oczach największy czuje zawsze, że sam stać nie może, że bunt przeciw Sejmowi i zerwanie solidarności delegacyjnej mogły mowcę wszelkiego w kraju oparcia pozbawić, więc zręczność kazała dać satysfakcyę polskiemu uczuciu i polskiej opinii, i rzucić kilka przekleństw na Rosyą. Wszystko to daje się doskonale zrozumieć: a ci, którzy mówią, że pan Hausner mógł wszystko tosamo o Polsce i o Rosyi powiedzieć a jeszcze przeciw adresowi głosować, mylą się bardzo; on chcąc zostać logicznym musiał głosować z centralistami za adresem.

Nie ma w tem nic dziwnego, ani też w sukcesie jaki miał mowca w izbie i w dziennikach. *Wiernokonstytucyjni* witali z zapałem człowieka z talentem, który ich sprawy bronił lepiej od nich samych; centraliści wynosili pod niebiosa pierwszego posła polskiego, który zaprzeczył tej jedności i odrębności Galicyi, której wyrazem i rękojmią w Radzie państwa jest jedność i solidarność delegacyjna. Gdyby pan Hausner, jak niezaprzeczenie mógł, był powiedział mowę zupełnie co do słowa tęsamą, a potem przeciw adresowi głosował, czy byłby miał tryumf tak wielki? Nie! — winszowali jemu sukcesu tak głośno, bo sami sobie pocichu winszowali większego.

Ale teraz dopiero zaczynają się rzeczy dziwne. Jakim sposobem poseł, który zbuntował się przeciw Sej-

mowi i wznowił tradycyę *Liberum veto,* jakim sposobem poseł, który głównego dawnego i powszechnie znanego nieprzyjaciela w rozbiciu i rozproszeniu podratował, jakim sposobem poseł, który mówił i głosował za adresem żądającym od Austryi tylko pokoju i bezczynności, jakim sposobem taki poseł mógł się komukolwiek podobać się w Polsce?

Otóż tu występuje koalicya wszystkich w kraju przeciw Sejmowi zbuntowanych i buntujących żywiołów, i ona ten fakt tłómaczy.

Że nie ma nic wspólnego pomiędzy dążnościami pana Hausnera, a człowieka, który o niepodległości Polski myśląc i jej pragnąc mniema, że osiągnąć ją może tylko przez spisek i rząd narodowy — któż tego nie widzi. Nie ma też nic wspólnego między panem Hausnerem a *Gazetą Narodową.* On chce rozbrojenia i pokoju; ona, jeżeli ma jakie w polityce zagranicznej widoki, to chyba śladem lepszych od siebie widoki wojny Austryi z Rosyą, a wewnętrzna jej polityka (także, jeżeli jest jaka), zasadza się na oppozycyi przeciw rządowi, która nie jest ideałem pana Hausnera. Ale jest między temi trzema pierwiastkami sprzecznemi jeden punkt wspólny. Miłość ojczyzny może i dążenia do niej? Nie — nienawiść Sejmu, nienawiść karności, władzy, którą się nie jest — u gorszych: u lepszych nienawiść działania legalnego pod rządem austryackim jako niezgodnego niby z polskiem sumieniem, interesem i honorem. Te dwa uczucia spotkały się z faktem, te dwie nienawiści Sejmu spotkały się z buntami przeciw Sejmowi; więc choć naturą i dążeniem od siebie dalekie, zbliżyły się i podały sobie ręce przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, zawiązały spółkę, w której obie strony

widzą swoje korzyści. Pan Hausner nowoczesny reprezentant *Liberum veto* nie jest już sam, znalazł oparcie, nie jest występnym ale bohaterem; ci zaś, którzy od lat całych z różnych powodów usiłują obalić Delegacyę, znaleźli taran, którym w nią walić mogą, znaleźli człowieka, około którego zrobił się hałas; więc choć czują i wiedzą dobrze, że on nie jest ich człowiekiem, biorą go, bo na jakiś czas przydać się może, nie na to oczywiście, żeby coś zrobił, ale żeby wiele przeszkadzał. Stawiają go więc na postumencie, biją mu czołem i kadzą. Jak szczerze, to wie i on i oni, ale to wszystko jedno, byle się tylko otaczający tłum nie spostrzegł; niech ten uwierzy, a wszystko będzie dobrze, jeden jak postoi na piedestale czas jakiś, to się już dalej sam na nim utrzymać potrafi lub z tego na inny skoczyć, drudzy jak przyzwyczają lud pobożny do czczenia fałszywych bogów, może zdołają łatwiej stanąć sami na ołtarzach.

Oto historya i tajemnica aliansu pana Hausnera z dziennikami lwowskiemi i ich dla niego zapału, który to alians jest tak sam w sobie komiczny, że wszystkie jego złe skutki charakteru tego zmazać z niego nie mogą, i „choć mi serce pęka śmiech mnie zbiera.“ Śmiech, bo ci wielcy patryoci, ci uprzywilejowani monopoliści miłości ojczyzny, ci, którym wszystko było zamało co zrobił Sejm i Delegacya, co w niepokalanej godności swego charakteru wszystko ogłaszali za płaszczące się i płaskie, a w niepojętym heroizmie swojej miłości ojczyzny spokój i rozum nazywali bezwładnością i bezmyślnością; ci co widoku i zapachu Niemca swojemi polskiemi nerwami znieść nie mogą, a o narodowości tyle prawią, że ktoby ich nie znał, mógłby

uwierzyć, iż „Bóg im powierzył honor Polaków“ — cisami dziś z centralistami wiedeńskimi i lepiej jeszcze, bo z pruskiemi i rosyjskiemi dziennikami klaszczą mowie, która podłatała trochę zdarty, a jak dobrze wiedzą, Polsce zawsze wrogi sztandar centralistów; bo srogi cios zadany polskiemu interesowi i przykład gorszący dany narodowi, sławią jak czyn bohaterski, bo czując co robią, wykręcają się nędznym wybiegiem i wmawiają w ludzi, może i w siebie, że nie ich bohater i orator do niemieckiego obozu przeszedł, ale Niemców do polskiego przeciągnął! Zapewne teraz zobaczymy wniosek Herbsta o nadanie Galicyi conajmniej kanclerstwa, i interpelacyę Giskry, kiedy rząd wyśle armię swoją do Warszawy! Z tego śmiech bierze. A serce pęka, że śmiech taki jest u nas możliwym, że jak Seweryn Rzewuski w swoich broszurach przed stu bez dziesięciu laty, tak oni dziś mówią, że *Veto* i *Rokosz,* to czyn bohaterski i obywatelski obowiązek, że mówią to nie z zaślepienia, nie, ale z nienawiści do jedynej dziś w całym narodzie polskiej władzy, do Sejmu i Delegacyi, że psują jak mogą karność i polskie sumienie w narodzie, że sztandar niby trzymając, broń i oręż rzucają centralistom pod nogi, a wszystko co się przez lat ośmnaście zasługą Sejmu i Delegacyi zdobyło, to narażają na utratę, byle się na Sejmie i na Delegacyi pomścić za to, że są, za to, że coś znaczą i coś robią. Na to serce pęka. Ale są tacy, których i na to, na to właśnie śmiech bierze: i jak niegdyś w roku 1846 na widok rzezi galicyjskiej przez Polaków ułatwionej „Carycy w grobie kości drgały tak lubieżnie jak niegdyś w objęciach Orłowa czy Potemkina, tak dziś trup parsknął w śmiech szyderstwa,“ nie tak głośny lecz nie-

mniej serdeczny, kiedy nasz wielki mowca i patryota pisał (w liście do *Dziennika Poznańskiego)* dosłownie prawie tosamo co *St. Pietersburskie Wiedomosti,* a klaskały mu dzienniki, z których jeden nazywa się *Polskim* a drugi *Narodowym.*

Dawny a systematycznie wykonywany program zbliżał się do spełnienia, dawna rokoszańska zawziętość przeciw Sejmowi dojrzała tak dalece, że mogła lub może musiała wybuchnąć; pokusić się już nie o kryty sztych, ale o jawny cios, który, gdyby się udał, stałby się dla politycznego życia Galicyi i dla wszystkich interesów polskich z tem życiem połączonych, niebezpiecznym jeżeli nie śmiertelnym.

II.

Jeszcze w Wiedniu brzmiał w najlepsze chór pochwał śpiewanych we wszystkich wiernokonstytucyjnych dziennikach na cześć Polaków, którzy przecie raz „wznieść się zdołali po nad niskie stanowisko narodowości (*jener polnischen Abgeordneten, die das Joch der Fractionsdisciplin muthig zerbrechend sich der Verfassungspartei angeschlossen haben... ein Zeugniss dass es noch höhere Interessen, idealere Gesichtspunkte giebt als jene der Sprache, des Stammes, und der Nationalität.*" *Neue Freie Presse* 5 listopada 1878, nr. 5099); wtórowały im zdaleka dzienniki pruskie, a rosyjskie nawet szlachetnie przebaczając, co im nieprzyjemnem być mogło, oddawały sprawiedliwość wysokim widokom mowcy — jeszcze i mowca sam, choć upojony tryumfem, nie był nim tak odurzony, iżby miał być zupełnie spokojnym o to, co będzie w kraju, kiedy tryumf

jego odbił się tam głośnem i zupełnie niespodziewanem echem.

Chcielibyśmy zataić, że pierwszy wpadł w zachwyt i w grubą pomyłkę pan Kornel Ujejski. On, który niegdyś tak w sam czas i tak pięknie podnosił głos „Z dymem pożarów z kurzem krwi bratniej,“ dziś nie zawahał się tegosamego głosu podnieść w jednym chorale z *Nową Pressą,* i jej podobnemi tonami. Aż dotąd postępowanie jego w całej tej sprawie znajdowało pochwały nawet u przeciwników jego opinii. Wprawdzie wystąpił był z Koła, ale skoro wyborcy dali mu uczuć, że tego nie pochwalają, złożył mandat; wybrany powtórnie wstąpił zaraz do Koła. Błąd pierwszy naprawił, nie było mu nic do zarzucenia. Ale pod wpływem wymowy pana Hausnera stracił znać równowagę zupełnie i nanowo wpadł w natchnienie, które natchnień jego z pewnej *Nocy,* z *Chorału,* z *Bitwy pod Maratonem* na nieszczęście nie przypomina. Oto jego wyraz przesłany w liście do wyborców z dnia 6 listopada b. r.

„Chwała Najwyższemu duch polski, polityka polska znalazła nakoniec swój wyraz, swego rzecznika — swój tryumf! Mowa Hausnera pędem życiodajnej burzy przelatuje obecnie zatęchłą Europę i do głębi wstrząsa jej sumienie, grzebie w niem, przewraca, targa wszystkie jego fibry, czy nie obudzą się do przyjęcia prawd, które w imieniu Polski, polskie usta wygłosiły. Niech będą te usta błogosławione.

„Wczorajszy dzień, otwierający nową erę Polsce, a przez nią światu, postawił nas odepchniętych, niezrozumianych, oszkalowanych — postawił nas nanowo na szerokiej widowni, wytknął nam miejsce górujące, przewodnie, rozwinął nad nami starą naszą chorągiew spo-

niewieraną i zdeptaną, na której wielkie, święte plamy stężałej krwi, na której, niestety, gdzieniegdzie i ślady obłoconych nóg naszych. Srogi to wyraz, wiem o tem. Krwią mego serca to piszę. Ale w ostatnich czasach szliśmy nietylko przez błędne drogi i manowce, szliśmy po większej części przez moczary i trzęsawiska.

„Od dzisiaj niema już między nami stronnictw i przeciwnych sobie obozów — nie ma ich! bo być nie mogą, być nie powinny. Ci wszyscy, którzy nie skupią się około wysoko już postawionej chorągwi, ci wszyscy, choćby jak liczni, choćby napozór jak silni i związani, zgrają już tylko będą chodzącą samopas, zgrają spłoszoną, rozbitą, bez miłości i Boga i Ojczyzny w piersi, powodującą się już jedynie najniższemi instynktami zdobywania dla siebie żeru, zadowolnienia swych chuci — a to wobec narodu gromadzącego się z podniesionem, człowieczem czołem przy ołtarzu, na którym płomień dziękczynnym ruchem wzbija się ku rozpogodzonemu niebu!

„Z globu gorejącego najżywszym płomieniem zmuszony jestem zlecieć, aby zdać przed Wami rachunek, jak się w tym elementarnym przewrocie naszych spraw narodowych, ja znikomy atom zachowałem. Pilno mi jednak donieść Wam to. A w tej łatwości zestępywania z najwyższych sfer na nasz codzienny padoł dla dokonania obowiązków związanych z naszym doczesnym bytem, widzę nowy tylko dowód siły i nieśmiertelności ducha, danego nam ludziom przez Boga“. Tu następuje opowiadanie o zachowaniu się własnem, a w zakończenie znowu:

„Jest Bóg!

„Jest Bóg — On wielki, wszechmocny, wszechpotężny. On opiekujący się globami i ludzkościami na nich i narodami w tych ludzkościach, i rodziną i osamotnionym człowiekiem i biednym ptakiem na pustyni. Wié o wszystkiem, kieruje wszystkiem, wszędzie i zawsze obecnym jest. Nie ma dla Niego różnicy ani w czasie, ani w liczbie, ani w miarach. Pojęcia nasze nie wiążą Go. Środkami są one dla Niego, nie rzeczą i treścią. Włada, panuje, a zawsze wszystko i wszystkich ku Swemu światłu podnosi! Jeśli zechce, olbrzyma może wstrzymać w pochodzie ziarnkiem lotnego piasku. Dowód:

„Na parę dni przed wypowiedzeniem w parlamencie wiekopomnej mowy Hausnera, ci trzej secesyoniści, ci trzej, jak ich nazywano, buntownicy, zrywający solidarność narodową: Hausner, Skrzyński, Wolski, oni, korni wobec uchwały Koła sejmowego we Lwowie, podali do Koła polskiego we Wiedniu ledwie nie petycyę, aby ich napowrót przyjęto do Koła, żądając jakiegoś drobnego uwzględnienia, jakiejś w niczem niekrępującej monarszej władzy Koła koncesyi, w tym tylko celu, aby bez upokorzenia, z godnością przynależną wybrańcom kraju, mogli wrócić na łono tej — macochy.

„Udaremniono te najpoczciwsze zabiegi, odepchnięto je.

„A gdyby były przyjęte? Może nie byłoby mowy Hausnera. Ziarnko piasku byłoby wstrzymało olbrzyma!

„Dał nam Bóg możność wypowiedzenia naszego polskiego słowa, dał nam człowieka — odda nam wkrótce Ojczyznę!“

Czy czytelnik pamięta w poemacie Słowackiego ten ustęp, gdzie dyabeł tłómaczy Kordyanowi bieg historyi, dzieli ją na sześć dni stworzenia, mówi, że Bóg

„w szóstym dniu stworzył człowieka — Napołeona“ a dziś dzień siódmy i Bóg „odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył“. Widać, że od tego czasu już sobie odpoczął, a nawet dobrze nowych sił nabrał, skoro po człowieku zdobył się na stworzenie olbrzyma! Jest Bóg, jest jego prorok, dwóch proroków nawet, bo Mahomet (który także mógł się cieszyć i dziękować), a drugi Jeremi! i „jest człowiek posłany od Boga, któremu było imię“, (a nie poślednie, Bismarckowskie imię) Otto: oczywiście będzie wkrótce i ojczyzna! Ale nie żartujmy z rzeczy smutnych i ze smutnego widoku człowieka, który nam wszystkim może stanąć za naukę i przykład, że uczucie samo, choćby i wzniosłe nawet, nie wystarcza i bardzo pomylić się może, jeżeli go roztropność i męzka rozwaga nie wspiera.

Miejscowa agitacya tymczasem zoryentowała się zaraz w sytuacyi, pomiarkowała, że ta da się przeciw Delegacyi wyzyskać, i wziąwszy się raźnie do dzieła sprowadziła kryzys w tej długiej galicyjskiej chorobie, którą jest wojna wszystkich pierwiastków nieporządku przeciw Sejmowi i Delegacyi.

Dnia 9 listopada miała Rada miejska lwowska zwyczajne posiedzenie. Ledwo prezydent miasta dr. Aleksander Jasiński, poseł na Sejm zasiadł na swojem krześle, kiedy podano mu jakiś papier. Przeczytawszy, prezydent oświadczył, że poda się do dymisyi, ale tego co tam stało pod dyskussyę i pod głosowanie nie podda. Jakoż, nie mogąc rzucić pod stół wniosku, i to jeszcze podpisanego przez 56 radnych, zszedł z krzesła i opuścił salę. Przewodnictwo posiedzenia objął z urzędu starszego delegata pan Dąbrowski. Ten oświadczył, że ma w ręku wniosek o nadanie panu Hausnerowi obywatel-

stwa honorowego miasta Lwowa, i że z wnioskiem tym postąpi wedle regulaminu, czyli, że go odeśle do magistratu, a potem do sekcyi. Na to wstaje pan Dobrzański, redaktor *Gazety Narodowej*, i twierdzi, że wniosek jest naglący; przewodniczący odpowiada, że słowo *naglący* jest wymazane. Pan Dobrzański więc żąda, ażeby wniosek ten traktowany był jako naglący, czyli natychmiast wzięty pod obrady i uchwalony.

Sytuacya zaczęła się zaostrzać. Naglący? wniosek o nadanie obywatelstwa? czy taki może być naglącym? czy w jego naturze jest coś nagłego? czy nie może czekać do przyszłego posiedzenia Rady? czy się pali, czy się świat przewróci, czy się cokolwiek zmieni, jeżeli obywatelstwo to nadanem będzie o tydzień później? Oczywiście że się pali, oczywiście że zależy na pośpiechu, oczywiście że zajść może zmiana i wielka: ta że radni jak się zastanowią to wniosku tego nieuchwalą. Więc nie można im zostawić czasu do zastanowienia, więc wbrew naturze wniosku i rozsądkowi trzeba ten wniosek zrobić nagłym, trzeba Radę podejść i podchwycić: i tak jak pokryjomu przygotowało się wniosek, tak teraz śmiałym zamachem trzeba go uchwalić, bo inaczej jak podejściem i nagle, onby nigdy uchwalonym być nie mógł. Kto tę całą intrygę wymyślił i prowadził, nie wiemy, ale widzimy kto nagłości wniosku żądał; pan Dobrzański, redaktor *Gazety Narodowej*, a po tej poszlace dorozumiewać się mamy prawo, że nie nagłość tylko, ale i cała ta piękna sprawa nie z innego wypłynęła źródła. W przypuszczeniu tem zaś musi nas utwierdzić i ta wojna, którą potwarzą i kłamstwem prowadziła ta gazeta z Delegacyą, i jej słowa że „po tym Sejmie niczego spodziewać się nie można“ — i ta groźba, że kraj

pomści secessyonistów i wyprze się Sejmu. Po tem wszystkiem ma się prawo sądzić, a nie ma się sposobu wątpić, że tam nie gdzieindziej wylęgła się myśl uwiedzenia Rady miasta do buntu przeciw Sejmowi.

Trzeba było naprzód rozstrzygnąć sprawę tej nagłości. Chwila była prawdziwie dramatyczna. Jeżeli nagłość będzie uchwaloną, jeżeli radni nie będą mieli czasu do rozwagi i do poznania, że choć podpisali wniosek, to odstąpić od niego powinni, w takim razie i bunt pana Hausnera będzie nagrodzonym, i przykład gorszący dany całemu krajowi, i reprezentacya jego głównego miasta będzie miała na swojem sumieniu i na swojej pamięci skutki tego rokoszu, do którego ją podstępnie wciągają. Wiele, bardzo wiele dobrego lub złego zawisło było na tej uchwale nagłości. Jak ich przekonać! jak w jednej krótkiej chwili otworzyć oczy zaślepiane umyślnie przez całe lata! Znalazło się dwóch ludzi (oprócz nieobecnego już prezydenta i wice-prezydenta), którzy zrozumieli odrazu całą ważność rzeczy i chwili, i skaczących z zawiązanemi oczyma (nie w przepaść może ale w każdym razie w kałużę), spróbowali zatrzymać na brzegu. Jednym był pan Filip Zuker, poseł, drugim pan Julian Czerkawski, doktor medycyny, a niegdyś poseł do Rady państwa, podobną intrygą tychsamych intrygantów doprowadzony do złożenia swego mandatu.

Pan Zucker na nieszczęście nie nadesłał mowy swojej do *Czasu*, ani jej osobno nie wydrukował. We Lwowie zaś jest tylko *Gazeta Lwowska*, której charakter urzędowy nie pozwala męszać się w takie sprawy, i dwa znane dzienniki, w których oczywiście słów swoich ogłosić nie mógł, które też podały o nich jako sobie przeciwnych wiadomość niedostateczną. Nie mając

autentycznego textu, ze streszczeń tylko podawanych przez korespondentów poznać możemy, że mówił odważnie, rozumnie, patryotycznie, że wytłómaczył doskonale i niedorzeczność nagłości i szkodliwość wniosku samego, gdyby ten miał być uchwalonym. Warto zapamiętać, że było ich tego dnia dwóch, co chcieli Radzie miasta i krajowi oszczędzić zgorszenia i szkody, a jednym z dwóch był pan Filip Zucker, doktor praw i poseł na Sejm krajowy. Żartowano nie wiem czy dowcipnie z jego nazwiska, mówiąc, że nosi je dla słodyczy swego charakteru: pokazało się, że są w tym charakterze i inne jeszcze męzkie przymioty, rozwagi, odwagi i powagi.

Pan Czerkawski zaczął od przypomnienia, że co lat piętnaście jak obliczył, powtarzać się u nas zwykły wybuchy, „których ognie choć święte, czem raz bardziej niweczą i trawią iścizną i zasoby naszego narodu, tak iż się z niej ledwo mała ale tem cenniejsza i droższa resztka została. Od roku 1815 do 1831 lat piętnaście, piętnaście od 1831 do 1846, i znowu od 1848 do 1863 piętnaście — a dziś, kiedy od tej ostatniej daty znowu takiż okres czasu dobiega, daje się widzieć w traktowaniu spraw najważniejszych jakaś nieprzezorność, jakaś lekkomyślność, która bodajby nie pociągnęła za sobą widoku niweczenia tej biednej reszty sił, która nam jeszcze została?" A po tym wstępie powiedział wszystko, co tylko zdrowy rozum i zmysł polityczny i prawdziwy patryotyzm powiedzieć mogły przeciw nagłości tej nieszczęsnej sprawy. Oczywiście, rzucił groch na ścianę; rzecz ukartowana z góry odmienić się nie mogła! rozsądek, zmysł polityczny, i patryotyzm nie mogły natchnąć argumentów na przekonanie tych sprawców, których celem i sztuką jest właśnie działać przeciw jednemu

i drugiemu. Nagłość uchwaloną została wszystkiemi głosami przeciw dwom (pp. Czerkawskiego i Zukra).

Potem trzeba było radzić już o tem i to natychmiast, czy pan Hausner ma lub nie, zostać obywatelem honorowym miasta Lwowa za zasługę „wolnej kontradykcyi", za *Liberum veto,* za niekarność i bunt przeciw Sejmowi. I znowu zabrał głos p. Czerkawski.

W tych smutnych zajściach, co może jedno stanąć nam za pociechę i otuchę, za dowód, że oprócz znanych od dawna czarnych, okazują się przecież na naszym horyzoncie i jasne punkta, a to takie, jakich dawniej bywało zawsze zamało, to słowa, raczej czyny, natchnione nie samą tylko miłością ojczyzny, nie już rzadszym od tej duchem karności, ale najrzadszą u nas z cnót obywatelskich, odwagą. Widzieliśmy dzięki Bogu czynów takich kilka w tych czasach; ale żaden nie był tak imponującym, bo żaden tak trudnym jak wystąpienie pana Czerkawskiego w Radzie miejskiej lwowskiej na tej pamiętnej sesyi z 9 listopada. Było ono najtrudniejszem, bo wobec nieprzyjaciela, który tam był i słuchał: a najważniejszem, bo i powody całej intrygi i jej prawdopodobne skutki, i znaczenie mowy pana Hausnera, i znaczenie nagrody, która jej daną być miała, objaśniała tak zupełnie i tak stanowczo, że nic ukrytem, nic nie wytłómaczonem, nic do domysłu zostawionem nie zostało.

„Stało się zatem niestety, żeście Panowie na moją prośbę nie przystali i traktowania wniosku tak ważnej a zarazem i dwuznacznej natury nie odroczyli; stało się już to, co z najgłębszego przekonania pragnąłem, ażeby w tej Radzie uniknąć się dało, jako rzecz ze wszech

miar szkodliwa“. — Dlaczego to nagłe uchwalenie wniosku ma być szkodliwem? Tłómaczenie następuje zaraz:

„Wojna domowa w najpotworniejszy i zarazem najniedorzeczniejszy sposób prowadzona od lat kilku, w której udział i to najzapalczywszy biorą także żywioły wszelakiej anarchii, została wniesioną w łono Rady miasta Lwowa, wraz z całym aparatem namiętności i rozdrażnienia, bez których się walki tego rodzaju odbyć nie mogą. Każda wojna domowa jest wielkiem nieszczęściem, trawiącem, a niedobywającem siły narodu; wprowadzając ją tutaj lekkomyślnie, do większego nieszczęścia i szkody, dodano jeszcze i mniejsze. Ja widząc to, i widząc, z jakich źródełek płyną te wody mętne, z nakazu sumienia, wedle świadomości dobrej, do walki wystąpić muszę, choć mi to trudno i ciężko dla sił słabych; wystąpić muszę przeciwko tej robocie, która od lat dwóch mianowicie wciąż frymarką i próżnemi swary kraj zakłóca, umysły niepokoi i szamoce, zmysł praktyczny narodu bezustannie kłamstwami psowa, wierutnością i bezczelnością występowania srom i godność obywatelską w społeczeństwie podkopuje; nawet młodzież niebaczną od pracy w nauce, na którą kraj z niecierpliwością czeka, odrywać i wpośród smutnej walki domowej do hec ulicznych zwabiać się ośmiela, wrogom narodu idzie na pożytek i uciechę, i szranki otwiera do przeważnego wpływu na bieg rzeczy pewnym czynnikom wichrzącym, jak naprzykład pewnej sorcie dziennikarstwa politycznego, które w rzeczach tak niebezpiecznych, jak sprawy narodowe, już prosta roztropność nakazywałaby trzymać, jak kotów od masła, w przyzwoitem oddaleniu. Obym więc raczej był nie potrzebował zabierać głosu, tak jak go już teraz zabrać muszę!“

Po tych słowach bierze wołu za rogi odrazu, i przystępuje do pytania, z jakich pobudek wypłynął ten wniosek i jego nagłość? jakie jest jego w kraju znaczenie? a następnie, za co właściwie panu Hausnerowi ma być danem obywatelstwo honorowe?

„Co do pierwszego, to niewątpliwą jest rzeczą, że cała ta sprawa, przed którą stoimy, jest wynikiem i dalszym ciągiem tego chorobliwego i dziwacznego stanu rzeczy, iż od lat kilku pewna ilość ludzi prowadzi walkę namiętną z reprezentacyą własnego kraju, to jest z Delegacyą polską w Wiedniu, i zamiast popierać wysłanych z wyboru i postawionych na najtrudniejszem stanowisku zastępców kraju, rozmyślnie i karygodnie tylko utrudnia im ich stanowisko i walkę; wichrząc opinię i w błąd wprowadzając opodal od miejsca akcyi stojących.

„Szczególną rolę w tem dziele podcinania nóg Delegacyi i uderzania z zasadzek na własnego żołnierza, i to wtenczas właśnie, gdy umysł i siły jego wytężać się muszą w najtrudniejszych epizodach walki z wrogami, szczególną powiadam rolę w tej już samo przez się sprosnej robocie, odegrała pewna sorta dziennikarstwa politycznego, a to osobliwie tu we Lwowie. To nie walka stronnictwa ze stronnictwem, moi towarzysze, którą to dziennikarstwo prowadziło i prowadzi: bo któż potrafi, nie powiem, określić, ale choćby nazwać politycznie zrozumiałem słowem stronnictwo, któregoby ta prasa była przedstawicielem. Nie! *to jest walka wprost z reprezentacyą kraju jako taką,* dążąca do jej zanegowania, chociażby jak to już uczyniono na podstawie takiego syllogizmu, że reprezentacya wyszła z obecnej ordynacyi wyborczej nie może być uważaną jako przed-

stawicielka kraju. Argumentu bardziej i lepiej zdradzającego, o co tu właściwie idzie, trudno wymagać. Tak więc w dziennikach tę walkę, względem której nie każdy mógł się spostrzedz, o co tam właściwie idzie, walkę niskiej i lichej natury, a czczą i pustą w istocie, starano się przedstawiać, jako walkę kraju z własną reprezentacyą. Starano się też naturalnie tę walkę prowadzoną przez dzienniki, od dawna w opinii co do rozumu i moralności w sprawach publicznych zatracone, wszystkiemi fortelami, które ma do dyspozycyi prasa dziennikarska, rozszerzać na czem raz większe koła ludności, wszędzie, jak wiadomo, do kamienowania skłonnej, a u nas tradycyjnie do konfederowania się, choćby przeciwko sobie samemu skorej. Starano się, powiadam, i starają się jeszcze wszystkiemi środkami, nie pogardzając najgorszemi, kraj rzeczywiście doprowadzić na pośmiewisko i uciechę wrogów do tego stanu choroby społecznej, w którejby on, jak furiat, co własne trzewy toczy, walczył na zabój z własną swą reprezentacyą, przedstawiając widok obrzydliwej choroby, którąby można nazwać miserere politycznem. Gdybym był wrogiem tego kraju i narodu i chciał mu najboleśniejszą wyrządzić szkodę, tobym zapłacił tych, którzy naród i kraj do takiego chcą przywieść stanu“.

Prawdziwiej i lepiej nie można było powiedzieć; a nabierały te słowa szczególnej powagi i siły przez to, że były mówione w oczy, rzucone w twarz tym ludziom, którzy wrogom „na pośmiewisko i uciechę doprowadzają kraj do tego stanu choroby społecznej, w którejby on, jak furiat, co własne trzewy toczy, walczył na zabój z własną reprezentacyą“. Oni tam byli i słuchali, sprawcy i koryfeusze i dzisiejszej kabały i dawnej prze-

ciw Sejmowi konspiracyi: byli ci, co zdania zmieniali tak często, częściej może jak koszule: co na ludziach uczciwych suchej nitki nie zostawiali, ale obrzucali błotem swoich kłamstw i jadem swojej złości: co jak sam dyabeł kłamali zawsze, a naprawdę to jedno tylko umieli, co przyznawali głośno, że piszą dla „każdego kto im zapłaci:“ co pokłóciwszy się raz oskarżyli się przed sądem o złodziejstwo jeden, o przekupstwo drugi, ale od skargi odstąpili, bo wiedzieli o tem każdy z nich, że mu drugi oskarżenia swego dowiedzie! Byli tam ci kapłani miłości Ojczyzny i jej sprawy, nauczyciele opinii, cenzorowie obyczajów i patryotyzmu, był p. Dobrzański redaktor *Gazety Narodowej,* był między publicznością p. Lam redaktor *Dziennika Polskiego:* byli i słuchali tego wszystkiego! I usłyszeli jeszcze więcej.

Bo kiedy p. Czerkawski do dziennikarstwa lwowskiego wracając zaczął oceniać obywatelską „nędzotę i szkodliwość tych praktyk, kłamstwa, perfidyi, podstępu, oszczerstwa, frymarstwa, któremi się posługują, by w błąd wprowadzić bezbronnego wobec tej strychniny obywatela, mięszając dla ułudy rzeczy cne do bezecnych, i przekręcanej w najrozmaitszy sposób idei narodowej osłaniając się płaszczem“ — kiedy zaczął roztrząsać, co zrobiono z prawdą, z rzetelnością, ze sprawiedliwością, które przecież mają być podstawą i duszą opinii, wtedy na dowód „tej niegodziwej metody, na której usiłowano publiczność zaprawić, by się pozbyła karności w spoju narodowym nieodzownej“, przytaczał przykłady. I tak, księcia Leona Sapiehy, „na którego rzuciła się zajadła *sfora,* i nie było kalumnii, nie było kału i brzydoty, któremiby go ta prasa nie obryzgała“...

A oni siedzą... i słuchają!

„Aż do komnat domowych zasłużonego starca sięgały te bezsromne pióra, a publiczność pozwalała na tę poniewierkę“...

a siedzą i słyszą to... bezsromni!

„indywiduom znanym powszechnie z lichoty charakteru, indywiduom, które się kupuje, które miały tę bezczelną odwagę, by publicznie oświadczyć, że piszą dlatego kto ich kupi“...

a te indywidua słuchają i milczą!

„istnym *nierządnicom* prasy publicznej wolno było kalać zasłużonego męża i iść jawnie w pomoc nieprzyjaciołom kraju“...

a te... Westalki! siedzą i słuchają!!!

Co? czy może niesłusznie powiedzieliśmy na początku, że ta scena była dramatyczną? Więcej, ona była patetyczną prawie, a miała *pathos* nigdy jeszcze w tragedyi niewidziane, *pathos* podłości. Widziano wiele razy wielkość w złem, zbrodnię podniesioną nie do moralnej, ale do tragicznej wzniosłości: ale podłości tak podłej, żeby dochodziła do ideału, do *absolutum*, do wielkości, do heroizmu w swoim rodzaju, tego nikt jeszcze ani sam Szekspir nie wymyślił. Mówił im takie rzeczy, a oni nic? Jeżeli mówił nieprawdę, to dlaczego go za drzwi nie wyrzucili, albo nawet w sztuki nie rozdarli? a jeżeli mówił prawdę to jak się pod ziemię nie zapadli ze wstydu? A, to właśnie ideał, to heroizm podłości! Oni wiedzą, i cały kraj wie, że mówił prawdę. ale cóż to znaczy, co im to szkodzi, przeczyć nie mogą, bronić się nie raczą bo nie potrzebują. Oni mówią swojem milczeniem: „Prawda, jesteśmy podli, prawda, że piszemy dlatego kto nas zapłaci, prawda, żeśmy nierządnice, ale cóż z tego? Zostaniemy jakimi jesteśmy,

i będziemy dalej robili, co nam się podoba, a ty głupi uczciwy człowieku z czcią i wiarą, z przekonaniem i prawdą, ty nam nic nie zrobisz: i my zawsze będziemy górą dlatego, żeśmy podli“.

Nic piękniejszego jak oskarżona kłamliwie niewinność kiedy się od potwarzy nie broni i milczy. Jej milczenie to głos prawdy, która zawsze na wierzch wyjść musi: to godność, która odpowiadać nie chce, bo wie, że psie głosy nie idą w niebiosy. Ale kiedy nikczemność oskarżona sprawiedliwie nie próbuje nawet przeczyć, bronić się, osłaniać się jakiemiś pozorami, ale się otwarcie sama do siebie przyznaje, to trudno jej odmówić odwagi w swoim rodzaju niespospolitej, trudno zaprzeczyć, że ona wtedy dochodzi do swego ideału, do heroizmu...

Mickiewicz znał tylko „heroizm niewoli“ i to u Moskali. Od jego czasów dano nam poznać inny i lepszy, heroizm podłości! i to między... czy Polakami może? nie! tylko między polskiemi reptiliami z dzienników lwowskich.

Na tem się nie skończyło jeszcze. Był raz srogi zadany tym dziennikom w obronie pana Grocholskiego, którego trzeba „napaść, obśmieszyć i obalić, bo charakteru swego stałością i prawością swego postępowania stał się niedogodnym, przez całe życie bezinteresownie pracując dla kraju“. Na to słowo *bezinteresownie* ktoś odezwał się głośno: *„a tytuł Excellencyi!“* Epizod komiczny w tym dramacie. Jak wybornie wykrzyknik ten maluje człowieka, któremu ten tytuł tak imponuje, że mniema, iż on może być celem ambicyi, iż za niego można coś oddać, naprzykład honor, sumienie, albo dobro kraju, a tego nie rozumie ani się domyśla, że ten tytuł przez długie lata wystawiał ludzi na śmieszność,

dziś zaś choć od cesarza Franciszka Józefa wdzięcznie przyjętym być może, to znowu dobremu szlachcicowi polskiemu nie podchlebia tak bardzo i nie dodaje tak wiele, żeby aż miał się o niego ubiegać. To Herbst albo Giskra to takie *Volksmanny* tylko kiedy przestają być ministrami proszą cesarza, żeby im pozwolił pisać się i nadal Excellencyami, — ale Grocholski? Cóż znowu! Zastanów się Panie Radny nad tem co mówisz, i nie wystawiaj się na śmiech ludzki.

Zadługo może zabierze czasu przytaczać tu tę część mowy, w której pan Czerkawski pytał, za co pan Hausner miał zostać honorowym obywatelem miasta Lwowa: a przecież tego pominąć nie podobna, bo to właśnie samo wytłumaczenie sprawy, która ze słów mowcy wychodzi jasno jak słońce:

„Oto dziesięć lat, a właściwie jeszcze dawniej, bo od początku ery konstytucyjnej, gniotą nas i krzywdzą centraliści, obcinając każdą pozycyę w budżecie, dokuczając przy każdej sposobności, wydzierają nam nabyte już prawa, ścieśniają autonomię kraju, szperają nawet po książkach, z których się nasze dzieci uczą czytać, czy w nich się przypadkowo nie mieści gdzie słowo lub obrazek zanadto polski, denuncyują nas wobec korony — jednem słowem, niema znęcania i szkody, któréjby germańska chuć harmonijnie połączona z duchem giełdowej moralności, nie była na nas wywarła, i trzeba było niezwykłego taktu i krwi zimnej, by przez czas przemocy wierno-konstytucyjnego obozu, kraj jakotako od ich zawziętości obronić. Trafiło się więc, że po ośmiu latach swojego gospodarstwa raptem centraliści obarczeni wyrzutami popełnionych grzechów, rozbici chwilowo we własnym obozie przez rozkład dotychczasowych

stronnictw, narażeni wobec korony, i tak bezradni i bezsilni, iż nawet marnego adresu ułożyć im trudno — walczą bez honoru o honor walki. I cóżby w takiem położeniu wypadało zrobić Polakom? Zapewne jeżeli już nie zaraz zerwać się i dobrze wymierzonem pchnięciem rozgromić swych ciężkich wrogów, to przynajmniej używać miłego widoku ich kłopotu, i czekać upatrując właściwej do wystąpienia chwili. Lecz gdzie tam! — z szeregu, zkąd razy paść miały, występują szermierze, i zamiast z nieprzyjaciółmi swoimi, raptem zaczynają walczyć z tychże przeciwnikami, i pośrednio działają jak żołnierz, który odwróciwszy się, pali do swoich. Rozumieli to Niemcy bardzo dobrze, i był to drugi powód ich wielkiej radości. A mieli jeszcze i trzeci, bo pan Hausner wychwalając może w innym zamiarze obecną konstytucyę austryacką, mógł w nich obudzić mniemanie, iż jest chwalcą ich systemu politycznego. Tak więc znaczeniem i rezultatem mowy p. Hausnera było osłabienie pozycyi Koła polskiego, a przeto i całej Delegacyi, wsparcie i podtrzymanie chwiejących się właśnie chwilowo centralistów, i przez-to utrudnienie dla naszej reprezentacyi dalszej akcyi. Wobec tych właściwych i jedynie praktycznych skutków mowy p. Hausnera, jakże biedno wyglądają te biednej Polski dotyczące frazesa, jakoto: „że Polska została *zniweczoną*“, „że zachowanie nasze będzie dyktowane *nienawiścią* do Moskwy“, i „że żaden Polak do zaboru ziem i krajów, choćby od najezdcy i ciemięzcy tychże krajów, jak Turczyn, bez poprzedniego układu i tranzakcyi formalistycznej ręki nie przyłoży“. Punktu najważniejszego, to jest postulatu *odbudowania Polski*, pan Hausner w swojej mowie nie poruszył, i nie wiem czy nawet nie omi-

nął go z umysłu starannie; przynajmniej inny członek klubu secesyonistów, p. Skrzyński, dwa razy oświadczył, co na własne słyszałem uszy, że ruszanie kwestyi odbudowania Polski, uważa jako dziecińśtwo. Przytaczam to dlatego, aby można porównać to, co się twierdzi w Wiedniu, z tem, co się mówi w kraju, n. p. na zebraniach wyborców. Jakżeż o całe niebo korzystniej odbija pod względem polskiej sprawy od mowy p. Hausnera, poważna, umiarkowana i ściśle logiczna mowa pana Grocholskiego, który wyraźnie wypowiedział ostatnie słowo, konieczność odbudowania Polski! Wiedzieli też Niemcy, za co chwalić mowę p. Hausnera, a za co ganić mowę p. Grocholskiego; nie chwalili pierwszej za to, że była bardzo polską, a nie ganili drugiej za to, że nią nie była lub była zamało. Taka była moi panowie wartość, takie znaczenie i skutek mowy p. Hausnera; a kilka zwrotów polskich nie zastąpią w niej braku praktycznie korzystnego dla nas ziarna. Muszę zatem skonstatować i to najdobitniej, że nic więcej ani też lepiej, odnośnie do sprawy polskiej, nie zostało w mowie pana Hausnera wypowiedziane, aniżeli to, co poprzód już uczyniła w swych oświadczeniach po kilkakroć Delegacya. Jak żołnierza w bitwie, nie po pięknem licu i kibici sądzę, ale po tem, co zrobił dla mnie, tak też i mowę p. Hausnera, nie po jej wygłoszeniu i estetyce, ale po jej skutku praktycznym t. j. politycznym, sądzić muszę, a ten wyznaję, czyni ją w oczach moich aktem ujemnej dla nas wartości; i przeto też na wynagradzanie tego szczególnego dzieła zgodzić się nie mogę“.

A zakończył zaś tak:

„Gdy ptasznik siecie zastawia na ptaki, na sopiałce gwiżdżąc nieraz na wiatr rzuca plewę i dzieje

się tak pospolicie, iż dużo ptactwa daje się uwieść i ułowić; jednak stary wróbel nawet na złocistą plewę wziąć się nie da! Muszą też powstać męże w kraju, mający odwagę do zdejmowania ułudy z oczów, by się naiwne ptactwo na wietrzystą plewę nie brało! Mówiłem z wewnętrznego rozkazu, ażeby głos mój poleciał dalej, aby doleciał i po za ścianami tej Izby Radnej, do tej gawiedzi małomyślnej, dla której z groźnej sprawy narodu zabawę i igraszkę czynić nigdy nie brakło ni ochoty ni lekkomyślności — i tak mi Boże dopomóż!“

Tak mu Boże dopomóż! i dopomóż nam wszystkim, żebyśmy tak prawdę mówić chcieli i umieli: bo kiedy takich będziemy mieli wielu, to wtedy Bóg już nam pomógł, i my będziemy mogli sobie pomagać.

Rozumie się, że stary wróbel mówił na wiatr tym razem, a ptaki dały się uwieść i złowić: Rada miasta Lwowa nadała panu Hausnerowi obywatelstwo honorowe. Cel był dopięty, rękawica rzucona Sejmowi, i część ludności przeciw niemu sama nie wiedząc co robi, zbuntowana. Około wolnej *kontradykcyi* zaczęła się kleić *konfederacya.*

Poprzeć ją musiały ma się rozumieć demonstracye i owacye: trzeba, żeby ludność, żeby młodzież oddała także swój hołd komu należy, a nauczyła się poniewierać to, co powinna szanować. Kiedy więc wybrani zasiedli do bankietu na cześć pana Hausnera, tłum powołanych zaczął się zbierać na tak zwany *pochód z pochodniami* i z tego wynikła opłakana burda, której powodu dopatrzyć się trudno, ale skutki ocenić łatwo. Policya zakazała tej demonstracyi. Czy potrzebnie? Prawnie nie miała jak sądzimy do tego dostatecznej podstawy: zręczności też w postępowaniu dowodów nie dała. Lepiej pozwolić

na rzeczy głupie, niż robić z nich poważne i smutne. Wszelako skoro już zakaz był, to należało nie dozwolić ludziom się zbierać, nie zaś już zebranych rozpędzać, a dopiero i kaleczyć i ranić każdego, kto się na ulicy nawinął. Niektórzy twierdzą, że policyanci byli pijani, a domyślają się, że poiła ich jakaś tajemnicza ręka, nie polska, ani austryacka nawet, ale inna, długa, bo aż przez granicę sięgająca. Dowodu być nie może, ale suppozycya łatwo znajduje wiarę, bo jest sens w dawnem adagium *is fecit cui prodest.*

Jakież bowiem były skutki tego rozruchu? Oto naprzód ten, że policya skrzywdziła ludność, że ludność oburzona łatwo mogła się dać użyć do dalszych wybryków, a w perspektywie mógł się okazywać i stan oblężenia, i powrót administracyi niemieckiej w Galicyi, i koniec tego w tym kraju stanu rzeczy, tego z rządem austryackim dobrego stosunku, który, komu najbardziej jest solą w oku, to wiadomo.

Nikomu zaś wypadek ten nie wyszedł tak na korzyść, jak właśnie stronnikom secessyi. Naprzód wina policyi odwróciła uwagę od ich winy, publiczność oburzona na jednych, mniej oburzyła się na drugich. Powtóre, co za sposobność wyborna i co za szerokie pole do dalszego wichrzenia. Lud (!) chciał uczcić posła postępowego i patryotycznego, przeszkodzono mu! a więc kto przeszkodził? oczywiście legaliści, konserwatyści i zdrajcy, oczywiście jeżeli nie Delegacya, to jej stronnicy. Dalej, i ta illustracya wspaniała do słów jednego z secessyonistów (pana Wolskiego), że za nim stoi kraj cały! stoi oczywiście, i to tak silnie, że gotów pójść na śmierć za to swoje przekonanie. Jeszcze dalej: jak łatwo z takiej chwili skorzystać i na swoją stronę przeciągnąć

oburzonych. A nadewszystko jest rozruch, jest niepokój, jest nawet krew, a więc my górą! a więc cały polityczny i społeczny pokój, nad którym pracuje Sejm i Delegacya, to nie prawda, a więc Lwów ma swoje *wypadki*, jak je miała Warszawa w roku 1861. A gdyby jeszcze, o Boże, gdyby kto z pokaleczenia umarł, to dopiero byłaby gratka! Nie umarł nikt: ale ojcowska przezorność i pieczołowitość tych panów, już upominała z góry, żeby przy pogrzebie, jak będzie pogrzeb, policya nie śmiała się pokazywać, bo straż obywatelska jedna zdoła w takich okolicznościach utrzymać porządek. Jak rozkosznie dawne wspomnienia przeszłości musiały przybierać kształt marzeń o przyszłości, jak po nad pochodami i pogrzebami unosić się musiał w całej swojej gloryi Rząd Narodowy! On, co dobry stosunek z Austryą nazywa zdradą a władzę Sejmu uzurpacyą, on jeden prawdziwy i prawowity rząd z Bożej łaski! (i własnego upoważnienia!)—on nieznany a nieomylny, nieodpowiedzialny a nietykalny, on, co nam tak świeżo jeszcze nakazywał bezwględne posłuszeństwo a od lat całych prowadził wojnę z tym samozwańczym Sejmem, który śmiał dzierzyć część jego prawej władzy; on widział przed sobą drzwi otwarte, i mógł już marzyć o wejściu na scenę i odegraniu swojej roli.

Przesilenie nadeszło i stało się zupełnem a nawet groźnem. Jak się skończy? zawsze dobrze. Bo albo konspiracya z miejscową agitacyą, używając panów secessyonistów za narzędzie, potrafi naprawdę opanować umysły i wywrzeć wpływ na przyszłe wybory do Rady państwa, a wtedy będzie dwie lub więcej Delegacyj i chaos, w którego mętnych wodach łowić będą ryby centraliści wiedeńscy i miejscowe warchoły; albo rząd

zniecierpliwiony przyśle na Namiestnika jakiego jenerała Niemca, a wtedy skończą się polskie rządy, skończy austryacko-polska zdradziecka polityka, i górą Rząd Narodowy!

Chyba, że nastąpi trzecie: że rozwaga i odwaga zdobędzie się na tyle siły, że zdławi tę całą intrygę.

Jakież wobec tej alternatywy było zachowanie się nasze?

Ze strony dziennikarstwa polskiego (nie *Polskiego Dziennika* i *Gazety Narodowej* naturalnie) zachowanie się wzorowe i zgodność zupełna. *Czas*, *Dziennik Poznański*, *Przegląd Polski*, zwykle niebliskie siebie, *unisono* potępiły i secessyę i uchwałę Rady miejskiej lwowskiej. Dowód, że można różnić się w zdaniach, ale gdzie jest naprawdę uczucie polskie, tam instynkt jego będzie tensam w trudnych i ważnych razach. *Dziennik Poznański*, nie podejrzany o *arystokracyę* lub o stosunki ze *Stańczykami* (!) najwięcej mógł sprawić wrażenia; toteż użył tej możności w pełnej mierze, i tak stanął dzielnie, że zdobył sobie piękną kartę w historyi Galicyi, i swojej. Warto przypomnieć choć niektóre z jego słów wybornych:

Otóż owo pismo:

„Zachowanie się pp. Wolskiego, Hausnera i Skrzyńskiego wobec Koła polskiego w Reichsracie wiedeńskim nie jest niczem innem jak grzechem pospolitym przeciwko *tradycyi, rozsądkowi i poczuciu polskiemu.* Oratorskie sukcesa pierwszych dwóch rodaków a mianowicie p. Hausnera (p. Skrzyński dla zamknięcia dyskusyi szczęściem nie przyszedł do głosu) raczej nas smucą niż cieszą. Pomiędzy bracią musi być otwartość, powiedzmy

więc wręcz: wstyd nas potrosze tych reprezentantów polskości.

„Jest to wyrok może ostry nieco. Jesteśmy atoli o słuszności jego tak głęboko przekonani, iż, wzgląd mając na ważność wielką zachodzącej tu kwestyi, *sumiennie* innego ferować nie możemy.

„Pozwólcie nam choć w krótkości powody nasze podać. Zrobimy to przedmiotowo, chłodno i bez wszelkiego uprzedzenia do kogobądź. Osoby w grę wchodzące są nam zupełnie nieznane, co nie przeszkadza, że stosunki galicyjskie zkądinąd bynajmniej nam nie są obce. Znamy i ryterów Galicyi i — tromtadrackich jej warchołów, obok, rozumie się, niemałego zastępu patryotów gorących a rozumnych. Rządząc się zasadą: *minima non curat praetor* — trzymać się będziemy w pochodzie naszym krytycznym li traktu głównego.

„Targowiczanie galicyjscy *(sit venia verbo) wyłamali się z pod solidarności Koła polskiego.* Mająż ci panowie dokładną świadomość doniosłości popełnionego czynu? Wątpić się godzi, inaczej nie byliby go zapewne popełnili.

„Koło sejmowe polskie, reprezentuje pod politycznym względem nie prowincyę żadną, lecz *naród cały.* Z tej to przyczyny mogą się wprawdzie wewnątrz Koła znachodzić takie i owakie przekonania i opinie; *contra hostem,* na *zewnątrz* istnieć może tylko *jedno* Koło polskie, do którego się należy *jedynie z tytułu polskości,* a nie jakiegobądź przekonania osobistego. *Bezwarunkowa solidarność* na zewnątrz, a temsamem *bezwarunkowe poddanie się mniejszości* uchwałom *większości* jest *absolutnie logicznem i konsekwentnem następstwem takiego Koła, inaczej pozbawionem byłoby charakteru,*

jaki ma i mieć powinno. Pojedyncze, indywidualne prze konania uwydatnić się tylko mogą przy akcyi wyborczej i wśród dyskusyi Koła samego.

„Poseł polski, wyłamujący się z pod solidarności Koła, którego jest *eo ipso membrum natum, wyłamuje się ipso facto z pod solidarności z narodem polskim.* Zastanowiwszy się dobrze nad tem, niepodobna być innego zdania. Tu nie ma, biorąc rzecz *zasadniczo,* wogóle żadnego pola do dyskusyi, tu stoi twardo, bo stać musi: *albo — albo. Tertium non datur.*

„Zagadnąćby nas można, czy wytworzenie się *takiego* pojęcia Koła sejmowego polskiego (innego bowiem tradycya polska niezna) jest *pożytecznem,* czy jest zgoła *rozumnem?*

„Lubo zapytanie takie przy zachodzącym tu konflikcie całkowicie podrzędnej jest natury, schodzimy wyjątkowo z obranego głównego traktu, by na nie w krótkości odpowiedzieć. *Tak jest,* jest i *pożyteczne i rozumne,* co więcej — jest *jedynie możebne, tak długo jak trwać będzie obecny stan niedoli naszej.* Motywa ku temu nastręcza nam *odrębna* historya nasza i położenie nasze *wyjątkowe.* Motywa te są i moralnej i politycznej natury. Na truciznę *Liberum veto i anarchii,* które nas o upadek przyprawiły, chwycił się naród, instynktem prostym powodowany, *antidotum solidarności i karności. Tamta* nas *zgubiła — ta* nas jedynie *uratować* może. Są wszakże i inne jeszcze powody, bardzo jasne i przekonywujące, odgadnąć je nietrudno jest zaiste *miłości prawdziwej,* będącej *jasnowidzącą i nieznającej* trudu. Pamiętajmyż, że niewola nasza trwa już wiek prawie, i Bogu tylko wiadomo, jak długo jeszcze potrwa. Takiem tylko Kołem, jakie nam dzielność najświatlejszych,

duchem wieszczym natchnionych patryotów wytworzyła, potrafimy wobec rozćwiertowania Ojczyzny naszej zachować *odrębność*, zamanifestować *jedność* naszą, utrzymać wreszcie naprzeciw rozsadzających nas obcych ciał prawodawczych *samodzielność* naszą *duchową*. Wśród elity obcej nam narodowości w parlamentach zachować swoje „ja“ polskie, nie dać przystępu prądom elektrycznym wymowy, nie ulegać, panie Hausner, ponęcie zwodniczej łatwych oklasków, pozostać obojętnym na wydrwienie, urąganie lub jawne nawet politowanie przygniatającej większości — jak *trudnem jest zadaniem, ten tylko ocenić potrafi*, kto *gorzkiego chleba posłowania polskiego przez dłuższy zakosztował czas.* Doznała tego do sytości *garstka posłów polskich w Berlinie. Z niej* to a raczej z bezprzykładnej rzec można, *trudności i przykrości położenia jej w Sejmie berlińskim, gdzie pod infamią nie wolno było się odezwać z pol skością swą, wyłoniło się pojęcie takiego Koła, jakie obecnie mamy w Berlinie, a jakie zaadoptowało poselstwo nasze w Wiedniu. Takie* tylko Koło, krótko powiedziawszy, *ocaliło nas jedynie i w Berlinie i w Wiedniu,* wywalczyło dla nas *mimowolne uznanie* a nawet *szacunek i najzaciętszych wrogów naszych.* Mamyż jeszcze potrzebę dowodzenia, że podobna instytucya, jaką są Koła nasze, jest i *pożyteczną i rozumną,* że była i jest jedynie *możliwą* w położeniu naszem. Nie widzi nam się to, a ktoby inaczej sądził, ten niechaj sobie z Panem Bogiem nie należy do Koła polskiego — ale wówczas wara mu też od tytułu i godności Polaka!“...

Że to wszystko odbiło się jak groch od ściany od serc zatwardziałych to rzecz prosta. Jakże mieli rozumieć jedni, że *contra hostem* trzeba się trzymać razem,

kiedy oni nie rozumieją, że centralista to *hostis*; jakże mają drudzy zrozumieć potrzebę karności i niebezpieczeństwo warcholstwa, kiedy oni właśnie warchoły! Toteż, jeżeli na wielu nawet młodych i zapalnych słowa te wywarły wpływ, to główni sprawcy poszli dalej swoją drogą.

Nie otworzyły im oczów nawet pruskie, nawet rossyjskie dzienniki, które chórem i hurmą po ich stronie stanęły, chwaliły, głaskały, podziwiały ich rozum i patryotyzm, użalały się nad srogą tyraniją, pod którą jęczą. I kiedy im zwracano uwagę na to, że wyrzekając tak bardzo na urzędników Polaków mogą sobie sprowadzić urzędników Niemców, odpowiadali: *I owszem!* Pan Wolski, jeden z bohaterów secessyi prosił przecież, żeby minister przysłał do Lwowa osobnego komisarza, któryby tam zrobił porządek, i od ministra dopiero musiał usłyszeć lekcyę, że wystarczy na to Namiestnik. Pan Dobrzański, jak pisze *Nowa Pressa* zaczyna przecież przychodzić do przekonania, że urzędnicy Niemcy byli lepsi, i w *Gazecie* swojej przekonania te rozszerzać; a *Nowa Pressa* nie kłamie tym razem, bo w Radzie miejskiej publicznie ten trybun i patryota wspominał jak bezstronne, jak godnie i wzniośle ponad stronnictwa wzniesione były dawne rządy niemieckie. Pan Hausner „przypomina sobie z goryczą jak łagodnie i względnie postępował rząd niemiecki, rząd hrabiego Mensdorffa, w podobnych wypadkach w roku 1863“ — tylko zapomina, że wypadków podobnych rozruchów ulicznych nie było wtedy w Galicyi, a ten rząd łagodny łagodnie skazywał ludzi co proch i karabiny do Królestwa posyłali za mniemaną zbrodnię stanu, na kilka i kilkanaście lat więzienia.

Czy to szaleństwo? czy ich nawet spryt opuścił i dbałość o własną popularność, że takie rzeczy śmią mówić? Nie. Jeżeli to szaleństwo, to jest w niem metoda, tylko u każdego inna. Jedni trafiają tem do serca swoich przyjaciół wiedeńskich, drudzy liczą na to, że im mniej Polaków w rządzie jawnym tem więcej ich pójdzie w służbę tajnego; a jeden jest między nimi punkt wspólny, to Namiestnik obecny, który w oczach jednych i drugich ma ten grzech pierworodny i niezmazany, że się nazywa Potocki.

Co zaś jest szczególnie rozczulające to oddźwięk sympatyczny jaki słowa i czyny tych Panów znajdują w dziennikach rossyjskich. *Czas* zrobił sobie tę złośliwą przyjemność, że przytoczył i zestawił obok siebie to, co pan Hausner mówi o sobie w liście otwartym do *Dziennika Poznańskiego,* i to co mówią o nim *St. Petersburgskie Wiedomosti.* Musimy też zrobić tosamo, nie dla przyjemności tylko, ale dla przekonania wszech wobec jak się te słowa harmonijnie schodzą i godzą.

Między innemi pan Hausner pisze: „takiemu zaślepieniu uledz mógł jedynie rząd, który w tej sprawie nie bronił porządku publicznego lub powagi władzy, lecz popierał jedno stronnictwo przeciw drugiemu".

St. Peters. Wiedomosti piszą: „Głównym powodem nieszczęścia jest podział społeczeństwa galicyjsko-polskiego na dwa obozy: arystokratyczno-ultramontański i demokratyczno-patryotyczny. Do pierwszego należy p. Grocholski i inni członkowie Delegacyi, tudzież sam Namiestnik i partya tak zwana krakowska, do drugiego partya lwowska, członkowie Delegacyi: Skrzyński, Wolski — a przyłączył się świeżo Hausner". „Namiestnik stanął po stronie pana Grocholskiego i kompanii —

i z zasady, i przez wzgląd, że nie mógł, jako namiestnik, pochwalać wystąpienia p. Hausnera, mniejsza o to, że patryotycznego, lecz potępiającego politykę rządu. Łatwem jest tedy do pojęcia, że hr. Potocki, który nie mógł zapobiedz ofiarowaniu Hausnerowi przez miasto Lwów honorowego obywatelstwa, co jest wielkim zaszczytem, ani przeszkodzić innym na cześć jego owacyom, sprzeciwił się niewinnemu pochodowi z pochodniami. To jedno leżało w granicach jego władzy — użył więc choć tego środka, aby dokuczyć p. Hausnerowi!... Mniejsza o to, że krew się poleje, byle partya arystokratyczna dała się we znaki patryotom lwowskim!... O to szło i to się stało!“

P. Hausner pisze: „Z goryczą przypominają sobie, jak oględnie i łagodnie w latach 1861—1863 rząd niemiecki pod Mensdorffem zachowywał się przy podobnych sposobnościach“. „Główna różnica polega przeto w postępowaniu władz, i tych, którzy władzę do działania parli“.

St. Pet. Wiedomosti piszą: „Krwawe zajścia na ulicach Lwowa w kraju, który nieprzyjaciele Rosyi, dla dokuczenia jej, nazywają wolnym i szczęśliwym! Czyż mógłby kto tego się spodziewać? A jednak tak było“. „A jednak policya wzbrania pochodu, studenci udają się z prośbą o pozwolenie do namiestnictwa — odmowa, do ministerstwa — toż samo! Rozżalona młodzież taką niewolą w wolnym kraju, postanowiła bądźcobądź postawić na swojem“. „Oto jest próbka wymowna wolności konstytucyjnej w Austryi! Gdyby w Rosyi zaszło coś podobnego, cała Europa krzyknęłaby, żeśmy barbarzyńcy, tyrani, dzicy Tatarzy! Winna zapewne młodzież, że przedsięwzięła wbrew zakazowi niewinny sam przez

się pochód. Ale czemże jest jej wina w porównaniu z dzikiemi czynami policyi? Czyż nie mogła ona użyć środków łagodnych, przedstawień, wreszcie aresztować winnych? Ale napadać namiętnie winnych i niewinnych, przelewać krew kobiet, starców, to jest coś więcej niż okrucieństwo, to barbarzyństwo prawdziwe".

P. Hausner pisze: „Zły czyn zawsze w złe następstwa płodny; tak jest zły czyn. Nienawistny brak tolerancyi, który nas skazywał na milczenie w Radzie Państwa, który nas wykluczył ze wszystkich komisyj w Sejmie, który nareszcie od władz domagał się stłumienia *à tout prix* manifestacyi nam przychylnej, spłodził złe następstwo, rozlew krwi niewinnej".

St. Pet. Wiedomosti piszą: „Ale natomiast od solidarności z Kołem polskiem odpadło trzech polskich deputowanych: Wolski, Hausner i Skrzyński. Wszyscy oni stanęli mocno przy partyi wiernokonstytucyjnej". „Pokąd pan Hausner należał do Koła polskiego, trzymano go umyślnie na uboczu, co było nietrudno, ponieważ według przepisów obowiązujących w Kole, nikt bez upoważnienia ogółu niema prawa zabierać głosu. Hausner zaś, jako człowiek niezmiernie zdolny i odznaczający się niezawisłością opinii, był zawsze umieszczany przez kolegów w cieniu, oczywiście w obawie, aby nie zaćmił swą wymową uprzywilejowanych mowców pp. Grocholskiego i Dunajewskiego. I otóż p. Hausner zaćmił, w kąt zapędził nietylko swych polskich kolegów, lecz nawet wszystkich delegatów. Niedziw tedy, że skandalizują się tem zazdrośni Polacy, nie dziw, że w Krakowie i Poznaniu przedsięwzięto przeciw niemu krucyatę". „Zanadto Lwów gorący, a partya przeciwna zimna i bezlitośna, aby przyjść nie miało do

nowych manifestacyj, nowych starć i nowych okrucieństw w *wolnej i konstytucyjnej Galicyi*".

I cóż ten Indyanin, co o sobie mówi, że z daleka czuje nieprzyjaciela, cóż on ze swoim ostrym zmysłem zrobił? gdzie go podział? czemu nie uczuł bliskości wroga, kiedy sam szedł naprzeciw niego? Czemu nie zadrżał kiedy wszedł na jego drogę i innych na nią wprowadził? To taki Indyanin! to taki przewodnik! to taki jego instynkt! O gdyby go był miał, nie indyjski bystry ale prosty polski, nie byłby zaszedł tam, gdzie mu podchlebiają i kadzą centraliści niemieccy i Moskale, nie byłby zrobił tego, co im jednym wyjść może na pożytek.

Do jakiego stopnia dojść musiało ich zaślepienie stronnicze, kiedy nawet pochwały i urągania dzienników nieprzyjacielskich otrzeźwić ich nie mogą. Brną dalej, uwodzą małe miasta do naśladowania przykładu Lwowa, kłamią po pismach, jak kłamali zawsze, o swojej miłości ojczyzny mówią bez wahania i wstydu. A wszystko to pod jednem hasłem: Zgnieść Delegacyę! *écraser l'infame!*

III.

A po drugiej stronie co się robi albo robić myśli? Żeby ta nowa polityka była znalazła wielu wielbicieli i robiła postępy, tego nie widać, jak nie widać także, żeby obrona przeciw niej była energiczna i dostateczna. Prawda, że trudno co i robić. Sejm powiedział, co miał w tej sprawie powiedzieć, jeszcze 25 września; a dziś, gdyby się posłowie nawet zjechali, mogliby tylko drugi raz tosamo powtórzyć. Pisać i mówić nie zda się na

nic, bo przekonanych przekonywać nie trzeba, a tamtych nic nie przekona. Jest środek w opinii samej, w głośnem, jawnem i stanowczem potępieniu czynów a odepchnięciu narzędzi: ale ten skuteczny tylko, kiedy powszechny, dotąd mało był użyty. Chwyciło się go trzech obywateli z Bełzkiego, panowie Stanisław Polanowski poseł, Obertyński i Jędrzejowicz, kiedy ogłosili w pismach publicznych, że odsyłają *Gazetę Narodową* i nie chcą jej znać. Ci trafili na prawdziwą drogę, ale dotychczas są na niej sami. Grzecznie, uprzedzająco, słodko jak miód a złośliwie jak osa, z ironią niemiłosierną, a dość przeźroczyście osłoniętą pozorami wielkiej deferencyi, odezwał się pan Dawid Abrahamowicz, poseł, do pana Hausnera. Ciekawa jest ta korespondencya. Dla pana Hausnera, wszystko co się działo przed jego ostatnią mową, uchwała Koła o solidarności, dawna droga polityczna kraju, to anachronizmy dawno już wypadkami prześcignione i zmazane; to nie istnieje, mówić o tem, to tak mniejwięcej, jak żebyśmy dziś szukali męża dla nieboszczki infantki Maryi Augusty! Jesteśmy w nowej epoce, która pędem swoim niesie w górę nowego człowieka. Pan Abrahamowicz replikuje, nie tak już słodko i grzecznie, jak się był odezwał pierwszym razem, ale tak trafnie i świetnie, że choć kilka słów jego przytoczyć tu musimy.

„Przeciw twierdzeniu mojemu, iż mowa Twoja przychylnie przez świętojurców przyjęta została i że głosowali za adresem, podnosisz Panie, iż ksiądz Naumowicz, Kowalski i inni (bezimienni?) wyszli podczas głosowania, Krynicki głosował przeciw adresowi, zaś ksiądz Naumowicz nie ma być osobiście zadowolony z Twojej mowy“.

„Co się działo podczas głosowania z księdzem Naumowiczem i Kowalskim, i którzy to bezimienni posłowie ruscy opuścili byli salę, nie wiem, a Ty Panie, nie raczyłeś powiedzieć; to jednak wiadomo mi i każdemu, kto imienne głosowanie odczytał (patrz str. 13064—65 sprawozdanie stenogr.), iż za adresem głosowali księża ruscy: Halka, Juzyczyński, Krzyżanowski, Pietrusiewicz, Pawlików, Szwedzicki, Zakliński i p. Janowski—przeciw zaś Krynicki i Kaczała, z których pierwszy, jak powszechnie wiadomo, głosuje bardzo różnie i niesolidaryzuje się w głosowaniu z partyą ruską, drugi zaś jest członkiem Koła polskiego.

„Zaprzeczasz mnie Panie, jakobyś kiedykolwiek mówił, iż lewica centralistyczna stoi na straży prawdziwej wolności, a cóż znaczą następujące słowa, wyjęte z twej mowy bankietowej:

„Z lewicą Rady Państwa toczy Delegacya polska walkę nietylko w sprawach autonomicznych i językowych, ale nawet wolnościowych i polityki zewnętrznej, gdzie słuszność jest po jej stronie, lub

„Zapamiętała walka w Radzie Państwa Delegacyi polskiej ze stronnictwem postępowem i popieranie wobec niej rządu we wstecznym kierunku“ itd., itd.

„Najpocieszniejszą jednak jest Twoja uporczywość w twierdzeniu, jakoby zapatrywania polityczne i zasady i obrona spraw krajowych, a nie kwestya regulaminowa wytrąciła Cię z Koła: pocieszna, bo tem twierdzeniem usiłujesz nadać kłam nietylko prawdzie, przyznawanej przez całe Koło sejmowe, lecz nadto stajesz w sprzeczności nawet z najgorętszymi obrońcami Twymi. W *Dzienniku* bowiem *Polskim* z dnia 1 b. m., w którym pismo to zamyka szereg artykułów, polemizujących z *Dzien-*

nikiem Poznańskim w sprawie secesyi, czytamy co następuje:

„Każdemu usiłowaniu w tym kierunku, ażeby bez ubliżenia którejkolwiek stronie przywrócić zerwaną ugodę, i otworzyć napowrót solidarność bez nieużytecznego a szkodliwego krępowania indywidualności, każdemu takiemu usiłowaniu radośnie przyklaśniemy, i o ile w naszych siłach, pomocną podamy rękę".

„Więc nawet *Dziennik Polski*, ten Twój najgorętszy obrońca, który zamyka łamy pisma swego dla każdego, ktokolwiek odważa się wobec Ciebie wystąpić, chociażby ze skromną a pełną kurtuazyi uwagą, nawet ten *Dziennik* przyznaje stanowczo, iż chodzi tylko o wynalezienie środka, zapomocą którego bez ubliżenia którejkolwiek stronie, przywróciłby można zerwaną zgodę i stworzyć napowrót solidarność.

„Gdy jednak cała rzecz jak powszechnie wiadomo, ma się wręcz odmiennie, a gdy nawet w odprawie danej na mój list nie raczyłeś jej dotknąć i poświęcić parę słów dla zbicia postawionych przezemnie dowodów, iż przedtem niż o zasady polityczne wytoczył się spór, przestałeś być członkiem Koła, więc nie dziw, że i organ Twój nie może śpiewać na nutę fałszywą, a której mojem zdaniem, początkiem i końcem, jest miłość Twa własna.

„Zarzucasz mi Panie, że zanurzywszy się w cnotach biernych, jestem bałwochwalcą zastoju, apatyi i abdykacyi rozumu politycznego, a w najlepszym razie powtarzam program jednej części narodu (więc naród nasz wedle Ciebie składa się już z dwóch części?) uorganizowanego na wzór wojska lub zakonu, z opuszczeniem lub zatajeniem drugiej części programu dla

przełożonych, dla wodzów, co przez to chcesz powiedzieć Panie, domysłowi chyba pozostawić muszę.

„Czy idzie tu o to, aby szeregowcy plan kampanii dla wodzów układali? czy aby każdy na własną rękę działał, lub wreszcie, ażeby od wypadku do wypadku poddawano kwestyę interesów narodowych pod orzeczenie subjektywne każdego pojedynczego Koła wyborczego?

„Któż w takim razie orzekałby w ostatniej instancyi, rozstrzygał kwestye sporne? chyba Ty mnie Panie powiesz, ja bowiem nie jestem w stanie odgadnąć.

„Otwarcie więc i szczerze spowiadam się przed Tobą Panie, z moich przekonań politycznych, lecz w zamian za moją otwartość proszę, a nawet domagam się, byś mi raczył powiedzieć, jakim właściwie jest Twój program polityczny.

„Śledziłem bowiem nader skrupulatnie każdy Twój występ, czytałem po kilka razy każde Twoje przemówienie, a lubo znalazłem w nich niejedną krytykę surową i bezwzględną, i opartą nawet na takich reminiscencyach, jak sprawy meksykańskie, których podnoszenie cokolwiekbądź ani występem politycznym, ani zbyt szlachetnym nazwać nie można; to jednakże programu dodatniego, czy to dla polityki państwowej czy też dla polityki kraju i narodu naszego, dopatrzyć nie mogłem!

„Oskarżenia, krytyka i negacya bez wskazówek dodatniego kierunku, bez programu na przyszłość; oto wszystko, co z ust Twoich słyszałem!“

W obwodzie samborskim, gdzie świeżo był jakiś wybór uzupełniający, sześciu wyborców (panowie Juliusz Bielski, Konstanty Pawlikowski, Stanisław Tarnowski,

Alexander Szczepański, Leonard Rychlicki, Piotr Komorowski), podali do publicznej wiadomości, że tym razem nie głosowali na dawnego i jednomyślnie dotąd wybieranego posła tego obwodu pana Piotra Grossa, dlatego, że był na bankiecie dla pana Hausnera. Oto podobno wszystkie do dziśdnia manifestacye przeciw secessyi i secessyonistom. Jest to zamało: kto nie pochwala, ten wobec tego co przeciwnicy robią, powinien powiedzieć to głośno, i wedle możności swojej odjąć im środki działania, inaczej, jeżeli im się czas zostawi, zostaną panami placu, nie przez swoją siłę, ale przez apatyę przeciwników. Tej wszakże coraz mniej obawiać się możemy; energii przybywa widocznie. Kiedy w Brzeżanach był wybór do Rady Państwa w miejsce p. Ludwika Skrzyńskiego, który złożył mandat, miał on tam za sobą, dla swojej secessyi, dwa tylko głosy, a kilkadziesiąt padło na pana Alfonsa Czajkowskiego, jednego z najzdolniejszych młodszych posłów w Sejmie. Fakt taki jest znaczący i pocieszający bardzo, bo dowodzi i nam i przeciwnikom, po której stronie są przekonania i dążności wyborców. To nie prosty nawet wyraz opinii, ale silna i oby skuteczna obrona Sejmu, jego praw i jego zasad.

Jedna jeszcze zjawiła się obrona, jedna, ale zdolna zdruzgotać na nic te fałszywe wielkości i gazeciarskie reklamy; a wyszła z tego miejsca właśnie, które miało i prawo i powołanie najpierwsze.

Delegacya, cel wszystkich pocisków i potwarzy, ta nieodpierająς napaści, ani ich niewidząc nawet, zadała potwarzom fałsz w sposób tak oczywisty i zwycięzki, że choć potwarze pójdą dalej swoją drogą, to trudno im będzie bardzo udawać, że znalazły wiarę.

Przy dyskusyi nad budżetem ministerstwa spraw zagranicznych w Delegacyach wspólnych w Peszcie zabrał głos p. Dunajewski. Niektórzy żałowali prawie, że to zrobił, z obawy żeby mowa nie wyglądała na koncesyę, na wpraszanie się w łaskę, żeby wreszcie przeciwnicy nie powiedzieli, że to oni przykładem swoim nawet tę obumarłą Delegacyę poruszyć potrafili. Co powiedzą przeciwnicy, to wszystko jedno; a że gazety zawsze kłamać będą, to wszyscy wiemy. Ale koncesyi ani słabości nie było. Z temi wszystkiemi zajściami lub bez nich, Delegacya przy tej sposobności byłaby mówiła zawsze, bo mówić musiała, bo w zmienionej sytuacyi politycznej po kongresie berlińskim i po okupacyi Bośnii musiała swoją myśl polityczną wyrazić — tylko inną i inaczej, niż to zrobił pan Hausner w Radzie Państwa.

„Zabrała ona głos — mówi p. Dunajewski na posiedzeniu Delegacyj wspólnych z dnia 7 grudnia — tu w Delegacyach, dlatego naprzód, że to jest konstytucyą oznaczone miejsce do mówienia o sprawach zagranicznych, dlatego powtóre, że Delegacye są wierniejszą, prawdziwszą, składowi monarchii bardziej odpowiadającą reprezentacyą ludów, aniżeli wiedeńska Rada Państwa".

A to dlaczego? bo w nich jeszcze i w nich dziś jedynie przechował się jeszcze ślad tej odrębnej indywidualności krajów i narodów, którą Rada Państwa przez bezpośrednie wybory zaprzeczyła. Zaraz na wstępie słowo prawdziwe i zgodne z interesem i z tradycyą kraju, konsekwencya i naszych z 2 marca 1867 protestacyj przeciw Radzie Państwa, i naszych późniejszych zabiegów o konstytucyjne zabezpieczenie naszej odręb-

ności, i wszystkich naszych słów i uczynków od zaprowadzenia bezpośrednich wyborów. Być może, że to złe, że powinniśmy owszem złożyć tę odrębność i tę tradycyę na ołtarzu jednej wszechmogącej i uszczęśliwiającej Rady Państwa: być może, że nawet wybór krajami do Delegacyj wspólnych powinniśmy jej poświęcić na to, żeby w nich nadal sam tylko Herbst i Giskra radził o polskich sprawach i Austryę ku nim nawracał? Być może. Ale dopóki ta zmiana nie jest powszechnie za dobrą uznana, to gdzie, pytamy, jest więcej poczucia naszego honoru i obrony naszych interesów, czy w tej affirmacyi odrębności krajów, czy w tej uprzejmej skłonności do Rady Państwa i jej centralistycznej większości za które one tak były wdzięczne panu Hausnerowi? Niech na to odpowie każdy człowiek uczciwy, który pamięta i wié, co dla nas znaczą dążności tej większości, i dlaczego zawsze opieraliśmy im się całą siłą, na jaką tylko stać nas było.

Sukcesu takiego w Wiedniu p. Dunajewski mieć nie będzie, to pewna, ale ludzie polityczni poznają w nim jednego z siebie, kiedy zobaczą, że nie żądając ani rozbrojenia, ani wycofania wojsk z Bośnii, ani narażenia bezpieczeństwa dla uniknienia strat pieniężnych, przyznaje, że faktycznym punktem wyjścia dla dalszej polityki musi dziś być traktat berliński, ale zarazem wskazuje te w przyszłości nieuniknione konsekwencye, które z niego wyniknąć muszą, i zapytuje, czy Rząd je widzi i rozumie, czy jest na nie przygotowany i zdecydowany stawić im czoło?

Nazwać traktat berliński niemoralnym, przewrotnym, potwornym, to łatwo; wskazać co po traktacie

berlińskim Rząd austryacki ma robić, to cokolwiek trudniejsze i potrzebniejsze.

Otóż Rząd powinien wiedzieć, że Rosya z Bułgaryi, a prawdopodobnie i z Rumelii nie wyjdzie, a gdyby nawet wyszła, to panią ich być nie przestanie. Powinien wiedzieć, że w skutku tego do wojny z Rosyą koniecznie i niechybnie przyjść musi. Bo albo zechce on sam warunków tego traktatu dochować i Rosyę do ich dochowania zmusić, a wtedy wojna oczywista: albo przekraczając te warunki, tak jak Rosya, i zajmując dalsze części Turcyi, znowu z Rosyą zderzyć się musi. Pan Dunajewski i Delegacya polska i Polska cała, o ile świadomości siebie nie straciła, musi przekładać traktat berliński i stanowisko Austryi na mocy jego o państwa zachodnie oparte, od tego trójcesarskiego przymierza, które się wiedeńskiej Radzie Państwa w swoim czasie tak podobało: ale choć do wojny pchać nie chce, musi ją wskazać jako logiczny skutek tego stanu rzeczy i odradzać od niej nie myśli.

A więc jakże? z ręką na sercu i na polskiem sumieniu, gdzie więcej polskiej myśli i polskiego uczucia? czy w tych słowach Delegacyi, czy w tym adresie Rady Państwa, za którym głosowali skonfederowani secessyoniści?

Ale zanim do wojny przyjdzie, bo choć może to przecież nie musi do niej przyjść dziś jutro, jak się rząd austryacki ma zachować? czy wycofać wojsko z krajów zajętych i kilkadziesiąt milionów oszczędzić, albo też trzymając militarną, zająć i polityczną obronną pozycyę przeciw Rosyi?

„Polityce, która odrywa pojedyncze plemiona słowiańskie od Turcyi, aby je stopić w jedną wielką masę

i pozbawić indywidualności, należy postawić coś wprost przeciwnego; pod opieką chorągwi cesarskiej na półwyspie bałkańskim powinno nietylko przestrzeganem być prawo wogóle, ale i indywidualne prawo każdej pojedynczej narodowości. Należy wobec przewagi obcej religii zabezpieczyć wolność, równość i poważanie wszystkich wyznań; należy, aby naprzeciw polityki niszczącej polityka organizacyjna postarała się o to, iżby wzdłuż granic monarchii zadowolone, wolne, spokojne i bezpieczne mieszkały ludy: i jeśli już rząd cesarski zmuszony był koniecznością stosunków europejskich i w skutek traktatu berlińskiego wysłać swe wojska do Bośnii i Hercogowiny, niech się to stanie nietylko w materyalnym, lecz w wyższym, duchowym i politycznym interesie, w interesie, który w następstwie materyalne i finansowe i to pomyślniejsze korzyści musiałby za sobą pociągnąć.

„W ten sposób spełniłaby monarchia nietylko świetną, pełną chwały misyę, lecz przygotowałaby się na chwilę, która — w czem zupełnie się zgadzam z Jego Excel. poprzednim mówcą — nieuniknienie przyjść musi.

„Jest przeciwieństwo historyi, przeciwieństwo religijnych i cywilizacyjnych zapatrywań, jest przeciwieństwo ekonomicznych nawet interesów, które w końcu musi wyjść na wierzch. Kiedy przyjdzie nie wiem: ale jestem silnie przekonanym, że przyjdzie i przyjść musi dzień, w którym monarchia będzie musiała wystąpić do walki o swój byt, o wolność swoich ludów, o przyszłość późniejszych pokoleń, a na dzień ten należy się przygotować, pielęgnując i utrzymując w słowiańskich narodach i przygotowując do wolności żywioły, które upaść nie chcą. Jeśli się zaś raz podejmie ten ciężki i kosztowny

trud, wówczas pokaże się, że miałem słuszność, mówiąc, że jest między narodami słowiańskiemi jeden właśnie, który od wieków zachowuje i ceni swoją indywidualność i pomimo wszystkiego, aż do tej chwili indywidualność tę utrzymał. Nie zużytkować podobnego żywiołu w wspólnym interesie monarchii austryacko-węgierskiej, byłoby mniemam, błędną polityką".

Gdzie więcej pamięci o Polsce, gdzie więcej dobrych warunków dla jej przyszłości? Czy w takiej organizacyi jakiej dla Austryi chce i w tej wojnie, którą jej wskazuje Delegacya, czy w tej polityce abstencyi, za którą przemawiają i głosują secessyoniści?

Ale oni tyle, tak wymownie, tak pięknie mówili o Rosyi, o swojej do niej nienawiści! a tamci drudzy nietylko, że nam tej satysfakcyi nie dali, jeszcze mówili, że o nienawiściach swoich, jeżeli je mają, wspominać nie chcą. Istotnie mówili mniej o tem, czego nienawidzą, za to więcej podobno, a zwłaszcza praktyczniej o tem co miłują. Nad *zniweczoną* Polską mniej łez wylali, tylko w jej zniweczenie uwierzyć nie chcieli: owszem nie przypuszczali go wcale, a o jej podźwignieniu myśleli więcej. Jeden odzywał się nie już do samego austryackiego rządu, ale do „wszystkich państw europejskich i ich na kongresie reprezentantów", że niepojmuje i ubolewa jakim sposobem zbiór najpoważniejszych ludzi stanu mógł niezająć się tą kwestyą, niezrobić nic dla zagojenia tej w organizmie europejskim wiecznie otwartej rany. Drugi (książę Konstanty Czartoryski) dodaje: „że rozwiązanie sprawy wschodniej bez wzięcia pod rozbiór pozornie martwej sprawy polskiej, jest wprost niemożebnem, że zagarnięcie i posiadanie krajów polskich, daje Rosyi materyalną moż-

ność do występowania w sprawach i niby w obronie wszystkich ludów słowiańskich, a dopóki ta podstawa nie będzie Rosyi odjętą, nic jej nie wstrzyma w jej panslawistycznych dążeniach, wszelkie inne środki w tym celu używane będą tylko tymczasowo". Trzeci wreszcie, Grocholski, oświadcza, że Polacy głosują za żądanym przez ministra kredytem, bo ani chcą, ani mogą zostawić Państwa bez środków obrony wobec wypadków, które zajść mogą. Żeby zaś drugi raz nie zboczyły na zły tor, pragnie żeby przed terminem ewakuacyi ziem tureckich przez wojska rosyjskie, Delegacye wspólne były zwołane i zapytuje czy tak będzie?

Ale to wszystko nic! Ludzie, którzy to mówią i tak mówią, są politycznie niedołężni, patryotycznie podejrzani. Ci, co głosują za rozbrojeniem Austryi i za polityką biernego spokoju, ci bronią narodowej sprawy i odpowiadają narodowemu uczuciu! Co zaś nielepsze ale zabawniejsze, to, że dzienniki lwowskie sobie przypisują zasługę i honory tych wystąpień. Gdyby nie one Delegacya byłaby jeszcze raz *zaprzepaściła* sprawę polską: „Warchołami nas nazywają" — mówi *Dziennik Polski* — niechże się przekonają, co warchoły znaczą i na co się przydają". Poniekąd ma słuszność: poniekąd oni mają prawo mówić, że przyczynili się do tych kroków Delegacyi. Bo narobili tyle wstydu, tyle głupstw, nasze stanowisko i nasze dobre imię tak wystawili na śmiech i urągowisko przez swoją secessyę, jej obronę i jej dalsze skutki, że trzeba było jakoś to wrażenie zatrzeć, i sławę polskiego rozumu i charakteru rozumnemi i poważnemi słowami utrzymać. Tę zasługę *a contrario* jeżeli chcą, gotowiśmy im przyznać.

Jeżeli za jakich lat sto przeczyta kto akta tej sprawy i zobaczy, że po jednej stronie byli ludzie, którzy bronili zawsze przez całe lata polskiej odrębności Galicyi w Austryi, którzy Austryę zawsze wiernie i uczciwie przestrzegali przed Rosyą i panslawizmem i dostarczając jej, ile mogli, środków obrony, wskazywali zarazem jej sposoby, którzy broniąc polskiego życia i interesu w Galicyi i w Austryi, umieli przytem i politycznie przypominać sprawę Polski całej jako „ze wszystkich europejskich najbardziej europejską" — że zaś po stronie drugiej byli tacy, co z polskich tradycyj jedną tylko przechowali tradycyę *Liberum veto*, którzy sprawom galicyjskim prowincyonalnym oddali tę usługę, że się stali sprzymieńcami tej partyi której widocznem dążeniem jest centralizacya i germanizacya; którzy swoje nadzieje polskie na Austryi opierając radzili jej rozbrojenie i bezczynność i bezbronność — i że potem w swoim kraju jedni uchodzili za niedołęgów, drudzy za wielkich polityków, jedni za *odstępców* sprawy narodowej, drudzy za jej bohaterów, taki człowiek za sto lat jeżeli będzie chciał fakt ten zrozumieć, to nie zdoła wytłómaczyć go sobie inaczej jak przypomnieniem dawnego łacińskiego *adagium* i przypuszczeniem, że Bóg jakiś złośliwy chcąc tych ludzi zgubić, pomieszał im i odebrał rozumy.

Szczęściem nasz Bóg niezłośliwy i zgubić nas nie zechce, chyba, że zechcemy sami; a jeżeli sobie pomagać zechcemy, dopomoże.

Zesłał nam już w tym trudnym razie pomoc niespodzianą a wielką. Po rozruchu lwowskim Rada miasta wysłała deputacyę do cesarza z użaleniem się na miejscowe władze i z prośbą o sprawiedliwość. Cesarz

odpowiedział, że Namiestnictwo już zarządziło śledztwo, i że kto tylko winien, będzie surowo ukaranym. Ale oprócz tego przyrzeczenia dał cesarz i naukę, którą bodajbyśmy wzięli do serca. Powiedział, „że legalni reprezentanci tego kraju okazują zawsze mężów stanu godne postępowanie, że dbają o interesa całej monarchii, co zapewniam was wychodzi na pożytek i waszego kraju. Temwięcej ubolewania godne są zdarzenia, które w skutek zaszłej secessyi zakłóciły dotychczasową jednomyślność galicyjskich posłów. Spodziewam się przywrócenia poprzedniego stanu“.

Wrażenie tych słów było wielkie w obozie nieprzyjacielskim, w Wiedniu. *Wiernokonstytucyjne* dzienniki wpadły poprostu w wściekłość. Co prawda, to, że nigdy cesarz nie stanął tak po stronie żadnego w swojem państwie stronnictwa. Wierny swojemu stanowisku, zachowywał między niemi równowagę, a dla siebie ścisłą neutralność. Czy z niej tym razem wystąpił? Bynajmniej. Bo nie jedno stronnictwo przeciw drugiemu, nie jedną opinię lub zasadę przeciw innej, ale wziął tu w opiekę jedność i całość kraju i jego interesów przeciw rozkładowi i rozbiciu. Że chodziło mu przytem i o dobro całego państwa, któremu „dotychczasowa jednomyślność galicyjskich posłów“, nie jedną oddała już usługę i nadal jeszcze bronić go może od małej i zgubnej polityki większości, to jest równie pewne jak słuszne. Ale chodziło mu też o to, żeby kraj i naród, któremu on już wiele dobrego zrobił, i który w zamian z nim był zawsze uczciwym, honorowym i wiernym, żeby nie stracił tej siły jaką już nabył, tego znaczenia w monarchii jakie nabyć może. Że żadnemu innemu krajowi cesarz takiego dowodu swojej przychylności

i opieki nie dał, to centralistów wiedeńskich doprowadza do takiej pasyi. Oni myśleli, że za przykładem delegacyjnej mniejszości i kraj cały da się zaabsorbować, i że z nim zrobią co zechcą: pokazuje się, że to drzewo nie tak jeszcze pochyłe, iżby kto zechce mógł na nie skakać, i że w potrzebie dostać może podpory dość silne. Ale dla nas ich gniew może być miarą wartości tych słów, tego czynu cesarza. Łaski od niego doznaliśmy już nieraz, ale nigdy może takiej, jak tymrazem pieczołowitości; bo nigdy monarcha nie robi narodowi więcej dobrego, nigdy nie ma większej przed tym narodem i przed Bogiem i przed historyą zasługi, jak kiedy stara się o to, by narodowi temu wewnętrzną jedność, a przez to polityczną siłę utrzymać, lub utraconą przywrócić. Ceniliśmy i cenimy zawsze wysoko i wdzięcznie to wszystko, co od cesarza Franciszka Józefa mamy, ale tamto wszystko, to były akta, bądź sprawiedliwości, bądź łaski: to jest czem innem i czemś więcej, dowodem, że cesarz w nas jakąś siłę widzi, że na nią liczy, że jej w przyszłości potrzebować może, i że dba o to, by ona się wzmagała i rosła, i dlatego też nigdy jeszcze nie czuliśmy się tak Jemu wdzięczni i oddani jak teraz.

Oczywiście nie wszyscy. Dzienniki lwowskie ze słów cesarza ukuły sobie zaraz broń na przeciwników, i powiedziały, że teraz dopiero pokazało się, kto naprawdę Polak, a kto nie. Skoro cesarz *austryacki* staje w obronie Delegacyi i Sejmu, więc oczywiście Delegacya jest tylko partyą dworską, ożywioną austryackim a conajwięcej galicyjskim patryotyzmem; polski ideał i polski interes jest w obozie rokoszanów. Tak mówili zawsze wszyscy rokoszanie i zawsze z takąsamą prawdą. Nie: nie w manifestach rządów narodowych, ani

w dziennikarskich artykułach, ani w parlamentarnych mowach, ani w obozie centralistów, jest już dziś rzeczywistość polskiego życia i interesu, ale w tych instytucyach, które cesarz dał, a które tamci czyhają tylko, jakby odebrali: że nie w polityce Giskry i Herbsta są widoki lepszej przyszłości, ale w mocy po Bogu cesarza, i jeżeli kto da hasło tej wojny, od której wszystkiego, a przynajmniej wiele czekamy, to nie te retory i kramarze, które nic nad pieniądz nie mogą i nie znają, ale cesarz. *In deinem Lager ist Österreich* — mówi jakiś niemiecki poeta: dziś nie Austrya sama. I jak w jego państwie jedynem na świecie, jest polskie życie, tak w przyszłości w jego obozie, a nigdzie indziej może być Polska. I nie dworskość to, ani pochlebstwo, ani widoki jakieś, godne „tego stworzenia co pełza“ (wy to dobrze wiecie), ale obok czci i wdzięczności szczerej dla jego osoby, miłość ojczyzny i obowiązek względem niej i wszystkie jej nadzieje mówią przez nas kiedy ze szczerego serca i z czystem polskiem, słyszycie *polskiem* sumieniem, powtarzamy hasło przez was niecnie fałszowane i poniewierane, że „przy nim stoimy i stać chcemy.“ A jakiekolwiek mogły być błędy ministra spraw zagranicznych, błędy, przed któremi ta przeniewiercza Delegacya ostrzegała go więcej, a zwłaszcza mądrzej jak wy, to więcej jeszcze rękojmi dla sprawy widzimy w jego polityce, aniżeli w tej, jakąby prowadzili ci Niemcy, co go chcą zwalić. Dlatego Delegacya nie staje w opozycyi, dlatego nie wali, ani walić pomaga, ale podtrzymuje, a zarazem prostować się stara.

Mowy polskie przy rozprawach nad budżetem ministerstwa spraw zagranicznych, i przytoczone wyżej przemówienie cesarza do deputacyi lwowskiej, i dwa

30*

wybory: samborski i brzeżański, to są ostatnie do dziś dnia fakta w sprawie rozpoczętej dyskusyą adresową w Radzie państwa i mową pana Hausnera.

Wobec tych faktów zaś, jakże dziś stoimy? Różni różnie to sądzą. Są tacy, którzy widząc rodzaj oburzenia, jakie mowa pana Hausnera i podniesiona około niej wrzawa, sprawiły w mieście Lwowie, a tam i ówdzie także i po wsiach, sądzą, że położenie jest nietylko bardzo groźne, ale prawie straszne: że gorszący przykład działać będzie na koła coraz szersze, zarazem rozejdzie się coraz dalej, że oppozycya przeciw Sejmowi stanie się na czas jakiś miarą i próbą patryotyzmu. Wytrzeźwiejemy wprawdzie i opamiętamy się rychło, ale już po czasie, kiedy pod tem hasłem dokonane wybory do Rady państwa dadzą nam kilkadziesiąt luźnych rozbitych głosów niezdolnych nic zrobić, ani nic obronić, czy to w galicyjskich, czy wogóle polskich sprawach. Po tryumfie zaś *Liberum veto* i konfederacyi zostanie w kraju demoralizacya, której skutki nieprędko dadzą się usunąć: krok wstecz, który się niełatwo naprawi, i zamiast iść naprzód, będziemy musieli długo i mozolnie pracować nad tem, żeby dojść nanowo tam, gdzie byliśmy przed dwoma jeszcze miesiącami.

Optymiści odpowiadają, że to wszystko przesada. Wszystkie te zajścia były czystym przypadkiem bez planu: przypuszczać spiski i rządy narodowe, to czyste przywidzenie, a gdyby nawet i były, to z pewnością nie działałyby w porozumieniu z panem Hausnerem. Dzienniki są złe i przewrotne, i systematycznie podkopują Sejm i Delegacyę, ale są tak znane za złe i przewrotne, że u ludzi poważnych i rozumnych wpływu nie mają: zresztą, jest na nie łatwa rada w założeniu ja-

kiegoś dziennika dobrego. U nas zaś, jak wszędzie, jest kilku agitatorów ambitnych, są zawiedzione próżności i podrażnione miłości własne jak wszędzie, są ludzie głodni jak wszędzie, i jest tłum niemyślący jak wszędzie. Prosta rzecz, że takich agitacya zawsze opanuje i nadużyje, ale nie ma znowu czem się tak bardzo trwożyć.

Naszem zdaniem, pierwsi mylą się dużo, ale drudzy więcej. Nie widzimy, żeby przykład secessyonistów i rady miejskiej lwowskiej był zyskał wielu naśladowców a choćby obrońców. Dwa czy trzy mniejsze miasta, jeden okręg wyborczy większej własności, samborski, który wybrał posłem pana Grossa, pomimo, że ten (uchwaliwszy razem z całym Sejmem wiadomą deklaracyę o solidarności) był na bankiecie dla p. Hausnera, a nawet przemawiał w duchu owej uchwale przeciwnym, oto wszystkie dotąd fakta złe. A jeszcze dodać trzeba, że obwód samborski (jedyny w swoim rodzaju) jeszcze na wiosnę secessyę pochwalał, i że nawet w tym obwodzie nietylko są wyborcy, oświadczający się głośno z przekonaniem przeciwnem, ale że byliby stanowili większość i odnieśli zwycięztwo, gdyby byli wszyscy do wyborów stanęli.

Naprzeciw tego stoją symptomata dobre: pierwszy zaraz ten, że złych jest tak mało, że pomimo agitacyi do ostatka wytężonej i zaciekłej, niewięcej miast, korporacyj i ludzi dało się oszukać. Dowód to oczywisty, że zdrowy rozum, że poczucie obowiązku karności i zmysł polityczny, są jeszcze w bardzo znacznej większości. Oprócz tego zaś dowodu biernego, są i przybywają niemal z każdym dniem czynne, a nietylko czynne ale i odważne, bo podpisane. Mało o nich wiemy to

prawda, bo dzienniki lwowskie naturalnie nie głupie ich rozgłaszać, *Gazeta Lwowska,* urzędowa, nie może. Ale są przecież; i tak wystąpienie pana Sawczyńskiego na zgromadzeniu wyborców w Tarnopolu, jak przebieg wyborów w Samborze i głosy panów: Bielskiego, Tarnowskiego, Pawlikowskiego, jak wreszcie ogłoszony świeżo w *Dzienniku Polskim* list pana Władysława Wolańskiego, wszystko to wskazuje, że choć jest atak, to znajduje się i odpór. Tylko, to przyznać trzeba, że ten odpór nie jest dość liczny, ani dość głośny; jest jak zwykle u nas działanie ludzi porządnych i rozważnych, zanadto względny i łaskawy dla przeciwników. W takich razach trzeba koniecznie występować zbiorowo, w masie, ale trzeba ze strony tych ludzi, którzy secessyi nie pochwalają i przy Sejmie stoją, a w dotychczasowem postępowaniu chcą wytrwać, oświadczeń jawnych, głośnych i tłumnych, w rodzaju tych, jakie dali już niektórzy, a przed innymi panowie Polanowski, Obertyński i Jędrzejowicz.

Ale tego trzeba koniecznie. Bo jeżeli mylą się pessymiści i narzekają zawcześnie, to więcej od nich mylą się ci, którzy fakta takie lekceważą. Mówią oni, że żadna sytuacya na fałszu oparta, sztuczna, pozbawiona rzeczywistości, długo trwać i niebezpieczną być nie może; że zaś we wszystkich intrygach i oskarżeniach przeciw Delegacyi nie ma ani słowa prawdy, więc ta cała budowa musi runąć sama, albo ją jedno dmuchnięcie obali. Prawda, że runie, prawda, że jako na fałszu oparta i nie rzeczywista runąć raz musi: ale czy nie poniewczasie? Bo obok niej jest inna sytuacya, ta bardzo rzeczywista i prawdziwa, to jest systematyczna walka podziemna z Sejmem i z Delegacyą, pro-

wadzona wszelkiemi środkami, jakich nieuczciwość dostarczyć może przez długie już lata. Czy ta jest, czy jej nie ma? niech odpowiedzą panowie optymiści. Czy nie robi co tylko może, żeby kraj otumanić i zepsuć, i na złe drogi go sprowadzić a o szkodę przyprawić? i czy jej się to w ostatnich czasach bardzo świetnie nie udało? Niech odpowiedzą panowie optymiści: a jeżeli tak, to niech tej sytuacyi nie lekceważą i na oczywistość, na rzeczywistość, oczu dobrowolnie nie zamykają. Że spisek nie jest urojeniem, ani strachem na Lachy, że jest i działa, a przynajmniej chce działać, i że się za pana Polski z Bożej łaski uważa, dowodzi to, że wydaje manifesty i tych manifestów słowa. Że jego dążność z dążnością wiedeńskich centralistów nie ma nic wspólnego, to rzecz jasna: ale z różnych założeń wychodząc, spotykają się niechcący w jednej konkluzyi, w nienawiści i negacyi Sejmu. Spisek podkopuje go i przeczy, bo myśli, że wszelki stan spokoju, wszelki *modus vivendi*, w jakiejkolwiek części Polski, jest zaprzeczeniem i negacyą niepodległości: niemiecka większość w Radzie państwa nienawidzi Sejmu, jako podstawy wyrazu i rękojmi życia polskiego w Galicyi. Kiedy więc zdarzenie jakie pozwoli im na Sejm uderzyć, uderzają nań z różnych pobudek i bez porozumienia, ale razem, i korzystają z przypadkowego sprzymierzeńca, którego ani znają, ani kochają, ale który chwilowo przydać się może. Anarchia zaś przez dwa dzienniki lwowskie, (jeden więcej ku stronie polskiego spisku, drugi ku stronie wiedeńskiego liberalizmu przechylony), faktoruje do tej nienaturalnej spółki, i robi interesa stron obu, bijąc nieustannie taranami kłamstw

i potwarzy w ten mur forteczny, który kraj i od spisku i od germanizacyi zasłania.

Taki jest stosunek rzeczywisty tych sił, które nie mając najmniejszej z sobą *Wahlverwandschaft* spotkały się przecież i działają choć nie w jednym celu i duchu, ale w jednym kierunku. Spisek

jener Kraft
die stets das Gute will und stets das Böse schafft,

który chcąc Polski, robi co tylko robić można, żeby do niej nigdy nie dopuścić, i centralizacya niemiecka spuścizna po Józefie II, Metternichu i Bachu, która Polski nie chce, łączą i godzą się w tym jednym punkcie, że nienawidzą i nie chcą Sejmu, ani żadnego legalnego polskiego życia w Galicyi: że zaś usiłowania ich nie są zupełnie marne, tego dowodzi approbacya dana buntowi przez reprezentacyę głównego w kraju miasta. A ten wzgląd niepociesza ani uspokaja nas wcale, że na całym świecie jak tu znajdzie się kilku agitatorów, kilku malkotentów i tłum niemyślący. Więcej nie trzeba! te elementa wystarczą wszędzie i zawsze, żeby sprowadzić największe klęski. W kommunie paryskiej także nie było nic innego tylko garstka agitatorów, garstka malkotentów i niemyślący tłum. U nas pierwiastki te nie sprowadzą takiego jak tam nieszczęścia, ale sprowadziły już wielkie, którem jest oświadczanie się reprezentacyi Lwowa przeciw Sejmowi, osłabienie Delegacyi, wskrzeszenie *Liberum veto*, i takie obałamucenie umysłów, że to wszystko może niektórym ludziom wydawać się rzeczą dobrą i patryotyczną. Mogą zaś żywioły te, jeżeli im zawczasu i stanowczo tamy nie położymy, sprowadzić na kraj inne jeszcze i stokroć gorsze skutki.

Jakież to? Oto te, że jeżeli zły przykład działać będzie dalej, jeżeli zła wiara zdoła w ludzi wmówić, że czarne jest białem, niekarność zasługą, a odstępstwo miłością ojczyzny, jeżeli około tego *Liberum veto* dwóch czy trzech posłów skupi się *konfederacya* i ogłosiwszy, że w niej jest Rzeczpospolita, zacznie na swoją rękę działać i politykować, to w takim razie naprzód stanowisko i znaczenie polskie w Austryi, w tym dziś prawdziwym i jedynym dla nas punkcie Archimedesa będzie osłabione i poprostu stracone, bo zamiast jednolitej i odrębnej reprezentacyi polskiej będziemy mieli, jak mądrze powiedział pan Grocholski, pewną liczbę Austryaków mówiących po polsku. Z tych niektórym faworytom swoim, w nagrodę ich zasług i dla utrzymania ich popularności, tak pożytecznej, większość Rady państwa rzuci może na początek jaki komplement lub nawet obietnicę: ale widząc nas do obrony za słabych, a jako słabych pozbawionych wszelkiej po za Radą państwa podpory, weźmie się pomału do rzeczy ważniejszych. Sprawa naszej Rady szkolnej, o bezpośrednich wyborach już nie mówiąc, może nam służyć za wskazówkę tych dobrych zamiarów, które pomału rzucą się i na rzeczy ważniejsze, na język naprzykład, na administracyę, na Statut krajowy, i pochłoną to łatwo, bo nikt nas w Radzie państwa i w Monarchii za coś stalszego i silniejszego uważać nie będzie. A czy na tem koniec? Nie. Znana jest czuła przyjaźń i opieka, jaką większość Rady Państwa otacza tych świętojurców, którzy na nieszczęście noszą nazwę Rusinów, a są, wiemy czem. Wyobraźmy sobie, jak ci urosną we wpływ i znaczenie, jeżeli my rozbici i luźni utrzymać ich nie zdołamy! Jakie te będą żądania, jakie wnioski, które

liberalna lewica Reichsrathu w swojej sprawiedliwości i mądrości z zapałem, z rozkoszą uchwali! Niech naprzykład, jak o tem słychać niekiedy, anarchia z rokoszem założą sobie drugi oppozycyjny przeciwsejmowy komitet wyborczy, cóż wtedy będzie? Oto że kandydaci tak jednego jak drugiego komitetu przy rozdzielonych usiłowaniach we wszystkich okręgach wyborczych mniejszej własności po drugiej stronie Sanu przepadną, a wyjdą? Rusini, którzy teraz mądrze milczą licząc na to, że zrobią jak ten złodziej z bajki, co kiedy dwóch kłóciło się kto podniesie leżący na ziemi worek, porwał go i uciekł. A jak ich w Radzie państwa będzie wielu, jaki wtedy podniesie się krzyk na polski ucisk i prześladowanie, jak on odbije się w szlachetnych sercach tych Niemców, co Polaków chwalą, że się wznieść umieli nad ciasne względy narodowości, ale *narodnost* świętojurską otaczają zawsze najczulszą opieką? I jeżeli też wtedy te dwa szlachetne żywioły, podawszy sobie rękę uradzą razem, że połowa Galicyi nie jest krajem polskim, że sprawiedliwość sama wymaga, iżby mu przyrodzone jego prawa przywrócić, jeżeli rozdzielą między siebie role i jedni wnosić będą, a drudzy skwapliwie uchwalać prawa naprzykład o usunięciu języka polskiego ze szkół i urzędów? albo dalej, jeżeli podniosą jedni jęk bolesny i krzyk błagalny o przywrócenie Galicyi jej praw i natury przez podział jej na dwa kraje, a drudzy uznają słaszność tej prośby, ulitują się tych nieszczęśliwych i uchwalą ten podział?... O niech nikt nie mówi, że to niemożliwe i że przewidywania urojone i zbyt czarne. Że tego chcą centraliści to wiemy: wszakże od Józefa II pracowali nad moralnym i narodowym, a za Bacha nawet nad terytoryalnym podzia-

łem Galicyi; a że tego chcą świętojurcy i ci, którym oni służą, któż o tem jeszcze wątpi. I spróbujmy tylko my Polacy bawić się w dwa komitety, dwie Delegacye i dwie polityki, to zobaczymy. Może znajdzie się wtedy tych dualizmów więcej. Bo zastęp świętojurski w Radzie państwa podda się wiedeńskim liberałom i centralistom zupełnie, a w zamian otrzyma od nich spełnienie swoich i rosyjskich marzeń. Wtedy będą nie dwa komitety tylko i dwie Delegacye, ale dwa kraje i dwa Sejmy, a ci nieszczęśni między lwowianami, którzy polskiego Sejmu szanować ani słuchać go nie chcieli, mogą wtedy w swojem mieście widzieć Sejm ruski z pozoru i mowy, rosyjski z ducha. I wtedy będzie płacz i zgrzytanie zębów, wtedy będą przeklinali tę godzinę, w której się polskiego Sejmu wyparli i przeciw niemu bunt podnieśli: jak Ewa na węża będą wskazywali i narzekali na mistrzów i kapłanów swojej opinii, i bijąc się w piersi będą mówili: „on mnie uwiódł niech będzie przeklęty“ — wtedy i ten honorowy obywatel miasta Lwowa, który mówi, że tak Rosyi niecierpi zażadrży może w swojem sumieniu, pożałuje swoich mów i tryumfów, i zrozumie do czego jest potrzebna w narodzie jedność i karność a w Delegalyi solidarność. Ale wtedy będzie zapóżno! anarchia polska ciągnąc wodę na młyn niemiecki i rosyjski przyprawi nas i nie pierwszy raz o utratę ziemi, o utratę połowy tej prowincyi, która jedna dziś na świecie ma rząd polski i polskie życie, i wtedy Polska kończyć się będzie na Sanie.

Wtedy będą żałować poniewczasie. Konfederaci Radomscy żałowali także — żałowali Targowiccy.

Nasz *Rząd Narodowy* powie na to, że to nic nie szkodzi, że to owszem dobrze, bo po konfederacyi

Radomskiej nastąpiła Barska, a po Targowickiej Kościuszko; ale niech pamięta, że Pułaski ani Kościuszko nie zwyciężyli, że po Barze nastąpił rozbiór pierwszy, po Maciejowicach ostatni.

Jak nas przed stu laty zgubiła, tak dziś zgubić nas może anarchia, działająca przez rokosz: i dlatego trzeba nam uczyć się karności. Jest Sejm, jedyna dziś prawowita władza polska, trzeba go słuchać.

Ale na to dają cichaczem do zrozumienia dzienniki lwowskie, że on nie jest ani prawowitym ani polskim, bo pod austryackiem prawem wybrany i austryackiego cesarza nad sobą uznający, on myśli polskiej i zasadzie niepodległości właśnie uwłacza i zaprzecza. Jeżeli tak jest, jeżeli nasza zasada polska nie pozwala nam uznawać za prawowite nic, co się pod austryackim rządem i prawem odbywa, w takim razie nie wybierajmy ani do Sejmu ani do Rady państwa; nikt nie może wyborcy zmusić, żeby do wyboru stanął i głosował. Ale kiedy wybieramy i to dobrowolnie, kiedy Sejm jest wybrany wolnemi głosami narodu polskiego (to jest tej jego części, która wybierać może), to jest reprezentacyą tego narodu, i jest jego prawowitą władzą, a my go szanować i słuchać mamy.

Inni znów mówią: byłoby to wszystko dobrze, gdyby lepszy Sejm albo lepsza Delegacya, ale ta jest ciężka jakaś i nieczynna, powiedzmy otwarcie nieudolna i niedołężna. A któż ją wybierał naprzód? a potem, jeżeli jest zła, to wybierzcie lepszą. A kiedy nie możemy, nie mamy z czego, cośmy znali najlepszego i najzdolniejszego, tośmy już wybrali! A więc szanujcie i słuchajcie tych, których wybieraliście jako w waszem najlepszem przekonaniu uczciwych i rozumnych. Czy

gdybyście mieli niepodległość i rząd własny, czy mielibyście prawo i powód do buntu, gdyby dajmy na to, król był niemądry, albo jedno i drugie ministeryum nieudolne? Nie: mielibyście powód i prawo starać się o zmianę ministeryum, ale dopóki to byłoby rządem, bylibyście obowiązani uznawać jego władzę. A w narodzie podległym, choć obowiązek ten, sam przez się nie jest może większy, to przestrzeganie jego ścisłe jest jeszcze potrzebniejsze. Wolno zawsze złe prawo prawnym środkiem na Sejmie usunąć, ale dopóki jest, trzeba go słuchać, bo jest prawem; wolno postępowanie reprezentacyi czy władzy roztrząsać i sądzić, a jeżeli jest błędne, prostować, ale podkopywać i nurtować, ale podnosić przeciw niej bunty i konfederacye, tego nie wolno.

Dzieło nurtowania i podkopywania, prowadzone od lat wielu, tak się wzmogło i na siłach poczuło, że skoro się sposobność nadarzyła, podniosło bunt i konfederacyę, i sprowadziło kryzys w tej zadawnionej chorobie. Ospa wyrzuciła na wierzch, i pokazało się, jakie w tym biednym organizmie były niezdrowe, brzydkie, jadowite, zatrute pierwiastki. Kryzys trwa, a nic nie ręczy, żeby musiała skończyć się dobrze; pacyent może z niej wyjść, jeżeli nie na miejscu zabitym, to tak osłabionym, że z nowemi w sobie zarodami śmierci cherlać będzie długo, jeżeli nie do końca, może oślepnąć, może zeszpecić się tak, że go nikt nie pozna. Może też i wyzdrowieć, jeżeli silna, czerstwa natura weźmie górę nad chorobą, i tym złym pierwiastkom, które na wierzch wyrzuciły, nie da pozostać lub powrócić wewnątrz. Mamy do wyboru, albo nie broniąc się lub broniąc się miękko przeciw anarchii, poddać się rokoszowi i konfederacyi

wewnątrz, a przez nie woli niemieckich centralistów i Rosyi, i upaść, jako Galicya nazawsze, jako Polska, znowu na czas długi i nieoznaczony; albo poczuć i zebrać się w sobie i wszyscy razem z energią odeprzeć przypuszczony szturm, wypowiedzianą walkę przyjąć i stoczyć nie na ochotnika, nie po partyzancku lub po tyraliersku, ale całą siłą, całą massą, i zwyciężyć. Zwyciężyć zwycięztwem twierdzenia nad przeczeniem, stawiania nad niszczeniem, karności nad anarchią, rządu nad nierządem, prawa nad buntem. Bo tem wszystkiem jest walka, którą dziś toczymy w swojej istocie i treści, a w swoich środkach jest prócz tego walką uczciwości z podłością. Zwyciężyć w niej trzeba: a jeżeli wezwawszy Boga na pomoc i świadka, pójdziemy do niej odważnie razem i ostro, to wtedy kryzys, którą przebywamy, może skończyć się dobrze, i wyjść nam na zdrowie. Ten ciężki jej ból, który nas dręczy, okaże się da Bóg tym, co przychodzić zwykł

„gdy ostatnia chwila
zgon w życie przesila."

KONIEC TOMU I.

SPIS TREŚCI.